

david baldacci

CRIME SCENE KEEP OUT CRIME SCENE KEEP OUT CRIME SCENE

CRIME SCENE KEEP OUT CRIME SCENE KEEP OUT CRIME SCENE

KOLOR



PRAWDY



CRIME SCENE KEEP OUT CRIME SCENE

**david
baldacci**

**K O L O R
P R A W D Y**



Warszawa 2012

Tytuł oryginału:

True Blue

Copyright © 2009 by Columbus Rose, Ltd.

All rights reserved

Polish edition copyright © Buchmann Sp. z o.o., Warsaw, 2012

Tłumaczenie: Marta Komorowska

Redakcja: Studio Wydawnicze 69, Olsztyn

Projekt okładki: Krzysztof Kiełbasiński

Skład: Studio Wydawnicze 69, Olsztyn

ISBN: 978-83-7670-519-4



www.fabrykasensacji.pl

Wydawca:

Buchmann Sp. z o.o.

ul. Wiktorska 65/14, 02-587 Warszawa

Tel./fax 22 6310742

www.buchmann.pl

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.

virtualo.eu

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[63](#)

[64](#)

[65](#)

[66](#)

[67](#)

[68](#)

[69](#)

[70](#)

[71](#)

[72](#)

[73](#)

[74](#)

[75](#)

[76](#)

[77](#)

[78](#)

[79](#)

[80](#)

[81](#)

[82](#)

[83](#)

[84](#)

[85](#)

[86](#)

[87](#)

[88](#)

[89](#)

[90](#)

[91](#)

[92](#)

[93](#)

[94](#)

[95](#)

[96](#)

[97](#)

[98](#)

[99](#)

[100](#)

[101](#)

[102](#)

[103](#)

[104](#)

[105](#)

[106](#)

[107](#)

[108](#)

[109](#)

[110](#)

[111](#)

[112](#)

[113](#)

[114](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

*Dla Scotta i Natashy
oraz Veroniki i Mike'a,
członków mojej rodziny,
którzy należą do najfajniejszych
ludzi, jakich znam*

1

Jamie Meldon mocno potarł oczy, ale kiedy ponownie spojrzął na monitor komputera, wcale nie było lepiej. Spojrzął na zegarek. Dochodziła druga w nocy. Był padnięty. Z pięćdziesiątką na karku nie był już w stanie regularnie zarywać nocy. Założył kurtkę i odgarnął przerzedzone włosy, które opadły mu na czoło.

Pakując teczkę myślał o głosie z przeszłości. Nie powinien był tego robić, a jednak zadzwonił. Porozmawiali. Później się spotkali. Nie chciał znów babrać się w starych sprawach, ale wiedział, że będzie musiał coś z tym zrobić. Przez prawie piętnaście lat prowadził prywatną praktykę, teraz jednak reprezentował Wujka Sama. Trzeba się z tym przespać. To zawsze pomaga.

Dziesięć lat wcześniej był błyskotliwym i wysoko opłacanym obrońcą w sprawach karnych w Nowym Jorku, służącym pomocą prawną najbardziej plugawym przedstawicielom półświatka z Manhattanu. Był to najradośniejszy okres jego kariery, ale także czas, kiedy upadł najniżej. Stracił kontrolę nad swoim życiem, zdradził żonę i zaczął sam sobą gardzić.

Kiedy jego małżonka dowiedziała się, że zostało jej nie więcej niż pół roku życia, coś w mózgu Meldona wreszcie przeskoczyło na właściwe miejsce. Odbudował swoje małżeństwo, pomógł żonie uniknąć śmierci, przeniósł się z rodziną na południe i od dziesięciu lat nie bronił już przestępców, a posyłał ich do

więzienia. Czuł się z tym dobrze, choć z pieniędzmi było gorzej niż dawniej.

Wyszedł z budynku i skierował się w stronę domu. Mimo późnej pory w amerykańskiej stolicy panował ruch, ale kiedy zjechał z autostrady i poruszał się bocznymi drogami w kierunku swojego osiedla, otoczenie stało się cichsze, a on sam poczuł się senny. Niebieskie koguty migające w lusterku wstecznym natychmiast go otrzeźwiły. Znajdowali się mniej niż pół mili w linii prostej od jego domu, w miejscu, gdzie po obu stronach drogi rosły drzewa. Zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Sięgnął do portfela, w którym trzymał legitymację. Zaniepokoił się, że przysnął lub jechał wężykiem z powodu zmęczenia.

Zobaczył dwóch ludzi zbliżających się do samochodu. Nie mieli na sobie mundurów, a ciemne garnitury, z którymi kontrastowały nakrochmalone białe koszule, odcinające się jaskrawo w świetle zbliżającego się do pełni księżyca. Obaj mieli mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu, wysportowaną sylwetkę, gładko wygoloną twarz i krótkie włosy – tak mu się przynajmniej wydawało w świetle księżyca. Prawą ręką chwycił telefon komórkowy, wystukał 911 i trzymał kciuk nad zieloną słuchawką. Opuścił szybę i już miał pokazać legitymację, ale jeden z nieznajomych go ubiegł.

- FBI, panie Meldon. Jestem agent specjalny Hope, a to mój partner, agent specjalny Reiger.

Meldon wpatrzył się w legitymację, a po chwili mężczyzna poruszył dłonią i w kolejnej przegródce skórzanego etui pojawiła się znajoma odznaka FBI.

- Nie rozumiem, o co chodzi, agencie Hope?
- O e-maile i telefony, proszę pana.
- Do kogo?

- Musi pan pojechać z nami.
- Co? Dokąd?
- Do WFO.
- Do Biura Terenowego w Waszyngtonie? Dlaczego?
- Na przesłuchanie - odpowiedział Hope.
- Przesłuchanie? W jakiej sprawie?
- Kazano nam jedynie pana przywieźć, panie Meldon.

Rozmawiać będzie z panem zastępca dyrektora.

- Czy to nie może poczekać do jutra? Jestem prokuratorem.
- Hope wyglądał na poirytowanego.

- Wiemy, kim pan jest. Proszę pamiętać, że jesteśmy z FBI.

- Tak, ale...

- Jeśli pan chce, może pan zadzwonić do dyrektora, ale polecono nam przywieźć pana jak najszybciej.

Meldon westchnął.

- Niech będzie. Czy mogę pojechać za wami?

- Tak, ale mój partner musi jechać z panem.

- Dlaczego?

- Zawsze warto mieć przy sobie świetnie wyszkolonego i uzbrojonego agenta, panie Meldon.

- W porządku. - Meldon wsunął telefon z powrotem do kieszeni i otworzył drzwi od strony pasażera. Agent Reiger usiadł obok niego, a Hope wrócił do swojego samochodu. Meldon włączył się do ruchu za nim i ruszyli w drogę powrotną do Waszyngtonu.

- Szkoda, że nie zgarnęliście mnie z biura. Właśnie stamtąd przyjechałem.

Reiger nie spuszczał wzroku z jadącego przodem samochodu.

- Czy mogę spytać, czemu wracał pan tak późno?

- Jak już mówiłem, byłem w biurze. Pracowałem.

- W niedzielę o tej porze?

- To nie jest praca od ósmej do szesnastej. Pański partner wspomniał o telefonach i e-mailach. Czy chodziło mu o wysłane, czy o odebrane?

- Może ani o te, ani o te.

- Co takiego? - spytał Meldon ostrym tonem.

- Dział wywiadowczy Biura przechwytyje wszystkie plotki z półświatka. Może ktoś, kogo pan oskarżał, chce się odegrać. Zdaje się też, że prowadząc prywatną praktykę w Nowym Jorku nie był pan w najlepszych stosunkach z niektórymi ze swych, hmm, klientów. Może chodzi o jakąś sprawę stamtąd.

- Ale to było dziesięć lat temu!

- Mafia ma długą pamięć.

Meldon nagle zaczął wyglądać na przestraszonego.

- Jeśli poluje na mnie jakiś szaleniec, żądam ochrony dla swojej rodziny.

- Przed pańskim domem stoi już samochód Biura z dwoma agentami.

Przekroczyli Potomac, wjechali w granice miasta i po kilku minutach zbliżyli się do Biura Terenowego. Samochód jadący z przodu zatrzymał się w zaułku. Meldon stanął za nim.

- Czemu jedziemy tędy?

- Właśnie otworzyli nowy podziemny garaż ze wzmocnionym tunelem prowadzącym prosto do Biura. Tak jest szybciej i cały czas pod kontrolą FBI. W dzisiejszych czasach, kto wie, kto może nas obserwować? Może Al-Kaida, może następny Timothy McVeigh¹.

Meldon spojrzał na niego nerwowo.

- Aha, rozumiem.

To były jego ostatnie słowa.

Potężny wstrząs elektryczny sparaliżował go w tej samej chwili,

w której duża stopa nacisnęła na hamulec. Gdyby Meldon był w stanie się obejrzeć, zobaczyłby, że Reiger ma na sobie rękawiczki, i że trzyma przez nie małe, czarne pudełko, z którego wystają dwa kolce. Reiger wysiadł z samochodu, a wstrząsany drgawkami Meldon z niego wypadł.

Z drugiego samochodu przybiegł Hope. Agenci wspólnie podnieśli Meldona i oparli go, twarzą w dół, o duży kosz na śmieci. Reiger wyciągnął pistolet z tłumikiem, przyłożył lufę do potylicy Meldona i opróżnił magazynek, pozbawiając mężczyznę życia.

Razem z Hope'em wrzucili ciało do kosza. Reiger wsiadł do samochodu zabitego prokuratora i podążając za partnerem wyjechał z zaułka, skręcił w lewo i pojechał na północ. Ciało Meldona tonęło coraz głębiej w śmieciach.

Reiger nacisnął przycisk szybkiego wybierania na klawiaturze telefonu. Jego rozmówca odebrał po pierwszym sygnale. Reiger stwierdził:

- Zrobione - po czym przerwał połączenie i wsunął telefon z powrotem do kieszeni.

Mężczyzna, z którym rozmawiał, zrobił to samo.

Jarvis Burns, którego ciężka walizka obijała się o chorą nogę, z wysiłkiem dogonił pozostałą część grupy idącej po asfalcie, a później w górę po metalowych schodkach, do czekającego samolotu.

Inny mężczyzna, o siwych włosach i pooranej zmarszczkami twarzy, odwrócił się, by na niego spojrzeć. Był to Sam Donnelly, dyrektor Krajowej Agencji Wywiadu - czyli najważniejszy szpieg w Ameryce.

- Wszystko w porządku, Jarv?

- W jak najlepszym, panie dyrektorze - odpowiedział Burns.

Dziesięć minut później Air Force One wzbił się w bezchmurne nocne niebo ruszając w drogę powrotną do bazy sił powietrznych Andrews w stanie Maryland.

2

Sześćdziesiąt osiem... sześćdziesiąt dziewięć... siedemdziesiąt.

Kiedy klatka piersiowa Mace Perry dotknęła podłogi, kobieta podniosła się po ostatniej rundzie pompek. Jej mięśnie drżały z wysiłku. Rozciągnęła się, chciwie wsysając powietrze, kiedy pot spływał jej po czole, później położyła się i zaczęła robić brzuszki. Sto. Dwieście. Straciła rachubę. Potem nożyce. Mięśnie brzucha zaczęły protestować po pięciu minutach, ona jednak wciąż ćwiczyła, ignorując ból.

Następne były podciągnięcia. Kiedy tu trafiła, była w stanie zrobić siedem. Teraz uniosła podbródek nad poprzeczkę dwadzieścia trzy razy, a mięśnie w jej barkach i ramionach zbiły się w ciasne węzły. Z ostatnim krzykiem napędzanej endorfinami furii Mace stanęła na nogi i zaczęła biegać po dużej sali, okrążając ją raz, dwa, dziesięć, dwadzieścia razy. Zwiększała prędkość przy każdym okrążeniu, aż jej podkoszulek i szorty całkiem przemokły od potu. Było to wspaniałe uczucie, ale psuł je fakt, że w oknach nadal były kraty. Nie mogła za nie wybiec, przynajmniej nie przez trzy najbliższe dni.

Podniosła starą piłkę do koszykówki, kilka razy zakozłowała, a potem podbiegła do kosza - pozbawionej siatki obręczy z prowizoryczną tablicą, przytwierdzonej do jednej ze ścian i rzuciła jedną ręką, później odbiegła pięć metrów w lewo,

odwróciła się i rzuciła z wyskoku. Pobiegała po parkiecie, ustawiła się i wpakowała piłkę do kosza trzeci raz, potem czwarty. Przez dwadzieścia minut zaliczała jedno trafienie z wyskoku za drugim, skupiając się na technice i usiłując zapomnieć, gdzie się znajduje. Wyobraziła sobie nawet okrzyki kibiców, kiedy Mace Perry zdobywa decydujące punkty, tak jak podczas szkolnych mistrzostw stanu, kiedy była w ostatniej klasie liceum.

Później głęboki głos warknął:

- Próbujesz osiągnąć minimum olimpijskie, Perry?

- Próbuję osiągnąć cokolwiek - stwierdziła Mace odkładając piłkę, odwracając się i wpatrując w potężną, umundurowaną kobietę stojącą naprzeciwko niej z pałą w ręku. - Może normalność.

- Na razie spróbuj wrócić do celi. Koniec laby.

- W porządku - automatycznie odpowiedziała Mace. - Już idę.

- Średni poziom bezpieczeństwa to nie to samo co zerowy.

Słyszałaś?

- Słyszałam - odpowiedziała Mace.

- Niedługo się stąd wynosisz, ale póki co, jesteś na moim terenie. Zrozumiano?

- Zrozumiano! - Mace pobiegła korytarzem otoczonym cementowymi ścianami pomalowanymi na stalowoszary kolor, żeby jeszcze bardziej dobić pensjonariuszki. Kończył się on potężnymi, metalowymi drzwiami z kwadratowym wizjerem w górnej części. Siedzący po drugiej stronie strażnik wcisnął przycisk na panelu kontrolnym i stalowe wrota otworzyły się z trzaskiem. Cementowe cele, stalowe pręty, potężne drzwi z małymi okienkami, przez które wyglądały wściekłe twarze. Trzaśnięcie przy wejściu. Trzaśnięcie przy wyjściu. Oto więzienie

- miejsce zamieszkania jej i trzech milionów innych Amerykanów, którym rząd zapewniał darmowy dach nad głową i trzy metry kwadratowe przestrzeni życiowej. Trzeba było tylko złamać prawo.

Kiedy zobaczyła, który ze strażników pełni służbę, wymamrotała jedno słowo: „Cholera!”.

Był to mężczyzna po pięćdziesiątce, o niezdrowo bladej cerze, z piwnym brzuszkiem, łysiną, artretyzmem w kolanach i płucami przeżartymi przez dym papierosowy. Najwyraźniej zamienił się miejscami z innym strażnikiem, który pełnił służbę, kiedy Mace szła poćwiczyć i kobieta wiedziała, dlaczego to zrobił. Wpadła mu w oko i musiała poświęcać mnóstwo czasu na unikanie go. Kilka razy udało mu się ją dopaść i żadne z tych spotkań nie było przyjemne.

- Masz cztery minuty, żeby się wykąpać przed żarciem, Perry! - warknął i zagroził swym potężnym cielskiem wąskie przejście, przez które musiała się przedostać.

- Potrafię szybciej - stwierdziła i spróbowała przebiec obok niego. Nie udało jej się.

Obrócił ją i chwycił lewą ręką, kiedy oparła się rękami o ścianę. Wsunął swoje potężne buty rozmiaru dwanaście pod cieniutkie podeszwy jej szóstek i Mace musiała stać na palcach, z wygiętymi plecami. Poczowała muśnięcie, a później mocny chwyt jego mięsistej dłoni, kiedy przyciągnął ją do siebie i przywarł do niej od tyłu. Udało mu się stanąć tak, że znaleźli się w jedynym martwym punkcie kamery bezpieczeństwa, którą mieli nad głowami.

- Czas na małe macanko - stwierdził. - Wy, kobitki, potraficie coś ukryć wszędzie, co nie?

- Czyżby?

- Znam wasze sztuczki.

- Sam pan powiedział, że mam tylko cztery minuty.
- Nienawidzę was - wysapał jej do ucha.

Camele i guma Juicy Fruit to zabójcze połączenie. Chwył ją za piersi i ścisnął tak mocno, że załzawiły jej oczy.

- Nienawidzę was - powtórzył.
- Tak, to się rzuca w oczy - odpowiedziała.
- Zamknij się!

Jeden z palców strażnika przejechał po jej szortach pomiędzy pośladkami.

- Przysięgam, że nie ukryłam tam broni.
- Powiedziałem: zamknij się!
- Chcę tylko iść wziąć prysznic. *Bardziej niż kiedykolwiek.*

- Nie wątpię - wychrypiął. - Wcale nie wątpię. - Trzymając jedną rękę na jej prawym biodrze, drugą na jej pośladku, wsunął swoje buciory jeszcze głębiej pod jej pięty. Czowała się, jakby chwiejnie stała na dwunastocentymetrowych szpilkach. Wiele by teraz dała za szpilkę, i bynajmniej nie chodziło tu o but.

Zamknęła oczy i próbowała pomyśleć o czymkolwiek innym niż to, co robił jej strażnik. Jego przyjemności miały prosty charakter: macał kobiety albo ocierał się o nie swoim wzvodem, kiedy miał okazję. W świecie zewnętrznym za takie zachowanie czekałoby go co najmniej dwadzieścia lat po drugiej stronie krat. Jednak tutaj było tylko słowo przeciw słowu i nikt by jej nie uwierzył, gdyby nie miała dowodów w postaci DNA. Dlatego Piwny Brzuszek jedynie markował stosunek przez ubrania. A gdyby go uderzyła, musiałaby tu zostać rok dłużej.

Kiedy skończył, powiedział:

- Myślisz, że jesteś kimś, co? Jesteś Więźniarką 245, ot co. Z Bloku B. Tylko tym i niczym innym.
- Tylko tym - powiedziała Mace, poprawiając ubrania i modląc

się, by u Piwnego Brzuska jak najszybciej zdiagnozowano raka płuc. Tak naprawdę jednak pragnęła wyciągnąć pistolet i rozmazać jego mózg – gdyby jakimś cudem się okazało, że go ma – po szarych ścianach.

Pod prysznicem mocno się wyszorowała i szybko spłukała – odkąd tu była, weszło jej to w krew. Przeżyła swoją inicjację po zaledwie dwóch dniach. Rozkwasiała tamtej kobiecie twarz. Fakt, że nie trafiła do izolatki ani nie zastrzono jej wyroku nie zaskarbił Mace sympatii innych więźniarek. Uznały ją za uprzywilejowaną sukę, co było najgorszą rzeczą, jaka mogła ją spotkać w miejscu, gdzie na reputacji opierały się wszystkie prawa. Minęły niemal dwa lata, a ona wciąż się trzymała, choć sama nie wiedziała jakim cudem.

Spieszyła się, bo każda minuta była droga, i odliczała czas do wyjścia na wolność, z niecierpliwością i strachem, bo po tej stronie krat nie czekało jej nic dobrego.

3

Kilka minut później Mace, wciąż z mokrymi włosami, ustawiła się w kolejce po swoją porcję. Posiłek, który dostała, był tak ohydny i tłusty, że w każdym innym miejscu - być może poza szkolną stołówką i tanimi liniami lotniczymi - uchodziłby za niejadalny. Przełknęła wystarczającą ilość paskudztwa, by uchronić się od śmierci głodowej i wstała, by wyrzucić resztę. Kiedy przechodziła obok jednego ze stolików, ktoś rzucił jej pod nogi kość cielecą. Przewróciła się o nią i upuściła tacę. Spadająca z niej papka utworzyła malowniczą zielonobrazową plamę na podłodze. Strażnicy na całej sali wzmogli czujność. Więźniarka, która rzuciła kością, kobieta o imieniu Juanita, patrzyła, jak Mace powoli wstaje na nogi.

- Niezdarna suka z ciebie - stwierdziła Juanita. Spojrzała na swoją świtę, skupioną wokół niej niczym pszczoły wokół królowej.
- Czyż ona nie jest niezdarną suką?

Wszystkie kobiety z ekipy Juanity potwierdziły, że Mace to najbardziej niezdarna suka, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi.

Juanita miała metr osiemdziesiąt dwa wzrostu i ważyła ponad sto piętnaście kilogramów, a każde z jej bioder miało wielkość błotnika ciężarówki. Mace miała niecały metr siedemdziesiąt i ważyła około pięćdziesięciu kilo. Juanita wydawała się miękka i gąbczasta, Mace była twarda jak stalowe drzwi

uniemożliwiający wszystkim niegrzecznym dziewczynkom ucieczkę z tego więzienia - a mimo to Juanita była w stanie ją zgnieść. Trafiła do więzienia w wyniku korzystnej ugody po popełnieniu morderstwa drugiego stopnia za pomocą łyżki do opon, zapalniczki i dużej ilości łatwopalnej substancji.

Chodziły słuchy, że w więzieniu czuje się lepiej niż kiedykolwiek przedtem na wolności. Tu Juanita była królową pszczół. Tam - jeszcze jedną dziewczyną bez matury, którą można lać ile wlezie, wykorzystywać do przewożenia broni i narkotyków czy porzucić wraz z dzieckiem, które się jej zrobiło. Nim Mace trafiła do więzienia, widziała setki kobiet takich jak Juanita - bez szans od chwili narodzin.

To mogło tłumaczyć, dlaczego Juanita narobiła tu dość szaleństw - wliczając w to dwa napady z bronią w ręku oraz przemyt broni i narkotyków - by dodano jej dwanaście lat do pierwotnego wymiaru kary. Wszystko wskazywało na to, że pozostanie tu do chwili, gdy wyniosą jej zwłoki i pochowają w jakimś wspólnym grobie.

Póki co jednak żyła i nie miała nic do stracenia, dlatego właśnie była tak niebezpieczna. Nie istniały dla niej żadne ograniczenia narzucone przez społeczeństwo. Ten fakt zamieniał gąbkę w tytan. Mace mogła w nieskończoność robić pompki i biegać, robiąc kolejne okrążenia, nie była jednak w stanie dorównać Juanicie. Wciąż odczuwała litość i wyrzuty sumienia. Juanita, jeśli kiedykolwiek je miała, wyzbyła się ich już dawno.

Mace chwyciła widelec. Jej spojrzenie przez chwilę zatrzymało się na wielkiej dłoni Juanity rozłożonej płasko na stole. Pomarańczowy lakier do paznokci wydawał się blady w zestawieniu z jej skórą, przyciemnioną jedynie tatuażem przedstawiającym coś, co wyglądało na pająka. Ręka stanowiła

oczywisty cel.

Nie dzisiaj. Tańcowałam już dzisiaj z Piwnym Brzuszkim. Z tobą nie zamierzam.

Mace poszła przed siebie i wrzuciła tacę i sztucce do kubła na brudne naczynia.

Dopiero wychodząc z sali obejrzała się w kierunku Juanity. Tamta wciąż na nią patrzyła i nie spuszczając z niej wzroku wyszeptwała coś do jednej z kobiet ze swej szajki, bladej tyczkowatej Rose. Rose trafiła do więzienia za odcięcie głowy seksownej kochance swego męża w łazience pewnego baru. Użyła do tego noża, którym jej małżonek opracował ryby. Mace słyszała, że mąż nie przyszedł na proces Rose – z żalu, że zniszczyła jego najlepszą broń. Historia nadawała się raczej do starych programów Jerry’ego Springera niż do pogaduszek na kanapie u Oprah Winfrey.

Mace zobaczyła, jak Rose kiwa głową i szczerzy w szerokim uśmiechu dziesięć zębów, które jeszcze pozostały jej w ustach. Trudno było uwierzyć, że kiedyś jako mała dziewczynka bawiła się w przebieranki, siadała tatusiowi na kolanach, uczyła się pisać, kibicowała licealnej drużynie futbolowej i śniła o czymkolwiek innym niż sto osiemdziesiąt miesięcy spędzonych w klatce jako prawa ręka opasłej królowej pszczół o konstrukcji psychicznej godnej Jeffreya Dahmera²

Rose złożyła Mace wizytę drugiego dnia jej pobytu w więzieniu i wyjaśniła, że Juanita jest mesjaszem i należy jej dawać wszystko, czego pragnie, więc jeśli drzwi celi się otworzą i stanie w nich mesjasz, należy okazać radość. Takie są zasady. Tak wygląda życie w Krainie Juanity. Mace kilka razy odmówiła przyjęcia tego do wiadomości. A zanim zaczęło się robić naprawdę nieprzyjemnie, Juanita nagle się wycofała. Mace podejrzewała, że

wie, dlaczego, ale nie była pewna. Tak czy inaczej, przez dwa lata codziennie musiała walczyć o życie wykorzystując swoją mądrość, spryt i nowo zdobyte mięśnie.

Mace powlokła się do Bloku B, a dokładnie o siódmej wieczorem za więźniarkami zatrzasnęły się drzwi. Zaczęła się kolejna rozrywkowa sobotnia noc. Mace usiadła na metalowym łóżku z materacem tak cienkim, że prawie prześwitywał. Przez ostatnie dwa lata, które na nim przespala, jej ciało nauczyło się na pamięć każdego zagięcia i wybrzuszenia w starym metalu. Zostały jej jeszcze trzy dni. W zasadzie już tylko dwa, jeśli uda jej się przetrwać noc.

Juanita wiedziała, kiedy Mace ma wyjść. Dlatego ją przewróciła - próbowała ją sprowokować. Nie chciała, by opuściła więzienie. Mace siedziała więc w swojej celi, zeszywniała i wciśnięta w kąt pomieszczenia. Miała zaciśnięte pięści, a w każdej z nich kryła coś błyszczącego i ostrego, co ukrywała w miejscu, w którym nie mogli tego znaleźć nawet strażnicy. Zapadła ciemność, a później nadszedł ten moment nocy, kiedy wiesz, że nic dobrego cię nie spotka, bo zło, które nadchodzi, przepłoszyło całe dobro. Czekala dalej, bo wiedziała, że w pewnym momencie drzwi jej celi się otworzą, a strażnicy będą patrzeć w inną stronę w zamian za narkotyki, seks lub obie te rzeczy naraz.

I pojawi się mesjasz, mający tylko jeden cel: sprawić, by Mace nigdy więcej nie cieszyła się światłem dnia na wolności. Przez dwa lata przygotowywała się do tej chwili. Jej muskularne ciało czekało z niecierpliwością, a z każdym oddechem płynęło jej w żyłach więcej adrenaliny.

Trzy minuty później drzwi celi cicho się otworzyły i do środka weszła jakaś kobieta.

Nie Juanita.

Ta kobieta też była wysoka, w lakierowanych butach na trzycentymetrowym obcasie miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Jej mundur nie przypominał uniformów strażniczek. Dobrze na niej leżał, a ich ubrania zwykle były workowate i brudne. Miała blond włosy o ładnym zapachu, nieosiągalnym dla żadnej z więźniarek.

Kobieta zrobiła krok do przodu, a mimo panujących ciemności dochodziło skądś dość światła, by Mace zdołała dostrzec cztery gwiazdki na każdym jej ramieniu. W Wydziale Stołecznym Policji Dystryktu Kolumbii było jedenaście stopni, a cztery gwiazdki oznaczały najwyższy z nich.

Mace, wciąż zaciskając pięści, spojrzała w górę, a kobieta skierowała wzrok w dół.

- Hej, siostrzyczko - powiedziała komendant policji Dystryktu Kolumbii. - Co ty na to, żeby stąd spadać?

4

Roy Kingman zamarkował rzut i podał piłkę kozłem między nogami obrońcy w strefę podkoszową, gdzie już czekał na nią Joachim, gigant o atomowym wyskoku, który wpakował piłkę do kosza z góry w taki sposób, że jego głowa znajdowała się prawie nad obręczą.

- Dwadzieścia jeden punktów i po robocie - powiedział Roy, któremu pot spływał po twarzy.

Dziesięciu młodych ludzi zebrało swoje rzeczy i powlokło się pod prysznic. Była szósta trzydzieści rano, a Roy rozegrał już trzy mecze pięciu na pięciu na całym boisku w swoim klubie w północno-zachodniej części Waszyngtonu. Minęło już osiem lat od momentu, gdy Roy dołączył do drużyny Kawalerzystów na Uniwersytecie Wirginijskim i stał się ich pierwszym rozgrywającym. Przy wzroście „zaledwie” metra osiemdziesięciu siedmiu i bez dynamitu w nogach Roy zdołał na ostatnim roku studiów poprowadzić drużynę do mistrzostwa konferencji ACC dzięki ciężkiej pracy, boiskowemu sprytowi, solidnym podstawom technicznym i odrobinie szczęścia. Szczęście skończyło się jednak w ćwierćfinałach, w których zostali rozbici przez mocną jak zawsze drużynę Kansas.

Rozgrywający Jastrzębi był szybki jak gepard i oszałamiająco zwinny, a przy wzroście zaledwie metra osiemdziesięciu dwóch

bez trudu wkładał piłkę do kosza. Trafił dwanaście rzutów za trzy, w większości ponad blokiem Roya, zaliczył dziesięć asyst i spowodował, że normalnie solidny gracz Kawalerzystów miał więcej strat niż zdobytych koszy. Nie w taki sposób Roy chciał zapamiętać cztery lata kariery na uniwersytecie. Ale, rzecz jasna, teraz nie był w stanie wspominać jej inaczej.

Wziął prysznic, założył białą koszulkę polo, szare spodnie i niebieską sportową marynarkę - swój standardowy strój do pracy - wrzucił torbę do bagażnika swojego srebrnego audi i ruszył do pracy. Było krótko po siódmej, ale jego praca wymagała wiele czasu i wysiłku.

O siódmej trzydzieści wjechał na podziemny parking nabrzeżnego biurowca w Georgetown, w którym pracował, chwycił teczkę leżącą na przednim siedzeniu, zamknął audi i pojechał windą do holu. Przywitał się z Nedom, potężnym trzydziestokilkuletnim ochroniarzem, który wpychał sobie do ust bułkę z kiełbasą, leniwie przewracając strony najnowszego *Muscle Mag*. Roy wiedział, że gdyby Ned miał wstać z krzesła i pobiec za jakimś bandytą, nie tylko by go nie złapał, ale też wymagałby sztucznego oddychania metodą usta-usta.

Bylebym to nie ja musiał je robić.

Wsiadł do windy w biurze, przesunął kartę przez czytnik i pojechał na szóste piętro. Po niecałej minucie dotarł do biura. Firma Shilling & Murdoch była otwarta dopiero od ósmej trzydzieści, musiał więc ponownie skorzystać z karty, by otworzyć szklane drzwi wejściowe.

Kancelaria Shilling & Murdoch zatrudniała czterdziestu ośmiu prawników w Waszyngtonie, dwudziestu w Londynie i dwóch w Dubaju. Roy był we wszystkich trzech z tych miejsc. Poleciał na Bliski Wschód prywatnym samolotem jakiegoś szejka, który robił

interesy z jednym z klientów firmy. Był to airbus A380, największy komercyjny samolot pasażerski na świecie, zdolny pomieścić około sześciuset zwykłych osób - lub dwudziestu szczęśliwców pływających się w luksusie. Podniebny apartament Roya był wyposażony w łóżko, kanapę, biurko, komputer, telewizor odbierający dwieście kanałów z nieograniczoną pulą filmów dostępnych na żądanie i minibarek. Miał także do dyspozycji osobistą stewardesę - młodą Jordankę tak idealnie piękną, że Roy przez sporą część lotu wzywał ją tylko po to, żeby na nią popatrzeć.

Poszedł korytarzem do swojego biura. Kancelaria była przyjemna, ale daleka od ostentacji, a w porównaniu z lotem A380 wypadła bardzo blado. Roy potrzebował jednak tylko biurka, krzesła, komputera i telefonu. Jedynym ulepszeniem, jakiego dokonał w swoim biurze, było zamontowanie kosza po wewnętrznej stronie drzwi, do którego rzucał małą, gumową piłką, kiedy rozmawiał przez telefon albo myślał.

Pracował dziesięć-jedenaście godzin dziennie, od czasu do czasu również w weekendy, zarabiał dwieście dwadzieścia tysięcy dolarów rocznej podstawy i dodatkowo mógł się spodziewać kolejnych sześćdziesięciu tysięcy dywidendy, miał też złoty pakiet opieki zdrowotnej i miesiąc płatnego urlopu, podczas którego mógł wyszaleć się do woli. Podwyżki wynosiły średnio dziesięć procent rocznie, więc w następnym roku jego zarobki miały przekroczyć trzysta tysięcy. Nieźle jak na byłego sportowca zaledwie pięć lat po zakończeniu studiów prawniczych i z dwuletnim stażem w firmie.

Zajmował się umowami, a jego noga nigdy nie stała na sali sądowej. Najlepsze było to, że nie musiał spisywać przepracowanych godzin - wszyscy klienci firmy płacili

ryczałtowo za standardową współpracę, a odkąd Roy zaczął tam pracować, nie stało się nic, co by poza nią wykraczało. Przedtem przez trzy lata prowadził prywatną praktykę. Chciał pracować w biurze obrońcy publicznego w Waszyngtonie, należało ono jednak do najznamienitszych w kraju i konkurencja o posady była olbrzymia. Roy został więc obrońcą z urzędu na mocy ustawy o sprawach karnych. Brzmiało to poważnie, ale oznaczało tylko tyle, że figurował na zatwierdzonej przez sąd liście prawników, którzy zadowalali się resztkami po biurze obrońcy publicznego.

Kancelaria Roya składała się z jednego pokoju i mieściła o kilka przecznic od Sądu Najwyższego w Waszyngtonie, w przestrzeni biurowej, którą dzielił z sześcioma innymi prawnikami. Mieli także wspólną sekretarkę, pracującego na pół etatu asystenta prawnego, kserokopiarkę z faksem i całe morze kiepskiej kawy. Większość klientów Roya była winna, spędził więc mnóstwo czasu negocjując ugody z prokuratorami. Zazwyczaj woleli oni uniknąć rozprawy, chyba że musieli wyrobić godziny w sądzie albo zależało im na tym, żeby skopać oskarżonemu tyłek – dowody były zwykle tak oczywiste, że uznanie go za winnego było w zasadzie nie do uniknięcia.

Roy marzył o grze w NBA, aż w końcu przyjął do wiadomości, że cała masa ludzi gra lepiej, niż on kiedykolwiek zagra, a i większości z nich nie uda się przebić. To był główny powód, dla którego poszedł na studia prawnicze: był zbyt słaby na zawodowca i nienajlepiej rzucał za trzy. Niekiedy zastanawiał się, ilu innych wysokich prawników przeszło tę samą drogę.

Przygotował zadania do wykonania dla sekretarki, która dopiero miała się pojawić, i poczuł, że potrzebuje kawy. Dokładnie o ósmej poszedł korytarzem do kuchni i otworzył lodówkę. Obsługa trzymała w niej kawę, by dłużej pozostała

świeża.

Roy nie zdążył jednak sięgnąć po kawę.

Złapał za to ciało kobiety, które wypadło z lodówki.

5

Jechały czarnym lincolnem, za nimi poruszał się SUV pełen ochroniarzy. Mace zerknęła na swoją starszą siostrę, Elizabeth, przez przyjaciół i niektórych kolegów z pracy zwaną Beth, a przez większość ludzi – Panią Komendant.

Mace odwróciła się i spojrzała na samochód obstawy.

– Po co ten ogon?

– Bez powodu.

– Dlaczego przyjechałaś dzisiaj?

Beth Perry spojrzała na umundurowanego kierowcę.

– Keith, włącz jakąś muzykę. Nie chcę, żebyś mi tu zasnął. Z takiej drogi łatwo zjechać w przepaść.

– Tak jest, pani komendant. – Keith sumiennie włączył radio i na tylne siedzenie dobiegł zachrypnięty głos Kim Carnes zawodzącej „Bette Davis Eyes”.

Beth odwróciła się do siostry i wyszeptała:

– W ten sposób unikniemy prasy. I tak dla twojej wiadomości, od pierwszego dnia miałam tam swoje oczy i uszy. Starłam się chronić cię, jak tylko mogłam.

– To dlatego ta krowa dała mi spokój.

– Mówisz o Juanicie?

– Mówię o krowie.

Beth zaczęła mówić jeszcze ciszej.

- Pomyślałam, że będą chciały dać ci pożegnalny prezent. Dlatego wpadłam wcześniej.

Mace irytował fakt, że komendant główny policji musiała włączać radio i szeptać we własnym samochodzie, ale знаła przyczyny tej sytuacji. Ściany miały uszy, a w przypadku jej siostry w grę wchodziła już nie tylko walka z przestępczością, ale i polityka.

- Jak udało ci się wywalczyć zwolnienie na dwa dni przed terminem?

- Zwolnili cię wcześniej za dobre sprawowanie. Zapracowałam sobie na całe czterdzieści osiem godzin wolności.

- W ciągu dwóch lat. To chyba nie jest szczególnie wielkie osiągnięcie.

- Niezbyt. - Siostra z uśmiechem poklepała Mace po ramieniu. - Ale i tak się tego po tobie nie spodziewałam.

- Dokąd mam jechać?

- Pomyślałam, że mogłabyś się przespać u mnie. Miejsca jest mnóstwo. Sfinalizowałam rozwód pół roku temu. Ted już dawno się wyniósł.

Trwające osiem lat małżeństwo Beth z Tedem Blankenshipem zaczęło się rozpadać, zanim Mace trafiła do więzienia. Nie mieli dzieci, a Ted znienawidził swoją byłą, gdyż była mądrzejsza od niego i odnosiła sukcesy, o których on mógł najwyżej pomarzyć.

- Mam nadzieję, że mój pobyt w więzieniu się do tego nie przyczynił.

- Przyczynił się do tego mój brak gustu do mężczyzn. Znowu jestem Beth Perry.

- Jak mama?

- Nadal jest żoną Pana Bogacza i wciąż jest tak samo upierdliwa.

- Ani razu mnie nie odwiedziła ani nie napisała.

- Odpuść to, Mace. Taka już jest i ani mnie, ani tobie nie uda się jej zmienić.

- Co z moim apartamentem?

Beth odwróciła się do okna, a Mace zobaczyła w szybie odbicie grymasu na twarzy siostry.

- Spłacałam go tak długo, jak mogłam, ale rozwód mnie zrujnował. Wyszło na to, że muszę płacić Tedowi alimenty. Gazety miały na mnie używanie, chociaż sprawa miała być utajniona.

- Nie znoszę prasy. I, dla twojej wiadomości, Teda też nigdy nie lubiłam.

- Bank przejął twój apartament cztery miesiące temu.

- Nie informując mnie o tym? Mieli prawo to zrobić?

- Ustanowiłaś mnie jako pełnomocnika, zanim poszłaś do więzienia. Poinformowali mnie.

- A ty nie mogłaś mi powiedzieć?

Beth wpatrzyła się w siostrę.

- A co byś zrobiła, gdybym ci powiedziała?

- Wolałabym wiedzieć wcześniej – stwierdziła ponuro Mace.

- Przepraszam. Wydawało mi się, że tak będzie lepiej.

Przynajmniej nie jesteś nic za niego winna.

- A czy cokolwiek mi zostało?

- Po tym, jak opłaciliśmy twojego obrońcę.

- My?

- To kolejny powód, dla którego nie mogłam dalej płacić za apartament. Prawnicy nie pracują społecznie. Wiem, że ty zrobiłabyś dla mnie to samo.

- Ty nigdy byś się nie władowała w takie bagno.

- Chcesz usłyszeć resztę złych wiadomości?

- Czemu nie? Nieszczęścia chodzą parami.

- Rachunek inwestycyjny, podobnie jak wszystkim innym, skurczył ci się do zera przez kryzys. Policja przestała wypłacać ci pensję z chwilą skazania. Na koncie masz w sumie tysiąc dwieście piętnaście dolarów. Przekonałam twoich wierzycieli, żeby zredukowali długi do około sześciu tysięcy i odroczyli spłatę do czasu, aż staniesz na nogi.

Mace przez dłuższą chwilę milczała, a samochód jechał krętymi drogami prowadzącymi do autostrady międzystanowej, którą miał dotrzeć do Wirginii, a później do Dystryktu Kolumbii.

- I zrobiłaś to wszystko w wolnym czasie, jednocześnie zarządzając dziesiątą co do wielkości jednostką policyjną w kraju i odpowiadając za bezpieczeństwo ceremonii zaprzysiężenia prezydenta. Wiem, że nikt nie spisałby się lepiej. A gdybym to ja zajmowała się twoimi finansami, pewnie wylądowałabyś w więzieniu dla dłużników w Chinach. - Mace dotknęła ramienia siostry. - Dzięki, Beth.

- Jedną rzecz udało mi się ocalić.

- Co takiego?

- Zobaczysz, kiedy dotrzemy na miejsce.

6

Słońce właśnie zaczynało wschodzić, kiedy lincoln skręcił w cichą, ślepią uliczkę. Kilka sekund później samochód zatrzymał się na podjeździe przed okazałym, dwupiętrowym domem z dużą werandą, stojącym na samym końcu ulicy. O tym, że mieszkała w nim najstarsza rangą policjantka w Waszyngtonie świadczyła stojąca na zewnątrz ochrona i przenośne barierki, które odsunięto z drogi, kiedy samochód wjechał na ulicę.

- Po cholere to wszystko, Beth? - spytała Mace. - Nigdy nie miałaś przed domem ochrony. Nie miałaś nawet kierowcy.

- Świat się zmienił, poza tym burmistrz nalegał.

- Ktoś ci groził?

- Codziennie dostaję pogróżki, natręci pojawiają się na komendzie i tutaj.

- To nic nowego. Co w takim razie się zmieniło?

- To nie twoje zmartwienie.

Samochód zwolnił, Beth Perry otworzyła okno i zamieniła kilka słów z pełniącymi służbę oficerami, a później razem z Mace weszły do domu. Mace rzuciła na podłogę płócienny worek zawierający cały dobytek, jaki zabrała ze sobą do więzienia, i rozejrzała się wokół.

- Możesz mi wyjaśnić, o co chodzi z tą nową ochroną?

- Nie ma o czym mówić. Niezbyt mi się to podoba, ale jak już

mówiłam - burmistrz nalegał.

- Ale dlaczego...

- Daj spokój, Mace!

Siostry przez chwilę mierzyły się wzrokiem, aż w końcu Mace się wycofała.

- A gdzie Ślepak?

W tym momencie, jak na komendę, do pokoju wszedł duży, czarny podpalany kundel. Poniuchał, a później skowycząc pognął w stronę Mace. Kobieta przyklękła i podrapała zwierzę za uchem, a później przytuliła się do niego, wtulając twarz w miękkie futro psa, który radośnie lizał ją po uchu.

- Myślę, że brakowało mi go prawie tak bardzo jak ciebie.

- Tęsknił za tobą.

- Hej, Ślepak, tęskniłeś?

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że chcieli go uśpić tylko dlatego, że nie widzi. Ma węch tak czuły, że jest lepszy niż dwie pary sokolich oczu.

Mace wstała, ale wciąż głaskała Ślepaka po łbie.

- Zawsze przyprowadzałaś do domu przybłądy z problemami. Najpierw głuchego kota, później trójnogiego boksera Billa.

- Każdy zasługuje na szansę.

- Nawet młodsze siostry?

- Schudłaś, ale wygląda na to, że poza tym jesteś w dobrej formie.

- Codziennie ćwiczyłam. Tylko dzięki temu dałam radę.

Beth rzuciła jej dziwne spojrzenie, które Mace zrozumiała dopiero po kilku chwilach.

- Beth, jestem czysta. Byłam czysta, kiedy mnie zamykali i nie tknęłam niczego, kiedy tam byłam, chociaż uwierz mi, jest tam więcej chemii niż w głównym magazynie Pfizera. Zamieniłam

metamfetaminę na endorfiny. Jeśli chcesz, mogę zrobić test.

- Nie chcę, ale twój kurator będzie tego wymagał.

Mace wzięła głęboki oddech. Zapomniała, że czeka ją jeszcze rok nadzoru sądowego ze względu na skomplikowane okoliczności sprawy. Jeśli w tym czasie coś schrząni, zamkną ją na znacznie dłużej niż dwadzieścia cztery miesiące.

- Znam tego człowieka. Jest w porządku. Gra fair. Pierwsze spotkanie macie w przyszłym tygodniu.

- Myślałam, że będzie szybciej.

- Zwykle jest, ale powiedziałam mu, że będziesz mieszkać ze mną.

Mace wpatrzyła się w siostrę.

- Wiadomo coś o tym, kto mnie zrobił?

- Porozmawiamy o tym później. Ale mam pewne podejrzenia.

Coś w głosie siostry sprawiło, że Mace postanowiła się z nią nie kłócić.

- Umieram z głodu, ale czy mogłabym najpierw wziąć prysznic? Zimna woda wydzielana po dwie minuty dziennie przez dwa lata dała mi w kość.

- Przygotowałam ci na górze ręczniki, mydło i szampon. Reszta twoich ubrań jest w pokoju gościnnym.

Pół godziny później siostry usiadły w dużej, przestronnej kuchni nad jajecznicą, kawą, bekonem i tostami, które przygotowała Beth. Pani komendant przebrała się w dżinsy i bluzę z nadrukiem „Akademia FBI”. Miała włosy związane w kitkę i bose stopy. Mace miała na sobie białą koszulę z długimi rękawami i sztruksowe spodnie, które ostatni raz nosiła ponad dwa lata wcześniej. Przedtem były obcisłe, teraz zsuwały się z jej wąskich bioder.

- Będzie ci trzeba kupić nowe ubrania - zauważyła jej siostra. - Ile teraz ważysz, pięćdziesiąt dwa kilo?

- Trochę mniej. - Mace wetknęła kciuk za pas luźnych spodni. - Nie wiedziałam, że przedtem był ze mnie taki grubas.

- Taa, grubas, że aż strach. Już wtedy mogłaś zdublować w biegu większość ludzi z komendy. Mace Perry nigdy nie biegała tylko po pączki.

Przez okna zaczęło wpadać światło słońca. Beth przyglądała się, jak jej siostra robi długą przerwę po każdym kęsie i ostrożnie pije kawę. Kiedy Mace to zauważyła, odłożyła widelec i filiżankę.

- Wiem, że to żałosne - stwierdziła.

Beth pochyliła się do przodu i chwyciła siostrę za przedramię.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że wróciłaś bezpiecznie. Jaka to dla mnie ulga.

Głos Beth zadrżał i Mace zobaczyła, że jej siostra ma łzy w oczach - w tych samych oczach, którym zdarzało się patrzeć na największe okropności w mieście. Podobnie jak Mace, Beth zaczęła jako krawężnik w najgorszej dzielnicy Waszyngtonu, w którą nie zapuściłby się żaden turysta - chyba że życie byłoby mu niemiłe.

Pani komendant szybko podeszła do kuchennego blatu i dołała sobie kawy, wyglądając przez okno na małe podwórko i starając się uspokoić. Mace wróciła do przerwanego posiłku. Pomiedzy kolejnymi kęsami spytała:

- To co dla mnie zachowałeś?

Zadowolona ze zmiany tematu Beth stwierdziła:

- Chodź ze mną, to ci pokażę.

Otworzyła drzwi do garażu i łokciem włączyła światło. Garaż mógł pomieścić dwa samochody. Jedno z miejsc zajmował czarny jeep Cherokee należący do Beth. Kiedy Mace zobaczyła, co stoi na drugim, uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Był to wiśniowy motocykl ducati Sport 1000 S, jedyny szalony

zakup, jakiego Mace w życiu dokonała – choć i tak kupiła go tanio z drugiej ręki, od postawnego gliny, który próbował się nim pocieszyć w kryzysie wieku średniego, ale szybko odkrył, że boi się nim jeździć.

Weszła do garażu, przejechała ręką po odwróconych wyczynowych przednich widelcach Marzocchi wykutych z pięknego, szczotkowanego aluminium, później jej palce prześliznęły się po amortyzatorach Sachs, które ułatwiały jej podróże po trudnym terenie, kiedy ścigała złoczyńców na prywatnym sprzęcie. Motocykl miał zdejmowany tylny błotnik, który nadawał mu sportowy, aerodynamiczny wygląd, a po zdjęciu odsłaniał drugie siodełko. Mace lubiła jednak jeździć sama. Maszyna miała sześciobiegową skrzynię biegów, elektroniczny wtrysk paliwa Marelli i cylindry L2, a silnik osiągał moc prawie stu koni mechanicznych przy ośmiu tysiącach obrotów. Motocykl był z nią znacznie dłużej niż którykolwiek z jej mężczyzn, bo kochała go znacznie bardziej niż któregokolwiek z nich.

– Jakim cudem moi wierzycciele go przeoczyli?

– Przepisałam go na siebie, więc nie mieli co przeoczyć. Zrobiłam to w ramach wynagrodzenia za zarządzanie twoimi sprawami. – Wyciągnęła kluczyk. – Czy twoje prawko jest wciąż ważne?

– Nawet gdyby nie było, nie zdołałabyś mnie powstrzymać.

– Jesteś pewna, że należało to mówić komendantowi policji, który przysięgał chronić i wspierać?

– Wspieraj mnie duchowo, póki nie wrócę.

Mace założyła kask.

– Poczekaj chwilę.

Odwróciła się w samą porę, by zobaczyć, jak Beth rzuca jej

czarną skórzaną kurtkę, którą sprezentowała jej po zakupie motocykla. Mace szybko ją założyła. Miała teraz bardziej umięśnione ramiona, więc kurtka ciasniej ją opinała, ale i tak było wspaniale – ramiona, podobnie jak cała reszta ciała, do którego należały, były teraz wolne.

Mace uruchomiła silnik.

Zza kuchennych drzwi dobiegło drapanie pazurów, a później wycie Ślepaka.

- Nigdy nie lubił, kiedy na tym jeździłaś – wrzasnęła Beth, przekrzykując ryk silnika.

- Ale jak bosko brzmi silnik! – odkrzyknęła Mace.

Beth już uruchomiła mechanizm otwierający drzwi garażu – i całe szczęście, bo kilka sekund później ducati z rykiem ruszyło w chłodny poranek, pozostawiając za sobą ślad spalonych opon na cemencie.

Zanim obstawa zdążyła zareagować i odsunąć barierki, Mace gwałtownie zawróciła, wstrząsając przenośnym ogrodzeniem i kładąc motocykl niemal równoległe do ziemi. Maszyna reagowała idealnie, jakby stanowiła jedno ze swą właścicielką. Po chwili motocykl zniknął, zostawiając za sobą chmurę spalin z włoskiej rury wydechowej.

Policjanci z obstawy jak jeden mąż podrapali się po głowach i odwrócili w stronę pani komendant. Beth uniosła filiżankę z kawą w udanym geście uznania dla ich oddania i czujności, po czym wróciła do domu. Nie zamknęła jednak drzwi do garażu. Cztery lata temu musiała je wymienić po tym, jak jej młodsza siostra pospieszyła się z wjeżdżaniem. Nie zamierzała powtórzyć tego błędu.

7

Mace wiedziała, że w niektórych kwartałach ulic w Waszyngtonie jest bezpiecznie jak przed kościołem metodystów w małym miasteczku w południowym Kansas w niedzielne popołudnie, ale już przecznicę dalej należy zakryć kevlarem każdy centymetr kwadratowy ciała, bo są spore szanse, że ktoś cię postrzeli. Tam właśnie chciała się dostać. Jej mózg działał w taki sposób, że odgłosy wystrzałów przyciągały ją zamiast odpychać – podobnie jak jej siostrę.

Kiedy pracowała w innym wydziale, zwolniło się miejsce w Wydziale Narkotyków i Dochodzeń Specjalnych. Zgłosiła się tam. Jej przebieg służby był nieskazitelny, nie miała ani jednego spóźnienia, więc zrobiła wrażenie na komisji rekrutacyjnej i dostała tę pracę. Pracowała w Oddziale Mobilnym ds. Obyczajowych 4D, który w międzyczasie zmienił nazwę na Jednostkę ds. Misji Zogniskowanych, co jej zdaniem brzmiało zdecydowanie mniej fajnie.

Zaczęła wypady w cywilu, kręcąc się po mieście w poszukiwaniu dealerów, a kiedy się na nich natknęła – ujawniała się i aresztowała, ilu tylko się dało. W niektórych częściach Waszyngtonu nie sposób było na nich nie trafić. Mogła zgarnąć, ilu tylko chciała – ograniczało ją jedynie to, ile papierkowej roboty i nadgodzin spędzonych w sądzie była

w stanie wytrzymać.

Zacząła od ścigania ulicznych dealerów, którzy zarabiali dwa tysiące dziennie, sprzedając narkotyki z ręki do ręki. Oczywiście, były to płotki - ale strzelały do ludzi. Do tego dochodziły jeszcze zdrapki. Obserwowani mogli sprawdzać torebkę z crackiem lub kupon loterii - wykonywany przy tym ruch ręki był niemal identyczny w obu przypadkach, a tam, gdzie pracowała Mace, sprzedawano dużo kuponów. Stała się w tym jednak tak dobra, że z odległości dwudziestu stóp potrafiła rozpoznać po ruchu palca wskazującego, czy ma do czynienia z dealerem, czy z graczem na loterii. Później pracowała pod przykrywką w piekle narkotyków i morderstw w szóstej i siódmej dzielnicy. To tam zaczęły się wszystkie problemy. To dlatego pozbawiono ją dwóch lat życia.

Mace pędziła przez kolejne ulice ciesząc się pierwszym dniem na wolności od niemal dwudziestu czterech miesięcy. Jej ciemne włosy wystające spod kasku wyścigowego rozwiewały się, kiedy szybko przemieszczała się z samotnej fortecy, w jaką zamieniono dom jej siostry, mieszczącej się w dość porządnej i bezpiecznej dzielnicy, przez okolice, gdzie walka o dominację pomiędzy policjantami i bandytami jeszcze się nie rozstrzygnęła, w rejon, gdzie nie postąpiła noga żadnego funkcjonariusza.

Według policyjnego podziału administracyjnego był to Okręg Szósty, czyli O6. Gdyby Mace dostawała sto dolarów za każdym razem, kiedy widziała ćpunów naszprycowanych PCP biegających tu nago po ulicach, nie musiałaby się martwić utratą policyjnej pensji. W niektórych częściach O6 całe kwartały ulic składały się z zabitych deskami domów, ruin i wraków samochodów. W nocy coś złego działo się praktycznie na każdym rogu, a odgłosy strzałów były tu równie powszechne jak bzyczenie komarów.

Uczciwi, ciężko pracujący obywatele - czyli większość mieszkańców tej dzielnicy - nie wyściubiali wtedy nosa z domów.

Nawet w świetle dnia idący ulicami ludzie ukradkiem rozglądali się wokół siebie, jakby wiedzieli, że mogą zmierzać w ich stronę naboje typu stinger wystrzelone z niklowanych glocków ze spiłowanymi numerami seryjnymi lub pociski grzybujące z dziewiczych pistoletów, szukające swej pierwszej ofiary. Nawet powietrze zdawało się tu cuchnąć, a światło słońca przesłaniała warstwa beznadziei równie gruba jak chmury dwutlenku węgla niszczące resztki warstwy ozonowej.

Mace zwolniła i zaczęła przyglądać się przechodniom. Liczba zabójstw w Waszyngtonie drastycznie spadła od przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych - czasów krwawego panowania młodych bossów mafii narkotykowych, wzbogaconych na handlu crackiem i kokainą. W tamtym okresie ginęła średnio jedna osoba dziennie, każdego dnia w roku nie wyłączając niedziel. Obecnie każdego roku niemal dwustu zmarłych płci męskiej - głównie młodych Afroamerykanów - wymagało badań w celu stwierdzenia przyczyny śmierci, co oznaczało, że przemoc bynajmniej nie ustała. Mieszkający tu ludzie pragnęli szacunku i wydawało im się, że zapewni im go jedynie broń kalibru 9 mm. Może zresztą mieli rację.

Zatrzymała motocykl, zdjęła kask i wygładziła naelektryzowane włosy. Przyjeżdżanie w takie miejsce na wypasionym motocyklu nie było rozsądne o żadnej porze, szczególnie dla osób takich jak Mace - białych i nieuzbrojonych. Nikt się jej jednak nie naprzykrzał, nikt nawet do niej nie podszedł. Może doszli do wniosku, że biała kobieta, która samotnie przyjechała na ducati, musi być szurnięta i może w każdej chwili wysadzić się w powietrze jak jakiś zamachowiec-sa-mobójca.

- Ej, Mace! To ty?

Odwróciła się na siodełku i spojrzała za siebie.

W jej stronę szedł niski, chudy jak szczapa mężczyzna z ogoloną głową. Na nogach miał warte dwieście dolarów adidasy sygnowane przez LeBrona Jamesa, pozbawione sznurowadeł.

- Eddie?

Podszedł i przyjrzał się motocyklowi.

- Niezła sztuka. Słyszałem, że siedzisz.

- Wyszłam.

- Kiedy?

- Jakies pięć sekund temu.

- Ano tak, dostałaś tylko dwójkę, cienias z ciebie. - Roześmiał się z wygłoszonej obelgi.

- Zgadza się, tylko dwa lata. Nie jestem prawdziwym twardzielem tylko cieniasem.

- Mój braciszek odsiedział już dziesięć, a ma dopiero dwadzieścia pięć lat. I nie wsadził go sąd rodzinny, co to, to nie. On jest prawdziwym hardcorowcem - dodał z dumą.

- Ilu ludzi zabił?

- Dwóch. Ale obaj byli dupkami i zasłużyli sobie na to.

- Pewnie tak. Cóż, mnie dwa lata wystarczyły aż nadto.

Eddie pogłaskał ducati po baku i wyszczerzył w uśmiechu zęby, tak białe i proste, że Mace pomyślała, iż musiał dostać spory rabat na implanty - zapewne wymienił na nie jakieś leki na receptę. Rozmowa z oficerem policji, nawet byłym, nie była tu dobrze widziana, ale Eddie był tylko płotką, drobnym cwaniaczkiem. Nie był szczególnie bystry, nie miał żadnych znajomości, a najcięższym przestępstwem, jakie udało mu się popełnić, była detaliczna sprzedaż na ulicy przetworzonej marihuany, kilku działek cracku i kradzionych pigułek

oksykodonu. Grube ryby o tym wiedziały, zdawały sobie też sprawę, że Eddie nie dysponuje żadnymi informacjami o ich działaniach, które mogłyby sprzedać policji. Mimo wszystko Mace była zdziwiona, że wciąż żyje. Słabszych i nierozgarniętych zwykle pozbywano się stąd bardzo skutecznie. Może więc miał mocniejszą pozycję, niż jej się wydawało - a w takim przypadku mógł być dla niej przydatny.

- W dzielnicy po staremu?

- Pewne rzeczy się nie zmieniają, Mace. Ludzie przychodzą i odchodzą. Wiesz, jak to jest.

- Wiem, że ktoś mnie zrobił.

Uśmiech mężczyzny zniknął.

- Nic o tym nie wiem.

- Ty nie, ale może znasz kogoś, kto wie.

- Dziewczyno, przecież już wyszłaś. Nie ma co oglądać się za siebie. Możesz zobaczyć coś, czego wolałabyś nie widzieć. Poza tym twoja siostra kazała swoim chłopcom przeczesać ten teren. Cholera, przecież byli tu nie dalej jak tydzień temu.

- Byli tu? Co robili?

- Zadawali pytania, jak to zespół do spraw badania miejsca zbrodni. Fajnie jest mieć w rodzinie komendanta policji. Wtedy sprawy nigdy się nie przedawniają. Ale założę się, że i tak nie ma lekko. Nikt nie kocha wysokich rangą gliniarzy, Mace.

- Co rozumiesz przez to, że nie ma lekko?

- A skąd mam wiedzieć? Ja tylko łązę po ulicy.

- Jej ludzie z tobą rozmawiali?

Pokiwał głową.

- Powiedziałem im prawdę, że nic o niczym nie wiem. - Znów poklepał bak ducati. - Hej, dasz się przejechać?

Zdjęła jego rękę z motocykla.

- Eddie, jest takie stare przysłowie: żeby iść naprzód, musisz się cofnąć.

- Ten, co je wymyślił, na pewno nie był stąd.

Przyjrzała się jego kurtce, zauważyła, jak przyciska do siebie lewy łokieć i jak nieznacznie się odchyła pod wpływem niesionego w kieszeni ciężaru.

- Brachu, jeśli chcesz nosić broń tak, żeby gliniarze się nie skapnęli, musisz się nauczyć chodzić bardziej prosto i rozluźnić ramię.

Eddie spojrzał na swoją lewą kieszeń, a później znów na Mace i się uśmiechnął.

- Muszę mieć coś do obrony.

- Jakbyś się czegoś dowiedział, daj mi znać.

- Mhm - mruknął Eddie, nie pokazując implantów.

Mace przejechała przez dzielnicę, przyciągając spojrzenia kolejnych ludzi siedzących na niewielkich werandach, zbitych w grupki na rogach ulic i wyglądających przez okno. Często się tutaj rozglądano, zwykle po to, by sprawdzić, dlaczego znów słychać policyjne syreny.

Pojechała na przejażdżkę nie tylko po to, by uczcić wyjście na wolność. Chciała też pokazać, że Mace Perry nie tylko przetrwała więzienie, ale i wróciła na swój teren - choć bez odznaki, broni i możliwości wezwania posiłków.

Martwiło ją to, co powiedział jej Eddie. Najwyraźniej Beth wciąż badała sprawę jeszcze długo po tym, jak Mace trafiła do więzienia, poświęcając na to skromne zasoby policji. Mace wiedziała, że przeciwnicy Beth chętnie posłużyliby się tym argumentem, by ją zaatakować. Jej siostra dość już dla niej zrobiła.

W końcu zawróciła i pojechała z powrotem w stronę domu.

Jeden z policjantów z obstawy przywołał ją, kiedy zbliżała się do barierki. Zatrzymała się i podniosła osłonę kasku.

- Tak? - powiedziała do młodego funkcjonariusza ostrzyżonego na jeża. Bez trudu poznała „jajo” - zwano tak nowicjuszy, na których trzeba było siedzieć, póki się nie wyklują.

Pamiętała swojego oficera szkoleniowego. Był weteranem, pracował bez pośpiechu, chciał tylko odbębnić swoją zmianę po linii najmniejszego oporu i spokojnie wrócić do domu. Jak wielu policjantów w tamtym okresie nie pochwałał faktu, że na patrole jeżdżą kobiety i wprowadził proste zasady: nie dotykaj radia, nie prosz, żeby dać ci prowadzić i nie marudź, kiedy jedzie się na, jak to nazywali policjanci, miejscówkę. Był to punkt zborny, zwykle na jakimś parkingu, gdzie zjeżdżały się radiowozy, a funkcjonariusze wypoczywali, drzemali, słuchali muzyki lub odwalali papierkową robotę. Najważniejsza zasada oficera szkoleniowego brzmiała zaś: „Zamknij się, do cholery!”.

Znosiła jazdę z nim podczas patroli przez miesiąc, później została „wypisana” przez sierżanta i uzyskała prawo do poruszania się samodzielnie. Od tego dnia sygnał wywoławczy Mace brzmiał 10-99, co oznaczało oficera policji samodzielnie pełniącego służbę.

- Rozumiem, że jest pani siostrą pani komendant?

- Zgadza się.

- Była pani w więzieniu?

- Znów się zgadza. Masz jeszcze jakieś osobiste pytania, czy dwa ci wystarczą?

Mężczyzna zrobił krok w tył.

- Proszę pani, tylko się zastanawiałem.

- Zastanawiałeś się? A ja się zastanawiam, co taki młody ogier robi przestawiając bariery? Powinieneś biegać, machać

pistoletem, zamykać złoczyńców i robić nadgodziny w sądzie, żeby było cię stać na nowy telewizor albo ładne błyskotki dla twojej pani.

- Rozumiem. Proszę, niech pani szepnie o mnie dobre słowo pani komendant.

- Ona tego nie potrzebuje. Lubisz być gliną?

- Dopóki nie trafi się coś lepszego.

Mace poczuła ucisk w żołądku. Ona oddałaby wszystko, by znów trafić na służbę.

Policjant zakręcił w rękach czapkę i uśmiechnął się do niej, zapewne myśląc nad kolejną głupią odzywką. Mace powiedziała przez zaciśnięte zęby:

- Dam ci radę. Nigdy nie zdejmuj czapki, kiedy masz służbę w obstawie.

Mężczyzna przestał obracać czapkę i spojrzał na nią.

- A to dlaczego?

- Z tego samego powodu, dla którego nie wolno jej zdejmować śledząc podejrzanego. To jedna z rzeczy, które mogą ci utrudnić wyciągnięcie pistoletu, gdyby coś poszło nie tak. *Jajo.*

Podwójnie wysprzęgliła, poderwała tylne koło przejeżdżając tuż obok stopy uskakującego mężczyzny i z rykiem wjechała do garażu.

8

Siostra czekała na nią w kuchni. Miała na sobie świeżo wyprany mundur, a na stole przed nią piętrzył się stos dokumentów.

- Praca domowa? - spytała Mace.

- Informacje o przebiegu dnia, raport o zabójstwach, prasówka, informacje na wewnętrzne spotkanie oficerów operacyjnych. To, co zwykle.

- Jesteś świetnym komendantem - stwierdziła Mace, drapiąc za uszami Ślepaka, który obwąchiwał kostki jej nóg.

- Jak przejażdżka?

- Mniej pouczająca, niż się spodziewałam.

- Miałam nadzieję, że mnie rozczarujesz i nie wrócisz do O6.

- Wybacz, że cię nie rozczarowałam. - Mace dołała sobie kawy i usiadła przy stole. - Widziałam się z Eddiem Minorem.

- Kto to?

- Płotka - odpowiedziała Mace. - Twierdzi, że jeszcze w zeszłym tygodniu twoi ludzie zadawali pytania związane z moją sprawą.

Beth odłożyła trzymaną w rękach teczkę.

- No i?

- Wciąż nad nią pracujesz?

- Pracuję nad wszystkimi sprawami, które nie doczekały się sprawiedliwego zakończenia.

- Eddie twierdzi, że możesz przez to nadepnąć na odcisk jakimś

szychom.

- Daj spokój. Wierzysz w analizę waszyngtońskiej polityki dokonaną przez płotkę?

- A więc to sprawa polityczna?

- Zapomniałam, że bierzesz wszystko dosłownie.

- To dlatego wzmocniono ochronę?

- Co masz na myśli?

- Naprzykrzają ci się, bo nie chcesz odpuścić tego śledztwa?

- Jeśli jakieś szychy w tym mieście sądzą, że zbyt gorliwie badam twoją sprawę, na pewno nie zlecą mojego zabójstwa. Mogą się posłużyć innymi metodami.

- Więc po co ta obstawa?

- Liczba kierowanych do mnie pogróżek nieco wzrosła. Niektóre z nich są wiarygodne, więc trzeba było przyjąć dodatkowe środki ostrożności. Nie podoba mi się to, ale muszę z tym żyć.

- Od kogo są te wiarygodne pogróżki?

- Nie przejmuj się tym. Chciałabym dostawać dolara za każdym razem, kiedy mi grozili przez te wszystkie lata.

- Wystarczy, żeby udało się jednemu, Beth.

- Pilnuje mnie mnóstwo osób.

- Od dziś będzie o jedną więcej.

- Nie! Skup się na sobie.

- Beth.

- Skup się na sobie.

- No dobrze. Jakie mam możliwości? - spytała Mace bez ogródek.

- Niewielkie.

- Nie to chciałam usłyszeć.

Beth odchyliła się na krześle, szybko wystukując coś na swoim

BlackBerry.

- Zostałaś skazana za przestępstwo z użyciem broni palnej, a teraz jesteś na zwolnieniu warunkowym. Rzecz jasna, po czymś takim nie możesz wrócić do policji.

- Ktoś mnie porwał, podawał mi koktajle z metamfetaminy zmieszanej z Bóg wie czym jeszcze i zmusił mnie do uczestnictwa w napadzie z bronią w rękę, kiedy sama nie wiedziałam, jak się nazywam.

- Ty to wiesz, ja też, ale sąd był innego zdania.

- Bo nadgorliwa pani prokurator, która miała z nami na pieńku, zrobiła sędziemu i przysięgłym wodę z mózgu.

- Ta nadgorliwa pani prokurator kieruje teraz biurem okręgowym.

Mace zbladła.

- Co takiego?

- Miesiąc temu prokurator generalny mianował Monę Danforth na tymczasowego prokuratora okręgowego dla Dystryktu Kolumbii.

- Na prokuratora okręgowego? To dawne stanowisko taty!

- Zgadza się - stwierdziła Beth z obrzydzeniem.

- Mianował ją prokurator generalny? Myślałam, że kandydatów wybiera prezydent, a zatwierdza Senat.

- Prokurator generalny miał prawo mianować Monę na sto dwadzieścia dni. Jeśli w tym czasie prezydent nie przedstawi ostatecznego kandydata zaaprobowanego przez Senat, prawo mianowania przechodzi na sąd okręgowy. Problem w tym, że i prokurator generalny, i prezydent, i wszyscy w sądzie okręgowym przepadają za Moną, więc, tak czy inaczej, jest murowaną kandydatką. Myślę, że prezydent mianuje ją oficjalnie lada dzień, a z tego co wiem, potwierdzenie kandydatury przez

Senat będzie formalnością.

- Nie wierzę, że ta kobieta prowadzi największą prokuraturę okręgową w kraju. To najbardziej pozbawiony skrupułów prawnik, jakiego znam.

- Wciąż narzeka, że udało ci się zawrzeć ugodę, bo masz układy
- oczywiście chodzi jej o mnie. A gdyby nie udało nam się złagodzić kary, pewnie przechwalałaby się zamiast marudzić.

- To ona powinna trafić do więzienia. Ile razy przymykała oczy na fabrykowanie dowodów lub gubienie tych, które jej nie pasowały? Ile razy słuchała, jak świadkowie popełniają krzywoprzysięstwo, recytując kwestie, które dla nich napisała?

Beth wsunęła BlackBerry do kieszeni.

- Trzeba dowodów, siostrzyczko. Słowa nic nie pomogą. Ta kobieta ma w kieszeni wszystkich, których potrzebuje, by dotrzeć na szczyt.

Mace zakryła twarz dłońmi i jęknęła.

- To musi się dziać w jakimś równoległym świecie, w którym Superman jest złoczyńcą. Jak mogę się z niego wydostać?

- Nie możesz. Musisz się nauczyć sobie z tym radzić.

Mace popatrzyła na siostrę przez przerwę pomiędzy palcami.

- A więc źródłem tych nacisków politycznych na ciebie są Mona i obłąkane szychy, które ją popierają?

- Mona nigdy szczególnie za mną nie przepadała.

- Przyjmuję to jako zdecydowane potwierdzenie.

- Radzę sobie z tym.

- Ale byłoby lepiej, gdybyś przestała szukać tego, kto mnie wrobił.

- Lepiej dla kogo? Dla tych bandytów czy dla Mony? Nie zależy mi ani na nich, ani na niej. Nie ma przepisów, które zabraniałyby prowadzenia śledztwa w sprawie przestępstw. A jeśli nam się

poszczęści i przyskrzynimy tych drani, odzyskasz dobre imię, dostaniesz oficjalne przeprosiny i wrócisz do służby.

- Kto miałby mnie przeproszać? Mona?

- Lepiej się na to nie nastawiaj.

- No dobra, mówiłyśmy o możliwościach.

- Nie możesz zajmować się niczym, co wymaga poświadczenia bezpieczeństwa. W tym mieście zamyka ci to wiele dróg, a sytuacja na rynku pracy jest ogólnie niewesoła.

- Jeśli usiłujesz podnieść mnie na duchu, lepiej przestań, zanim dźgnę się w serce widelcem. Nawet zastrzelić się nie mogę, bo nie wolno mi posiadać broni.

- Chciałaś omówić możliwości. Przedstawiam ci je.

- Póki co nie słyszałam ani słowa o możliwościach. Mówiłaś tylko o tym, czego mi nie wolno.

Beth podała siostrze kartkę papieru.

- Może mogłabyś zająć się tym.

Mace przeczytała kartkę.

- Doktor Abraham Altman? Pamiętam go.

- A on ciebie. Niewielu wykładowcom uniwersyteckim udaje się zadrzeć z jednym z najgroźniejszych gangów narkotykowych z Oddziału Dziewiątego.

- Zgadza się. To miły gość. Robił jakieś badania nad życiem w mieście. Załodze HF-12 się to nie podobało i wpadli na uniwersytet w Georgetown, żeby ustawić go do pionu.

- A wtedy ty wkroczyłaś do akcji i ocaliłaś mu skórę.

- Utrzymałaś z nim kontakt?

- Dawałam gościnnie wykłady z postępowania karnego w Georgetown, kiedy ty byłaś w Zachodniej Wirginii. Odnowiliśmy wtedy znajomość.

- A co to dla mnie oznacza?

- Doktor szuka asystenta do badań.

Mace wbiła wzrok w siostrę.

- Beth, ale ja nawet nie skończyłam studiów. Całe moje wykształcenie pomaturalne to szesnaście tygodni spędzonych w akademii policyjnej, więc nie jestem chyba idealną kandydatką na to stanowisko.

- Altman bada życie w mieście, szczególnie w zubożałych i nękanym przestępczością dzielnicach Waszyngtonu. Nie sądzę, by ktokolwiek miał lepsze kwalifikacje do pomocy w takich badaniach niż ty. Poza tym dostał na swój projekt duży grant federalny i dobrze by ci płacił. Ma być w domu dziś wieczorem. Postaraj się wpaść do niego koło siódmej.

- Załatwiłaś to wszystko?

- W gruncie rzeczy tylko zasugerowałam to Altmanowi. I tak był twoim drugim największym fanem.

Mace przez chwilę myślała nad słowami siostry.

- Największym jesteś ty?

Beth wstała.

- Muszę lecieć. Mam przesłuchanie w sprawie.

Zabrzączał jej telefon komórkowy. Odebrała, wysłuchała tego, co powiedział jej rozmówca i się rozłączyła.

- Zmiana planów.

- Co się stało?

- Właśnie dostałam informację, że jakaś ważna pani adwokat wypadła z lodówki we własnej kancelarii. Wezwano karawan. Sprawca ulotnił się już dawno.

Mace wyczekująco spojrzała na siostrę.

- Co? - spytała Beth.

- Nie mam nic do roboty.

- Zrelaksuj się i prześpij w prawdziwym łóżku. W zamrażarce są

lody. Spróbuj nabrać trochę ciała.

- Nie jestem zmęczona, ani głodna - w każdym razie nie jedzenia.

- Chcesz się wybrać na miejsce zbrodni?

- Dzięki, Beth. Pojadę za tobą na motorze.

- Czekał no, wcale się nie zgodziłam.

- Założyłam, że tak.

- Nigdy niczego nie zakładaj z góry, Mace. Tego jednego nauczył nas tata.

- Obiecuję, że nie będę przeszkadzać. Ja po prostu... tęsknię za tym, Beth.

- Mace, przepraszam, ale nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

Mace przerwała siostrze.

- Dobra, nieważne, masz rację. Pójdę się zdrzemnąć, zjem lody i postaram się nie umrzeć z nadmiaru emocji.

Odeszła od stołu z opuszczoną głową i skulonymi ramionami.

- No dobrze, możesz ze mną pojechać - niechętnie zgodziła się Beth. - Ale trzymaj buzię na kłódkę. Masz być niewidzialna, jasne?

Mace nie odpowiedziała; biegła już do motocykla.

- I przestań się mazgaić! - krzyknęła za nią Beth.

9

Roy Kingman wpakował piłkę do kosza na drzwiach trzydzieści jeden razy pod rząd. Biuro wypełniło się policjantami w kilka minut po tym, jak zadzwonił pod 911. Wciąż wydawało mu się niemożliwe, że poszedł zrobić sobie kawy, otworzył lodówkę i złapał wypadające ciało Diane Tolliver. Mnóstwo ludzi, niektórzy umundurowani, inni nie, zadawało mu masę pytań. Kiedy inni prawnicy przyszli do pracy, szybko rozniosły się wieści o tym, co zaszło. Wpadło do niego kilku wspólników i współpracowników, by wesprzeć go na duchu i złożyć wyrazy współczucia, zaskoczenia i obaw. Wydawało mu się nawet, że jeden z adwokatów o coś go podejrzewa.

Policjanci odmawiali udzielenia mu informacji. Nie wiedział, od jak dawna Diane nie żyje i jaka była przyczyna jej śmierci. Nie miała ran ani śladów krwi w żadnym widocznym miejscu. Choć w czasie pracy jako obrońca z urzędu naoglądał się zdjęć z sekcji zwłok, nie był ekspertem od gwałtownej śmierci.

Popatrzył na swoje biurko zavalone sprawami, którymi miał się zająć, a później odwrócił wzrok. Nie dzisiaj. Klienci mogli poczekać. Nie był najbliższym przyjacielem Diane Tolliver, ale pracował z nią i ją lubił. Wiele go nauczyła. A później ktoś ją zabił i wepchnął do lodówki obok pojemnika ze zleżałą sałatką ziemniaczaną.

Obrócił w palcach małą, gumową piłkę, odchylił ramię i płynnym ruchem wykonał rzut. Piłka poszybowała prosto w stronę obręczy – ale otworzyły się drzwi i zamiast wpaść do kosza uderzyła w głowę Beth Perry, która podniosła ją i rzuciła z powrotem prawnikowi. Roy wstał z krzesła, otwierając usta, kiedy zauważył cztery gwiazdki. Szczerze mówiąc, nie potrzebował ich, by ją rozpoznać. Komendant policji Dystryktu Kolumbii była często obecna w mediach.

Za nią weszło do pokoju mnóstwo osób, a ostatnia z nich – Mace, która robiła, co mogła, by wtopić się w tłum – zamknęła drzwi. Beth przedstawiła siebie i część ludzi, którzy z nią przyszli. Przesłuchiwała już kilka osób i obejrzała ciało. Poza Royem nie było żadnych świadków, a przynajmniej żadnych dotąd nie znaleziono. Ratownicy medyczni wstępnie stwierdzili zgon, a na miejsce jechał już lekarz, który miał go oficjalnie potwierdzić.

Dwaj detektywi notowali, kiedy pani komendant rozmawiała z Royem o wydarzeniach poranka i o tym, co wiedział o zmarłej. Zadawała konkretne pytania i działała bardzo dokładnie. Nie był to przypadek – przepracowała w wydziale zabójstw dwa lata.

Roy w końcu spytał:

- Czy zawsze sama zajmuje się pani przesłuchiwaniami? Myślałem, że poluje pani na grubsze ryby – po czym pośpiesznie dodał – mówiłem to z całym szacunkiem.

Stojąca w kącie pokoju Mace uśmiechnęła się słysząc tę uwagę – podobnie jak Beth.

- Lubię trzymać rękę na pulsie – wyjaśniła pani komendant, po czym spytała:

- Był pan obrońcą z urzędu?

- Zgadza się.

- Źle się pan czuł w tej pracy?

- Tutaj czuję się lepiej.
- Nie zna pan żadnych powodów, dla których ktoś mógł chcieć skrzywdzić Diane Tolliver?
- Nic nie przychodzi mi do głowy. Nie była zameżna. Czasami umawiała się na randki, ale to nie było nic poważnego, a przynajmniej o niczym takim nie wspominała.
- Czy sądzi pan, że rozmawiałaby z panem o takich sprawach?
- Zapewne nie - przyznał.
- Czy umówił się pan z nią na jedną z tych niepoważnych randek?
- Nie. Nic takiego między nami nie zaszło. Była, no cóż, znacznie ode mnie starsza.
- Miała czterdzieści siedem lat.
- Tak. A ja właśnie kończę trzydzieści.
- Rozumiem. Proszę mówić dalej.
- Zajmowała się głównie sprawami dużych firm, w większości zagranicznych. Dużo podróżowała. Ja zresztą też. Nigdy nie mówiła mi o żadnych problemach.
- Czy podróżowali państwo razem?
- Czasami tak.
- Na przykład dokąd?
- Nasza kancelaria ma biura w Londynie i w Dubaju.
- Biuro w Dubaju?
- Jest tam dużo pieniędzy i możliwości rozwoju. I potrzebują prawników.
- Czy często pracowała do późna?
- Czasami. Mnie też się to zdarza.
- Czy siedzieliście kiedyś razem po godzinach?
- Kilka razy.
- Czy dziś rano, kiedy przyjechał pan około siódmej trzydzieści,

był pan pierwszy?

- Tak. Nikogo innego nie zauważyłem.

- Czy biuro posiada system bezpieczeństwa?

- Tak. Każde z nas ma kartę wstępu, więc będzie pani mogła dokładnie sprawdzić, kiedy Diane weszła do środka.

- I kiedy wszedł pan - dobiegł głos.

Wszyscy odwrócili się, by spojrzeć na Mace, która zaczęła wyglądać na zawstydzoną, kiedy tylko skończyła mówić. Jej siostra zmarszczyła brwi i odwróciła się z powrotem do Roya, który wciąż wbijał wzrok w Mace, ściskając w dłoni gumową piłkę.

- Czy wychodząc po godzinach pracy też trzeba posługiwać się kartą? - spytała Beth.

- Nie, wystarczy nacisnąć przycisk otwierający drzwi.

- A w godzinach pracy system bezpieczeństwa jest, rzecz jasna, wyłączony?

- Zgadza się - potwierdził Roy.

- Winda w garażu nie wymaga karty dostępu?

- Zgadza się, ale trzeba się nią posłużyć, by dostać się do garażu.

- Jeśli wjeżdża się samochodem.

- Tak, wiem, to luka w zabezpieczeniach.

- Poważna luka - stwierdziła Beth, uważnie przyglądając się Royowi. Mężczyzna zaczął się wiercić.

- Czy jestem podejrzanym?

- Tylko zbieramy informacje.

Twarz prawnika poczerwieniała.

- To ja zadzwoniłem pod 911. To ja złapałem to cholerne ciało. Chciałem tylko zrobić sobie kawy. I nie miałem żadnego powodu, by ją zabić.

- Panie Kingman, wybiegamy zdecydowanie zbyt daleko naprzód. Proszę się uspokoić.

Roy wziął głęboki oddech.

- Dobrze. Czy ma pani jeszcze jakieś pytania?

- Nie, ale jestem pewna, że moi detektywi będą chcieli później zadać panu kolejne. Mam nadzieję, że nie ma pan w najbliższych planach podróży do Dubaju? - Beth nie uśmiechała się, zadając to pytanie.

- Nie, nie sędzę.

Beth wstała z krzesła.

- Znakomicie. I niech tak zostanie. Będziemy w kontakcie.

Przybysze wyszli z pokoju i zniknęli w korytarzu. W środku została tylko Mace. Roy spojrział na nią.

- Czy mogę w czymś pani pomóc?

- Nie wiem. Zabił ją pan?

Prawnik stanął nad kobietą, górując nad nią wzrostem.

- Czy pani jest z policji?

- Nie, włączę się tylko za nimi dla zabawy.

- Uważa pani morderstwo za zabawne? Czy pani jest chora?

- Jeśli patrzeć na to w ten sposób, chyba tak.

- Mam dużo pracy - powiedział, wskazując wzrokiem drzwi. Mace, zamiast wyjść, wyjęła mu z ręki piłkę, odwróciła się i jednym ruchem wcelowała do kosza tak, że piłka nawet nie dotknęła obręczy.

- Niezła technika - stwierdził Roy.

- Grałam w drużynie mojego liceum. Kiedy byłam w klasie maturalnej, zdobyłyśmy mistrzostwo stanu.

Przyjrzał się jej.

- Niech zgadnę, była pani rozgrywającą, która poświęcała wszystko dla gry, zdobywała masę punktów, ale była też świetna

w obronie, a czasem zdarzało jej się popełniać ewidentne faule tylko po to, by pokazać przeciwnej drużynie, kto tu rządzi?

- Jestem pod wrażeniem.

- Ja nie.

- Co takiego?

- Przed chwilą oskarżyła mnie pani o morderstwo. Więc teraz proszę się wynosić z mojego biura.

- Dobrze, już idę.

- To najlepsza wiadomość, jaką dzisiaj usłyszałem.

10

Miejska komenda policji w Waszyngtonie mieściła się przy Indiana Avenue, niedaleko budynku stanowego Sądu Najwyższego. Została nazwana na cześć Henry'ego J. Daly'ego, sierżanta z wydziału zabójstw, który po dwudziestu ośmiu latach nienagannej służby zginął w tym budynku od kuli napastnika. Komenda miała wiele pięter, przewijało się przez nią mnóstwo ludzi w mundurach i mnóstwo nieumundurowanych osób, które czekały na rozprawę w pobliskim sądzie lub spędzały chwilę wolnego czasu z przyjaciółmi i krewnymi. W budynku mieściły się także biura do spraw zwolnień warunkowych i wydział komunikacji, co gwarantowało, że żadna z przychodzących tam osób nie cieszyła się szczególnie ze swej wizyty.

Biuro komendanta znajdowało się w zabezpieczonej strefie, za licznymi drzwiami i boksami, w których siedzieli ludzie przychodzący do pracy z bronią. Mieściło się w rogu budynku, a dostępu do niego strzegł zamek szyfrowy. Duże pomieszczenie ozdabiały ładne sztukaterie i oświetlały dwa okna. Na ciągnących się przez całą ścianę półkach stały okolicznościowe kubki i czapki, wypchane zwierzęta oraz stosy gazet i oficjalnych sprawozdań. Przed jednym z okien wisiała amerykańska flaga. W biurze był także mały kącik z szachami ustawionymi na stoliku do kawy. Na jednej ze ścian wisiał na wysięgniku telewizor

plazmowy. W pokoju było też duże drewniane biurko, na którym czas odcisnął swoje piętno – jego powierzchnia była zszpecona licznymi śladami po kubkach z kawą i zapewne zniosła setki gniewnych uderzeń pięścią.

Beth siedziała po stronie przeznaczonej dla szefa, a Mace naprzeciw niej.

- Zaufałam ci i pozwoliłam ci jechać ze mną – powiedziała Beth, wpatrując się w sterty akt i wiadomości z automatycznej sekretarki piętrzące się na biurku. - Najwyraźniej popełniłam błąd wierząc, że zdołasz siedzieć cicho i się nie wtrącać. Nie wiem, jak mogłam to zrobić, skoro ta historia powtórzyła się przedtem kilka tysięcy razy.

- Wyrwało mi się. Przepraszam.

Beth wskazała na stos wiadomości.

- Twoja wyrywność zwróciła na siebie uwagę. Burmistrz już spytał, dlaczego niedawno zwolniony z więzienia przestępca uzyskał dostęp do miejsca zbrodni, a fakt, że jesteś moją siostrą, nie ma tu znaczenia.

- Naprawdę mi przykro, Beth. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam.

- Już dobrze, tylko pojedź dziś wieczorem spotkać się z Altmanem i podejmij pracę.

- Czy wciąż pracuje na uniwersytecie w Georgetown? Dałaś mi adres w dzielnicy McLean.

- Jest na urlopie naukowym, to jego adres domowy.

- W McLean? To bogata dzielnica. Najwyraźniej wykładowcy zaczęli lepiej zarabiać.

- Jak to, nie wiesz?

- O czym?

- Altman jest jedną z najzamożniejszych osób w Waszyngtonie i okolicach.

- Jak zarobił tyle pieniędzy?

- Nie zarobił ich.

Mace wbiła w siostrę zdziwione spojrzenie.

- Co takiego?

- Byłaś całkiem niezłym detektywem. Domyślisz się - stwierdziła Beth, po czym dodała wskazując na drzwi - A teraz zmykaj, muszę przez jakiś czas pobawić się w komendanta policji.

Mace skierowała się w stronę drzwi, ale odwróciła się po drodze.

- Przepraszam za to dzisiaj, siostrzyczko.

Beth się uśmiechnęła.

- Gdyby to było moje jedyne zmartwienie, miałabym bardzo dobry dzień.

- Co z Moną i burmistrzem?

- Burmistrz to dobry człowiek, uda mi się z nim dogadać.

- A Mona?

- Mona niech się pieprzy.

Zabezpieczone drzwi się otworzyły i do środka zajrzała asystentka Beth, porucznik Donna Pierce.

- Pani komendant, przyszli na spotkanie.

- Wpuść ich do środka.

Drzwi otworzyły się szerzej i do biura wszedł siwy mężczyzna ubrany w skrojony na miarę prążkowany garnitur, a za nim człowiek w workowatym szarym garniturze, który mocno utykał, a w prawej ręce niósł wypchaną teczkę.

Siwowłosy dżentelmen wyciągnął rękę.

- Zbyt długo się nie widzieliśmy, Beth.

- Jestem zabiegana, Sam.

- Dzień dobry, pani komendant - powiedział Jarvis Burns, mężczyzna w workowatym garniturze.

- Zdaje się, że żaden z was nie zna mojej siostry, Mace. Mace, to panowie Sam Donnelly i Jarvis Burns.

Donnelly przyjrzał się Mace badawczo.

- Doprawdy, dziwię się, że nie spotkaliśmy się wcześniej.

- Nie było mnie przez jakiś czas.

- Wiem. To, co panią spotkało, było efektem nadużyć prokuratora - stwierdził, po czym pospiesznie dodał - to moja osobista opinia. Nieoficjalna.

- Wiemy, że prezydent uwielbia Monę - stwierdziła Beth z niechęcią.

- A ja służę mu, jak mogę - dodał Donnelly.

Kiedy Mace popatrzyła na niego pytająco, Beth wyjaśniła:

- Sam jest dyrektorem Krajowej Agencji Wywiadu.

- Tak, ale to Jarvis odwala całą brudną robotę - wtrącił Donnelly.

- Ja tylko staram się zgrać wszystko razem.

- W takim razie zostawię panów z Beth, żebyście mogli się tym zająć.

- Miło było panią poznać, Mace - stwierdził Donnelly, podczas gdy Burns otwierał teczkę, a później śledził kobietę wzrokiem aż do chwili, gdy zamknęły się za nią drzwi.

- Dopiero co wyszła, prawda? - spytał Donnelly, siadając przy niedużym stole konferencyjnym Beth.

- Zgadza się.

- Czy ma jakieś plany?

- Właśnie je obmyśla.

- Mam nadzieję, że wszystko się jej poukłada.

- Na pewno tak.

11

Kiedy Mace wyszła z komendy, dwóch policjantów z patrolu, jeden młodszy, drugi starszy stopniem, podziwiała jej motor.

- Niezłe cacko - stwierdził starszy, kiedy Mace wśliznęła się na siodełko.

- Owszem - odparła.

- Ducati? - spytał mężczyzna, patrząc na plakietkę z nazwą.

- Włoska maszyna, o której marzy się zawsze już po pierwszej jeździe.

Młodszy z mężczyzn przyjrzał się jej smukłej, umięśnionej sylwetce i ładnej twarzy, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie zabrałabyś mnie kiedyś na nocną przejażdżkę? Moglibyśmy śnić razem.

- Wracać na patrol i nie tracić czasu na rozmowy z byłymi więźniami! - Słowa te zabrzmiały tak ostro, że Mace i obaj policjanci podskoczyli. Kiedy Mace zobaczyła, kto je wypowiedział, instynktownie sięgnęła ręką w miejsce, gdzie dawniej trzymała broń.

Policjanci wyparowali, a kobieta podeszła bliżej.

Mona Danforth była ubrana, jak zwykle, w drogą dwuczęściową garsonkę od Armaniego, a o jej zgrabną nogę obijała się opaska teczka z aktami, wystarczająco duża, by pomieścić w sobie losy kilku przedmiotów jej zawodowych ambicji. Na domiar złego,

Mona była wysoka, wyjątkowo urocza i nie miała jeszcze czterdziestu lat. Mace musiała niechętnie przyznać, że sposób, w jaki jej blond włosy wiły się wokół jej łabędziej szyi zmiękczyłyby kolana większości mężczyzn. Długość jej nóg była mniej więcej równa wzrostowi Mace. Skończyła prawo na uniwersytecie w Stanford, gdzie, rzecz jasna, była redaktorką naczelną studenckiej gazety. Wyszła za sześćdziesięcioletniego multimilionera, który mieszkał w Nowym Jorku, dawał jej pieniądze na wszystko, czego mogła potrzebować i rzadko ją odwiedzał. Mieszkała w bajecznym apartamencie z tarasem na najwyższym piętrze budynku niedaleko Penn Quarter, który kupił jej mąż. Jej uroda, majątek i władza nie były jednak głównymi powodami, dla których Mace jej nienawidziła - choć z pewnością nie poprawiały sytuacji.

Mace wiedziała, że pozycja prokuratora okręgowego dla Dystryktu Kolumbii była tylko szczebelkiem w drabinie, po której wspinała się ta kobieta. Podobno Mona zaplanowała już całe swoje życie: krótki epizod jako prokurator okręgowy, później funkcja prokuratora generalnego, praca w sądzie apelacyjnym i wisienka na torcie - dożywotnie miejsce w federalnym Sądzie Najwyższym. Kiedy nie wygrywała spraw posługując się wszelkimi dostępnymi środkami, często naginając przy tym zasady tak, że pękały, zaskarbiała sobie sympatię polityków, których potrzebowała, by zaspokoić swą ambicję.

Była już na obiedzie w Białym Domu, i to dwukrotnie. Jej mąż usłójnie wspomógł kampanię wyborczą urzędującego prezydenta. Beth Perry, która dotarła na szczyt dzięki ciężkiej pracy oraz odwadze i zawsze trzymała się zasad, nie została zaproszona nawet raz. To wciąż bolało jej młodszą siostrę.

Mona przystanęła i spojrzała z góry na Mace, która siedziała na

siodełku ducati, trzymając w jednej ręce kask.

- Mój Boże - stwierdziła. - Wyglądasz fatalnie. Byłam pewna, że nie jesteś tak twarda, za jaką cię mieli, i okazuje się, że miałam rację. A przecież byłaś tylko w przedszkolu, przez dwa lata. Pomyśl, jaki kaszalot by się z ciebie zrobił, gdybyś odsiedziała tyle, ile ci się należało. Dwa lata za coś takiego to kpina. Na szczęście miałaś przy sobie starszą siostrę, która mogła potrzymać cię za spoconą rączkę.

Mace założyła kask i zapuściła silnik motocykla, po czym podniosła osłonę, by móc zmierzyć się wzrokiem z kobietą.

- Hej, Mona, nie było mnie przez dwadzieścia cztery miesiące, a ty jesteś dopiero prokuratorem okręgowym? Musisz szybciej bajerować polityków, złotko, zanim zbrzydniesz do reszty.

Mace wcisnęła sprzęgło i odjechała. Widziała w lusterku bocznym, jak pani Tymczasowy Prokurator się w nią wpatruje. Musiała przyznać sama przed sobą, że zachowała się głupio, ale w gruncie rzeczy się hamowała - tak naprawdę chciała znaleźć gdzieś rębak do drewna, wepchnąć Monę do środka i włączyć maszynę.

Miała jeszcze trochę czasu do spotkania z bogaczem Altmanem i dokładnie wiedziała, jak chce spędzić pierwszy dzień na wolności. Wrzuciła wysoki bieg. Jechała wzdłuż rzeki, a mewy pikowały, by wyciągnąć błyszczące śmieci z błotnistej Potomacu, przechylały skrzydła i znów wzbijały się do nieba. Pomniki oblewał blask ciepłego słońca. Turyści chodzili z mapami w dłoniach. Agenci służb specjalnych kręcili się przy Pennsylvania Avenue 1600 strzegąc prezydenta. Na Kapitolu członkowie Senatu i Izby Reprezentantów, całe rzesze pomocników i złotouści lobbyści wykonywali kroki skomplikowanego tańca, który prowadził kraj ku przepaści.

To miasto pod wieloma względami było chore, skorumpowane, irytujące, frustrujące i protekcyjne. Mimo to Mace nie zdołała powstrzymać uśmiechu, kiedy ducati przemknęło obok tramwaju turystycznego jeżdżącego po starówce, wiozącego grupę przybyszów, którzy z nabożnym podziwem przyglądali się pomnikom Jeffersona, Lincolna i Waszyngtona.

To jednak było jej miasto.

Mace Perry wróciła do domu.

12

Roy Kingman siedział w biurze głównego wspólnika. Było niewiele większe niż jego własne, ale miało widok na rzekę. Chester Ackerman był o kilkanaście centymetrów niższy od Roya i wyglądał na człowieka, który lubi dużo i dobrze zjeść. Miał wianuszek siwiejących włosów wokół okrągłej głowy i brodawkę na czubku nosa. Roy podejrzewał, że ma około pięćdziesięciu pięciu lat – i nagle zaczął się zastanawiać, dlaczego nie jest tego pewien.

Ackerman pracował najwięcej ze wszystkich w firmie. Roy wiedział, że zawsze jest ostry, twardy i wygadany. Dziś nie przejawiał żadnej z tych cech. Siedział naprzeciwko młodszego kolegi, twarz mu się pociła, ręce drżały, a jego głos był cichy i zachrypnięty. Kiwał głową z boku na bok.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że to się stało. I to tutaj!

– Uspokój się, Chester.

– Jak, do cholery, mam się uspokoić? O trzy pokoje od mojego biura popełniono morderstwo.

– Bada je policja, która zapewne już wpadła na jakiś ważny trop. Ackerman podniósł głowę i wbił w niego wzrok.

– No tak, ty tam pracowałeś, prawda?

– Gdzie?

- Z gliniarzami.

- Byłem obrońcą, więc w zasadzie staliśmy po przeciwnych stronach. Ale wiem, jak działa policja na miejscu zbrodni. A to bogate śródmieście, więc na pewno niczego sobie nie odpuszczą. Do cholery, sama pani komendant przyszła mnie przesłuchać.

- Jak myślisz, Roy, kto mógł to zrobić? - wyrzucił z siebie Ackerman. Wyglądał, jakby lada chwila miał dostać udaru. Roy odpowiedział:

- Nie mam pojęcia, kto mógł to zrobić. Pracowałem z Diane, ale słabo ją znałem. Ty byłeś z nią dość blisko, prawda?

- Nie, raczej nie. Nigdy nie opowiadała mi o swoim życiu osobistym.

- Rozmawiałeś z policją?

Ackerman wstał i wyjrzał przez okno, bawiąc się swoimi ulubionymi pasiastymi szelkami. Wyszły z mody jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, ale on albo tego nie zauważył, albo miał to gdzieś.

- Tak, zadali mi kilka pytań - odwrócił się twarzą do Roya. - I powiedziałem im to samo, co teraz mówię tobie. Jestem przerażony i nic nie wiem o tej cholernej sprawie.

- Wiesz, to mógł być przypadek.

- Przypadek? O czym ty mówisz, do cholery?

- Ktoś wszedł tu za Diane, zabił ją i wyszedł. Może to było zwyczajne włamanie.

- Ale w holu siedzi strażnik.

- Ned? Nie rozśmieszaj mnie. Nie potrafię zliczyć, ile razy nie mogłem go nigdzie znaleźć, kiedy wchodziłem rano do budynku.

- To za co, do diabła, płacimy administracji?

- Jeśli chcesz naprawdę chronić teren, zatrudnij firmę z prawdziwego zdarzenia, która przyśle tu wyszkolonego

człowieka z bronią. Ned mógłby najwyżej rzucić w napastnika mrożoną bułką z kiełbasą.

Roy wstał z krzesła.

- Czy powinniśmy do kogoś zadzwonić?

Ackerman spojrzał na niego zbity z tropu.

- Zadzwonić?

- No wiesz, na przykład do jej rodziny.

- Aaa, kazałem ludziom się tym zająć. Jej ojciec nie żyje, a matka jest na emeryturze i mieszka na Florydzie. Diane nie miała dzieci. Była rozwiedziona, ale jej były mąż jest na Hawajach.

- Czy dowiedziałeś się tego wszystkiego przed chwilą?

- Co takiego?

- Mówiłeś, że nie wiesz zbyt wiele o życiu osobistym Diane, ale znałeś wszystkie te fakty.

- Dowiedziałem się przed chwilą! - warknął Ackerman.

Roy podniósł ręce w udanym geście poddania.

- Dobra, spokojnie. - Skierował się ku drzwiom. - Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, gdybym zrobił sobie dzisiaj wolne? Nie mam nic pilnego, a po tym, co się stało...

- Nie, jasne, idź. Poodychaj trochę świeżym powietrzem.

- Dzięki.

- Roy, jakie to uczucie znaleźć ciało?

Mężczyzna powoli się odwrócił.

- Obyś nigdy nie musiał się dowiedzieć.

13

Roy chwycił marynarkę, pomachał sekretarce na pożegnanie i zamiast zjechać do garażu windą zszedł schodami. Policja przesłuchała już Neda, który siedział teraz na swoim obrotowym krześle z przerażoną i, jak wydawało się Royowi, głodną miną.

- Hej, Ned, jak się masz?

- Nie za dobrze, panie Kingman.

Roy oparł się o marmurową ladę recepcji.

- Policjanci dali ci popalić? - Strażnik skinął głową. - A czy zszedłeś z posterunku dziś rano?

Ned zmierzył go wrogim spojrzeniem.

- Czy muszę z panem o tym rozmawiać?

- Nie, jeśli nie chcesz.

- W sumie chyba wszystko jedno. Naprawdę nie wiem zbyt wiele.

- Czy widziałeś, jak Diane wchodzi do środka?

- Niedokładnie.

- Albo ją widziałeś, albo nie.

- Słyszałem ją.

- Słyszałeś? Gdzie byłeś?

- Na zapleczu, podgrzewałem bułkę w mikrofalówce. Zawsze mi stygną, zanim tu dotrę.

- O której to było?

- Około szóstej. Tuż po tym, jak przyszedłem.
 - Ale jadłeś bułkę, kiedy przyszedłem półtorej godziny później.
 - Co rano kupuję pieć, ale staram się nie jeść wszystkich od razu. Jest ze mnie kawał chłopca i muszę często się posilać.
 - Wjechała windą z garażu czy weszła frontowymi drzwiami?
 - Nie wiem. Już mówiłem, że jej nie widziałem.
 - A co powiedziała po wejściu do holu?
 - Spytała, jak się mam, a ja odkrzyknąłem, że dobrze. Kiedy wróciłem za ladę, była już w windzie.
 - Jesteś pewien, że to była ona?
 - Tak, słyszałem jej głos mnóstwo razy. Zwykle kiedy wychodziła z budynku, na lunch czy coś, nie szła sama, a ma dość ochryply głos jak na kobietę.
 - Ned, nie chciałbym wywazać otwartych drzwi, ale skoro byłeś na zapleczu, a ona cię nie widziała, skąd możesz wiedzieć, czy mówiła do ciebie? Bardziej prawdopodobne jest, że witała się z kimś innym, kto wszedł do budynku w tym samym czasie co ona.
- Ned zrobił zdziwioną minę.
- Nie przyszło mi to do głowy.
- Roy mówił dalej.
- Ta druga osoba musiała wejść przez frontowe drzwi. Gdyby przyjechała z Diane z garażu, przywitałyby się wcześniej. A jest tu tylko jedna winda garażowa, która nie zdążyłaby zjechać i wjechać ponownie, przywożąc inną osobę, zanim Diane wsiadła do windy w holu.
 - Teraz już za panem nie nadażam, panie Kingman.
 - Czy zwykle witała się z tobą wchodząc?
 - Zazwyczaj nie.
 - Co znaczy „zazwyczaj”? Raz? Dwa razy? Rzadko? Nigdy?
 - Eee, nigdy.

- Czy słyszałeś głos innej osoby?
- Nie, ale mówiłem już, że korzystałem z mikrofalówki, która hałasuje i głośno dzwoni, kiedy się wyłącza.
- Tak, wiem. - Roy przyjrzał się kamerom zamontowanym w każdym rogu holu. - Czy policja zabrała taśmy z nagraniami z kamer bezpieczeństwa?
- Nie taśmy, tylko DVD. I nie zabrała.
- Dlaczego nie?
- DVD już dawno było nagrane do pełna.
- A czy w takim przypadku nie zaczyna zapisywać nowych nagrań na starych?
- Nie, ten system nie działa w ten sposób. Kiedy dysk się zapełni, zapisywanie automatycznie się przerywa do chwili, kiedy włoży się nowy.
- Czy nikt tego nie sprawdza?
- Ned się zaczerwienił.
- Ja sprawdzałem. No, czasami. Ale nikt mi nigdy nie wytłumaczył, jak to się robi i w końcu pomyślałem sobie, że mogę coś schrzanić, więc przestałem sprawdzać.
- I tu masz rację. Schrzaniłeś.
- Ned jęknął.
- Ale myślałem, że kamery są tylko tak dla picu, no wie pan, aby ludzie myśleli, że ktoś ich obserwuje. Od zapewniania bezpieczeństwa jestem ja.
- Biorąc pod uwagę to, co się stało dziś rano, to bardzo pocieszające - sarkastycznie stwierdził Roy. - Czy ktoś wychodził od czasu, jak usłyszałeś Diane do mojego przyjścia?
- Nie, weszło tylko kilka osób. Sami stali pracownicy.
- Ktoś z naszej kancelarii?
- Nikogo od państwa nie rozpoznałem.

Roy badawczo przyjrzał się strażnikowi.

- A może zrobiłeś sobie jeszcze jedną przerwę?

- Nie, przysięgam, byłem tu przez cały czas. Przyznaję się bez bicia, że czytałem, ale nie mógłbym przeoczyć, jak ktoś przechodzi. Hol nie jest aż taki duży.

To prawda, pomyślał Roy. A każda osoba nadchodząca od strony windy musiałaby przejść tuż obok stanowiska ochrony.

- Czyli nikt w tym czasie nie wychodził?

- Zgadza się. Ludzie tylko wchodzili. Było przecież wcześniej, kto miałby wychodzić?

„Przynajmniej jedna osoba - pomyślał Roy. - Morderca”.

- Powiedziałeś o tym policjantom?

- Tak, wiedzą o wszystkim.

- Czy twoja firma jest dobrze ubezpieczona?

- Skąd do diabła mam to wiedzieć?

- Na twoim miejscu bym się dowiedział, bo twoja wpadka poważnie zaszkodziła kancelarii prawniczej. Nie zapominaj, że oni nie muszą zatrudniać adwokata, żeby cię pozwać.

- Jezus Maria, myśli pan, że będą chcieli mnie ścigać? Nie mogą tego zrobić, prawda? Jestem tylko ochroniarzem. Nie mam pieniędzy.

- Każdy może trafić do sądu, Ned. I owszem, mogą cię ścigać - chociażby dla zabawy.

Roy wyszedł na słońce. Osoba, która zabiła Diane, prawdopodobnie przyjechała z nią windą. I być może nie wyszła, a została gdzieś w budynku. Może wciąż tam jest i pracuje w którymś z biur.

Może w moim biurze.

Diane dotarła do biura mniej więcej półtorej godziny przed nim. Czy zginęła natychmiast, a morderca zbiegł na długo przed

przyjściem Roya, czy też wszystko rozegrało się tylko kilka minut wcześniej? A może do morderstwa doszło, kiedy był już w biurze, a on nic nie usłyszał? Usiłował przypomnieć sobie, jak zimne było ciało Diane.

Musiał przyznać, że dla niego byłaby zimna niezależnie od tego, czy leżałaby w lodówce dwa dni, czy pół godziny. Może lekarzom uda się odpowiedzieć na to pytanie.

- Wyglądasz, jakbyś zdecydowanie za dużo myślał.

Roy obejrzał się w lewo i zobaczył patrzącą w jego stronę Mace Perry, siedzącą okrakiem na ducati.

14

- Po co tu wróciłaś? - spytał Roy, podchodząc do niej.
- A skąd wiesz, że w ogóle odjechałam?
- Z mojego biura widać główne wejście. Wpatrywałem się w okno przez ostatnich kilka godzin. - Zmierzył wzrokiem ducati.
- Nie przeoczyłbym takiej maszyny.
 - Nasza znajomość nie zaczęła się najlepiej. Chciałabym to naprawić.

Roy nie wyglądał na zainteresowanego, ale odpowiedział:

- Wciąż nie wiem, jak się nazywasz.
- Mace.
- Mace? Jak broń³?
- Zgadza się - odcięła się kobieta.
- Daj spokój, a naprawdę?
- Naprawdę mam na imię Mace.

Wzruszył ramionami.

- Niech ci będzie.

Mace spojrzała w stronę budynku.

- Widziałam, jak rozmawiałeś z ochroniarzem. Co ci powiedział?

Roy spojrzał przez szybę na Neda.

- Niewiele. Ned słabo ogarnia sytuację.
 - Tolliver mogła wjechać na górę razem z zabójcą. Ned pewnie akurat zrobił sobie przerwę, żeby coś przegryźć. Morderca

wykonał swoje zadanie i wyszedł, albo poszedł do swojego biura w tym budynku. Może nawet w twojej kancelarii.

- To jedna z możliwych teorii.

- Mogę podać ci inną. To ty wjechałeś windą z Tolliver, a ona otworzyła drzwi swoją kartą, więc twoje wejście nie zostało zapisane. Zabiłeś ją i wepchnąłeś do lodówki. Zakradłeś się w dół po schodach i zaczekałeś na powrót strażnika. Później wkroczyłeś do budynku z windy garażowej, tak jakbyś wchodził do niego po raz pierwszy, żeby ochroniarz dobrze zapamiętał, o której się pojawiłeś. Wszedłeś do biura, przez chwilę pokręciłeś się przy biurku, poszedłeś do kuchni, otworzyłeś lodówkę, złapałeś tę biedaczkę - a później drżącym głosem poinformowałeś o tym gliny.

Roy wpatrywał się w nią z coraz bardziej ponurą miną.

- To w ten sposób chcesz zacząć od nowa? Ponownie mnie oskarżając?

- Nie oskarżam cię. Ale jesteś prawnikiem. Wiesz, co jest grane. Byłeś sam z denatką na miejscu zbrodni. Policjanci w którymś momencie też przyjmą taką wersję wydarzeń, więc lepiej przygotuj sobie odpowiedzi na ich pytania. Możesz poćwiczyć ze mną.

- Po co? Żebyś mogła pobiec na policję i wszystko im opowiedzieć, dzięki czemu będą mogli podważyć moje wyjaśnienia?

- Już ci mówiłam, nie jestem policjantką. A jeśli to, co mówisz, jest prawdą, trudno im będzie oskarżyć cię o morderstwo.

- W porządku, zagram według twoich reguł. Dostałem się na parking, posługując się swoją kartą. Można sprawdzić, że wjechałem około siódmej trzydzieści. Pojechałem windą do swojego biura, trochę popracowałem, poszedłem zrobić sobie

kawę i znalazłem Diane. Dwie minuty po ósmej zadzwoniłem pod 911. Z zapisów wynika, że Diane dotarła do biura półtorej godziny przede mną. Nawet nie wiedziałem, że przyszła.

- To nie wystarczy. Mogłeś zaparkować na ulicy, wejść do garażu, czekać na jej przyjście, wjechać windą razem z nią, zabić ją, wyjść, podjechać samochodem do garażu - a dalej tak, jak powiedziałeś.

- Ned twierdzi, że słyszał, jak Diane się z kimś witała. To nie pasuje do twojego scenariusza.

- Zeznania złożone przez głupków nie są brane poważnie ani przez policję, ani przez sądy. A faktem jest także, że mogłeś przyjechać, tak jak mówiłeś, o siódmej trzydzieści, wjechać windą, zabić Tolliver, wepchnąć ją do lodówki i wezwać policję. Miałeś na to mnóstwo czasu.

- No dobrze, a jaki miałem motyw?

- Do śledztw w sprawach karnych zwykle podchodzę purystycznie, co oznacza, że zazwyczaj najpierw analizuję możliwości, a później motyw. Ale jeśli miałeś motyw, policja go znajdzie.

- W takim razie co mam zrobić? Kupić bilet na najbliższy lot do kraju, który nie ma podpisanej umowy ekstradycyjnej z USA?

- Eee, prawdopodobnie wszystko będzie dobrze.

Roy wyglądał na zbitego z tropu.

- Prawdopodobnie?

- Mam nosa do morderców, a przy tobie mnie nie swędzi. To gdzie grałeś w kosza?

- Skąd wiesz, że grałem? Wywnioskowałaś to z kosza na drzwiach w biurze?

- Częściowo ze wzrostu, chodu i sposobu, w jaki przeanalizowałeś moją karierę zawodniczą.

- A pozostała część?

- Widziałam przedtem na twoim biurku kluczyki do audi. Sprawdziłam garaż. Stało tam audi - było blisko wejścia, co wskazywało na to, że jest twoje. Na tylnym siedzeniu leżały: sportowa torba, trzy piłki i cztery pary drogich butów do koszykówki, które kupują tylko gracze zawodowi i uniwersyteccy.

- Grałem w Kawalerzystach na Uniwersytecie Wirginijskim.

- Tego też się dowiedziałam. Na tylnym zderzaku masz wypasioną, dużą pomarańczową nalepkę.

- Wiesz, jesteś podobna do pani komendant.

- Jest ode mnie o wiele wyższa.

- Chodziło mi o twarz i oczy. Obie macie zielone oczy z brązowymi cętkami - przyjrzał się jej uważniej - i małą karmazynową plamkę w prawym.

Mace przyjrzała się swoim oczom w bocznym lusterku ducati i po raz pierwszy dostrzegła w nich brązowe cętki i karmazynową plamkę.

- Nie wiedziałam, że istnieją faceci, dla których karmazyn to kolor.

- Poznaje cię. Jesteś jej siostrą, Mace Perry. Powinienem był sobie przypomnieć, kiedy tylko się przedstawiłaś. - Przerwał na chwilę. - Ale gazety podawały, że nazywasz się Mason Perry. - Spojrzał na nią ze zdziwioną miną. - Czy to ma jakiś związek z Perrym Masonem, tym prawnikiem z serialu telewizyjnego?

- Mój ojciec był prokuratorem, ale tak naprawdę chciał stać po drugiej stronie. Stąd Mason Perry. Ale wszyscy mówią na mnie Mace, nie Mason, zmieniłam nawet imię w urzędzie stanu cywilnego.

- Co na to twój tata?

- Nic. Został zamordowany, kiedy byłam mała.

- Przykro mi, Mace. Nie wiedziałem.
- Nie masz za co przepraszać.
- A czy nie byłaś.
- Właśnie wyszłam.
- Rozumiem. - Włożył ręce do kieszeni i skrepowany rozglądał się wokół, a Mace zapinała kask.
- Nie wiem, czy to dla ciebie ważne, ale uważam, że niesprawiedliwie cię potraktowali - powiedział w końcu.
- Dzięki. Nie wiem, czy to dla ciebie ważne, ale uważam, że mówisz prawdę.
- Wiesz, jedynym powodem, dla którego wierzę w reinkarnację, jest Mona Danforth.
- Co masz na myśli? - spytała zaciekawiona.
- Jak inaczej można wyjaśnić, że Józef Stalin powrócił w kobiecej postaci? - Mace wyszczerzyła zęby w uśmiechu.
- Miałaś z nią potyczki jako obrońca z urzędu?
- Nie byłem wystarczająco ważny, by spotykać się z nią twarzą w twarz. Ale jej przyboczni kilka razy mnie przyszpilili. A historie, które krążą o niej w biurze obrońcy publicznego, przeszły do legendy.
- Masz ochotę na lunch? Moglibyśmy wspólnie poobmyślać tortury dla Mony.
- Gdzie chcesz jechać?
- Do Ben's Chili Bowl. Przez dwa lata marzyłam o hot dogach Benny'ego. - Zdjęła pokrywę z tylnego siodełka.
- Wskakuj.
- Nie mam kasku.
- W takim razie postaraj się nie uderzyć w głowę, spadając. Jestem prawie pewna, że wygasło mi ubezpieczenie.
- Kilka sekund później ducati odjechało z piskiem opon.

15

- Przed chwilą wyszłaś i już się kręcisz przy zabójstwie?

Siedzieli przy zatłoczonej ladzie legendarnego baru Ben's Chili Bowl niedaleko Lincoln Theater przy U Street. Roy wgryzł się w swojego hot doga z chili i zlizął z palca musztardę.

- Przy niczym się nie kręcę. Staram się zaaklimatyzować w świecie zewnętrznym.

Mace powoli odgryzła kawałek hot doga, przeżuła go i dotknęła językiem warg, po czym zanurzyła garść frytek z serem i chili w keczupie i wepchnęła je wszystkie naraz do ust. Głębokie zadowolenie, jakie odmalowało się na jej twarzy, rozbawiło Roya.

- Chcesz papierosa?

- Może.

- Więzienny wikt jest naprawdę do niczego, co?

- Owszem.

- Wciąż nie rozumiem, kto mógł chcieć skrzywdzić Diane.

- Czy naprawdę znałeś ją aż tak dobrze?

- Pracowałem z nią przez jakieś dwa lata.

- To nie znaczy, że ją znałeś. Byłeś kiedyś w jej domu?

- Dwa razy. Raz na firmowej imprezie jakieś trzy miesiące temu i przedtem, zanim zacząłem pracę w kancelarii. Diane zajmowała się naborem współpracowników.

- Ciężko pracujesz?

- Nieszczerólnie. A zarabiam więcej, niż jestem wart.
- Ale przecież wyrabiasz mnóstwo godzin.
- To nie tak.
- Co masz na myśli?
- Nie zrozum mnie źle. Dużo pracuję, ale Shilling nie wymaga od nas rozliczania się z przepracowanych godzin.
- Myślałam, że tak właśnie pracują prawnicy. Jak w powieściach Grishama.

Roy pokręcił głową.

- My działamy ryczałtowo. Zamożni klienci z górnej półki wolą taką współpracę. Wiemy, ile mamy do zrobienia, oni wiedzą, ile mają zapłacić - i płacą. Firma rozdziela pieniądze i nagradza pracowników za wykonaną pracę i przyciąganych klientów. Nie ma żadnych niespodzianek. I jest to znacznie efektywniejsze niż wysysanie z klientów ostatniego grosza.

- A co, jeśli zdarzy się jakaś sytuacja nieobjęta ryczałtem?

- Formułujemy umowy tak, żeby to uwzględnić. W takich sytuacjach dostajemy więcej pieniędzy.

- Zajmujecie się sprawami sądowymi czy umowami?

- Umowami. Prowadzenie spraw sądowych zlecamy innym firmom, ale zachowujemy nadzór nad ich działaniami.

- A ile zarabiasz?

- To prywatna sprawa.

- Gdyby była publiczna, nie musiałabym pytać.

- Jak już mówiłem, więcej niż jestem wart.

- Mój ojciec mawiał, że prawnik to szlachetny zawód.

- Może tak bywa, ale nie zawsze.

- Taa, ja też mu nie wierzyłam.

Dokończyła hot doga jednym kęsem. Później, kiedy wyszli, Roy spytał:

- Jakie masz plany na dziś?
- Mam rozmowę w sprawie pracy.
- Jakiej?
- Jako asystentka badacza.
- Nie widzę cię w laboratorium w białym kitlu i z okularami na łańcuszku.
- Nie o takie badania chodzi. Profesor zajmuje się życiem w mieście, zdaje się, że w tych jego dzielnicach, które całkiem nieźle znam, a przynajmniej znałam.
- Tych o wysokim wskaźniku przestępczości?
- Bingo.
- Jak się nazywa ten profesor?
- Abraham Altman.
- Ojciec Billa Altmana?
- Kim jest Bill Altman?
- Pracował w biurze obrońcy publicznego, kiedy ja byłem adwokatem z urzędu. Jest starszy ode mnie, ma koło czterdziestu pięciu lat. To dobry prawnik. Jeden z tych szlachetnych.
- Nie wiem, czy są spokrewnieni.
- Abe jest wykładowcą na uniwersytecie w Georgetown i śpi na pieniądzach.
- W takim razie mówimy o tym samym człowieku. Siostra powiedziała mi, że jest miliarderem, ale nie zapracował na te pieniądze.
- Zgadza się. Znasz go?
- Pomogłam mu kiedyś.
- I nie wiedziałaś, że jest bogaczem?
- To nie było istotne dla sprawy, w której mu pomogłam. A skąd wziął pieniądze?
- Jego rodzice mieszkali w Omaha, naprzeciwko młodego

człowieka, który chciał rozkręcić własną firmę inwestycyjną. Powierzyli mu wszystkie swoje pieniądze.

- Omaha? Nie mówisz chyba o.

- Owszem. O Wyroczni z Omaha, Warrenie Buffettcie. Rodzice Abe'a wciąż u niego inwestowali, zyski się kumulowały. W końcu okazało się, że należą do grona największych udziałowców w jego firmie Berkshire Hathaway. Wiele lat później, po ich śmierci, wartość ich udziałów, nawet po opodatkowaniu, wyniosła grubo ponad miliard dolarów. I wszystko odziedziczył Abe, który był ich jedynym dzieckiem.

- A ja się zastanawiałam, w jaki sposób wykładowcę uniwersyteckiego będzie stać, żeby mnie zatrudnić.

- Zażądaj sześciocyfrowej pensji, pełnej opieki zdrowotnej, płatnego urlopu i planu emerytalnego opłacanego przez pracodawcę. Myślę, że nawet nie mrugnie okiem.

- A może ty byś tego zażądał w moim imieniu?

- Co takiego?

- Mógłbyś być moim negocjatorem.

- Chcesz, żebym pojechał z tobą na spotkanie z Altmanem?

- Tak. Odbiorę cię o wpół do siódmej z twojego biura.

- Nie wracam do biura.

- W takim razie z domu.

- Z apartamentu. Zawsze działasz tak szybko?

- Tak, odkąd straciłam dwa lata życia.

16

Wydział policji Dystryktu Kolumbii w końcu doczekał się odpowiedniego wyposażenia do przeprowadzania badań kryminalistycznych, z których najważniejsze były sekcje zwłok. Beth Perry wraz z dwoma detektywami z wydziału zabójstw, którzy pracowali nad tą sprawą, weszła do sześciopiętrowego budynku mieszczącego się na skrzyżowaniu ulic Czwartej i School, w Oddziale Szóstym. Poza biurem głównego lekarza sądowego znajdowały się tam również biura wydziału miejskiego policji i Departamentu Zdrowia.

Kilka minut później Beth stała obok głównego lekarza sądowego. Lowell Cassell był niewysokim, szczupłym mężczyzną z krótką, siwiejącą brodą i miał na twarzy okulary w drucianych oprawkach. Gdyby nie tatuaż ryby na grzbiecie dłoni, pochodzący z czasów, gdy służył w marynarce na okręcie podwodnym, i blizna po ciosie noża stanowiąca pamiątkę po pijatyce podczas przepustki w Japonii, wyglądałby jak typowy wykładowca uniwersytecki.

Ciało Diane Tolliver leżało przed nimi na metalowym stole. Beth i detektywi chcieli poznać odpowiedzi na co najmniej dwa pytania:

O czas i przyczynę zgonu. Lekarz sądowy zdjął okulary, przetarł oczy i założył okulary z powrotem na nos.

- Zrobiłem sekcję ekspresowo, tak jak prosiłaś.
- Dzięki, doktorze. Co masz dla mnie?
- Kiedy zobaczyłem sińce na tylnej części szyi, byłem pewien, że znajdę na niej bruzdę wisielczą lub ślady duszenia, które wskazywałyby na to, że przyczyną śmierci była zamartwica spowodowana przez zabójcę.

- A nie była?
- Nie, tej pani w zasadzie skrecono kark.
- Skrecono? I nie ma bruzdy wisielczej?
- Jest coś więcej. Znacznie więcej. Zmarła doznała ciężkich obrażeń.

- Wyłuszczenie w stawie szczytowo-potylicznym, nie tylko zwichnięcie?

Cassell się uśmiechnął.

- Zapomniałem, jaka jesteś dobra w te klocki. Tak, to zdecydowanie wyłuszczenie.

Z pomocą jednego z detektywów odwrócił ciało Tolliver na bok i wskazał podstawę jej szyi.

- Uszkodzenie połączenia czaszkowo-szyjnego. - Cassell przejechał palcami wzdłuż podstawy czaszki i górnej części kręgosłupa.

- Pień mózgu oraz górny i środkowy odcinek rdzenia kręgowego, powyżej kręgu czwartego.

- Pełne rozerwanie ośrodków regulacji układu krążeniowo-oddechowego. Śmierć nastąpiła natychmiast.

- Zamierzasz ubiegać się o moje stanowisko, Beth? - spytał lekarz żartobliwie.

- Nie, doktorze, a ty chciałbyś zająć moje?

- Za nic w świecie.

- A zatem ktoś przetrącił jej kark. Coś jeszcze?

- Krwotoki w tkance miękkiej z tyłu szyi i uszkodzenie naczyń krwionośnych podstawy czaszki. Miała także mocno posiniaczoną twarz i skaleczenie po prawej stronie podbródka. Wszystko jest całkiem jasne aż do tego momentu.

Otworzył laptopa i pokazał na ekranie zdjęcia wnętrza czaszki Diane Tolliver.

- Na zdjęciach rentgenowskich widać, że kręg szczytowy oddzielił się od podstawy czaszki. Widać go w otworze wielkim.

- Ale nie jest widoczny kanał kręgowy. No dobrze, to klasyczne wyłuszczenie.

- Tak, ale poza tym pień mózgu jest przecięty.

Beth szybko odwróciła głowę od monitora.

- Przecięcie pnia mózgu?

- Najczęściej spotyka się je po wypadkach samochodowych, w których doszło do bardzo szybkiej utraty prędkości. To właśnie pęknięcie podstawy czaszki zabiło tego kierowcę wyścigowego, Dale'a Earnhardta, w Daytonie. Dzieje się tak również podczas długiego upadku. Pień mózgu pęka i następuje natychmiastowa śmierć.

Beth wskazała na ciało Diane.

- Tę kobietę znaleziono wepchniętą do lodówki w jej kancelarii mniej więcej dwie godziny po tym, jak weszła do biura. Nie brała udziału w wyścigu Daytona 500 ani nie spadła z budynku.

Lekarz sądowy ponownie wskazał podstawę szyi, na której wyraźnie odznaczały się przebarwienia.

- Sprawę załatwił cios wymierzony w to miejsce. Fakt, że została umieszczona w lodówce, bynajmniej nie pomógł mi w pracy, ale bardzo dobrze widać tu zasinienie powstałe jeszcze przed śmiercią.

- Cios? Czym go zadano, doktorze?

- Teraz dochodzimy do najdziwniejszej części. Nie znalazłem żadnych śladów – włosów, włókien, cząsteczek plastiku, metalu ani niczego innego w miejscu obrażenia.

- W takim razie czym ją zabito?

- Moim zdaniem – ciosem stopy.

- Stopy?

Cassell wskazał otarcia na twarzy Tolliver.

- To mogło być tak. Rzucono ją na podłogę, twarzą do ziemi, z podbródkiem opartym o linoleum, co tłumaczy rozcięcie i sińce, powstałe w chwili zadania ciosu. Później ktoś, prawdopodobnie duży, silny mężczyzna, z całej siły stąpnął nogą na tył jej szyi. Gdyby cios został zadany deską, rurą, młotkiem czy kijem, na skórze zostałyby wyraźny odcisk. Jak widzisz, w tym miejscu nic takiego nie ma. Ludzka stopa jest giętka i mogła nie zostawić rozpoznawalnych śladów. Nawet pięść pozostawiłaby wyraźne odciski, na przykład knykci lub palców. No i, rzecz jasna, można nadepnąć ze znacznie większą siłą niż uderzyć ręką, gdyż stąpając przenosi się większą część ciężaru ciała prosto w dół.

- A zatem cios nogą. Ale czy but nie powinien zostawić śladów?

- Być może, ale ludzka skóra ujawnia mniej niż mokra trawa czy błoto. Być może udałoby mi się rozpoznać odcisk w rejonie obrażenia, gdybyś dostarczyła mi but, wzorzystą skarpetkę lub stopę, z którymi mógłbym go porównać.

- No dobrze, ale czy kiedykolwiek widziałeś przecięcie pnia mózgu dokonane podczas napaści bez broni?

- Tylko raz, ale nie spowodował go człowiek.

Spojrzała na niego zaciekawiona.

- Nie człowiek?

- Wiele lat temu byłem na wakacjach w Parku Narodowym Yellowstone. Niestety, zginął tam turysta i poproszono mnie

o dokonanie sekcji zwłok.

- Co go zabiło?

- Niedźwiedź grizzly. Prawdopodobnie najgroźniejszy drapieżca na ziemi. - Uśmiechnął się do Beth. - Rzecz jasna poza człowiekiem, jak oboje wiemy. Tak czy inaczej, ten nieszczęsny turysta zaskoczył dorosłego samca, kiedy ten żerował na padlinie.

- Ale w Georgetown nie ma niedźwiedzi grizzly, doktorze.

- Nie, ale jest przynajmniej jeden człowiek obdarzony ponadprzeciętną siłą i umiejętnościami. Ten siniec znajduje się dokładnie w miejscu, w które należało trafić, by przeciąć pień mózgu. Nie sądzę, by cios zadano w przypadkowy sposób.

- A więc już była nieprzytomna? A może ktoś ją przytrzymał? Gdyby zaatakował ją tylko jeden bandyta, pewnie by się broniła i miałyby ślady pod paznokciami.

- Były czyste.

- Nie była pod wpływem narkotyków?

- Nie ma jeszcze raportu z badań toksykologicznych.

Beth przyjrzała się ciału.

- Napastnik mógł mieć broń i rozkazać Tolliver położyć się twarzą do ziemi, a potem ją zabić. W takim wypadku wystarczyłaby jedna osoba.

- Zgadza się.

- Co jeszcze?

- Zrobiliśmy spis jej ubrań. Znaleźliśmy kilka włókien, które z nich nie pochodzą.

- Zostawił je napastnik?

- To możliwe. Poza tym miała na płaszczu dziwnie wyglądające plamy.

- Z czego?

- Wygląda to na tłuszcz lub brud, właśnie to analizujemy.

- Czy nie wylało się na nią coś z lodówki?
- Zinventaryzowaliśmy jej zawartość. Plamy nie pochodzą z żadnego z występujących w niej źródeł.

- Dzień dopiero się zaczyna, ofiara zdążyła tylko przejść z parkingu do biura i ma na ubraniu plamy. Czy zostawił je bandyta?

- To prawdopodobne. - Cassell potrząsnął głową. - Wciąż mi się myli. Przez dziesięć lat pracowałem w biurze lekarza sądowego w Bronksie.

Beth ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Wiem, policja w Nowym Jorku mówi „sprawca”, w Waszyngtonie - „bandyta”. Czy mógłbyś mniej więcej określić czas zgonu?

- To bardzo trudne, Beth. Znaleziono ją w lodówce nastawionej na trzy stopnie Celsjusza, a później ciało przez kilka godzin przebywało w temperaturze pokojowej. Kiedy przyjechałem na miejsce zbrodni, wciąż było bardzo zimne w dotyku. Po przewiezieniu tutaj trafiło do chłodni w kostnicy. Teraz, po wyjęciu z tego zimnego otoczenia, ciało zaczęło normalnie się rozkładać. Jak widzisz, nadal występuje stężenie pośmiertne - podniósł jedno ze sztywnych ramion - ale początkowe schłodzenie zatrzymało procesy chemiczne zachodzące zwykle po śmierci.

- Co z zawartością żołądka?

Cassell przycisnął kilka klawiszy laptopa, a później popatrzył na monitor.

- W większości biur lekarza sądowego nie robi się szczegółowej analizy treści żołądka, jeśli nie zachodzi podejrzenie przedawkowania lub zatrucia. Ale wiedziałem, że jeśli jej nie przeprowadzę, każesz mi to zrobić.

- Im dłużej razem pracujemy, tym łatwiej nam się dogadać,

prawda?

- Nie jadła śniadania, ale wygląda na to, że wczoraj zjadła kolację. Treści żołądkowej było około sześciuset centymetrów sześciennych i zawierała ona częściowo strawione białka z czerwonego mięsa.

- Innymi słowy, kawałki steku?

- Najprawdopodobniej tak. Poza tym fasolę, kukurydzę i zdaje się, że czerwone ziemniaki. I szpinak. Żołądek i śluzówka dwunastnicy były jaskrawozielone.

- Mogły je zabarwić brokuły.

- Ale brokuły, podobnie jak kukurydza, nie rozkładają się od razu. Znalazłbym ich kawałki w treści żołądkowej. Kukurydza w niej jest, brokułów nie ma.

- Coś jeszcze?

Cassell zrobił zboląłą minę.

- Kobitka lubiła czosnek. Zapach zwał z nóg.

- Przypomnij mi, żebym kupiła ci parę klamerek do bielizny. Jak z tym czasem zgonu? Masz jakieś przypuszczenia?

Lekarz zdjął okulary.

- Jeśli masz wiarygodnych świadków potwierdzających początek i koniec dwugodzinnego okresu, mnie nie uda się bardziej tego uściślić mimo nowoczesnego sprzętu i badań.

- Jeszcze nie wiem, jak wiarygodni są ci świadkowie. Co jeszcze?

- Kiedy mówiłem, że zrobiliśmy spis jej ubrań, zapomniałem wspomnieć, że brakowało jednej części garderoby.

- Majtek.

- Rzecz jasna, zakładając, że zwykle nosiła bieliznę.

- Miała czterdzieści siedem lat, była współnikiem w kancelarii adwokackiej, mieszkała w wartym milion dolarów domu na

wodzie w Alexandrii, a w chwili śmierci miała na sobie garsonkę Chanel. Myślę, że możemy spokojnie założyć, że nosiła bieliznę. Zbadaliście ją pod kątem napaści o charakterze seksualnym. Czy została zgwałcona?

- Posiniaczone genitalia wyraźnie wskazują na tego rodzaju napaść.

- Doktorze, powiedz mi to, co chcę usłyszeć.

- Sprawca zostawił coś po sobie.

Cassell poprowadził ją do mikroskopu. Kiedy obejrzała próbkę w powiększeniu, natychmiast się uśmiechnęła.

- Oto Święty Graal medycyny sądowej!

- Nasienie - dodał Cassell triumfująco. - Wysoko na sklepieniu pochwy i trochę w szyjce macicy.

- Mówiłeś, że zostawił coś po sobie.

- Dwa włosy łonowe wyrwane z korzeniami nie należą do zmarłej.

- Miejmy nadzieję, że ten człowiek figuruje w naszej bazie danych. Czy powinnam wiedzieć coś jeszcze?

Cassell się zawahał.

- Nie w tej sprawie, ale słyszałem, że Mace wyszła. Pozdrów ją ode mnie.

- Pozdrowię.

- Jak ona się miewa?

- Znasz Mace. Wszystko spływa po niej jak po kaczce.

- Powiedz jej, że niebo naprawdę istnieje, a Mona nigdy do niego nie trafi.

Beth się uśmiechnęła.

- Powiem.

17

Brama. Wielka brama i długi wysoki mur.

Brama otworzyła się, kiedy Roy wcisnął przycisk na domofonie i oznajmił ich przybycie. Przyjechali jego audi, gdyż Roy nie chciał ryzykować poważnych obrażeń głowy, jakich mógł doznać jadąc na motorze z Mace bez kasku.

- Jeśli będziesz chciał ze mną jeździć, musisz kupić kask - powiedziała mu.

- Zastanowię się nad tym.

- Nad kaskiem?

- Nad tym, czy chcę jeszcze z tobą jeździć.

Pojechali wijącą się brukowaną drogą. Posiadłość leżała w miejscu, które w Dystrykcie Kolumbii określano jako grań, chociaż dla mieszkańców terenów mogących poszczycić się prawdziwymi górami był to co najwyżej niewielki pagórek.

Mace wyjrzała przez okno.

- Nie wiedziałam, że ktokolwiek w Północnej Wirginii ma tyle ziemi.

- Wygląda mi to na kilka połączonych działek - stwierdził Roy, po czym wskazał na dużą budowlę, której dach wznosił się na co najmniej dziesięć metrów nad ziemią. - Ciekawe, co jest w środku.

Przejechali zakręt i ich oczom ukazał się budynek.

- A niech mnie! - powiedzieli jednocześnie.

- Wygląda jak jeden z budynków na uniwersyteckim kampusie w Georgetown - stwierdził Roy.

- Tylko jest większy - dodała Mace.

Zatrzymali się obok olbrzymiego bentleya. Nieopodal stała dwudrzwiowa honda, zakurzona i poobijana, która wyglądała przy nim jak ponton przy jachcie. Wyszli i podeszli do masywnych drewnianych drzwi, które pasowałyby do pałacu Buckingham. Zanim Roy zdążył zadzwonić, wrota się otworzyły.

- Wchodźcie, wchodźcie - powiedział gospodarz.

Abraham Altman był średniego wzrostu, o kilkanaście centymetrów wyższy od Mace, miał siwe włosy sięgające ramion i gładko wygoloną twarz. Był ubrany w wypłowiałe dżinsy i puszczone luźno koszulę z długimi rękawami, odsłaniającą kępkę siwych włosów na klatce piersiowej, a jego duże stopy obute były w otwarte sandały. Był po siedemdziesiątce, ale energii mógłby mu pozazdrościć niejeden znacznie od niego młodszy człowiek.

Altman mocno uściśnął dłoń Mace, a później odpuścił sobie konwenanse i uściskał dziewczynę, unosząc ją nad ziemię w przyływie radości. Zaczął mówić bardzo szybko:

- Wspaniale znów cię widzieć, Mace. Twoja siostra powiedziała mi, co cię spotkało. Oczywiście czytałem też o tym w gazetach. Niestety, kiedy to wszystko się działo, byłem w Azji, w przeciwnym razie świadczyłbym w sądzie na twoją rzecz. Co za niesprawiedliwość! Dzięki Bogu, że wyszłaś cała i zdrowa.

Odwrócił się nagle i wyciągnął rękę do Roya:

- Jestem Abraham Altman. Mów mi Abe.

Mężczyzna odwzajemnił uścisk:

- Roy Kingman. Znam pańskiego syna Billa.

- Cudownie. To jego bentley tam stoi.

- Jest tutaj? - spytał Roy.

- Nie, wyjechał z kraju z rodziną. Zostawił samochód tutaj.

Mace nie ustępowała:

- A czyja jest honda?

- Moja.

- Więc stary Bill ma bentleya? - Chciał wiedzieć Roy. - Czy wciąż pracuje w biurze obrońcy publicznego?

- Nie, odszedł stamtąd w zeszłym roku. Teraz zajmuje się czymś innym. - Altman nie wydawał się skory do dalszych rozmów na ten temat. - Chodźcie do biblioteki. Chcielibyście się czegoś napić?

Roy i Mace wymienili spojrzenia.

- Piwa? - zaproponował Roy.

- Myślałem raczej o herbacie. Co prawda jest za późno na popołudniową herbatkę, ale może to być herbatka wieczorna. Podziwiam wiele zwyczajów naszych angielskich przyjaciół, w tym rzezoną herbatkę.

- Herbata to dobra rzecz - stwierdził Roy, wymieniając rozbawione spojrzenie z Mace, kiedy weszli do skromnego mieszkania Abe'a Altmana o powierzchni zaledwie trzech tysięcy metrów kwadratowych.

18

Drobny człowieczek w nieskazitelnej złotej tunice i brązowych spodniach wniósł dużą tacę, na której stał imbryk z gorącą herbatą, filiżanki i spodka oraz babeczki i słodkie bułki, i postawił ją na otomane obitej gustowną, pasiastą tkaniną. Wielkość pomieszczenia, w którym się znajdowali, sprawiała, że masywny mebel wydawał się mały. Sufit był wysoki, ściany obito skórą, a mahoniowe biblioteczki były pełne książek, które wyglądały, jakby ktoś faktycznie je czytał. W jednym z rogów pokoju stał stalowy globus wysoki na co najmniej metr osiemdziesiąt, a pod jednym z okien umieszczono duże, staromodne biurko o pochylonym blacie. Na drugim biurku, niskim i długim, leżały dziesiątki książek - większość z nich była otwarta i ułożona grzbietami do góry.

Po wyjściu mężczyzny Altman wyjaśnił:

- To Herbert. Mieszka ze mną od lat. Wykonuje wszystkie prace domowe. Nie dałbym sobie rady bez niego.

- Każdy powinien mieć takiego Herberta - stwierdziła Mace.

Altman nalał herbaty i poczęstował gości jedzeniem.

- Ładnie pan mieszka - stwierdził Roy, trzymając na jednej nodze filiżankę i spodek i jednocześnie wgryzając się w babeczkę z jagodami.

- Teraz, naturalnie, dom jest dla mnie o wiele za duży, ale mam

mnóstwo wnuków i chcę, żeby miały dokąd przyjeżdżać. No i cenię sobie prywatność.

- Beth mówiła, że ma pan dla mnie propozycję pracy?

Altman spojrział na nią z powagą.

- Owszem. Ale muszę przyznać, że nigdy nie zdołam ci się odwdzięczyć za to, co dla mnie zrobiłaś. Nigdy.

Mace, zażenowana jego oczywistym uwielbieniem, wbiła wzrok w podłogę.

- W porządku.

Altman zerknął na Roya.

- Ta kobieta uratowała mi życie. Wiedział pan o tym?

- Nie, ale jak najbardziej jestem w stanie w to uwierzyć.

- Gang HF-12 - dodał Altman. - Przykre typy.

- HF-12? - powtórzył Roy.

- Gang nazywał się Heroin Forever i miał dwunastu członków - wyjaśniła Mace. - Byli niezłymi bandziorami, ale nie wykazali się kreatywnością, jeśli chodzi o nazwę. Połowa z nich trafiła do więzienia.

- A pozostałych sześciu? - spytał Roy.

- Nie żyją.

- Kilka razy chciałem się z tobą zobaczyć, ale do więzienia mnie nie wpuścili - stwierdził Altman.

- Dlaczego?

- Mam ustaloną reputację. Zdarzało mi się już przedtem ostro krytykować zakład karny w Zachodniej Wirginii.

- Trzeba było porozmawiać z Beth. Ona by cię wprowadziła.

- Nie chciałem jeszcze bardziej utrudniać jej sytuacji. - Spojrzał w stronę Roya. - Pewna pani prokurator okręgowy ma na pieńku z Mace i jej słynną siostrą.

- Mona Danforth - stwierdził Roy.

- Zgadza się. - Altman odwrócił się z powrotem do Mace. - Rok temu mówiło się nawet o odebraniu Beth stanowiska.

Mace odłożyła filiżankę.

- Nie wiedziałam o tym. Nic mi nie mówiła.

- Twoja siostra zbyt często zachowuje pewne rzeczy dla siebie.

- Uważnie spojrział na Mace. - I sądzę, że z tobą jest podobnie.

Na szczęście burmistrz zachował się mądrze i położył kres wszelkim rozmowom o zwolnieniu Beth.

- A czym dokładnie się pan zajmuje, profesorze? - spytał Roy.

- Czynię świat, a przynajmniej stolicę, bezpieczniejszym miejscem, rozwiązując problemy, zanim się pojawią.

Roy pokiwał głową.

- Chodzi o edukację, działania prewencyjne, takie rzeczy?

- Chodzi o dawanie ludziom realnego wyboru pomiędzy dobrem i złem, praworządnością i przestępczością. Z moich doświadczeń wynika, że jeśli ludzie mają taki wybór, prawie wszyscy wybierają praworządność.

- Czyli wracamy do tego, po co tu przyszedłam - stwierdziła Mace.

- Zgadza się. Prowadzę projekt dzięki grantowi, który otrzymałem.

- Beth mówiła, że obejmuje on swoim zasięgiem uboższe dzielnice Waszyngtonu.

- Zgadza się. Te, w których działałaś, pracując w policji.

- Czego tam szukasz?

- Nadziei.

- Niełatwo ją znaleźć w takich miejscach.

- Właśnie dlatego je wybrałem.

- Co będzie należeć do moich obowiązków?

- Chciałbym, żebyś spotkała się tam z pewnymi ludźmi. We współpracy z opieką społeczną wybrałem dziesięć osób.

Chciałbym, żebyś z nimi porozmawiała i wyjaśniła, na czym polega moja propozycja. Jeśli się zgodzą, będziemy działać dalej.

- Czyli Mace miałyby nawiązywać kontakty? - spytał Roy.

- Zgadza się. - Altman spojrzał na Mace. - Czy on jest twoim pełnomocnikiem?

- Czymś w tym rodzaju. Co proponujesz? - spytała Mace.

- Nazywam to stażem. Zabierzemy tych ludzi ze środowiska, w którym obecnie przebywają, umieścimy ich w zupełnie innym otoczeniu i poddamy rygorystycznemu programowi edukacji i dostosowania społecznego. Zbadamy ich zainteresowania i ambicje i pomożemy im je spełnić. Damy im szansę, których w przeciwnym razie nigdy by nie mieli.

- Brzmi trochę jak *My Fair Lady* - stwierdził Roy.

- Z jedną istotną różnicą - odpowiedział Abe. - Połączenie ze światem, w którym teraz żyją, nie zostanie zerwane. Utrzymają pełny kontakt z dotychczasowym życiem, będziemy ich do tego zachęcać. Celem programu jest rozwijanie i rozsiewanie nadziei. Uczestników programu można nazwać ambasadorami nadziei.

- Ale nikogo nie stać na takie staże dla wszystkich ubogich - stwierdziła Mace. - Nawet ciebie. Więc jak chcesz rozsiewać nadzieję?

Altman się uśmiechnął.

- Masz rację. Nikt nie zdoła w pojedynkę przenieść wszystkich potrzebujących pomocy do innego świata. Ale jeśli każda osoba, której pomożemy, zainspiruje chociaż jedną kolejną do wyrwania się z kręgu bezradności, w którym obecnie tkwi, pozytywne skutki mogą być nie do przecenienia. Zyskamy wtedy dziesięć osób spoza programu, które mogą zainspirować kolejne. Poza tym przyciągniemy w ten sposób uwagę władz, a nasze władze dysponują środkami pozwalającymi na pomoc wielu osobom.

- W tej chwili rząd jest raczej spłukany - zauważył Roy.

- Najcenniejsze zasoby każdej władzy to jej obywatele. Większość badań stwierdza, że mniej niż połowa dorosłych mieszkańców tego kraju realizuje swój potencjał. Jeśli przełożyć to na gospodarkę, można uznać, że tracimy tryliony dolarów rocznie. A poza władzami jest jeszcze sektor prywatny, który wciąż się skarży na brak odpowiednio wykwalifikowanych kadr. Muszę wam powiedzieć, że jedni z najbystrzejszych i najbardziej kreatywnych ludzi, jakich znam, siedzą w tej chwili w więzieniu. Niektórzy widzą w tym sprawiedliwość, ja - zmarnowane szanse. Nie każdego przestępcę mogę zmienić w praworządnego obywatela. Ale gdyby udało mi się sprawić, by choć dwadzieścia procent z nich wybrało inną drogę, taką, na której będą coś dawać społeczeństwu, a nie coś mu odbierać, miałyby to bardzo dobry wpływ na nasz kraj.

- Zdecydowanie jesteś optymistą, Abe - stwierdziła Mace. - Zgadza się, że wielu bandytów jest bystrych i sprytnych i prawdopodobnie z łatwością poradziłoby sobie w wielu rodzajach działalności biznesowej, ale wysoko stawiasz sobie poprzeczkę.

- Przez całe życie patrzyłem na świat przez różowe okulary. Czasem było to słuszne, czasem nie, ale wciąż staram się to robić, bo uważam, że warto.

- Ale ja na kilka lat wypadłam z obiegu. Nie wiem, czy ci się przydam.

- Ja nie jestem wiarygodny dla ludzi z tamtych okolic i wiem o tym. Z tobą to inna sprawa. Czuję, że z tobą naprawdę może mi się udać. - Altman zdjął okulary i przetarł je chusteczką. - Zgodziłabyś się na to?

- Nie mam...

Roy wtrącił się do rozmowy.

- O jakiej pensji mówimy? I o jakim pakiecie socjalnym?

Altman zamrugał oczami.

- Teraz rozumiem, po co przyprowadziłaś go ze sobą.

- Nie znam się za dobrze na takich rzeczach - pospiesznie wyjaśniła Mace.

- Bardzo dobrze to rozumiem. Będziesz zarabiać trzy tysiące tygodniowo plus pełna opieka zdrowotna, transport, pokrycie uzasadnionych wydatków, zakwaterowanie i wyżywienie. Zakładam, że projekt potrwa około roku, więc podstawowe wynagrodzenie wyniesie około stu sześćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów. Jeśli projekt okaże się sukcesem, będziesz miała możliwość dalszej pracy za podobne pieniądze.

Roy spojrział na Mace, a ona odpowiedziała mu spojrzeniem.

- Sądzę, że to godziwe wynagrodzenie - stwierdził w końcu prawnik, a Mace energicznie pokiwała głową na znak zgody, po czym dodała:

- Transport już mam, ale mówiłeś coś o zakwaterowaniu i wyżywieniu?

- Czas pracy będzie nienormowany, więc najlepiej byłoby, gdybyś zamieszkała tutaj, w domku dla gości. Stoi za kompleksem sportowym.

- Kompleksem sportowym? To ten duży budynek, który widzieliśmy po lewej, wjeżdżając?

- Zgadza się. Jest tam pełnowymiarowe boisko do koszykówki, sala do podnoszenia ciężarów i gimnastyki, sauna, sztuczna rzeka, trzydziestometrowy kryty basen, w pełni wyposażona kuchnia i pokój wypoczynkowy.

- Pełnowymiarowe kryte boisko do koszykówki? - spytał Roy.

- Tak. W szkole nigdy w nią nie grałem, ale zawsze mnie fascynowała i uwielbiam się jej przyglądać. Odkąd

przeprowadziłem się w te strony, jestem wielkim fanem Żółwi z Maryland. Chodzę na prawie wszystkie mecze, jakie grają u siebie i byłem na ostatnich trzydziestu siedmiu mistrzostwach ACC. - Altman przyjrzał się Royowi. - Zaczynasz wyglądać znajomo.

- Osiem lat temu byłem rozgrywającym w drużynie Kawalerzystów na Uniwersytecie Wirginii.

Altman klasnął w dłonie.

- Oczywiście, Roy Kingman! To ty pokonałeś nas w finałach ACC.

- Cóż, koledzy z drużyny bardzo mi pomogli.

- Niech pomyślę, trzydzieści dwa punkty, czternaście asyst, siedem zbiórek i trzy razy przechwyciłeś piłkę, a w ciągu sześciu dziesiątych sekundy podbiegłeś do kosza, wykonałeś wsad plecami do kosza, wymusiłeś, spokojnie trafiłeś rzut wolny i przegraliśmy jednym punktem.

- Masz niesamowitą pamięć, Abe.

Altman zwrócił się do Mace.

- Zgadzasz się?

- Tak.

- Znakomicie. - Wyciągnął z kieszeni klucz i rzucił go kobiecie.

- To klucz do domku gościnnego. Przypiąłem do niego kartkę z kodem do bramy. Czy masz komórkę?

- Eee, nie.

Mężczyzna otworzył szufladę, wyciągnął z niej telefon komórkowy i podał go Mace.

- Teraz już masz. Chcesz zobaczyć, gdzie będziesz mieszkać?

Pojechali na miejsce wózkiem golfowym. Domek gościnny stał obok niewielkiej sadzawki wypełnionej wodą ze źródła, wyglądał jak miniatura głównego domu i był najwygodniejszym

i najbardziej luksusowo urządzonej lokum ze wszystkich, w jakich Mace zdarzyło się przebywać.

Roy popatrzył na duże, otwarte przestrzenie.

- Ile to ma metrów?

- Jakies pięćset pięćdziesiąt. Bill z rodziną mieszkali tu podczas budowy nowego domu.

- Mój apartament ma sto dziesięć metrów - stwierdził Roy.

- Moja cela miała dwa i pół na dwa i pół - dodała Mace.

W drodze powrotnej do głównego budynku Altman stwierdził:

- Wiecie co, to zabawne.

- Co takiego? - spytał Roy, który siedział na tylnym siedzeniu wózka.

- Dorastałem w Omaha z Warrenem Buffettem i nigdy nie myślałem, że coś w życiu osiągnie.

- To samo mówili o mnie - odcięła się Mace.

19

- Popełniasz błąd.

Beth zdjęła mundur i przebrała się w dres. Poćwiczyła z ciężarkami i zrobiła pół godziny ćwiczeń na orbitreku stojącym na wyższym piętrze domu. Dochodziła północ, ale żadna z sióstr nie wydawała się śpiąca. Siedziały naprzeciwko siebie w salonie, a Ślepek leżał zwinięty u stóp Mace.

- Myślałam, że chcesz, abym dostała tę pracę.

- Mówię o Royu Kingmanie. Nie powinnaś się z nim zadawać.

- Dlaczego nie?

- Nie oczyściliśmy go jeszcze z podejrzeń o zabójstwo w sprawie Tolliver, a ty jesteś na zwolnieniu warunkowym. To znaczy, że musisz unikać kontaktu ze wszystkimi osobami, które nie cieszą się nieposzlakowaną opinią.

- Właśnie po to się z nim spotykam. Żeby trzymać rękę na pulsie.

- Może się okazać, że spędzasz czas z zabójcą.

- To nie byłby pierwszy raz.

- Wtedy pracowałaś pod przykrywką.

- Teraz też można tak powiedzieć.

- Nie jesteś już policjantką.

- Kto raz zostaje policjantem, będzie nim na zawsze.

- To nie działa w ten sposób. I wydawało mi się, że już o tym

rozmawialiśmy?

- Może i tak.

- Pracuję nad tą sprawą, Mace. Jeśli zaczniesz węszyć, możesz wszystko popsuć i zaszkodzić i mnie, i sobie. Skoncentruj się na tym, co chcesz zrobić ze swoim życiem.

Mace usadowiła się wygodniej w fotelu i zrezygnowanym głosem stwierdziła:

- Dobrze już, dobrze. Zrozumiałam.

- Cieszę się i trzymam cię za słowo. Kiedy zaczynasz pracę u Altmana?

- Za dwa dni. Chce, żebym się przeprowadziła do domku gościnnego w jego posiadłości.

Beth wyglądała na zaskoczoną.

- Myślałam, że pomieszkasz tu trochę ze mną.

- Mogę mieszkać tu i tu i jeździć tam, kiedy praca będzie tego wymagać.

- W porządku - odpowiedziała wyraźnie rozczarowana Beth.

- Nie zostawię cię samej.

- Wiem. Ale nie było cię przez dwa lata. Potrzebuję dużej dawki Mace Perry.

Mace chwyciła siostrę za ramię.

- Dostaniesz ją. Mamy mnóstwo do nadrobienia.

- Zanim zupełnie się rozkleimy, muszę ci przekazać, że dzwoniła mama. Chciałaby się z tobą zobaczyć.

Mace uderzyła pięścią poduszkę, którą trzymała.

- To chyba jedyne, co naprawdę mogłoby mnie zmusić do płaczu. Kiedy?

- Co powiesz na jutro?

- Pojedziesz ze mną?

- Przykro mi, mam napięty harmonogram.

- Czy wciąż mieszka na plantacji z tymi wszystkimi niewolnikami?

- Kiedy sprawdzałam to ostatni raz, płaciła pracownikom godziwe stawki.

- A mężuś?

- Siedzi pod pantoflem i się nie wtrąca.

- Może zamiast tego przebiegłabym się nago przez dzielnicę trynidadzką z napisem „DEA” wymalowanym na plecach?

- Może tak byłoby bezpieczniej. Aha, Lowell Cassell kazał cię pozdrowić i powtórzyć ci, że niebo naprawdę istnieje, a Mona Danforth nigdy do niego nie trafi.

- Wiedziałam, że za coś go uwielbiam. A co znalazł? - spytała Mace, po czym szybko dodała: - Nie węszyć, jestem tylko ciekawa.

- Tolliver padła ofiarą gwałtu.

- Znaleziono ślady spermy?

- Tak. A do tego kilka włosów łonowych i odrobinę włókna. Poza tym na ubraniach Tolliver były plamy.

Mace wstała.

- Cóż, chyba powinnam się wyspać, jeśli mam przeżyć spotkanie z mamą. Ty też idziesz spać?

Beth zdążyła już wyciągnąć swoje BlackBerry i odpowiadała na e-maile.

- Zostały mi jeszcze tylko dwieście sześćdziesiąt trzy.

- Wciąż odpowiadasz na każdą wiadomość w ciągu dwudziestu czterech godzin?

- To jedno z moich zadań.

- Nigdy sobie nie odpuszczasz, co?

Beth spojrzała na siostrę.

- Mówisz, jakby z tobą było inaczej.

- Ja się bawiłam.

- Mnie też się zdarzało.

- Taa, twój były był wybitnie rozrywkowym gościem.

Siostrzyczko, ja straciłam dwa lata, ty natomiast straciłaś osiem.

- Nie cała wina leży po stronie Teda. Moja kariera.

- Przecież wiedział, co się święci.

Beth przestała pisać na BlackBerry.

- Idź się wyspać. Spotkanie z mamą będzie wymagać mnóstwa energii.

20

Mace pędziła po krętych drogach prowadzących w rejon, gdzie hodowano konie, a stare fortuny mieszały się, często opornie, z nowymi. Zamierzała pojechać do matki, ale zmyliła drogę. Zawracając po śladach zgubiła się jeszcze bardziej. W końcu zatrzymała motor na piaszczystej ścieżce otoczonej drzewami. Kiedy próbowała ustalić swoje położenie, usłyszała, jak coś się rusza po jej prawej stronie. Kiedy tam spojrzała, serce zabiło jej szybciej. Sięgnęła po broń, ale, rzecz jasna, nie miała jej przy sobie.

- Jak udało wam się wyjść, do cholery?

Krowa Juanita kaczkowatym krokiem szła w jej stronę, za nią zbliżała się Lily White Rose o dziewiętnastu zębach. Juanita szeroko się uśmiechała i trzymała w ręku Smith & Wessona kalibru 40, Lily White była uzbrojona w swój nóż do patroszenia. Mace próbowała zapuścić silnik, ale motor nie chciał odpalić. Kobiety zaczęły biec w jej stronę.

- Cholera! - Mace zeskoczyła z motocykla i pobiegła do lasu, ale but ugrzązł jej w kopcu ziemi i runęła jak długa. Kiedy udało jej się odwrócić, kobiety już nad nią stały.

- Tu nie ma starszej siostrzyczki, która by ci pomogła, złotko - zagruchała Juanita.

Rose nie odezwała się ani słowem. Odwiodła tylko ramię,

gotowa na każde słowo królowej pszczoł zatopić ząbkowane ostrze w tętnicy szyjnej Mace.

- Zrób to, Lily White, i spadamy stąd.

Cios spadł z szybkością, na którą Mace nie była przygotowana, wprost na jej szyję.

- Nie!

Mace spadła z łóżka. Poczowała ciepłą krew płynącą jej z nosa po tym, jak uderzyła nim o szafkę nocną. Niezgrabnie osunęła się na pokrytą wykładziną podłogę i leżała tak, jak upadła.

Ślepek, który spał na podłodze tuż obok miejsca, w którym wylądowała, polizał ją po twarzy i zaczął cicho skamleć jej do ucha.

- W porządku, Ślepek, nic mi nie jest.

W końcu podniosła się z podłogi, usiadła na łóżku i wycofała się w róg, gdzie usiadła skulona w pozycji obronnej, z rękami zwiniętymi w pięści, wyglądając w mrok i oddychając płytko i nierówno. Ślepek leżał przed nią w ciemnościach, a jego duży, różowy nos zapewne wyczuwał wszystkie zapachy, jakie wydzielala ze strachu.

Godzinę później wciąż siedziała w tej samej pozycji, napierając plecami na płytę gipsową, którą siostra specjalnie na jej powrót pomalowała na kojący odcień błękitu. Nie myślała już jednak o Juanicie ani o patroszącej Rose. Widziała siebie naćpaną metamfetaminą, siedzącą bezwładnie w kącie, podczas gdy jej organizm przechodził nieopisane katusze.

Nigdy nie zobaczyła żadnego z nich, żadnego z bandytów, którzy porwali ją z zaułka, gdzie prowadziła punkt obserwacji hurtownika narkotyków z O6. Po wielu zastrzykach z tego świństwa przez trzy dni pod rząd nie wiedziała nawet, jak się nazywa. Z tego okresu zapamiętała mgliście wsiadanie do

samochodów i wysiadanie z nich, pistolet trzymany w dłoni i wchodzenie do sklepów, by zabrać rzeczy, które do niej nie należały.

Raz padły strzały. Zapamiętała, że odruchowo pociągnęła za spust, ale jej broń nie wystrzeliła. Okazało się, że magazynek ani przez chwilę nie był pełen. W końcu została aresztowana z nienaładowanym pistoletem Sig-Sauer w rękę i zgromadzono przeciw niej dość dowodów, by zamknąć ją na kilka lat. W międzyczasie reszta jej „gangu” gdzieś się ulotniła.

I tak młodsza siostra komendanta policji Dystryktu Kolumbii została ujęta podczas napadu z bronią w rękę, którego dokonała pod wpływem metamfetaminy. Niektórzy nazwali ją Patty Hearst⁴ dwudziestego pierwszego wieku. Aresztowanie, proces, skazanie i apelację pamiętała jak przez mgłę. Mona rzuciła się na nią zajadle i niewiele brakowało, a doprowadziłaby do zamknięcia jej na dwadzieścia lat o tysiąc mil od Waszyngtonu. Przekonująco argumentowała, że Mace tak zaangażowała się w pracę pod przykrywką, że w końcu jej mroczna strona wzięła górę. Mace pamiętała, jak siedziała na sali sądowej, patrząc jak plująca jadem pani prokurator wskazuje ją palcem i uderza pięścią w stół adwokata żądając, by zamknąć to „bydlę” na zawsze. Mace ponad sto razy wyobrażała sobie, jak zabija tę sukę. A kiedy w końcu skazano ją na dwa lata więzienia, wszyscy obrócili się przeciw niej i jej siostrze.

Kiedy ciężarówka, która wiozła zakutą w kajdanki Mace, podjechała do więzienia, stały pod nim wozy transmisyjne wszystkich stacji. Naczelnik, który najwyraźniej chciał przez chwilę znaleźć się w blasku fleszy, osobiście poprowadził Mace przez piekło mediów i wrogiego tłumu. Ciskano w nią śmieciami i niewyobrażalnie wulgarnymi obelgami. Ona jednak szła przed

siebie z głową uniesioną wysoko i oczami utkwionymi w jeden punkt – stalowe wrota miejsca, w którym miała spędzić najbliższe dwa lata życia. Jednak choć Mace była twarda, łzy zaczęły napływać jej do oczu, a usta – drżeć. Znajdowała się w sytuacji jak z Orwella.

Nagle tłum gapiów się rozstał, wyszła z niego wysoka postać w pełnym policyjnym mundurze z czterema gwiazdkami i zaczęła kroczyć obok Mace. Wyraz zaskoczenia na twarzy naczelnika świadczył o tym, że zupełnie nie spodziewał się on takiego obrotu sprawy. Tłum przestał krzyczeć. Nie rzucono w Mace niczym więcej. Nie kiedy obok siostry szła komendant policji Elizabeth Perry, z bronią, odznaką i kamienną twarzą. Patrzyła na gapiów i siłą woli zmusiła ich, by ucichli. To wspomnienie, ostatnie wspomnienie siostry, pozwoliło Mace wytrzymać dwa lata.

Z tą myślą Mace w końcu zasnęła leżąc na podłodze. Dwie godziny przed świtem obudziła się nagle, chwiejnym krokiem poszła do łazienki, zmyła z twarzy zaschniętą krew i wróciła do łóżka. Była wyczerpana i spała prawie trzy godziny, do delikatnej pobudki, którą urządziła jej siostra.

Mace usiadła na łóżku i niepewnie rozejrzała się po pokoju.

Beth podała jej kubek czarnej kawy i usiadła obok niej.

– W porządku?

Mace wypila trochę kawy i oparła się o zagłówek łóżka.

– Tak, wszystko dobrze.

– Wyglądasz trochę niewyraźnie. Miałaś zły sen?

Mace zeszywniała z napięcia.

– A co, słyszałaś coś?

– Nie, ale pomyślałam, że byłoby to normalne. Twoja podświadomość pewnie wciąż myśli, że na drzwiach i oknach są kraty.

- Nic mi nie jest. Dzięki za kawę.
- Zawsze do usług - powiedziała Beth wstając.
- Słuchaj.

Siostra spojrzała na Mace.

- Chcesz o coś spytać?
- Pamiętam, jaki cyrk medialny towarzyszył mojemu uwięzieniu.

Zastanawiałam się.

- Dlaczego nikt nie zainteresował się twoim powrotem?
- Tak.

- Odpowiedź jest prosta. To żaden news. Minęły dwa lata. Codziennie dochodzi do jakiegoś kryzysu na szczeblu krajowym lub międzynarodowym, bankrutuje wielka firma, giną ludzie albo jakiś psychol w kamizelce kuloodpornej strzela z broni automatycznej do klientów centrum handlowego. Poza tym kiedy cię nie było, zniknęły setki gazet, te, które zostały, zredukowały liczbę pracowników o połowę, a ludzie z radia i telewizji zwykle poszukują bardziej sensacyjnych tematów niż ty, żeby zwiększyć słuchalność i oglądalność. Ale tak na wszelki wypadek zastosowałam pewną sztuczkę.

Mace usiadła wygodniej na łóżku.

- Co masz na myśli?
- Zaproponowałam, że udzielisz obszernego wywiadu. Pewnie stwierdzili, że skoro przyszło im to tak łatwo, lepiej sobie odpuścić.
- To całkiem sprytne, Beth. Masz dziś dużo pracy?
- Nie. Nie słyszałaś? W nocy w cudowny sposób zniknęła przestępczość.

Mace wzięła prysznic, przebrała się i obejrzała w lustrze swoją twarz, włosy i ubrania. Później była wściekła na siebie, że to zrobiła. Jakkolwiek by wyglądała, jej matka znajdzie jakieś

niedociągnięcia. W tej chwili nie musiała bardzo uważnie szukać.

Kilka minut później zapuściła silnik ducati. Ślepek natychmiast zaczął wyc z za drzwi. Mace uśmiechnęła się i zwiększyła obroty. Po chwili skierowała się na zachód, opuściła Dystrykt Kolumbii i wjechała do Wirginii przez Memorial Bridge. Lawirując w ruchu ulicznym Mace zaczęła myśleć o zbliżającym się spotkaniu z kobietą, która ponad trzydzieści lat temu ją urodziła. Jakaś część niej czuła, że wolałaby wrócić do więzienia.

21

Mace jechała prosto przed siebie drogą numer 50, starając się omijać poranne korki. Dopiero na światłach w Middleburgu musiała zredukować bieg i w końcu się zatrzymać. Parking przy ulicy był pełen range roverów i jaguarów, gdzieś tam stał też dodany dla równowagi smart. Niewielka podmiejska dzielnica utrzymana w wiejskim stylu była modna i bogata, a jeśli dysponowało się kilkoma milionami dolarów, można się tu było naprawdę fajnie urządzać. Kilka lat wcześniej Mace i Beth odwiedziły tu swoją matkę, obejrzały jej luksusową posiadłość, zjadły obiad w eleganckiej restauracji, pooglądały witryny sklepów i wróciły do ścigania przestępców w Waszyngtonie. Ta jedna wizyta wystarczyła Mace aż nadto.

Beth Perry była zaledwie o sześć lat starsza od siostry, ale opiekowała się nią znacznie częściej niż matka. W zasadzie, z tego co pamiętała Mace, przytulała ją tylko Beth, która w wieku dziewięciu lat już była wysoka i smukła.

Choć Benjamin Perry zginął, gdy Mace miała zaledwie dwanaście lat, wywarł wielki wpływ na swą młodszą córkę. Mace doskonale pamiętała, jak siadywała w jego niewielkim gabinecie robiąc prace domowe, podczas gdy ojciec układał swoje przemowy, które często czytał jej na głos i zasięgał jej opinii. Płakała najbardziej ze wszystkich podczas jego pogrzebu, na

którym wieko trumny było zasłonięte, by ukryć rany postrzałowe na twarzy.

Przejeżdżając obok rozległych posiadłości, majestatycznie rozciągających się na setkach akrów, Mace zdała sobie sprawę, że jej matka osiągnęła taki poziom zamożności głównie dzięki swemu wyrachowaniu. Znalazła i zdobyła mężczyznę, który nie przepracował w życiu ani jednego dnia, za to był synem człowieka, który zgromadził fortunę na tyle dużą, by kilka pokoleń jego potomków mogło wygodnie z niej żyć. Stało się to, kiedy obie córki były już dorosłe i wyprowadziły się od matki, i Mace była za to bardzo wdzięczna. Wolała jazdę autobusem i ubrania z sieciowych sklepów niż prywatne odrzutowce i wizyty w butikach Gucciego.

Beth odziedziczyła wysoki wzrost po matce, która była o kilkanaście centymetrów wyższa od męża. Mace zawsze uważała, że odziedziczyła po ojcu zarówno drobną posturę, jak i wojowniczy charakter. Kariera Benjamin Perry'ego jako prokuratora okręgowego Dystryktu Kolumbii została tragicznie przerwana, ale jego praca na tym stanowisku przypadła na jedno z najgwałtowniejszych lat w historii Waszyngtonu i szybko zasłynął z bezkompromisowej walki z bandytami. Uznanie zyskał również fakt, że zawsze grał fair – jeśli pojawiły się okoliczności łagodzące, zawsze informował o nich adwokatów. Wiele razy mówił Mace, że najbardziej boi się nie tego, że winny może pozostać na wolności, ale że niewinny mógłby trafić do więzienia. Kobieta nigdy nie zapomniała tych słów i wiadomość o nominacji Mony Danforth na dawne stanowisko jej ojca była przez to dla niej jeszcze trudniejsza do zaakceptowania.

Nigdy nie wyjaśniono sprawy zabójstwa Benjamin Perry'ego. Jego córki wielokrotnie próbowały ją zbadać, jednak nic nie

działały. Dowody ginęły lub okazywały się niewiarygodne, świadkowie odwoływali zeznania lub umierali. Takie stare sprawy były najtrudniejsze do rozwiązania, jednak Mace wiedziała, że skoro wyszła z więzienia wcześniej czy później znów się za to zabierze.

Kilka kilometrów za Middleburgiem zwolniła i skręciła w zwirową aleję, która po mniej więcej kilometrze przeszła w brukowany podjazd. Mace wzięła głęboki oddech i zatrzymała się przed domem. Nosił on jakąś szkocką nazwę, gdyż mężus pochodził ze Szkocji i był bardzo dumny ze swego klanu, który wciąż tam mieszkał. Podczas poprzedniej wizyty Mace i Beth wszedł ubrany w kilt, ze sztyletem w skarpecie i biretem na głowie. To w zupełności by wystarczyło, ale biedak zahaczył spódnicą o rękojeść miecza trzymanego przez duży posąg zbrojnego wojownika stojący pod jedną ze ścian, przez co kilt się rozchylił i wyszło na jaw, że pan domu nie ma nic pod spodem. Mace robiła, co mogła, by nie pęknąć ze śmiechu. Myślała, że wypadła w miarę dobrze, jednak matka surowo poinformowała ją, że jej mężowi nie spodobało się, jak Mace turlała się po podłodze spazmatycznie łapiąc powietrze, podczas gdy on rozpaczliwie usiłował obciągnąć kilt, by zakryć części intymne.

- W takim razie powiedz temu dziwakowi, żeby zaczął nosić bieliznę - odcięła się Mace tak, by ojczym mógł ją usłyszeć. - Zdecydowanie nie ma się czym chwalić.

Te słowa również nie zostały ciepło przyjęte.

Kiedy pokonała ostatni zakręt, dwór ukazał jej się w całej okazałości. Był mniejszy niż rezydencja Abe'a Altmana, ale niewiele. Mace podeszła do frontowych drzwi spodziewając się, że otworzy jej lokaj w liberii. Tak się jednak nie stało.

Drzwi otworzyły się zamasyście i na progu stanęła jej matka,

ubrana w długą, czarną spódnicę od znanego projektanta, sięgające połowy łydki kozaki i nakrochmaloną, białą haftowaną tunikę, na której nosiła złoty łańcuszek. Siwiejące blond włosy Dany Perry wciąż były długie, jednak dzisiaj zaplotła je we francuski warkocz. Wyglądała na co najmniej dziesięć lat młodszą niż była. Beth odziedziczyła po matce rysy twarzy – pociągłe i urocze, z nosem prostym i cienkim jak ostrze topora. Dana wciąż miała też wydatne kości policzkowe. Na jednej ze szczupłych rąk trzymała ufryzowanego yorkshire terriera.

Mace nie spodziewała się uścisku – i nie otrzymała go.

Matka zmierzyła ją wzrokiem.

– Zdaje się, że pobyt w więzieniu dobrze ci zrobił. Bardzo wyszczuplałeś.

– Szczerze mówiąc, wolałabym to osiągnąć chodząc na siłownię.

Matka wytknęła ją długim palcem.

– Twój ojciec musi przewracać się w grobie. Nie widzisz nic poza czubkiem swojego nosa. Popatrz, co osiągnęła twoja siostra. Musisz w końcu wziąć się za siebie, malutka, bo wylądujesz w szambie. Rozumiesz?

– Chcesz, żebym weszła do środka, czy wystarczy, żebyś w ramach wizyty wbiła mi szpilę stojąc na werandzie, a potem będę mogła wrócić do prawdziwego świata?

– Nazywasz to tonące w śmieciach miasto prawdziwym światem?

– Rozumiem, że przez ostatnie dwa lata nie mogłaś przyjechać się ze mną zobaczyć, bo byłaś tu uwięziona?

– Twój widok w więzieniu z pewnością dodatnio wpłynąłby na moje zdrowie psychiczne.

– No tak, przepraszam, zapomniałam o pierwszej zasadzie Dany: wszystko kręci się wokół ciebie.

- Wchodź do środka, Mason.

Mace skłamała Royowi Kingmanowi. To nie ojciec nadał jej imię Mason. Zrobiła to matka i to z wyjątkowo ohydneho powodu. Miała mężowi za złe, że dość mało zarabiał jako prokurator i chciała, żeby zajął się adwokaturą, w której jego umiejętności i reputacja mogły mu przynieść dochód dziesięć razy większy niż praca w biurze prokuratora. Mason Perry, odwrócenie nazwiska Perry Mason - był to niezbyt subtelny sposób jej matki na przypomnienie ojcu o tym, czego nie mógł jej dać.

- Mam na imię Mace. Myślałam, że po wszystkich tych latach zdołasz to zapamiętać.

- Odmawiam zwracania się do ciebie, jakbym mówiła o broni.

Powoli przechodząc obok matki pomyślała, że to chyba dobrze, że nie wolno jej nosić pistoletu.

Roy Kingman, który nie poszedł tego dnia pograć w kosza, przeszedł obok Neda. Ochroniarz wyglądał na znacznie bardziej skoncentrowanego niż zwykle, miał nawet mundurowy krawat zaciągnięty pod samą tłustą szyję. Raźnie zasalutował prawnikowi i pewnie skinął głową, jakby chciał zapewnić, że dziś nie przemknął obok niego żaden morderca.

Dawaj, brachu.

Roy pojechał windą do kancelarii Shilling & Murdoch. Policja wciąż była na miejscu; w biurze Diane i kuchni, które zostały ogrodzone taśmą, wciąż pracowali policyjni technicy. Uniknął rozmów z kilkoma innymi prawnikami. Zgrywał chojraka przy Mace, która niewątpliwie widziała w życiu więcej zwłok niż on, ale znalezienie Diane mocno się na nim odbiło. Odtwarzał ten moment w głowie raz za razem, aż poczuł się, jakby coś go dusiło.

Przeszedł obok biura Chestera Ackermana, ale drzwi były zamknięte, a jego sekretarka, która siedziała naprzeciwko gabinetu szefa, wyjaśniła, że właśnie przesłuchuje go policja. Roy w końcu wszedł do swojego biura i zamknął drzwi. Usadził się za biurkiem, włączył komputer i zaczął przeglądać otrzymane e-maile. Piąty z nich zwrócił jego uwagę. Był od Diane Tolliver. Sprawdził datę wysłania. Poprzedni piątek, kilka minut po dziesiątej. Nie sprawdzał służbowej skrzynki w weekend, gdyż nie

miał żadnych pilnych spraw. Zamierzał przejrzeć pocztę elektroniczną w poniedziałek rano, ale wtedy ciało Diane wypadło z lodówki. Wiadomość zakończona była inicjałami Diane, „DLT”.

Treść listu była zwięzła i zagadkowa, nawet dla kogoś z pokolenia Twittera.

Musimy skoncentrować się na A-

Dlaczego nie dokończyła wiadomości? I dlaczego ją wysłała, skoro nie skończyła pisać?

Wiedział, że to może być nieistotny drobiazg. Jemu też zdarzało się popełniać gafy przez literówki. Gdyby chodziło o coś ważnego, Diane wysłałaby mu jeszcze raz całą wiadomość albo do niego zadzwoniła. Sprawdził komórkę. Nie miał od niej wiadomości. Przejrzał listę ostatnich połączeń - mogła przecież zadzwonić i nie zostawić wiadomości - ale i tam nic nie znalazł.

A-?

Nie wywoływało to w nim żadnych oczywistych skojarzeń. Jeśli było to odniesienie do klienta, nie miał pojęcia do którego. Wyświetlił listę na monitorze i policzył. Nazwy dwudziestu ośmiu klientów zaczynały się na literę A, a sprawy jedenastu z nich prowadził wspólnie z Diane. Reprezentowali kilka firm z Bliskiego Wschodu, które nazywały się Alto czy Al-tamto. Inny prawnik z firmy? W Waszyngtonie pracowało ich prawie pięćdziesięciu, w innych biurach kolejnych dwudziestu dwóch. Wszystkich ze swojej kancelarii znał osobiście. Szybko przeliczył w głowie - na A zaczynali się Alice, Adam, Abernathy, Aikens i Chester Ackerman.

Wiedział, że policja skopiowała pliki z komputera Diane, co oznaczało, że dysponowali już tym, co on przed chwilą znalazł. Czy powinien zadzwonić i powiedzieć im o swoim odkryciu?

Mogliby mi nie uwierzyć.

Po raz pierwszy Roy zrozumiał, co czuli klienci, których bronił w sprawach karnych. Wyszedł z biura i zjechał windą na dół. Zamierzał pójść nad rzekę, by ułożyć sobie wszystko w głowie. Na czwartym piętrze drzwi się otworzyły i dopadł go dźwięk pił mechanicznych i młotków. Popatrzył, jak starszy człowiek w spodniach, białej koszuli z krótkimi rękawami i kasku wsiadł do windy.

Czwarte piętro zostało zamknięte i trwała jego przebudowa dla nowego najemcy. Pozostali lokatorzy budynku odliczali dni do zakończenia remontu, który powodował mnóstwo hałasu i wielki bałagan.

- Jak idzie? - spytał mężczyzny, który trzymał pod pachą zwój planów.

- Wolniej, niż byśmy chcieli. Jest zbyt wiele problemów.

- Ludzie nie przychodzą do pracy? Nadzór budowlany nie chce przyjąć inwestycji?

- To też, a poza tym giną nam rzeczy.

- Rzeczy? Co na przykład?

- Narzędzia. Jedzenie. Myślałem, że budynek jest zabezpieczony.

- Ochroniarz w recepcji jest do niczego.

- Słyszałem, że zabito tu jakąś panią prawnik. Czy to prawda?

- Obawiam się, że tak.

23

Roy poszedł wzdłuż nabrzeża i zatrzymał się przy jednym z pomostów, przy którym zacumowany był dwunastometrowy jacht. Zastanawiał się, jak by to było mieszkać na łodzi i po prostu płynąć przed siebie, oglądać zachody słońca, pływać, kiedy miałyby na to ochotę, no i obejrzeć świat. Znał swoje rodzinne strony, mieszkał w Charlottesville w Dystrykcie Kolumbii, odwiedził wiele miast, ale tylko po to, by wyjść w nich na parkiet. Oglądał Atlantyk i Pacyfik z wysokości dwunastu tysięcy metrów, widział Big Bena i piasek na Bliskim Wschodzie. To wszystko.

Poczuł zapach przybysza, zanim go zobaczył.

Odwrócił się, od razu sięgając ręką do kieszeni.

- Czołem, Kapitanie.

- Roy. - Mężczyzna szybko mu zasalutował.

Kapitan dobiegał sześćdziesiątki i dorównywał Royowi wzrostem, tyle że nie był szczupły jak on, a miał budowę futbolisty i ważył o co najmniej trzydzieści pięć kilo więcej od niego. Prawnik był pewien, że kiedyś mężczyzna był potężnie umięśniony, ale w wyniku życia na ulicy jego niegdyś imponująca sylwetka obrosła tłuszczem. Miał teraz tak wydęty brzuch, że nie był w stanie zapiąć trzech dolnych guzików kurtki. Przechylał się mocno w prawo, zapewne wskutek skrzywienia kręgosłupa. Takie były efekty wyjadania byle czego z koszy na śmieci i spania na

gołym betonie.

Roy nazywał go Kapitanem z uwagi na dystynkcje na kurtce. Z tego, co udało mu się dowiedzieć o historii życia tego człowieka, Kapitan należał niegdyś do elitarnego pułku rangersów i wyróżnił się podczas wojny w Wietnamie, ale po powrocie do domu nie powiodło mu się najlepiej. Alkohol, a później także narkotyki zniszczyły dobrze się zapowiadającą karierę wojskową. Podobno próbował mu pomóc Urząd ds. Weteranów, ale w końcu spisano go na straty i Kapitan zamieszkał na ulicach stolicy kraju, którego bronił niegdyś własną krwią.

Był bezdomny już od ponad dziesięciu lat i z każdym rokiem jego mundur był coraz bardziej zniszczony, a jego skóra nosiła coraz więcej śladów działalności żywiołów – wyglądał przez to podobnie jak poplamione przez nie budynki. Nie było jednak nikogo, kto zmusiłby go, aby się porządnie wymył. Roy poznał Kapitana, kiedy pracował jako obrońca z urzędu. Zanim mężczyzna osiadł w Georgetown, miał szerszy zakres działania i bywał bardziej agresywny. Kilka razy oskarżano go o napaść, zwykle po tym, jak naprzykrzał się turystom lub pracownikom z biur o pieniądze i jedzenie. Roy raz go bronił, uzyskał wyrok w zawieszeniu i próbował zdobyć dla niego pomoc, ale Urząd ds. Weteranów był zajęty sprawami potrzebujących pomocy żołnierzy z toczonych obecnie wojen, a Kapitan nigdy szczególnie się nie starał.

Było to przykre, a wszystko, co mógł zrobić Roy, sprowadzało się do otworzenia portfela, spojrzenia w pociemniałą od brudu, siwiejącą twarz i gasnące, błędne oczy, które świadczyły o tym, że ich właściciel nie ma wszystkich klepek na swoim miejscu, i spytać:

- Może kupić ci coś do jedzenia?

Kapitan skinął głową i przeczesał swą olbrzymią dłonią splątane, brudne, siwawe włosy. Nosił podarte rękawiczki, które kiedyś były białe, a teraz miały kolor ciemniejszy niż jego twarz. Kiedy szli razem, Roy spojrział w dół i zauważył, że Kapitan zamiast butów ma na nogach kawałki kartonu obwiązane sznurkiem. Przetrwał ostatnią zimę i ulewne wiosenne deszcze, a teraz nie było już nocnych przymrozków, jednak kiedy odkrztusił flegmę i splunął nią do Potomacu, Roy zaczął się zastanawiać, czy uda mu się przeżyć tu kolejny rok. Kiedy popatrzył na kurtkę Kapitana i zobaczył na jego piersi Brązową Gwiazdę i inne medale, w tym dwa Purpurowe Serca, pomyślał, że walczący za ojczyznę zasługują na coś lepszego.

Kapitan poczekał przed kawiarnią, grzecznie niczym posłuszny pies, podczas gdy Roy kupował jedzenie. Kiedy prawnik wyszedł, podał bezdomnemu torebkę i patrzył, jak siada na krawężniku i zjada wszystko od razu, na koniec wypijając kawę, ociera usta papierową torbą i wstaje.

- Jaki rozmiar buta nosisz? - spytał Roy.

Kapitan spojrział na swoje stopy.

- Chyba duży.

- Ja też. Chodź.

Weszli do podziemnego garażu w biurowcu i Roy wyjął z tylnego siedzenia parę prawie nowych butów do koszykówki.

- Przymierz je - powiedział, rzucając je Kapitanowi, który miał na tyle szybki refleks, że udało mu się złapać oba. Usiadł na zimnej podłodze garażu i zdjął z nóg karton i sznurek. Kiedy Roy zobaczył poczerniałą, krwawiącą skórę pokrytą wrzodami i pozieleniałymi skaleczeniami, musiał odwrócić wzrok.

- Wygodne - stwierdził Kapitan minutę później.

Roy był pewien, że usłyszy taką odpowiedź, nawet gdyby mężczyzna musiał poucinać sobie palce u stóp.

- Jesteś pewien, Roy? One pewno kosztowały z milion dolarów.

- Nie były aż takie drogie, poza tym mam ich kilka par. - Roy przyjrzał się Kapitanowi. Gdyby dał mu gotówkę, bezdomny wydałby ją na alkohol lub narkotyki, które wcale by mu się nie przysłużyły. Trzy razy odwoził go do różnych schronisk, ale Kapitan nie zagrzał w żadnym miejscu nawet przez dzień. Nie mógł zabrać go do swojego apartamentu - zapewne nie spodobałoby się to jego sąsiadom, a nikt nie mógł zapewnić, że były wojskowy nie wpadnie nagle w szal i nie użyje Roya jako deski do krojenia.

- Przyjdź za parę dni, a będę miał dla ciebie więcej rzeczy, dobrze?

- Rozkaz! - odparł przyjaźnie Kapitan, po raz kolejny wykonując energiczny salut.

Roy nagle zauważył, że coś nie gra i zastanawiał się, dlaczego nie dostrzegł tego wcześniej.

- Gdzie twój wózek?

Jak wielu bezdomnych Kapitan trzymał cały swój dobytek w starym, zardzewiałym wózku na zakupy z zepsutymi przednimi kółkami. Skrzypienie metalu oznajmiało jego nadejście z odległości mili.

- Jakies kutasy go ukradły!

- Wiesz, kto?

- Cholerny Wietkong! Już ja ich dorwę! A wtedy. Patrz! - Kapitan sięgnął do kieszeni i wyjął z niej duży składany nóż. Broń wyglądała na wojskową.

- Nie rób tego, Kapitanie. Pozwól policji się tym zająć.

Mężczyzna wpatrzył się w Roya, a później pomachał mu swoją

wielką ręką.

- Dzięki za buty.

24

Niestety, mąż matki, Timothy, był w domu. Na szczęście nie miał na sobie kiltu. Zdaniem Mace wyglądał jak obibok, który rozpaczliwie pragnął uchodzić za posiadacza ziemskiego o brytyjskich korzeniach. Przekładało się to na jego strój, złożony z tweedowych ubrań, staromodnej kamizelki myśliwskiej z pochwami na naboje, uroczej butonierki idealnie pasującej do kraciastej koszuli i sięgających niemal do kolan brązowych butów do jazdy – choć w okolicy próżno było szukać konia. Kiedy Mace na niego popatrzyła, zaczęły jej drżeć policzki i musiała szybko spojrzeć w inną stronę, by nie prychnąć.

Starsza pani w stroju pokojówki przyniosła kawę i maleńkie kanapki do podróbki angielskiej oranżerii, w której usiedli. Wyglądała tak, jakby wolała wbijać sobie młotkiem w głowę trzyciałowe gwoździe, niż obsługiwać Timothy'ego i Danę. Kanapki nie były tak smaczne jak słodczyce, którymi poczęstował ją Abe Altman, ale Mace zdołała się najeść i podnieść sobie poziom kofeiny we krwi.

Mały york, który, jak jej powiedziano, nazywał się Angelina Fernandina, siedział na puszystej poduszce przed własną złotą tacą pełną luksusowych przekąsek, które gryzł zębami o wielkości i kształcie drzazg. Mace pochyliła głowę patrząc na wychuchaną Angelinę.

- Czy zakładacie jej ubranka?
- Tylko na czas podróży. Marznie w naszym odrzutowcu - wyjaśniła Dana.

- Biedactwo - stwierdziła Mace.

- A czy Beth dalej ma całą menażerię przybłąd?

- Tylko mnie i Ślepaka, ale on świetnie się trzyma. Pewnie będzie jeszcze w dobrej formie, kiedy stara Angie pójdzie do ziemi.

Timothy słysząc tę uwagę głośno wciągnął powietrze przez zęby i poklepał Angelinę wierzchem dłoni - po czym Mace poznała, że w ogóle nie lubi psów, nawet ufryzowanych.

- No więc, jak wam upływa arystokratyczny żywot na wsi?

Timothy dystyngowanie otarł wargi serwetką z monogramem i zerknął na Danę, najwyraźniej czekając na jej odpowiedź.

- Timothy został wybrany na szefa lokalnej komisji do spraw zagospodarowania przestrzennego. To ważne stanowisko. Nie uwierzysz, jakie rzeczy ludzie chcą tu budować. To jakaś parodia.

„Mówisz o postawieniu szkockiego zamku o powierzchni dwóch tysięcy metrów kwadratowych na terenie wiejskim, które spowodowało dziesięciokrotny wzrost opodatkowania nieruchomości sąsiadów?” - pomyślała Mace, ale na głos powiedziała:

- Gratulacje, Timothy. To wspaniale.

Szkot lekko wypiął pierś, przełykając ostatni kawałek kanapki. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał, jakby zwracał się do wielotysięcznej publiczności.

- Dołożę wszelkich starań, by wypełniać swe obowiązki wedle moich najlepszych umiejętności. Bardzo poważnie traktuję powierzone mi przywództwo.

Boże, jesteś największym kutasem na świecie.

- Nie wątpię - przymilnie stwierdziła Mace.

- A zatem, Mason, jakie masz plany? - spytała Dana.

Mace powoli odstawiła filiżankę.

- Zamierzałam zarabiać na życie robiąc striptiz przed kamerką internetową, ale dostałam ofertę pracy.

- Jaką?

- Mam być asystentką wykładowcy uniwersyteckiego.

- Dlaczego wykładowca uniwersytecki chciałby, żebyś była jego asystentką? - zadrwiła jej matka.

- Jest niewidomy, ma ograniczony budżet, a wychodzi na to, że jestem tańsza niż pies przewodnik.

- Mason, czy możesz raz w życiu być poważna?

No dobra, próbowałam być miła, ale nic z tego nie wyszło.

- Co cię obchodzi, czym będę się zajmować? Obie wiemy, że jest o kilka lat za późno, żebyś mogła bawić się w mamę.

- Jak śmiesz?

Mace poczuła, jak czerwienią jej się uszy. Nie chciała rozmawiać w ten sposób. Naprawdę.

- Zawsze byłam śmiała. Więc daj spokój.

- W takim razie pozwól mi wyjaśnić, dlaczego mnie to obchodzi. Do kogo przybiegniesz, jeśli nie będziesz w stanie się utrzymać?

Mace zacisnęła ręce w pięści tak mocno, że knykcie zaczęły strzelać. Pochyliła się w stronę Dany tak mocno, że ich nosy dzieliło od siebie zaledwie kilka centymetrów.

- Prędzej odgryzłabym sobie rękę, niż poprosiłabym ciebie albo Jasia Wędrowniczka choćby o centa.

Poczerwieniały na twarzy Timothy wstał na obute w kamasze nogi.

- Chyba pójdę poćwiczyć jogę. Czuję się wyprowadzony z równowagi.

Dana natychmiast podała mu rękę.

- Dobrze, kochanie. Ale pamiętaj, dzisiaj jemy kolację z burmistrzem i jego żoną we French Hound.

Kiedy tylko wyszedł z pokoju, Dana powiedziała ze złością do młodszej córki:

- Trudno w to uwierzyć, ale wygląda na to, że więzienie zmieniło cię na gorsze.

Przytyk był tak słaby, że Mace go zignorowała i przez chwilę w milczeniu przyglądała się matce.

- Dlaczego wciąż jesteś dla niego taka słodziutka? Zaobrączkowałeś go. Jesteś prawnie poślubioną małżonką Lorda Pięknego Tyłka.

- On jest szkockim hrabią, nie lordem - odpowiedziała surowo Dana, a Mace nagle domyśliła się prawdy.

- Piękny Tyłek kazał ci podpisać zmyślną intercyzę, co?

- Zamilcz, Mason! Natychmiast!

- Jak to działa? Kilka bransoletek z brylantami, trochę gotówki i plik wysoko oprocentowanych obligacji za każdy rok małżeńskiego szczęścia?

- Nie wiem, dlaczego właściwie cię tu zaprosiłam - warknęła jej matka.

- To bardzo proste - stwierdziła Mace wstając. - Chciałaś, żebym zobaczyła, jak bajeczne życie prowadzisz. Jestem pod należytym wrażeniem. Cieszę się, że jesteś w tak oczywisty sposób szczęśliwa.

- Nie umiesz kłamać. Nigdy nie umiałaś.

- Chyba dlatego zostałam policjantką. Mogę wyciągnąć odznakę i sprawdzić, kto próbuje zrobić mnie w konia.

- Ale nie jesteś już policjantką, prawda? - To była zamierzona obelga.

- Nie, dopóki nie odkryję, kto mnie wrobił.

Dana przewróciła mocno umalowanymi oczami.

- Naprawdę się spodziewasz, że ci się to uda?

- Nie spodziewam się. Wiem.

- Cóż, na twoim miejscu bardzo przykładałabym się do pracy dla tego wykładowcy, bo z tego, co widzę, asystentka to najwyższa pozycja, jaką uda ci się osiągnąć.

- Dzięki za słowa wsparcia. Sama trafię do wyjścia.

Matka odprowadziła ją jednak aż do frontowych drzwi. Kiedy Mace zakładała kask, Dana spytała:

- Czy wiesz, ile kłopotów narobiłaś swojej siostrze?

- Tak się składa, że owszem.

- I oczywiście nic cię to nie obchodzi, prawda?

- Czy uwierzyłabyś, gdybym ci powiedziała, że jest inaczej?

- Brzydzę się twoim egoizmem.

- Cóż, uczyłam się go od najlepszych.

- Poświęciłam dla twego ojca najlepsze lata mojego życia.

Nigdy nie mieliśmy pieniędzy. Nigdzie nie wychodziliśmy. Niczym się nie zajmowaliśmy - i nie było na to szans.

- Taa, karanie przestępców i walka o to, by świat stał się lepszym miejscem dla wszystkich, nie były nic warte?

- Byłaś dzieckiem. Nie miałaś pojęcia, w czym rzecz.

- Miałam bardzo dobre pojęcie. Chcesz znać moje zdanie?

Nigdy nie będzie ci już tak dobrze, nieważne ilu bogatych Timothyach poślubisz.

- Tak myślisz?

Mace uniosła osłonę.

- Tak, bo tata był jedynym mężczyzną, jakiego naprawdę kochałaś.

- Jedź już!

Mace zauważyła, że prawa ręka jej matki lekko zadrżała.

- Czy wiesz, ile miałaś szczęścia, że taki dobry człowiek tak bardzo cię kochał? Beth nigdy tego nie doświadczyła. Ja tym bardziej nie, do cholery!

Wydawało jej się, że zanim matka zatrzasnęła drzwi, łzy napłynęły jej do oczu.

Mace szarpnięciem wrzuciła bieg w ducati - nagle rozpaczliwie zapragnęła wydostać się z tego miejsca. Może jej matka miała rację. Może już nigdy nie wróci do policji. Może już nigdy nie będzie lepiej niż teraz.

25

Beth przeczytała trzy razy sprawozdanie wyświetlone na monitorze komputera. Tego nauczył ją ojciec: czytaj raz, żeby wyrobić sobie ogólne pojęcie o sprawie, potem drugi raz, żeby wylapać najważniejsze szczegóły, i wreszcie trzeci raz, co najmniej godzinę po pierwszej lekturze, w oderwaniu od całej sprawy, tak żeby umysł i oczy nie czuły się zbyt pewnie.

Beth wróciła do lektury. Sprawdzone komputer służbowy i domowy Diane Tolliver i nie znaleziono żadnych niespodzianek. W służbowym było mnóstwo dokumentów prawnych, analiz i korespondencji w sprawie dziesiątków skomplikowanych umów. W domu zmarłej położonym na starówce w hrabstwie Alexandria nie znaleziono żadnych tropów ani poszlak. Teraz trzeba było pracować opierając się na jej życiu zawodowym i osobistym. Morderstwa bardzo rzadko zdarzały się przypadkiem, a zabójcy najczęściej wywodzili się spośród członków rodziny, przyjaciół, znajomych, rywali i porzuconych kochanków.

Przyjrzała się jedynej interesującej rzeczy znalezionej na służbowym komputerze Diane Tolliver: e-mailowi wysłanemu do Roya Kingmana w piątek wieczorem. List był zagadkowy i miała nadzieję, że Kingman będzie w stanie go wyjaśnić, ale kiedy odpowiadał przez telefon na pytania detektywów, stwierdził, że nie ma pojęcia, co oznacza wiadomość ani dlaczego ją otrzymał.

Z elektronicznych zapisów w garażu wynikało także, że Tolliver wyszła w piątek z biura dwie minuty przed siódmą i wróciła tam krótko przed dziesiątą, a później wyszła ponownie około dziesiątej czterdzieści. Ekipa sprzątająca, która przyszła o siódmej trzydzieści i wyszła około dziewiątej trzydzieści, nie zauważyła niczego niezwykłego.

Co robią ludzie przez kilka godzin w piątkowy wieczór? Jedzą kolację. Fakt, że pojechała samochodem wskazywał, że wybrała się zbyt daleko, by zrobić sobie spacer. Trwało pozyskiwanie informacji o zakupach dokonanych kartą kredytową, by sprawdzić, w której restauracji była. Rzecz jasna, to mogło zadziałać jedynie wtedy, jeśli to ona płaciła rachunek, ale warto było to sprawdzić.

Musimy skoncentrować się na ATak brzmiała wiadomość, którą wysłała do Kingmana i której on ponoć nie rozumiał. Czy tak brzmiała całość, czy wiadomość została ucięta? Być może autorce przerwano pisanie. Jeśli tak, kto mógł to zrobić o tak późnej porze? Poza tym w poniedziałek rano wciąż żyła. Beth zmarszczyła czoło, kiedy pomyślała o tym, że jej siostra ma kontakt z Kingmanem. Czy on byłby w stanie przeciąć pień mózgu? Pewnie tak.

Diane w ciągu weekendu wysłała z domu również inne e-maile, były to jednak rutynowe wiadomości do przyjaciół, poza tym zamówiła u dwóch sprzedawców rzeczy do domu. Jej BMW 735 było zaparkowane w garażu na jej miejscu, a zapis z otwarcia bramy wykazał, że wjechała do środka dokładnie o szóstej rano. Przeszukanie samochodu nie ujawniło niczego przydatnego.

Nie znaleziono torebki Tolliver, nie można więc było wykluczyć napadu rabunkowego. Została jednak również zgwałcona – to mogła być główna motywacja sprawcy, który później zabił ją, by

nie próbowała się dowiedzieć, kto jej to zrobił. Nikt w kancelarii Shilling & Murdoch, włączając w to Diane Tolliver, nie był w biurze w trakcie weekendu.

Z tego, co udało się dowiedzieć Beth, Tolliver zwykle zjawiała się w pracy około dziewiątej. Dlaczego więc w poniedziałek przyszła tak wcześnie? Trwało przesłuchanie wszystkich pracowników kancelarii, by ustalić, gdzie byli w poniedziałek rano. Beth liczyła jednak głównie na znalezienie w bazie danych osoby, której DNA uzyskano z nasienia.

Nie udało się znaleźć nikogo, kto rozmawiałby z Diane w ciągu weekendu. Jeden z jej sąsiadów stwierdził, że widział, jak wyjeżdża w pośpiechu około dziewiątej rano w niedzielę, ale nie zamienił z nią ani słowa. Mieszkała w skrajnym szeregowcu z garażem. Mogła wchodzić i wychodzić nie stykając się z nikim i prawdopodobnie to właśnie robiła w ostatni weekend przed śmiercią.

Brudne naczynia stojące w zmywarce i śmieci wskazywały na to, że w weekend jadła w domu. Miała sprzątaczkę, która przychodziła trzy razy w tygodniu, ale wyłącznie w dni powszednie. Billing rozmów z domowego telefonu nie wykazał żadnych połączeń wychodzących, a jedyne wiadomości nagrane na pocztę głosową pochodziły od innych prawników. Najwyraźniej, jak wiele osób, komunikowała się głównie za pomocą telefonu komórkowego.

Nie znaleziono jej iPhone'a, który zapewne był w torebce, zażądano jednak od operatora spisu połączeń. W ciągu weekendu Diane wykonała wiele telefonów, jednak wyłącznie do przyjaciół lub kolegów z pracy. Były to normalne weekendowe rozmowy. Rzecz jasna, Tolliver nie wiedziała, że ma przed sobą ostatni weekend swojego życia.

W piątek, ostatni dzień, który spędziła w biurze, miała spotkania z wieloma klientami. Trzech z nich, mieszkających w Waszyngtonie, przesłuchano, ale nie mieli nic ciekawego do powiedzenia. Zachowanie Tolliver wydawało im się zupełnie normalne. Dwóch piątkowych klientów pochodziło z zagranicy. Obaj odlecieli w piątek wieczorem i byli już na Bliskim Wschodzie. Było oczywiste, że żaden z nich nie może być mordercą.

Zadzwoił jej telefon komórkowy.

- Halo?

- Pracujesz do późna? - odezwał się głos Mace.

- Miałam iść na imprezę promującą działania społeczności lokalnych, ale ją odwołali. Co proponujesz?

- Kolację. Ja stawiam. Wybierz jakieś dobre miejsce. Naprawdę dobre, takie gdzie trzeba przyjść w odpowiednich butach i tak dalej.

- Czy Altman zapłacił ci a conto?

- Nie, wyczyściłam swój rachunek bankowy.

- Mace, a co z wierzycielami?

- Zacznę ich spłacać, kiedy dostanę pierwszą pensję. Zjedzmy coś w jakimś miłym miejscu.

- U mamy było aż tak źle?

- Obie wciąż żyjemy, więc chyba mogło być gorzej.

- Zgoda. Co powiesz na ósmą trzydzieści? Zadzwonię do ciebie, kiedy wybiorę miejsce.

Mace się rozłączyła, a Beth wróciła do swoich notatek. Zadzwoił jej służbowy telefon. Odebrała i słuchała przez dwie minuty.

Popołniono kolejne morderstwo. I tym razem to nie były przelewki. Zabito prokuratora. Nie Monę Danforth (Beth udało

się nie dodać do tej myśli „niestety”). Właśnie znaleziono ciało Jamiego Meldona w koszu na śmieci w północno-zachodniej części Waszyngtonu.

26

Po drodze Beth myślała o zabitym mężczyźnie. Jamie Meldon był jednym z najważniejszych asystentów Mony Danforth i różnił się od swojej szefowej tak, jak to tylko było możliwe. Był dobrym, pracowitym prawnikiem i jak wszyscy dobrzy prokuratorzy miał wrogów w półświatku. Jeden z tych wrogów mógł go zamordować. Było oczywiste, że nie uda jej się zjeść kolacji z Mace, ale jej siostra doskonale wiedziała, że w takiej pracy obowiązki mają pierwszeństwo.

Kiedy dotarła na miejsce zbrodni, nie zaskoczyło jej, że oprócz swoich ludzi zastała tam również FBI. Meldon był prokuratorem, więc jego zabójstwo stanowiło przestępstwo federalne. Zdziwiło ją jednak, że ekipa policyjna i kryminalistyczna właśnie zbierały się do odjazdu.

- Co się dzieje? - spytała oficera prowadzącego.

- Bardzo wyraźnie powiedziano nam, że to śledztwo federalne i że nie jesteśmy tu mile widziani.

- Jakbyśmy nigdy wcześniej nie współpracowali z nimi w sprawach zabójstw. Gdzie prowadzący agent specjalny?

Policjant wskazał na ubranego w garnitur mężczyznę stojącego opodal kosza na śmieci. Beth podeszła do niego wraz z dwoma detektywami z wydziału zabójstw.

- Czy mogłabym dowiedzieć się, co się tu dzieje?

Mężczyzna odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Witaj, Beth.

Beth rozpoznała go, jak tylko zobaczyła jego twarz.

- Steve? Nie sądziłam, że zastępca dyrektora zajmuje się zabójstwami.

Steve Lanier, zastępca dyrektora Biura Terenowego FBI w Waszyngtonie, który blisko współpracował z Beth, odpowiedział:

- Nie mogę powiedzieć tego samego o tobie, bo wiem, że przyjeżdżasz na każde miejsce zbrodni.

- Znałeś Jamiego Meldona?

- Nie.

- Więc dlaczego tu jesteś?

Lanier zerknął na grupę mężczyzn w garniturach.

- Wiesz, kim oni są?

- Nie, a powinnam?

- Za chwilę podejda tu, by poinformować cię, że sprawa dotyczy bezpieczeństwa narodowego, a policja zostaje od niej odsunięta.

- Co ma wspólnego bezpieczeństwo narodowe z zabójstwem prokuratora?

- Chyba nigdy się nie dowiemy.

- My? Rozumiem, że mogą wysłać do domu nas, ale ty jesteś z FBI.

- W normalnych okolicznościach miałabyś rację.

- A co niezwykłego jest w tej sytuacji?

- Mogę ci tylko powiedzieć, że przyjechali prosto z Pennsylvania Avenue.

- Z Białego Domu?

- I nie pytaj ich, kim są. Nie powiedzą ci.

Beth wyglądała na zbitą z tropu.

- CIA? Oni nie są uprawnieni do działania jako organ wymiaru sprawiedliwości. Do diabła, przecież nawet nie wolno im działać na terytorium kraju.

- Być może nie są z CIA.

- Steve, twierdzisz, że nie wiesz nawet, z jakiej są agencji?

- Zgadza się.

- W takim razie dlaczego zostali wpuszczeni na miejsce zbrodni?

Lanier uśmiechnął się ponuro.

- Pokazali prawa jazdy.

- Kpisz sobie? Prawa jazdy?

- Sam dyrektor FBI uprzedził mnie, że tu będą, podał ich nazwiska i oświadczył, że powinni mieć nieograniczony dostęp do miejsca zbrodni, ponieważ przejmują dochodzenie. Nie musieli więc pokazywać legitymacji.

- To niewiarygodne.

- Owszem.

- Pani komendant? - odezwał się człowiek około czterdziestki, najwyraźniej przywódca grupy przybyszów.

- Tak? - odpowiedziała Beth oschłym tonem.

- Czy zastępca dyrektora wyjaśnił pani sytuację?

- Czy powiedział mi, że wkraczacie na mój teren na podstawie dokumentów uprawniających do prowadzenia pojazdów mechanicznych? Owszem, wspomniał o tym, ale liczę, że pan poda mi szczegóły, na przykład nazwiska i nazwę agencji, dla której panowie pracują.

- To nie będzie konieczne - stwierdził mężczyzna uprzejmie. Powinna pani dostać e-maila od burmistrza... - BlackBerry w kieszeni Beth zaczęło wibrować. - Dokładnie w tej chwili - dokończył z uśmiechem.

Beth sprawdziła wiadomość. Burmistrz w uprzejmy i dyplomatyczny sposób przekazywał jej jasny komunikat. Wycofaj się.

- Czy mogę spodziewać się kopii raportów?

- Nie.

- Czy mogę zobaczyć ciało?

- Ta sama odpowiedź - stwierdził obcy.

- Czy zostanę poinformowana o odnalezieniu zabójcy?

- Oczekujemy, że pani i pani ludzie opuścicie teren w ciągu najbliższych dwóch minut.

Mężczyzna odwrócił się i odszedł. Beth spojrzała na Laniera.

- Czy nienawidzisz ich równie mocno jak ja, Steve?

- Uwierz mi, mocniej - odparł Lanier.

- Czy możesz podać mi ich nazwiska? Podejrzewam, że zapamiętałeś je, oglądając prawa jazdy?

- Przykro mi, Beth. Mnie też wydano pewne polecenia.

Beth dumnym krokiem podeszła do samochodu. Przynajmniej uda jej się zjeść kolację z siostrą.

Na odgłos pukania Roy podniósł głowę znad umowy, którą czytał.

- Tak?

Drzwi się otworzyły i stanął w nich młody człowiek w sztruksowych spodniach, pasiastej koszuli i tanim, wzorzystym krawacie, pchający przed sobą wózek pocztowy. Było to staromodne rozwiązanie, ale nawet w epoce cyfrowej prawnicy wciąż potrzebowali materiałów zawartych w książkach albo spisanych na zwykłym papierze.

- Przesyłka specjalna - stwierdził młody człowiek.

- Połóż ją na biurku, Dave.

Dave podszedł, ściskając w dłoniach książkę.

- To trochę przerażające.

- Co takiego?

- Pani Tolliver.

Roy wzruszył ramionami.

- Wątpię, żeby jej zabójca zamierzał tu wrócić.

- Nie o to mi chodziło.

Dave położył książkę na biurku. Roy odchylił się do tyłu na krześle.

- No, nie trzymaj mnie w niepewności.

Dave poklepał książkę.

- Przesłała ją pani Tolliver.

Roy szybko chwycił książkę.

- Kiedy ją nadała?

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz? Myślałem, że obowiązują was jakieś procedury.

- Zwykle wygląda to tak, że ludzie przychodzą, zostawiają rzeczy, wypełniają potwierdzenie nadania, a my dostarczamy przesyłkę do adresata.

- W takim razie dlaczego nie wiesz, kiedy dostaliście tę książkę?

- Leżała w pokoju pocztowym i miała wypełnione potwierdzenie nadania. Pani Tolliver musiała przynieść ją sama. Rozmawiałem z jej sekretarką i ona nic o tym nie wie.

- Ale Diane zginęła w poniedziałek rano. Dlaczego książka trafiła do mnie we wtorek po południu?

- Wczoraj nie dostarczaliśmy przesyłek, bo bez przerwy kręciła się tu policja. Dopiero co się za to zabraliśmy. Przepraszam.

Roy obejrzał okładkę książki. Był to przestarzały podręcznik do prawa kontraktów. Prawnicy nigdy nie przesyłali sobie takich opracowań, bo i po co?

- Czy widziałeś tę książkę w pokoju pocztowym w piątek?

- Chyba nie.

- Nie jesteś pewien?

- Nie.

- Ale na pewno widziałaś ją tam w poniedziałek rano?

- Nie wiem. Wczoraj był tu zupełny chaos. Ale w poniedziałek musiała już tam być. Przecież pani Tolliver nie mogła nadać jej po śmierci.

- Jeśli to ona ją nadała, Dave. Nie sposób sprawdzić, czy to ona

fizycznie się tym zajęła.

- No, prawda - stwierdził Dave, patrząc na niego nerwowo. - Czy będę miał kłopoty?

Roy rozluźnił się i gniew nagle mu przeszedł.

- Nie sądzę. Dzięki, Dave. Przepraszam, że byłem taki drażliwy. Chyba wszyscy jesteśmy teraz trochę zestresowani.

Kiedy Dave zamknął drzwi, Roy przyjrzał się wiadomości dołączonej do książki. Była wypisana starannym charakterem pisma Diane, który widział na wielu dokumentach. Na formularzu znajdowało się miejsce na wpisanie daty i godziny wprowadzenia do systemu, jednak Diane pozostawiła to pole puste. Roy był wpisany jako adresat, więc książka naprawdę miała trafić do niego. Nie było żadnego powodu, by Tolliver miała mu ją przysłać - a jednak to zrobiła. Przejrzał kilka stron, ale był to po prostu stary podręcznik.

Zadzwoił jego telefon.

- Tak? - Uśmiechnął się, słysząc głos w słuchawce. Mace stwierdziła:

- Musiałeś wypracować dzisiaj już ze sto godzin.

- Mówiłem ci, to humanitarna kancelaria. Nie musimy kłamać na godziny.

- Masz czas pogadać?

- Jasne, kiedy?

- Może teraz?

Drzwi się otworzyły i stojąca w nich Mace mu pomachała. Roy pokręcił głową i odłożył telefon.

- Zawsze zachowujesz się tak dziwnie?

- Nie widziałeś moich naprawdę dziwnych zachowań.

- To naprawdę przerażające.

- Wiem. Wszyscy mi to mówią.

28

Mace zamknęła za sobą drzwi i usiadła naprzeciw niego.

- Dzięki za reprezentowanie mnie wczoraj podczas spotkania ze starym Abem.

- Poczekaj tylko, aż dostaniesz rachunek. - Podniósł książkę. - Diane Tolliver przysłała mi ją biurową pocztą.

- No i?

- Zrobiła to bardzo niedawno, ale bez żadnego powodu. To po prostu stary podręcznik.

- Natychmiast go odłóż!

Roy szybko położył książkę na biurku.

- Kto poza tobą miał ją w rękach? - spytała Mace surowo.

- Co najmniej jedna osoba, pracownik roznoszący pocztę.

- Świetnie.

- Nie wiedział, że nie powinien jej dotykać.

- Ale ty wiedziałeś.

- Może i tak. Ale dotknąłem. Co teraz?

- Masz chusteczkę?

- Tylko papierową.

Podał Mace kilka chusteczek, a ona chwyciła książkę przez jedną z nich i powoli ją otworzyła.

- Przejrzałem kilka stron, ale nie zauważyłem żadnych zaszyfrowanych wiadomości. Możemy polać ją sokiem

cytrynowym i sprawdzić, czy nie pokaże się atrament sympatyczny.

- Albo zrobić tak. - Chwyła książkę za grzbiet i poruszyła nią, by rozdzielić strony.

Na biurko wypadł mały kluczyk.

- Nie rób tego! - ostrzegła Roya, który chciał po niego sięgnąć. Chwyła kluczyk przez chusteczkę za ząbkowany koniec i stwierdziła:

- To nie klucz do skrytki bankowej. Może do pocztowej?

- To zawęza krąg poszukiwań do kilkuset milionów miejsc. A nie wiemy nawet, czy ten klucz jest od Diane.

- Czy kiedykolwiek wspominała o skrytce pocztowej?

- Nie. - Roy pokręcił głową.

Mace wpatrzyła się w klucz z taką intensywnością, jakby chciała zmusić kawałek metalu, by wyznał wszystkie swoje tajemnice.

- I nie miałeś od niej żadnych innych wiadomości?

Roy już chciał zaprzeczyć, ale zamilkł. Wcisnął kilka klawiszy i odwrócił monitor komputera w jej stronę.

- Przysłała mi tę wiadomość w piątek późnym wieczorem.

- Czy policja o tym wie?

- Tak. Wczoraj już mnie o to pytali. Powiedziałem im, że nie wiem, o co chodzi.

Mace przeczytała wiadomość.

- Jesteś pewien, że z niczym ci się nie kojarzy?

- Nie, poza tym, że jest dziwnie sformułowana. „Skoncentrować się na”? Dlaczego nie po prostu „zająć się”?

- Nie wiem. To tobie płacą od słowa. Masz pomysł, kim może być A?

- Jest zbyt wiele możliwości. Ale wydawało mi się, że nie

pracujesz już w policji.

- Nie ma prawa, które zabraniałoby obywatelom badać przestępstwa.

- Ale.

- Wracając do klucza i e-maila, masz jakieś pomysły?

- Nie wiem, czy sensowne.

- Powiedz mi, Roy.

- Chester Ackerman. To główny wspólnik w kancelarii. Wczoraj z nim rozmawiałem i wydawał się bardzo nerwowy i wyprowadzony z równowagi.

- Trudno się dziwić, jednego z jego pracowników znaleziono w lodówce.

- Wiem. Może tylko mi się wydaje, ale był chyba bardziej wystraszony, niż wymagała tego sytuacja - jeśli wiesz, o co mi chodzi.

- Jakby bał się o własną skórę?

- I jakby kłamał w jakiejś sprawie.

- W jakiej?

- Nie wiem. Ale kłamał.

- Co o nim wiesz?

- Pochodzi z Chicago. Ma rodzinę. Przyciąga masę kontrahentów.

- Usiłujesz mi powiedzieć, że nic nie wiesz?

- Nigdy nie miałem powodów, by dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

- Może teraz masz.

- Chcesz, żebym szpiegował głównego wspólnika? - spytał z niedowierzaniem.

- I wszystkich, którzy mogą mieć związek ze sprawą.

- Mimo że to prawdopodobnie było przypadkowe zabójstwo?

- Twoja współpracowniczka została wepchnięta do lodówki. Skąd wiesz, że zabójstwo nie miało nic wspólnego z tym miejscem?

Roy wziął do ręki gumową piłkę, rzucił do kosza - i chybił.

- Koncentracja ci siada. To się czasem zdarza, kiedy masz styczność z morderstwem. - Mace usiadła na brzegu biurka i przekartkowała książkę przez chusteczkę. - Nie pracowaliście kiedyś może dla jakichś mafiosów?

Roy pokręcił głową.

- Nie zajmujemy się prawem karnym, tylko cywilnym.

- Klienci biznesowi też mogą mieć problemy z prawem.

- Już ci mówiłem, tego rodzaju sprawy oddajemy innym kancelariom.

- Którym?

- Jest ich kilka, wszystkie sprawdzone.

- Nie posuwamy się do przodu.

- Nie bardzo - przyznał Roy.

- Ile zarabiasz?

Roy lekko wytrzeszczył oczy.

- Dlaczego wciąż mnie o to pytasz?

- Bo nie odpowiedziałeś. Nie wkurzaj się. To uzasadnione pytanie.

- No dobra. Więcej niż ty u Altmana.

- Ile więcej?

- Z premiami, dywidendą i innymi bonusami, prawie dwa razy tyle.

- Policjant świeżo po wstąpieniu na służbę zarabia niecałe pięćdziesiąt tysięcy rocznie.

- Nie mówiłem, że życie jest sprawiedliwe. Ale dla twojej informacji, jako obrońca z urzędu nigdy nie zbliżyłem się nawet

do pięćdziesięciu tysięcy. - Przyjrzał się jej uważnie. - Dlaczego chciałaś wiedzieć, ile zarabiam?

- Twoja kancelaria najwyraźniej dysponuje dużymi pieniędzmi. To mógł być motyw zabójstwa.

- No dobrze. Posprawdzam to i owo i się do ciebie odezwę. Co robisz wieczorem?

- Jem kolację z siostrą. Ale później jestem wolna.

- Nigdy nie sypiasz?

- Od dwóch lat - nie.

Włożyła do kieszeni klucz, wciąż zawinięty w chusteczkę.

Roy spojrział na nią nerwowo.

- Nie chcę, by postawiono mi zarzut ukrywania dowodów.

- A ja chcę się dowiedzieć, co, do cholery, się tu dzieje. Jestem uzależniona od rzeczy, które wydają się nie mieć sensu.

- Ale nie jesteś już policjantką, Mace.

- Wszyscy mi to mówią - powiedziała, wychodząc z jego biura.

29

Mace siedziała na motocyklu, a istotny dowód ze śledztwa w sprawie zabójstwa wypalał jej dziurę w kieszeni kurtki. Właśnie popełniła przestępstwo w mieście, w którym jej siostra była najwyższym rangą stróżem prawa.

- Jesteś idiotką! - mruknęła do siebie, kiedy ducati zatrzymało się na wolnych obrotach przed czerwonym światłem. - Głupkiem! Lekkomyślną kretynką, która nie potrafi sobie powiedzieć „dość”! - Obiecała siostrze, że nie będzie się mieszać w tę sprawę - i to właśnie zrobiła.

W więzieniu stało się z nią coś, o czym nie wiedziała nawet Beth. Przeczytała stary artykuł o agencji FBI oskarżonym o preparowanie zeznań, zastraszanie świadków, pomoc szefowi mafii i udział w transporcie broni przez granice stanowe. Mężczyzna przez cały czas twierdził, iż jest niewinny i że go wrobiono - bezskutecznie. Został osądzony, skazany i odsiedział cały wyrok. Po wyjściu z więzienia przeprowadził się do innego stanu, zaczął pracować pod przykrywką i przeniknął do brutalnej grupy handlarzy narkotykami. Z narażeniem życia zebrał wiele dowodów, po czym przekazał je FBI, które dokonało aresztowań. Zeznawał nawet w sądzie jako świadek przeciw szefom gangu. Media nagłośniły sprawę, a oddźwięk społeczny był olbrzymi.

Ludzie zastanawiali się, czy gdyby był winny, zrobiłby coś

takiego - i uznali, że najwyraźniej nie zrobił nic złego, a system sprawiedliwości się pomylił. Politycy na Kapitolu ugięli się pod naciskiem społeczeństwa, a FBI postąpiło wbrew własnym zasadom i przywróciło agenta do służby, mimo że został on skazany za przestępstwo umyślne. Człowiek ten został później szefem biura FBI na Środkowy Zachód, a jego kariera obfitowała w pochwały i osiągnięcia.

Agent nazywał się Frank Kelly. Pograżona w rozpacz Mace napisała do niego z więzienia, wyjaśniając swoją sytuację. Kelly przyjechał do Zachodniej Wirginii, by się z nią zobaczyć. Był potężnym, solidnym i bardzo twardo stąpającym po ziemi mężczyzną. Zapoznał się ze sprawą Mace i przyznał, że wierzy w jej niewinność, ale choć jej współczuł, postawił sprawę jasno:

- Nigdy nie oczyścisz się z zarzutów do końca. Jest zbyt wiele cholernych przeszkód. Nawet jeśli uda ci się coś odkryć, odpowiednio mocne udowodnienie tego będzie w zasadzie niemożliwe. Zawsze znajdą się ludzie nastawieni przeciwko tobie, ludzie, którzy nie będą chcieli ci uwierzyć. Ale kiedy wyjdiesz, możesz wrócić do gry, na własną odpowiedzialność i za własną kasę, bez pomocy policji i narażać własną głowę, tak jak ja to robiłem. Wtedy będziesz miała szansę oczyścić się z zarzutów w sądzie opinii publicznej. Tyle, że nikt ci tego nie zagwarantuje - dodał. - A musisz wiedzieć, że mnie naprawdę się poszczęściło. Ale to jedyny sposób, w jaki możesz odzyskać choć trochę kontroli nad swoim losem. Masz szansę. Jeśli jej nie wykorzystasz, nigdy nie wrócisz do policji.

- Tylko tego chcę - odpowiedziała Mace. - Szansy.

Podał jej rękę i życzył szczęścia.

Tylko tego chcę, szansy, by wrócić do służby.

W policji były osoby, które uważały, że Mace jako siostra Beth

Perry była lepiej traktowana - naprawdę było jednak wręcz odwrotnie. Beth bardzo się starała nie faworyzować siostry i w gruncie rzeczy wymagała od niej więcej niż od wszystkich pozostałych podwładnych. Mace zapracowała na każdy awans, pochwałę i bliznę - wliczając w to również te niewidoczne na pierwszy rzut oka. Ukończyła akademię policyjną z kilkoma słabymi ocenami, ale znacznie więcej było celujących, a nawet instruktorzy, którzy ocenili ją surowo, przyznawali, że jest zdecydowanie najlepszym rekrutem, jaki dołączył do sił policyjnych stolicy od czasu. Cóż, od czasu, gdy kilka lat wcześniej jej siostra ukończyła akademię z najlepszym wynikiem w grupie.

W rekordowym czasie awansowała z krawężnika na sierżanta, później przeszła do CID, Kryminalnego Wydziału Śledczego, gdzie trafiła do Departamentu Zabójstw i Przystępstw Seksualnych. Zjadła zęby na potwornych morderstwach, gwałtach i sprawach tak starych, że akta rozkładały się wraz z ciałami ofiar. Stworzyła własne procedury, a choć nie zawsze spotykało się to z ciepłym przyjęciem, wiele z nich weszło później do programu nauczania technik śledczych w akademiach policyjnych.

W trakcie swej kariery zdobyła przyjaciół, gdyż była lojalna i zawsze stała za nimi murem, nawet jeśli na to nie zasługiwali. Narobiła sobie też wrogów, z którymi miała mieć na pieńku przez resztę życia - ale niektórzy z nich byli jej coś winni. Dlatego tu przyjechała.

Mace zaparkowała ducati przed sklepem z wymyślną czerwoną markizą, na której znajdowała się nazwa: Citizen Soldier, Ltd.

Obywatel Żołnierz. Urocze.

Pociągnęła drzwi i weszła do środka.

Półki pokrywające ściany uginały się pod ciężarem wszelkich

dostępnych na rynku artykułów stosowanych do obrony własnej. W zakratowanych szafkach znajdowały się pistolety, strzelby i karabiny czekające, aż czyjeś niecierpliwe palce je uwolnią. Wewnątrz zamkniętych, wysokich gablot rozłożone było mnóstwo pistoletów automatycznych i półautomatycznych oraz staroświeckich rewolwerów.

- Cześć, Binder! - zawołała do mężczyzny stojącego przy kasie z tyłu sklepu. - Wciąż sprzedajesz obrzyny z przerobionych AR-15 bez zgody Biura ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych i odprowadzania odpowiednich podatków?

Binder miał na sobie spodnie moro i obcisłą, czarną koszulę, która uwydatniała jego potężne mięśnie klatki piersiowej i bicepsy. Na nogach miał znoszone wojskowe buty, które wyglądały, jakby odsłużyły swoje. Mace wiedziała, że faktycznie tak jest. Binder kilka lat spędził w armii Wuja Sama, ale skończyło się to dla niego pobyt w więzieniu wojskowym i zwolnieniem z naganą z powodu handlu narkotykami. Omal nie kosztował on życia dwóch „kotów”, którzy wstrzyknęli sobie źle oczyszczoną metamfetaminę. Mężczyzna nosił bujne, odrzucone do tyłu afro, które skojarzyło jej się z młodym Michaeliem Jacksonem. Była to dość niezwykła fryzura, biorąc pod uwagę, że miał twarz usianą sporymi piegami i płomiennorude włosy przyprószone siwizną.

- *Wezwijcie clownów* - zanuciła pod nosem.

Binder odwrócił się do niej. W jednej ręce trzymał miniaturowy wykrywacz metali, w drugiej - wojskowy nóż składany.

- No, no, naprawdę się cieszysz, że mnie widzisz - stwierdziła.

- Kiedy wyszłaś, do cholery? - Głos mężczyzny brzmiał bardziej, jakby chciał na nią splunąć, niż jakby zadawał jej konkretne

pytanie.

- Nie wyszłam. Uciekłam. Chcesz mnie wydać i zgarnąć nagrodę?

Binder odłożył nóż na półkę, na której leżało wiele innych, wszystkie z metkami.

- Jestem zajęty - burknął. - I wiem, że nie jesteś już gliną, więc koniec ze znęcaniem się.

Mace jednak nie wyszła, a wzięła z półki jeden z noży, z podwójną drewnianą rękojeścią. Jednym ruchem nadgarstka uwolniła sześciocalowe, cienkie jak brzytwa ostrze.

- Proszę, proszę, ręcznie robiony filipiński balisong z systemem łożysk IK. Fajny. Niestety, od lat osiemdziesiątych nie wolno importować go do Stanów.

Binder nie wyglądał na zainteresowanego tą informacją.

- Co ty powiesz?

- Poza tym z technicznego punktu widzenia balisonga można zaliczyć do kategorii noży grawitacyjnych, motylkowych lub sprężynowych. Taka broń jest nielegalna w Dystrykcie Kolumbii i Maryland, nie wolno też sprzedawać jej w Wirginii.

- Zapomnieli mnie o tym poinformować. Porozmawiam ze swoim prawnikiem.

- Dobrze, a ja w międzyczasie zadzwonię do komendanta O5 i poproszę, żeby zrobił ci tu inwentaryzację. Jeśli chcesz poprzebierać się w damskie ciuszki, mogę ci polecić na najbliższych kilka lat bardzo sympatyczne miejsce w Zachodniej Wirginii. - Przyjrzała się jego bujnym włosom. - I nawet nie będziesz musiał się strzyc!

Binder pochylił się w jej stronę.

- Czego do diabła chcesz, kobieto?

- Sprzętu. I zapłacę ci za niego, tyle że nie pełną cenę, bo

jestem biedna i skąpa.

Podniosła do góry nóż i jednym ruchem nadgarstka schowała ostrze.

- Bin, na przyszłość chowaj te nielegalne rzeczy na zapleczu. Niech faceci z CID mają co robić, inaczej się rozleniwiają.

- O jaki sprzęt ci chodzi?

- Pierwszy punkt na mojej liście życzeń to lampa ultrafioletowa, barwnik fluorescencyjny i okulary kontrastujące. I nawet nie próbuj mi wciskać chińskiej tandety. Mam w krwiobiegu wystarczająco dużo ołowiu od więziennego wikt.

- Mam dobry zestaw za trzysta dolców plus podatek - wymamrotał Binder.

- Świetnie. Dam ci za niego pięćdziesiąt.

Okrągła twarz mężczyzny zaczerwieniła się z gniewu, przez co jego piegi przybrały wygląd olbrzymich ameb.

- To nie do przyjęcia. Wiesz, jaki czynsz tu płacę?

- W więzieniu wcale nie będziesz musiał płacić czynszu. Za to jako rudzielec z pewnością staniesz się ulubieńcem tamtejszych nazioli.

Wojowniczy nastrój Bindera przeszedł jak ręką odjął.

- Co jeszcze? - spytał ponuro.

- Zobaczmy, co jeszcze masz fajnego - odpowiedziała Mace przymilnie.

Po zakończeniu oględzin załadowała zakupy do dużego plecaka, który kazała Binderowi dorzucić jako gratis, i zacisnęła wokół bioder pasek z dodatkowym bajerem przy klamrze, który też od niego kupiła. Zapłaciła i już szła do wyjścia, kiedy mężczyzna zawołał:

- Stawiam dwadzieścia dolców, że w ciągu pół roku wrócisz do więzienia!

- A ja pięćdziesiąt, że cały nielegalny sprzęt, jaki tu masz, zostanie skonfiskowany w ciągu czterdziestu ośmiu godzin przez doborowe oddziały policji - odgryzła się.

Binder walnął pięścią w ladę.

- Myślałem, że zawarliśmy umowę!

- Nie słyszałam nic o żadnej umowie. Wspomniałam tylko o nożach sprężynowych, a ty udzieliłeś mi naprawdę sporego rabatu. Myślałam, że to specjalny kod dla ulubionych klientów.

- Jesteś... wredną... suką!

- Dopiero teraz to zauważyłeś, śmieciu?

Mężczyzna przyjrzał się plecakowi.

- Co zamierzasz zrobić z tym wszystkim?

- Nie zamierzam siedzieć beczynn timer, Bin.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że spędziłam dwa lata w piekle i że wyrwano mi z serca policyjną odznakę.

30

Roy ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Myszkowanie po biurze, kiedy wciąż siedzieli w nim detektywi z wydziału zabójstw nie było najmądrzejszym posunięciem, jakie w życiu wykonał, jednak coś w Mace Perry sprawiało, że nie chciał jej rozczarować. Może fakt, że mogłaby mu skopać tyłek, gdyby tylko chciała.

Biuro Chestera Ackermana wyglądało tak, jakby jego lokator nigdy nie splamił sobie rąk pracą, a że nie rozliczał się z przepracowanych godzin, nie sposób było tego sprawdzić. Sprowadzał jednak najwięcej klientów ze wszystkich wspólników, a to naprawdę liczyło się w pracy kancelarii – i zapewniało mu stanowisko głównego partnera. Roy działał najszybciej i najefektywniej jak potrafił – przejrzał szuflady w biurku i w szafie na akta, sprawdził zawartość kieszeni wiszącej na drzwiach marynarki i spróbował – bez powodzenia – uzyskać dostęp do plików w komputerze Ackermana.

Usłyszał zbliżające się kroki i zaczął panikować, ale odgłos się oddalił. Roy chwilę nasłuchiwał pod drzwiami, a później wyslizgnął się z biura. Minął swoje stanowisko pracy i poszedł do pokoju pocztowego. Jeszcze raz porozmawiał z Davem, od którego nie uzyskał żadnych przydatnych informacji, a później wypytał drugiego z pracowników, który także nie miał o niczym pojęcia. Poczekał, aż obaj mężczyźni wyjdą dostarczyć przesyłki

i przeszukał pokój, jednak nic w nim nie znalazł.

Pomieszczenie miało jedną cechę szczególną - zainstalowaną w nim na specjalne zamówienie windę towarową. Kancelaria Shilling & Murdoch zajmowała również przestrzeń biurową na piątym piętrze, a szyb windy prowadził bezpośrednio do urządzonego tam magazynu, mieszczącego archiwum firmy. Wygodniej było mieć materiały dostępne cały czas na miejscu i opuszczać ciężkie pudła szybem, niż wozić je wózkiem przez biuro, a później na dół windą.

Kiedy stanął przed nimi, przyszła mu do głowy dziwna myśl.

Zjechał na czwarte piętro. Kiedy otworzyły się drzwi, ogłuszył go dźwięk gwoździarek i pił elektrycznych. Gdy tylko wysiadł z windy, podszedł do niego żyłasty mężczyzna w żółtym kasku na głowie, z bicepsami jak u Popeya pokrytymi kolorowymi tatuażami.

- Mogę pomóc, kolego?

- Pracuję w kancelarii na szóstym piętrze.

- Gratuluję, ale tutaj nie wolno ci wchodzić.

- Należę również do komitetu nadzorczego budynku.

Powiadomiono nas, że doszło tu do kradzieży i przewodniczący komitetu polecił mi zjechać tu i uzyskać dalsze informacje. Ma to związek z wymogami naszego ubezpieczenia majątkowego i na życie oraz z OC dyrekcji, rozumie pan?

Wyglądało na to, że tuż po tym, jak Roy został adwokatem, jego zdolność wciskania kitu na żądanie wzniosła się na zupełnie inny poziom. A może to właśnie ze względu na tę zdolność poszedł na studia prawnicze.

Mina człowieka w kasku wymownie świadczyła o tym, że nie rozumiał ani słowa z przemowy Roya.

- Ale o co chodzi?

Prawnik odpowiedział cierpliwie:

- O to, że muszę się tu rozejrzeć i złożyć sprawozdanie, a być może pańskiej firmie uda się odzyskać z ubezpieczenia pieniądze na pokrycie niektórych strat.

Mężczyzna rzucił Royowi kask.

- Ja nie mam nic przeciwko, jestem tylko cieślą. Uważaj tylko, jak chodzisz, chłopie. Nawet nie chcę myśleć, ile by kosztowało, gdyby prawnik się tu przewrócił i zrobił sobie kuku.

Roy założył kask i zaczął się przechadzać po piętrze. W budynku nie było ogólnodostępnych wind towarowych, więc jedna z wind pasażerskich została zabezpieczona, by ekipa remontowa mogła wozić nią materiały.

Roy nie wiedział, ilu członkom ekipy dano karty wstępu. Odszukał cieślę, który wkręcał śruby w stalowy dźwigar, i zadał mu to pytanie.

- Kartę ma szef ekipy. Wpuszcza mnie do środka, jeśli przyjadę przed otwarciem budynku. Większość chłopaków przychodzi o ósmej trzydzięci, więc po prostu wchodzi.

- Kiedy kończycie pracę?

- Punkt pięta trzydzięci, zgodnie z zasadami BHP.

- Nie ma nadgodzin ani pracy w weekendy?

- Nie dla mnie. Ja ich nie chcę, bo lubię mieć trochę czasu dla siebie. Jeśli chcesz wiedzieć, czy ktoś inny pracuje po godzinach, musisz spytać szefa ekipy.

- Gdzie on jest?

- Lunch mu się przedłużył. - Mężczyzna odłożył elektryczny śrubokręt i przekrzywił kask na głowie. - Oto, kim chciałbym zostać, gdy dorosnę. Szefem ekipy.

Roy kontynuował spacer po piętrze. Usłyszał warkot jakiegoś urządzenia i ze zdziwieniem zauważył portiera, stojącego przed

kuchenką mikrofalową stojącą w niewielkim pomieszczeniu, w którym znajdowała się także zmywarka.

- Hej, Dan, co tu robisz?

Dan, szczupły mężczyzna o siwych włosach i wąsach, miał na sobie schludny niebieski kombinezon roboczy.

- Nie zdążyłem na lunch. Odgrzewam sobie zupę, Roy.

- Często tu przychodzisz?

Mikrofalówka zadzwoniła, Dan wyjął z niej miskę i zaczął pałaszować zupę pomidorową.

- Płacą mi trochę dodatkowo, żebym utrzymywał tu porządek.

- Kto? Szef ekipy?

- Tak. Pracowałem dla niego wcześniej, kilka lat temu, zanim dostałem tę robotę. Zapamiętał mnie. Kilka dodatkowych dolarów zawsze się przyda. No i daję słowo, że najpierw robię to, co mam do zrobienia w pozostałej części budynku, Roy - dodał szybko.

- Nie widzę w tym nic złego. Ale podobno mają tu jakieś problemy?

Dan skinął głową.

- Ginę im rzeczy. Jakieś narzędzia i jedzenie. Powiedziałem szefowi ekipy, żeby nie trzymali tu jedzenia, ale robotnicy nie słuchają. Upychają przekąski, gdzie popadnie, trzymają też posiłki w lodówce.

- Czy rozważali zatrudnienie ochroniarza?

- Uważają, że to zbyt duży koszt. Przychodzę tu wieczorem posprzątać, ale zawsze wychodzę przed ósmą. Nie widziałem ani nie słyszałem, żeby cokolwiek się tu działo.

- Pracują w weekendy?

- Nie, klient nie chce płacić za nadgodziny. Z tego, co wiem, są tu tylko od poniedziałku do piątku.

- Nie podejrzewasz, kto może być sprawcą?

- Nie mam pojęcia. Ale nie sądzę, żeby to był ktoś z twojej kancelarii, chyba że pracują u was ludzie, którzy zaryzykują karierę dla paczki ciastek i puszki coli.

Roy opuścił czwarte piętro i wjechał z powrotem do biura. Węszył przez prawie godzinę i nie dowiedział się absolutnie niczego. Miał nadzieję, że Mace będzie miała więcej szczęścia z kluczem.

31

Wykonanie tego badania w domu Beth było wykluczone, nawet dla ryzykantki takiej jak Mace, wybrała się więc do damskiej toalety w restauracji Subway.

Wstawiła do środka plecak, zamknęła drzwi, założyła lateksowe rękawiczki, spryskała klucz barwnikiem, założyła okulary kontrastujące i zgasiła światło. Włączyła ręczną lampę ultravioletową i pięćdziesiąt dolarów, które zapłaciła staremu Binderowi, natychmiast się zwróciło.

- Linie papilarne, pokażcie się - powiedziała cicho. Na kluczu znajdowały się odciski palców. Obejrzała go pod szkłem powiększającym, które również wyrwała Binderowi. Podczas swej kariery Mace obejrzała już w życiu tyle mostków, trójnogów, oczek i innych minucji, że uchodziła za eksperta w dziedzinie daktyloskopii. Odcisk widniejący na kluczu był wyraźny i posiadał haczyk, linię przechodzącą, a nawet potrójne rozwidlenie. Po drugiej stronie był nieco bardziej zamazany, ale wystarczający do identyfikacji.

Mace założyła, że znalazła odciski kciuka i palca wskazującego - to tymi palcami chwyta się zwykle klucz. Podejrzewała, że zostawiła je Diane Tolliver. Nie była pewna, w jaki sposób ta informacja pomoże w rozwoju śledztwa - ale przynajmniej dowiodła, że zmarła miała klucz w rękach. Dziwiła się, że odciski

się nie starły, kiedy klucz został przyciśnięty stronami książki. Cóż, widocznie szczęście czasem sprzyja szlachetnym.

Musiała wyegzekwować jeszcze jeden dług wdzięczności, nim zakończyła pracę nad tym dowodem. Pół godziny po tym ostatnim przystanku i darmowej przysłudze, jaką wyświadczył jej kolejny stary „przyjaciel”, zapakowała kluczyk do plastikowej torebki, by zabezpieczyć odciski palców i pojechała z powrotem do biura Roya. Zostawiła mu klucz i kazała oddać go policji, wyjaśniając, w jaki sposób go znalazł. Kiedy przechodziła przez hol w kierunku wyjścia z budynku, zauważyła, że Ned się na nią gapi. Zboczyła z drogi i podeszła do niego.

- Jesteś Ned, prawda?

- Zgadza się. Widziałem, jak wczoraj odjeżdżała pani na motocyklu z Royem Kingmanem.

- Masz sokoli wzrok. Założę się, że widzisz wszystko, co się tu dzieje.

Strażnik wydał pierś.

- Niewiele może mi umknąć. Właśnie dlatego robię to, co robię.

- Czyli pracujesz jako ochroniarz?

- Zgadza się. Ale myślę o wstąpieniu do policji. Wie pani, żeby skopać tyłki przestępcom.

Mace zmierzyła wzrokiem otyłą sylwetkę Neda - być może w zbyt widoczny sposób, bo strażnik szybko dodał:

- Muszę najpierw zrzucić kilka kilo, ale powrót do formy nie zajmie mi wiele czasu. W szkole grałem w piłkę.

- Naprawdę? Na którym uniwersytecie byłeś?

- Chodziło mi o liceum - wymamrotał Ned.

- Rozumiem.

- Ej, a czy pani nie przyszła tu wczoraj z gliniarzami?

- Zgadza się - przyznała Mace, ale zanim strażnik zdążył

spytać, czy pracuje w policji, powiedziała:

- Czy masz jakąś teorię na temat tego, co się stało?

Mężczyzna skinął głową, pochylił się w jej stronę i powiedział scenicznym szeptem:

- Seryjny zabójca.

- Ale czy w takim układzie nie powinno dojść do więcej niż jednego zabójstwa?

- Nawet Hannibal Lecter musiał od czegoś zacząć.

- To postać fikcyjna. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Ned odrobinę niepewnie pokiwał głową.

- *Milczenie owiec* to fajny film.

- Dlaczego podejrzewasz seryjnego zabójcę?

- Przez jego MO - pewnie stwierdził strażnik.

- MO?

- *Modus operandi*, znaczy się sposób działania.

- Wiem, co oznacza ten termin, ale dlaczego użyłeś go w tej sytuacji?

- Wpycha ofiary do lodówki, tak? To dosyć oryginalne. Założę się, że za kilka dni zaczniemy czytać o trupach wciśniętych do zamrażarek, chłodni i tych, no.

- Innych zimnych miejsc?

- Tak.

- I o krasnoludkach w lodówkach turystycznych?

Ned się roześmiał.

- Jak małe lody? Hej, może każe się nazywać Lodowym Zabójcą.

Łapie pani żart?

- Tak, to bardzo zmyślne.

Mężczyzna oparł się o ladę i zrobił minę, którą zapewne uważał za bardzo luzacką.

- Ej, wychodzisz czasem na drinka?

- Bardzo często. Jestem urodzoną imprezowiczką.
- Może powinniśmy kiedyś pójść razem, imprezowiczko?
- Może.

Skierował palec wskazujący w jej stronę, pociągnął kciukiem za niewidzialny spust, imitując językiem odgłos wystrzału i puścił do niej oko. W takich chwilach Mace tęskniła za swoim glockiem 37, naładowanym pociskami kalibru 45 mm, które mogły powalić jednym strzałem. Policjanci zwykle nosili dziewięćmilimetrowego glocka kaliber 17, a oficerowie pracujący pod przykrywką oraz oficerowie mundurowi – glocka kaliber 26. Jako funkcjonariusz Mace grzecznie nosiła glocka 17, ale po służbie i podczas pracy pod przykrywką wymieniała go na glocka 37, którego oficjalnie nie wolno jej było mieć. Przestrzeganie reguł nigdy jednak nie szło jej najlepiej, a siła rażenia pocisków o kalibrze 45 mm dwukrotnie uratowała jej życie. Teraz nie wolno jej było nosić żadnej broni.

- Hej, Ned, dam ci radę. Jeśli celujesz do kogoś ze spluwy, nawet zmyślonej, bądź gotowy natychmiast się schylić, bo inaczej możesz dostać dwie kulki w to miejsce. - Dwa razy postukała go w martwy punkt pośrodku czoła.

Mężczyzna wyglądał na zdziwionego.

- Że co?

Mace mrugnęła i odeszła.

- Hej, skarbie, nawet nie wiem, jak masz na imię.

Odwróciła się do niego.

- Mace.

- Mace?

- Tak, jak maczuga.

- Zaintrygowałaś mnie.

- Spodziewałam się, że tak będzie.

32

Beth wybrała na kolację z siostrą Café Milano, jedną z najbardziej eleganckich restauracji w Waszyngtonie, do której ludzie chodzili, by oglądać innych i być podziwianymi, jak w Hollywood. Jedna ze ścian, całkowicie przeszklona, wychodziła na cichą uliczkę, na której tego wieczoru stał rząd lincolnów i czarnych rządowych SUVów.

Wszyscy goście przeszli z baru do stolików, więc panował lekki gwar, ale dzięki swemu stanowisku Beth udało się dostać stół w najcichszym miejscu restauracji. Pani komendant przebrała się z munduru w spódnicę do kolan i białą bluzkę z dużym dekoltem, a rozpuszczone blond włosy opuściła na ramiona. Buty, w których chodziła do pracy, zastąpiła czarnymi szpilekami. Większość jej obstawy czekała na zewnątrz, ale w środku było dwóch nieumundurowanych funkcjonariuszy, którzy sączyli przy barze kolejne kufle piwa imbirowego.

Mace podjechała z rykiem silnika na swoim ducati, zamaszystym ruchem zdjęła kask i wśliznęła się do środka, przebijając się przez grupę ubranych w garnitury mężczyzn i ich opłaconych z góry partnerek, którzy oblaliby badanie każdym alkomatem. Przyglądała im się oczyma policjantki, nim wsiedli do hummera, białej limuzyny prowadzonej przez trzeźwego szofera w czarnym garniturze.

Mace rozejrzała się po sali i zauważyła machającą do niej siostrę. Usiadła przy stoliku i wsunęła pod niego kask. Obrus był biały i nakrochmalony, z kuchni dochodziły kuszące zapachy, a goście stanowili interesującą mieszankę ludzi młodych, starszych i w średnim wieku, ubranych w najróżniejsze stroje – od garniturów po dzinsy, od adidasów po niebotyczne obcasy.

- Ładnie wyglądasz, siostrzyczko – powiedziała.

Beth uśmiechnęła się i przyjrzała się ubraniu Mace, która miała na sobie czarne spodnie, wydekoltowany obcisły szary sweter i wysokie szpilki wiązane na rzemyki.

- Zrobiłaś dziś zakupy?

- Tak. Miałaś rację, trochę schudłam.

- Jak udało ci się zmieniać biegi w ducati w takich obcasach?

- Bez problemu. Po prostu wrzucałam co drugi.

Podszedł do nich kelner, a Beth zamówiła po kieliszku wina. Po odejściu mężczyzny stwierdziła:

- Skoro dzisiaj ty płacisz, i prowadzisz, nie pijmy za dużo. Zresztą alkohol jest tu dość drogi.

- W porządku. Rozumiem, że nie masz przy sobie broni?

- Nie, bo zamierzam pić alkohol. Taka jest polityka departamentu.

- Czy po służbie wciąż nosisz kaliber 40, czy glocka 26?

- Dwudziestkę szóstkę, tak samo jak na służbie.

- Fajnie masz.

- Nie ma nic fajnego w tym, że muszę nosić broń, Mace.

W naszej pracy to konieczność.

- W twojej pracy.

- Cóż, dzisiaj obie jesteśmy nieuzbrojone.

Kiedy kelner przyniósł wino, kobiety stuknęły się kieliszkami i Beth powiedziała:

- A więc twój kumpel Kingman znalazł klucz w książce, którą przysłała mu Tolliver.

Mace wgryzła się w bułeczkę z oliwkami i starała się wyglądać na zaskoczoną.

- Naprawdę? Klucz do czego?

- Nie wiemy.

- Jakież odciski?

- Tak.

- Tolliver?

- Zgadza się. Skąd wiesz?

- Zakładając, że to ona go przysłała, musiała go dotykać.

- Po co byłaś dzisiaj u tej szumowiny, Bindera?

Mace wzięła długi łyk wina, zanim odstawiła kieliszek.

- Czy kazałaś mnie śledzić, Beth?

- Nie nazwałabym tego śledzeniem.

- A czym?

- Osłanianiem.

- Osłanianiem? Czy znaczenie tego słowa zmieniło się przez ostatnie dwa lata tak bardzo, że teraz nie wiem, o co chodzi?

- Beth!

Odwróciły się i zobaczyły burmistrza z całą jego świtą. Mężczyzna był młody, przystojny i zdaniem większości robił wiele dobrego dla miasta. Był jednak sprytnym politykiem, co oznaczało, że osoba, na której zależało mu najbardziej, każdego ranka spoglądała na niego z lustra.

- Dzień dobry, panie burmistrzu. Pamięta pan moją siostrę?

Mężczyzna ucisnął dłoń Mace, pochylił się w jej stronę i powiedział cicho:

- Dobrze panią widzieć. Proszę dać mi znać, jeśli będę mógł w czymś pomóc. Proszę na siebie uważać i trzymać się z daleka

od kłopotów.

Słowa płynęły tak gładko, że Mace wątpiła, czy burmistrz zrobił chociaż przerwę, by zaczerpnąć tchu albo zastanowił się nad tym, co mówił.

Mężczyzna się wyprostował.

- Babski wieczór?

- Owszem - stwierdziła Beth.

- Świetnie. Jak tam sprawa Tolliver?

- Odbiera pan telefony w tej sprawie?

- Odbieram telefony przez cały czas, ale nauczyłem się, na które z nich warto zwracać uwagę.

- I te do nich należą?

- Proszę mnie informować na bieżąco.

- Robimy postępy. Kiedy tylko dostanę jakieś informacje, przekażę je panu.

- Dobrze.

- A co z tą drugą sprawą?

- Ach, tak. Niestety, to nie moja półka. - Odwrócił się na pięcie i zniknął równie szybko, jak się pojawił. Pracownicy powędrowali za swym przywódcą. Każdy z nich miał przy uchu telefon i niewątpliwie prowadził rozmowy z bardzo ważnymi ludźmi.

- Ten człowiek pozostanie na stanowisku do końca życia - stwierdziła Mace.

- Na długo po moim odejściu - odpowiedziała Beth.

- Wracając do osłaniania.

Beth zrobiła zeza.

- Myślałam, że miałyśmy świętować.

- Dobrze, ale w takim razie poproszę o jeszcze jeden kieliszek wina, żeby uczcić fakt, że jestem osłaniana.

- Nie, jeden wystarczy. A zanim wsiądziesz na motocykl,

porządnie się najesz i przewietrzysz.

- A myślałam, że mama mieszka za Middleburgiem.

- Mace, proszę.

- Nie martw się, nie przyniosę ci więcej wstydu.

- Nie o to mi chodziło. Jeśli zostaniesz zatrzymana za prowadzenie pod wpływem alkoholu, wrócisz do więzienia.

- W takim razie zamówmy kolację, zanim spiję się jak bela, a ty będziesz musiała badać mnie alkomatem przy stole.

Jedzenie było znakomite, podobnie jak obsługa, a ludzie podchodzili przywitać się z panią komendant tylko kilkanaście razy i w większości byli mili - tylko kilku płaszczyło się przed nią lub narzekało.

- Jesteś popularna - zauważyła Mace. - Pomyśl tylko, co by było, gdybyś miała na sobie mundur.

- Może jestem zbyt popularna.

- Co takiego?

- Nie patrz w tamtą stronę. Nadchodzi nasza ulubiona pani prokurator.

- A niech to! A ja wypiałam tylko jeden kieliszek wina i przez cały dzień nie tknęłam narkotyków.

Obie spojrzały na idącą w ich kierunku Monę Danforth.

33

Kobieta miała na sobie sukienkę, która zapewne kosztowała więcej niż ducati Mace. Miała idealny makijaż i fryzurę, a biżuteria, choć gustowna, była wystarczająco okazała, by olśniewać. Całokształt psuł jednak wyraz jej twarzy. Jak na piękną kobietę, Mona Danforth potrafiła wyglądać bardzo brzydko.

- Witaj, Mona - powiedziała Beth przyjaźnie.

Mona porwała krzesło sprzed sąsiedniego stolika, nie pytając o to, czy jest zajęte, i usiadła.

- Musimy porozmawiać.

Słowa te były skierowane do Beth, ale odpowiedziała na nie Mace.

- Naprawdę, Mona, nauczyłaś się, jak to się robi? Gratulacje!

Mona nie raczyła nawet na nią spojrzeć.

- To ciebie nie dotyczy.

Mace już miała coś odszczeknąć, ale Beth kopnęła ją pod stołem.

- Zakładam, że chodzi o śmierć Jamiego Meldona.

- Inaczej bym tu nie siedziała.

- Mona, jesteśmy po tej samej stronie. Jak to policja i prokuratura.

- Słyszałam, że odsunięto cię od tej sprawy.

- Nie miałam nawet czasu obejrzeć łusek po nabojach. Możesz

porozmawiać z burmistrzem, właśnie się z nim minęłaś. Albo z CIA, w Langley na pewno chętnie cię poinformują.

Mace nie wiedziała, o czym mówią, więc przyczaiła się i słuchała uważnie - jak zawsze, kiedy dochodziło do zaciętej walki.

- Na terenie, za który odpowiadasz, zamordowano jednego z moich ludzi. Czy nie zamierzasz nic z tym zrobić?

- Tego nie powiedziałam. Ale skoro już o tym mówimy, jakich działań ode mnie wymagasz?

Mona spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Pytasz mnie, jak masz pracować?

- Wiem, że od lat chcesz pouczać mnie w tej kwestii. Teraz masz szansę. Słucham.

Beth odchyliła się na krześle z wyczekującą miną.

- To niewiarygodne. Nie jestem policjantką.

- Ale jesteś tymczasowym szefem największego biura prokuratora federalnego w kraju poza Departamentem Sprawiedliwości. Jeśli nie chcesz mi powiedzieć, jak mam pracować, pozwól, że ja dam ci radę.

- Słucham? - warknęła Mona.

- Wściekasz się, bo policja straciła sprawę? Jamie tak czy inaczej był pracownikiem federalnym, więc jego zabójstwo leży w gestii FBI. Zazwyczaj współpracujemy w takich sprawach, ale tym razem z jakiegoś powodu założono nam kaganiec. Oto, co możesz zrobić. Porozmawiaj ze swymi wysoko postawionymi znajomymi z Departamentu Sprawiedliwości i dowiedz się, dlaczego zostaliśmy odsunięci. Zrób to samo w departamencie prawnym FBI. Stamtąd już tylko mały krok do wywiadu. Powiedziano mi w zaufaniu, że za sprawą stoi CIA, ale nie wierzę we wszystko, co słyszę. Może to był Departament Bezpieczeństwa

Wewnętrznego? Znasz tam ludzi. Zdaj e się, że w zeszłym tygodniu w dziale Styl w *Washington Post* ukazało się twoje zdjęcie z dyrektorem tego departamentu. Miałaś olśniewającą sukienkę i głęboki dekolt, a facet wyraźnie się ślinił. Jestem pewna, że zdjęcie spodobało się jego żonie. A kiedy już będziesz miała te wszystkie informacje w ładnym pudełku przewiązanym czerwoną wstążeczką, przynieś mi je, a ja będę działać na ich podstawie. Jak to brzmi?

- Jakbym traciła tu czas.

- Czy chcesz się dowiedzieć, kto zabił Meldona?

- Nie traktuj mnie z góry!

- Jeśli tak, wykorzystaj swoje kontakty. Ja skorzystam z moich i może razem uda nam się do czegoś dojść. Pamiętaj jednak, że w którymś momencie możesz wpaść na mur. Albo kogoś wkurzyć. I może na tym ucierpieć twoja kariera.

Mona wstała od stolika.

- Nie zamierzam dłużej słuchać tych bzdur.

Beth niewzruszenie mówiła dalej.

- Twoja kariera może ucierpieć - powtórzyła stanowczo. - Ale wiem, że aby wymierzyć sprawiedliwość zabójcy Jamiego, nie zawahałabyś się przed takim poświęceniem.

- Beth, nie rób sobie ze mnie wroga.

- A tak przy okazji, jak się trzyma rodzina Jamiego?

- Co takiego?

- Jego żona i dzieci. Odwiedziłam ich dzisiaj, by złożyć kondolencje i sprawdzić, czy czegoś nie potrzebują. Zakładam, że ty też to zrobiłaś - jesteś przecież wspaniałym, pełnym współczucia szefem.

Mona warknęła pod nosem i odeszła.

Mace pochylała się nad stołem i pocałowała siostrę w czoło.

- Biję pokłon przed twoją zdolnością do przekształcania słów w serie z karabinu maszynowego.

- Nieszczególnie mi to pomogło.

- Ale świetnie się tego słuchało. O co chodzi z tą śmiercią prokuratora okręgowego?

Beth opowiedziała jej o zabójstwie Meldona.

- A więc wiesz tylko tyle, że jego ciało znaleziono w śmietniku?

- Nie tylko. Tak, jak mówiłam, rozmawiałam z jego żoną. Powiedziała, że pracował do późna w niedzielę. Zdziwiła się, że wciąż nie było go w domu w poniedziałek rano, ale nie martwiła się szczególnie, bo zdarzało mu się nocować w biurze. Kiedy przez cały poranek się nie odezwał, wezwała policję. Jego ciało znaleziono dziś po południu.

- I sprawą zajmuje się CIA?

- Jeszcze tego nie potwierdziłam. Powiedziano mi, że polecenie, aby odsunąć nas od sprawy, wyszło z Białego Domu.

- Z Białego Domu? Tego nie powiedziałaś Cruelli de Mon.

Beth się uśmiechnęła.

- Faktycznie, nie powiedziałam - stwierdziła, dopijając drugi kieliszek wina. - Chcesz się jeszcze napić?

- I zaryzykować złapanie na jeździe po pijanemu i powrót do więzienia? - spytała Mace z udawanym przerażeniem.

- Możesz pojechać ze mną. Poproszę obstawę, żeby załadowała twój motocykl na ciężarówkę i zawiozła go do domu.

- Dziękuję, ale nie skorzystam.

- Masz jakieś plany?

- Może.

- Związane z Royem Kingmanem?

- Czy to źle?

- Już ci powiedziałam, co o tym myślę.

- Wiem - przyznała Mace wstając od stołu. - Zapłaciłam rachunek po drodze do toalety.

- Naprawdę nie musiałaś tego robić, Mace - powiedziała Beth, a po chwili dodała: - Ale to było urocze.

- Musimy to robić częściej. Ale może następnym razem zdecydujemy się na fast food. Jest łagodniejszy dla portfela. Przez ostatnie dwa lata ceny bardzo się podniosły.

Mace odwróciła się w kierunku wyjścia, ale Beth wyciągnęła rękę w stronę siostry, mocno chwyciła ją za ramię i stanowczo pociągnęła z powrotem na miejsce. Cichym głosem, który przywodził na myśl drut kolczasty, Beth powiedziała:

- Jeśli jeszcze raz zabierzesz dowody z miejsca zbrodni, osobiście cię spałuję, a później aresztuję za utrudnianie śledztwa. Jasne? - W jej oczach nie było ani śladu wesołości. Teraz była panią komendant Elizabeth Perry, nie Beth - miłą siostrzyczką.

Mace wpatrywała się w nią i nie mogła wydusić z siebie słowa.

- Moi technicy znaleźli na kluczu śladowe ilości barwnika fluorescencyjnego. Słyszałam, że stary Binder sprzedał w tym tygodniu wyjątkowo tanio zestaw do odczytu linii papilarnych. Może jutro do niego wpadnę, żeby go aresztować.

- Beth.

- Przegięłaś. Po tym, jak cię prosiłam, żebyś tego nie robiła. Prosiłam, żebyś pozwoliła mnie się tym zająć. Może myślisz, że nie dam sobie z tym rady?

- Nie o to chodzi.

Beth ścisnęła siostrę za ramię.

- Jeśli zostaniesz aresztowana za utrudnianie śledztwa, wrócisz do więzienia na znacznie dłużej niż dwa lata. I nigdy nie przywrócą cię do służby, choćby popierał cię sam prezydent. Czy tego właśnie chcesz?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale.

- To przestań wszystko psuć! - Beth odsunęła się od siostry i puściła jej ramię. - A teraz idź sobie. - Kiedy tylko Mace wstała, Beth dodała: - I pozdrów Kingmana ode mnie.

Mace prawie wybiegła.

34

- Drinki w barze na dachu hotelu Washington - stwierdziła Mace, kiedy usiedli z Royem przy stoliku, z którego roztaczał się jeden z najlepszych widoków na stolicę.

- Teraz nazywa się W Washington - poprawił ją prawnik, zdjął z wykałaczki trzy oliwki, wrzucił je do ust jedna po drugiej i powoli przeżuwał.

Mace wskazała prosto przed siebie.

- Patrz, widać stąd agentów na dachu Białego Domu. - Wyjrzała na ulicę. - A tam jedzie radiowóz na sygnale. Pewnie to zwykła burda w barze.

- A może strzelanina?

- Jeśli padną strzały, na miejsce jada co najmniej dwa patrole. Słyszelibyśmy znacznie więcej syren. To pewnie waszyngtoński alarm antywłamaniowy.

- Waszyngtoński alarm antywłamaniowy?

- Uruchamia się alarm, jedziesz na miejsce i okazuje się, że to błąd systemu. To najczęściej zdarzające się wezwanie tutaj, w „bezpiecznym” Waszyngtonie. Jeśli szukasz strzelanin ćpunów, których PCP zamieniło w zombie, jedź do dzielnicy szóstej lub siódmej. Tam się można naoglądać.

- Jesteś chodzącą encyklopedią lokalnej przestępczości.

- Tylko to mi pozostało - stwierdziła Mace z rezygnacją.

- Jakieś problemy?

- Nie, Roy, żyje mi się jak w bajce.

- To nie zabrzmiało tak, jak powinno.

- Nigdy tak nie brzmi, kiedy mówią faceci. - Mace wstała, pochyliła się nad ścianką działową i wskazała ręką na lewo.

- Tam dokonałam swojego pierwszego aresztowania. Tuż po tym, jak uzyskałam pozwolenie na samodzielną pracę. Zauważyłam gościa w garniturze, który kupował działkę koki od jakiegoś drobnego handlarza. Okazało się, że był to kongresman, ważna szycha z jakiegoś komitetu do spraw walki z narkotykami. Niezły szok, co?

Kiedy odwróciła się z powrotem do Roya, ten szybko odwrócił wzrok od jej siedzenia. Kiedy sweter podjechał jej do góry, odsłonił fragment wytatuowanego krzyża, którego dolna część nachodziła daleko na pośladek.

„Tatuażysta musiał nieźle się bawić przy tej robocie” - pomyślał Roy.

Mace upiła łyk piwa i zagryzła orzeszkami.

- Czy po tym, jak przyjrzałeś się mojemu tyłkowi, chciałbyś go skomentować?

Na policzki Roya wypłynął rumieniec.

- Na jego widok odebrało mi mowę.

- Podobał się też jednemu z klawiszy w więzieniu.

Prawnik spojrzał na Mace.

- Czy zrobił ci coś złego?

- Powiedzmy, że nigdy nie zdjął spodni i na tym poprzestańmy.

- A więc masz wytatuowany krzyż?

- Wszystkie grzeczne katoliczki mają krzyże na zadkach.

- Nie wiedziałem. Nigdy nie umawiałem się z katoliczką. Moja strata.

- Owszem.

- Wiesz, po studiach chciałem pójść do akademii policyjnej.

- Żeby szybko jeździć i dużo strzelać?

Roy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Skąd wiedziałaś?

- Większość facetów tak ma. W mojej grupie było czterdziestu jeden rekrutów. Kurs trwał szesnaście tygodni i połowa nie wytrzymała do końca. Byli sportowcy z piwnymi brzuskami nie dali nawet rady zrobić pompki. Akademia była w porządku. Nauczyłam się na pamięć książki telefonicznej, przerobiłam kilka scenariuszy treningowych, ale niewiele się dowiedziałam o tym, jak to jest być policjantem.

- Książki telefonicznej?

- Zasad i procedur, ogólnych wytycznych. Papierkowa robota. No i ćwiczenia fizyczne. Pod koniec kursu przydzielono mi bezproblemowy rewir w Georgetown. Byłam sama, bez broni i bez rozkazów.

- Co zrobiłaś?

- Powłóczyłam się po okolicy, wypisałam kilka mandatów i wypaliłam parę papierosów.

- Studia prawnicze też były nudne.

- Zaczynałam na północnym krańcu Georgia Avenue. Nazywano go Złotym Wybrzeżem, bo to dość bezpieczna okolica.

- I?

- I jej nie znosiłam. Nie wstąpiłam do policji po to, by czuć się bezpiecznie. Chciałam pracować w patrolu kryminalnym. Pracowali na terenie całego miasta, nie głupich pięciu przecznic. Ścigali poważne przestępstwa.

- Nie handlarzy narkotyków?

- Zamykając handlarzy tylko poprawia się statystyki. Patrol

kryminalny ścigał włamywaczy, złodziei, morderców i handlarzy, którzy popełnili morderstwa. Tam było najciekawiej. – Mace umilkła na chwilę. – A teraz jestem na zwolnieniu warunkowym, pracuję dla wykładowcy uniwersyteckiego i nie mogę nawet na chwilę wziąć do ręki mojego glocka 37, żeby nie wrócić do więzienia. Hurra.

– Mace, wiem, że nie znamy się za dobrze, ale jakbyś kiedykolwiek chciała o czymś pogadać, wiesz, gdzie mnie szukać.

– Staram się raczej myśleć o przyszłości – powiedziała, wstając.
– Idę do toalety. Za chwilę wracam.

Po wyjściu z kabiny Mace podeszła do zlewu i spryskała twarz wodą. Kiedy patrzyła w lustro, słowa Beth uderzyły ją jak pociski dum-dum.

Nie psuj wszystkiego. Zaufaj mi.

Mace nie chciała niczego zepsuć, ufała siostrze i bardzo, ale to bardzo nie chciała wracać do więzienia. Przypomniały jej się jednak słowa agenta Kelly'ego.

Jęknęła. Była zupełnie rozdarta wewnątrz i czuła się, jakby jej głowa miała zaraz eksplodować od natłoku myśli.

Przynajmniej masz szansę.

Jeszcze raz ochlapała twarz wodą i popatrzyła na swoje odbicie w lustrze.

– Szoruj, szoruj, i tak się nie domyjesz.

Mace szybko się odwróciła i zobaczyła Monę Danforth stojącą przy drzwiach.

35

Śledzisz mnie? - warknęła Mace na prokuratora okręgowego Dystryktu Kolumbii.

W odpowiedzi Mona zamknęła drzwi do damskiej toalety.

- Jeśli nie otworzysz tych drzwi, wybiję je twoją głową.

- Grozisz urzędnikowi wymiaru sprawiedliwości?

- Dopuszczasz się nielegalnego zatrzymania? - odcięła się Mace.

- Pomyślałam, że mogłabym oddać ci drobną przysługę.

- Świetnie. Podetnij sobie żyły w tamtej kabinie. Zadzwoń po pogotowie, kiedy tylko się wykrwawisz.

- Wiem o planach Beth.

- Naprawdę? Jakich planach?

Mona otworzyła swoją małą torebkę, podeszła do lustra i mówiąc poprawiała makijaż. Mace czuła wielką pokusę, by wepchnąć jej blond głowę do toalety.

- Dotyczących przywrócenia cię na stanowisko, rzecz jasna. Zostałaś wrobiona, nafaszerowana narkotykami i zmuszona do popełnienia wszystkich tych przestępstw. Bla, bla, bla. Biedna mała Mace. Wciąż opowiadasz te same bzdury, w które nie uwierzyli przysięgli. - Mona zamknęła torebkę, odwróciła się i oparła o umywalkę. - A Beth wysłała swoich najlepszych detektywów do pracy nad tą sprawą w nadziei, że stanie się jakiś

cud, który dowiedzie twojej niewinności.

- Jestem niewinna.

- Proszę, daj spokój. Wciskaj ten kit komuś, kto w niego wierzy. Poza tym twojej siostrze się nie uda, bo ją wyprzedziłam - i to o tyle długości, że nie zawaham ci się o tym powiedzieć. Możesz pójść do Beth i się jej poskarżyć, jak zawsze, kiedy masz kłopoty.

- Na co miałabym jej się poskarżyć? - spytała Mace, ze wszystkich sił starając się mówić spokojnym głosem. Mona spojrzała na nią z pogardą.

- Nawet jeśli Beth udałoby się znaleźć dowody na twoją niewinność, decyzję o twoim przywróceniu do służby musiałyby podpisać sześć osób.

- Rozumiem, że jeśli dowody się znajdą, decydenci podpiszą, co trzeba.

- To nie jest takie proste. Nigdy nie zdobędziecie niezbitych dowodów. Jeśli Beth znajdzie naocznych świadków, przekonam ich, że zeznania zostały wymuszone przez nadgorliwą panią komendant policji, która nie cofnie się przed niczym, by oczyścić swoją ukochaną siostrzyczkę z zarzutów. W przypadku wszelkich innych dowodów wykażę, że zostały one zmanipulowane lub nawet sfabrykowane, ze wspomnianych już powodów. A ponieważ nie lubię czekać, aż przeciwnik zada pierwszy cios, rozmawiałam już ze wszystkimi sygnatariuszami, w tym z drogim burmistrzem, który w zeszłym tygodniu przyjął mnie na kolacji, i położyłam podwaliny pod swoje przeważające argumenty.

- Nikt nie uwierzy, że Beth fabrykowała dowody. To twój MO, nie jej.

Mona zarumieniła się na chwilę słysząc tę uwagę, ale szybko odzyskała spokój.

- Po długich rozmowach ze mną zrozumieli, że Beth Perry, zwykle nieskazitelnie prawomyślna, traci zdolność jasnego myślenia, jeśli sprawa dotyczy ciebie. Jest gotowa zrobić wszystko, nawet złamać prawo, by ci pomóc. Muszę przyznać, że Beth posiada pewne uzdolnienia. Ty za to jesteś do niczego.

- Nie będę dłużej słuchać tych bzdur. - Mace precyzyjnie się obok Mony. Pani prokurator popełniła błąd - położyła dłoń na ramieniu Mace, by ją powstrzymać. Sekundę później ramię Mony było wygięte za jej plecy, a Mace uniosła kobietę tak, że spadły jej ośmiocentymetrowe obcasy i przycisnęła ją do wyłożonej kafelkami ściany łazienki, rozmazując po niej szminkę.

- Nigdy więcej nie waż się mnie tknąć, Mona.

- Puść mnie, suko! - krzyknęła Mona. Próbowwała się wyrwać, ale Mace była od niej o wiele silniejsza. Jednym ruchem ramienia uwolniła panią prokurator i poszła w stronę drzwi. Wściekła Mona poprawiła sukienkę i schyliła się, by założyć szpilki.

- Mogę kazać cię aresztować za napaść. Wrócisz do więzienia, tam, gdzie twoje miejsce.

- Śmiało, spróbuj. Twoje słowo przeciwko mojemu. A później opinia publiczna może podyskutować o tym, dlaczego poszłaś za mną do łazienki i zamknęłaś drzwi. Do cholery, Mona, to ja byłam w więzieniu. Nie mów mi, że teraz wolisz dziewczyny.

- W sumie powinnam chyba zostawić sprawę własnemu biegowi. Tak będzie zabawniej.

Mace zatrzymała się z ręką na klamce.

- Co to miało znaczyć?

- Mogę mieć dwie siostry Perry za cenę jednej. Beth będzie się starać o przywrócenie cię do służby. Wykażę, że przekroczyła granicę. Ona wyleci z pracy, a ty już nigdy nie włożysz munduru. To jak nieustające Boże Narodzenie.

Mace wyszła, trzaskając drzwiami.

36

Kiedy Mace wróciła do stolika, Roy wyczuł, że coś jest nie tak.

- Wszystko gra?

- Tak, ale w damskiej toalecie było coś naprawdę obrzydliwego.

Kiedy jednym łykiem dopijała colę, Roy powiedział:

- Policjanci przyjechali i zabrali klucz.

- Tak, wiem. To nie wyszło najlepiej.

- Skopałem coś?

- Nie, ja skopałam. Zapomniałam, jak sprytna jest moja siostra.

- Domyśliła się, że wzięłaś klucz?

Mace skinęła głową.

- Jeśli popełnię jeszcze jeden błąd, wrócę do więzienia.

- Siostra cię nie aresztuje.

- Nie znasz Beth.

- Mace.

- Daj spokój, Roy.

- W porządku - stwierdził, bawiąc się szklanką z drinkiem. -

Myślałem sobie o Abe'ie Altmanie.

- Coś z nim nie tak? Chcesz renegocjować moją umowę? -
spytała Mace z roztargnieniem.

- Pomyślałem, że to niemożliwe, aby dostał na badania grant,
z którego mógłby płacić asystentce sześciocyfrową pensję.

Tym razem Mace wyglądała na zainteresowaną.

- Też się nad tym zastanawiałam. Co o tym myślisz?
 - Abe nie pobiera pensji i oddaje te pieniądze tobie. Trzeba przyznać, że nieszczęśliwie potrzebuje gotówki.
 - Mimo wszystko to miłe z jego strony - stwierdziła Mace.
 - Z tego, co mówił, wynikało, że gdyby nie ty, już by go nie było.
 - Przesadzał.
 - Dlaczego wydaje mi się, że wciskasz mi kit?
- Mace wzruszyła ramionami.
- Myśl sobie, co chcesz.
 - Słyszałem w wiadomościach, że znaleziono ciało prokuratora okręgowego.
 - Nazywał się Jamie Meldon. Znałeś go?
 - Nie. A ty?
- Mace pokręciła głową.
- Twoja siostra musi mieć pełne ręce roboty. To poważna sprawa.
 - W zasadzie Beth nad nią nie pracuje.
 - Dlaczego nie? Ciało znaleziono w Waszyngtonie.
 - Podobno wykracza to poza jej kompetencje.
- Mace przez chwilę siedziała patrząc przed siebie i zastanawiając się nad słowami Mony. W końcu spojrzała na Roya.
- Czy znalazłeś trochę czasu, żeby powęszyć w kancelarii?
 - Tak.
 - I co?
 - Biuro Ackermana było czyste. W gruncie rzeczy nie jestem pewien, czy on w ogóle cokolwiek robi.
 - Jak myślisz, ile zarabia za to nicnierobienie?
 - Na pewno siedmiocyfrowe sumy.
 - Nienawidzę prawników.

- Ale to czarodziej. Najpotężniejszy w firmie. Regularnie sprowadza ważnych klientów. Szeregowi pracownicy tacy jak ja zarabiają nieźle. Ale to czarodzieje zbijają fortuny.

- Tym lepiej dla nich. Co poza tym?

Roy opowiedział jej o dalszym ciągu swojego śledztwa, w tym o oględzinach remontu na czwartym piętrze, rozmowie z nadzorcą prac i późniejszej dyskusji z portierem.

Mace skoczyła na równe nogi.

- Do cholery, dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

- O czym? Rozmawiałem z nim dopiero dzisiaj po południu.

- Z portierem. Powiedziałeś, że z nadzorcą rozmawiałeś znacznie wcześniej.

- No i?

Mace położyła na stoliku pieniądze za drinki.

- Gdzie idziesz?

- Jedziemy do twojego biurowca. I to zaraz.

Roy wstał i chwycił kurtkę.

- Do mojego biura? Po co?

- Nie do biura, do biurowca i jeśli dobrze pójdzie, zobaczysz po co.

- Chcesz pojechać za mną na motocyklu?

- Nie, muszę ukryć się w twoim samochodzie.

- Co? Dlaczego?

- Podobno mnie osłaniają!

37

Wjechali windą z garażu do frontowego holu.

- Czego właściwie szukamy? - spytał Roy, idąc za Mace do wind biurowych.

- Sprawy, nad którą pracowałam jakieś pięć lat temu.

Boże, gdyby tylko to się udało. Przygwoździć drania. Wrócić do służby. Do diabła z Moną. I nie mogliby tknąć Beth. To byłaby wyłącznie moja zasługa.

- Czego?

- Trzymaj się mocno. Nie lubię odpowiadać na pytania podczas łowów. - Mace wsunęła rękę do kieszeni kurtki.

- Masz pistolet?

- Nie, ale dziewczyny muszą się chyba jakoś bronić, co?

Wsiedli do windy. Kiedy Roy chciał wcisnąć przycisk piętra zajmowanego przez kancelarię Shilling & Murdoch, Mace chwyciła go za ramię.

- Mówiłam o *biurowcu*. Może później zaliczymy twoje biuro.

- W jakim sensie zaliczymy?

- Zabawny z ciebie gość, Roy.

Wcisnęła przycisk trzeciego piętra. Kilka chwil później oboje wyjrżeli w półmrok.

- Co teraz? - spytał zagubiony Roy. - Powciskamy wszystkie przyciski, a potem wybiegniemy z budynku śmiejąc się

histerycznie i poszukamy samochodu, żeby go owinąć papierem toaletowym?

- Gdzie są schody ewakuacyjne?

Roy poprowadził ją korytarzem obok ciemnych biur i wskazał na drzwi niedaleko końca korytarza. Mace otworzyła je gwałtownie, Roy stał tuż za nią. Wskazała na drzwi w ścianie obok wyjścia ewakuacyjnego i otworzyła je. Był to schowek na szczotki.

- Jest ich więcej?

- Jeszcze jeden na pierwszym piętrze.

- Rany, co za świetnie zabezpieczone miejsce - stwierdziła Mace.

- Blokujecie dostęp do frontowych drzwi, zatrudniacie ochroniarza, chociaż przyznaję, że byle jakiego, zabezpieczacie windy wewnętrzne i biura i zapominacie o windach prowadzących z garażu? I w dodatku zostawiacie w budynku idealną kryjówkę dla jakiegoś bandziora.

- Deweloper, który budował ten biurowiec, zbankrutował, a firma, która go po nim przejęła, dokończyła budowę tanim kosztem, w którym nie zmieściło się zabezpieczenie wind garażowych. Nie chcieli płacić za dodatkowe wyposażenie.

- Mogę się założyć, że teraz to zrobią. No dobrze, nawet wjeżdżając przez garaż trzeba minąć stanowisko ochrony, żeby dostać się na schody ewakuacyjne. Mówiłeś, że ekipa remontowa wychodzi o wpół do szóstej i nie pracuje w weekendy. Ned przychodzi o szóstej rano i wychodzi o szóstej po południu. Zabezpieczenia drzwi zewnętrznych, wind biurowych i twojego biura włączają się o ósmej wieczorem i wyłączają o ósmej rano. To zostawia mnóstwo czasu.

- Czasu na co?

- Daj spokój? Czyżbyś zbyt wiele razy walnął głową o kosz?

Poszli w górę schodami i kolejne drzwi, które otworzyła Mace, prowadziły na czwarte piętro. Panowała tam niemal całkowita ciemność. Mace ruszyła naprzód i przykucnęła przy materiałach budowlanych.

- Czego szukamy? - wyszeptał mężczyzna.

- Dowiem się, jak to znajdę.

Podkradli się naprzód. Mace szła pierwsza. Roy zauważył, że stąpa jak kot, nie robiąc hałasu ani zbędnych ruchów. Starał się ją naśladować, ale odkrył, że pocą mu się ręce, a w uszach słyszał uderzenia serca.

Minutę później Mace zatrzymała się i wskazała na coś. Roy zobaczył przyćmione światło dochodzące z odległej części pomieszczenia, z miejsca niewidocznego przez okna.

Mace sięgnęła do kieszeni i coś z niej wyjęła. Roy nie dojrzał, co to było.

- Co teraz? - wymamrotał.

- Zostań tutaj. Gdyby przebiegał tędy ktoś inny niż ja, podstaw mu nogę i z całej siły walnij w głowę.

- Walnąć w głowę? To napaść, przestępstwo umyślne. A co, jeśli będzie uzbrojony?

- Dobra, mięczaku, daj się zabić, a potem twoi spadkobiercy będą mogli wytoczyć draniowi sprawę cywilną o spowodowanie śmierci. Decyzja należy do ciebie.

Poszła naprzód, a Roy ukrył się za dużą skrzynią na narzędzia. Rozejrzał się po podłodze i podniósł z niej belkę. Chwycił ją mocno i szeptem pomodlił się, żeby nikt nie przebiegł.

I nie jestem mięczakiem.

Po dwóch minutach cisza się skończyła. Usłyszał wrzask, a potem odgłos przypominający długie syknięcie. Później rozległ

się kolejny krzyk i głośny głuchy odgłos uderzenia. Roy poderwał się i pognął przed siebie. Potknął się o stos paneli sufitowych, pokoziołkował naprzód, wylądował na plecach, przejechał kilka metrów po gładkim betonie i zatrzymał się obok wiązanych butów na wysokim obcasie.

Popatrzył w górę, jęcząc i rozcierając głowę. Coś zaświeciło mu w oczy. Podniósł rękę, by przysłonić je dłonią.

- Roy, co tu robisz, do diabła? - spytała Mace, która trzymała w ręku podniesiony z podłogi reflektor.

- Przybywam ci na ratunek - przyznał potulnie.

- Rany, to było urocze. Mam szczęście, że nie musiałeś faktycznie mnie ratować - w przeciwnym razie oboje już byśmy nie żyli.

Pomogła mu wstać.

- Usłyszałem krzyk i odgłos uderzenia. Co się dzieje?

Mace wskazała światłem latarki na podłogę. Wzrok Roya powędrował za plamą światła. Na podłodze leżał Kapitan, którego potężnym ciałem wciąż wstrząsały drgawki.

- Coś ty mu zrobiła, do cholery?

- Kastet z kopem.

- Co?

Mace uniosła w górę lakierowany na czarno kastet.

- Uderzenie o sile niemal miliona woltów. Nic mu nie będzie. Ale w tej chwili zasługuje na ksywkę Osika.

Roy wskazał na kastet.

- Czy to nie jest nielegalne?

Mace rzuciła mu niewinne spojrzenie.

- Nie wydaje mi się, Roy. Ale tak na wszelki wypadek nikomu o tym nie wspominaj.

- Wiesz, że jestem prawnikiem i urzędnikiem wymiaru

sprawiedliwości.

- Ale przecież istnieje coś takiego jak tajemnica adwokacka.
- Nie jestem twoim adwokatem.

Mace wyjęła z kieszeni dolara, wsunęła go do ręki mężczyzny i dała mu sójkę w bok.

- Teraz już jesteś.
- Dlaczego poraziłaś Kapitana?
- Osika nazywa się Kapitan? Znasz go?
- Tak, to weteran. Teraz jest bezdomny.

Mace oświetliła łachmany Kapitana i jego brudną twarz.

- Poraziłam go, bo to kawał chłopca, a ja jestem tylko bezradną dziewczynką.

- Nie jesteś bezradna i nie jestem nawet do końca przekonany, czy jesteś dziewczynką. - Roy rozejrzał się wokół siebie. - Pewnie to on kradł jedzenie i narzędzia.

- Może coś więcej, Roy. Może znacznie więcej.
- O czym mówisz?
- Co byś powiedział na mordowanie prawniczek?
- Kapitan? Nie, to wariactwo. Nie zrobiłby tego.
- Skąd go znasz?

- To jego rejon. Daję mu różne rzeczy - pieniądze, jedzenie.

- I buty. - Mace oświetliła stopy Kapitana. - Widziałam je w twoim samochodzie.

- Biedak owijał sobie nogi kartonem.
- Znasz go tylko z ulicy?

Roy się zawahał.

- Nie, nie tylko.
- Skąd jeszcze?
- Czy to ważne?
- Wszystko jest ważne, Roy.

- Broniłem go kiedyś.
- Przed czym?
- Przed oskarżeniem o napaść. Ale to było trzy lata temu.
- Taa. I widzę, że od tego czasu jego sytuacja znacznie się poprawiła.
- Jestem pewien, że przyszedł tu tylko po jedzenie, i żeby nie spać na ulicy. W nocy robi się tam niebezpiecznie.
- Wygląda na to, że tutaj też.
- On nie mógł zabić Diane.
- Jasne, że mógł.
- Jak?
- W piątek wśliznął się przez garaż po wyjściu ekipy remontowej. Taki człowiek wchodząc przez frontowe drzwi za bardzo zwróciłby na siebie uwagę. Stary Ned pewnie odgrzewał sobie jedzenie na zapleczu - a może Kapitan odczekał, aż ochroniarz skończy pracę. W dogodnej chwili przeszedł przez hol i wszedł na schody. Ukrył się w jakże dogodnym schowku na szczotki do chwili, gdy twój przyjaciel portier wypełnił swe obowiązki i wyszedł. Później, kiedy w biurze zrobiło się spokojnie, poszedł na czwarte piętro, do którego miał bezpośredni dostęp ze schodów ewakuacyjnych, i tam przenocował. W poniedziałek obudził się, kiedy usłyszał windę wjeżdżającą na górę wczesnym rankiem, a może już nie spał, bo wiedział, że musi się wynieść, zanim przyjdą ludzie. Wcisnął przycisk, żeby winda zatrzymała się na jego piętrze. Drzwi się otworzyły. Tolliver go nie zauważyła, ale on dostrzegł ją, samotną kobietę zamkniętą w metalowym pudełku, łatwy cel. Chwycił ją i było po wszystkim.
- Ale jeśli wiedział, że Ned przychodzi o szóstej, czy nie wyszedłby wcześniej?
- Myślisz, że tak trudno jest się prześliznąć obok Neda?

- A może nie ma zegarka.

Mace przyklęła i podwinęła lewy rękaw Kapitana, pod którym ukazał się zegarek. Oświetliła tarczę.

- Pokazuje właściwą godzinę.

- Mówiłaś coś o sprawie, nad którą pracowałaś?

- Ten sam MO. Bandyta ukrywał się w remontowanych budynkach. Zatrzymywał windę, kiedy późno w nocy słyszał wjeżdżającą lub zjeżdżającą kabinę. Jeśli drzwi się otwierały, a za nimi była samotna kobieta, rzucał się na nią.

- Złapałaś go?

- Lepiej. Wystawiłam się na przynętę. Kiedy próbował mnie chwycić, strzeliłam mu w najczulsze miejsce. Ten człowiek zamordował trzy kobiety, więc unieszkodliwienie go raz na zawsze było prawdziwą przyjemnością.

- Tak, ale Kapitan.

- Słuchaj, może Kapitan chciał ją tylko obrabować, ale sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Widzę na jego kurtce Brązową Gwiazdę za zasługi w walce i dwa Purpurowe Serca. W jakim oddziale służył?

- Skąd wiesz, że Brązową Gwiazdę dostał za zasługi w walce?

- Nosi z medalem odznakę za waleczność. - Wskazała na małą literę V widniejącą na piersi Kapitana nad Brązową Gwiazdą. - Daje się je tylko za bohaterską postawę w walce.

- Ja o tym wiedziałem, bo mam brata w piechocie morskiej, a ty?

- Spełniłam swój patriotyczny obowiązek i umawiałam się z facetami z każdego możliwego oddziału. Chętnie chwalili się swoimi medalami. No i mój tata przywiózł taki z Wietnamu. To w którym oddziale on służył?

- W rangersach.

- Czyli jest nie tylko wielki i silny, ale też świetnie wyszkolony w zabijaniu ludzi. - Spojrzała na leżącego, a później na Roya.

- Czy Kapitan ma jakieś prawdziwe nazwisko?

- Lou Dockery. Wciąż nie wierzę, że zabił Diane.

- Mówisz jak rasowy obrońca. Ale to nie tobie o tym sądzić. W gruncie rzeczy powinieneś zawiadomić teraz policję.

- Ja?

- Mnie tu oficjalnie nie ma. Moja siostra podała ci swój numer. Dockery nie dojdzie do siebie jeszcze przez jakieś dwadzieścia minut. Radzę ci zadzwonić od razu.

Roy wyglądał na spanikowanego.

- Co do diabła mam jej powiedzieć?

- Prawdę, pomijając część związaną ze mną. Poczekaj chwilę. Podniosła z podłogi kawałek drewna i zacięła się w rękę małym nożem, utaczając nieco krwi, którą rozsmarowała na belce.

Roy był zaszokowany.

- Po co to zrobiłaś, do cholery?

- Znam swoją siostrę. Trzymaj się tej wersji.

- Dlaczego?

- Już mówiłam, znam swoją siostrę. A teraz dawaj kartę wstępu.

- Dlaczego?

- Chcę się rozejrzeć po kancelarii Shilling & Murdoch.

- Chyba nie mówisz poważnie?

Mace pomachała paralizatorem.

- Poważnie jak milion woltów.

38

Po wyjściu z Café Milano Beth wróciła do biura, by przejrzeć akta i odpowiedzieć na e-maile. Była w drodze do domu, kiedy zadzwonił Roy. Wezwała na miejsce oddział, zawróciła pośrodku ulicy i popędziła do Georgetown. Roy czekał na policjantów przed głównym wejściem do budynku i wprowadził ich do środka.

- Ładny mundur - stwierdził, kiedy zobaczył Beth ubraną tak, jak w Café Milano. - Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem w niczym przyjemnym.

Beth nie złapała przynęty.

- Gdzie do diabła jest Mace?

Uśmiech zniknął z twarzy Roya.

- Nie wiem.

Beth miała buty na pięciocentymetrowych obcasach, więc była niemal równa wzrostem z wysokim prawnikiem.

- Jesteś gotów powtórzyć tę odpowiedź?

- Spotkaliśmy się, a potem każde poszło w swoją stronę. Ja wróciłem tutaj.

- Dlaczego?

- Ostatnio z oczywistych względów nie udawało mi się zbyt wiele popracować. Staram się nadrobić. Chciałem też wykonać kilka telefonów.

- O tej porze?

- Do Dubaju. Tam już jest jutro.
- Dziękuję za lekcję geografii. Gdzie on jest?
- Na czwartym piętrze.

Poprowadził ich na schody.

- Dlaczego nie pojedziemy windą? - spytała Beth.

„Bo twoja siostrzyczka ma moją kartę wstępu” - pomyślał Roy, ale na głos powiedział:

- Kiedy zjeżdżałem na dół, windy działały jakoś dziwnie. Nie chciałym utknąć w którejś z nich.

Policjanci - jeden umundurowany na czele, a za nim dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy w cywilnym ubraniu - weszli po schodach. Na ulicy stały już inne radiowozy i nieoznakowane samochody, ogradzano też budynek.

- Jakim cudem pracując w nocy wdałeś się w bójkę na remontowanym piętrze?

- Usłyszałem coś.

- Z szóstego piętra?

- Usłyszałem, jak podjeżdża winda. Na początku nie zwróciłem na to uwagi, ale później przypomniało mi się, że portier opowiadał o kradzieżach na budowie, więc postanowiłem to sprawdzić.

- Trzeba było od razu zadzwonić na policję. Masz szczęście, że żyjesz.

- Chyba ma pani rację.

Dotarli na czwarte piętro. Policjanci wyciągnęli pistolety i latarki i poszli w kierunku wskazanym przez Roya. Znaleźli Kapitana wciąż leżącego na podłodze. Nie miał już drgawek, wyglądał jakby spał.

Na znak dany przez policjantów Beth i Roy zbliżyli się do mężczyzny. Pani komendant przyjrzała się leżącemu.

- To kawał chłopca, w dodatku były wojskowy, jeśli ta kurtka i medale faktycznie należą do niego. Jak udało ci się go powalić? - Odwróciła się do Roya i zaczęła uważnie się mu przyglądać.

Prawnik schylił się i podniósł belkę, którą dała mu Mace.

- Użyłem tego. Jeszcze widać krew.

- Uderzyłeś go tym? Zaatakował cię?

- Nie, ale bałem się, że to zrobi. Wszystko działo się tak szybko - wyjaśnił.

Beth zwróciła się do swoich ludzi.

- Zabierzcie stąd Śpiącą Królową. - Spojrzała na Roya. - Myślę, że możemy zaryzykować jazdę windą. Potrzebuję twojej karty wstępu, żeby się do niej dostać.

Roy poklepał się po kieszeniach i sprawdził kurtkę.

- Kurczę, musiałem zostawić ją w biurze. Nie mogę teraz wrócić do środka. Przykro mi, trzeba będzie zejść schodami.

Dołączyło do nich kilku innych umundurowanych funkcjonariuszy i wszyscy razem musieli włożyć wiele wysiłku, by znieść potężnego Kapitana do holu.

- Chcę się dowiedzieć wszystkiego po kolei - stwierdziła Beth.

- Zgoda. A może przy okazji skoczymy na drinka?

- Nie, panie Kingman. Nie chcę iść na drinka, chcę poznać prawdę.

- Mówię prawdę, pani komendant.

- A zatem mów wszystko po kolei i niczego nie pomijaj, gogusiu. Bardzo niewiele brakuje, żebym zamknęła cię za utrudnianie śledztwa, fabrykowanie dowodów, składanie fałszywych zeznań i zwykłą głupotę.

- Czy jest pani pewna, że nie jesteście z siostrą bliźniaczkami? - spytał Roy ze znużeniem.

- Słucham?

- Nieważne. - Mężczyzna westchnął z rezygnacją i zaczął mówić.

39

Mace schyliła się i przeszła pod żółtą policyjną taśmą odgradzającą kuchnię i biuro Diane Tolliver, po czym szybko i efektywnie je przeszukała. Nie znalazła nic. Później przez dłuższy czas przyglądała się wnętrzu lodówki. Roy powiedział jej, że zmarła miała metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i ważyła około sześćdziesięciu pięciu kilo. Mace widziała w życiu dość zwłok, by wiedzieć, że są one nieporęczne. Zabójca musiał mocno wcisnąć kobietę do środka – inaczej drzwi lodówki łatwo ustąpiłyby pod naporem bezwładnego ciała.

Jeszcze raz powtórzyła sobie godziny podane przez siostrę i uzupełnione przez Roya. Tolliver musiała posłużyć się tamtego ranka kartą wstępu, więc mogli z dość dużą dokładnością określić jej ruchy.

Bramka wejściowa do garażu wskazała, że Diane wjechała o szóstej. Ned usłyszał jej głos w holu mniej więcej minutę później. Uruchomiła kartą windę i weszła na teren biura Shilling & Murdoch po kolejnych dziewięćdziesięciu sekundach. Roy przyjechał do biura o siódmej trzydzieści i znalazł ciało kilka minut po ósmej. Mace była przekonana, że Tolliver już nie żyła, kiedy Roy dotarł do biura, więc zostawało mniej więcej półtorej godziny – w tym czasie ktoś musiał popełnić morderstwo i wepchnąć ciało do lodówki.

Tolliver wysłała e-maila do Roya w piątek późnym wieczorem. Prawdopodobnie tego samego dnia przesłała mu również książkę z kluczem w środku. Na czwartym piętrze ukrywał się były rangers, który prawdopodobnie stanie się głównym podejrzanym. Mace spojrzała na zegarek. Wyglądając przez okno z biura Roya zauważyła podjeżdżające pod budynek radiowozy. Domyśliła się, że Dockery został już aresztowany i pobrano od niego próbkę DNA. Jeśli okaże się, że pasuje, będzie po sprawie. Czysta robota. A wtedy będzie mogła opowiedzieć Beth o tym, jak rozwiązała sprawę i ujęła sprawcę – i może uda jej się wrócić do służby.

Więc czemu cały czas coś jej nie pasowało?

Powoli wróciła do biura Roya, żeby zobaczyć, jak będą wyprowadzać Dockery'ego. Roy mówił prawdę – roztaczał się stąd świetny widok na obszar przed budynkiem.

Wyjęła z kieszeni mały przedmiot – kopię klucza, który Tolliver przesłała Royowi w książce. Mace kazała „przyjacielowi” dorobić duplikat po wyjściu ze sklepu Bindera, ostrzegając go, że jeśli zatrze odciski palców na oryginale, zostanie potraktowany paralizatorem tak, że mózg mu się zlasuje. Był to drobiazg w porównaniu z tym, co zrobiłaby jej Beth, gdyby dowiedziała się o dorobionym kluczu.

Mace pomyślała o e-mailu, który Tolliver wysłała do Roya. *Musimy skoncentrować się na A-*. Po literze A następował dywiz. Ten szczegół wydawał się nieistotny, ale Mace wiedziała, że pozornie nieistotne szczegóły często nabierają wielkiego znaczenia podczas dochodzeń w sprawach karnych. Miała instynkt śledczy w genach. Jej ojciec był tak dobry w obserwacji i dedukcji, że FBI zaproponowało mu prowadzenie w akademii kursu na temat pracy w terenie. Teraz przedmiot ten wykładała Beth.

Roy jednak miał rację. Zdanie było dziwacznie sformułowane.

Musimy skoncentrować się na A-

Spojrzała na trzymany w dłoni klucz. Dlaczego nie powiedzieć po prostu: „A - ma kluczowe znaczenie”?

- A - ma kluczowe znaczenie - powiedziała na głos, mając nadzieję, że coś jej przyjdzie do głowy. Czy to przypadek? Klucz i kluczowy? Kluczowy klucz?

Westchnęła i wyjrzała przez okno z biura Roya. Na ulicy stały oznakowane i nieoznakowane radiowozy i kręciło się sporo umundurowanych i nieumundurowanych policjantów, zastanawiających się zapewne, kiedy będą mogli wrócić na patrol albo pojechać na „miejscówkę” i czekających, aż odezwie się ich radio. Póki co nikt nie wychodził z biurowca, więc Mace westchnęła i uniosła wzrok nad frontowe drzwi stojącego naprzeciwko budynku.

Kiedy zobaczyła neon, na początku nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- A niech mnie!

Popatrzyła na klucz, a później jeszcze raz na migający szyld. Jak mogła go przegapić? Był fioletowy! Fakt, że nigdy nie wyglądała przez to okno w nocy, ale mimo wszystko - co z niej był za detektyw?

Szybko sięgnęła do kieszeni po telefon i wysłała SMS-a do Roya.

Roy, musimy pogadać, i to zaraz.

40

Roy ukradkiem zerknął na komórkę, jak tylko zawibrowała mu w kieszeni spodni. Nie uszło to uwagi Beth, która stała blisko niego. Kiedy podniósł wzrok znad ekranu telefonu, napotkał jej badawcze spojrzenie.

- Dzwonili z Dubaju? - powiedziała chłodno.

- Nie, to tylko mój kumpel.

- Późno chodzi spać.

- Obaj jesteśmy nocnymi Markami.

- Tym lepiej dla was - odpowiedziała. W jej tonie wyraźnie pobrzmiwał sceptycyzm.

- Skończyliśmy, pani komendant?

- Na razie tak. Ale następnym razem, kiedy usłyszysz podejrzone hałasy, wezwij policję.

- Ma pani moje słowo.

- Dobrze, że nie pracujesz już w sądzie.

- Dlaczego?

- Marnie ci idzie wciskanie kitu.

Odwróciła się i wyszła z budynku, a Roy rzucił się na schody. Mace czekała na niego przed frontowymi drzwiami do kancelarii.

- Co się dzieje, do cholery? - spytał, kiedy chwyciła go za ramię i pociągnęła do środka. - Dostałem twojego SMS-a, kiedy twoja siostra jeszcze tu była.

- Chodź.

Pobiegli do biura Roya.

Mace podeszła do okna, prawnik stanął obok niej.

- Powiedz mi, co widzisz - spytała, wskazując na ulicę.

Mężczyzna rozejrzał się w ciemności.

- Budynki. Jezdnię. Wkurzoną komendant policji.

- Myślże!

- Ale co?

- Fioletowy!

Roy zauważył duży, purpurowy neon nad drzwiami sklepu znajdującego się na parterze budynku naprzeciwko.

- Skrytki pocztowe A-1! Nasz klucz otwiera jedną z nich?

- Zgadza się, geniuszu. „Skoncentrować się na” oznaczało „użyć klucza na A-1”. Po drugiej stronie tej głupiej ulicy.

- Pewnie pomyślała, że skoro mam znak tuż za oknem, e-mail, który do mnie przysłała, wystarczy, żebym domyślił się, o co chodzi. - Prawnিক wyglądał na zasmuconego. - Cały dzień patrzyłem przez to głupie okno, a ty od razu załapałaś w czym rzecz.

- Nie przejmuj się za mocno. Gdybym nie wyjrzała przez okno, żeby sprawdzić, czy moja siostra nie wspina się po budynku jak King Kong, żeby mnie schwytać, też nigdy bym go nie zauważyła.

- Ale teraz nie możemy nic zrobić. Oddałem klucz policji.

- Roy, Roy, rozczarowujesz mnie - stwierdziła Mace, pokazując mu duplikat.

- Zrobiłaś kopię?

- No pewnie.

- Mace, to manipulacja dowodami. To nielegalne!

- Teraz rozumiesz, dlaczego cię zatrudniłam? Żebyś mnie nie wsypał.

- Mogę stracić przez to licencję.
- Tak, ale raczej do tego nie dojdzie.
- Raczey? Nie podoba mi się to prawdopodobieństwo.
- Dobrze, możesz dać sobie spokój. Sama jutro sprawdzę skrytkę.
- Ale nie wiesz, która należała do Diane.
- Roy, znów mnie rozczarowujesz, i to bardzo.
- Masz jakiś sposób, żeby się tego dowiedzieć?
- Zawsze jest jakiś sposób.
- Tak na wszelki wypadek muszę ci powiedzieć, że twoja siostra nie uwierzyła w moją historyjkę.
- Pewnie, że nie. Wbrew powszechnemu mniemaniu nie zostaje się komendantem policji w dużym mieście dzięki głupocie i naiwności.
- Mace, a co jeśli ona się dowie, że prowadzisz w tej sprawie prywatne śledztwo?
- Zawsze pozostaje samobójstwo.
- Pytam serio.
- Słuchaj, wiem, że to głupie i ryzykowne, ale mam swoje powody.
- Jakie?
- Powiedzmy, że doznałam objawienia w damskiej toalecie. Podwieź mnie teraz z powrotem do hotelu. Muszę zabrać stamtąd motocykl.
- W porządku. Też muszę się zdrzemnąć.
- Nie mówiłam, że wybieram się spać.
- Co zamierzasz?
- Muszę się czymś zająć do chwili, kiedy będziemy mogli sprawdzić skrytkę. Odwiedzę starych przyjaciół.
- O tej porze?

- Najłatwiej ich spotkać w nocy.

Roy długo się jej przyglądał.

- Mace, nie pracujesz już w policji. Nie masz nikogo, kto mógłby cię chronić. A te gangi są niebezpieczne.

- Chyba zauważyłeś już, że potrafię o siebie zadbać.

- W takim razie pojedę z tobą.

- Nie. Mnie będą tolerować, ciebie by zabili. Jasne?

- Nie rób tego. To szaleństwo.

- Nie. To mój świat.

41

Mace zwolniła, a potem się zatrzymała. Przebrała się w hotelowej łazience, zmieniając ubranie, które założyła do Café Milano, i zapinane szpilki na znoszone dżinsy, skórzaną kurtkę i swoje ulubione ciężkie buciory na miarę, które kazał zrobić zakochany w niej agent FBI z ekipy odbijającej zakładników. Przejechała głównymi ulicami, bocznymi drogami i zaułkami, które znała jak własną kieszeń. Jeśli ktoś próbował ją śledzić, była pewna, że udało jej się go zgubić. Odczekała trzy minuty i później na wszelki wypadek wróciła po śladach. Nikogo nie było. Uśmiechnęła się.

Punkt dla osłanianych.

Mace uniosła osłonę kasku i szybko się rozejrzała. Część Waszyngtonu, w której się w tej chwili znajdowała i do której dochodził zapach rzeki Anacostia, nie figurowała na żadnych oficjalnych mapach miasta, z jednej prostej przyczyny – napady, rabunki i zabójstwa przyjezdnych źle wpływały na turystykę. Choć zbudowano tu nowy stadion i usiłowano odrestaurować okolicę, były tu rejony, w które starali się nie zapuszczać nawet policjanci. W końcu oni też chcieli wrócić po pracy do czekającej na nich w domu rodziny.

Mace wrzuciła gaz i pojechała dalej. Wiedziała, że jest obserwowana z każdej strony, nasłuchiwała też nawoływania

„whoop-whoop” lub zbiorowych okrzyków „Five-O”. W ten sposób okoliczni mieszkańcy ostrzegali się nawzajem o pojawieniu się gliniarzy. Przestępcy wiedzieli nawet, jakiej marki nieoznakowanymi radiowozami jeździ policja. Samochody kupowano dużymi partiami i nie wymieniano mniej więcej przez trzy lata. Zanim Mace poszła do więzienia, jako nieoznakowane radiowozy jeździły wyłącznie niebieskie chevrolety lumina. Co noc słyszała okrzyki tuż po tym, jak wjechała na ulicę swym jaskrawoniebieskim samochodem. Stała się tak łatwo rozpoznawalna, że w końcu zaczęła wypożyczać auto za własne pieniądze.

W jednym uchu miała słuchawkę połączoną z radiem policyjnym zamocowanym przy pasku. Sprawdziała zgłoszenia, żeby sprawdzić, gdzie coś się dzieje. Noc była spokojna, przynajmniej jak na Waszyngton, więc Mace pomyślała, że może uda jej się dowiedzieć czegoś ciekawego na miejscówce.

Po drodze minęła kilka porzuconych przy ulicy samochodów. Wiedziała z doświadczenia, że wiele z nich zostało skradzionych, wykorzystanych do popełnienia przestępstwa i pozostawionych własnemu losowi. Z różnych powodów było tu także wiele ogrodzonych działek i Mace z przyzwyczajenia zajrzała do kilku, przejeżdżając obok nich. Jedna była pusta, w drugiej jakiś ćpun właśnie dawał sobie w żyłę, w trzeciej odbywał się akt cudzołóstwa z udziałem dwóch dziewcząt i bardzo pijanego mężczyzny. Mace wiedziała, że za jakąś godzinę facet się ocknie i nie będzie mógł znaleźć portfela.

Powoli podjechała na przykościelny parking i zauważyła trzy radiowozy ustawione w kręgu, tak że maska jednego stykała się z bagażnikiem kolejnego. To była miejscówka, w której policjanci z patrolu zaszywali się do chwili, kiedy dyspozytor wezwał ich

przez radio do wznowienia walki z przestępczością. Wiedziała, że nie należy zbliżać się do radiowozów – zbyt gwałtownie – zakłócenie odpoczynku zestresowanego oficera z patrolu mogło mieć bardzo nieprzyjemne konsekwencje. Zatrzymała motocykl daleko przed jednym z radiowozów, zdjęła kask i zamachała. Istniało spore prawdopodobieństwo, że przynajmniej w jednym z patroli będzie ktoś znajomy. Zamieniło się ono w pewność, kiedy jeden z radiowozów zamrugał światłami.

Mace zeskoczyła z ducati i podeszła do niego. Kierowca opuścił szybę, wystawił przez nią głowę i powiedział:

- Cholera, Mace, słyszałem, że wróciłaś z Zachodniej Wirginii. Dobrze cię widzieć, dziewczyno.

Mace schyliła się i oparła łokcie na skraju opuszczonej szyby.

- Hej, Tony, jak tam na miejscówce?

Tony miał czterdzieści kilka lat, gruby kark, potężne ramiona i przedramiona o obwodzie nie mniejszym niż uda Mace – taką sylwetkę wypracował w pocie czoła na siłowni. Był dobrym przyjacielem Mace i kilka razy udzielił jej skutecznego wsparcia, kiedy pracowała w wydziale antynarkotykowym. Obok niego leżał laptop panasonic toughbook, nie mniej cenny dla policjanta niż broń. Najważniejszą część policyjnego ekwipunku stanowiło jednak radio, przez które w razie potrzeby można było wzywać pomocy.

Tony uśmiechnął się do niej.

- Dziś spokojna noc. Wczoraj było inaczej. Zrobiłem rundkę, przyjechałem tu dwadzieścia minut temu i słucham sobie muzyki.

- Spojrzał na młodą policjantkę siedzącą obok niego. - Francie, to Mace Perry.

Francie uśmiechnęła się do Mace. Miała krótkie, płomiennorude włosy i aparat na zębach i wyglądała na jakies

piętnaście lat, ale była mocno zbudowana, a umięśnione ramiona świadczyły o tym, że lepiej z nią nie zadzierać. Oboje mieli na sobie grube rękawiczki. Ostatnią rzeczą, jakiej którekolwiek z nich pragnęło, było włożenie ręki pod przednie siedzenie zatrzymanego samochodu i wbicie w nią wystającej stamtąd strzykawki. Mace знаła policjanta, który zaraził się w ten sposób wirusem HIV

- Hej, Francie, jak długo jeździsz z tym starym niedźwiedziem?
- Sześć tygodni.
- To twój oficer szkoleniowy?
- Tak.
- Mogło być znacznie gorzej.

Tony stwierdził:

- Podstawiam jej aresztowanie za aresztowaniem. Załatwiam nadgodziny w sądzie. Jestem dla niej mistrzem i prawdziwym dżentelmenem.

Mace żartobliwie uderzyła go w ramię.

- E tam, po prostu nie chce ci się odwalać papierkowej roboty.
- Nie pozbawiaj dziewczyny złudzeń.
- Wciąż zdarza mi się zatęsknić za apelem.

Tony wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Chyba ci odbiło, Mace. Tu wszystko jest po staremu. Wciąż rozdzielamy koła od karoserii i biegamy, starając się znaleźć kluczyki.

- To lepsze niż dwa lata gapienia się w ścianę.

Tony przestał się uśmiechać.

- To na pewno, Mace. To na pewno.
- Bandyci też wciąż ci sami?
- Poza tymi, którzy już nie żyją.

Mace zerknęła na inne radiowozy.

- Jest tu ktoś, kogo znam?
 - Nie sądzę. Wysyłają teraz ludzi w najróżniejsze miejsca.
 - Przypomnij mi, w jakim wieku są twoje dzieciaki?
 - Jedno na studiach, dwójka w liceum. Przejadają wszystko, co zarobię. Kiedy dobieję do dwudziestu pięciu lat służby i dostanę emeryturę, i tak będę musiał dorabiać.
 - Zajmij się konsultingiem. Albo czymkolwiek innym, na pewno będzie to znacznie lepiej płatne.
 - Czy byłabyś łaskawa wyjaśnić, co do cholery robisz tu o drugiej w nocy, nieuzbrojona, na tym twoim fikuśnym motorze?
 - Skąd wiesz, że nie mam broni?
 - Mam rozumieć, że naruszasz warunki zwolnienia warunkowego? Mace uśmiechnęła się do Francie.
 - Widzisz, dlatego jest takim dobrym oficerem szkoleniowym. Nic mu nie umknie. Wygląda na pakera, ale ma głowę na karku.
 - Serio, Mace, co tu robisz?
 - Ogarnęła mnie nostalgia.
- Tony się roześmiał.
- Kiedy znów ją poczujesz, obejrzyj zdjęcia w albumie. Ulice nie są bezpieczne, szczególnie tutaj. - Później dodał poważnie. - Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek z nas.
 - Masz rację, wiem. Tyle że nigdy nie odkryli, kto mnie wrobił. To nie w porządku.
 - Wiem.
 - Ilu gliniarzy wierzy w moją winę?
 - Szczerze?
 - Chcę znać prawdę.
 - Siedmiu na dziesięciu jest po twojej stronie.
 - Mogło być gorzej.
 - Znacznie gorzej, biorąc pod uwagę, z kim jesteś

spokrewniona.

- Beth to policjantka z krwi i kości. Zaczynała jako krawężnik, tak samo jak ja.

- Tak, ale jest kobietą. Wiesz, że niektórym się to nie podoba.

- Trzymaj się, Tony. Jeszcze cztery lata.

- Odliczam każdy cholerny dzień, skarbie.

Mace spojrzała na Francie.

- A jeśli Tony wyciągnie broń, pamiętaj, żeby się schylić. Ten skurczybyk nigdy nie umiał celnie strzelać.

42

Mace pojechała dalej, zapuszczając się coraz głębiej w rejon, w który nawet taka ryzykantka jak ona nie powinna trafić bez broni i wsparcia dwóch radiowozów. Wiedziała jednak dokładnie, dokąd zmierza. Musiała to zobaczyć. Nie wiedziała dlaczego, ale czuła taką potrzebę. Może przez to, co zdradziła jej Mona w łazience. Mace była w stanie pogodzić się z porażką i powrotem do więzienia, ale nie z tym, że może pociągnąć za sobą Beth.

Zwolniła, zauważając sylwetki na ulicach, oczy wyglądające zza okiennych zasłon, głowy przytknięte do przyciemnianych szyb samochodowych – wszyscy zastanawiali się, co robi w takim miejscu o takiej porze. Istniejący tu ludzki ekosystem był jednocześnie kruchy i niezwykle odporny, ale większość obywateli nigdy nie miała się o tym przekonać. Mace była nim zafascynowana przez większą część swojego życia. Linia pomiędzy policjantami i bandytami była jednocześnie tak cienka i tak gruba, jak tylko to możliwe. Tych słów nie zrozumiałby żaden laik, ale każdy gliniarz pojąłby je w lot.

Spojrzała przed siebie. Stał tuż przed nią. Tkwił pośrodku O6 jak glejak wśród bardziej pospolitych guzów. Był to opuszczony budynek, który widział chyba więcej narkotyków, śmierci i perwersji niż jakakolwiek inna rudera w mieście. Policjanci od czasu do czasu uderzali na niego, ale bandyci zawsze powracali

w to miejsce niczym mrówki wypędzone z mrowiska. Na dachu tego budynku miała swój punkt obserwacyjny - założyła go właśnie tam, bo żaden bandyta by nie uwierzył, że policjant może się tam dostać. Mace przez miesiąc pracowała pod przykrywką, by przeniknąć do tego światka. Ukrywała kamerę i mikrofon w luźnych ubraniach, kupowała i sprzedawała narkotyki i odpierała dwuznaczne awanse najróżniejszych napastników za pomocą glocka kaliber 37 i ciętego języka. To była jedna z zalet pracy pod przykrywką w takim miejscu. Nieposiadanie broni byłoby podejrzane, bo wszyscy inni ją mieli.

Z dachu roztaczał się idealny widok na punkt handlu narkotykami wykorzystywany przez trzech braci, Latynosów, którzy stali na czele jednego z najokrutniejszych gangów w Waszyngtonie. Mace była wtedy w wydziale antynarkotykowym, ale nie zamierzała poprzestać na aresztowaniu ich za handel. Byli podejrzewani o ponad tuzin zabójstw. Mace robiła im zdjęcia, a członkowie jej grupy operacyjnej nagrywali rozmowy, jakie prowadziła przez komórkę. Mieli nadzieję, że uda im się zapuszkować Latynosów na resztę życia.

Niewiele się tam zmieniło. Wciąż była to rudera, w większości wciąż opuszczona, ale nie roіło się w niej od przestępców, odkąd Beth umieściła na pierwszym piętrze posterunek policji. Plotki, które słyszała w więzieniu, głosiły, że dwóch z braci przeniosło się w okolice Houston, trzeciego znaleziono w Rock Creek Park - z ciała został właściwie tylko szkielet. Podobno starsi bracia odkryli, że okrada ich z zysków z handlu kokainą i postanowili załatwić sprawę we własnym gronie. Mace była pewna, że bracia odkryli prowadzoną przez nią działalność dzięki komuś z ulicy, ślepemu trafowi lub wtyczce w policji, a później dokonali zemsty.

Dlaczego nie mogliście po prostu wpakować mi kulki w głowę? Byłoby szybciej i mniej boleśnie.

W tym momencie Mace zdała sobie sprawę, jaśniej niż kiedykolwiek podczas dwóch lat spędzonych w więzieniu, że dranie, którzy ją wrobili, prawdopodobnie nie poniosą za to kary. Leżąc na metalowym łóżku tworzyła misterne plany podążania za choćby najdrobniejszymi poszlakami i pracy nad sprawą bez wytchnienia, aż ich dopadnie. Później miała triumfalnie wkroczyć na posterunek, prowadząc schwytanych bandytów i świat wróciłby do normy.

Siedząc na ducati potrząsnęła głową z niedowierzaniem. *Jak mogłam w to wierzyć?*

Trzydzieści procent policjantów w Waszyngtonie uważało, że jest winna. Oznaczało to tysiąc dwustu ludzi. Trzydzieści brzmiało znacznie lepiej niż tysiąc dwustu.

Mace wiedziała, iż nie powinna się tym przejmować, że to nie miało znaczenia - ale dla niej było to ważne.

Oto zaułek, w którym się znalazła późno w nocy, po godzinach spędzonych na wpatrywaniu się w teleobiektyw - i od tej chwili jej życie zmieniło się na zawsze. Później była nasączona czymś szmata wetknięta w usta, od której zlasował jej się mózg, silne ramiona przytrzymujące jej ręce przy bokach, pisk opon i szybka jazda do piekła. Ukłucia igłą, wciągnięcia nosem, płyn wlewany do gardła. Wymioty, szloch, jęki, przekleństwa. Przede wszystkim szloch. Złamali ją. Nie było łatwo, ale w końcu im się udało.

Miałam was dorwać i zabić. Nie zapowiada się na to. W co ja zabrnęłam? Mam nadzieję, że bezdomny weteran zostanie skazany za zabójstwo, żebym mogła przypisać sobie zasługę za jego złapanie i wrócić do służby?

A co z kluczem i e-mailem? Jak Dockery mógłby mieć z nimi

cokolwiek wspólnego? Najwyraźniej sprawa była o wiele bardziej złożona, niż na początku wydawało się Mace.

Przerwała rozmyślenia, kiedy usłyszała odgłos - a chwilę później zobaczyła mężczyznę. Sięgnęła ręką do kieszeni. Nieznajomy był czarnoskóry i miał ogoloną głowę. Nie był od niej wiele wyższy, ale ważył więcej o dobre czterdzieści kilo, w których nie było ani grama tłuszczu. Mace wiedziała, że bandyci gorliwie trenują, żeby móc prześcignąć policjantów albo pokonać ich w walce wręcz, gdyby do niej doszło. I zwykle wcześniej czy później dochodziło.

- Fajny motor - stwierdził nieznajomy. Miał na sobie bluzę z kapturem, dżinsy i niezasnurowane biało-wiśniowe buty do koszykówki.

Mace uniosła przysłoną kasku.

- Tak, często mi to mówią.

Wiedziała, że mężczyzna ma pistolet w prawej kieszeni bluzy, a lekkie wybrzuszenie w dolnej części nogawki spodni świadczyło o tym, że na wysokości lewej wewnętrznej kostki przypiął drugi. Mocniej zacisnęła rękę na przedmiocie znajdującym się w jej kieszeni.

- Pewnie tak. Ale nie robią przy tym tego. - Wyciągnął potężny pistolet półautomatyczny. Mace od pierwszego rzutu oka stwierdziła, że to niecelna i byle jak złożona broń - ale nie trzeba być strzelcem wyborowym, żeby trafić w kogoś z odległości pół metra.

- Chcę go mieć.

- A stać cię na spłacanie rat?

Przystawił jej lufę do czoła.

- O ile nie robią kevlarowych kasków, to chyba tak. I wyjmij rękę z kieszeni, bardzo powoli, albo cię zabiję, suko.

- To tylko telefon.

- Pokaż.

Wyjęła komórkę i uniosła ją do góry.

- Widzisz? To tylko Nokia 357.

- Zabawna z ciebie laska.

- Nie słyszałeś jeszcze pointy tego dowcipu.

- Tak? A jak ona brzmi?

Prysnęła mu gazem pieprzowym w oboje oczu. Wrzasnął, upuścił pistolet i upadł na chodnik, przyciskając ręce do oczu. Mace włożyła rozpylacz gazu w kształcie telefonu, kupiony w sklepie Bindera, z powrotem do kieszeni.

- Mam taryfę z wysokiej półki, z dodatkowym oprogramowaniem do samoobrony.

Chwyciła jego pistolet, wyjęła magazynek, opróżniła komorę z pierwszej serii nabojów i wrzuciła broń do śmietnika. Drugi pistolet, rewolwer kalibru 22, spotkał taki sam los po tym, jak podwinęła nogawkę wijącego się jak piskorz mężczyzny i wyciągnęła broń z kabury na kostce. Usiadła z powrotem na motocyklu i spojrzała w dół na niedoszęłego napastnika, który wciąż skamlał i zwijał się na ziemi.

- Jak się nazywasz?

- Oczy mi zaraz wypłyną, ty suko!

- Postaraj się więcej nie napadać na ludzi. Jak się nazywasz?

- Zabiję cię, suko! Zabiję!

- To interesujące, ale do niczego nie prowadzi. Jak się nazywasz?

- Nie powiem ci, jak się, kurwa, nazywam!

- Przedstaw się, a dam ci coś, po czym pieczenie ustanie.

Mężczyzna przestał tarzać się po ziemi, ale wciąż pocierał rękami oczodoły.

- Co? - wrzasnął.
- Mam to w drugiej kieszeni. Jak się nazywasz?
- Brzytwa.
- Pytam o prawdziwe nazwisko.
- Darren.
- Darren i co dalej?
- Ja tu umieram!
- Nazwisko?
- Kurwa mać! Zabiję cię, suko!
- Nazwisko? - powtórzyła Mace spokojnie.
- Rogers! Niech ci będzie! Rogers!
- W porządku, Darrenie Rogersie. - Wyciągnęła małą buteleczkę z drugiej kieszeni.
- Spójrz na mnie.
- Co?
- Darren, jeśli chcesz, żeby pieczenie ustało, spójrz na mnie. Mężczyzna przestał się wić i przykucnął, wciąż zasłaniając rękami twarz.
- W ten sposób to nie zadziała. Otwórz oczy i popatrz w moją stronę. Brzytwa powoli oderwał ręce od twarzy i drżąc z wysiłku otworzył czerwone, załzawione oczy. Mace spryskała je płynem z butelki. Po kilku sekundach usiadł spokojnie i wziął głęboki oddech.
- Co to, kurwa, było?
- Czary.
- Dlaczego mi to zrobiłaś?
- Możesz uznać, że jestem nadwrażliwa, ale chyba przez napad z bronią w rękę i nazwanie mnie suką.
- Czy ty w ogóle wiesz, gdzie jesteś? Przyjechałaś tu z Iowa czy coś? W tej okolicy nie ma zabytków, paniusiu.

- Urodziłam się w Waszyngtonie i przez kilka lat pracowałam w tej okolicy.

Mężczyzna wstał i zaczął pocierać oczy, ale Mace szybko mu przerwała.

- Darren, masz to pieprzowe świństwo na rękach. Jeśli potrzebujesz oczu, znów zaczną piec, a czary nie zadziałają drugi raz.

Brzytwa zwiesił ręce wzdłuż tułowia.

- Co zrobiłaś z moimi giwerami?

- Są tam, w koszu. Wyjęłam z nich amunicję. A przy okazji, zamek w tej półautomatycznej jest do kitu. Zacina się przy co drugim strzale. A ta gówniana dwudziestka dwójka jest śmiechu warta.

- Zapłaciłem za półautomat dwieście dolców.

- To przepłaciłeś. W dodatku z odległości dziewięciuset metrów strzela mniej więcej równie celnie co TEC-9, czyli Panu Bogu w okno.

- Dużo wiesz o spluwach.

- Pod wieloma względami były moimi najlepszymi przyjaciółkami.

- Jesteś szaloną suką.

- Znów to słowo.

- Po co chcesz wiedzieć, jak się nazywam?

- Mieszkasz tu?

- A co, jesteś gliną?

- Nie, jestem tylko ciekawa.

- Dorastałem kilka ulic stąd - odpowiedział ponuro.

- Z kim trzymasz? Działa tu wiele gangów.

- Nie jestem w żadnym gangu.

- Co, nie udało ci się przejść inicjacji?

- Nie jestem w żadnym gangu - powtórzył uparcie.

- No dobra, może jesteś jednym z niewielu wolnych strzelców, którzy działają na tym terenie.

- A jeśli tak, to co?

- Jak to możliwe, że z taką gównianą bronią i bez gangu wciąż żyjesz?

- A jak myślisz, czemu wołają na mnie Brzytwa?

- Niech zgadnę. Bo jesteś naprawdę ostry?

- Daję sobie radę.

Zrobił jeden krok w jej stronę, jedną ręką osłaniając twarz.

Mace uniosła do góry telefon.

- Nawet o tym nie myśl, Darren. Jeśli naciśnę ten przycisk, moja komórka zmieni się w paralizator o mocy miliona woltów, a ty się usmażysz.

Mężczyzna opuścił rękę i cofnął się o krok.

- Masz rodzinę? - spytała Mace.

- Czy mogę wyjąć moją gównianą broń ze śmietnika?

- Kiedy odjadę. Mnie co prawda nie nazywają Brzytwa, ale też nie jestem tupa.

- Co ty tu robisz? - Rozejrzał się wokół. - Miałaś rację, sporo tu gangów.

- Są zbyt zajęte wystrzeliwaniem się nawzajem, żeby zwracać uwagę na mnie. Ale dzięki za troskę.

- Nie obchodzi mnie, czy odstrzelą ci głowę. Bo niby dlaczego by miało?

- Nie ma żadnego powodu. Idź po te swoje gówniane spluwy, Brzytwa, i ciesz się odrobiną czasu, jaka ci pozostała.

Wrzuciła gaz i ducati odjechało z rykiem silnika.

43

Mace usłyszała samochód na długo przed tym, zanim go zobaczyła.

Spojrzała w lusterko wsteczne. Czarny sedan z przyciemnianymi szybami, potężnym silnikiem i opuszczającą się właśnie prawą tylną szybą. Taki widok nigdy nie wróżył nic dobrego, w szczególności w tej części Waszyngtonu.

Dodała gazu i ducati wyrwało do przodu, jednak sedan wciąż się do niego zbliżał. Mace zauważyła lufę zakończoną tłumikiem, wysuwającą się ponad uchyloną szybą. Snajper mierzył z karabinu, a jego partner pewną ręką prowadził samochód. Celownik zatrzymał się na kasku Mace, a palec snajpera zgiął się na spuście. Mace wyczuła, że do niej mierzą i już miała przeskoczyć przez krawężnik, kiedy usłyszała pisk opon. Inny samochód wjechał pomiędzy sedana a Mace i uderzył w większy pojazd.

Napastnik wystrzelił dokładnie w chwili, w której doszło do kolizji, i chybił. Kula, zamiast wbić się w tył głowy Mace, przeszła przez szybę po stronie kierowcy w samochodzie, który wjechał pomiędzy Mace i strzelca. Odłamki szkła posypały się na zewnątrz jak maleńkie meteory.

Mace rozpoznała pojazd swego wybawcy.

- Roy! - krzyknęła.

Strzelec zaklął i wystrzelił ponownie, a jego partner wbił się sedanem w mniejsze od niego audi. Roy uchylił się przed drugą serią, która przeleciała mu nad głową i rozbiła szybę po stronie pasażera. Mocno skręcił kierownicę w lewo i audi pchnęło przedni zderzak sedana, wprawiając go w ruch w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Snajper schował karabin i zamknął okno, a kierowca usiłował opanować pojazd.

Roy wcisnął gaz i zatrzymał audi obok Mace. Spojrzał na nią przez otwarte okno.

- Przybywam z odsieczą - powiedział odważnie. Odłamki szkła tkwiły we włosach, skoczyła mu adrenalina, w oczach czaił się strach.

Mace uniosła osłonę kasku i wrzasnęła:

- Odbiło ci?
- Chyba tak - odpowiedział bez tchu.
- Co ty tu robisz, do cholery?
- Już mówiłem, przybywam na ratunek.
- Mogli cię zabić.
- Ale nie zabili, prawda?

Mace rozejrzała się wokół.

Sedan wyszedł z poślizgu i zaczął zbliżać się do nich z całą mocą swoich ośmiu cylindrów.

- Nadjeżdżają ponownie.

Roy obejrzał się za siebie.

- Cholera. Co teraz?
- Jedź za mną, Roy! - krzyknęła Mace.

44

Ducati rozpędziło się do prawie stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę na prostym odcinku drogi, później Mace zwolniła i weszła w zakręt przy stu na godzinę. Zdezelowane audi ledwie pokonało łuk, kosząc lewym tylnym błotnikiem stojące na krawężniku kubły na śmieci i wzbijając fontannę zleżałych odpadków. Roy przez chwilę szarpał się z kierownicą, w końcu wyprowadził auto z poślizgu i ruszył za motocyklem.

Mace zerknęła w lusterko i zobaczyła, jak sedan zakręca niemal nie wytracając prędkości. Myśli przemykały jej jedna za drugą, a spostrzeżenia zmieniały się we wnioski. Kierowca to zawodowiec, więc pewnie na tylnym siedzeniu siedzi zawodowy snajper. Nie chciała przekonać się na własnej skórze, czy jest naprawdę dobry. W przypadku jej i Roya powiedzenie „do trzech razy sztuka” mogło nabrać niezbyt przyjemnego znaczenia.

Przydała jej się znajomość okolicy. Ilekroć widziała, że sedan zbliża się do Roya, wjeżdżała w boczny zaułek, zmuszając ścigających do zwiększenia dystansu. Bawili się tak w kotka i myszkę przez trzy przecznice. Mijali przestępców załatwiających swoje interesy, ale Mace nie wypatrzyła na ulicy ani jednego policjanta.

Cholerne leniwce!

Nie miała innego wyjścia. Przed nią znajdował się kościelny

parking. Zauważyła, że na miejscówce wciąż stoją dwa radiowozy. Pochyliła się przy skręcie, dodała gazu, przefrunęła nad „leżącym policjantem” i ruszyła prosto na policyjne pojazdy. Zahamowała ostro – motocykl prawie się położył, ale bieżnik tylnego koła zrównoważył moment obrotowy i ducati utrzymało się na asfalcie. Audi zostawiło na chodniku ślady palonej gumy, gdy Roy z całej siły zahamował. Zanim Mace zdążyła zdjąć kask, a Roy wyskoczyć z samochodu, policjanci wysiedli i wycelowali lufy pistoletów w czoła Roya i Mace.

– Ręce na głowę, palce splecione, i na kolana. Już! – krzyknął jeden z funkcjonariuszy.

Mace z przerażeniem zauważyła, że nie ma wśród nich Tony’ego i jego podopiecznej. Byli tam sami mężczyźni, wszyscy potężnie zbudowani i wyraźnie zirytowani. Zerknęła na Roya, który zrobił krok naprzód, rycersko starając się zasłonić ją własnym ciałem. Położyła kres rycerskości, wbijając mu łokieć w bok i spychając go za siebie. Znała wzrok, jakim patrzyli na nich policjanci. Sama wiele razy tak spoglądała. Od serii w głowę i w serce dzieliła ich zaledwie jedna sekunda i jeden fałszywy ruch. Nawet marni strzelcy nie mogliby spudłować z takiej odległości, a wątpiła, czy któryś z nich strzelał słabo.

– Ręce na głowę, palce splecione, Roy – syknęła. – I na kolana. Już!

Oboje opadli na asfalt, a policjanci zbliżyli się ostrożnie, wciąż z rękami na spustach i nie spuszczać zatrzymanych z celownika.

– Jacyś faceci w samochodzie próbowali nas zabić – warknął Roy.

W tej chwili Mace zdała sobie sprawę z panującej ciszy. Nie było wielkiego sedana, ryczącego ośmiocylindrowego silnika, wymierzonego w nią pistoletu z tłumikiem. Cisza.

- Jacy faceci? - sceptycznie zapytał jeden z policjantów.

- W wielkim, czarnym sedanie. Ścigali nas.

Gliniarz rozejrzał się wokół siebie.

- Nie widzę tu nikogo poza wami dwojgiem - stwierdził, a drugi dodał:

- Widziałem tylko ciebie i tę pannę na motorze, jak pędziliście w naszą stronę.

- Byłam tu jakieś pół godziny temu - wyjaśniła Mace. - Rozmawiałam z Tonym Drake'em. Stał tu na miejscówce z jajem o imieniu Francie.

- Jesteś gliną? - spytał jeden z policjantów.

- Byłam. Tony może za mnie poręczyć.

Pierwszy policjant pokręcił głową.

- Przyjechaliśmy tu jakieś dziesięć minut temu. I nie znam żadnego Tony'ego Drake'a. Ani Francie.

Roy zaczął się podnosić.

- Słuchajcie, to jakieś nieporozumienie.

- Nie wstawać! - krzyknął drugi policjant. Mierzył w głowę Roya.

- Nie wstanie - szybko odpowiedziała Mace. - Nigdzie nie pójdzie. Żadnych gwałtownych ruchów. Oboje jesteście spokojni i nieuzbrojeni.

- Zaraz zobaczymy - stwierdził pierwszy policjant, wkładając pistolet do kabury i odpinając od pasa kajdanki. - Wyglądacie, jakbyście mogli mieć przy sobie coś interesującego. Nie mielibyście nic przeciwko temu, gdybym przeszukał was i wasze pojazdy?

Roy spojrział na kajdanki i spytał z oburzeniem:

- A niby czemu? Nie zrobiliśmy nic złego.

- Roy, to zatrzymanie, nie rozmowa - wyjaśniła Mace. - Nie

możemy tak po prostu odejść.

Drugi policjant spojrział na Mace.

- Co to, jesteś jego prawniczką?

- Wręcz przeciwnie.

- Powiedziałaś, że byłaś gliną. Znam cię?

Mace zamierzała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Ci oficerowie mogli należeć do trzydziestu procent, które wierzyły w jej winę.

- Nie wydaje mi się.

Pierwszy policjant przyglądał się uszkodzonemu audi.

- Uderzył pan w coś.

- Na przykład w sedana i dwie serie z karabinu? - warknął Roy.

- Taa, w sedana - stwierdził sarkastycznie policjant i kiwnął głową do partnera, który zakuł w kajdanki najpierw Roya, a potem Mace.

- Czy któreś z was piło alkohol? - spytał pierwszy policjant.

- Na litość boską! - wrzasnął Roy. - Próbowali nas zabić! Przybyliśmy do was po pomoc, a wy się z nami wyklóćacie i zakuwacie nas w kajdanki!

- Zamknij się! - warknęła Mace.

- Na razie, jakbyście nie zauważyli, oboje jesteście aresztowani - stwierdził drugi gliniarz.

- A niby pod jakim zarzutem?

- Na początek proponuję zakłócanie spokoju, zaniedbanie narażające na niebezpieczeństwo utraty życia lub ciężkiego uszczerbku na zdrowiu i napaść na oficera policji. Myślałem, że zamierzacie w nas wjechać!

- Bzdury! Spójrzcie na mój cholerny samochód. Przestrzelili okna. Próbowali nas zabić! A przynajmniej ją. Co do cholery mieliśmy zrobić? A teraz, czy moglibyście zdjąć mi te cholerne

kajdanki? – Roy wyrwał ręce z uchwytu policjanta.

– W porządku, dopisuję do listy stawianie oporu podczas aresztowania. Chcielibyście dodać jeszcze jakieś zarzuty?

Roy zaczął coś mówić, ale Mace udało się dźgnąć go w bok.

– Już jest źle. Nie pogarszaj tego.

Pierwszy policjant stwierdził:

– Panienska ma rację. Macie prawo zachować milczenie.

Kiedy czytał im ich prawa, Mace przestała zwracać uwagę na jego słowa. Została aresztowana, a nie minął nawet tydzień, odkąd wyszła na wolność. Nawet nie zdążyła jeszcze zobaczyć się ze swoim kuratorem. Jej sytuacja była całkowicie i absolutnie beznadziejna.

Wracam do więzienia.

45

To było jak *déjà vu*. Krata w drzwiach się przesunęła i stanęła w nich ona, z rzędami gwiazdek na ramionach.

- To nie tak, jak myślisz, Beth - powiedziała cicho Mace, skulona na metalowej ławce w głębi celi.

Siostra usiadła obok niej.

- W takim razie powiedz mi, o co chodzi. Proszę, powiedz, co do cholery robiliście tam z Kingmanem wczoraj w nocy.

- Nie przyjechaliśmy tam razem. Nie wiedziałam, że tam jest, dopóki nie wjechał pomiędzy mnie i tych gości, którzy próbowali mnie zastrzelić.

- Jakich gości?

- Czarny sedan z przyciemnianymi szybami. Czy oficerowie, którzy dokonali aresztowania, nie poinformowali cię o szczegółach?

- Chciałam usłyszeć je od ciebie. Miał tablice rejestracyjne?

- Nie, przynajmniej z przodu. Tyłu nie widziałam.

- Mów dalej.

- Szybko do mnie podjechali, tylna szyba po stronie pasażera opuściła się o kilka cali. Zobaczyłam lufę karabinu z tłumikiem.

- Strzelali do ciebie?

- Dwa razy. I dorwaliby mnie, gdyby nie Roy.

- Co dalej?

Mace wyjaśniła, jak pojechała po pomoc na miejscówkę.

- Ale nie było tam mojego kumpla, tylko dwa radiowozy z gliniarzami, których nie znałam. Wyciągnęli niewłaściwe wnioski.

- W raporcie napisali, że nie widzieli drugiego samochodu.

- Bo uciekł. Ale uderzył w samochód Roya. Możesz pobrać z niego próbki farby i sprawdzić, czy uda ci się je do czegoś dopasować. I znajdziesz pociski, albo w aucie, albo gdzieś na ulicy.

- Nie znaleźliśmy żadnych kul, a kazałam dwunastce kadetów z akademii przeczesywać ulicę przez ostatnich pięć godzin.

- To znaczy, że mi wierzysz?

- Widziałam też rząd rozbitych kubłów na śmieci, w które podobno wjechał Kingman. Jesteś pewna, że to nie one spowodowały uszkodzenie?

- Beth, mówię prawdę! Ścigał nas czarny sedan. Jego pasażer strzelał z karabinu, wybił szyby w samochodzie Roya i o mało go nie trafił. Jesteś pewna, że nic nie znaleźliście?

- Ani kul, ani łusek.

- Łuski musiały opaść do wnętrza samochodu, a kule widocznie pozbierali.

- To czasochłonne i ryzykowne. Po co mieliby to robić?

- Nie wiem.

- Kto mógłby chcieć twojej śmierci?

- Masz wolnych kilka godzin? Tyle potrwa wymienianie wszystkich.

- Czy mówiłaś komuś, gdzie się wybierasz?

- Tylko Royowi. To była spontaniczna decyzja.

- Kingman powiedział, że spotkał się z tobą na drinka po naszej kolacji, a później wrócił do pracy. I tak się złożyło, że odszukał cię

później w O6, tuż przed tym, jak ktoś próbował cię zabić? - Mina Beth, już przedtem poważna, stała się marsowa. - Nie traktuj mnie jak idiotki, Mace. Nie zasługuję na to.

Mace zawahała się tylko przez chwilę, ale to najwyraźniej wystarczyło Beth.

- Okej, kiedy będziesz gotowa powiedzieć prawdę, może będę po drugiej stronie krat.

Skierowała się ku drzwiom.

- Poczekaj!

Beth odwróciła się z powrotem do Mace.

- Czekam.

- Byłam z Royem w jego biurówcu wczoraj w nocy, kiedy zostaliście tam wezwani.

- No proszę! Nigdy bym na to nie wpadła.

- Kazałaś mi mówić prawdę, więc teraz mnie za to nie gań.

- Co tam robiłaś?

- Roy opowiedział mi o tym, że z placu budowy giną rzeczy i przypomniała mi się sprawa Liama Kazłowskiego. Pamiętasz, tego gościa z windy sprzed pięciu lat.

Beth powoli skinęła głową.

- Czasem wyobrażam sobie, jak siedzi w celi o zaostrzonym rygorze i zastanawia się, gdzie się podziały jego jaja. Zawsze byłaś świetnym strzelcem.

- Roy i ja pojechaliśmy na miejsce, żeby sprawdzić, czy uda nam się złapać tego kolesia.

- I nie przyszło ci do głowy, żeby zadzwonić do siostry, która, tak się akurat składa, jest komendantem policji?

- Nie sądziłam, że coś z tego będzie. Nie chciałam cię wzywać z powodu przeczucia. Byłaś tak ładnie ubrana - dodała nieprzekonująco.

Twarz Beth była tak ściągnięta, a skóra na jej kościach policzkowych tak napięta, że wyglądała, jakby była opakowana w folię.

- Nie wiem, czy powinnam cię zastrzelić, czy własnoręcznie odstawić do więzienia - powiedziała cichym głosem, zdradzającym, że ledwo panuje nad sobą.

- Beth.

Beth pochyliła się do przodu, a Mace odskoczyła w tył, wpadając na betonową ścianę. Głos siostry przeszył ją jak uderzenia nożem.

- Mija kilka godzin, odkąd uratowałam cię przed zarzutami manipulacji i utrudniania śledztwa i poprosiłam, żebyś trzymała się z daleka od tej sprawy, a ty robisz w tył zwrot i znowu wsadzasz w nią nos. Co się z tobą dzieje, do cholery? - Beth zaczęła krzyczeć. - Czy możesz mi powiedzieć, jak, do diabła, mam do ciebie trafić?

Twarz Beth poczerwieniała z gniewu. Mace przyciskała głowę do ściany tak mocno, iż miała wrażenie, że zaraz pęknie jej czaszka.

- To moja jedyna szansa na przywrócenie do służby - powiedziała spokojnym głosem, który nie zdradzał szalejących w niej emocji.

- O czym ty mówisz? Powiedziałam ci, że pracuję nad tym.

Mace zawahała się, ale postanowiła mówić otwarcie.

- Mona cię ubiegła.

Beth się wyprostowała.

- Co takiego?

- Mona dopadła mnie w damskiej toalecie w hotelu, do którego wybraliśmy się z Royem na drinka. Wie o twoim planie i rozmawiała już ze wszystkimi decydentami, więc nawet jeśli uda

ci się znaleźć świadków gotowych podpisać swoje zeznania, nic to nie zmieni. Nigdy nie uda mi się wrócić do policji w ten sposób. Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak zadowolonej.

Beth powoli usiadła na ławce obok Mace.

- Czy to dlatego...

- Słuchaj, Beth, tak naprawdę chodzi tu o jedno. To nie twoja walka. Nigdy nie była twoja. Jest moja i jeśli ktoś może coś zdziałać, to tylko ja. Mona ma też nadzieję, że będziesz drażnić tę sprawę, bo to da jej podstawę do oskarżenia cię o nadużycia w korzystaniu z zasobów policji albo manipulowanie sprawami, żeby mi pomóc, i doprowadzenia do twojego zwolnienia. Ja mogę upaść, ale nie zamierzam pociągnąć cię za sobą. Wolę już wrócić do więzienia.

Po dłuższej chwili milczenia odezwała się Beth:

- A jeśli ten facet, którego ujęłaś wczoraj wieczorem, jest zabójcą?

- To może uda mi się wywalczyć przywrócenie do służby.

- Nie wyglądasz na przekonaną.

- Nie jestem przekonana do wielu rzeczy. Zaczął już mówić?

- Odezwał się tylko raz, żeby zażądać adwokata.

- Naprawdę? Skoro tak, nie jest taki głupi.

- Nie byłabym taka pewna. Chce, żeby reprezentował go rycerz na białym koniu, z którym umówiłaś się na drinka.

- Roy ma być jego adwokatem? Dlaczego?

- Mówi, że nie będzie rozmawiał z nikim innym. Zdaje się, że to dobrzy kumple. To ciekawe, bo Kingman nie wspomniał mi, że go zna.

- Mnie powiedział, że kiedyś mu pomagał. Bronił go przed oskarżeniem o napaść.

- A więc walnęłaś go w głowę belką, tak?

- Był ode mnie ze sto kilo cięższy.
- To mizerna broń przeciwko takiemu wielkoludowi.
- W więzieniu wytrenowałam mięśnie rąk - stwierdziła Mace buńczucznie.

- Po co pojechałaś do O6?
- Chciałam zobaczyć miejsce, gdzie to się stało.
- Gdzie cię złapali?
- Na ulicy stał drobny męt o ksywce Brzytwa. Słyszałaś o nim?
Beth potrząsnęła głową.
- Pogawędziłam z nim chwilę i pojechałam dalej. Jakies pięć minut później nadjechał samochód ze snajperem. Później zjawił się Roy i zaczął się pościg. Nic więcej nie wiem. Musisz mi uwierzyć.

Beth westchnęła.

- Wierzę. Patrolowcy znaleźli dwóch świadków, którzy widzieli zbliżający się samochód i pojawiające się jak spod ziemi audi Kingmana.

- I strzały?
- I strzały.
- Jeśli wiedziałaś o wszystkim, dlaczego dałaś mi taki ochrzan?
- Bo jestem na ciebie wściekła i nie chciałam, żeby ci się upiekło.

- Czy świadkom udało się spisać numer rejestracyjny?
- Podobno auto nie miało też tylnej tablicy.
- No tak. To interesujące.
- Widzisz, co się dzieje, kiedy nie dajesz się osłaniać?
Mace nagle zastanowiła się nad jedną rzeczą.

- W takim razie jak Royowi udało się mnie wyśledzić?
- Czemu nie spytasz o to jego? Pojawił się w najodpowiedniejszym momencie. Na twoim miejscu bym na

niego uważała, ale nigdy nie słuchałaś moich rad dotyczących płci męskiej.

- Kiedyś musi być ten pierwszy raz - powoli powiedziała Mace.

- Strzelali do was dwa razy i nie zostawili po sobie żadnych śladów. To nie zwykli uliczni gangsterzy - tacy nie zbierają po sobie kul, bo i tak nikt nie odważy się ich wsypać.

- Czy Roy wie, że ten cały Kapitan chce, żeby był jego adwokatem?

- Powiedziałam mu o tym.

- Rozmawiałaś już z Royem?

- Chciałam porównać wasze zeznania.

- Wielkie dzięki.

- Aha, i skoro ktoś usiłuje cię zabić, byłabym wdzięczna, gdybyś nie zapuszczała się w Dolinę Śmierci po zmroku.

Beth podeszła do drzwi.

- Czy to oznacza koniec zwolnienia warunkowego?

- Nie postawiono ci oficjalnych zarzutów. Kingman czeka w korytarzu. - Postukała palcami w kraty. - Nie zrezygnujesz z tej sprawy, co?

- Beth, a co ty byś zrobiła na moim miejscu?

Pani komendant wyszła bez słowa.

46

- To gdzie nasze pojazdy? - spytała Mace, stojąc z Royem przed posterunkiem. Nad nimi właśnie wstawało słońce.

- Na policyjnym parkingu - odpowiedział mężczyzna, przeciągając się.

- Żartujesz sobie?

- Tak mi powiedzieli.

Mace jęknęła.

- Świetnie. Moje ducati zapewne zostało już rozebrane na części i rozrzucone po całym Northeast.

- Nie sądzę, żeby twoja siostra na to pozwoliła. Niestety, moje audi było w kiepskim stanie. Może wezwiemy taksówkę?

Po kilku minutach udało im się zatrzymać zdezelowany samochód. Taksówkarz wydawał się zdziwiony, kiedy zobaczył, że na niego machają.

- O co mu chodzi? - spytał Roy.

- Cóż, Roy, nie bardzo tu pasujemy.

- Bo jesteśmy biali?

- Bo nie przystawiamy mu do głowy pistoletu i nie każemy oddać wszystkich pieniędzy.

Kiedy taksówka ruszyła, Mace odwróciła się w stronę Roya.

- No dobra, jak to się stało, że pojawiłeś się wczoraj w nocy? Śledziłeś mnie?

- W zasadzie nie.
- W zasadzie?
- Czekałem na ciebie, kiedy podjechał do ciebie tamten samochód.

- Nie podoba mi się to, dokąd zmierza ta rozmowa.
- No coś ty, nie jestem w zмовie z facetami z czarnego sedana.
- Świetnie. Cieszę się, że to się wyjaśniło. Myślę, że w tym miejscu nasze drogi powinny się rozejść.

Klepnęła taksówkarza w ramię.

- Hej, kolego, czy mógłbyś mnie wysadzić...
- Mace, wysłuchaj mnie! Mało nie zarobiłem wczoraj kulki w łeb.

Odwróciła się do niego.

- Dobra, słucham.
- Powiedziałaś, że jedziesz do centrum. Wiedziałem, co to oznacza, a przynajmniej tak mi się wydawało. Pojechałaś na miejsce, z którego cię porwano.

- Skąd wiedziałeś, gdzie to się stało?
- Wygooglowałem cię na moim iPhone.
- Co takiego?
- Wszukałem w Google artykuły prasowe na ten temat. Dwa z nich podawały miejsce, w którym doszło do zdarzenia. Pojechałem tam i czekałem, bo pomyślałem sobie, że wcześniej czy później się tam pokażesz. I to zrobiłaś. Potem nadjechał samochód i ja. Cóż.

- Ruszyłeś mi z odsieczą?
- Poszło mi chyba trochę lepiej niż z Kapitanem.
- A nie widziałeś Brzytwy?
- Kogo?
- Nieważne. Ale dlaczego to zrobiłeś? Wyprawianie się tam

o takiej porze w tym wypasionym audi było straszną głupotą.

- Większą niż laska jeżdżąca na ducati?

- To co innego.

- Pewnie pomyśleli, że szukam narkotyków albo dziwki.

Mace skrzyżowała ręce na piersi, a podejrzliwa mina zniknęła z jej twarzy.

- Gdyby nie ty, leżałabym teraz w kostnicy. Dzięki. Mam u ciebie dług.

- Przez moją niewyparzoną gębę zostaliśmy też aresztowani.

- To ja wpadłam na miejscówkę, ty tylko jechałeś za mną.

- Myślisz, że strzelał któryś z twoich dawnych wrogów?

- Niewiele gangów rozbija się sedanami i używa karabinów z tłumikami. Zwykle dwa razy strzelają w głowę, a potem szybko się ulatniają.

- No dobra, co teraz?

- Zamierzam odzyskać motocykl, mam nadzieję, że w jednym kawałku. A ty dostaniesz z powrotem swoje audi, miejmy nadzieję, że w kilku kawałkach, które da się sklecić z powrotem w całość.

- Co z kluczem do skrytki pocztowej w A-1? Mam ją sprawdzić?

- Nie, ja to zrobię.

- Może pójdziemy tam razem?

- Wiesz, ludzie gadają. Jeśli zobaczą cię ze mną, może ci to zaszkodzić.

- Psiakrew, w ciągu ostatnich kilku dni spędziłem z tobą więcej czasu niż z którąkolwiek z moich byłych dziewczyn.

- Naprawdę? Nic dziwnego, że ci się z nimi nie ułożyło.

Podjechali taksówką na parking policyjny. Dzięki Beth nie musieli płacić za postój. Ducati Mace było zaparkowane tuż obok niedużego budynku biurowego i przymocowane do

trzymetrowego stalowego słupa za pomocą pokrytego plastikową osłoną łańcucha, owiniętego wokół przedniego widelca. Motocykl był w nienagannym stanie, wyglądał nawet, jakby ktoś go umył.

- Mówiłem, że twoja siostra czuwała - stwierdził Roy.

Mace spojrzała dalej.

- Zdaje się, że w twoim przypadku tak się nie przyłożyła. - Wskazała przed siebie.

W głębi parkingu, pod płotem, stało audi Roya. Cały lewy bok był poobijany od zderzenia z sedanem i ciężkimi kubłami na śmieci, ale najwyraźniej ktoś dobrał się do auta w nocy i dopełnił dzieła zniszczenia. Brakowało wszystkich kół i drzwi po stronie pasażera. Ktoś kilka razy przerysował też auto kluczykiem i pociął rozkładany dach. Kiedy podeszli bliżej i zajrzeli do środka, zauważyli, że nie ma też kierownicy, dźwigni zmiany biegów, odtwarzacza CD i wbudowanego systemu nawigacji. Z rozerwanych siedzeń wyrwano piankę. Ktoś polał podłogę płynem do spryskiwacza, mieszając go z odłamkami szkła i dwiema zużytymi prezerwatywami. Z rozprutego bagażnika zniknęło koło zapasowe i drogi sprzęt do koszykówki.

- Przykro mi, że twój samochód tak skończył - powiedziała Mace. Roy westchnął:

- Po to jest ubezpieczenie. Miałabyś ochotę coś zjeść?

- Umieram z głodu.

Mężczyzna spojrzał na zegarek.

- Znam miejsce, gdzie dają dobre jajka i gorącą kawę.

- Chyba trzeba będzie cię tam podwieźć.

- Chyba tak. Ale nie mam kasku, a nie chcę znów trafić za kratki. Raz na tydzień chyba starczy.

- To żaden problem.

Mace weszła biura i po kilku minutach wróciła z kaskiem.

Policyjnym.

- Jak udało ci się go zdobyć? - spytał Roy.

- Nie chcesz wiedzieć.

Wsunęła rękę do niewielkiej, zapinanej na suwak kieszeni, którą kilka lat wcześniej kazała przymocować pod siedzeniem ducati i wyciągnęła z niej telefon z gazem pieprzowym i kastet z kopem.

- Nie chciałam, żeby gliniarze to przy mnie znaleźli - wyjaśniła, wkładając je do kieszeni kurtki. - Ukryłam je podczas ucieczki.

- I bardzo słusznie - stwierdził Roy. - Coś mi mówi, że będą ci potrzebne.

47

Jajka były smaczne, tosty obficie posmarowane masłem, bekon chrupiący, a kawa gorąca. Mace i Roy najedli się do syta i odchyliłi na krzesłach. Mężczyzna poklepał się po brzuchu.

- Muszę wrócić do kosza, zanim wyrośnie mi oponka.

- Podobno Kapitan chce, żebyś go reprezentował?

Roy napił się kawy i pokiwał głową.

- Nie znam jeszcze szczegółów.

Mace bawiła się filiżanką.

- Nie wierzysz, że to zrobił?

- Nie, ale muszę przyznać, że prawdopodobnie nie jestem obiektywny. Lubię tego gościa.

- To taki pluszowy misiek?

- Z Brązową Gwiazdą za odwagę i dwoma Purpurowymi Sercami - odpowiedział ostro.

- Nie naśmiewam się z niego. To fatalnie, że bohater wojenny znalazł się na ulicy.

- A jeśli jednak zabił Diane?

- Wtedy nie ma przebaczyć, Roy, nawet jeśli to twój kumpel.

- Przynajmniej nie mieszkałby na ulicy.

- Zostaniesz jego adwokatem?

- Nie jestem pewien. Pracuję dla Shilling & Murdoch, a ta kancelaria nie zajmuje się obroną w sprawach karnych. Ja też już

tego nie robię.

- Możesz zawsze poprowadzić sprawę pro bono. Kancelaria nie powinna się temu sprzeciwić.

- Myślałem, że wierzysz w jego winę?

- Podobno każdy zasługuje na dobrego obrońcę. Przynajmniej słyszałam to gdzieś.

- Spotkam się z nim, a potem zobaczymy.

Mace wyciągnęła kluczyk.

- Dać ci znać, co tam znalazłam?

- Już mówiłem, jadę z tobą.

- Nie musisz tego robić.

- Zapewne stracę prawo wykonywania zawodu, zanim to się skończy.

Mace zrobiła zdziwioną minę.

- I mimo to chcesz ze mną jechać? Dlaczego?

- Nie potrafię w racjonalny sposób odpowiedzieć na to pytanie.

- A w nieracjonalny potrafisz?

Roy zostawił na stoliku pieniądze za posiłek.

- W jaki sposób chcesz sprawdzić, która skrytka należała do Diane?

- Kiedy wpadnę na jakiś pomysł, dowiesz się o nim jako pierwszy. A przy okazji, ile zostało z mojego dolara ryczałtu?

- Po ostatniej nocy - dziesięć centów. Wykorzystaj je mądrze.

Kiedy Mace i Roy wyszli z baru, dostrzegł ich Karl Reiger, który siedział na posterunku obserwacyjnym u wylotu zaułka. Nieco dalej przy ulicy Don Hope, siedzący w błękitnym vanie marki Chevrolet, obserwował ten sam cel. Kiedy obserwowani wsiedli na motocykl Mace i odjechali, Hope powoli ruszył za nimi. Reiger wycofał się w głąb zaułka, wyjechał w następną przecznicę i zaczął podążać za nimi równoległą ulicą. Pozostawiali

w łączności radiowej na zabezpieczonym kanale i wycofywali się co trzy przecznice, aby Mace było trudniej zorientować się, że jest śledzona.

Reiger odchylił się do tyłu na siedzeniu. Powinni byli zakończyć tę sprawę poprzedniej nocy. I tak by się stało, gdyby ten bezczelny papuga nie zepsuł mu strzału. To się jednak nie powtórzy. Reiger nie lubił zabijać ludzi, zwłaszcza rodaków, ale przede wszystkim chciał przeżyć - choćby miało to oznaczać śmierć wszystkich poza nim.

48

Kiedy Roy i Mace weszli do A-1, za ladą stała tylko jedna osoba – młody mężczyzna ze słuchawkami na uszach, przyczepionymi do iPoda, którego miał przy pasku. Kiwał głową w rytm muzyki, sortując leżące na ladzie przesyłki. Mace poprowadziła Roya do ściany, w której zamontowane były skrytki. Szybko zauważyła, że choć mają numery, żaden z nich nie pokrywa się z cyframi, które spisała z oryginału kluczyka.

- Przechodzimy do planu B – szepnęła do Roya.

Podeszła do chłopaka za ladą.

- Hej, chłopie, mam pytanie.

Młodzieniec wyjął z ucha jedną słuchawkę, nie przestał jednak potrząsać głową.

- Taa?

Mace pokazała mu kluczyk.

- Moja ciotka spadła ze schodów i złamała kość ogonową. To dobra wiadomość.

- To, że złamała kość ogonową? – spytał poczciarz.

- Tak. Gdyby to się nie stało, nie trafiłaby do szpitala i nie odkryliby, że choruje na jakąś dziwną odmianę trądu, którą zaraziła się w Afryce czy gdzieś tam. Draństwo natychmiast wyżera skórę i jest tak zaraźliwe, że starczy, aby na ciebie dmuchnęła, a wypłyną ci oczy. Nigdy nie widziałam nic

podobnego do tego cholerstwa. Ma strasznie długą medyczną nazwę.

- Kurde, to niefajnie - stwierdził chłopak, wciąż kiwając głową w rytm muzyki.

- No właśnie. To jej klucz. Prosiła, żebym odebrała jej pocztę, ale nie pamięta, jaki numer miała jej skrytka.

- Aha.

- No. I nie mogę dostać się do przesyłek. A ciotka czeka na jakieś wyniki badań i rachunki od lekarzy. To strasznie upierdliwe, ale jestem jej jedyną krewną.

- Jak nazywa się ciocia?

- Diane Tolliver - powiedziała Mace, trzymając kciuki, żeby nie czytał o zabójstwie.

Chłopak postukał w klawiaturę.

- Taa, ma tu skrytkę.

- Jaki numer?

Poczciarz wyjął słuchawkę z drugiego ucha i zrobił poważną minę.

- Naprawdę nie wolno mi podawać takich informacji. Regulamin pocztowy czy coś w tym stylu. No wiesz, walka z terroryzmem i tak dalej.

- Cholera, nie pomyślałam o tym - stwierdziła Mace, patrząc na Roya. - Leć po ciocię i ją przyprowadź, żeby mogła pokazać jakiś dowód tożsamości. - Odwróciła się z powrotem do chłopaka. - Nie mogli zatrzymać jej w szpitalu, bo nie są przygotowani do obsługi pacjentów chorych na takie zakaźne paskudztwa. Przewozimy ją do kliniki przy Uniwersytecie Johna Hopkina. Ledwo ruszyliśmy w drogę, a ona zaczęła się wydzierać na temat poczty. A tak między nami, myślę, że to choróbsko działa też na głowę. No bo niby dlaczego inaczej zapomniałaby numeru skrytki? Na pewno

odbiera też ochotę na seks. Lekarze mówią, że zabija libido na amen, szczególnie u młodszych ludzi. Tak czy inaczej, ciotunia jest w samochodzie, pęcherze pękają jej jak najęte, a twarz wygląda, jakby ściekała z niej smoła. Myśmy się zaszczepili na to cholerstwo, więc nic nam nie będzie, ale na twoim miejscu schowałabym się na zapleczu albo coś. I uważaj, żeby wyczyścić wszystko, czego dotknie, jakimś żrącym środkiem. Bakterie mogą utrzymać się na różnych przedmiotach przez wiele tygodni. Przekonał się o tym na własnej skórze salowy w szpitalu. – Znowś spojrzała na Roya. – Leć po nią, biegusiem. Nie chcę utknąć w korku na drodze do Baltimore.

Roy odwrócił się w kierunku wyjścia, ale chłopak szybko wyrzucił z siebie:

– To skrytka 716, druga po lewej w najwyższym rzędzie, o tam.

– Jesteś pewien? – spytała Mace. – Nie chcę, żebyś miał przez nas kłopoty. No i ciocia jest tuż obok. Jest w stanie chodzić, ale często się przewraca, bo pękają jej pęcherze, a ona ślizga się na tym, co z nich wypłynie. Powinieneś zobaczyć tylne siedzenie mojego samochodu. Jest niewiarygodnie ohydne.

Chłopak wytrzeszczył oczy i cofnął się o krok.

– Nie, w porządku. Mogą państwo iść otworzyć skrytkę. Pani ciocia nie musi się fatygować.

– Dzięki, stary. – Roy wyciągnął rękę do poczciarza, który zrobił jeszcze jeden krok w tył i podniósł duży pakiet listów.

– Proszę bardzo, koleś.

Roy i Mace skierowali się do skrytki numer 716.

49

Beth kończyła czytać e-maila od Lowella Cassella, siedząc na przednim siedzeniu radiowozu. Lekarz sądowy porównywał DNA z nasienia znalezionej na ciele Diane Tolliver z próbką pobraną z resztek kawy, którą podano Lou Dockery'emu. Była to stara policyjna sztuczka. Mieli wystarczające podstawy, by zatrzymać mężczyznę do chwili uzyskania wyników testu. A nawet, gdyby obrońca doprowadził do odrzucenia próbki DNA, mogli bez trudu otrzymać później nakaz aresztowania. DNA Dockery'ego na pewno się nie zmieni. Beth kazała zastosować sztuczkę z kawą, gdyż nie chciała marnować czasu na tego człowieka, jeśli nie okazałby się on gwałcicielem i zabójcą Diane Tolliver.

Działający wielotorowo umysł pani komendant na chwilę przeskoczył na inny kanał. Monitorowała komunikację przez radio w Okręgu Piątym i nie spodobało jej się, że patrolowcy rzadko odpowiadają na wezwanie dyspozytora. Wzięła do ręki radio.

- Radiowóz Numer Jeden wjeżdża do O5. Radiowóz Jeden w O5. Nadjeżdża komendantka.

Nie minęło kilka sekund, a na każde wezwanie dyspozytora odpowiadało przynajmniej pięć radiowozów patrolowych. Kierowca spojrzał na Beth.

- Warto było przebić się tu od zera, pani komendant.

- Tak myślisz? - stwierdziła z roztargnieniem i wybrała numer.

Lekarz sądowy odebrał po drugim sygnale.

- Ile jeszcze? - spytała.

- Beth, pytałaś mnie o to nie dalej niż dziesięć minut temu. Gdyby nowe laboratorium jeszcze nie działało, powiedziałbym, że dwa do czterech tygodni. Musielibyśmy przesłać próbkę na badania.

- A teraz, kiedy macie to wypasione laboratorium z wypasionym wyposażeniem?

- Sprawdziliśmy, kto zajmował się próbką pobraną od zmarłej i potwierdziliśmy, że nikt nią nie manipulował ani nie wprowadzał w niej żadnych zmian. Dostaliśmy próbkę od Dockery'ego. - Zamilkł na chwilę i Beth niemal zobaczyła jego uśmiech. - Dawno nie korzystałaś ze sztuczki z kawą.

- Na starość robię się niecierpliwa.

- Nie tak łatwo pozyskać DNA z próbki nasienia. Główki plemników są twarde.

- Podobnie jak łby facetów zostawiających te plemniki w kobietach, które tego nie chcą.

Cassell mówił dalej.

- Później następuje rozwinięcie DNA z wykorzystaniem aparatury badawczej i interpretacja wyników. To w tym miejscu można się pomylić. Nie chcę schrzanić twojej sprawy przez taki błąd.

- Nie popełnisz błędu, doktorze. Za dobry jesteś na to.

- Jestem tylko człowiekiem. Zwykle działania, które opisałem, zajmują cały tydzień.

- W serialach kryminalnych ekipa naukowa robi je w każdym odcinku w ciągu jakichś dziesięciu minut.

- Nie wkurzaj mnie.

- Podaj mi realny termin.

- Odłożyłem na bok wszystkie inne sprawy. Będziesz miała wyniki na jutro, najpóźniej na pojutrze.

- Poproszę na jutro. Dzięki, doktorze.

Rozłączyła się i odchyliła na siedzeniu. Chwilę później rozpoznała mijane miejsce. Była żółtodziobem, jeździła samodzielnie na patrolu dopiero od dwóch tygodni, kiedy uzbrojony w TEC-9 bandyta wybiegł tu z zaułka i otworzył ogień do grupy ludzi stojącej przed sklepem obuwniczym. Do dziś nie udało się ustalić, dlaczego to zrobił.

Beth natychmiast wjechała radiowozem pomiędzy przestępcę i tłumek ludzi. Wykorzystała maskę samochodu jako tarczę, wyciągnęła broń i dwa razy strzeliła szaleńcowi w głowę. Nawet nie próbowała celować w tors, gdyż zauważyła wystające z nadkoszuli fragmenty kamizelki kuloodpornej. Dopiero pół minuty później, po upewnieniu się, że bandyta nie żyje, odkryła, że ostatnią serią zabił dziesięcioletniego chłopca, który wciąż kurczowo ścisnął pudełko z nowymi butami do koszykówki.

Beth uratowała pozostałych ośmioro przechodniów, w tym matkę chłopca. Okrzyknięto ją bohaterką. Jednak po powrocie do domu przepłakała całą noc. Tylko ona знаła prawdę. Zawahała się przed oddaniem strzału. Do dziś nie wiedziała, dlaczego. Cywile nie mają pojęcia, jakie myśli przelatują przez głowę policjanta, nim pociągnie on za spust.

Czy umrę właśnie dzisiaj? Czy zostanę pozwany? Czy stracę pracę? Czy mogę stąd czysto strzelić? Czy umrę właśnie dzisiaj?

Zakończenie tego koszmaru zajęło jej jedynie dwie sekundy - wystarczyło to jednak, by bandyta wystrzelił ostatnią serię, jak się okazało - morderczą.

Najlepiej pamiętała widok pudełka z nowymi butami, leżącego w kałuży krwi dziesięciolatka. Po wezwaniu karetki zrobiła, co

mogła, by przywrócić chłopca do życia. Usiłowała zatamować krwotok za pomocą swojej kurtki, mocno dmuchała mu do buzi i naciskała drobną klatkę piersiową, aż omdlewały jej ręce. Wiedziała jednak, że dzieciak nie żyje. Spoglądał przed siebie martwym wzrokiem, a jego matka krzyczała. Wszystko działo się w zwolnionym tempie – czekanie na przyjazd posiłków, ratownicy medyczni stwierdzający zgon chłopca, procesja pasków i gwiazdek – kapitan, komendant dzielnicy i w końcu sam szef szefów. Było to najdłuższe oczekiwanie w jej życiu, chociaż wszystko razem nie trwało nawet dziesięciu minut.

Wciąż czuła kojący dotyk ciężkiej dłoni komendanta na swoim drżącym ramieniu. Powiedział jej wszystko, co należało mówić w takich sytuacjach, jednak Beth wciąż miała przed oczami martwe spojrzenie dziecka. Śmierć w wieku dziesięciu lat. Dwie sekundy wahania. To wystarczyło. Dwie sekundy. Mgnienie oka zdecydowało o tym, że zamiast wrócić do domu i pograć w kosza w nowych butach, chłopiec trafił na sekcję zwłok do kostnicy.

W statystykach było to tylko kolejne przestępstwo. Dla Beth wykraczało jednak poza statystyki. Chłopiec nazywał się Rodney Hawks. Beth miała jego zdjęcie z czwartej klasy na półce w biurze. Patrzyła na nie codziennie i motywowało ją to do jeszcze cięższej pracy, jeszcze większego wysiłku, niezostawiania niczego przypadkowi. I niewahania się ze strzałem, kiedy miała przed sobą cel, który należy zlikwidować.

Sklep obuwniczy zniknął, na jego miejscu powstał monopolowy, dla niej jednak na zawsze miało to być miejsce, w którym dopuściła do śmierci Rodneya Hawksa. W którym niezawodna Beth Perry zawiodła, a chłopiec stracił przez to życie.

Beth wzięła głęboki oddech i odepchnęła te myśli. Spojrzała na swoje notatki i skupiła się na obecnej sytuacji. Czy bezdomny

weteran zgwałcił wpływową panią prawnik, a później nadepnął jej na szyję na tyle mocno, żeby przerwać pień mózgu, wepchnął ją do lodówki i poszedł dalej w swoją stronę? Plamy na ubraniach i cząstki tkaniny znalezione na miejscu zbrodni pasowały do ubrań Dockery'ego. Ale to się nie liczyło. DNA było lepsze niż odciski palców, a DNA pozyskane z nasienia było jak as atutowy, zwłaszcza jeśli nasienie znaleziono na zwłokach. Jeśli dodać do tego sińce na częściach intymnych, żaden adwokat na świecie nie zdoła rozstrzygnąć tej sprawy na swoją korzyść.

Odłożyła akta i zadzwoniła do siostry. Mace nie odbierała, więc Beth nagrała jej informację, że niedługo powinny przyjść wyniki testów DNA. Jeśli podejrzenia się potwierdzą, Lou Dockery spędzi resztę życia w więzieniu. Beth zaczęła się zastanawiać, jak jego skazanie może pomóc w przywróceniu Mace do służby. Choć Mona rzuca im kłody pod nogi, gdyby udało się przekonać. Myśli Beth nagle przeskoczyły na inny tor.

Coś się nie zgadzało.

Ponownie otworzyła akta sprawy Tolliver i spojrzała na dwa dowody.

Klucz i e-mail.

Musimy skoncentrować się na ANie mogło chodzić wyłącznie o przestępstwo popełnione w afekcie przez bezdomnego weterana. Najważniejsze pytanie brzmiało – czy jedno łączyło się z drugim?

A później był snajper w sedanie z przyciemnianymi szybami i bez tablic rejestracyjnych, z karabinem z tłumikiem wymierzonym prosto w Mace. Czy to z powodu przeszłości Mace, czy przez tę sprawę?

Wystarczyły dwie sekundy.

Nie zamierzała ponownie tracić siostry.

50

W skrytce nie było niczego. Tak im się wydawało, dopóki Mace nie wyczuła pod palcami zgrubienia w jej górnej wewnętrznej części. Zacisnęła rękę w rękawiczce na przylepionym w tym miejscu skrawku papieru. Rozwinęła go i przeczytała krótką treść.

- Nazwisko, Andre Watkins. I adres w Rosslyn, zapewne jego. - Spojrzała na Roya. - Słyszałeś kiedyś o nim?

- Nie, a Diane nigdy o nim nie wspominała.

- Czy często wychodziła na miasto?

- Lubiła chodzić do Kennedy Center i jadać w restauracjach.

- Pewnie nie bywała tam sama.

Mace odłożyła kartkę do skrytki i zamknęła drzwiczki.

- Zostawimy ją tu?

- Tak, żeby policja mogła podążyć tym tropem, jeśli się domyśli.

- Moglibyśmy iść do nich teraz i powiedzieć im o liście.

- Moglibyśmy - powoli powiedziała Mace.

- Ale chcesz rozwiązać tę sprawę sama?

- To długa historia, Roy. Nie wpytuj mnie o nią.

Dwadzieścia minut później motocykl Mace stał już w podziemnym garażu, a ona i Roy jechali na dziesiąte piętro apartamentowca. Dwa razy zastukali do drzwi. Mężczyzna otworzył je dopiero wtedy, gdy przyjrzał się przybyszom przez

wizji er. Mace nie podejrzewała tego - wiedziała, że to zrobił. Gospodarz był niemal równie wysoki jak Roy, miał starannie przystrzyżoną siwą bródkę i przerzedzone włosy tego samego koloru. Był przystojny i opalony na ciemny brąz. Miał na sobie dzinsy, które wyglądały na świeżo odprasowane, wypuszczoną na nie koszulę od fraka i czarne skórzane buty Bruno Magli założone na bose stopy. Dla Mace wyglądał jak uosobienie nieznanego trosk, eleganckiego arystokraty.

- Andre Watkins? - spytała.

- Czy mogę państwu pomóc?

- Mam nadzieję. Chodzi nam o Diane Tolliver.

- Co z nią?

- Nie żyje.

- Wiem o tym. Czy są państwo z policji?

- Niezupełnie.

- W takim razie nie widzę powodu, by z państwem rozmawiać.

Zaczął zamykać drzwi, ale Mace zablokowała je stopą.

- Miała skrytkę pocztową, w której znajdowała się kartka z pańskim nazwiskiem i adresem.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- W porządku. Zgłosimy to do wydziału zabójstw i niech z tym robią, co chcą. Wpadną tu albo z panem porozmawiać, albo pana aresztować. Zapewne jedno i drugie.

- Poczekać chwilę, do cholery. Nie zrobiłem nic złego.

- Pańskie zachowanie nie potwierdza tych słów.

- Pukacie do moich drzwi i, chociaż nigdy was nie widziałem, zaczynacie zadawać pytania o zmarłą. Co niby powinienem zrobić waszym zdaniem?

- Dobrze, zacznijmy jeszcze raz. To Roy Kingman. Pracował z Diane w kancelarii Shilling & Murdoch. Przesłała mu

informację, która dotyczyła pana. Może pan być w niebezpieczeństwie.

- A skąd mam wiedzieć, że to nie wy zabiliście Diane?

- Mogę pana zapewnić, że gdybyśmy chcieli pańskiej śmierci, już by pan nie żył. Wystarczyłby jeden strzał przez wizjer.

Watkins spojrzał na nią pytająco.

- Zauważyłam, że drzwi drgnęły o milimetr, kiedy oparł się pan o nie, by wyrzeć.

- Chciałbym zakończyć już tę rozmowę.

- Możemy pójść do Starbucksa w holu, jeśli pan tam poczuje się bezpieczniej. Chcemy tylko uzyskać pewne informacje.

Watkins przez chwilę spoglądał przez ramię w głąb mieszkania, a później odwrócił się z powrotem do nich.

- Nie, w porządku, możemy pomówić tutaj.

Wnętrze nie było równie eleganckie jak lokator - mebli było mało i wyglądały jak przypadkowo zestawione sprzęty z wynajętego mieszkania, stał tam nawet fioletowy futon. Usiedli w niewielkim salonie łączącym się z aneksem kuchennym.

- A więc znał pan Diane? - spytał Roy.

- Dzwoniła do mnie, kiedy chciała wyjść na miasto.

- Spotykaliście się?

- Nie. Jestem mężczyzną do towarzystwa.

Mace i Roy spojrzeli na siebie.

- Mężczyzną do towarzystwa? - powiedział Roy.

- Tak. Diane lubiła wychodzić na miasto, ale nie sama. To dobra zabawa i opłacalne zajęcie.

Mace zerknęła na tanie meble.

- Ma pan mało zleceń?

- Moje dwie byłe żony jakoś nie śpieszą się do ponownego zamążpójścia. Dlatego zająłem się tą robotą. Ma wszystkie zalety

małżeństwa, ale jest pozbawiona jego wad.

- Dobrze się dogadywaliście?

- Bardzo lubiłem Diane. Byłem zdruzgotany, kiedy dowiedziałem się o jej śmierci.

- Kto panu powiedział?

- Prezenterka na siódmym kanale.

- Nikt nie wiedział, że się spotykacie?

- Nie sądzę, żeby Diane o tym rozpowiadała. Była atrakcyjna i sprytna. Wiem, że też była rozwiedziona. Może miała już dość związków. Ja na pewno mam.

- Jesteśmy tu, bo Diane zostawiła informacje, które doprowadziły nas do pana.

- Ale nigdy nie rozmawialiśmy o niczym ważnym.

- Nigdy nie mówiła o pracy? - spytał Roy.

- Wiedziałem, że jest prawniczką w kancelarii Shilling & Murdoch.

- Nie wspominała o kimś, kogo by się bała? O telefonach albo wiadomościach z pogrózkami? O jakichś ludziach, którzy za nią chodzili? - pytała dalej Mace.

- Nie. Zwykle rozmawialiśmy tylko o imprezach, w których braliśmy udział.

- Policja aresztowała kogoś w tej sprawie - wypalił Roy.

- Kogo?

Mace spojrzała na Roya z marsową miną i odpowiedziała pierwsza:

- Przykro mi, nie możemy podawać takich informacji.

- Nie macie żadnych teorii na temat tego, co spotkało Diane?

- Nie - przyznał Roy. Podał Watkinsowi wizytówkę. - Gdyby cokolwiek przyszło panu do głowy, proszę zadzwonić.

Watkins bawił się wizytówką.

- Czy ten zatrzymany faktycznie zabił Diane?

- Niedługo się tego dowiemy. Ale cokolwiek próbowała osiągnąć Diane, zabrnęła w ślepy zaułek - stwierdziła Mace. - Musiała się pomylić, a poza tym sprawa tak czy inaczej jest zamknięta, przynajmniej dla mnie. Dziękujemy, że poświęcił nam pan czas.

Roy chciał coś powiedzieć, kiedy wyszli, ale Mace szepnęła:

- Poczekaj.

Kiedy znaleźli się z powrotem w garażu, Roy odwrócił się w jej stronę i warknął:

- Zamierzasz tak po prostu dać temu spokój? Co ty sobie myślisz, do cholery?

Mace spojrzała na niego.

- Myślę, że prawdziwy Andre Watkins prawdopodobnie już nie żyje.

51

Cześć, Kapitanie.

Wielkolud spojrział w górę.

- Cześć, Roy. Narozrabiałem.
- Możemy o tym porozmawiać?
- Dobra, ja się nigdzie nie wybieram.

Roy spojrział na stojącego obok strażnika.

- Chciałbym porozmawiać z klientem. Na osobności.

Oficer wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Roy usiadł obok Kapitana, otworzył walizkę i wyjął z niej notatnik i długopis.

- Opowiedz mi, co się stało.
- Już powiedziałem. Narozrabiałem. Zabrałem trochę jedzenia. Lubię ciastka z kremem. I narzędzia. Sprzedałem je. Głupie to było, ale mieli dużo narzędzi, więc pomyślałem sobie, że się nie pogniewają.

Roy spojrział na niego uważnie.

- Czy wiesz, dlaczego zostałeś aresztowany?

Kapitan gapił się przed siebie.

- Noce wciąż są zimne. W biurówcu było ciepło. Trzeba było nie ruszać ciastek. Wkurzyli się o to, prawda? I o narzędzia. Ale to tylko kilka kluczy. Dostałem za nie trzy dolce.

Roy odchylił się do tyłu na krześle.

- Pobrali coś od ciebie?
- Kto?
- Policjanci.
- Co na przykład?
- Odciski palców, płyny ustrojowe.
- Wzięli mi odciski palców. - Kapitan zachichotał. - Musieli wyczyścić mi palce, żeby potem znowu je uczernić. I dali mi kawy, ale zabrali mi ją, zanim skończyłem pić. Wkurzyło mnie to.
- To prosty sposób, żeby zdobyć próbkę DNA.
- Co?
- Powiedziałeś im, że chcesz adwokata, tak?
- Tak. Nie jestem głupi. Wpakowałem się w kłopoty przez te ciastka. Potrzebuję adwokata.
- Dobrze, to może nam dać podstawę do działania, jeśli wyniki testów DNA okażą się niepomysłne. Ale później uzyskają nakaz przeszukania albo wezwanie przed sąd.
- W porządku - stwierdził Kapitan, chociaż najwyraźniej nie miał pojęcia, o czym mówił Roy.
- Rozmawiałem z policją. Nie oskarżyli cię formalnie o wtargnięcie ani o nic innego, ale znajdowałeś się w budynku nielegalnie.
- Jestem głodny. Masz coś do jedzenia?
- Za chwilę poproszę o coś strażnika.
- Tu jest miło i ciepło.
- Od kiedy nocujesz w moim biurówcu?
- Nie jestem za dobry w datach - stwierdził Kapitan ze śmiechem.
- Nie prowadzę kalendarza, Roy.
- Rozumiem. A jak się dostałeś do budynku? Nie wszedłeś chyba frontowymi drzwiami?

- Wjechałem windą z garażu. Przekradłem się przez hol. Wyczekałem na właściwy moment. Zrobiłem rozpoznanie. W Wietnamie byłem zwiadowcą. Świetnie radziłem sobie z rozpoznaniem.

- A strażnik?

- To kiepski strażnik. Jest prawie tak gruby jak ja.

- Tak, wiem. Potem poszedłeś schodami ewakuacyjnymi na czwarte piętro?

- Ciepło tam. I jest jedzenie. Mają lodówkę. I toaletę. Dawno nie korzystałem z toalety, prawie już zapomniałem, jak to się robi. Roy, przysięgam, wziąłem tylko ciastka z kremem i narzędzia.

- Skąd wiedziałeś, że robią tam remont?

- Słyszałem, jak jacyś goście rozmawiali o tym w czasie przerwy na lunch.

- A narzędzia?

- Dostałem za nie trzy dolce. Sprzedałem je jakiemuś Arabowi na ulicy, ale skurwiel mnie wykiwał. Może oddam im trzy dolary i będziemy kwita? - dodał z nadzieją.

- Raczej się na to nie zgodzą.

- Wszystko przez te cholerne ciastka z kremem, prawda?

- Kapitanie, powiedz mi, co robiłeś w poniedziałek około szóstej rano.

- W poniedziałek? - Kapitan potrząsnął głową. - W poniedziałek? - powtórzył, marszcząc brwi i gapiąc się przed siebie.

- Dzień przed tym, jak dałem ci buty i kupiłem jedzenie.

- A, tak.

- Byłeś wtedy w budynku?

- Tak, przychodziłem tam co noc.

- O której wyszedłeś?

- Mam zegarek... - kapitan podniósł rękę i podwinął rękaw, żeby go pokazać.

- Strażnik przychodzi o szóstej.

- To kiepski strażnik. Nic nie słyszy. W Wietnamie na pewno nie dałby sobie rady. - Po czym dodał pewnym siebie tonem. - Zabiliby go jak nic.

- W korytarzu jest kamera. - Kapitan spojrzał tępo na Roya. - Nie wiedziałeś o tym?

Kapitan pokręcił głową.

- Zobaczyła mnie?

- Zdaje się, że nie. A wracając do poniedziałku, czy widziałeś kogoś w budynku? - Kapitan ponownie zaprzeczył. - O której wyszedłeś?

- Wcześniej.

- Pokaż na zegarku.

Mężczyzna zawahał się, później wskazał na szóstą.

- Rozumiem, o szóstej. Czy ktoś może to poświadczyć? - Kapitan wyglądał na zbitego z tropu. - Czy mogę porozmawiać z kimś, kto widział, jak wychodziłeś o szóstej, albo z kim rozmawiałeś po wyjściu z budynku?

- Nie, nie ma nikogo takiego - odparł Kapitan beztrąsko.

- Dokąd poszedłeś?

- Nad rzekę. Siedziałem na nabrzeżu i oglądałem wschód słońca. Lubię oglądać wschody słońca. Jest mi wtedy trochę cieplej.

Roy wyjął z kieszeni zdjęcie.

- A czy widziałeś kiedyś tę kobietę? - Pokazał mu fotografię Diane Tolliver.

- Ładna paniusia.

- Znasz ją? - Kapitan pokręcił głową. - Widziałeś ją

w poniedziałek?

- Nie, ale czasem widywałem, jak wchodzi do budynku.

- Ale nie w poniedziałek?

- Nie.

- A czy słyszałeś windę? Musiałeś się już wtedy zbierać do wyjścia.

- Nic nie słyszałem. - Kapitan wytarł nos ręką. - Myślisz, że mają tu coś do jedzenia? Jestem głodny jak wilk.

- Zaraz sprawdzę. Jesteś pewien, że nie widziałeś nikogo, wychodząc?

- Wyszedłem przez garaż.

- Nie wjeżdżały ani nie parkowały tam żadne samochody?

- Nie.

Roy wziął głęboki wdech i omal się nim nie zakrztusił. W niewielkim pomieszczeniu zapach Kapitana był obezwładniający.

- Po prostu się wymknąłem. Jestem w tym naprawdę dobry.

Roy odłożył notatnik i długopis i wstał.

- Nie wątpię. Spróbuję załatwić ci coś do jedzenia.

- Ciastka z kremem, jeśli są. I kawę.

Roy zatroszczył się o posiłek, a później wyszedł i zadzwonił do Mace.

- I jak tam? - spytała.

- Mam ochotę przyjąć linię obrony opartą na niepoczytalności - stwierdził, po czym dodał poważniejszym tonem. - No dobra, mów o co chodzi z tym Watkinsem. Ujawniasz taką rewelację, a później.

- Nie przez telefon, Roy. Spotkajmy się później.

- Gdzie jesteś?

- Jadę zacząć pierwszy dzień w pracy.

52

- Dziękuję, że zgodziliście się spotkać ze mną tak szybko - powiedziała Beth.

Siedziała w małej sali konferencyjnej naprzeciwko dwóch mężczyzn. Sam Donnelly, szef wywiadu, był jak zawsze nienagannie ubrany. Jarvis Burns, jego prawa ręka - wręcz przeciwnie. Jego garnitur wyglądał jak psu z gardła wyjęty. Krajowa Agencja Wywiadu miała biura w wielu miejscach. Tego dnia Beth przyjechała do centrum Waszyngtonu, niedaleko kwatery głównej policji, do budynku, który z zewnątrz niczym szczególnym się nie wyróżniał. Wiedziała, że o to właśnie chodziło.

Po przybyciu dostała kartę z nadajnikiem radiowym, na którym zakodowano jej poziom dostępu do informacji. Był bardzo wysoki, ale i tak nie wystarczył. W każdym pokoju, do którego wchodziła, włączał się cichy alarm, migały czerwone lampy na suficie i automatycznie wygaszały się ekrany komputerów, gdyż nie miała uprawnień do oglądania ich zawartości.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Beth. - Donnelly bawił się obręczką, a Jarvis pocierał nogę.

- Pogorszyło się, Jarv? - spytała Beth patrząc na niego.

- Nie życzę nikomu postrzału i pchnięcia bagnetem przez bardzo sprawnego i wściekłego żołnierza Wietkongu. Miałem

szczęście, że udało mi się go zabić, zanim mnie wykończył – ale on przynajmniej nie musiał znosić tego bólu przez ostatnich trzydzieści lat.

- Nic się nie da zrobić?

- Po tym, co zrobili na polu bitwy, już nie. Uszkodzone nerwy i kości owinięto bandażami, rozerwane naczynia krwionośne sklecono byle jak. - Poklepał się po udzie. - Jest jak jest, ale przecież nie przyszłaś tu, żeby słuchać mojego marudzenia. Co możemy dla ciebie zrobić?

- W Waszyngtonie znaleziono ciało prokuratora. Nazywał się Jamie Meldon.

Donnelly skinął głową.

- To wielka tragedia. Zostaliśmy o tym powiadomieni.

- Przez kogo? - szybko spytała Beth.

Donnelly pokręcił głową.

- Przykro mi, Beth. Nie mogę tego zdradzić, ale informacje o wszelkich tego rodzaju przestępstwach trafiają do KAW różnymi kanałami.

- Na miejsce zbrodni nie dopuszczono ani nas, ani FBI. Nie mamy pojęcia, kto przejął śledztwo. Podobno polecenie w tej sprawie wydał Biały Dom? - Beth przerwała i wyczekująco spojrzała na Donnelly'ego.

- Nie mogę ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, Beth.

- Sam.

Donnelly podniósł rękę.

- W porządku, mogę powiedzieć, że nic z tego, co słyszałem, nie wskazuje na zaangażowanie Białego Domu. A myślę, że gdyby polecenie wyszło stamtąd, wiedziałbym o tym.

- W takim razie, kto to mógł być? Ci kolesie odjechali z ciałem Meldona po tym, jak pomachali nam przed nosem prawami jazdy.

A burmistrz stanowczo kazał mi się wycofać. Przyznaję, to czasami się zdarza. Ale tym razem odwołano także FBI.

Donnelly spojrzał na Burnsa.

- To nietypowa sprawa. Czy chciałabyś, żebyśmy ją zbadali?

- Jesteś pierwszą osobą, do której się z tym zwracam.

- Zawsze dobrze się nam razem pracowało - stwierdził szef wywiadu. - Muszę podkreślić, że doceniamy twoją gotowość do współpracy ze służbami federalnymi.

- Musimy dbać o bezpieczeństwo stolicy.

Burns się zachmurzył.

- Gdyby terrorystom udało się zaatakować miasto, żaden Amerykanin nie mógłby czuć się bezpieczny. Oznaczałoby to, że tamci wygrali.

- No tak, wyważam tu otwarte drzwi - stwierdziła Beth, po czym pożegnała się z rozmówcami. - Będę czekać na jakieś wieści od was.

- A przy okazji, jak idzie twojej siostrze? - spytał Burns.

- Powoli do przodu. Ale, jak to Mace, chodzi własnymi drogami.

Po wyjściu Beth Donnelly wrócił do swojego biura, a Jarvis Burns wciąż siedział przy stole, rozcierając chorą nogę. Pozostał tam dość długo, by wysłać SMS-a ze swojego BlackBerry. Minutę później drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna o długich, siwych włosach. Nie miał już na sobie dżinsów i koszuli do fraka, które założył na przeszukanie mieszkania Andre Watkina, a garnitur i krawat.

- Mace Perry? - spytał Burns. Mężczyzna skinął głową. - I ten prawnik?

- Byli tam oboje.

- Pewnie wie już, że nie nazywasz się Watkins.

- Czy trzeba ich było zabić? - spytał mężczyzna rzeczowo.

Burns odchylił się na krześle i zmarszczył brwi.
- Mów, co się działo.

Mace wstukała kod na domofonie i wjechała ducati za bramę. Altman czekał na nią na frontowym dziedzińcu. Był ubrany równie swobodnie jak wcześniej, ale włosy związał w kitkę. Odprowadził Mace, która przywiozła w plecaku kilka ubrań i innych niezbędnych rzeczy, wyjaśnił, jak obsługuje się wieżę i telewizor i pokazał skomputeryzowane przełączniki klimatyzacji i alarmu. W głównej sypialni był nawet telewizor, który wysuwał się z pięknie rzeźbionej gablotki, stojącej w nogach olbrzymiego łóżka.

- Stylowa chata, Abe.

- Zaprojektowała ją moja zmarła żona, Marty. Ona była wizjonerką, miała styl. Ja ledwo sobie radzę z dobieraniem skarpetek.

- Mam to samo. Co teraz?

- Chodźmy do głównego domu omówić strategię.

Altman szczegółowo wyjaśnił swój plan przy kolejnych filiżankach herbaty.

- Współpracuję ze świetnymi ludźmi z opieki społecznej. Spodziewają się ciebie i możesz liczyć na ich pełną współpracę. Mają akta wszystkich interesujących nas osób. Już je czytałem. Jak ci mówiłem, do fazy początkowej wybrałem dziesięć osób spośród potencjalnych kandydatów. Twoim zadaniem będzie

nawiązanie z nimi kontaktu.

- W porządku. O co mam ich pytać?

- Nie bądź zbyt dociekliwa. Chcę, żeby poczuli się przy tobie swobodnie, a jednocześnie aby wiedzieli, że rozumiesz ich sytuację i że w żaden sposób nie oceniasz decyzji, jakie dotąd podjęli. Nie staram się ich wyrwać z ich obecnego otoczenia.

- Jak to nie?

- Próbuję dać im szansę zmiany tego otoczenia na lepsze.

- Chyba trochę odwracasz kota ogonem.

- Owszem. A jeśli ty masz wątpliwości co do tej kwestii, oni będą je mieli tym bardziej. Będą nieufni co do motywów mojego działania. W żadnym razie nie chcę, żeby poczuli się jak eksponaty w gabinecie osobliwości. Musisz ich przekonać, że to legalnie prowadzona akcja, która ma na celu podniesienie jakości ich życia, z nadzieją, że oni z kolei pomogą innym osobom znajdującym się w podobnej sytuacji. Takie działania wielokrotnie kończyły się sukcesem, ale media rzadko o tym mówią.

- Złe wiadomości mają lepszą oglądalność.

- Musimy pokazać światu także te dobre.

- Abe, większość ludzi stamtąd, których znam, walczy o przetrwanie. Nie jestem pewna, czy będą na tyle altruistyczni, żeby pomagać innym.

- Możesz się zdziwić. Ale w niektórych kwestiach masz rację - i dobrze, musimy być na to przygotowani. To tylko pierwszy kontakt, ale ma wielkie znaczenie.

Mace spochmurniała.

- Wiesz, trochę się martwię.

Altman odpowiedział z uśmiechem:

- Że nie masz właściwie żadnego doświadczenia w tej dziedzinie, a nadzieje całego narodu spoczywają na twoich

mizernych barkach?

- Sama bym tego lepiej nie ujęła.

- Odpowiedź na twoje wątpliwości jest prosta. Mace, nie znam nikogo, kto by się do tego nadawał lepiej niż ty. Gdybym znalazł taką osobę, zatrudniłbym ją. Jasne, wiele ci zawdzięczam, ale ten projekt to pod wieloma względami dzieło mojego życia. Nie naraziłbym go na niebezpieczeństwo wybierając kogoś, kto by się do niego nie nadawał. To dla mnie zbyt ważne.

- W takim razie zrobię dla ciebie wszystko, co w mojej mocy. Tyle mogę obiecać.

- Jeśli chcesz, mogę teraz poprosić Herberta, żeby upichcił nam coś na lunch. Robi rewelacyjną sałatkę z tuńczyka.

- Dziękuję, ale nie skorzystam. Wykąpię się w domku dla gości i spróbuję pogadać z tymi ludźmi.

- Świetnie. Jestem ci za to bardzo wdzięczny.

- A ja tobie. Nie bardzo wiedziałam, co ze sobą zrobić.

Altman położył rękę na ramieniu Mace.

- Najciemniej jest zawsze przed świtem. Wiem, że to straszny banał, ale często się sprawdza. I kto wie, może okaże się, że nauki społeczne spodobają ci się nie mniej niż praca w policji?

- Praca w policji to w gruncie rzeczy nauki społeczne, tyle że z bronią i kamizelką kuloodporną.

- Myślę, że rozumiem, o co ci chodzi.

- Wszystko opiera się na szacunku, Abe. Jako policjantka byłam członkiem największego gangu - a ponieważ byliśmy najwięksi, nie mogłam sobie pozwolić na porażkę w żadnej bitwie.

Altman wyglądał na bardzo zaintrygowanego.

- Jak ci się to udało?

- Nigdy nie pakowałam się w potyczki, które były nie do wygrania.

- Rozumiem.

- W razie potrzeby mogłam wezwać posiłki szybciej niż którykolwiek z gangsterów. Musiałam wytrzymać trzy minuty walki w pojedynkę, nie więcej. A jeżeli trzeba było kogoś walnąć, bo na mnie splunął - robiłam to, bo jeśli jeden gliniarz puści płazem zniewagę, zagrozi w ten sposób wszystkim innym. Od śliny przeszłoby do strzałów w plecy. Mnie można kochać albo nienawidzić, ale mundur trzeba szanować. Podobnie jest z bandytami. Większość z nich stara się zarobić na życie, a gliniarze usiłują ich złapać. Ci ludzie mogą handlować cheeriosami za kilka tysięcy dziennie albo smażyć kotlety w barze za minimalną stawkę.

- Cheeriosami?

- Oksykodonem. To ludzie tacy jak my, dokonali tylko innych wyborów.

- A nie mieli zbyt wielu możliwości.

- Zgadza się. Każda ze stron zna zasady. Przestępcy mają gdzieś, czy dostaną wycisk, zostaną aresztowani, zastrzeleni czy trafią do więzienia. Takie rzeczy dzieją się codziennie. Ale nie wolno traktować ich bez szacunku. Tego nie wybaczą.

- Zdaje się, że przez ostatnie dwie minuty nauczyłem się więcej niż przez ostatnich dziesięć lat.

- Do zobaczenia, profesorze. Wypatruj mnie wieczorem - stwierdziła Mace. - Aha, i jeszcze jedno. Moje ducati trochę rzuca się w oczy. Czy mogłabym pożyczyć samochód?

- Oczywiście. Chcesz bentleya czy hondę?

- Trudny wybór, ale wezmę Japończyka.

54

Mace wzięła prysznic w domku dla gości i wyszorowała przetłuszczone włosy. Kask motocyklowy miał jedną wadę – potwornie pociła się w nim głowa. Owinęła się puszystym szlafrokiem i zaczęła przechadzać się po olbrzymim domu, trzy razy mniejszym od stojącej tuż obok naprawdę ogromnej rezydencji. Przyszło jej do głowy, że przeciętnemu człowiekowi byłoby łatwo się przyzwyczać do takiego życia. Ona, choć nie była przeciętna, także podziwiała jakość wyposażenia oraz umiejętności i dbałość o szczegóły, z jaką zaprojektowano i zbudowano dom. Marty Altman musiała mieć spory talent, a ze sposobu, w jaki Abe się o niej wypowiadał, widać było, że ją uwielbiał.

Jak bym się czuła, gdyby mnie tak uwielbiał jakiś facet?

Pogrzebała w plecaku i wyciągnęła z niego wymięty notatnik, zawierający listę kontaktów, z których korzystała pracując w policji. Odszukała nazwisko i zadzwoniła. Kilka razy ją przełączano, ale w końcu dotarła do osoby, której szukała.

- Charlotte, tu Mace.
- Mace Perry?
- Daj spokój, a znasz jakąś inną?
- Wciąż jesteś w tym potwornym więzieniu?
- Nie, odsłużyłam swoje i wyszłam.

- Dzięki Bogu.
- A ty wciąż świetnie się bawisz w Wydziale Komunikacji?
- A jakże - stwierdziła Charlotte z ironią. - Odrzuciłam masę ofert zagrania w hollywoodzkich filmach, żeby tu zostać i użerać się po całych dniach z rozwścieczonymi petentami.
- A co byś powiedziała na radosnego petenta?
- Coś mi mówi, że zaraz poprosisz mnie o przysługę.
- Potrzebuję zdjęcia pewnego człowieka. Mam jego nazwisko i adres.
- Nie wróciłaś do służby, wiedziałabym o tym.
- Nie, ale staram się o przywrócenie.
- Mace, coraz trudniej jest wyświadczać takie przysługi. Zewsząd patrzą elektroniczne oczy.

- A co powiesz na stary dobry faks?
- To nowatorski pomysł.
- Pomożesz mi jeszcze raz? Przez wzgląd na dawne czasy?
Mace usłyszała krótkie westchnienie.
- Podaj mi nazwisko i swój numer faksu.

Dziesięć minut później Mace stała obok faksu w niewielkim biurze na drugim piętrze, które pokazał jej Altman. Po dwóch minutach maszyna wypluła wydruk. Mace szybko go chwyciła - była to kopia prawa jazdy Andre Watkina.

Prawdziwy Watkins miał krótkie, gęste ciemne włosy, nie nosił zarostu, miał za to okulary. Na dokumencie podany był jego wzrost i Mace zauważyła, że był o kilkanaście centymetrów niższy niż mężczyzna, którego widzieli. Miała rację. Zastanawiała się, czy prawdziwy Watkins rzeczywiście był mężczyzną do towarzystwa. Było to tak nietuzinkowe zajęcie, że Mace była skłonna w to uwierzyć. Oznaczało to, że oszust sporo wiedział o zmarłym.

Wracając na dół, zauważyła czteroosobową wannę jacuzzi stojącą w niewielkiej, przeszklonej niszy. Zawahała się przez chwilę, a później pobiegła do kuchni, otworzyła wmontowaną w ścianę lodówkę na wina, otworzyła butelkę caberneta i nalała go sobie do kieliszka. Później szybko wróciła do jacuzzi, rozgryzła, który przycisk do czego służy, podgrzała wannę, zdjęła szlafrok i wśliznęła się w spienioną wodę. Minutę później chwyciła leżący na skraju wanny telefon i zadzwoniła do Roya.

- Gdzie jesteś? - spytała.

- W biurze. Mam pracę, pamiętasz?

- No dobra, marudo. Zgadnij, co ja teraz robię.

- Co?

- Rozpieszczam się.

- Jak? Ćwiczysz strzelanie? A może dla zabawy traktujesz bezdomnych tym swoim kastetem?

- Siedzę w jacuzzi w domku dla gości Altmana i sączę czerwone wino.

- Zdaje się, że miałaś zacząć pracę?

- Spotkałam się z Altmanem i obgadaliśmy parę rzeczy. Postanowiłam się nagrodzić, bo udało mi się też potwierdzić w Wydziale Komunikacji, że człowiek, którego dziś widzieliśmy, nie był Andre Watkinsem.

- Miałaś rację.

- Tak, ale wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi. O której kończysz pracę?

- O wpół do piątej. Wychodzę wcześniej.

- Przyjadę po ciebie hondą Altmana.

- Co się stało z ducati?

- Postanowiłam dać mu odpocząć. A ty wypożyczyłeś jakieś auto?

- Mieli tylko mercury marquisy, niewiele mniejsze od mojego mieszkania.
- A twoje audi?
- Na złom.
- Bardzo mi przykro, Roy.
- A gdzie jedziemy o wpół do piątej? I w czym mam ci pomóc?
- Powiem ci wszystko, kiedy się zobaczymy.
- Czy znowu będą do nas strzelać?
- Niewykluczone.
- W takim razie mam jedną prośbę.
- Dawaj.
- Następnym razem, kiedy do mnie zadzwonisz siedząc nago w jacuzzi i popijając wino, spodziewaj się towarzystwa.
- No, no, Roy, jesteś taki seksowny, kiedy zgrywasz twardziela.

55

Roy usiadł na przednim siedzeniu hondy.

- Wyglądasz ślicznie i świeżo.
- Więzienne prysznicie nie mogą się z tym równać.
- Masz zdjęcie Watkinsa?

Mace wyjęła fotografię z kieszeni i podała mężczyźnie.

- Nie wygląda na pana do towarzystwa.
- A jak powinien wyglądać taki pan?
- Nie wiem. Chyba jak model.
- Może bardziej zależało jej na wrażliwości i inteligencji niż na powalającym wyglądzie.

- Rozumiem, że masz w tej kwestii podobny pogląd?

Mace wcisnęła gaz, ale honda ruszyła niespiesznie.

- To nie to samo, co ducati, co? - zauważył Roy.
- Miałam wybór między tym i bentleyem.
- Co wzbudziło w tobie podejrzenia, że to nie prawdziwy Watkins?

- Nie chciał iść porozmawiać do Starbucksa, a w jego położeniu byłoby to najbezpieczniejsze wyjście. Myślę, że bał się, iż jakiś sąsiad, który znał prawdziwego Watkinsa, usłyszy naszą rozmowę i oszustwo wyjdzie na jaw.

- Może po prostu nie smakuje mu tamtejsza kawa.
- Poza tym nie pasował do mieszkania. Z jednej strony - buty za

trzysta dolarów, koszula szyta na miarę i wypielegnowane paznokcie, z drugiej – meble z płyty wiórowej. No i widać było, że mieszkanie przewrócono do góry nogami. Nie widziałeś wgłębień w dywanie w miejscach, gdzie przedtem stały skrzynia, biblioteczka, szafka pod telewizor i półki?

– Hmm, chyba mi to umknęło.

– Ale pewnie zauważyłeś, że wypytywał nas, co wiemy i czego się domyślamy? To on przesłuchiwał nas, nie my jego.

– Co to za ludzie?

– Wiem tylko, że są naprawdę dobrzy.

– Czego mogli szukać?

– Tego, co Diane Tolliver zostawiła Watkinsowi.

– To dlatego powiedziałaś mu, że dajesz sobie spokój ze śledztwem?

Mace skinęła głową.

– Kupiłam nam w ten sposób trochę czasu. Wszystko wskazuje na to, że ten gość trzyma z facetami, którzy wczoraj próbowali mnie zabić. Lepiej będzie dla nas, jeśli przekonamy ich, że jesteśmy niegroźni i wywiesiliśmy białą flagę.

– Zdaje się, że sprawa Kapitana jest poważna. Wiesz, że pobrali od niego DNA?

– Niech zgadnę. Posłużyli się sztuczką z kawą?

– Skąd wiedziałaś?

– Porównają DNA Kapitana z tym pozyskanym ze spermy znalezionej na ciele Tolliver – to oczyści go z zarzutów.

– Diane została zgwałcona?

– Na to wygląda.

– Mace, Diane prawdopodobnie padła ofiarą przestępstwa przez przypadek. Gdyby było inaczej, po co sprawca miałby ją gwałcić?

Mace spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem.

- Po to, żeby to wyglądało na przypadek, Roy.
 - Ale zostawił po sobie nasienie.
 - I mogę się założyć, że znalezione w nim DNA nie będzie figurować w żadnej bazie danych. W przypadku spermy, tak jak w przypadku broni, da się uniemożliwić odnalezienie właściciela.
 - Rozumiem.
 - Jeśli to wszystko jest powiązane, nie wiem, dlaczego śledził mnie snajper.
 - Byłaś na miejscu zbrodni.
 - Podobnie jak setka innych policjantów.
 - To może dlatego, że spotykałaś się ze mną?
 - W takim razie, dlaczego nie wzięli na cel ciebie? To ty z nią pracowałeś. Samotnie czekałeś na mnie w O6. Mogli bez trudu cię zdjąć.
 - Dobrze wiedzieć.
 - Musimy dostać się do jej domu.
 - Do domu Diane?
 - Nic nie znalazłam w jej biurze. W domu musi coś być.
 - Jestem pewien, że policja go przeszukała.
 - W takim razie zostanie przeszukany ponownie.
 - Mace, jeśli nas złapią, skończy się twoje zwolnienie warunkowe. Czy twoja siostra nie mogłaby nam pomóc?
 - Nie.
 - Dlaczego?
 - Mam swoje powody.
 - Chciałbym je poznać.
- Mace westchnęła.
- W tej chwili nie jest do mnie najlepiej nastawiona. A jak dostaniemy się do domu Tolliver? Masz do niego klucz?
 - Nie. Czemu miałbym mieć klucz do domu Diane?

- Cóż, mamy trochę czasu, żeby to przemyśleć. Na razie jedziemy pozałatwiać różne rzeczy dla Abe'a.

- To dlatego chciałaś, żebym pojechał z tobą?

Mace zerknęła na Roya.

- Że niby dla ochrony?

- Nie jestem aż tak głupi. Egzamin na ochroniarza oblałem z kretesem.

- Wcale nie. Przecież wjechałeś pomiędzy mnie a snajpera. Mógł cię trafić. Taki ruch wymagał odwagi. Myślałam po prostu, że może będziesz chciał spędzić ze mną trochę czasu i przypomnieć sobie stare, dobre czasy, kiedy pracowałeś jako obrońca z urzędu.

- Jedziemy daleko od Georgetown?

- Do innego świata, Roy.

56

Pracownicy opieki społecznej współpracujący z Altmanem okazali się bardzo pomocni i niezwykle ciepło wyrażali się o zamożnym profesorze.

- To człowiek z wizją - stwierdziła kuratorka Carmela, młoda Latynoska o prostych, ciemnych włosach, ubrana w bluzkę, plisowaną spódnicę i buty na płaskim obcasie. - Zna się na rzeczy.

- Mam nadzieję, że ja też się poznam - stwierdziła Mace.

Siedziały w biurze Carmeli, ciasnym pokoiku z wypaczonym oknem, zepsutą klimatyzacją i zaciekami na suficie i szybach. Meble wyglądały, jakby ktoś przywłókł je ze śmietnika, a stojący na biurku wielgachny komputer miał przynajmniej dziesięć lat. Władze najwyraźniej skąpiły grosza na wyposażenie tego miejsca.

- Pan Altman mówił, że pracowała pani w policji.

- Proszę nie mieć mi tego za złe.

- Nie mam. Mój brat jeździ w patrolu w tej okolicy, w O7.

- Musi mieć pełne ręce roboty.

- Zna pani ten teren?

- To kiedyś był mój rewir. - Mace spojrzała na plik kartek, który trzymała w rękach. - To dane uczestników?

- Tak. Skontaktowaliśmy się z nimi i będą na panią czekać o podanej przez panią godzinie. Kiedy zadzwoniła pani, aby

uprzedzić o swojej wizycie, skontaktowałam się z Alishą, która jest pierwsza na liście. Spodziewa się pani za pół godziny. - Carmela zerknęła na Roya. - A pan wygląda na prawnika.

- Pan Kingman pomaga mi w pracach nad projektem.

Kobieta otaksowała go wzrokiem.

- Był pan tu kiedyś?

- Jeśli to się liczy, wczoraj byłem w O6.

Carmela wyglądała na zaskoczoną.

- Czego pan tam szukał?

- Przygody. I znalazłem!

- Nie wątpię. Miejsca, które mają państwo odwiedzić, nie należą do najprzyjemniejszych.

- Rozumiem, że właśnie dlatego mamy tam pojechać - odpowiedziała Mace. - Damy sobie radę.

- Jak bardzo nieprzyjemnie może tam być? - dopytywał się Roy.

- Nawet mój brat nie zapuszcza się w niektóre z nich bez wsparcia kilku radiowozów.

Roy spojrzał na Mace z niepokojem.

- Czy to prawda?

- Dziękujemy, Carmela - powiedziała Mace, ciągnąc Roya za ramię. - Będziemy w kontakcie.

Wsiedli do hondy. Mace przeczytała akta i stwierdziła:

- No dobra, Alisho Rogers, nadchodzimy.

Roy, który czytał jej przez ramię, spytał:

- Szesnaście lat i już trzyletnie dziecko?

- Nie dziw się tak. Świat rodem z bajki zostawiliśmy za sobą.

Roy odczytał adres Alishy.

- Wiesz, gdzie to jest?

- Tak. Pośrodku Cheerio Alley. Lubisz cheeriosy, Roy?

- Tak, ale bez oksykodonu. Jak mamy odwiedzić miejsca,

których unikają nawet policjanci, i wrócić z nich cali i zdrowi?

- Nie za późno, żeby o to pytać?

- Zrób to dla mnie i postaraj się odpowiedzieć.

- Będziemy pomagać ludziom, nie ich aresztować. To ma znaczenie.

- I to wszystko? Powiemy im, że jesteśmy tu, by im pomóc, a wszystko będzie dobrze? To nie film Disneya.

- Nie wiedziałam, że jesteś takim cynikiem.

- Nie jestem. Chcę tylko dożyć powrotu do domu.

Uśmiech zniknął z twarzy Mace.

- To słuszny cel.

Alisha mieszkała w bloku, który kojarzył się bardziej ze zbombardowanym budynkiem w Bagdadzie niż z miejscem zamieszkania położonym niedaleko Kapitolu. Kiedy zatrzymali się na zaśmieconym parkingu, na którym straszyły wraki kilkunastu samochodów, Roy rozejrzał się nerwowo.

- Zdecydowanie za długo siedziałem w Georgetown. Jeszcze nie wyszliśmy z samochodu, a ja już wymiękam.

- Roy, nie wszyscy mają życie usłane różami. Fakt, jest tu mnóstwo przestępców, ale większość okolicznych mieszkańców to praworzadni obywatele, którzy bardzo ciężko pracują, płacą podatki i starają się żyć w spokoju ze swoimi rodzinami.

- Wiem, masz rację - stwierdził skruszony mężczyzna.

- Ale uważaj na siebie. Jedna kula wystarczy, żeby zepsuć fajny dzień.

- Mogłaś skończyć na spokojnym życiu rodzinnym.

Idąc do budynku mijali ludzi zbitych w ciasne grupki, siedzących na murkach i zdezelowanych huśtawkach lub stojących w cieniu w zakamarkach budynku. Wszyscy gapili się na Mace i Roya zmierzających do wejścia. Mace szła szybko, jednocześnie systematycznie ogarniając wzrokiem okolice i starając się wyczuć, co kryje się w cieniu. Przyglądający się jej prawnik miał wrażenie, że jego towarzyszka używa jakiejś

specjalnej anteny, by wykryć potencjalne zagrożenia.

- Czy nasze życie jest w bezpośrednim niebezpieczeństwie? - spytał.

- Jest tak każdego ranka od chwili przebudzenia.

- Podziwiam twój optymizm.

- Zioło, crack, heroina, oksykodon, metamfetamina - wyrecytowała Mace, idąc przed siebie.

- Czuję zapach trawki, ale skąd wiesz o reszcie?

Mace wskazała na ziemię - ponieważ tam resztki plastikowych torebek, opaski uciskowe, rurki do wciągania cracku, skrawki papieru, rozbite buteleczki po lekach, a nawet zużyte strzykawki.

- Możesz tu znaleźć wszystko, jeśli wiesz, czego szukasz. Pod którym numerem mieszka Alisha?

- W aktach było napisane, że pod 320.

Weszli do budynku, w którym prawie zbił ich z nóg zapach trawki, uryny, gnijących śmieci i odchodów. Mace wyszeptała:

- Roy, nie waż się nawet zmarszczyć nosa. Wszyscy nas obserwują. Nie możemy sobie pozwolić na brak szacunku.

Poszli dalej. Royowi skręcał się żołądek i kręciło go w nosie.

- Windą czy schodami? - spytał.

- Wątpię, żeby winda działała. Poza tym nie lubię być zamknięta na małej przestrzeni i nie wiedzieć, kto będzie czekał na mnie za drzwiami.

- Pójście schodami też chyba będzie ryzykowne.

- Nie ma żadnego „chyba”. Będzie ryzykowne i już.

Mace otworzyła drzwi prowadzące na klatkę schodową, popychając je aż do ściany, żeby sprawdzić, czy nikt się za nimi nie zaczął, a później spojrzała na półpiętro.

- Czysto. Idziemy.

- A co, jeśli ktoś nas zatrzyma?

- Cykasz?

- Od chwili, kiedy wysiedliśmy z samochodu, rozpaczliwie staram się nie zabrudzić bielizny.

- Wiem, że to ty jesteś prawnikiem, ale jeśli ktoś nas zatrzyma, pozwól mi z nim pogadać.

- Nie ma sprawy.

- I jeszcze jedno. Umiesz się bić?

- Chodzi ci o walkę na pięści czy na słowa?

- Rozejrzyj się. Nie jesteśmy w Sądzie Najwyższym.

- Umiem. Mój brat, który jest w piechocie morskiej, prał mnie na okrągło do czasu, kiedy w ciągu jednego lata urosłem o piętnaście centymetrów i zacząłem skutecznie się bronić. Później nauczył mnie różnych sztuczek.

- Piechota morska jest niezła w walce wręcz. To doświadczenie może ci się przydać. Kiedy byłem tu poprzednio, miałam odznakę, a i tak ledwo uszłam z życiem.

- Dzięki za tę informację - wymamrotał Roy.

Kiedy dotarli na trzecie piętro, drogę zagroziło im dwóch potężnych mężczyzn w luźnych dżinsach z pasem opuszczonym poniżej pośladków i koszulkach odsłaniających ręce szczelnie pokryte tatuażami. Kiedy Mace i Roy próbowali ich wyminąć, mężczyźni poruszali się w tę samą stronę co oni, tworząc mur przegradzający wąski korytarz. Mace zrobiła krok do tyłu i wciąż się uśmiechając sięgnęła do kieszeni.

- Szukamy Alishy Rogers. Znacie ją?

Mężczyźni wciąż wpatrywali się w nich bez słowa. Jeden z nich popchnął ramieniem Roya, który zatoczył się na ścianę.

Mace mówiła dalej.

- Alisha się nas spodziewa. Przyjechaliśmy, żeby jej pomóc.

- Niepotrzebna jej żadna pomoc - stwierdził jeden z mężczyzn. Był łysy i miał kark tak szeroki, że wyglądał, jakby głowa wyrastała mu prosto z potężnych mięśni ramion. W korytarzu zabrzmiały krzyki, trzaśnięcia drzwiami, a później strzały. Po chwili z wielu miejsc zaczęła dobiegać głośna muzyka, która zagłuszyła inne odgłosy.

- No więc znacie ją? - ciągnęła Mace przyjaznym tonem.

- A jeśli tak, to co?

- Możliwe, że uda się załatwić dla niej trochę pieniędzy.

- Ile?

- To zależy od tego, jak wypadnie spotkanie. I nie, nie mamy przy sobie gotówki - dodała Mace widząc, że jeden z mężczyzn sięga ręką za plecy.

- Kto was przysłał? - spytał Łysy.

- Opieka społeczna! - dobiegł donośny głos. Wszyscy obecni odwrócili się w stronę nadchodzącej kobiety. Nowo przybyła miała niemal kwadratową sylwetkę, była ubrana w długą i opiętą do granic możliwości dzinsową sukienkę, na głowie miała wielobarwną chustę, a z sandałów wystawały jej długie palce stóp.

- Znasz ich? - spytał Łysy.

Kobieta w szalu chwyciła Mace za rękę.

- Jasne, że tak. A teraz spadajcie stąd, ale już! Jerome, dzisiaj nie zamierzam się z tobą cackać. Mówię bardzo poważnie.

Mężczyźni cicho, choć niechętnie, rozsunęli się na boki i kobieta w szalu poprowadziła Mace korytarzem. Roy pospieszył za nimi, nie spuszczając z oka Jerome'a.

- Dzięki - stwierdziła Mace.

- Nie wiemy, jak mamy dziękować - dodał Roy.

- Alisha powiedziała mi dzisiaj, że dzwoniła Carmela i poprosiła,

żebym was wypatrywała. Ale przyszliście akurat wtedy, kiedy poszłam zrobić pranie. Przepraszam za tych głupków. Zazwyczaj poprzestają na pogrózkach, ale zdarza się, że robią rozróbę.

- Czy te odgłosy minutę temu to były strzały? - dopytywał się Roy.

- Pewnie jakaś drobna kłótnia. Nie ma krwi, nie ma problemu.

- Jak się pani nazywa? - spytała Mace.

- Mówcie mi Non.

Ani Mace, ani Roy nie wiedzieli, czego się dalej spodziewać, ale żadne z nich na pewno nie oczekiwało tego, co zastali w mieszkaniu Alishy Rogers. Było czyste, pachniało środkiem do czyszczenia podłóg i panował w nim niezwykły porządek – zdziwiło ich to tym bardziej, że w prowadzącym do niego korytarzu minęli dwanaście wielkich, przepełnionych worków ze śmieciami. „Może właśnie dlatego Alisha używa tyle detergentów” – pomyślała Mace.

Meble w mieszkaniu były tanie, zapewne wszystkie z drugiej ręki, ale dobrane i ustawione w przemyślany sposób. W niewielkich oknach wisiały zasłony, które wyglądały na ręcznie uszyte. W kącie stało kartonowe pudło z napisem „Deer Park”, w którym znajdowało się kilka zabawek. Mieszkanie składało się z dwóch pokoi – tego, w którym się znajdowali, i jeszcze jednego, zapewne sypialni, do którego drzwi były zamknięte. W maleńkiej kuchni stały płyta grzejna i mała lodówka.

Non, która miała klucz do mieszkania, wpuściła ich do środka.

– Alisha! – krzyknęła wchodząc. – Przyszli z opieki społecznej!

W drugim pokoju rozległ się odgłos kroków, drzwi się otworzyły i stanęła w nich Alisha Rogers, niosąca na szczupłym udzie trzyletniego chłopca. Miała długie włosy zaczesane do tyłu i spięte klamrą – tylko jeden ciasno spleciony warkoczyk odstawał

jej z prawej strony głowy. Alisha miała duże oczy, niewielką głowę i wąskie, popękane wargi. Ważyła nie więcej niż czterdzieści kilo przy metr sześćdziesiąt wzrostu. Jej syn musiał ważyć prawie połowę tego, co ona.

Roy spojrział na teczkę z dokumentami dotyczącymi Alishy. Pracując jako obrońca z urzędu, naoglądał się tyle różnych rzeczy, że nastoletnie matki go nie dziwiły, ale wiedział, że nigdy nie jest dobrze, kiedy dzieci mają dzieci. Mimo wszystko samotne wychowywanie chłopca było znacznie lepsze niż porzucenie go na śmietniku. Podziwiał Alishę Rogers za to, że wzięła na siebie odpowiedzialność, od której wiele innych osób się uchylało.

- Zostawię was teraz samych. Alisha, gdybyś czegoś potrzebowała, będę w pralni na dole - stwierdziła Non.

- Dzięki, Non - powiedziała Alisha. Wbijiała wzrok w podłogę, a jej synek wpatrywał się w Mace i Roya z otwartą buzią.

Mace zrobiła krok do przodu.

- Alisha, jestem Mace, a to Roy. Dziś rano spotkaliśmy się z Carmelą.

- Carmela jest miła - stwierdziła Alisha, wciąż patrząc w podłogę.

- I bardzo się cieszyła, że się z nami spotkasz.

- Masz bardzo przystojnego syna - zauważył Roy. - Jak ma na imię?

- Tyler - odpowiedziała dziewczyna. Uniosła jedną z pulchnych piąstek dziecka i delikatnie nią pomachała. Kiedy puściła dłoń chłopca, Tyler pozwolił ręce opaść bezwładnie i wciąż wpatrywał się w przybyszów.

- Może usiądziemy? - powiedziała Mace. - Tyler wygląda na słodki ciężar.

Roy i Mace usiedli na niewielkiej, podniszczonej sofie, a Alisha

postawiła Tylera na podłodze i usiadła po turecku obok niego. Wzięła z pudełka zabawkę i podała synkowi.

- Pobaw się, Ty, a mamusia porozmawia z tymi ludźmi.

Tyler usiadł na podłodze i zaczął grzecznie bawić się figurką kosmity z *Toy Story*, której brakowało jednej ręki i jednej nogi.

Alisha w końcu na nich spojrzała.

- Carmela mówiła, że macie coś dla mnie.

- Chcemy, żebyś wzięła udział w badaniu - wyjaśniła Mace.

Alisha nie wydawała się ucieszona tą wiadomością.

- Myślałam, że chodzi o pracę. Wiecie, taką prawdziwą pracę, zapewniającą opiekę nad dzieckiem i ubezpieczenie zdrowotne.

- To akurat się zgadza. Badanie składa się z komponentu pieniężnego i szkoleniowego.

- A co ze szkołą?

- Jest też komponent edukacyjny. W gruncie rzeczy to właśnie on ma największe znaczenie.

- Nie mam matury. Odeszłam ze szkoły, żeby urodzić Tylera. Próbowałam wrócić, ale było ciężko.

- Możemy ci w tym pomóc. Wciąż chcesz zdać maturę? - spytała Mace.

- Muszę, jeśli mam się stąd wyrwać. Bez szkoły mogę tu tylko handlować narkotykami albo pracować w barze, a wtedy nie mogłabym się porządnie zajmować Tylerem. - Poglaskała syna po kędzierzawej główce.

Mace przyjrzała się buzi chłopca i zdała sobie sprawę, że kogoś jej przypomina, ale nie mogła sobie przypomnieć kogo.

- Omówimy szczegóły i zobaczymy, czy coś cię zainteresuje.

- Zainteresuje mnie wszystko, co pozwoli nam się stąd wyrwać.

- Tobie i Tylerowi?

- I mojemu bratu.

- Twojemu bratu? - spytała zdziwiona Mace. W aktach nie było informacji o innych członkach rodziny.

- Dopiero co wyszedł.

- Skąd?

- Z więzienia.

- Rozumiem. A co z tatą Tylera?

Dziewczyna się zawahała i znów wbiła wzrok w podłogę.

Mace, która widziała taką reakcję chyba milion razy, wiedziała, że dziewczyna zaraz skłamie.

- Pewnie nie żyje. Nie wiem. Tu go nie ma i już.

- A twoi rodzice? - zapytał Roy.

- Tata nie żyje. Handlował heroiną na rogu, przecnicę stąd. Mama zostawiła mnie z babcią.

- Dlaczego? - spytał Roy.

- Nie miała wyjścia. Poszła do więzienia za zabicie taty.

- Ach - stwierdził Roy.

- On sobie na to zasłużył - broniła się dziewczyna. - Bez przerwy prał ją na kwaśne jabłko.

- A co z babcią? - spytała Mace.

Duże oczy Alishy zaszkliły się od łez.

- Zginęła. Szła ulicą niosąc zakupy i dostała się pomiędzy dwa walczące gangi. Ale zdążyła być przy narodzinach Tylera, a on poznał swoją prababcię.

- To nie zdarza się często - zauważył Roy. - Cztery pokolenia.

- Kiedy zginęła, miała dopiero czterdzieści dziewięć lat. Moja mama też miała trzynaście, kiedy mnie urodziła.

Mace miała właśnie zadać kolejne pytanie, kiedy drzwi wejściowe się otworzyły. Kiedy Mace zobaczyła, kto w nich stanął, zrozumiała, dlaczego rysy Tylera wydały jej się znajome.

- Co ty tu, kurwa, robisz, suko? - wrzasnął mężczyzna.

Darren Rogers, ksywka Brzytwa, ten sam, którego Mace potraktowała gazem pieprzowym, wszedł do mieszkania. Kilka sekund później „gówniany” pistolet półautomatyczny mierzył prosto w jej twarz.

59

- Co ty do diabła robisz, Darren? - krzyknęła Alisha, zrywając się na nogi.

Mężczyzna wskazał na Mace.

- To ta suka, która wczoraj w nocy spryskała mi oczy tym gównem. Opowiadałem ci o niej.

- Bądźmy szczerzy, nie zrobiłabym tego, gdybyś nie celował do mnie z pistoletu.

Alisha wpatrzyła się w Darrena.

- Zrobiłeś to?

- Nie, kurwa! Ta suka spryskała mnie tym gównem, kiedy szedłem sobie ulicą. Nie celowałem do niej z pistoletu aż do tej chwili.

Mace zwróciła się do Alishy.

- Ma też rewolwer kalibru 22 w pokrowcu na lewej kostce. I nosi ksywkę Brzytwa, bo, jak mi wyjaśnił, jest taki ostry.

Alisha złapała się pod boki i spojrzała na Darrena z marsową miną.

- Jak by się tego dowiedziała, gdybyś tylko sobie szedł i nie wyciągnął tej cholerniej spluwy?

Twarz Darrena wykrzywiła się ze złości.

- A skąd ja mam to wiedzieć?

- Czy to twój brat? - spytała Mace Alishę.

- Ej, rozmawiasz ze mną - warknął Darren.

- W porządku. Jesteś jej bratem?

- Tak. I co z tego?

- Za co byłeś w więzieniu?

- Kto ci powiedział, że siedziałem? - Darren spojrzał na siostrę spode łba, a Alisha stwierdziła:

- Darren, odłóż ten pistolet, zanim komuś stanie się krzywda. Popatrz na Tylera, jest przerażony.

Tyler, na którego przez ostatnich kilka minut nikt nie zwracał uwagi, krył się w kącie pokoju. Po jego pulchnych policzkach spływały łzy.

- Psiakrew! Ty, przepraszam, młody. - Brzytwa włożył pistolet do kieszeni kurtki i pochylił się, żeby wziąć chłopca na rękę. Przyciskając policzek do policzka Tylera, łagodnie mówił do chłopca.

- Nie słychać, jak płacze - zauważył zdziwiony Roy.

Alisha zaczęła coś mówić, ale Darren nie dał jej dojść do głosu.

- Nie płacze, bo nie umie mówić. W ogóle nie wydaje żadnych dźwięków.

Mace spojrzała na Aliszę.

- Byłaś z nim u lekarza?

Dziewczyna znów miała łzy w oczach.

- To dlatego, że brałam. Nie wiedziałam wtedy, że jestem w ciąży. W szpitalu powiedzieli, że przez to Tyler ma problemy z główką.

- Przykro mi - powiedziała Mace.

Alisha wytarła oczy.

- To moja wina, że zaszłam w ciążę.

- Zostałaś zgwałcona, Alisha - szybko odpowiedział Darren. - To nie twoja wina.

- Zgwałcona? Złapali sprawcę? - spytał Roy.

Darren popatrzył na siostrę, a później z obrzydzeniem odwrócił wzrok.

- Alisha, zgłosiłaś gwałt? - spytała Mace.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Dlaczego nie?

Znów odezwał się Darren.

- Bo zgwałcił ją Psychol, boss największego gangu w okolicy. Jeśli doniesiesz na niego glinom, jesteś martwy. Dlatego nie.

Mace odchyliła się na kanapie.

- Słyszałam o Psycholu. Ten koleś od prawie dziesięciu lat handluje prochami i bronią. W tej branży to szmat czasu. Trzeba być bardzo byстрыm i bardzo, bardzo groźnym, żeby przeżyć tak długo.

- Ale przecież policja was ochroni - stwierdził Roy, po czym spojrzał na Mace. - Prawda?

Darren się roześmiał.

- Jasne. Ochroni jak cholera. Ostatnim razem, kiedy policja próbowała tu kogoś chronić przed Psycholem, znaleźli głowę tego człowieka ze skarpetką wepchniętą w usta, dryfującą po Anacostii w worku na śmieci. Reszty ciała szukają do dzisiaj. To się nazywa ochrona, co?

Darren odstawił Tylera na podłogę.

- To powiecie mi, co tu, kurwa, robicie?

- Co byś powiedział, gdyby ktoś dał wam szansę się stąd wyrwać? - spytała Mace.

- Wyrwać? Niby jak?

- Pracuję nad pewnym projektem z profesorem z uniwersytetu w Georgetown.

- Georgetown! A co to może mieć wspólnego z nami?

- Mogę ci to wyjaśnić.

Darren wyglądał, jakby miał znów zacząć krzyczeć, ale w końcu usiadł i wskazał ręką Mace.

- No to dawaj.

Przez następne pół godziny Mace tłumaczyła, o co chodzi, najpierw podając podstawowe informacje, później stopniowo wchodząc w szczegóły.

- Według teorii profesora przetrwanie na ulicy w jakimkolwiek dużym mieście wymaga ponadprzeciętnej inteligencji, odwagi, śmiałości, zdolności do podejmowania ryzyka i błyskawicznego adaptowania się do sytuacji. A większość ludzi, aby funkcjonować normalnie, potrzebuje wsparcia rodziny, łóżka i dachu nad głową, jedzenia i bezpieczeństwa.

Darren stwierdził ponuro.

- Tu nie jest tak źle. Dajemy radę. Mamy dach nad głową, jedzenie, a Alisha znów ma rodzinę. Nikt tu nie wejdzie, chyba że po moim trupie.

- Ale to nie jest normalne życie, Darren - stwierdziła Mace. - Nie uda ci się rozwinąć, jeśli będziesz bez przerwy martwił się o to, czy nie wylądujesz na ulicy, czy będziesz miał co do garnka włożyć albo czy ktoś zaraz nie wpakuje ci kulki w głowę.

- Potrafię o siebie zadbać.

Mace zwróciła się do Alishy.

- Zostałaś wybrana spośród kandydatów, których akta przedstawiła opieka społeczna.

- Dlaczego ja?

- Udało ci się zaopiekować dzieckiem specjalnej troski i odstawić narkotyki po tym, jak straciłaś oboje rodziców. W tej chwili pracujesz na pół etatu w czterech miejscach, jednocześnie zapewniając zaspokojenie podstawowych potrzeb Tylera dzięki

uporowi i sporej pomysłowości. A dopiero co skończyłaś szesnaście lat. Moim zdaniem jesteś wyjątkowa. – Mace rozejrzała się po maleńkim mieszkanku. – No i zdobyłaś to lokum wykorzystując sfalszowane dokumenty, z których wynikało, że masz osiemnaście lat i możesz legalnie podpisać umowę.

Alisha się przestraszyła.

– Musiałam. Po śmierci babci przyszli jacyś ludzie i wykopali nas z jej mieszkania. Potem spaliliśmy w pudle w zaułku przy Bladensburg Road. To nie miejsce dla dziecka. No i Darrena nie było.

Brat wziął dziewczynę za rękę.

– Ale już jestem, siostrzyczko. Zaopiekuję się tobą i Tylerem.

Mace spojrzała na Darrena. Nie miała pojęcia, co z nim zrobić.

– Nie możesz opiekować się nimi, rabując przechodniów. W ten sposób szybko wrócisz do więzienia. Już byś tam trafił, gdybym była gliną.

Mężczyzna odwrócił się w jej stronę.

– Wynoś się stąd!

– Jeśli znów pójdziesz siedzieć, co będzie z Alishą i Tylerem? Psychol będzie mógł tu przyjść w każdej chwili. I co wtedy?

Darren zaczął coś mówić, ale zamilkł i wbił wzrok w podłogę. Mace mówiła dalej.

– Alisha, tak wygląda nasza propozycja.

– Ufasz temu całemu profesorowi? – spytał nagle Darren.

– Tak. I wiem, że naprawdę mu zależy.

– Niby dlaczego chce pomagać takim jak my?

Uważnie dobierając słowa, Mace wyjaśniła:

– Można powiedzieć, że tworzy własny gang.

Wściekłość zniknęła z twarzy mężczyzny.

– I to on będzie bossem?

- Tylko do czasu, kiedy staniesz na własnych nogach - odpowiedziała Mace.

Darren popatrzył na siostrę.

- To brzmi za pięknie, żeby mogło być prawdziwe. Brakuje tylko, żeby wbiegł tu jakiś grubas wymachując czekiem na dużą sumę.

- Darren, żeby była jasność - nie wiedzieliśmy o tobie. Nie wiem, czy propozycja obejmuje również ciebie.

Alisha wstała.

- Na nic się nie zgodzę, jeśli Darren nie będzie brał w tym udziału.

- Czekaj, czekaj, siostrzyczko - prędko wtrącił się mężczyzna. - Trzeba to przemyśleć.

Mace wstała, Roy poszedł za jej przykładem. Kobieta stwierdziła:

- Nie musicie decydować się już teraz. Decyzja należy do was. Mamy też spotkania z innymi kandydatami.

Darren spojrzał na nią badawczo.

- Czyli jeśli Alisha się nie zgodzi, profesor weźmie na jej miejsce kogoś innego?

- Taki jest plan. Na początek wytypowaliśmy dziesięć osób.

- Ile mamy czasu do namysłu? - szybko spytała Alisha.

- Tydzień.

Dziewczyna zaczęła coś mówić, ale Darren jej przerwał i zwrócił się do Mace.

- Powiedz swojemu szefowi, że Alisha się zgadza.

- Jeśli ty też weźmiesz w tym udział? Muszę to zaznaczyć.

- Nie. O mnie niech się nie martwi. Chodzi tylko o Alisę i Tylera.

- Darren! Nie wiesz, co mówisz! - krzyknęła dziewczyna.

Mężczyzna popatrzył na nią.

- Dam sobie radę. Zawsze dawałem.

- Ale nie masz tu żadnego wsparcia. Dupki z tego budynku już robią z tobą, co chcą.

- Powiedziałem, że dam sobie radę.

- Ale Darren...

Mężczyzna odwrócił się z powrotem do Mace.

- Powiedz mu, że Alisha weźmie w tym udział. Tyler też. Koniec rozmowy.

- W porządku. - Mace spojrzała na chłopca, który przyglądał się rozmowie ze swojego kącika i po raz pierwszy od dawna poczuła, że gardło się jej ściska.

- W Georgetown mają naprawdę dobrych lekarzy. Zajmą się twoim synkiem.

Alisha skinęła głową.

- Zgoda - powiedziała cicho.

Mace ponownie zwróciła się do Darrena.

- Myślałam, że cię rozgryzłam, ale się myliłam. A prawie nigdy nie myślę się w takich sprawach.

- Słuchaj no, jeśli Aliszę albo Tylera spotka coś złego, będziesz miała ze mną do czynienia - stwierdził mężczyzna, po czym poszedł do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Roy i Mace wyszli z mieszkania. Nie przeszli jeszcze trzech metrów, kiedy podbiegła do nich Non. Kobieta wyglądała na przerażoną.

- Musicie stąd zniknąć, i to zaraz!

- Co się stało, Non? - spytała Mace. - Jerome wkroczył na wojenną ścieżkę?

- Żeby tylko. Psychol dowiedział się, że rozmawialiście z Alishą. Idzie tu. Chyba myśli, że jesteście z policji i że Alisha

naopowiadała Bóg wie czego.

- Czy będzie chciał ją skrzywdzić? - szybko spytała Mace.

- Nie wiem. Ale nie spodziewajcie się po nim niczego dobrego.

Mace chwyciła Roya za ramię.

- Chodź, tędy. - Poprowadziła go korytarzem do drugich schodów, którymi umknęli, mijając ćpunów łykających tabletki lub dających w żyłę i jednego faceta palącego jointa podczas uprawiania seksu ze swoją panną.

- A co z Alishą i Tylerem? - z niepokojem spytał Roy.

- Próbuję dodzwonić się do Beth, ale nie mam tu zasięgu.

Dotarli na parter, z rozmachem otworzyli drzwi, przebiegli krótkim korytarzem, wypadli na zewnątrz. I się zatrzymali.

Przed budynkiem stało kilkunastu mężczyzn. Najwyższy z nich zrobił krok do przodu. Miał szeroki uśmiech i wzrok człowieka nawykłego do wydawania poleceń.

Roy spojrzał na Mace.

- Proszę, powiedz mi, że to nie Psychol.

Mace nie odpowiedziała. Nie spuszczała wzroku z podchodzącego do nich mężczyzny.

60

Psychol okrążył ich trzy razy, kiwając głową, uśmiechając się i spoglądając to na swoją obstawę, to na Mace i Roya. Był nieco wyższy od prawnika, miał na sobie czarne dżinsy, śnieżnobiałą koszulkę i adidas. Na szyi migotało mu kilka złotych łańcuchów, a bardzo krótko przycięte włosy ciasno okalały jego głowę. Miał żylaste, muskularne i mocno wytatuowane ramiona. Mace zauważyła, że jego źrenice są normalnej wielkości, a na rękach nie widać śladów po wkłuciach. Dobrze wiedziała, że narkomani nie mieli szans na przetrwanie w tej branży, w której należało podejmować szybkie i racjonalne decyzje, by pozostać przy życiu.

Po trzecim okrążeniu mężczyzna zatrzymał się i stanął przed nimi.

- Jak się miewa Alisha? - spytał zaskakująco wysokim głosem.

- W porządku.

- Podobno jesteście z opieki społecznej. Dlaczego w to nie wierzę?

- Nie jesteśmy z policji - odpowiedziała Mace.

- No, no, paniusia przeszła od razu do sedna. Jest niegłupia, więc rzeczywiście nie może być gliną. - Członkowie gangu się roześmiali, a Psychol mówił dalej. - W takim razie ja zabawię się w gliniarza, zgoda? - Nie czekając na odpowiedź, wyprostował się i zrobił poważną minę.

- Czy macie przy sobie coś, co mogłoby mnie zainteresować?

Kilku gangsterów wybuchnęło głośnym śmiechem.

- Nie, chyba że masz coś przeciwko pękowi kluczy i dwóm telefonom - powiedziała Mace.

- Dwóm?

- Tak, jeden do spraw osobistych, drugi do zawodowych.

Psychol kiwnął dłonią i dwaj z jego ludzi podeszli dokonać przeszukania. Jeden z nich uszczypnął Mace w pupę, za co odwdzięczyła mu się, wbijając mu łokieć w brzuch.

- Ho, ho, ognista panienka - stwierdził Psychol. - Lepiej się cofnij, Czarny, zanim naprawdę mocno ci przywali - powiedział do zgiętego wpół mężczyzny. Uważnie przyjrzał się Mace.

- Nie macie odznak ani broni, ale to nie dowodzi, że nie jesteście glinami. Może pracujecie pod przykrywką.

- Przecież nawet agenci pracujący pod przykrywką noszą broń - stwierdził Roy. - Szczególnie tutaj.

Mace cicho jęknęła, a Psychol odwrócił się do Roya.

- Nie podoba ci się tu, białasie?

Roy przełknął kulę, która nagle wyrosła mu w gardle.

- Tego nie powiedziałem.

- Nie musiałeś nic mówić. Czuję to. - Spojrzał na Mace. - To twoja pani? - Przejechał językiem po wargach i uważnie przyjrzał się kobiecie. - Niebrzydka.

- Nasza współpraca to relacja biznesowa - wyjaśnił Roy i natychmiast pożałował tych słów.

- Relacja biznesowa! - wykrzyknął Psychol. - Relacja biznesowa?

- Odwrócił się do swoich ludzi. - On ma relację biznesową z tą laską!

Wszyscy się roześmiali, a Psychol w mgnieniu oka odwrócił się

z powrotem do Mace.

- W takim razie, panie relacja biznesowa, nie miałbyś nic przeciwko temu, jeśli zrobię tak? - Wyciągnął rękę, by pomacać Mace po piersi, ale Roy chwycił go i odepchnął.

- Owszem, miałbym.

Gangsterzy umilkli.

Psychol spojrział na trzymającą go rękę Roya, a później na jego twarz, nie przestając się uśmiechać.

- Naprawdę tego chcesz, białasie?

- Nie. I odpuszczę ci, jeśli zabierzesz od niej łapy.

- Ty mi odpuścisz? - Psychol zadał cios tak szybko, że Mace usłyszała jego dźwięk, zanim zobaczyła ruch pięści. Roy zatoczył się do tyłu, chwytając się za twarz, i upadł na ziemię. Z nosa lała mu się krew, a oko już zaczynało puchnąć.

Mace szybko przesunęła się przed niego.

- Słuchaj, rozmawialiśmy z Alishą o tym, jak można pomóc jej oraz jej synkowi. To wszystko.

Psychol odsunął ją na bok.

- Wybacz, suko, ale jeszcze nie skończyłem z tym dupkiem.

Kiedy zrobił krok w stronę Roya, Mace sięgnęła do kieszeni po telefon z paralizatorem, ale zanim udało jej się go wyciągnąć, dwóch gangsterów chwyciło ją i wykręciło jej rękę za plecy.

Psychol kopnął Roya w brzuch. Prawnik się skulił.

Mace krzyknęła:

- Już nas tu nie ma. Wynosimy się natychmiast.

Psychol odwrócił się w jej stronę.

- To ja powiem, kiedy możecie się wynieść, i ja was pożegnam. Może wyjdziecie stąd na własnych nogach, może nogami do przodu. To zależy ode mnie!

Odwrócił się z powrotem do Roya i wymierzył kopniaka w jego

klatkę piersiową. Prawnik w mgnieniu oka przerzucił go nad sobą i powalił na kolana, wsunął mu ręce pod ramiona i mocno chwycił za głowę. Krew z rozbitego nosa mężczyzny kapiała na czaszkę gangstera.

Roy powiedział:

- Skręć w prawo z siłą trzydziestu kilogramów, a pęknie ci kręgosłup. I nic nie możesz zrobić, kutasie. Jeśli któryś z twoich ludzi wyciągnie broń, już nie żyjesz.

Psychol klęczał bezradnie z umięśnionymi rękami odstającymi od boków.

- Zabiją twoją kobietę. Wystarczy, że wydam rozkaz.

- I tak nie wyjdziemy z tego żywi. Możemy przynajmniej zabrać cię ze sobą.

- Co to za bzdury z tym obrotem?

Jeden z gangsterów zrobił krok do przodu.

- To technika stosowana przez piechotę morską. Oni w ten sposób zabijają wartowników. To naprawdę działa, szefie - dodał po cichu.

Psychol spojrzał na niego.

- Byłeś w piechocie morskiej, Jaz?

- Mój starszy brat był. Opowiadał mi o tym.

- Jesteś komandosem? - Psychol spytał Roya.

- Czy to ważne?

- Jeśli mnie zabijesz, oboje zginiecie. Jeśli mnie nie zabijesz, wykończę was oboje. Co ty na to?

Roy spojrzał na ludzi Psychola.

- A co byś powiedział na inne rozwiązanie?

- Co?

- Na rozstrzygnięcie tego sporu po męsku.

- Na noże? Nie jesteś chyba taki głupi. Pokroiłbym cię na

plasterki.

- Powiedziałem „po męsku”.

- Czyli jak?

- Mecz koszykówki. Jeden na jednego. Widzę tam boisko i piłkę.

Mace odwróciła głowę i spojrzała na pozbawioną siatki obręcz i starą piłkę leżącą pod koszem.

- Koszykówka? - warknął Psychol. - Myślisz, że jak jestem czarny, to muszę grać w kosza?

Roy spojrzał na jego nogi.

- Nie. Ale nosisz takie same buty jak reprezentanci Uniwersytetu Karoliny Północnej - i widzę, że nie tylko dla szpanu. Mają czarne rysy na bokach i podszwach, które mogły powstać tylko podczas gry na asfalcie. Ze sposobu, w jaki się układają, widać nawet, że wolisz grać pod koszem niż rzucać z daleka.

- A więc znasz się na koszykówce?

- Jestem jej fanem. Umowa stoi?

- Jasne, koleś, nie ma sprawy.

Roy mocniej zacisnął ręce na szyi mężczyzny.

- Nie wciskaj mi kitu.

- Nie wciskam.

- To dobrze - stwierdziła Mace. - Bo teraz, jeśli nie zrobisz tego, co obiecałeś, stracisz szacunek całej bandy. Może nie okażą ci tego dzisiaj ani jutro, ale pewnego dnia się o tym przekonasz. Co to za szef, co woli od razu zastrzelić białasa, zamiast zmierzyć się z nim pod koszem? Jasne, tak jest łatwiej. Już pozwoliłeś mu powalić się na ziemię. I możesz zgrywać twardziela, ale póki co - to ty jesteś na kolanach, a on decyduje, czy przeżyjesz. Mógłby cię zabić od razu, ale tego nie zrobił. Okazał ci szacunek i dał możliwość załatwienia sprawy po męsku.

Mina Psychola rzedła, kiedy po kolei patrzył na swoich ludzi. Żaden nie chciał spojrzeć mu w oczy.

- No to jak będzie? - spytała Mace.

- Gramy do jedenastu, punkt za kosz, wygrana dwoma punktami - warknął Psychol. - Moja wygrana. A teraz puść mnie, żebym mógł ci skopać tyłek.

Roy powoli rozluźnił chwyt, a Psychol wstał, dokładnie otrzepał dżinsy na kolanach, i zmierzył go wzrokiem.

- Czy ty chociaż umiesz grać?

- Trochę.

- W tej okolicy „trochę” to za mało.

- Rzućmy monetą, żeby ustalić, kto zaczyna.

- Możesz sobie zacząć. Będzie to jedyny raz, kiedy dotkniesz tej cholernej piłki. Aha, i jeszcze jedno. Jeśli wygrasz, puszcę was wolno. Jeśli ja wygram, oboje zginiecie.

61

Psychol odebrał Royowi piłkę, uderzając go ramieniem w brzuch i powalając na asfalt, a później wykonał wsad i zdobył pierwsze punkty. Podszedł do prawnika, który powoli wstawał na nogi, i mocno kopnął go w goleń.

- Jeden do zera.
- To był faul - zauważył Roy.
- Na tym boisku nie ma fauli. Jest tylko męska walka.
- Twoja piłka.

Roy grał przeciwko wszelkim możliwym rodzajom przeciwników zarówno na uniwersyteckim boisku, jak i na ulicy. Większość graczy miała jedno popisowe zagranie, ci najlepsi - dwa, a ścisła czołówka - trzy. Pozwolił, by Psychol przebiegł obok, wbił mu łokieć w udo i wrzucił piłkę do kosza.

„To było jedno zagranie” - pomyślał Roy.

Psychol ponownie zdobył punkt, wykorzystując inne zagranie.

To było drugie.

Zerknął na Mace, która wpatrywała się w niego z niepokojem, puścił do niej oko i skupił się na obronie, przykucając na szeroko rozstawionych nogach i rozkładając ręce.

Psychol znów podbiegł i zdobył punkt pierwszym zagranie. A raczej - zdobyłby, gdyby Roy nie zablokował tak mocno, że wyładował na wznak na asfalcie.

- Moja kolej - stwierdził Roy, chwytając piłkę i zaczął odbijać ją w przód i w tył pomiędzy stopami, nawet na nią nie patrząc.

Psychol zaczął go kryć, więc Roy cofnął się i rzucił z sześciu metrów.

- Punkt dla mnie - stwierdził.

Minutę później Roy rzucił stojąc tyłem do tablicy, potem jeszcze raz z odchylenia.

- Trzy do trzech.

Po pięciu minutach, mimo że Psychol brutalnie faulował przy każdej możliwej okazji, Roy prowadził sześcioma punktami i nawet się nie spocił, podczas gdy jego przeciwnik ledwo trzymał się na nogach.

Roy wykonał piękny drybling ze zwodem, po którym Psychol rozpaczliwie próbował się cofnąć i upadł na asfalt. Przebiegł obok gangstera i wsadził piłkę do kosza.

- Dziesięć - stwierdził. - Jeszcze jeden punkt.

Chwycił piłkę i zaczął kozłować między nogami, obserwując przeciwnika. Psychol był upokorzony, wyczerpany i wściekły. Roy nie pozwolił mu nawet przegrać z honorem.

Pieprzyć to.

Zakozłował do tyłu, zatrzymał się, wycelował i rzucił z odległości ośmiu metrów. Piłka wpadła do kosza, nie dotykając nawet obręczy, później przez chwilę odbijała się o asfalt i zatrzymała się pod słupem.

- Jedenaście. Przegrałeś. Idziemy stąd. - Podszedł do Mace.

Psychol skoczył do przodu i chwycił pistolet jednego ze swoich ludzi. Ciężko dysząc wycelował broń w plecy Roya.

Mężczyzna odwrócił się do niego.

- Masz jakiś problem?

Psychol otarł pot z czoła i spytał:

- Gdzieś ty się nauczył tak grać?
- Na boisku identycznym jak to.
- Okłamałeś mnie. Powiedziałeś, że umiesz grać tylko trochę.
- Wszystko jest względne. Może to ty nie grasz tak dobrze, jak myślałeś.

Psychol odwiódł kurek pistoletu.

Mace wyrwała się trzymającym ją mężczyznom i weszła pomiędzy Roya a lufę pistoletu.

- Wszyscy tu obecni słyszeli, jakie ustaliłeś zasady. Jeśli wygra, pozwolisz nam odejść. Sam tak powiedziałeś.

Psychol zmierzył wzrokiem swoją bandę i spojrział z powrotem na Mace, powoli opuszczając broń.

- Jazda stąd, ale już!
- Żeby była jasność, naprawdę nie jesteśmy z policji. Współpracujemy z opieką społeczną. Przyjechaliśmy tu tylko dlatego, że chcemy pomóc Alishy i jej synkowi. Nie mieszajcie ich w to.

Psychol odszedł bez słowa. Reszta bandy szybko podążyła za nim.

Kiedy Mace została sam na sam z Royem, powiedziała do niego:

- To było niesamowicie twardzielskie.
- Czy uznasz mnie za mięczaka, jeśli teraz zmoczę się w spodnie?
- Cokolwiek zrobisz, i tak będę cię podziwiał.
- A co z Alishą i Tylerem? Myślisz, że zostawi ich w spokoju?
- Możesz uznać, że to głupie, ale nie ufam nikomu, kto każe na siebie mówić Psychol. Poproszę Beth, żeby zabrała ją stąd razem z synkiem.
- I bratem?
- Chyba tak.

- Możemy pojechać na następne rozmowy - stwierdził z wahaniem.

- Myślę, że to może poczekać, wracajmy do Abe'a.

- Jest w domu?

Mace starła rękawem krew z twarzy Roya.

- Nie obchodzi mnie, czy jest w domu. Muszę doprowadzić mojego bohatera do porządku.

Wzięła go za rękę i poprowadziła z powrotem do hondy.

Nikt nie naprzykrzał im się po drodze.

62

Mace, która siedziała na brzegu jacuzzi w spa w domku gościnnym Altmana, przyłożyła do nosa leżącego w wannie Roya woreczek z lodem.

- Bardzo boli?

- Jakby był złamany. Ale tak samo bolą mnie noga, kostka i żebra.

- Przynajmniej zeszła ci opuchlizna z oka. Chcesz jechać do szpitala?

- Nie, nic mi nie będzie, jeśli tylko nie zadam się znowu z nikim o ksywce Psychol.

- Chciałam zamówić chińszczyznę, ale kiedy zajrzałam do głównego domu sprawdzić, czy mają jakieś ulotki, Herbert się oburzył. Przygotowuje teraz chińskie danie tylko dla nas.

- To bardzo miłe z jego strony. Gdzie Altman?

- Nie ma bentleya, więc pewnie pojechał coś załatwić.

Roy przyłożył woreczek z lodem pod oko.

- Udało ci się skontaktować z siostrą?

- Wysłała ludzi po Alishę i Tylera. Zawieźli ich do ośrodka opieki społecznej.

- A jej brat?

- Nie zastali go. Martwię się.

- Że spróbuje odegrać się na Psycholu?

- Tak. I nie przeżyje tego.

Usiadła na skraju jacuzzi.

- Wiesz, dlaczego zabrałam cię dzisiaj ze sobą?

- Żeby było śmieszniej?

- Nie. Żeby mieć cię na oku.

Roy odłożył woreczek i obrócił się, by na nią spojrzeć.

- By mnie chronić?

- Po tym, jak ci kolesie mnie zaatakowali, wiedziałam, że sprawdzą twoje tablice rejestracyjne i dowiedzą się, jak się nazywasz. Martwiłam się. A tymczasem wpłatałam cię w rozgrywkę na śmierć i życie z dupkiem o ksywie Psychol. Prawdziwy geniusz ze mnie.

Roy chwycił ją za rękę.

- Hej, przecież nie wiedziałaś, że tak będzie. I nieźle się spisaliśmy, co?

- Ty nie spisałeś się nieźle, tylko fantastycznie.

- Chyba masz na mnie dobry wpływ.

Popatrzyli na siebie. Mace pogłaskała Roya po głowie, on ją po ramieniu.

- Masz ochotę się zamoczyć, Mace? - spytał cicho, wpatrując się w jej oczy.

Usłyszeli hałas na dole. Mace skoczyła na równe nogi.

- To pewnie Herbert. Przynieść jedzenie tutaj czy chcesz zjeść w oszałamiającym ogrodzie?

Roy puścił jej rękę.

- Oszałamiający ogród brzmi nieźle.

- Nie śpiesz się, zadbam, żeby jedzenie nie wystygło.

Mace zbiegła po schodach, a Roy powoli zanurzył się z powrotem w wodzie.

Tuż po tym, jak Beth wróciła do biura po spotkaniu w O4,

zadzwoił jej telefon. Podniosła słuchawkę.

- Komendant - powiedziała.

- Proszę czekać na połączenie z tymczasowym prokuratorem okręgowym Moną Danforth - dobiegł przesadnie oficjalny kobiecy głos.

Beth stuknęła palcami w blat biurka czekając, aż Mona podniesie słuchawkę. To była ulubiona sztuczka pani prokurator. Zapewne stała i patrzyła, jak sekretarka się łączy, a później leniwym krokiem poszła do swojego biura, tylko po to, żeby Beth musiała na nią czekać.

Minęło trzydzieści sekund i pani komendant już miała odłożyć słuchawkę, kiedy zabrzmiał w niej kobiecy głos.

- Mona Danforth.

- Zdążyło już do mnie dotrzeć, z kim rozmawiam. O co chodzi?

- Odkryłam coś dziwnego w sprawie Meldona.

- Możesz mówić jaśniej?

- CIA zaprzecza, że wie cokolwiek o sprawie.

- Dziwi cię to?

- Sama kazałaś mi popytać, a potem się do ciebie odezwać.

Beth patrzyła na biurko i starała się uporządkować milion rzeczy, które wciąż miała do zrobienia po tym, jak kilkanaście razy została zmuszona do zmiany planów. Przede wszystkim myślała jednak o planie Mony, żeby zaszkodzić jej i Mace.

- Słucham.

- Sprawdziłam sprawy, które prowadził Jamie. Nie pracował nad niczym, przez co ktoś mógłby go zabić i wrzucić ciało do śmietnika.

- Ale przedtem był obrońcą w Nowym Jorku, prawda?

- Ściśle biorąc, był adwokatem mafii. Ale ludzie, których reprezentował, nie żyją, są w więzieniu lub zmienili branżę.

Jedyny facet, który mógł żywić do niego urazę, jest objęty programem ochrony świadków, a prowadzący go szeryfowie zwykle nie pozwalają swoim podopiecznym na popełnianie morderstw.

- Czyli CIA twierdzi, że nie brała udziału w śledztwie w sprawie zabójstwa Jamiego. Załóżmy, że tym razem mówią prawdę. Jeśli tak - kto prowadzi dochodzenie? Słyszałam, że polecenie wycofania się ze sprawy mogło wyjść z Białego Domu, ale później rozmawiałam z kimś, kto temu zaprzeczył.

- Z kim?

- Wybacz, Mona, gdybym zaczęła mówić o moich źródłach, szybko by wyschły.

- Dobra, rozumiem.

- Mnie odwołał stamtąd burmistrz, ale kiedy spytałam go, kto wydał takie polecenie, milczał jak zaklęty.

- Myślisz, że Biuro powiedziało nam prawdę o tej sprawie?

- Obie znamy dyrektora i jego najważniejszych współpracowników. Do tej pory zwykle nie kłamali. Dlaczego pytasz?

- Dostałam wiadomość od agenta z prośbą o spotkanie w sprawie Meldona.

- Dlaczego ty?

- Beth, jestem tymczasowym prokuratorem okręgowym, a Jamie dla mnie pracował.

- Ale, z tego co pamiętam, śledztwa w sprawie zabójstw popełnionych w Waszyngtonie wchodzą w zakres moich kompetencji. Mona, muszę najpierw złapać tych cholernych bandytów, żebyś mogła ich oskarżyć.

- Jeśli chcesz się z nim spotkać, nie ma problemu. Ja jestem zawałona robotą. A kiedy odesłałam go do ciebie, nie miał nic

przeciwko temu. Myślę, że w gruncie rzeczy i tak chciał z tobą pomówić.

Beth przysunęła sobie kawałek kartki.

- Zgoda. Jak się nazywa?

- Agent specjalny Karl Reiger.

63

Słońce już zachodziło, kiedy kończyli posiłek. Herbert podał kolację w pawilonie stylizowanym na starorzymską ruinę, stojącym w pięknym ogrodzie wodnym z sadzawką, wodospadem i setkami kwiatów.

- Ciekawe, czy Herbert wynajmuje to miejsce na przyjęcia - stwierdził Roy, wkładając pałeczkami do ust ostatni kawałek pikantnej wołowiny.

- Czy gdybyś pracował tu na pełen etat, przyszłoby ci w ogóle do głowy, żeby odejść? - spytała Mace, sącząc chińskie piwo.

Roy spojrzał na nią.

- Słuchaj, kiedy cię poprosiłem, żebyś weszła ze mną do wanny.

- To co? - Mace weszła mu w słowo.

- Ech, nic.

Kobieta zaczęła mówić łagodniejszym tonem:

- Słuchaj. Już dawno tego nie przerabiałam. Ostatnich kilka lat mocno dało mi w kość. Było mi ciężko stworzyć normalny związek. Cholera, może nigdy tego nie potrafiłam ze względu na pracę.

- Rozumiem to.

- Ale lubię się z tobą spotykać. I doceniam to, ile dla mnie ryzykujesz.

- Mace nagle wychyliła się do przodu, plamiąc serwetkę

pałeczkami.

- Biuro Diane Tolliver.

- Chcesz tam wrócić? Dlaczego?

- Coś się stało, Roy. Ci faceci zaatakowali mnie tuż po tym, jak stamtąd wyszłam.

- Skąd miałiby wiedzieć, że tam byłaś? Poszedłem z tobą tylko ja, a ja nikomu nie powiedziałem.

- Musimy się też dostać do domu Diane.

- Czy policja nie ogrodziła go taśmą?

- To tylko taśma.

- To aż przestępstwo. A właściwie kilka przestępstw. Możesz wrócić za to do więzienia.

Twarz Mace zastygła w maskę.

- Przez cały czas jestem w więzieniu, Roy, tyle że nikt poza mną nie widzi cholernych krat.

- Czego zamierzasz szukać w jej domu?

- Chciała, żebyśmy porozmawiali z Andre Watkinsem. Bandyci nas ubiegli, więc musimy uzyskać te informacje z innych źródeł.

- Czy nie powinniśmy zdać się na policję?

- Jakies dupki próbowały mnie zabić. Nie odpuszczę tego.

- Nie wiemy, czy to ma związek z tym, co spotkało Diane.

- Tak mówi mi przeczucie, a ja go słucham.

- Nigdy się nie myli?

- W istotnych sprawach - nigdy.

Roy spojrział na wielką halę sportową, którą pokazywał im Altman, stojącą niedaleko domku dla gości.

- Co byś powiedziała na rundkę kosza?

- Mecz z Psycholem ci nie wystarczy?

- Zakładam, że tym razem atmosfera byłaby bardziej przyjazna.

- Nigdy nie rób takich założeń. Pamiętaj, jak opisałeś mój styl

gry? Potrafię faulować nie gorzej od tych gangsterów. Ale nie zabrałam ze sobą stroju do koszykówki.

- Założę się, że Altman ma zapas sportowych ciuchów.

- Co proponujesz?

- Jeden na jednego?

- Widziałam, co zrobiłeś Psycholowi. Za mocny jesteś dla mnie.

- Oj, zgódź się. Dam ci fory.

Mace zamilkła na chwilę.

- To właśnie chciałam usłyszeć. A może zamiast tego zagramy w wisielca?

- W wisielca?

- Tak. Znasz tę grę?

- Chyba kiedyś w nią grałem.

- Żeby była jasność, przez ostatnie dwa lata życia trenowałam ją codziennie. Wciąż jesteś chętny?

- Jasne.

- Nie bądź taki pewny siebie. O co gramy?

- Jak to?

- Nie zamierzam się zgrzać i spocić bez celu.

- Masz jakiś pomysł?

- Nagroda w rodzaju masażu, wykonywanego nago przez pokonanego, stanowczo odpada.

- Obiecuję, nie będzie żadnej nagości ani dotykania.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Mace, zaufaj przeczuciu.

- Dobra. Przeczucie mi mówi, że powinnam przyjąć to, co zaproponujesz.

- Zgoda. Jeśli wygrasz, będziemy dalej prowadzić śledztwo bez udziału policji. Jeśli ja wygram, pójdziemy do gliniarzy, opowiemy o wszystkim i zostawimy im prowadzenie tej sprawy.

Mace spojrzała na niego z kamienną twarzą.

- Chyba nie zlekceważysz przeczucia? - zapytał.

- Spodziewałam się po tobie czegoś więcej, Roy.

- Jeszcze mi za to podziękujesz. Gotowa?

Mace wstała.

- Lepiej daj z siebie wszystko, Kingman.

64

- Czuję się, jakbym był znów na studiach - stwierdził Roy. Razem z Mace przypatrywali się z podziwem hali, którą Abe Altman zbudował za pieniądze od Warrena Buffetta.

- Grałeś w dużej drużynie uniwersyteckiej. Ja występowałam tylko w zespole licealnym w lidze katolickiej, nigdy nie mieliśmy pieniędzy. To miejsce to dla mnie koszykarski raj.

Roy wskazał na krokwie.

- Ma nawet kopie transparentów z NCAA z logo drużyn, które wygrały w Maryland.

Przez kilka minut oglądali basen, pełnowymiarową szatnię z prysznicami, sauną suchą i parową oraz siłownią wyposażoną w najnowszy sprzęt. W jednym z pokoi leżały stroje sportowe, które wyglądały na nieużywane, a pod jedną ze ścian stały rzędy sportowych butów.

- To spełnienie marzeń każdego sportowca - stwierdził Roy.

- Zabierajmy się do rzeczy. Nie mogę się doczekać, kiedy skopię ci tyłek - stwierdziła Mace.

- I kto tu jest zbyt pewny siebie?

- Musisz naprawdę żałować, że się zgodziłeś - stwierdziła beznamiętnym tonem.

- Chcę, żebyśmy wyszli z tego żywi. Czy to się nie liczy?

Uderzyła go ramieniem.

- Jeśli to nazywasz życiem.
- Co?
- Takie tchórzostwo.
- W takim razie dlaczego zgodziłaś się na zakład?
- Już mówiłam. Naprawdę chcę skopać ci tyłek.

Znaleźli dużą salę pełną najróżniejszego sprzętu sportowego, od kijów bejsbolowych do rękawic bokserskich. Na stojakach leżało co najmniej pięćdziesiąt piłek do koszykówki, z herbami wielu drużyn uniwersyteckich.

Mace wybrała jedną z nich.

- Przez wzgląd na dawne czasy.

Roy zobaczył na piłce znajome logo Kawalerzystów z Uniwersytetu Wirginii.

Poszli na boisko, gdzie Roy pomachał niewidzialnemu tłumowi. Mace mocno rzuciła piłkę, mierząc w jego brzuch. Z łatwością złapał ją, nim dosięgła celu.

- Jak się grało przed tysiącami ludzi, panie Supergwiazdo? - spytała.

- To był najlepszy okres w moim życiu.

- Dni chwały?

- Praca prawnika jest dobrze płatna, ale nie mogę powiedzieć, abym każdego ranka dziękował Wszechmogącemu za to, że mogę czynić bogatych jeszcze bogatszymi. Myślę, iż mam to samo, co ty, kiedy tęsknisz do pracy w policji.

- To sobie odpuść. Wróć do pracy jako obrońca z urzędu albo zatrudnij się w biurze obrońcy publicznego.

- Łatwiej powiedzieć niż zrobić.

- Tylko jeśli sam to sobie utrudnisz.

- Postaram się o tym pamiętać. Panie mają pierwszeństwo. - Podał Mace piłkę.

- Odpuścimy sobie konkurs wsadów?

- Jak sobie życzysz.

Mace ustawiła się pięć metrów od kosza, po jego prawej stronie, pod sporym kątem. Wycelowała i wrzuciła piłkę do kosza tak, że nawet nie dotknęła obręczy.

Roy zaklaskał.

- Jestem pod wrażeniem. Nawet nie zrobiłaś rozgrzewki.

- Wręcz przeciwnie. Jadłam przecież makaron w ostrym sosie. A ten twój głupi zakład rozgrzał mnie jeszcze bardziej, aż do czerwoności.

- Mace, naprawdę myślę, że jeszcze mi podziękujesz za.

- Rzucaj!

Roy ustawił się i rzucił. Piłka i tym razem nie dotknęła obręczy.

Mace zdobyła punkt odbijając piłkę od tablicy. Rzucała przy tym z odległości sześciu metrów, stojąc pod kątem czterdziestu pięciu stopni od kosza.

- Czy jest jakieś miejsce, z którego nie trafiasz? - spytał.

- Będziesz musiał się przekonać.

Mężczyzna rzucił i znów nawet nie dotknął obręczy.

- No dobra, W dla ciebie - powiedziała Mace.

- O czym ty mówisz? Przecież trafiłem.

- Roy, ja odbiłam piłkę od tablicy, ty nie. Masz W. - Mężczyzna wpatrywał się w nią z otwartymi ustami.

- Co, myślałeś, że rzuciłam w taki sposób, bo inaczej nie dałabym rady z tej odległości?

Zabrała mu piłkę i rzuciła. Piłka nie dotknęła ani tablicy, ani obręczy.

- Dobra, mam W - potulnie stwierdził Roy.

- Owszem.

Po niemal godzinie gry, ponad osiemdziesięciu rzutach i bardzo

niewielu pudłach, każde z nich zebrało litery WISI-ELE.

Mace wycelowała i wrzuciła piłkę do kosza łukiem z odległości ośmiu metrów, odbijając ją od tablicy.

- Tak dla jasności. Muszę odbijać piłkę, czy wystarczy, jak wrzucę ją do kosza? - spytał Roy.

- Ułatwię ci zadanie, mięczaku. Rób, co chcesz.

Roy dwa razy zakozłował, wycelował i rzucił. Nie trafił nawet w obręcz. Mace schyliła się, podniosła piłkę i spojrzała na niego z otwartymi ustami.

- C - stwierdził Roy. - Przegrałem. Będziemy dalej sami pracować nad sprawą.

- Od początku zamierzałeś dać mi wygrać?

- Nigdy się tego nie dowiesz. Co teraz?

- Jesteś pewien? - Podała mu piłkę. Roy odrzucił ją z powrotem.

- Nie pytaj o to więcej. I nie roztkliwiaj się przypadkiem - chociaż wątpię, czy byś potrafiła.

- Dobra. Tolliver wyszła w piątek z biura około siódmej. Tak wynika z zapisów z garażu. A wróciła na krótko przed dziesiątą.

- Ale mieszkała na południowym skraju starówki. Po co miałyby wyjeżdżać, zawracać i jechać z powrotem?

- Poprosiłam kogoś o przysługę i dowiedziałam się, że policja zdobyła rachunek z karty kredytowej. W piątek wieczorem Diane jadła kolację w Georgetown, w restauracji Simpsons. Znasz ją?

- To mała knajpka o przecznicy od M Street w kierunku rzeki. Jadłem tam kiedyś. Dobrze karmią. Czy Diane była sama?

- Nie. Z rachunku wynika, że podano dwa posiłki.

- Z kim tam poszła?

- Nie wiem.

- Czy policja nie sprawdziła tego u pracowników?

- Nie wiem. Póki co, aresztowali Kapitana.

- A jeśli okaże się, że jest niewinny?
- Będziemy o krok przed nimi. Ale najpierw muszę jeszcze wpaść w jedno miejsce.
- Gdzie?
- Do starego przyjaciela.

65

Tym razem Beth sama usiadła za kierownicą swojego radiowozu, ale kilku nieumundurowanych funkcjonariuszy w nieoznakowanym samochodzie czekało razem z nią na opuszczonym szkolnym parkingu. Pani komendant miała na sobie mundur i była uzbrojona w glocka 26. Taką miała politykę – jeśli mundur, to i broń. Do koszuli miała przypięte radio.

Zwykle czuła się, jakby każda z czterech gwiazdek, które miała na obojgu ramion, ważyła tonę. Było tak również dzisiaj, a umówione spotkanie mogło jeszcze bardziej utrudnić jej sytuację. Siedziała jednak spokojnie, wystukując na kierownicy rytm wypowiedzi, które słyszała w policyjnym radiu. Z przyzwyczajenia słuchała wezwań dyspozytora i odpowiedzi funkcjonariuszy. Sześć przecnic od miejsca, w którym się znajdowała, doszło do strzelaniny. W normalnych okolicznościach by tam pojechała. Dziś musiała czekać i wcale jej się to nie podobało.

Przestała stukać, kiedy zauważyła czarnego sedana wjeżdżającego na parking. Z daleka było widać, że to wóz FBI. Beth wiedziała, że kiedy tylko wjechał do O5, rozległy się okrzyki „Five-O” i „whoop-whoop”.

Wszystkie samochody FBI wyglądały, brzmiały, a nawet pachniały tak samo. Wiedziała, że dilerzy, gangsterzy i dziwki

cicho wycofali się w cień, by umożliwić przejazd federalnym, a później wrócili do swoich szemranych interesów. Sedan zatrzymał się obok jej samochodu. Opuściła się szyba po stronie kierowcy.

Beth najpierw zobaczyła legitymację i odznakę, później twarz.

- Agent specjalny Karl Reiger. - Za nią pojawiła się druga twarz. - Mój partner, Don Hope.

- Macie dokumenty z Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Danforth mówiła, że pracujecie w FBI - stwierdziła pani komendant.

- To nieporozumienie. Ludziom czasem się myli. Do niedawna pracowaliśmy dla FBI, teraz przydzielono nas do wyspecjalizowanej komórki Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego do spraw walki z terroryzmem.

- Wyspecjalizowanej komórki?

- Tak. Po jedenastym września powstało ich mnóstwo.

- Dobrze, porozmawiajmy.

- W pani biurze czy w naszym?

Beth otworzyła drzwi, skinęła głową obstawie i usiadła na tylnym siedzeniu samochodu agentów. Zamykając drzwi, powiedziała:

- Mona nie podała mi szczegółów. Byłabym wdzięczna, gdybyście wy to zrobili.

Reiger i Hope odwrócili się, by na nią spojrzeć. Reiger stwierdził:

- Muszę z góry uprzedzić panią, że zakres wyjaśnień będzie ograniczony.

- Nie to chciałam usłyszeć. Kiedy coś czytam, chcę widzieć wszystkie strony.

- Jak wszyscy musimy wypełniać pewne polecenia.

- Mówiliście, że jesteście wyspecjalizowani?
- To wspólna grupa robocza o wysokim stopniu poufności.
- To tylko inne sformułowanie na „Nie możemy tego zdradzić”.
- Ze względów bezpieczeństwa narodowego.
- Tej wymówki nie znoszę jeszcze bardziej. Kim byli faceci, którzy wykopali mnie z miejsca zbrodni?
- Należą do grupy roboczej.
- Pracuję w policji prawie dwadzieścia lat i nigdy wcześniej nie widziałam, żeby ktoś przejął dowodzenie pokazując cholerne prawo jazdy.
- Wcale nie podoba mi się to bardziej niż pani.
- Wątpię. Czy polecenie naprawdę wyszło z Białego Domu?
- Kto to pani powiedział? - ostro spytał Reiger.
- Nie mogę udzielać takich informacji. Nie jest pan upoważniony do ich otrzymania.
- Pani komendant, rozumiem pani irytację. Na pani miejscu czułbym się tak samo, ale ze względów bezpieczeństwa narodowego...

Beth mu przerwała.

- Nie pierwszy raz stykam się z zasadą „bezpieczeństwo narodowe ponad wszystko”. Ale nie podoba mi się, że jestem całkowicie odsuwana od śledztwa w sprawie zabójstwa popełnionego na moim terenie. Nie po to zapracowałam na odznakę i stanowisko, żeby ustępować miejsca facetom legitymującym się prawem jazdy.
 - Uważam, że Meldon został zabity przez terrorystów wewnętrznych - stwierdził Reiger.
- Beth pochyliła się do przodu.
- Terrorystów wewnętrznych? Jaki mógł mieć z nimi związek?
 - Pracował nad pewną sprawą. Pamięta pani człowieka, który

jakiś rok temu chciał wysadzić Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej za pomocą dwóch kilo semteksu i detonatora ukrytego w telefonie komórkowym?

- Romana Naylora? Jak mogłabym zapomnieć? To jeden z moich funkcjonariuszy z psem tropiącym zgarnął sukinsyna, zanim udało mu się zabić tysiąc dzieciaków ze Środkowego Zachodu, które przyjechały tam na wycieczkę.

- Meldon był prokuratorem w tej sprawie. Naylor miał zwolenników w różnych stanach. Należała do nich grupa Zjednoczonych Potomków Amerykańskich Patriotów. Łączy się ich z trzema zamachami bombowymi na obiekty federalne przeprowadzonymi w ciągu ostatnich dwóch lat. Naszym zdaniem to dla nich rozgrzewka przed atakiem, który będzie mógł się równać z jedenastym września. Po tym, jak przeprowadziliśmy przeciwko nim wspólną akcję z Biurem ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych, te świry zeszły do podziemia. Podejrzewamy, że trzech kumpli Naylora przyjechało do Waszyngtonu w zeszłym tygodniu, żeby wziąć udział w demonstracji przed sądem federalnym, w którym odbywa się jego proces. Później zniknęli.

- Chwileczkę. Mona powiedziała mi, iż sprawdziła, jakie sprawy prowadził Meldon i że nie pracował nad niczym, co mogłoby wyjaśniać zabójstwo.

- A czy pani jej ufa?

- Niespecjalnie.

- To dobrze, bo okłamałaby własną umierającą babcię, gdyby tylko mogło jej to pomóc w karierze. Potraktowaliśmy panią Danforth dość ostro i poprosiliśmy, żeby pozostawiła tę sprawę pani. Nie miała chyba nic przeciwko temu. Pani prokurator nie lubi brudzić sobie rączek.

- Rozumiem, ale dlaczego ją o to poprosiliście?
- Zdecydowanie wolimy kontaktować się z panią.
- Naprawdę sądzicie, że Meldon zginął z rąk kumpli Naylora?
- To całkiem prawdopodobne.
- Jak go zabito?

Hope podał jej pojedynczą kartkę papieru.

- To streszczenie raportu z sekcji zwłok. Strzał z broni przystawionej do potylicy, czyli egzekucja. Zabezpieczyliśmy pociski. Mają kaliber 40 mm, ale nie udało nam się dopasować ich do żadnej broni. Jego samochód znaleziono w zachodnim Maryland, jedyne odciski palców na nim należą do Meldona. Na miejscu zbrodni nie ma żadnych śladów. Wszystko odbyło się czysto i sprawnie, a zabójcy już dawno się ulotnili.

- Ale jeśli ci ludzie byli w Waszyngtonie, dlaczego mnie o tym nie powiadomiono? Dlaczego nie przydzielono Meldonowi ochrony?

- Jak mówiliśmy, były to niepotwierdzone przypuszczenia. A nawet, jeśli winni są ci trzej, jedyne podstawy do ich zatrzymania, jakie mamy, to spekulacje i przeczucia. Sądy nie patrzą przychylnie na takie dowody. Ale uważamy, że ci ludzie planują następną Oklahomę.

- Dlaczego zaryzykowali tak wiele, by zabić Meldona?

- Byli blisko związani z Naylorem, więc mogli działać z chęci zemsty. Poza tym po śmierci prokuratora proces się opóźni.

- Macie jakieś tropy dotyczące podejrzanych?

- Jeszcze nie. Ale pracujemy nad tym.

- Czy jeśli coś znajdziecie, dacie mi znać?

- Możemy poprosić o pozwolenie na to, pani komendant.

- Skoro nie chcecie mi nic powiedzieć, po co umówiliście się ze mną na spotkanie?

- Przedstawiliśmy pani naszą teorię w sprawie tożsamości zabójców Meldona. I podaliśmy tyle konkretnych informacji, ile mogliśmy. Proszę mi wierzyć, ciężko nam było wyrwać choćby to streszczenie wyników sekcji.

- Jeśli dacie mi zdjęcia tych trzech podejrzanych, zaczną ich szukać cztery tysiące policjantów.

- Wątpię, czy pozostali w mieście po dokonaniu zabójstwa.

- Może panów zdziwię, ale znam komendantów policji z innych miast. Mam nawet zaprzyjaźnionych agentów w FBI.

- Kontaktowaliśmy się z nimi.

- W takim razie dlaczego chcieliście się ze mną spotkać?

- Z zawodowej uprzejmości - wyjaśnił Reiger, a po chwili dodał.

- No i pani wysoko postawiony kolega prosił nas o udzielenie pani informacji.

Beth nie musiała się długo zastanawiać nad odpowiedzią.

- Sam Donnelly?

- Nie zaprzeczam, chociaż on sam nie lubi się chwalić takimi rzeczami.

- Mam wobec niego dług wdzięczności.

- Z pewnością pewnego dnia będzie pani miała okazję go spłacić.

I jeszcze jedno, wiem, że to niezbyt fair, ale bylibyśmy wdzięczni za informacje, jeśli wpadnie pani na jakiś trop.

Beth otworzyła drzwi.

- Dostaniecie je.

- Tak po prostu? - spytał Reiger.

- W przeciwieństwie do was ja chcę tylko łapać przestępców i nie obchodzi mnie, kto przypisze sobie za to zasługi. Może spróbujecie rozpropagować takie podejście w waszej wyspecjalizowanej komórce?

Kilka sekund później radiowóz Beth odjechał, a samochód z obstawą ruszył za nim.

Kiedy wozy zniknęły im z oczu, Reiger spojrział na Hope'a, który powiedział:

- Co o tym myślisz?

- Myślę, że zrobiliśmy, co mieliśmy zrobić, a teraz powinniśmy złożyć raport.

- A jej siostra i ten prawnik?

- Nie wydaję poleceń w tej sprawie, Don, tylko je wykonuję. Ale mogę ci powiedzieć, że im dalej się posuwamy, tym mniej mi się to wszystko podoba. Nie pisałem się na to, i wiem, że ty też nie.

- Płacą nam poczwórną stawkę.

- Za mordowanie rodaków?

- Podczas procedury kwalifikacyjnej Burns uprzedził nas, że może do tego dojść. Ale robimy to dla bezpieczeństwa kraju. Czasem wrogowie uderzają od wewnątrz. Przecież wiesz.

- Ale i tak mało się nie porzygałem, kiedy strzelałem Meldonowi w głowę.

- Burns powiedział, że ten człowiek był zdrajcą. Pokazał nam dowody. Gdyby teraz ujawnili prawdę, wiele lat operacji wywiadowczych poszłoby na marne. Trzeba go było zlikwidować. Działamy pod przykrywką, Karl. Dawne zasady nie zobowiązują.

- Powtarzaj to sobie dalej. Może uwierzysz.

Reiger wyjechał sedanem z parkingu.

Nieoznakowany radiowóz powoli wytoczył się z zaułka naprzeciwko i pojechał za samochodem FBI. Funkcjonariusz siedzący na miejscu pasażera powiedział do radia:

- Tu Radiowóz Dwa. Ruszyliśmy i siedzimy im na ogonie.

W głośniku rozbrzmiał głos Beth Perry.

- Jedźcie za nimi, choćby do piekła i z powrotem. Bez odbioru.

66

- Pmiętasz mnie, doktorku?

Mace weszła do biura lekarza sądowego. Roy został w samochodzie. Lowell Cassell, główny lekarz sądowy, uśmiechnął się.

- Byłem równie zaskoczony jak zachwycony, kiedy powiedziano mi, że tu jesteś.

- Widzę, że wciąż pracujesz do późna.

- Dzięki twojej siostrze liczba zabójstw znacznie spadła, ale niestety wciąż mam masę roboty.

Podali sobie ręce, a później szybko się uściskali.

- Naprawdę dobrze cię widzieć, Mace.

Uśmiechnęła się.

- Ja też za tobą tęskniłam, doktorku.

Mace rozejrzała się wokół.

- Właśnie wykańczali to miejsce, kiedy, byłam zmuszona odejść. Cassell skinął głową.

- Tak. Czy Beth powiedziała ci, co o tym myślę?

- Głośno i wyraźnie.

- Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić?

- Chciałam tu wpaść, żeby spotkać się z tobą i obejrzeć to miejsce.

- I?

- I zadać ci pytanie w pewnej sprawie.
- Diane Tolliver?
- Skąd wiedziałeś?
- Pomówmy o tym na osobności.

Minutę później siedzieli już w gabinecie lekarza.

- Diane Tolliver? - przypomniała mu Mace.
- Śledztwo jest w toku.
- Wiem o tym.
- W takim razie wiesz również, że nie wolno mi udzielać takich informacji.

- Doktorku, co prawda nie pracuję już w policji.
- Gdybym mógł, pokazałbym ci wszystkie akta. Ale nie mogę.
- Beth już mi powiedziała o pewnych rzeczach.
- Ona tu rządzi, ja tylko odwalam czarną robotę.
- A mówiąc hipotetycznie. Gdybym pracowała nad tą sprawą, chciałabym zobaczyć raport z sekcji zwłok, listę śladów znalezionych na miejscu zbrodni, wyniki badań toksykologicznych, opis zabezpieczonych dowodów gwałtu i tak dalej. To, co zwykle w takich przypadkach.

- Gdybyś pracowała nad tą sprawą.

Mace wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju.

- Problem w tym, że nie mogę pracować nad tą sprawą, bo nie mogę wrócić do służby. Nie z wyrokiem za przestępstwo umyślne.
- Zgadza się.
- Chyba że zmienią się okoliczności.

Cassell wyglądał na zaintrygowanego.

- Jak mogą się zmienić?
- Mogę dowieść swojej niewinności. Albo.
- Albo co?
- Rozwiązać ważną sprawę.

- Rozumiem. Zdaje się, że wiele lat temu udało się to pewnemu agentowi FBI?

- Przyjechał odwiedzić mnie w więzieniu.

- Teraz rozumiem, skąd ten pomysł.

- Doktorku, ja do niczego innego się nie nadaję. Beth mogłaby robić, co dusza zapragnie. Gdyby się przyłożyła, mogłaby zostać bizneswoman z listy stu najbogatszych albo prezydentem. Ja jestem gliną i nic innego nie umiem.

- Nie oceniaj się tak surowo, Mace.

- Ujmę to inaczej. Niczego innego nie chcę.

- To jestem w stanie zrozumieć. Zwłaszcza po tym, co spotkało twojego ojca.

- Znałeś go, prawda?

- Miałem ten zaszczyt. Tym trudniej jest mi teraz zaakceptować fakt, że Mona Danforth zajęła jego dawne stanowisko.

- Kiedy byłam w więzieniu, myślałam tylko o tym, żeby wyjść i zobaczyć się z Beth. A potem dowieść swojej niewinności i wrócić do służby. Wtedy wydawało mi się to takie proste.

- A teraz?

- Teraz bardzo się skomplikowało - stwierdziła Mace z rezygnacją.

- Ale zamierzasz próbować, nawet gdybyś miała wrócić przez to do więzienia?

- Bóg mi świadkiem, że nie chcę tam wracać. Ale życie na wolności bez munduru... - zamilkła, starając się znaleźć odpowiednie słowa. - Jestem wolna, ale czuję się, jakbym była w celi za kratami. To chyba trudno zrozumieć.

- W gruncie rzeczy wcale nie.

- Dlatego przyszłam do ciebie po pomoc. Nie uda mi się rozwiązać tej sprawy bez wyników ekspertyzy sądowej.

Usiadła, wpatrując się w lekarza, a on przez chwilę patrzył jej w oczy. Po chwili wstał.

- Nie mam jeszcze wyników badań toksykologicznych ani testu DNA.

- W porządku.

Otworzył szafkę na akta, wyjął z niej dokumenty i położył na biurku.

- Muszę skorzystać z łazienki. Cholerna prostata. Ciesz się, że nie masz tego draństwa. Niedługo wrócę.

Wychodząc z biura, uniósł pokrywę kopiarki stojącej na szafce obok biurka.

- Właśnie wymieniłem toner i uzupełniłem papier.

Zamknął za sobą drzwi. Sekundę później Mace zaczęła kopiować jak szalona.

67

- Wyglądasz na zadowoloną - stwierdził Roy, gdy Mace wsiadła do samochodu i ruszyli spod budynku.

- Bo jestem. A ty miałaś rację, ten marquis jest naprawdę olbrzymi. Można by go napełnić wodą i wykorzystywać jako basen - stwierdziła.

Roy spojrział na teczkę z dokumentami, którą miała w rękach.

- Co to?

- Prezent od dobrego przyjaciela, który bardzo wiele dla mnie zaryzykował.

- Co dalej?

- Pojedź do biura, ja będę czytać po drodze.

Dwadzieścia minut później Roy wjechał do garażu pod biurowcem, w którym mieściła się jego kancelaria, a Mace przeczytała ostatnią stronę skopiowanych akt.

- I jak? - spytał prawnik.

- Została zgwałcona, ale o tym wiedziałam już od Beth. Nie ma jeszcze wyników testu DNA próbki pobranej od twojego kumpla Kapitana ani badań toksykologicznych.

- W jaki sposób umarła?

- Ktoś zmiażdżył jej pień mózgu. - Spojrzała na mężczyznę. - Tu, w tylnej części szyi. To musiał być ktoś bardzo silny i prawdopodobnie specjalnie przeszkolony.

- Na przykład dawny rangers, który waży ze sto trzydzieści kilo?

- Ty to powiedziałaś, nie ja.

- Coś jeszcze?

- Plamy na jej ubraniu są zgodne z próbkami pobranymi od Kapitana.

- To dlatego nie wyznaczyli jeszcze terminu przesłuchania w sądzie. Chcą sprawdzić, czy DNA będzie pasować. Zwykle wstępna rozprawa odbywa się w ciągu dwudziestu czterech godzin od aresztowania.

- Czy zamierzacie przyznać się do winy, kiedy postawią mu zarzuty?

- Niezależnie od tego, czy będzie to zabójstwo, czy tylko włamanie, do niczego się nie przyznamy i na tym zbudujemy linię obrony. Nie zamierzam ułatwiać życia prokuratorowi. - Spojrzał na teczkę. - Znalazłaś tam coś, co nie wskazuje na winę Kapitana?

- Niestety nie.

- Ale test DNA nie wykaże zgodności. Mogą oskarżyć Kapitana o włamanie, ale zdecydowanie wolę to niż zabójstwo.

- A kto by nie wolał? - stwierdziła Mace.

- Diane zjadła z kimś kolację w piątek wieczorem - i tym kimś na pewno nie był Kapitan.

- Może był z nią Watkins, ten prawdziwy.

- Miejmy nadzieję, że uda nam się tego dowiedzieć.

Wjechali windą na piętro zajmowane przez kancelarię Shilling & Murdoch i Roy przejechał kartą przez czytnik, otwierając drzwi.

Minutę później rozglądali się po gabinecie zmarłej. Mace usiadła przy biurku Diane i wpatrzyła się w duży monitor Apple.

- Niezły sprzęt.
- Dziwne, że policja go nie zabrała.
- Już nie musi. Teraz wystarczy skopiować wszystko na pendrive. Fajnie by było zobaczyć, co tam ma. - Zerknęła na Roya. - Co ty na to?

- Komputer jest zabezpieczony hasłem, ale mogę spróbować je złamać.

Prawnik usiadł, włączył komputer i wpatrzył się w pole, w które należało wpisać hasło.

- A ty, jakie masz hasło? - spytała Mace.

- AVU2778861.

- No dobra, wiem, o co chodzi z literami. To UVA, nazwa twojej uczelni, pisana od tyłu. Ale co z cyframi?

- Dwadzieścia siedem i siedem to nasz bilans meczów na moim ostatnim roku.

- A osiem-osiem-sześć-jeden?

- Osiemdziesiąt osiem do sześćdziesięciu jeden to wynik mojego ostatniego meczu. Przegraliśmy z Kansas w NCAA.

Mace spojrzała na niego współczująco.

- Myślałeś kiedyś, żeby sobie odpuścić, Roy?

- Zdarzyło mi się nad tym zastanawiać.

Mężczyzna ponownie wpatrzył się w monitor.

- No dobra, Diane, jakie możesz mieć hasło?

- Nie była zamężna, nie miała dzieci. Jakies zwierzęta domowe?

- Roy pokręcił głową. Mace zerknęła na teczkę, którą przyniosła ze sobą.

- Spróbuj z datą urodzenia. - Przeczytała datę Royowi, on ją wpisał, ale komputer odrzucił hasło. Próbowali innych kombinacji liczb, a nawet nazwiska, które Diane nosiła podczas małżeństwa, a które Roy przypadkiem znał.

- Jeszcze jedna nieudana próba i komputer się zablokuje - stwierdził.

- Nie złamiemy hasła. To był głupi pomysł. - Mace spojrzała na górną krawędź ekranu.

- Co to takiego?

Roy spojrzał we wskazanym przez nią kierunku.

- Kamerka internetowa. Służy do wideokonferencji i tym podobnych.

Mace powoli wycofała się z punktu widzenia kamery i rozpaczliwymi gestami kazała Royowi wstać. Powiedziała jednak spokojnym głosem:

- Cóż, nic więcej tu dziś nie wskóramy. Możemy się zbierać.

Kiedy Roy znalazł się poza polem widzenia kamery, Mace chwyciła go za ramię i syknęła:

- Spadamy stąd!

Wyciągnęła mężczyznę za drzwi i zamknęła je za nimi.

- Co się stało? - szybko spytał Roy.

- Dlatego mnie zaatakowali. Widzieli, że szperam w biurze Diane.

- Kto cię widział?

- Ten, kto obserwuje obraz z kamery. Zwijamy się, zanim tu dotrą.

- Kto?

Oboje odwrócili się, słysząc hałas. Ktoś właśnie otworzył drzwi do kancelarii Shilling & Murdoch.

- Oni!

68

- Tędy. - Roy chwycił Mace za rękę i razem pobiegli korytarzem, oddalając się od frontowych drzwi. Na końcu korytarza skręcili w lewo i po kilku krokach dotarli do drzwi. Roy otworzył je szarpnięciem i weszli do ciemnego pokoju.

- Co to za miejsce?

- Pokój pocztowy.

- Świetnie, Roy. Będziemy mogli poczytać sobie czasopisma podróżnicze, odliczając ostatnie minuty życia.

- Szczerze mówiąc, miałem inny pomysł. Chodź.

Poprowadził ją w głąb pomieszczenia, gdzie, nieco ponad metr nad podłogą, w ścianę wbudowane były niewielkie metalowe drzwi.

- Kancelaria ma też biura i archiwum na piątym piętrze. - Wcisnął czerwony przycisk znajdujący się obok drzwi i otworzyły się one, odsłaniając kabinę o wymiarach metr na metr, która wyglądała, jakby mogła z trudem pomieścić jedną osobę.

- Winda towarowa?

- Szyb prowadzi piętro niżej, prosto do archiwum.

Oboje obrócili się, słysząc szybkie kroki w korytarzu.

- Wsiadaj, Mace.

- A co z tobą?

- Oboje się nie zmieścimy.

Mace zajrzała do windy.

- Jeśli nie wejdiesz ze mną do tego pudełka, następnym, w jakim będziesz miał szansę się znaleźć, będzie trumna.

Roy wepchnął ją do środka i wśliznął się za nią do kabiny. Kiedy ktoś otworzył kopniakiem drzwi do pokoju pocztowego, mężczyzna wyciągnął rękę i nacisnął zielony guzik, uruchamiający windę. Metalowe drzwi się zamknęły i chwilę później kabina ruszyła z miejsca. Było tak ciasno, że Mace dotykała kolanami nosa, a znacznie wyższy od niej Roy otaczał ją całym ciałem jak fosa zamek.

- Masz w kieszeni latarkę, czy aż tak ci się podobam? - spytała Mace, wiercąc się.

- To latarka. Zgarnąłem ją z półki, zanim wsiadłem.

Winda stanęła i metalowe drzwi się otworzyły. Roy wypadł na zewnątrz, pociągając za sobą Mace. Włączył latarkę i po chwili biegli korytarzem.

- Nie możemy skorzystać z windy. Pewnie obstawili też schody - stwierdził Roy. Mace odpowiedziała:

- Pilnują schodów na parterze, ale nie pomiędzy piętrami. Chodź!

Na chwilę się zatrzymała, zasłoniła dłoń rękawem bluzki, żeby nie zostawić odcisków palców i pociągnęła za dźwignię uruchamiającą alarm pożarowy. Kiedy w korytarzu zawyły syreny i rozbłysły czerwone światła, powiedziała:

- Niedaleko stąd jest remiza, ale jeszcze przez kilka minut będziemy zdani na siebie.

- Gdzie idziemy?

- Na czwarte piętro.

Poprowadziła go do schodów ewakuacyjnych i zbiegli jedno piętro w dół. Po chwili znaleźli się w miejscu, gdzie Mace

obezwładniła Kapitana.

- Teraz trzeba się ukryć.
- Może wezwać policję? Mam komórkę.

Mace zawahała się przez chwilę.

- Tak, zrób to.

Roy zadzwonił pod 911.

- Co jest grane? Nie mam tu zasięgu.

Pobiegli w głąb pomieszczenia.

- Szybko, rozejrzyj się za jakąś bronią - powiedziała Mace.

- Oni pewnie mają pistolety. Czym chcesz odeprzeć atak? Śrubokrętem?

Mace zauważyła leżący na podłodze długi łańcuch, chwyciła go i owinęła sobie wokół ramienia.

- Możemy skorzystać z tego.

- Czekaj. Kiedy dotrą tu strażacy, znajdą nas i twoja siostra dowie się, że tu byliśmy.

- Nie zamierzam czekać tu na strażaków.

- Myślałem, że.

- Jeśli bandyci nie wpadną tu w ciągu najbliższej minuty, będzie to oznaczać, że wystraszyli się alarmu. Wtedy zmyjemy się stąd przed przyjazdem straży.

- Ja bym to rozegrał inaczej.

- Roy, trzymam w ręku pięciokilowy łańcuch. Lepiej mnie nie wkurzaj.

Minutę później usłyszeli strażackie syreny. Mace rzuciła łańcuch na podłogę, pobiegli z Royem do drzwi i zbiegli schodami w dół. Szybko pokonali korytarz i weszli do windy garażowej dokładnie w chwili, gdy strażacy otworzyli frontowe drzwi. Nie zatrzymali się przy zaparkowanym w garażu marquisie, ale pobiegli od razu do wyjścia z budynku.

- Co teraz? - spytał zdyszany Roy, kiedy zwolnili do szybkiego marszu.

Mace spojrzała na zegarek.

- Co byś powiedział na kawę?

- Co? Przed chwilą ktoś próbował nas zabić, a ty chcesz podnieść sobie ciśnienie?

- Tak. W restauracji Simpsons w Georgetown, tam, gdzie Tolliver jadła w piątek.

- Aaa, o to chodzi.

- Potem możemy włamać się do domu Tolliver.

- Na litość Boską!

Nieco później tego wieczora Don Hope i Karl Reiger szli długim korytarzem, znajdującym się kilka pięter pod ziemią i wyłożonym materiałami uniemożliwiającymi jakąkolwiek formę elektronicznego podsłuchu. Było to bardzo na miejscu, bo niewiele budynków w kraju mieściło więcej tajemnic niż ten – nie mogły się z nim równać nawet centrum dowodzenia CIA w Wirginii ani kwatera główna Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Maryland.

Obaj mężczyźni mieli zaniepokojone miny, kiedy stanęli przed metalowymi drzwiami. Rozległ się długi syk sprzętu hydraulicznego i wrota się otworzyły. Agenci weszli do środka, a drzwi automatycznie zamknęły się za nimi.

Przed biurkiem stały dwa krzesła. Usiedli na nich, naprzeciwko Jarvisa Burnsa. Mężczyzna jeszcze przez minutę patrzył na monitor komputera, dopiero później odwrócił się w stronę przybyłych, zdejmując z nosa okulary i kładąc je na biurku. Odruchowo sięgnął ręką do prawej nogi i zaczął ją rozcierać. Kiedy Reiger próbował się odezwać, Burns podniósł rękę i pokręcił głową, po czym głęboko westchnął. Reiger i Hope nerwowo popatrzyli po sobie. Głębokie westchnienia nie wróżyły nic dobrego.

Burns stwierdził:

- Interesujące wydarzenia. Wielkie niezadowolenie. Nadmierne komplikacje. - Każde ze zdań brzmiało jak dwa wystrzały z pistoletu maszynowego MP5.

- Czy możemy mówić szczerze? - powiedział Hope.

- Oczywiście.

- Sprawa z komendantką jest załatwiona. Podaliśmy jej informacje tak, jak pan kazał i jasno stwierdziliśmy, że pochodzą od dyrektora Donnelly'ego. Jest przekonana, że za zabójstwem stoją terroryści wewnątrzni i że ma u panów dług wdzięczności. Moim zdaniem jej siostra i ten prawnik nie stanowią poważnego zagrożenia.

Burns odchylił się na krześle, zetknął ze sobą końce palców i wpatrzył się w mężczyznę.

- Na czym opiera pan tę opinię? Na swoich porażkach?

- Nie ponieśliśmy porażki.

- Doprawdy? A „*Musimy skoncentrować się na A-*”? Zainstalowaliśmy oprogramowanie szpiegujące na jej komputerze. Wiedzieliście o e-mailu, ale nic z nim nie zrobiliście. Mogliście usunąć go z komputera Kingmana, zanim zdążył go przeczytać.

- Nie zrobiliśmy tego, bo wydawał się nieistotny - wyjaśnił Reiger. - Myśleliśmy, że wysłała go przez przypadek. Wiadomość nie była nawet dokończona.

- Dokończona czy nie, zawierała informacje, a oni rozszyfrowali ją szybciej niż wy. Zdobyli dane Watkinsa i pojechali do jego mieszkania na tyle szybko, że przyłapali jednego z moich ludzi na przeszukaniu. Musiał mocno improwizować.

Odezwał się Reiger.

- Nie wiedzieliśmy o skrytce. Przez cały czas, kiedy mieliśmy ją pod nadzorem, nigdy nie była na tej poczcie.

- Albo poszła tam, zanim się nią zajęliście, albo poprosiła kogoś, żeby zrobił to za nią.

- Ale pana człowiek mógł nie otwierać drzwi w mieszkaniu Watkinsa - zauważył Hope.

- Wierz mi, gdyby tego nie zrobił, Mace Perry włamałaby się do środka. Policja oczywiście też już wie o Watkinsie. Mogliśmy usunąć wiadomość po tym, jak Perry i jej znajomy ją znaleźli, ale gdyby pani komendant dowiedziała się o wszystkim od siostry, a nie znalazłaby kartki w skrytce, zaczęłaby coś podejrzewać. Moim zdaniem co się stało, to się nie odstanie. Z drugiej strony, aresztowali tego starego żołnierza i z pewnością niebawem oskarżą go o zabójstwo.

- Więc chyba nie mamy w tej sprawie nic więcej do zrobienia.

- Owszem, macie. Ale nie możemy pozwolić sobie na kolejne wpadki.

Hope oparł na biurku dużą, muskularną dłoń.

- Przez cały czas reagowaliśmy szybko. Od tego zależy sukces operacji, czy są prowadzone pod przykrywką, czy nie. Dlatego nas pan ściągnął.

- Z technicznego punktu widzenia zostaliście przydzieleni do Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, który nie prowadzi działań pod przykrywką. Jesteście z Reigerem sterylą bronią, przez cały czas gotową do strzału. A ściągnęliśmy was, żebyście wykonywali zadania. Wszelkie zadania, jakie zostaną wam powierzone. W takiej pracy nie ma nic miłego. Zawsze jest bałagan, brud i nieustające zmiany. Dobija się targu z jednym diabłem, bo jest nieco mniej zły niż drugi. Gdyby było inaczej, nie potrzebowalibyśmy was. A teraz musicie po sobie posprzątać.

- Nie znaleźli nic w biurze, a obserwacja komputera Tolliver została zakończona. Nie rozumiem w czym problem.

- Pokażę ci. - Burns wcisnął jeden z klawiszy i obrócił ekran, pokazując agentom zdjęcie Mace Perry. - W tym jest problem.

Poirytowany Reiger zaczął wymachiwać rękami.

- Niech pan da spokój, ona nawet nie pracuje już w policji. Jest na zwolnieniu warunkowym. Nie ma wielkich możliwości działania. Pracuje zupełnie niezależnie od siostry. Nie widzę tu żadnego problemu.

- Doprawdy? A czytałeś może wyniki jej badań psychologicznych?

- Badań psychologicznych? - powtórzył zaciekawiony Reiger.

Burns wstał zza biurka i kulejąc podszedł do agentów.

- Przeszła je, zanim zaczęła pracę pod przykrywką. To bardzo interesująca lektura. Reiger, ona nigdy się nie poddaje. Nigdy nie odpuszcza. Jej ojciec był prokuratorem okręgowym Dystryktu Kolumbii. Znałem go. Został zamordowany, kiedy miała dwanaście lat, a ona nigdy nie pogodziła się z jego śmiercią. To uczucie może wybuchnąć z siłą rażenia równą górze C-4. Ona wolałaby umrzeć, niż przyznać, że nie miała racji.

- Moim zdaniem, jeśli jest jakiś powód do niepokoju, to raczej komendantka. Jest twarda jak skała i cholernie inteligentna.

Burns przysiadł na brzegu biurka.

- Znam Beth Perry od lat. Jest trudnym przeciwnikiem, ale działa w ramach ściśle wyznaczonych granic. Jej siostra nie uznaje tych granic i nigdy ich nie uznaje. Szczerze mówiąc, Mace Perry przeraża mnie jak cholera. A jeśli przez nią zawalimy sprawę, żaden z nas nie będzie bezpieczny. - Obrzucił obu mężczyzn znaczącym spojrzeniem. - Żaden. To, co robimy, jest słuszne i dobre dla ojczyzny, ale gdyby społeczeństwo się o tym dowiedziało, mogłoby tego nie zaakceptować.

- Ale jej nawet nie wolno nosić broni - stwierdził Hope.

Burns uderzył w biurko otwartą dłońią.

- Co rodzi pytanie, dlaczego nijak nie udaje nam się jej wyeliminować. Dziś w kancelarii zmarnowaliśmy znakomitą okazję. Kiedy wy rozmawialiście z Beth Perry, wysłałem na miejsce doborową ekipę, a oni spisali się jak inspektor Clouseau.

- Ale jeśli ona zginie, jej siostra poruszy niebo i ziemię, żeby dowiedzieć się, kto do tego doprowadził - zauważył Reiger. Burns przytaknął.

- To fakt. Każda z sióstr oddałaby życie za drugą.

- O tym właśnie mówię.

- Ale umrzeć musi tylko jedna. I pomożemy Beth Perry stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że zabójstwa dokonał jeden z wielu wrogów, których jej siostra narobiła sobie podczas pracy w policji. A kula w głowę to kula w głowę - i już.

- To zaczyna wyglądać jak gra w cholernego berka - warknął Reiger. - Likwidujemy jedną osobę i okazuje się, że rozmawiała z następną. Unieszkodliwiamy tamtą, ale ona zdążyła wysłać list do kolejnej, więc teraz z kolei musimy ścigać ją. Jak to się skończy, Burns?

- Miejmy nadzieję, że bez szkody dla naszych źródeł informacji i bezpieczeństwa narodowego - stwierdził Burns wpatrując się w Reigera. - I pamiętaj, do kogo mówisz. Istnieje przecież coś takiego jak łańcuch dowodzenia.

Reiger jeszcze przez chwilę wpatrywał się w oczy mężczyzny, a potem odwrócił wzrok. Hope odchylił się na swoim krześle.

- W porządku. Zrobimy to jak trzeba. Nie będziemy za nią ganiać, a podprowadzimy ją tak, żeby sama ustawiła się na celowniku. Potem ruszamy do akcji. Szybko i czysto.

- Lepiej się pospieszcie. Wszyscy chyba zdajemy sobie sprawę, że jest coraz bliżej rozwiązania całej sprawy.

- Jakie mamy zasoby?

- Nieograniczone. Nie musicie nawet sami pociągać za spust. Mamy od tego innych ludzi. Takich, którzy będą pasować do profilu zabójcy, jeśli wiecie, o czym mówię.

- Zanim zaczniemy działać, musimy dostać rozkazy na piśmie, z kompletem podpisów - stwierdził Reiger.

Burns nie wyglądał na zachwyconego.

- Wiecie, że polecenie eliminacji miało charakter stały.

- Ale nie zabijamy jakichś gości w turbanach, tylko Amerykanów. To co innego. Zlikwidowaliśmy już trzech rodaków i żądamy nowych rozkazów - stwierdził Hope.

- A gdzie jest napisane, że Amerykanie nie mogą być terrorystami? - spytał sarkastycznie Burns. - Może mi powiecie, że Timothy McVeigh nie był terrorystą? Nie obchodzi mnie, czy nosi turban, czy jest podobny do mojego syna. Mam gdzieś, czy pochodzi z Iraku czy z Indiany. Jeśli zamierza krzywdzić Amerykanów, mam za zadanie go powstrzymać. I robię to wszelkimi dostępnymi środkami.

- Chciałem tylko powiedzieć, że kiedy to się skończy, będziemy z Karlem potrzebować karty „wychodzisz wolny z więzienia”. Więc jeśli chce pan, żebyśmy to zrobili, proszę dać nam rozkaz z kompletem podpisów. Nie chcemy później za to beknąć. Żadnego wciskania kitu, że szeregowcom odbiło, tak jak było z Abu Ghraib. Muszą podpisać wszyscy, od góry do dołu. Jeśli pójdziemy na dno, to razem. Albo tak będzie, albo sterylna broń pozostanie w kaburze. Tak ma być i już - powtórzył stanowczo.

- Zarabiacie czterokrotność dawnej pensji. Zanim to się skończy, obaj będziecie bogaci.

- Rozkazy na piśmie albo nic z tego. Koniec, kropka!

Burns wyduł wargi.

- Dobrze, prześlę je zabezpieczonym kanałem najszybciej, jak się da - stwierdził i ponownie skierował wzrok na ekran komputera.

Reiger spojrział na Hope'a i chrząknął. Burns, wyraźnie zirytowany, odwrócił się w jego stronę.

- Coś jeszcze?

- Ile osób w tym budynku wie o naszej operacji?

- Wliczając w to mnie, ciebie i twojego partnera?

- Tak.

- Trzy.

Samochód, który śledził Hope'a i Reigera, przesłał przez radio ich zamiary. Beth Perry była na miejscu po dziesięciu minutach. Wysiadła z samochodu i wśliznęła się na tylne siedzenie radiowozu. Nie miała na sobie munduru, a bluzę z kapturem z akademii FBI. Spojrzała na budynek przez noktowizor.

- Jesteście absolutnie pewni, że tam weszli?

- Pani komendant, naprawdę nie sposób było się pomylić.

Beth spojrzała na największy budynek biurowy świata o bardzo charakterystycznym, pięciokątnym kształcie i opadła na siedzenie.

Jaką rolę, do cholery, odgrywa w tym wszystkim Pentagon?

70

- Tak, pamiętam panią Tolliver. Często tu przychodziła.

Mace i Roy siedzieli przy stoliku w restauracji Simpsons i rozmawiali z kelnerem, który, jak się okazało, obsługiwał Diane Tolliver w piątek wieczorem.

- Nie przyszła sama, prawda? - spytała Mace.

- Nie, była z jakimś facetem. Wielka szkoda, że tak skończyła.

- Czy mógłby pan opisać tego mężczyznę? - zapytał Roy. Kelner odwrócił się do niego.

- Myśli pan, że mógł mieć coś wspólnego z jej śmiercią?

- Niczego nie możemy wykluczyć.

- Są państwo z policji?

- Jesteśmy prywatnymi detektywami - wyjaśniła Mace. - Zatrudniła nas jej rodzina. Czy policja już tu była?

- Tak. - Mężczyzna skinął głową.

- Czy może go pan opisać? - przypomniała Mace.

- Biały, około pięćdziesiątki, szpakowate włosy, krótko przycięte i trochę przerzedzone. Niższy od pana - stwierdził, wskazując Roya.

- Miał może metr osiemdziesiąt. Był ubrany w garnitur.

- Miał okulary albo brodę?

- Nie.

Mace pokazała mu zdjęcie z prawa jazdy Watkinsa.

Mężczyzna pokręcił głową.

- To nie ten.

- Nie wie pan, jak się nazywał? - spytała Mace.

- Nie, rachunek płaciła pani Tolliver.

- Widział ich pan wcześniej razem?

- Nie.

- Mieli dobry apetyt?

- Świetny. Pani Tolliver zjadła filet mignon z purée ziemniaczanym i warzywami, wypła też kawę, ale nie zamawiała deseru. Mężczyzna zjadł łososia i sałatkę, a na przystawkę - zupę z owoców morza.

- Zamawiali alkohol?

- Ona wypła kieliszek firmowego merlota, on - dwa kieliszki chardonnay.

- Ma pan świetną pamięć.

- Nie. Po prostu podczas wizyty policji sprawdziłem rachunek.

- Czy pamięta pan, o której pani Tolliver i jej towarzysz przyszli, a o której wyszli?

- Przyszli około siódmej trzydzieści, wyszli ponad dwie godziny później. Pamiętam, że kiedy siadali przy stoliku, spojrzałem na zegarek, bo spodziewałem się kuzyna, który miał wpaść na drinka za piętnaście ósma i wiedziałem, że ta godzina się zbliża.

- A czy jest pan pewien godziny wyjścia?

- Był wprawdzie piątek wieczorem, ale mamy tylko piętnaście stolików, a nie było dużego ruchu. Zajęte były tylko dwa inne stoliki, więc zauważyłem, jak wychodzili. Poza tym na rachunku jest data i godzina wystawienia, a wyszli zaraz po uregulowaniu należności. Sam ich obsługiwałem.

- Czy któreś z nich wydawało się zaniepokojone? - spytała Mace.

- Nie przyjechali razem. Najpierw zjawiała się ona, później on. Usiedli tam. - Pokazał stolik ustawiony w niewielkiej niszy. - To miejsce jest nieco odosobnione ze względu na tę ścianę.

- Czy wyszli razem? - spytał Roy.

- Nie. Najpierw ona, potem on. Mężczyzna przez cały czas miał schyloną głowę, jakby nie chciał, żeby ktokolwiek mógł mu się przyjrzeć.

Zadali kelnerowi jeszcze kilka pytań, a Roy zostawił mu swoją wizytówkę, w razie gdyby mężczyzna coś sobie przypomniał. Kiedy wyszli na zewnątrz, Mace wyjęła z kieszeni raporty otrzymane od lekarza sądowego i je przejrzała.

- I co? - spytał Roy.

- Nie wiem. Chyba nic.

- To nie z Watkinsem spotkała się na kolacji. Chodzi o innego mężczyznę.

- Na to wygląda. I najwyraźniej bardzo zależało im, żeby nikt nie zobaczył ich razem. Knajpka na uboczu, odosobniony stolik, oddzielne przyjście i wyjście.

- Zostawiliśmy mój samochód w garażu. Co teraz? Nie możemy iść do Alexandrii piechotą.

- Pojedziemy taksówką do Altmana, a tam przesiądziemy się na mój motocykl.

- Czy myślisz, że ludzie, którzy nas ścigają, wiedzą, iż mieszkasz u Altmana?

- To możliwe.

- A jeśli zaatakują jego, żeby zdobyć nad tobą przewagę?

- Herbert powiedział, że na terenie posiadłości mieszka trzech pełnoetatowych strażników. Widocznie po awanturze z gangiem HF-12

Abe stwierdził, że przyda mu się ochrona. Jeden z nich służył

w Navy Seals, drugi był snajperem w ekipie FBI odbijającej zakładników, a trzeci pracował w wywiadzie i przez pięć lat zwalczał terroryzm w Iraku.

- Kurczę, nigdy ich tam nie widziałem.

- I o to chodzi, Roy.

Pojechali taksówką do Altmana. Mace spędziła kilka minut w domku gościnnym, pakując torbę. Kiedy wyszli na zewnątrz, na parking, gdzie stał jej motocykl, Roy spytał:

- Co jest w środku?

- To i owo.

- To i owo dla włamywacza?

- Wsiadaj.

Roy ledwo zdążył usiąść na ducati, a Mace już wcisnęła gaz do dechy. Motocykl na chwilę stanął na tylnym kole, a później wystrzelił przed siebie. Automatyczna brama się otworzyła, a Mace wrzuciła najwyższy bieg. Kilka minut później pędzili wietrzną, obsadzoną drzewami aleją Waszyngtona, mijając samochody z taką prędkością, że Roy ledwie dostrzegał kierowców. W końcu krzyknął Mace do ucha:

- Dlaczego jedziesz tak szybko?

- Jestem demonem prędkości.

- Rozbiłaś się już kiedyś?

- Jeszcze nie - odpowiedziała, przekrzykując ryk silnika.

Roy chwycił ją w pasie obiema rękami i wymamrotał krótką, ale żarliwą modlitwę.

71

- Dlaczego nie dziwi mnie, że potrafisz podnieść zapadkę? - zauważył Roy, patrząc przez ramię Mace. Kobieta właśnie majstrowała przy zamku. Stali przed ogrodzonym podziemnym wejściem do luksusowego domu Diane Tolliver, zbudowanego na wodzie w Fords Landing, eleganckiej miejscowości nieco na południe od głównej części starówki w Alexandrii.

Mace umieściła w zamku wytrych i obciążki i manipulowała obydwoma narzędziami z dużą łatwością.

- To zadziwiające, jak wiele można się nauczyć w więzieniu.

- Nie nauczyłaś się tego w więzieniu - kpiąco stwierdził Roy.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem.

- Sugerujesz, że naginałam zasady podczas pracy w policji?

- Nie.

- To dobrze.

- Nic nie sugeruję, stwierdzam fakt.

- Idź do diabła, Roy.

- Poczekaj chwilę. Skąd wiesz, że alarm nie jest włączony?

- Zajrzałam przez okno przy frontowych drzwiach. Na panelu alarmu pali się zielona lampka, co oznacza, że nie jest aktywny. Gliniarze pewnie kazali firmie ochroniarskiej go wyłączyć, kiedy przyjechali na przeszukanie. Prawie zawsze zapominają

o ponownym włączeniu.

Rozległ się wyraźny trzask i Mace otworzyła zamek wytrychem.

- No i jesteśmy w środku. - Zamknęli za sobą drzwi, a Mace włączyła małą latarkę o regulowanym strumieniu światła. Rozszerzyła kąt padania promieni i rozejrzała się dookoła.

- To pokój wypoczynkowy z dobrze wyposażonym barkiem - stwierdził Roy, wskazując przed siebie i w prawo. - A za tamtymi drzwiami jest pokój multimedialny.

- Fajnie.

- Skoro policjanci już przeszukali dom, co możemy tu znaleźć?

- To, co przegapili.

Przyglądali się kolejnym pokojom. Jeden został zaadaptowany na domowe biuro. Stały w nim duże biurko, drewniane szafki na akta i wbudowane w ściany biblioteczki, ale nie było komputera.

- Chyba miała tu laptopa - stwierdził Roy. - Widocznie policjanci go zabrali zamiast kopiować dane na pendrive.

Mace przyglądała się plikowi dokumentów, który wyjęła z szafki na akta.

- Czy wszyscy prawnicy w Shilling & Murdoch zabierają tyle pracy do domu?

Roy skierował światło latarki na dokumenty.

- To chyba papiery związane z zakupem akcji przez prywatnego inwestora, którym zajmowaliśmy się w zeszłym miesiącu. Reprezentowaliśmy emiracką firmę poszukującą ropy, która chciała nabyć mniejszościowy pakiet uprzywilejowanych udziałów w kanadyjskim polu łupków roponośnych. Transakcja odbyła się za pośrednictwem wyspecjalizowanego londyńskiego maklera, podczepiło się też pod nią kilku innych nabywców. Finansowanie, dokonane w pakiecie, zabezpieczone było instrumentami dłużnymi z około dziesięciu krajów, przy jednoczesnym

uczestnictwie funduszy państwowych i zastosowaniu opcji na zbycie udziałów w przypadku rezygnacji.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale chyba mnie to podnieciło.

- Szkoda, że wcześniej nie wiedziałem, co na ciebie działa.

- O jakiej kwocie mówimy?

- Nieco ponad miliard dolarów. Płatne gotówką.

- Miliard gotówką?

- Dlatego Diane było stać na ten dom. Pewnie też zapłaciła gotówką.

Mace zmarszczyła brwi.

- Co o tym myślisz?

- Myślę, że powinnam była iść na prawo - warknęła.

Roy przeglądał dokumenty w biurze Tolliver, a Mace metodycznie przeszukała sypialnie, pokoje gościnne, łazienki i garaż. Wreszcie dotarła do kuchni, w której znajdował się niewielki, ceglany kominek z drewnianą półką, przechodzącej w świetnie wyposażoną jadalnię, pośrodku której stał trzymetrowy stół z odzyskanego drewna. Z kilku dużych okien roztaczał się widok na Potomac.

Mace sprawdziła zawartość szafek, lodówki, piecyka i zmywarki. Otwierała słoiki i książki kucharskie i sprawdzała doniczki w nadziei, że Tolliver miała miniaturowy sejf o wyglądzie przedmiotu codziennego użytku. Zajrzała do worka na śmieci, który policjanci najwyraźniej pominęli. Kiedy Roy wszedł do kuchni, siedziała na krześle wciąż przeglądając śmieci.

- Znalazłaś skórki od bananów z zaszyfrowanymi wiadomościami?

- Nie, ale jest opakowanie po mięsie, obierki z warzyw i spleśniała kromka chleba. No i butelka po czerwonym winie.

- A więc tak wyglądał ostatni posiłek Diane.

- Wszyscy zjemy kiedyś po raz ostatni.

Mace umyła ręce nad zlewem.

- Znalazłeś coś podejrzanego w papierach?

- Szczerze mówiąc, nie.

Kobieta zaczęła chodzić po pokoju, oświetlając latarką ściany, podłogę i sufit.

- Spójrz na błyszczące powierzchnie.

- Proszek daktyloskopijny?

- Zgadza się.

Dotarła do końca pokoju, zawróciła i ruszyła z powrotem. W pewnym momencie, kiedy światło latarki padło na sufit, zatrzymała się.

- Roy, podaj mi krzesło.

Mężczyzna przyniósł krzesło, a Mace stanęła na nim na palcach, oświetlając czujnik dymu zamontowany na suficie. Podała latarkę prawnikowi.

- Wejdź tu i powiedz mi, co widzisz.

Roy stanął na krześle.

- Zadrapania na farbie i coś, co wygląda na smugi kurzu.

- Ktoś zdejmował czujnik.

- Robi się to, żeby zmienić baterie.

- A co powiesz na to?

Roy zszedł z krzesła i skierował latarkę na dywan, w miejsce wskazane przez Mace. Przyklęknął, żeby spojrzeć na nie z bliska.

- Odpryski farby?

- Ktoś by je sprzątnął, chyba że powstały już po jej śmierci.

Pokaż mi ten czujnik.

Roy wszedł z powrotem na krzesło, zdjął czujnik i podał Mace, która obróciła go w dłoniach.

- W czujnikach często montuje się miniaturowe kamery do wideonadzoru.

- Kto miałby nadzorować Diane?

- Obserwowali jej komputer, mogli też obserwować jej dom.

- Dlaczego policja tego nie znalazła?

- Pewnie usunęli go, zanim policja dokonała przeszukania.

Myślę, że powinieneś jutro iść do biura i ostro poszperać w dokumentach.

- Wierzysz, że ta sprawa jest powiązana z Shilling & Murdoch?

- spytał Roy sceptycznie.

- Z kancelarią, która podpisuje umowy na miliardy dolarów z firmami z Bliskiego Wschodu? Owszem, wierzę.

- To w gruncie rzeczy nudy. Czyste interesy.

- Interes jednego człowieka może oznaczać zagładę dla innego.

- Co przez to rozumiesz?

- Zrób to dla mnie i się rozejrzyj. Chodź, odwiozę cię do mieszkania.

Wyszli na zewnątrz i wsiedli na ducati. Zanim Mace odpaliła silnik, odwróciła się i spojrzała na Roya.

- Dlaczego dałeś mi wygrać w wisielca?

- A jak myślisz? - spytał cicho.

Mace poczuła, że nie jest w stanie spojrzeć mu w oczy. Powoli się odwróciła, zapuściła silnik i ruszyła przed siebie.

- Czołem, Ned.

Roy szedł korytarzem do wind biurowych. W nocy prawie nie zmrużył oka, nasłuchując zbliżających się zabójców. Przyjechał autobusem, a do domu zamierzał wrócić marquise. Ned, siedzący za marmurowym kontuarem, miał podekscytowaną minę.

- Roy, słyszałeś, że wczoraj był tu pożar?

Prawnik bardzo starał się wyglądać na zaskoczonego.

- Pożar? Gdzie?

- W zasadzie to nie pożar. Ktoś włączył alarm przeciwpożarowy. To przestępstwo!

- Tak, wiem. Kto mógł to zrobić? - spytał Roy z roztargnieniem.

- Strażacy byli wkurzeni. Podobno wykryli, że alarm włączono na piątym piętrze. Pewnie sprawdzą zapisy z kart wstępu, żeby sprawdzić, kto wchodził tu wczoraj wieczorem.

Roy aż zeszywniał na te słowa. Skorzystał z karty, wchodząc do budynku z Mace. Musiało to zostać zapisane w bazie danych. Jeśli nikt inny nie przebywał w budynku wczoraj w nocy, jak miał się wytłumaczyć? Jaka kara groziła za wszczęcie fałszywego alarmu przeciwpożarowego?

„Dzień zaczął się najgorzej, jak to możliwe” - pomyślał.

Okazało się, że się mylił.

- Roy?

Wchodząc do kancelarii spojrzął przed siebie i napotkał wzrok Chestera Ackermana.

- Tak, Chester?

- Co się stało z twoją twarzą?

Roy dotknął opuchniętego oczodołu i posiniaczonego policzka.

- Wpadłem na drzwi.

- Muszę z tobą porozmawiać. Pilnie. - Ackerman odwrócił się i poszedł przed siebie.

Roy zauważył Jill, młodą recepcjonistkę, która przyglądała się ich rozmowie.

- Nie wiesz może, co się dzieje, Jill?

- Masz kłopoty, Roy.

- Tego się domyśliłem. Ale dlaczego?

- Niedługo się dowiesz.

Roy zaniósł aktówkę do swojego biura i poszedł do Ackermana. Zamknął za sobą drzwi i usiadł przy biurku naprzeciwko wspólnika.

- Wyglądasz na spokojniejszego, Chester - zaczął przyjaźnie.

- Ciekawe, jakim cudem - odgryzł się Ackerman - bo czuję się, jakby zaraz miała mi eksplodować głowa.

Roy założył nogę na nogę i usiłował okazać uprzejme zaciekawienie.

- W takim razie o co chodzi? *Błagam, tylko mi nie mów, że o ten cholerny alarm przeciwpożarowy.*

- Słyszałem, że reprezentujesz człowieka, którego policja aresztowała za zabójstwo Diane. Proszę, powiedz mi, że to nieprawda.

- Poczekaj, mogę to wyjaśnić.

Ackerman, wyraźnie wzburzony, wstał z miejsca.

- A więc to prawda?
 - Spotkałem się z tym człowiekiem. Chce, żebym był jego adwokatem. Jeszcze nie.
 - Znasz zabójcę Diane? Rozmawiałeś z tym draniem?
 - Spokojnie, Chester. Nie dowiedziono, że to on zamordował Diane.
 - Na litość boską! Był w budynku tego ranka. Dokonał wtargnięcia. A z tego, co wiem, niektóre dowody zebrane przez policję wskazują, że także zabójstwa.
 - Kto ci to powiedział?
 - To ja zadaję pytania. Jak mogłeś w ogóle pomyśleć o podjęciu się obrony tego człowieka?
 - To chyba przez zasadę domniemania niewinności, którą wbijali nam do głów na prawie.
 - Nie wciskaj mi kitu. Poza tym pracujesz dla naszej kancelarii. Nie zajmujemy się obroną w sprawach karnych. Nie możesz przyjąć takiego zlecenia bez zgody przełożonych, w szczególności partnera zarządzającego - czyli mojej - warknął Ackerman. - A na nią nie masz najmniejszych szans.
 - Spotkałem się z tym gościem tylko raz. Byłem jego obrońcą z urzędu w sprawie o napaść. On jej nie zabił, Chester.
 - Nie interesuje mnie twoja opinia w tej kwestii. Nie wolno ci go reprezentować. Koniec, kropka.
- Roy wstał.
- Nie podoba mi się sposób, w jaki się do mnie zwracasz.
 - Uwierz mi, jeśli sobie nie odpuścisz, będzie ci się podobał jeszcze mniej.
 - Mogę odejść.
 - Owszem. Ale niby dlaczego miałbyś to zrobić? Poświęciłbyś kurę znoszącą złote jajka dla jakiegoś bezdomnego świra

mordercy?

Roy poczuł, jak rumieniec wypływa mu na twarz.

- On nie jest świrem. To weteran. Przelewał swoją krew za ten kraj. Wciąż nosi odłamek wietnamskiego szrapnela wbity tuż obok kręgosłupa.

- Dobra, dobra. Ten człowiek zabił Diane. Musisz dokonać wyboru. Roy odwrócił się ku drzwiom.

- Dam ci znać.

- Kingman!

- Powiedziałem, że dam ci znać.

Roy wyszedł, trzaskając drzwiami.

Mace prawie nie zmrużyła oka. Tym razem jednak nie dręczyły jej koszmary o Juanicie i podrzynającej gardło Rose, które przysły wyrównać rachunki, a powracający raz po raz obraz ojca leżącego w trumnie. Właśnie skończyła dwanaście lat, Beth miała osiemnaście i szykowała się do studiów na uniwersytecie w Georgetown, który przyznał jej stypendium. W dniu pogrzebu wieko trumny było zamknięte, gdyż śmiertelne rany, jakie odniósł Benjamin Perry bardzo go oszpeciły.

Jednak Mace widziała ojca tego ostatniego dnia. Wykradła się, podczas gdy jej matka roztkliwiała się nad sobą, wypłakując się w każde napotkane ramię, a Beth robiła wszystko to, co powinna była zrobić Dana. Przyjechały do kościoła wcześniej, przed wystawieniem trumny.

Mace znalazła się sam na sam z trumną w niewielkim pomieszczeniu obok kaplicy, w której miało się odbyć nabożeństwo żałobne. Zapamiętała każdy zapach, każdy odgłos i każdy oddech z kilku minut, podczas których stała wpatrując się w wielką drewnianą skrzynię z metalowymi uchwytami, w której spoczywał jej tata. Wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego to zrobiła, ale zebrała się na odwagę, podeszła do trumny, wstrzymała oddech i otworzyła wieko.

Kiedy tylko go zobaczyła, zaczęła żałować, że nikt jej nie

powstrzymał. Wpatrywała się w ciało przez kilka strasznych sekund.

Jego twarz.

A raczej jej szczątki.

Odwróciła się i wybiegła z pokoju, zostawiając otwartą trumnę. To nie był jej ojciec. Jej ojciec tak nie wyglądał.

Mace pobiegła do łazienki, splukała głowę zimną wodą i obmyła twarz. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Nie mogła zwalczyć uczucia, że w jakiś sposób go zawiodła. Wierzyła, że gdyby zrobiła coś inaczej, gdyby coś usłyszała albo zobaczyła, jej ojciec wciąż by żył. Gdyby tylko coś zrobiła! Cokolwiek!

Moja wina. Dwanaście lat. Moja wina.

Beth zamknęła trumnę i znalazła Mace schowaną w szafie. Ona również widziała ciało ojca. Od tego dnia żadna z sióstr nigdy z nikim o tym nie rozmawiała. Tego dnia Beth przytuliła Mace przez całą wieczność, pozwalając jej się wypłakać i wytrząść i mówiąc, że wszystko będzie dobrze, że to ciało w trumnie to tylko ciało, a ich tata znalazł się już w znacznie lepszym miejscu, z którego będzie czuwał nad nimi na wieki. Dała słowo, że tak jest, a Mace jej uwierzyła, bo wiedziała, iż jej siostra nigdy nie kłamie.

Tylko dzięki siedzącej obok Beth udało jej się przetrwać nabożeństwo. Nie miały oparcia w matce, która szlochała przez cały czas, nawet wtedy, gdy żołnierz wręczył jej amerykańską flagę, stanowiącą wyraz uznania za zaszczytną służbę jej męża w Wietnamie. Kiedy gwardia honorowa oddała salwę, wszyscy zakryli uszy – wszyscy poza siostrami Perry. Mace dokładnie pamiętała, co myślała podczas dwudziestu jeden strzałów z karabinów.

Chciałam mieć broń, żeby zabić tego, kto zabił tatę.

Mace nigdy o to nie spytała, ale była pewna, że Beth myślała wtedy to samo.

Ich matka nie chciała przyjąć łusek ofiarowanych przez gwardię honorową. Wzięła je Beth, jedenaście dała Mace, a dziesięć zostawiła sobie. Mace wiedziała, że jej siostra trzyma łuski w swoim biurze, w szufladzie biurka. Kiedyś, jeszcze podczas służby w policji, spotkała się z siostrą, by omówić z nią pewne sprawy i widziała, jak zamysłona Beth otwiera szufladę, wyjmując łuski i mocno ściska je w dłoni, jakby wierzyła, że zawierają one ojcowską mądrość.

Mace napiła się wody, którą nabrała w dłoń, wróciła do sypialni, otworzyła torbę i wyjęła z niej jedenaście łusek. Beth przechowała je podczas jej pobytu w więzieniu. Przycisnęła cenne pamiątki do piersi i z płaczem próbowała wyczuć w nich mądrość najlepszego człowieka, jakiego w życiu знаła. Nie udało jej się to.

Po śmierci ojca i wycofaniu się przez matkę z życia córek Mace stała się bezbronna. Nie znosiła tego uczucia. Została policjantką częściowo dlatego, by pozbyć się go dzięki odznace i służbowemu pistoletowi. Rozpaczliwie pragnęła gdzieś przynależeć, a policja bardzo jej odpowiadała.

Czy chciała też pójść w ślady siostry, a może nawet pokazać, że na niektórych polach jest od niej lepsza? Nie mogła temu zaprzeczyć.

Pół godziny później przebrała się w strój sportowy i zrobiła serię ćwiczeń rozciągających i pompek. Krew zaczęła szybciej krążyć jej w żyłach, co było miłą odmianą po ciężkiej nocy i porannych przemyśleniach.

Słońce stało już wysoko na niebie i zrobiło się ciepło. Ucieszyło to Mace, która wciąż nie mogła opanować dreszczy. Wyszła na dwór i ruszyła biegiem. Posiadłość była duża i biegła przez nią

wyraźna ścieżka, wijąca się przez kępy drzew i wysokich krzewów. Po trzydziestu minutach biegu zatrzymała się, odwróciła i sięgnęła ręką do pasa – po broń, której tam nie było.

– Jest pani niezła – dobiegł głos. – Moje szczęście, że nie nosi pani broni.

Mężczyzna wyszedł spośród drzew. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu i był ubrany w obcisłą koszulkę khaki, która podkreślała jego potężną posturę, i dżinsy ciasno opięte na umięśnionych udach. Na nogach miał sznurowane wojskowe buty, a w kaburze przy pasie – pistolet i dodatkowy magazynek. Miał włosy zgolone na krótko, po wojskowemu, i ogorzałą twarz.

– Od dziesięciu minut stałem tu i czekałem, aż pani przebiegnie. Nawet nie drgnąłem. Mam tętno pięćdziesiąt dwa, a serce bije mi spokojnie, więc nie mogła go pani usłyszeć. Nie wydałem żadnego dźwięku. Co mnie zdradziło?

Mace podeszła do nieznanego i poklepała go po policzku.

– Musi pan używać mniej Old Spice’a albo unikać ustawiania się pod wiatr.

Mężczyzna zaśmiał się i wyciągnął rękę.

– Rick Cassidy.

– To ty służyłeś w Navy Seals?

Cassidy przechylił głowę i uśmiechnął się do niej krzywo.

– Skąd pani wie? Mam przecież koszulkę khaki.

– Większość moich znajomych z Komanda Foki lubi nosić ten kolor, bo wiedzą, że wyglądają w nim lepiej niż koledzy z piechoty. Twoja twarz nosi ślady słońca, soli i morskiego wiatru. Masz też standardowe buty marynarki, a żołnierz z twojej jednostki, z którym chodziłam, opowiadał, że nosicie pistolet H&K P9S, taki, jaki masz przy pasie. – Mężczyzna spojrzał na broń, a Mace dodała: – Ma bardzo charakterystyczną rękojeść.

- Muszę przyznać, pani Perry, opinia, jaką się pani cieszy, jest w pełni zasłużona.

- Już macie moją teczkę? A przy okazji, mów mi po imieniu.

- Sprawdzamy informacje o każdym, kto się tu pojawia, Mace.

- Nie mam nic przeciwko temu. A co ty tu robisz?

- Pan Altman to świetny gość. Złożył mi hojną propozycję. - Cassidy na chwilę zamilkł. - I pomógł mojej siostrzyczce. Zachorowała na białaczkę, a rodzice nie mieli ubezpieczenia.

- Pokonała chorobę?

- W tym roku kończy studia.

- To świetnie, Rick.

- Pan Altman chciałby się z tobą spotkać w głównym domu, kiedy będziesz miała chwilę. W kuchni pachnie świeżymi rogalikami. Herbert szaleje. A kawa jest zawsze świeża. Czeka na ciebie miejsce przy stole, ale nie musisz się spieszyć.

- Dzięki, Rick. Nie wiesz, o czym chce ze mną pomówić?

- O matce z dzieckiem i facecie o ksywce Psychol. Mówi ci to coś?

- Owszem, bardzo wiele.

- Miłej przebieżki, Mace.

- Jeszcze jedno, Rick.

- Tak?

- Przez fakt, że pracuję dla Abe'a mogą się tu kręcić nieciekawe typki, które za bardzo się mną interesują. Chciałam cię uprzedzić, tak na wszelki wypadek.

- Zawsze lepiej być z góry przygotowanym na takie sytuacje. Dzięki, Mace.

Odwróciła się i ruszyła biegiem. Kiedy obejrzała się za siebie, Cassidy'ego już nie było - zniknął między drzewami. Z wielu powodów bardzo poprawiło jej to samopoczucie. Pobiegła do

domku gościnnego, posiedziała chwilę w jacuzzi, wzięła prysznic, ubrała się i poczekała, aż wspomnienia zmarłego ojca w końcu przestaną ją dręczyć. Potem poszła do głównego domu, żeby porozmawiać o matkach, dzieciach i bandytach o ksywce Psychol.

74

Na biurku Beth Perry zadzwonił telefon.

- Komendant.
- Mam dla pani list - powiedziała jej asystentka.
- Od kogo, Donna?
- Od Mony Danforth.
- Przynieś go.

Donna Pierce wprowadziła kod, by otworzyć drzwi do gabinetu Beth, podała list swojej szefowej i skierowała się do wyjścia.

- Kto go doręczył? - spytała Beth.
- Rzecz jasna nie pani Danforth we własnej osobie - odpowiedziała panna Pierce, z trudem ukrywając uśmiech. - Trudno by jej było przyjść aż tutaj na tych dziesięciocentymetrowych obcasach. Przyniósł go jakiś mięczak w garniturku, który mało nie rzucił się do ucieczki, kiedy spytałam go, czy chciałby z panią pomówić.

- Dzięki.

Po wyjściu asystentki Beth otworzyła kopertę i rozłożyła kartkę grubego papieru listowego. Wiadomość była krótka, ale błyskawicznie podniosła jej ciśnienie. Pani komendant wstukała coś na klawiaturze i przeczytała na monitorze kilka stron tekstu, później zadzwoniła do sądu, żeby coś sprawdzić, a na koniec włączyła głośnik.

- Pierce, połącz mnie z tą wiedźmą. To pilne!

Asystentka starała się nie parsknąć śmiechem.

- Już się robi, pani komendant.

Po chwili Pierce odezwała się ponownie.

- Jej asystentka twierdzi, że nie może z panią rozmawiać.

- Połącz mnie z nią.

Beth podniosła słuchawkę.

- Komendant Perry.

- Przykro mi, pani komendant, ale pani Danforth.

- Stoi tuż obok ciebie.

- Nie, jest w sądzie.

- Przed chwilą rozmawiałam z pisarzem sądowym. W sądzie jej nie ma. - Beth zaczęła krzyczeć do telefonu:

- Mona, jeśli ze mną nie porozmawiasz, pojedę z twoim listem na Kapitol i zobaczę, co powiedzą członkowie Komitetu Sądownictwa na fakt, że zrezygnowałaś z roli obrońcy uciśnionych. W ten sposób raczej nie zostaniesz Prokuratorem Generalnym, a już na pewno nie zasiądziesz w Sądzie Najwyższym.

Beth odczekała chwilę, wyobrażając sobie, jak Mona wpada do biura, trzaska drzwiami i...

Pani prokurator warknęła:

- Słuchaj, Perry, nie zwracaj się do mnie w ten sposób przy moich pracownikach.

- Mów mi Beth lub pani komendant. Po nazwisku możesz się zwracać do podwładnych, a ja do nich nie należę.

- Czego chcesz?

- Przeczytałam twój list.

- No i? Myślałam, że mówi sam za siebie.

- Tak. Wymiękałaś, i to szybko. Chcę wiedzieć, dlaczego.

- Nie muszę ci się z tego tłumaczyć.
 - Przysłałaś mi list, z którego wynika, że umywasz ręce od śledztwa w sprawie śmierci Jamiego Meldona. Czy ktoś ci groził, że odbiorą ci nominację, jeśli nie będziesz trzymać buzi na kłódkę? Czy to, że był twoim pracownikiem, nagle przestało się liczyć?
 - Gdybyś miała trochę rozumu, też byś się wycofała.
 - Mona, to nie jest kwestia ochrony własnych interesów, tylko dobra i zła. I czegoś, co się nazywa uczciwość.
 - Daj spokój. Nie potrzebuję wykładu z etyki.
 - A co powiesz żonie i dzieciom Meldona? „Przepraszam, moja kariera jest dla mnie zbyt ważna, zapomnijcie o zabójstwie Jamiego i żyjcie dalej”?
 - Prowadzę największe biuro prokuratora okręgowego w kraju. Nie mam czasu zajmować się każdym drobnym.
 - To nie jest drobnostka, Mona. Zabójstwo to najpoważniejsza ze spraw. Ktoś pozbawił Jamiego życia.
 - W takim razie ty się tym zajmij, skoro tak ci zależy.
 - Trudno mi działać po tym, jak wyrzucono mnie z miejsca zbrodni.
 - Nie mogę ci pomóc w tej kwestii.
 - To twoje ostatnie słowo?
 - Absolutnie tak.
 - W porządku. A oto moje: zajmę się tą sprawą, a jeśli znajdę choćby cień dowodu, że ty lub ktoś z twojego biura utrudniacie śledztwo, osobiście dopilnuję, żebyś trafiła do więzienia Beth rzuciła słuchawką, odchyliła się na krześle i wzięła głęboki oddech. Jej BlackBerry wibrowało bez przerwy przez całą rozmowę.
- Zerknęła na ekran. Dziewięćdziesiąt trzy nowe e-maile,

wszystkie oznaczone jako pilne. Miała sześć spotkań umówionych jedno po drugim, a pierwsze z nich miało zacząć się za dwadzieścia minut. Później dwugodzinny patrol w radiowozie i apel w Drugiej Dzielnicy, wieczorem udział w dwóch lokalnych imprezach. Musiała też zapewnić dwuosobową obstawę prezydentowi, który zażyczył sobie zjeść lunch w swojej ulubionej knajpce w Arlington. Służby specjalne poinformowały ją o tym o szóstej trzydzieści.

Nigdy nie sypiała długo, a tej nocy wyrwało ją ze snu zabójstwo w Okręgu Dziewiątym. O czwartej położyła się na kanapie, podrzemała dwie godziny i o siódmej była w biurze. Dzień jak co dzień. Do tego dochodziła otrzymana pół godziny wcześniej informacja związana z Royem Kingmanem i jej siostrą. Znowu zawibrował telefon.

- Komendant.

Dzwoniła Pierce.

- Ludzie z opieki społecznej pytają, co zamierza pani zrobić z Alishą Rogers i jej synem. Nie mają dla nich miejsca, a z dokumentów wynika, że dziewczyna ma własne mieszkanie, więc mówią, że nic nie mogą zrobić, chyba że bardzo pani na tym zależy.

A jeśli powiem, że mi zależy, ktoś doniesie o wszystkim prasie i jutro na pierwszej stronie ukaże się artykuł o tym, jak to pani komendant nadużywa uprawnień i po znajomości załatwia miejsce potrzebne innym potrzebującym...

- Donna, przełóż pierwsze trzy spotkania na popołudnie. Spróbuj je jakoś upchnąć. Ja muszę coś załatwić. Powiedz opiece społecznej, że Alisha i jej syn są pod moją osobistą opieką.

Po chwili wyjęła komórkę i wybrała numer.

- Tu Beth. Musimy coś zrobić z tą sprawą i to zaraz.

- Wiem - stwierdził Abe Altman. - Wiem.

75

Mace właśnie kończyła śniadanie i nalewała sobie drugą filiżankę kawy, kiedy do kuchni wszedł Altman.

- Mam nadzieję, że dobrze spałaś.

- Nieźle. Kiedy biegałam dziś rano, spotkałam Ricka Cassidy'ego.

- To wspaniały młody człowiek. Zamierzał odejść z wojska, żeby być bliżej siostry, więc pomyślałem sobie, że mógłby pracować tutaj. Dziewczyna kończy studia na Uniwersytecie im. Waszyngtona i już czeka na nią praca w miejscowym oddziale Banku Światowego.

- Bardzo jej pomogłeś.

- Kiedy biedny człowiek daje coś innym, to poświęcenie. Kiedy daje człowiek bogaty, to zupełnie co innego.

- Znam bogaczy, którzy nigdy nic nikomu nie dali.

Altman, ubrany jak zwykle - w dżinsy i koszulę z długimi rękawami, nalał sobie herbaty z imbryka stojącego na kredensie, zjadł kawałek ciastka i usiadł obok niej.

- Herbert jest kuchennym geniuszem - stwierdził. - Ja mam dwa magisteria i doktorat, a nie potrafię nawet porządnie ugotować jajka.

- Ja też jestem do niczego w kuchni. A tu zjadłam dwa rogaliki i cały talerz jajeczniczy i ledwo się powstrzymałam, żeby nie wziąć

dokładki.

Altman napił się herbaty, odstawił filiżankę i spytał:

- Co to za sprawa z Psycholem?

Mace wytarła usta.

- Nic poważnego.

- To było coś bardzo poważnego. Powiedziała mi o wszystkim Carmela, która rozmawiała z Non, lokatorką z tamtego budynku. Non obserwowała waszą konfrontację przez okno. Mogliście z Royem zginąć. Czuję się okropnie. Okropnie, Mace. Kazałem bardzo dokładnie sprawdzić kandydatów, ale nie miałem pojęcia, że Alisha jest w jakikolwiek sposób związana z tym facetem.

- Pewnie dlatego, że wszyscy się go boją. Ale nic nam nie jest, no i udało nam się wyrwać stamtąd Alishę i Tylera. Beth mi pomogła.

- Wiem.

- Rozmawiałaś z nią?

- Tak. Gdyby coś ci się stało, nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

Mace położyła mu rękę na ramieniu.

- Abe, przyjąłeś mnie do pracy, bo umiem sobie radzić w takich miejscach - i wiem, jak w nich przeżyć. Popełniłam wielki błąd, zabierając ze sobą Roya. To było głupie z mojej strony i następnym razem się nie powtórzy.

- Nie będzie następnego razu.

- Co takiego?

- Nie mogę wysłać cię w tak niebezpieczne miejsca, Mace. Nie mogę ryzykować. Żadne badanie nie jest tego warte.

- Myślę, że to badanie jest. Popatrz tylko na Alishę. To dobry dzieciak. Trzeba dać jej szansę. I nie możemy zostawić tam Tylera. On wymaga specjalistycznej pomocy. A takich jak oni są

w tym mieście tysiące.

- To zbyt ryzykowne.

- Jestem gotowa podjąć to ryzyko. Zaproponowałeś mi pracę, ja przyjąłam propozycję. Teraz pozwól mi robić swoje. Abe, wiedziałeś przecież, że to niebezpieczna okolica. Dlaczego teraz nagle zaczęło ci to przeszkadzać?

- Na papierze wszystko wyglądało dobrze, ale nie działamy na papierze, tylko w prawdziwym świecie. Zdaje się, że wszystkie moje założenia nie są warte funta kłaków, skoro działają tam ludzie tacy jak Psychol.

- Dam sobie radę.

- Myślałem, że jeśli będą wiedzieć, iż starasz się pomóc ludziom mającym trudności, dadzą ci spokój.

- I dadzą. A z tymi kilkoma, którzy będą mieli z tym problem, dam sobie radę. Nie przekonasz mnie, Abe.

Oboje obejrzeni się na Beth stojącą w drzwiach, z pulchniutkim Tylerem Rogersem na rękach. Za nią stała Alisha, kurczowo trzymająca niewielką torbę.

Mace wstała od stołu.

- Alisha? Jak się macie, ty i Tyler?

Młoda matka zrobiła krok do przodu, wybałuszając oczy na widok wnętrza domu.

- Dobrze. Pani komendant Perry naprawdę dobrze się nami zaopiekowała.

Mace spojrzała na siostrę.

- Wielkie dzięki za wsparcie, Beth. Tylko ty mogłaś pomóc, kiedy pojawił się Psychol.

- Nie powinniście byli z nim zadzierać - chociaż, z tego co słyszałam, nieźle daliście sobie radę - stwierdziła Beth, a po chwili dodała:

- Czy Kingman naprawdę grał z nim w kosza jeden na jednego?
- I skopał mu tyłek - potwierdziła Alisha, nie ukrywając zadowolenia. - Patrzyliśmy z Non przez okno. Skopał mu tyłek - powtórzyła, uśmiechając się szeroko.

- Gdzie Darren? - spytała Mace.

- Kto to taki? - ostro spytała Beth.

- Mój brat. Nie przyjechał z nami. Nie wiem, gdzie jest.

- A co właściwie tu robicie? - spytała Mace.

Altman wstał i podszedł do niej.

- Dziś rano rozmawiałem o tym z Beth. Alisha i Tyler zamieszkają z nami. Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzać, jeśli zatrzymają się w zachodnim skrzydle domku gościnnego.

- Przeszkadzać? - wykrzyknęła Mace. - Ten dom jest tak olbrzymi, że będę potrzebowała mapy, aby ich znaleźć.

- Mamy mieszkać tutaj? - spytała Alisha rozglądając się. - Nie mam pieniędzy na taki dom.

- Nie pobieramy opłat - stwierdził Altman, delikatnie chwytając ją za rękę, gdy Beth przyzwalająco skinęła głową. - I będę zaszczycony, jeśli zgodzisz się, bym zaprowadził ciebie i twojego synka do waszego nowego mieszkania i pomógł wam się urządzić.

Beth oddała Tylera Alishy i Altman wraz z podopiecznymi wyszli. Pani komendant odwróciła się do siostry i popatrzyła na jej pusty kubek po kawie.

- Będziesz chyba potrzebować więcej kofeiny. Musimy porozmawiać, i to zaraz.

76

Słuchałam w nocy policyjnego radia. Słyszałam o zabójstwie w Okręgu Dziewiątym. Wiedziałam, że tam pojedziesz. Wyglądasz na zmęczoną.

Beth zdjęła czapkę i usiadła.

- Ty też jesteś padnięta. Na pewno nie z powodu niewygodnego lokum. Znów miałaś koszmary?

- Nie wiem już koszmarów.

- Na pewno?

- Beth, przytulałaś mnie, kiedy miałam dwanaście lat. Teraz już nie musisz. - Mace podała siostrze kubek czarnej kawy, nalała też sobie i usiadła. Beth upiła łyk kawy i przez chwilę podziwiała pomieszczenie.

- Nie dziwię się, że wolałaś tu zamieszkać.

- Nie podobali mi się dozorczy przed twoim domem.

- Jakoś mnie nie zaskoczyło, że potrafisz narobić sobie kłopotów nawet podczas badań naukowych.

- Mam do tego talent.

- Zamierzasz pracować dalej?

- Nie widzę powodu, by rezygnować. O czym chciałaś ze mną porozmawiać?

Beth pochyliła się do przodu.

- O Andre Watkinsie.

Mace tylko nieznacznie drgnęła, ale to wystarczyło. Beth stwierdziła.

- Tak myślałam. Byliście w A-1? My musieliśmy uzyskać nakaz przeszukania, ale dzieciak, który tam pracuje, powiedział, że przedtem skrytkę oglądali jakaś kobieta i wysoki mężczyzna, którzy naopowiadali mu o śmiertelnie chorej ciotce.

- Byłaś w mieszkaniu Watkina?

- Jest puste.

- Podczas naszej wizyty nie było.

Mace opowiedziała siostrze o mężczyźnie, na którego się natknęli i który udawał Watkina, opisała nieznanego i podzieliła się podejrzeniami, że mieszkanie zostało przeszukane.

- Szkoda, że wcześniej o tym nie wiedziałam.

- I to nie Watkins jadł kolację z Tolliver w piątek wieczorem.

- Wiem. Rysopis się nie zgadza. Wciąż szukamy Watkina - dodała Beth.

- Człowiek, który się pod niego podszył, twierdził, że jest mężczyzną do towarzystwa. Czy Watkins rzeczywiście się tym zajmował?

- Tak. Pracował w agencji. Nikt go nie widział od piątku.

- Może Tolliver przeczuwała, że spotka ją coś złego i chciała mieć obstawę.

- W takim wypadku pewnie dotarli do niego, wyeliminowali go albo zmusili do ucieczki i wysłali kogoś, żeby przeszukał jego mieszkanie i spróbował się czegoś dowiedzieć.

- I właśnie to robił, kiedy zapukaliśmy do drzwi.

- Otworzenie wam było odważnym posunięciem.

Mace wzruszyła ramionami.

- Wyjrzał przez wizjer i zauważył, że nie jesteśmy z policji, może nawet nas rozpoznał i postanowił podszyć się pod Watkina,

żeby wyciągnąć od nas informacje. Niestety, sporo mu powiedzieliśmy. – Spojrzała na Beth. – Coś jeszcze?

– Tylko kilka pytań. Co robiliście, ty i Kingman, w jego kancelarii wczoraj wieczorem? I które z was włączyło alarm przeciwpożarowy?

Mace beznamiętnie spojrzała na siostrę. Beth zastukała palcami w stół.

– Tylko on używał wieczorem karty dostępu.

– To nie może być prawda. Ci faceci.

– Jacy faceci? – przerwała jej Beth.

– Mieliśmy wczoraj nieproszonych gości. Włączyłam alarm, żeby dać nam możliwość ucieczki. Myślałam, że skorzystali z karty Diane Tolliver, żeby dostać się do budynku.

– Jak widać – nie. I pytam jeszcze raz, jacy faceci?

– Nie jestem pewna. Chyba ci sami, którzy strzelali do mnie wcześniej.

– Skąd wiedzieli, że jesteś w budynku?

Mace opowiedziała o kamerce internetowej w komputerze Tolliver.

– Sprawdzimy to. – Beth pochyliła się do przodu. – Pamiętasz, jak spytałaś mnie, co bym zrobiła na twoim miejscu? Czy ryzykowałabym wszystko, żeby rozwiązać sprawę i wrócić do służby?

– Nie odpowiedziałas.

– Nie, bo nie miałam gotowej odpowiedzi na to pytanie. Teraz ją przemyślałam.

– I?

– I nic nie jest warte powrotu do tego piekła.

– Ty tak uważasz. Ja mam swoje zdanie.

– Dlaczego to robisz?

- Już o tym rozmawialiśmy. Mona storpedowała twój plan, więc dowiedzenie mojej niewinności nic nie da. I mówiłam ci, że zamierzam pracować nad tą sprawą niezależnie od tego, ile będzie mnie to kosztować.

- Jeśli to zrobisz, jest bardzo prawdopodobne, że wrócisz do więzienia i tym razem nie wyjdiesz z niego żywa. Skąd w ogóle wpadłaś na pomysł, żeby rozwiązać sprawę i dzięki temu wrócić do służby?

- Przez ostatnie dwa lata miałam wiele czasu na przemyślenia.

- Czy miało to coś wspólnego z wizytą agenta FBI, któremu udało się wskrzesić swoją karierę mimo skazania za przestępstwo umyślne?

- Po co mnie pytasz, skoro wiesz? - odpowiedziała Mace ze złością.

- Co powiedział ci Frank Kelly?

- Dziwię się, że nie odszukałaś go i nie spytałaś o to.

- Spytałam. Powiedział, że to sprawa między nim a tobą.

- Zgadza się, Beth. To sprawa między nim a mną.

- Myślałam, że nie mamy przed sobą tajemnic.

- Jesteś komendantem policji. Nie zamierzam stawiać cię w niezręcznej sytuacji.

- Kelly miał szczęście, jakie zdarza się raz na milion.

- Zaryzykuję.

- To absurdalne.

- Nie, Beth. Absurdalne było to, że przez ponad dziesięć lat ryzykowałam życiem, by chronić ludzi, ale przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie, kiedy ktoś zrobił mnie w przestępstwo, którego nawet nie pamiętam. Straciłam dwa lata życia w więzieniu, gdzie każdy dzień mógł być moim ostatnim. Po wyjściu nie wolno mi robić tego, do czego się urodziłam.

Myślałaś, że przejdę nad tym do porządku dziennego? Że powiem sobie: „Cóż, takie jest życie?”

Kobiety mierzyły się wzrokiem. Żadna nie chciała ustąpić.

Zawibrował telefon Beth. Nie odebrała. Mace stwierdziła:

- Lepiej sprawdź, kto to. Prawo nie czeka na nikogo, nawet na wkurzone siostry.

Beth w końcu przerwała kontakt wzrokowy i chwyciła telefon.

- Komendant - powiedziała, słuchała przez chwilę, a później się rozłączyła. - To był Lowell Cassell.

- Domyśliłam się. DNA Dockery'ego nie pasuje?

- Pasuje idealnie. Bez wątpienia to jego nasienie znaleziono na ciele Diane Tolliver.

Roy siedział przy biurku, mocno ściskając w prawej dłoni miniaturową piłkę do koszykówki. Miał powody do niepokoju. Jego sekretarka Janice poinformowała go, że Chester Ackerman wysłał do wszystkich pracowników e-maila o jego związkach z domniemanym mordercą Diane. Dodała, że Roy cieszy się w tej chwili wśród kolegów z pracy równie dużą sympatią jak Osama bin Laden.

Mężczyzna próbował się bronić.

- Janice, posłuchaj. Ja.

Przerwało mu trzaśnięcie drzwiami.

Włączył komputer i zaczął sprawdzać pocztę. Obowiązki nie mogły czekać, a pracowali z Diane nad zakończeniem kilku dużych przejęć. Ackerman nie przydzielił jeszcze nikomu zadań Diane, więc Roy sam zajmował się kwestiami prawnymi. Nie przeszkadzało mu to, ale brakowało mu możliwości dyskusowania z nią o pomysłach i problemach. Żałował, że nie może pomówić z nią w tej chwili, bo był zupełnie zbity z tropu.

Diane, twoja śmierć nie ma dla mnie sensu. Czy możesz wyjaśnić mi, co się stało? Kto cię zabił?

Takie myślenie do niczego nie prowadziło. Roy wykonał kilka telefonów, poszperał w aktach, wyświetlił na komputerze kilka niedokończonych umów i przejrzał szczegółowe notatki, które

zrobił podczas niedawnego spotkania z klientem. Pracował przez kilka godzin, a później znowu sprawdził pocztę. Miał mnóstwo nowych wiadomości, część od klientów, część od przyjaciół, a kilka od kolegów z pracy. Te ostatnie zawierały prośbę, żeby się opamiętał i nie bronił zabójcy Diane.

Z niewiadomych przyczyn przewinął listę wiadomości i sprawdził pewien starszy e-mail – ostatnią wiadomość od Diane Tolliver.

Musimy skoncentrować się na A-

Skupili się, ale nic im to nie dało. Roy spojrzał niżej, na inicjały w stopce wiadomości.

DLT.

Były to pierwsze litery jej pełnego nazwiska, Diane Louise Tolliver, które widział na dyplomach wiszących w jej biurze. Zastanowił się nad tym – z jednej strony inicjały miały sens, z drugiej – czuł, że coś jest nie w porządku. Szybko sprawdził kilkanaście innych e-maili, jakie dostał od Diane w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Żaden nie kończył się jej inicjałami. Jeśli w ogóle podpisywała wiadomości, to tylko imieniem.

DLT?

Ten skrót kojarzył mu się z czymś jeszcze poza inicjałami Tolliver. Czy miała jakiś powód, aby umieszczać go w e-mailu? Może było to zabezpieczenie na wypadek, gdyby z A-1 się nie udało? Roy przypomniał sobie, jak świetnie zorganizowana i inteligentna była Diane i musiał przyznać, że bardzo prawdopodobne, iż ukryła drugą wskazówkę w tej samej wiadomości.

Ale dlaczego kierowała te wskazówki do niego? Oczywiście, pracowali razem, ale nie byli bliskimi przyjaciółmi. Z drugiej strony – może nie miała bliskich przyjaciół, skoro na miasto

wychodziła z mężczyzną do towarzystwa. Ale dlaczego nie poszła na policję? Jeśli odkryła nielegalną działalność, albo chociaż podejrzewała, że dzieje się coś złego, dlaczego nie poinformowała o tym glin? Z tego, co wiedział, Diane nigdy nie zajmowała się sprawami karnymi, ale w końcu była prawniczką i orientowała się w systemie prawnym lepiej niż większość ludzi.

Ale ja pracowałem kiedyś jako adwokat. Czy to dlatego napisała właśnie do mnie?

Nagle poczuł strach. Spojrzał na kamerkę internetową zamontowaną na monitorze. A jeśli obserwują go w tej chwili? Później jego obawy się rozwiały. Mace właśnie tutaj rozszyfrowała wskazówkę dotyczącą A-1. Rozmawiali tu o jej odkryciu. Gdyby ktoś podglądał lub podsłuchiwał, dotarłby do skrytki przed nimi.

Mimo wszystko....

Otworzył szufladę biurka, wyciągnął karteczkę samoprzylepną i szybko zakleił nią kamerę, cofając palce, jakby bał się, że go pogryzie.

Zadzwoił telefon.

- Kingman.

Dzwoniła Mace. Jej słowa zaboląły Roya bardziej niż ciosy Psychola.

- Będę za dwadzieścia minut - powiedział, chwycił kurtkę i wybiegł z biura. Kapitan zdecydowanie potrzebował adwokata.

Właśnie został formalnie oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia.

Mam, dobre wieści, Roy.

Roy i Mace siedzieli naprzeciwko Kapitana. Został wykąpany, a mokre włosy zaczesano mu do tyłu, odsłaniając siwy wdowi szpic. Z twarzy mężczyzny zniknęła część ulicznego brudu i Roy dostrzegł na niej różową skórę. Kapitan miał na sobie więzienny drelich. Wokół jego wydatnego brzucha biegł łańcuch, ale póki co nie miał zakutych rąk ani nóg.

Roy zauważył, że Kapitan musiał być kiedyś bardzo przystojny. Miał wyraziste rysy, widać było, iż miał kiedyś kwadratową szczękę, a po odgarnięciu skołtunionych włosów z twarzy okazało się, że ma zielone oczy. Prawnikowi nie umknęła ironia faktu, że weterana wykąpano dopiero wtedy, kiedy miał zostać oskarżony o morderstwo.

Roy i Mace spojrzeli po sobie, po czym mężczyzna spytał:

- A co się stało, Kapitanie?
- Znaleźli mój wózek.
- Kto? Policja?

Kapitan skinął głową.

- Przyszli mi o tym powiedzieć. Wyglądali na zadowolonych.
- Nie wątpię. Kapitanie, czy rozumiesz, co się tu dzieje?

Bezdomny westchnął głęboko.

- Chodzi o te cholerne ciastka z kremem. Wciąż te cholerne

ciastka.

- Nie zakuwają w ten sposób złodziei ciastek, Kapitanie - stwierdziła Mace, a mężczyzna przyjrzał jej się z niewinną ciekawością.

- Czy my się znamy, słonko?

- Spotkaliśmy się raz. Było to dla ciebie porażające przeżycie.

- Skoro tak twierdzisz, słonko.

Roy wychylił się do przodu.

- Pamiętasz zdjęcie kobiety, które ci wczoraj pokazywałem?

Oskarżyli cię o jej zgwałcenie i zabicie w biurze.

Kapitan zareagował dziwnie - wybuchnął śmiechem.

- Wiem. Mówili mi. Ale to tylko żarty, Roy.

- Nie zrobiłeś tego?

- Nie. Ale nakryli mnie na ciastkach z kremem. No i na narzędziach. Faktycznie je wziąłem, Roy, i poszedłem je sprzedać.

- Spojrzał na Mace i dodał żałośnie: - Dostałem za nie trzy dolary, słonko. Facet w turbanie mnie orznął.

- Prawda, mówiłeś mi o narzędziach - stwierdził zniecierpliwiony prawnik.

- Roy, będziesz moim adwokatem?

Mace spojrzała na Roya wyczekująco.

- Będziesz jego adwokatem?

Roy zawahał się, ale tylko przez krótką chwilę.

- Tak, będę.

- W takim razie mam dla ciebie pieniądze - powiedział Kapitan.

- W porządku.

- Mam dwieście dolarów. Gliniarze mi je zabrali, ale obiecali oddać.

- Skąd wziąłeś tyle pieniędzy? - szybko spytała Mace.

Kapitan zrobił zawstydzoną minę i powiedział łamiącym się

głosem:

- Nie mogę powiedzieć. Nie wypada. Nie przy tobie, słonko.

Roy wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- Wiesz, co to jest DNA?

Kapitan zmrużył oczy.

- Chyba wiem - stwierdził nieprzekonująco.

- Znaleźli twoje DNA na ciele tej kobiety.

Kapitan uśmiechnął się szeroko.

- I teraz mi je oddadzą? - Spojrzał na Mace. - No bo jest moje, prawda? Więc oddadzą mi mój wózek, moje pieniądze i moje DNA. I przysięgam na Boga, że nigdy więcej nie tknę cudzych ciastek.

Roy jęknął cicho i oparł się o ścianę. Mace podeszła do niego i szeptem zapytała:

- Zawsze miał takie problemy z głową?

Roy odpowiedział cicho:

- Bez problemu prowadzi prostą rozmowę i rozumie podstawowe pojęcia, ale z abstrakcyjnymi zupełnie sobie nie radzi. Kiedy reprezentowałem go w sprawie o napaść trzy lata temu, zaczynał wykazywać pierwsze oznaki demencji. Dostał wyrok w zawieszeniu głównie dlatego, że oskarżyciel też służył w Wietnamie. Ale to była tylko napaść. Przy morderstwie pierwszego stopnia nie będzie zmiłuj się. Problem w tym, że jest w stanie nawiązać rozmowę i rozumie pewne rzeczy, więc nikt nie da się przekonać, iż nie wiedział, co robi.

- Morał z tego taki, że jeśli wariować, to na całego.

- Znaleźli jego nasienie na ciele Diane. I przyznał, że był w tym czasie w budynku. Jak mogę go wybronić, do cholery?

- Nie możesz. Musimy odkryć prawdę. To jedyny sposób.

- A co, jeśli okaże się, że naprawdę zgwałcił i zabił Diane? Co

wtedy?

- Nie wiem. Ale przeczucie stanowczo mówi mi, że ta sprawa śmierdzi.

- Jeśli uda ci się przekonać przysięgłych, żeby posłuchali twojego przeczucia, daj znać. - Roy odwrócił się z powrotem do Kapitana i wyjął z aktówki notatnik i długopis. - Kapitanie, postaraj się skupić. Musimy omówić, co się działo o której godzinie. Dasz radę?

Mężczyzna się zmartwił.

- Nie wiem. Zabrali mi zegarek, Roy, a nie znam się na godzinach, jak nie mam zegarka.

- W porządku, możesz skorzystać z mojego. - Zdjął zegarek i oddał go klientowi.

Mace stwierdziła:

- Wy sobie pogadajcie, a ja pójdę porozmawiać z siostrą.

79

Kiedy Mace przyjechała do biura Beth, jej siostra pośpiesznie pakowała dokumenty do aktówki.

- Mam dwie minuty, Mace. Jestem spóźniona na masę spotkań.

- Przejdę się z tobą. A przy okazji, dzięki za pomoc w sprawie Alishy i Tylera.

- Rozumiem, że jesteś tu, bo znów potrzebujesz pomocy. - Kiedy Mace nie odpowiedziała, Beth dodała: - Poinformowano mnie, że przyszlście do Dockery'ego. Czy Kingman będzie go reprezentował?

- Na to wygląda. Dockery powiedział, że znaleźliście jego wózek.

- To prawda. Czy Kingman chciałby wiedzieć, co było w środku?

- I tak będziesz musiała mu powiedzieć, Beth.

- Otrzyma wszelkie niezbędne informacje o materiale dowodowym z biura prokuratora. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- Jak to „masz nadzieję”?

Beth znacząco spojrzała na siostrę.

- Zgadnij, kto prowadzi sprawę.

- Cholera, chyba nie Mona? Ma w biurze pełno specjalistów od prawa karnego, którzy powinni się tym zająć.

- Naprawdę myślałaś, że odpuści sobie taką sprawę? Kobietę

sukcesu, współpracę w kancelarii z Georgetown zabiją i wepchniętą do lodówki przez bezdomnego świra? Prasa będzie się o tym rozpisywać bez końca. Mona pewnie właśnie robi sobie manicure i fryzurę. Czarną robotę zostawi innym, ale mogę się założyć, że będzie reprezentować Biuro Prokuratora Okręgowego na wszystkich konferencjach prasowych i podczas innych wystąpień w mediach. Zapewne wygłosi też mowę końcową. Jeśli będzie to konieczne.

- Dlaczego miałyby nie być?

- Słyszałaś kiedyś o ugodzie obrończej? Ale Mona zgodzi się ją zawrzeć tylko wtedy, jeśli wasz podopieczny do wszystkiego się przyzna. Nic innego nie skłoni jej do rezygnacji z szansy na występ w programie Larry'ego Kinga.

- A co znaleźli w wózku?

- Majtki Tolliver i jej torebkę. W środku były karty kredytowe, komórka i karta wstępu do biura, ale brakowało gotówki.

Mace natychmiast przypomniało się, co powiedział Kapitan.

Mam dwieście dolarów.

- Przy Dockerym znaleziono dwieście dolarów - stwierdziła Beth, jakby czytała w myślach siostry. - Źle to wygląda, Mace.

- Wciąż nie wierzę, że ten człowiek to zrobił. Zwróć uwagę na wszystkie inne wątki. Klucz, który Diane wysłała Royowi, ten cały Andre Watkins i koleś myszkujący po jego mieszkaniu, ludzie, którzy mnie ścigali. Jak to się wszystko wiąże z zabójstwem Tolliver?

- A nie pomyślałaś, że może wcale się nie wiąże? Zgadza się, że w związku z Tolliver i z tobą dzieją się dziwne rzeczy. Ale zabójstwo dokonane przez Dockery'ego mogło być przypadkowe i w żaden sposób z nimi niepowiązane.

- Wiedziałaś, że to powiesz.

- Czemu?
 - Bo to takie, cholernie logiczne!
 - Przepraszam, że jestem taka cholernie logiczna.
 - Słuchaj, Dockery powiedział, iż policja znalazła jego wózek, co znaczy, że przedtem go zgubił. Każdy mógł podrzucić do niego te rzeczy i zostawić inne fałszywe tropy znalezione na miejscu zbrodni.
 - A nasienie w pochwie ofiary? Czy Kingman będzie twierdził, że je także podrzucono?
 - Wierz mi, rozumiem, o co ci chodzi.
 - Jak odniesie się kancelaria do faktu, że Kingman broni człowieka oskarżonego o zabójstwo jednego ze współników?
 - Zapewne niezbyt przychylnie.
 - Więc czemu Kingman się tego podjął?
- Mace spojrzała na nią z irytacją.
- Dlaczego nigdy nie mówisz o nim Roy?
 - Po imieniu mówię tylko przyjaciółom, no i Monie, ale to tylko dlatego, że wiem, iż nie znosi swojego imienia.
 - Podjął się tego, bo podobnie jak ja uważa, że Dockery jest niewinny.

Kiedy szły korytarzem, Beth stwierdziła:

- Nie zastanowiło cię, jak ktoś taki jak Dockery zdołał wśliznąć się do budynku niezauważony? Dla mnie wygląda to tak, jakby pomagał mu ktoś z wewnątrz.
- Do czego zmierzasz?
- Może twój przyjaciel prawnik reprezentuje Dockery'ego, żeby uciszyć sumienie? Pomógł mu dostać się do budynku, starszek wpadł w szal i zabił Tolliver, a Kingman wkroczył do akcji, żeby wybawić go z kłopotów.
- Myślisz, że zdaniem Roya Dockery jest winny?

- Mace, wiesz przecież, że większość ludzi oskarżonych o popełnienie przestępstwa jest winna.

- Wiesz co, siostro?

- Co?

- Ja nie byłam.

80

- Mogę tu zapalić? - spytał Kapitan.

- Nie, w całym budynku obowiązuje zakaz palenia - wyjaśnił Roy, zapisując coś w notatniku.

- Hej, kiedy będę mógł coś zjeść?

- Niedługo.

- Jestem głodny.

- Wiem. No dobrze. Wszedłeś do środka w piątek, niedługo po szóstej. Ukryłeś się w schowku przy schodach na parterze. Później, koło ósmej, poszedłeś na czwarte piętro i tam spędziłeś weekend. O której wyszedłeś w poniedziałek rano?

- Nie pamiętam.

- Spróbuj sobie przypomnieć, Lou.

Kapitan wydawał się zbity z tropu faktem, że został nazwany po imieniu. Roy to zauważył i wyjaśnił:

- Jesteś teraz moim klientem. Muszę zacząć używać twojego prawdziwego imienia.

- Mówię ci, te cholerne ciastka i tak były nieświeże. O co tyle szumu?

Roy przejechał ręką po włosach - zastanawiał się, dlaczego nie zaczęły wychodzić garściami pod wpływem stresu, w jakim się znajdował.

- Nie o to, że ukradłeś ciastka z kremem. Oskarżają cię

o zabójstwo. – Wymierzył w Kapitana długopis. – Lou, możesz nie rozumieć całej reszty, ale to musi do ciebie dotrzeć.

– Nikogo nie zabiłem. Pamiętałbym coś takiego.

– Błagam, nie mów tak więcej. Nigdy, nikomu. A dowody wskazują na coś wręcz przeciwnego – na to, że zgwałciłeś i zabiłeś tę kobietę.

– Dlatego zatrudniłem ciebie. Płacę dwieście dolców. Możesz mi przysłać rachunek.

Przyślę, na adres więzienia, w którym będziesz musiał spędzić resztę życia.

– Poza tym to straszne skąpiradła.

– Kto?

– Ci ludzie od ciastek. No a potem usłyszałem kościelne dzwony.

Roy odłożył długopis i bezradnie popatrzył na siedzącego przed nim mężczyznę. Wyglądało na to, że Kapitan do reszty stracił kontakt z rzeczywistością.

– Kościelne dzwony?

– Tak. Po co zamykali tę lodówkę?

– Jaką lodówkę?

– Tę, co stała tam, gdzie nocowałem. Nie zamykali toalety. Ani ciastek. I nigdy nie trzymali za dużo jedzenia w lodówce, więc po co ją zamknęli?

– W jaki sposób ją zamknęli?

Kapitan zatoczył rękami koło.

– Wielkim, starym łańcuchem.

Roy momentalnie przypomniał sobie Mace trzymającą w dłoniach „wielki, stary łańcuch”, którym zamierzała się bronić poprzedniej nocy, kiedy czekali na czwartym piętrze na swych tajemniczych prześladowców.

- Czy owinęli nim lodówkę, żeby nie dało się jej otworzyć?
- No a niby po co? I założyli wielką, starą kłódkę. Próbowałem otworzyć ją nożem, ale nic z tego. Pewno mieli tam pepsi. Jest lepsza od coli.

- Czy lodówka była owinięta łańcuchem, kiedy przyszedłeś na czwarte piętro?

Kapitan zastanowił się nad tym.

- Nie wiem. Chyba od razu poszedłem spać. Kiedy się obudziłem, łańcuch już tam był.

- To ma sens, Lou. Zauważyli, że z lodówki ginie jedzenie i zaczęli ją zamykać, wychodząc z pracy.

- Ano tak. Nie pomyślałem o tym. Bystrzak z ciebie, Roy. Cieszę się, że jesteś moim adwokatem.

- No dobrze, a co z kościelnymi dzwonami?

- Aha. Nie było tam nic do jedzenia, więc nie mogłem tam zostać. Poszedłem zdobyć jakieś żarcie.

- A dzwony? Chodzi o to, że wyszedłeś w niedzielę?

- Na pewno nie mogę zapalić?

- Na pewno. Mówiłeś o kościelnych dzwonach?

Kapitan zapytał z bezmyślnym wyrazem twarzy:

- Kościoły dalej są czynne w niedzielę czy wymyślili sobie jakiś inny dzień?

- Msze wciąż odprawia się w niedzielę. - Roy zaczął gorączkowo myśleć. Do biurowca docierały odgłosy dzwonów z kilku kościołów. Sam słyszał ich bicie, kiedy pracował w weekendy. - Czyli nie spędziłeś w budynku całego weekendu, tylko wyszedłeś w niedzielę?

- No tak. Nie powiedziałem ci tego wcześniej?

- Nie! - krzyknął Roy. - Wcześniej mówiłeś, że wyszedłeś w poniedziałek rano. - Wziął głęboki oddech i upomniał się, że

jego klient co prawda dobiega sześćdziesiątki, ale ma umysł dziecka. Powiedział spokojniejszym tonem – Rozmawiamy o tym od ponad godziny, a ty ani razu o tym nie wspomniałeś, Lou.

Kapitan podniósł zegarek Roya.

– Bo to nie mój zegarek, Roy. Nie znam się na tych godzinach, które pokazuje twój.

W innej sytuacji Roy pewnie by się roześmiał.

– No dobrze, a czy po tym, jak wyszedłeś z budynku, wróciłeś jeszcze do niego?

– Co to, to nie. Po co miałbym to robić? Przecież nie było tam jedzenia. Poszedłem zdobyć coś do żarcia.

– Kupiłeś jedzenie czy je znalazłeś?

– Mam dwieście dolarów. Kupiłem.

– Gdzie?

– W małym spożywczaku. Prowadzi go koleś, z którym walczyłem w Wietnamie. Tylko, że teraz mnie lubi. Nigdy mnie nie wygonił tak jak inni.

Roy nagle doznał olśnienia.

– Mówisz o tym sklepiku obok Starbucksza przy Wisconsin? – Kilka razy kupował tam jedzenie na lunch i znał właściciela.

– Zgadza się. Mówiłeś o Starbucksie? Napiłbym się kawki.

– A o której zrobiłeś te zakupy w niedzielę?

– Wystawiają przed drzwi skrzynki bananów i jabłek, jak wtedy, kiedy byłem mały. Teraz to on mnie lubi, ale w Wietnamie próbowaliśmy się nawzajem wystrzelać. Dobrze go pamiętam. On postrzelił mnie, a ja jego. Nazywa się Yum-Yum, czy jakoś tak.

Roy wiedział, że Kapitan nie walczył przeciwko Yum-Yumowi, który naprawdę nazywał się Kim Sung, nie pochodził z Wietnamu, a z Korei Południowej i niedawno skończył czterdzieści lat. Ale to nie miało znaczenia. Nawet gdyby mężczyzna potwierdził, że

widział Kapitana poza biurowcem w niedzielę, nie wykluczało to możliwości, iż bezdomny wśliznął się z powrotem na czwarte piętro, a w poniedziałek zaatakował Diane. Mimo wszystko był to jakiś krok do przodu.

- Czy kiedy kupowałeś banany, wciąż słyszałeś dzwony?

- Tak.

- A słońce było wysoko na niebie?

- Tak.

- No dobrze, a niedziela w nocy i poniedziałek rano?

Kapitan spojrzał na niego zaniepokojony.

- Co z nimi? Były, prawda?

Roy przycisnął pulsującą bólem lewą skroń.

- Tak, były. Wszystko o czasie. Ale jeśli uda nam się znaleźć ludzi, którzy widzieli cię w niedzielę w nocy i w poniedziałek rano, będziemy mogli powiedzieć policji, że nie zabiłeś. Że nie ukradłeś ciastek w niedzielę ani w poniedziałek.

W szmaragdowych oczach Kapitana w końcu pojawił się błysk zrozumienia.

- No tak. Bo to prawda. Nie ukradłem. Nigdy więcej cholernych ciastek. I tak były nieświeże. A smaku starych ciastek nie poprawi nawet pepsi.

- W porządku. Porozmawiam z Kimem, to znaczy z Yum-Yumem, i spiszę jego zeznania. Czy widział cię ktoś jeszcze?

- Nie. Poszedłem nad rzekę, wczółgałem się do kanału odpływowego i tam spałem.

- I nikogo nie widziałeś? Żadnego porannego wioślarza? Nie spotkałeś nikogo, kiedy rano wyszedłeś z rury?

- Muszę się zastanowić, Roy. I jestem zmęczony.

Kapitan położył głowę na stole i w jednej chwili zasnął.

Roy patrzył na niego myśląc o tym, jak łatwo byłoby mu po

prostu wstać i wyjść, wrócić do wygodnej i dobrze płatnej pracy w eleganckim Georgetown. Nie potrzebował kłopotów, nie chciał obrywać za to, że broni przegranej sprawy zabójcy. Ackerman miał rację. Jak mógł poświęcać dla tego kurę znoszącą złote jajka.

Nie poddał się jednak – wciąż patrzył na człowieka, który poświęcił swoje życie, by Amerykanie mogli dalej być grubi i szczęśliwi.

Powiedział zmęczonym, ale spokojnym głosem:

- Zrobię dla ciebie, co w mojej mocy, Kapitanie. A nawet jeśli nie wygramy, obaj zginiemy w boju.

Kapitan odchrząknął, wyprostował się i niepewnie rozejrzał wokół siebie.

- Czy słonka nie ma?

- Słonka? Aha, nie, jeszcze nie wróciła.

- Chodzi mi o te dwieście dolarów, Roy.

- Kapitanie, nie musisz mi płacić. Robię to pro bono, czyli pracuję za własne pieniądze.

- Chodzi o to, jak je zdobyłem. - Kapitan wyglądał na zawstydzonego. - Nasikałem do kubka.

- Słucham?

Weteran wbił wzrok w blat stołu i powtórzył cicho:

- Nasikałem do kubka.

Roy, wciąż zbity z tropu, nachylił się do klienta.

- Ktoś zapłacił ci dwieście dolarów za to, że nasikałeś do kubka?

- No, nie nasikałem. Zrobiłem co innego. - Teraz Roy mógł podziwiać róż na policzkach Kapitana, który wyraźnie się zarumienił.

- Co innego?

- Dali mi pisemko do pooglądania. Nie mogłem powiedzieć tego

przy słońku.

- Pisemko?

- Takie z panienkami. I nie sikałem, tylko. No wiesz. Zrobiłem co innego.

- To znaczy?

Kapitan spojrzał na Roya znacząco.

- Dali mi dwieście dolarów za obejrzenie pisemka z panienkami.

Roy wychylił się do przodu i chwycił Kapitana za ramię.

- Gdzie to było?

- W Georgetown. Niedaleko stąd.

- W klinice leczenia bezpłodności? W banku spermy?

Kapitan spojrzał na niego tępo.

- Nieważne. Pamiętasz, kiedy to się działo?

- Było jasno.

- Rozumiem. Pamiętasz może, gdzie to zrobiłeś?

- Hmm... W jakimś białym budynku.

- A czy możesz opisać osobę, która kazała ci, hmm, nasikać do kubka?

- To był jakiś facet.

- Nieważne. Znajdę to miejsce! - Roy szybko zamknął aktówkę i wybiegł z pokoju.

81

Mace wyszła z rezydencji i poszła do domku dla gości. Alisha i Tyler siedzieli przy stole w jadalni i jedli przygotowany przez Herberta posiłek. Mace usiadła obok chłopca, który na przemian pałaszował purée ziemniaczane i pił mleko wielkimi łykami.

- Wiem, naprawdę nieźle tu karmią - stwierdziła Mace, przyglądając się maluchowi.

- Mieszkasz tu? - spytała Alisha.

- Póki co. Urządziłaś się już?

Dziewczyna skinęła głową.

- Nie mogę w to uwierzyć. Jeszcze wczoraj byłam w swoim maleńkim mieszkaniu, potem w ośrodku opieki społecznej, a teraz. To jest jak sen. Jak film. - Z zachwytem rozejrzała się po przestronnym pomieszczeniu.

- Tylerowi chyba też się podoba.

- Poczekajcie, aż pokażę wam salę gimnastyczną. Jest tam kryte boisko do koszykówki.

Chłopiec wybałuszył oczy.

- Słyszałeś, Ty? - powiedziała jego mama. - Boisko do koszykówki.

- Lubi kosza?

- O tak. Nie bardzo umie grać, ale lubi się przyglądać. Patrzył z okna, jak twój przyjaciel skopał tyłek Psycholowi. Szkoda, że nie

widziałaś, jak wtedy podskakiwał i klaskał.

- Tyler, jeśli chcesz, mogę pokazać ci niezłe zagrania - zaproponowała Mace.

Malec wziął do buzi kolejny kęs jedzenia i spojrzał na mamę.

- To by było fajnie, prawda Ty?

Chłopiec szybko pokiwał głową.

Po posiłku poszli na salę gimnastyczną. Mace wzięła piłkę i udała się z Tylerem na boisko, a Alisha im się przyglądała. Mace zakozłowała między nogami, zrobiła obrót i rzuciła. Piłka przeleciała przez obręcz, prawie nie dotykając siatki.

Rozpromieniony Tyler spojrzał na mamę. Alisha zaczęła klaskać, Ty poszedł za jej przykładem, machając małymi rączkami.

- Poczekaj chwilę, Ty.

Mace podbiegła do przełącznika na ścianie, służącego do zmiany wysokości kosza, opuściła tablicę na mniej więcej półtora metra nad ziemią i wróciła do chłopca. Pokazała mu, jak trzymać piłkę i pomogła wykonać kilka pierwszych rzutów. Trzy razy spudłował, ale za czwartym rzucił celnie.

Tyler otworzył buzię i chociaż nie wydał żadnego dźwięku, było jasne, że krzyczy z radości. Mace pokazała mu, jak rzucać odbijając piłkę od tablicy. Za każdym razem, kiedy trafiał do kosza, otwierał buzię, unosił rączki w górę i patrzył na mamę. Po kilku minutach Alisha i Mace zaczęły ganiać kozłującego Tylera po całym boisku. Pół godziny później kobiety usiadły na rozkładanych krzeselkach na trybunach, a maluch wciąż biegał z piłką.

- Przyznaję się bez bicia, nie mam już siły - stwierdziła Mace, patrząc na biegającego chłopca.

- Mnie też potrafi wykończyć. Nasze mieszkanie jest za małe,

żeby mógł się zmęczyć, ale lepsze to niż ulica.

- Powinnaś się cieszyć, że się z tego wyrwałaś, Alisha. I to bardzo.

- Ten człowiek, pan Altman, powiedział, że możemy tu zostać, jak długo będziemy chcieli. I że załatwił kogoś, kto zbada Tylera.

- To bardzo dobry człowiek. Jeśli ktoś może pomóc twojemu synkowi, to właśnie on.

Alisha rozejrzała się po olbrzymim budynku.

- Ale nie możemy zostać tu za długo. Muszę znaleźć porządną pracę, dobrze zaopiekować się Tylerem i nauczyć się sobie radzić.

- To wszystko przyjdzie z czasem, Alisha. To część programu. Pan Altman wyjaśni ci dokładniej, o co chodzi.

- Tak, mówił mi o tym. Chce, żebym zrobiła maturę, a potem może nawet poszła na studia.

- To świetnie!

Dziewczyna wyglądała na zmartwioną.

- No nie wiem. Ludzie na studiach są naprawdę mądrzy. A ja? Nie potrafię się nawet porządnie wysłować.

- Wysławiasz się zupełnie dobrze. I ciekawe, ilu studentów dałoby sobie radę w twojej sytuacji. Poradzisz sobie. Też jesteś mądra.

Alisha się uśmiechnęła.

- Mówisz jak moja babcia. Ona powtarzała, że mogę być, kim tylko chcę.

- To prawda.

Alisha wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni Mace.

- Dziękuję.

- Rozmawiałaś z Darrenem?

- Nie. Myślałam, że zadzwoni, ale się nie odezwał.

- Czy wie, co zrobił ci Psychol?

- Nie trzeba mu było mówić. To się stało, kiedy był w więzieniu.

- Za co tam trafił?

- Kradzieże samochodów i takie tam. Głupia sprawa. Zadawał się z bardzo złymi ludźmi. Ale jest mądry. Bardzo dobrze się uczył. Poszedł do pracy, żeby pomóc mnie i babci. Ale potem babcia zachorowała, a nie miała ubezpieczenia, więc musiał zarabiać więcej.

- Handlując narkotykami i kradnąc samochody?

Alisha skinęła głową.

- Aresztowali go w moje urodziny. Właśnie skończyłam dwanaście lat. Darren kupił mi sukienkę i poszliśmy na lody do kawiarni na dworcu. Tam dopadli go gliniarze. Nie widziałam go, dopóki nie wyszedł z więzienia. Wywieźli go aż do Ohio. Nie dałam rady pojechać tam z Tylerem.

- Myślisz, że może próbować dopaść Psychola?

Alishy zatrzęsły się usta.

- Modłę się, żeby nie zrobił takiej głupoty. Psychol by go zabił.

- Zrobimy, co w naszej mocy, żeby tak się nie stało. - Mace spojrzała na Tylera, który wycelował i trafił do kosza. - Myślę, że Ty potrzebujesz wujka, a z tego, co widziałam w twoim mieszkaniu, Darren naprawdę nieźle sobie z nim radzi.

- Kocha Tylera, a Tyler jego. To dziwne, bo nie spędzili ze sobą zbyt dużo czasu, ale jest tak, jakby znali się od dawna. Wie pani, o co mi chodzi?

Mace skinęła głową, a później spojrzała na drzwi hali, które gwałtownie się otworzyły.

- Darren! - krzyknęła Alisha i zerwała się z miejsca.

Tyler przestał kozłować i spojrzał na wujka.

Za Darrenem pojawił się Rick Cassidy, który trzymał rękę na jego ramieniu.

- Znacie tego gościa? - spytał.

- Tak - potwierdziła Mace. - Co się stało?

- Złapałem go, jak wspinał się po południowym murze - wyjaśnił Cassidy.

Mace podeszła bliżej i zauważyła, że ochroniarz trzyma Darrena na muszce małego pistoletu.

- Nie mogłem tak po prostu podejść do drzwi takiej chaty i zapukać - ponuro stwierdził Darren.

- Trzeba było spróbować - stwierdziła Mace z przyganą w głosie.

- Wpuścilibyśmy cię.

- Taa, akurat.

- Rick, możesz opuścić broń - cicho powiedziała Mace, kiedy zobaczyła, że Ty biegnie w ich stronę.

- W porządku. Mam też dwie spluwy, które zabrałem jemu.

- Na razie je zatrzymaj.

- Jesteś pewna, Mace?

- Tak.

Rick włożył pistolet do kabury i poklepał Darrena po ramieniu.

- Całkiem nieźle ci szło włożenie po tej ścianie, no i jesteś szybki jak błyskawica. Nadawałbyś się do Komanda Foki.

- Taa? Nie zamierzam robić tam kariery.

- Nigdy nic nie wiadomo - stwierdził Cassidy, odwrócił się i wyszedł.

Alisha przytuliła brata, a Ty chwycił go za nogi.

- Dobra, dobra, mały, tylko mnie nie przewróć - powiedział Darren z udawaną złością, pochylił się do Tylera i wziął go na rękę.

- Martwiłam się o ciebie - stwierdziła Alisha. - Próbowałam dzwonić, ale nie odbierałeś.

- Miałem dużo roboty.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jej szukać? - spytała Mace.

Darren się uśmiechnął.

- Ta pani z opieki społecznej, Carmela, chyba mnie lubi. Poza tym Brzytwa ma swoje sposoby. - Zerknął w stronę drzwi. - Czy ten koleś naprawdę służył w Navy Seals?

- Tak. Masz szczęście, że potraktował cię ulgowo.

- Kiedy złapał mnie za ramię, nie mogłem się wyrwać z jego uchwytu. Jakby miał łapy ze stali.

- Witaj w świecie służb specjalnych.

Darren rozejrzał się wokół siebie.

- Co to za miejsce, do cholery?

Tyler zeskoczył na ziemię, chwycił piłkę i podał wujkowi. Darren złapał ją, kilka razy odbił między nogami i podał z powrotem chłopcu, który pobiegł z piłką po boisku i wrzucił ją do kosza.

Darren spojrzał na siostrę.

- Kto go tego nauczył?

Alisha wskazała Mace.

- Ona.

- Hej, Brzytwa, pograj trochę z siostrzeńcem. I zapomnij o Psycholu - stwierdziła Mace.

- To się nie uda. Nawet jeśli zajmę się Tylerem.

- Ale właśnie dla niego powinienesz sobie odpuścić. Ty i Alisha cię potrzebują, Darren. Nie martwego i nie w więzieniu. Pozwól, że ja się zajmę Psycholem.

- A to niby w jaki sposób? Gównu możesz mu zrobić.

- Proszę tylko, żebyś pozwolił mi spróbować. To wszystko.

- Proszę, Darren - powiedziała Alisha. - Proszę - powtórzyła, mocno ściskając go za ramię.

Darren przez chwilę spoglądał to na jedną, to na drugą z kobiet, w końcu wyrwał się z uchwytu Alishy.

- Pójdę pokazać młodemu, jak się gra w kosza na ulicy.

Pobiegł na boisko do Tylera.

Zawibrował telefon Mace. Dzwonił Roy. Mówił krótko, rzeczowo i bardzo zaskakująco.

- Alisha, muszę na chwilę wyjść. Zrelaksuj się tu, a ja niedługo wrócę, dobrze?

- Jasne.

Mace pobiegła do ducati.

82

- Potomac Cryobank sp. z o.o. Jesteś pewien, że to tutaj? - spytała Mace, gdy przeczytała tabliczkę na drzwiach.

Stali z Royem przed białym, murowanym budynkiem tuż przy M Street w Georgetown. Przyjechali jej motocyklem, ale miejsce było oddalone o mniej niż dziesięć minut spacerem od kancelarii Shilling & Murdoch.

- Kliniki leczenia bezpłodności i banki spermy nie stoją na każdym rogu. Z tego, co mówił mi Kapitan, wynika, że to tu. To jedyny budynek położony na tyle blisko, żeby dało się tu dojść piechotą. No i jest biały.

Weszli do środka i zmarnowali pięć minut na bezowocne dyskusje z recepcjonistką. W końcu wyszła do nich szczupła kobieta w białych spodniach, niebieskim fartuchu i butach na gumowych podszewkach, zaprowadziła ich do pokoju wydzielonego z holu i usiadła z nimi przy niewielkim stoliku.

- O co właściwie chodzi? - spytała surowo.

Roy wyjaśnił sytuację na tyle, na ile mógł.

- To absurdalne - stwierdziła kobieta.

- Dlaczego? - spytał Roy.

- Ten człowiek twierdzi, że tak po prostu wszedł tu z ulicy i dostał dwieście dolarów za oddanie nasienia?

- Zgadza się. Czemu to absurdalne?

- Nie wie pan zbyt wiele o tym, jak działają banki spermy, prawda, panie Kingman?

- Przyznaję, że nie. Nigdy nie musiałem z nich korzystać. Byłem całkiem zadowolony z własnego nasienia.

- Po to tu jesteśmy - szybko dodała Mace. - Żeby się czegoś dowiedzieć.

Kobieta wyszła i po chwili wróciła z grubym plikiem papierów, który położyła na stole przed Mace i Royem.

- Najpierw wyjaśnię państwu, jakie warunki trzeba spełnić, aby zostać dawcą nasienia - powiedziała z irytującą wyższością. Pokazała im kilka kartek. - Oto formularze, które należy wypełnić, aby zacząć ubiegać się o zostanie dawcą. Są również dostępne na naszej stronie internetowej. - Pokazała im jeden z formularzy. - To wstępny formularz dla dawców. Jak państwo widzą, jest długi i wymaga podania mnóstwa informacji o stanie zdrowia, warunkach fizycznych, wykształceniu i innych istotnych czynnikach. Jeśli kandydaci przejdą tę fazę - a wielu się to nie udaje - otrzymują drugą aplikację, obejmującą dane o stanie zdrowia rodziny na przestrzeni trzech ostatnich pokoleń. - Pokazała im kolejnych kilka stron. - Mówię o tej. Później następuje badanie próbki, obejmujące osobistą rozmowę na terenie placówki i ocenę jakości nasienia. Kandydaci mają dostarczyć od trzech do czterech próbek w ciągu dwóch tygodni. Później oceniana jest jakość nasienia i jego odporność na zamrożenie.

- Odporność na zamrożenie? - spytała Mace.

- Za chwilę do tego dojdę. Potencjalni dawcy poddawani są też oczywiście badaniom w kierunku chorób zakaźnych, takich jak AIDS, syfilis, rzeżączka, wirusowe zapalenie wątroby typu B i C, a także chorób genetycznych. Sprawdza się także grupę krwi,

czynnik Rh i tak dalej. Muszą też przejść ogólne badanie internistyczne, prowadzone przez własnego lekarza lub naszego specjalistę. Jeśli dawca zostanie zaakceptowany, oczekujemy od niego współpracy przez sześć miesięcy. W tym czasie musi oddawać nasienie raz w tygodniu.

- Czy płacicie państwo dawcom? - spytał Roy.

- Oczywiście. Nie przechodzą wszystkich tych procedur z dobrego serca. Wynagrodzenie wynosi od stu do czterystu dolarów za akceptowalną próbkę. Jego dokładna wysokość zależy od jakości nasienia i stażu dawcy w programie.

- W jaki sposób pobiera się nasienie? - spytał Roy.

- Prawie zawsze tu, na miejscu, zwykle poprzez masturbację do szczelnych pojemników. Nasienie może być także pobierane chirurgicznie, ale tutaj tego nie praktykujemy.

- Powiedziała pani „prawie zawsze” - zauważyła Mace.

- Zdarza się, że w nagłych przypadkach dokonujemy pobrania gdzie indziej, ale może się ono odbyć wyłącznie w szpitalu, przychodni lub, bardzo rzadko, w domu dawcy. W takich przypadkach zapewniamy dawcom specjalne prezerwatywy do pobierania nasienia, a próbki muszą być do nas dostarczone w ciągu jednej-dwóch godzin, bez wystawienia na działanie ekstremalnych temperatur. W przeciwnym razie nie są akceptowalne. Jednak w ciągu siedmiu lat, które tu przepracowałam, tylko dwa razy pobieraliśmy nasienie poza ośrodkiem. Jak państwo widzą, chcemy kontrolować wszystkie fazy tego procesu.

- W przypadku pobrania poza ośrodkiem nie da się ustalić, czy nasienie rzeczywiście pochodzi od danego dawcy - zauważył Roy.

- To prawda. Rzecz jasna, możemy wykonać analizę DNA, żeby sprawdzić, czy faktycznie pochodzi od dawcy, a każdą próbkę

poddajemy rygorystycznej kontroli na obecność, na przykład, drobnoustrojów chorobotwórczych.

- A co z zamrażaniem? - przypomniała Mace.

- Aby nasienie przetrwało, musi być przechowywane w ściśle określonych warunkach. Posiadamy specjalny magazyn z kadziami kriogenicznymi, a do przechowywania próbek wykorzystujemy między innymi ciekły azot.

- Czy moglibyśmy obejrzeć to pomieszczenie? - spytała Mace.

- Nie. To przestrzeń sterylna i przebywanie w niej wymaga odpowiedniego sprzętu. Mogę pani powiedzieć, że w każdej z kadzi mieści się ponad siedemdziesiąt tysięcy próbek nasienia.

- Czym różni się państwa bank od kliniki leczenia niepłodności?
- dociekała Mace.

- Kliniki zwykle nie przechowują nasienia, a dostają je od nas. Spełniamy wymogi klientów w zakresie, na przykład, pochodzenia etnicznego, wzrostu czy wyglądu i zapewniamy nasienie, które zostanie później wykorzystane do inseminacji.

- Czy istnieje jakiś sposób, by ustalić, czy sperma, o której mówiłem, znaleziona na miejscu przestępstwa, pochodziła z państwa kliniki? - spytał Roy.

- Mogę pana zapewnić, że nie - oschle stwierdziła kobieta.

- Proszę to dla mnie zrobić. Tu chodzi o wolność niesłusznie oskarżonego człowieka.

Kobieta westchnęła głęboko.

- Nie sądzę, żeby dało się ustalić, czy nasienie pochodzi z naszej kliniki, ale można łatwo sprawdzić, czy zostało oddane w banku spermy, takim jak nasz.

- W jaki sposób? - szybko spytała Mace.

- Natychmiast po pobraniu próbki wstrzykuje się w nią bufory, które mają działanie konserwujące. Jeśli zrobi się to odpowiednio

szybko, po zamrożeniu można przechowywać nasienie praktycznie bez końca. Obowiązujące przepisy dopuszczają jednak tylko dziesięcioletni okres przechowywania, chyba że dawca w chwili pobrania próbki miał mniej niż czterdzieści pięć lat. A również w takim przypadku z nasienia mogą skorzystać jedynie dawca i jego partnerka, nie wolno udostępniać go nikomu innemu.

- No, no, dziesięć lat - powtórzyła Mace. - Plemniki dają radę pływać tak długo?

- Bez środków konserwujących i odpowiedniego przechowywania po dwóch-trzech dniach zmniejszyłaby się ruchliwość plemników zawartych w nasieniu, zaś po około pięciu próbka nie nadawałaby się do użytku, a przecież nie tego oczekują nasi klienci.

- Innymi słowy, byłoby to strzelanie ślepakami?

Pielęgniarka zmarszczyła nos.

- To dosadne, ale zgodne z prawdą. Kiedy wysyłamy nasienie naszym klientom, próbki są zamrożone w krioprobówkach, umieszczonych w lodówkach lub w specjalnych pojemnikach transportowych - próżniowych stalowych butlach chłodzonych ciekłym azotem. Wraz z nasieniem przesyłamy dokładne instrukcje w zakresie jego rozmrażania i wykorzystania.

„I cały romantyzm szlag trafia” - stwierdziła Mace.

- A odpowiadając na państwa pytanie, jako środek konserwujący dodajemy roztwór bufora TEST z dodatkiem żółtka. Wykorzystuje go również wiele innych banków nasienia.

- Żółtka? Jak w jajku? - spytała nieco zdeglustowana Mace.

- Nie do końca. Jest to powszechnie akceptowana metoda konserwacji.

Roy powiedział:

- A zatem, jeśli nasienie nie było pobierane w banku...

- Nie będzie w nim środków konserwujących. I mogę państwa zapewnić, że tak właśnie będzie w przypadku osoby, którą państwo opisali. Ten mężczyzna odpadłby już po pierwszym kwestionariuszu. A jeśli, jak pan mówił, jest weteranem z Wietnamu, zostałby zdyskwalifikowany jeszcze przed jego wypełnieniem.

- Macie coś przeciwko weteranom z Wietnamu? - ostro spytał Roy.

- Oczywiście, że nie. To kwestia wieku. Podobnie jak większość banków nasienia nie przyjmujemy próbek od mężczyzn powyżej czterdziestego roku życia. Większość naszych dawców ma poniżej trzydziestu lat, a wielu z nich to studenci.

- Potrzebują pieniędzy na piwo - stwierdziła Mace.

- Nie wnikamy w to.

- Czy bank jest czynny codziennie? - spytała Mace.

- Nie pracujemy w środy i niedziele.

- Budynek jest wtedy pusty?

Kobieta spojrzała na Mace i rzuciła z pogardą:

- Jak zawsze, kiedy nie pracujemy. A teraz przepraszam, muszę wrócić do pracy.

- Udziela się pani podczas pobierania próbek? - spytała Mace.

Kobieta bez słowa wyprowadziła ich z pokoju.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Roy stwierdził:

- Podziwiam twoją technikę przesłuchiwania. Najpierw wkurzyć rozmówcę, a potem sprawdzić, czego nam nie powie.

- Ona od początku nie zamierzała nam pomóc, ale poza tą informacją o żółtku powiedziała jeszcze jedną ważną rzecz.

- Co takiego?

- Że nie pracują w środy i niedziele. Trzeba sprawdzić nasienie

znalezione na Tolliver. Lowell Cassell może się tym zająć.

- A jeśli nie będzie żółtka?

- Może Kapitan jednak kłamie.

- Nie sądzę, żeby był w stanie wymyślić coś takiego.

- Ja też w to wątpię, ale nic mnie już nie zdziwi. Jeśli nie będzie w nasieniu środka konserwującego, Kapitan chyba pójdzie siedzieć.

- A co, jeśli pobrali od niego nasienie, ale nie wstrzyknęli w nie środka konserwującego?

- A dlaczego mieliby to zrobić, Roy? Bo planowali zabić Diane Tolliver i rzucić winę na Kapitana? Myślisz, że ta drobna kobietka, ekspert od nasienia, zmiażdżyła pień mózgu twojej koleżanki, a później wstrzyknęła jej spermę pobraną pod przykrywką?

- Nie, ale może zrobił to jeden z lekarzy? Kapitan mówił o białym budynku i twierdził, że pomógł mu jakiś koleś. Na pewno działa się to tutaj.

Mace zastanowiła się nad tym.

- Musimy zdobyć listę pracowników i sprawdzić, czy nie ma na niej nikogo podejrzanego.

- A póki co, czy możesz zadzwonić do Cassella, żeby zrobił test?

- Nie, ale zadzwonię do siostry. Jutro rano.

- Dlaczego nie teraz?

- Bo muszę zebrać się na odwagę!

- Nie mogłabyś jej pominąć?

- Niby jak? Nie mogę nakazać lekarzowi sądowemu przeprowadzenia testu.

Telefon Roya zawibrował.

- Halo!

- Pan Kingman? Tu Gary, kelner z restauracji Simpsons.

- Ach, tak. Gary z Simpsons - powiedział Roy do Mace, po czym włączył tryb głośnomówiący i wyciągnął telefon przed siebie.

- Przypomniałeś sobie coś, Gary?

- Nie przypomniałem. Zobaczyłem.

- Jak to zobaczyłeś? Nie rozumiem.

- Pytał pan o faceta, z którym pani Tolliver jadła kolację. Przed chwilą go widziałem.

- Co? Gdzie? Jesteśmy niedaleko restauracji. Czy jest na miejscu? Możemy tam dotrzeć w ciągu kilku minut. Dasz radę go zatrzymać?

- Nie, nie jestem w pracy. Jestem w swoim mieszkaniu w dzielnicy Adams Morgan. Chodziło mi o to, że właśnie zobaczyłem jego zdjęcie w gazecie.

- W gazecie?

- Tak. On nie żyje.

- Co? O kim mówisz?

- Słyszał pan o Jamiem Meldonie, tym prokuratorze, którego ciało znaleziono w śmietniku? To z nim pani Tolliver jadła kolację w piątek wieczorem.

83

- Witaj, Beth.

Pani komendant obejrzała się i zobaczyła, że w jej stronę idą Sam Donnelly i Jarvis Burns. Był poranek następnego dnia i znajdowali się w auli Biura Terenowego FBI w Waszyngtonie, gdzie Beth miała wręczyć nagrody nastolatkom biorącym udział w programie dla młodych agentów.

- Sam, Jarvis, nie spodziewałam się spotkać was tutaj.

Burns zmrużył oczy.

- Dlaczego nie? W przyszłości niektórzy z tych młodych ludzi zostaną agentami wywiadu.

- A nigdy nie jest za wcześnie na wyszukiwanie talentów i kształtowanie osobowości - dodał Donnelly.

- Tak przy okazji. Rozmawiałam z facetami od ciebie. Dzięki, że zadałeś sobie trud.

- Ściśle biorąc, oni nie są ode mnie - szybko odpowiedział Donnelly. - Ale bardzo cenię sobie współpracę z tobą. W gruncie rzeczy Beth, gdybyś nie wybrała kariery w organach ścigania, byłabyś rewelacyjną agentką.

- Takie słowa z twoich ust to cenna pochwała. Czy mam rozumieć, że Reiger i Hope nie są twoimi podwładnymi?

Donnelly i Burns szybko spojrzeli po sobie. Donnelly odpowiedział:

- Nie działają nawet w tej samej agencji wywiadowczej. Szczerze mówiąc, wykonałem kilka telefonów, powciskałem kit, gdzie tylko się dało, i zostałem skierowany do tej dwójki. Wydają się bardzo skuteczni, a ich przełożeni najwyraźniej udzielili im zgody na rozmowę z tobą.

- Rozmowa była krótka. Wciąż słyszałam o bezpieczeństwie narodowym.

- Niestety, często tak bywa. Wiesz, jak to działa. Nikt nie chce podać nikomu żadnych informacji. Wciąż obowiązuje motto z czasów zimnej wojny: nie ufaj nikomu.

- Czy Reiger i Hope mają powiązania z wojskiem?

Burns przeszył kobietę spojrzeniem.

- Nic o tym nie wiemy. Dlaczego pytasz?

- Zauważyłam, że mieli legitymacje Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ale powiedzieli, że kiedyś pracowali w FBI. Próbowałam ich sprawdzić, ale szybko okazało się, że mój stopień dostępu do informacji niejawnych nie wystarczy, żeby dowiedzieć się, gdzie przedtem pracowali.

Donnelly stwierdził:

- Teraz, kiedy mamy DHS, FBI i szesnaście innych agencji wywiadowczych, w zasadzie nie da się w tym wszystkim połapać. Stanowisko dyrektora Krajowej Agencji Wywiadu stworzono dla zapewnienia lepszego nadzoru i koordynacji ich działań, ale - nie mów nikomu, że słyszałaś to ode mnie - to zadanie dla Herkulesa. A niektórzy twierdzą wręcz, że to syzyfowa praca.

- Nie wątpię. Ja mam na oku tylko jedno miasto i cztery tysiące policjantów. Ty nadzorujesz cały świat.

- Nie bądź taka skromna. To jedno miasto to stolica kraju, a do jego obywateli należy prezydent.

- Który wczoraj miał ochotę wybrać się na pizzę, przez co

musiałam zdjąć z patroli dwustu ludzi, żeby zapewnić mu obstawę.

- Najpotężniejszy człowiek świata może robić, co chce, kiedy chce.

- Burns przysunął się bliżej do Beth. - A przy okazji, słyszałem, że dokonałaś aresztowania w związku ze sprawą zabójstwa tej prawniczki z Georgetown. Gratulacje. Szef wspomniał o tym podczas porannego zebrania.

- Tak, Beth, dobra robota - dodał Donnelly.

- Miejmy nadzieję, że to koniec tej sprawy.

- Słyszałem, że to bezdomny weteran? - spytał Burns.

- Nazywa się Louis Dockery. Jest bezdomnym, ale ma masę medali, w tym dwa Purpurowe Serca i Brązową Gwiazdę za waleczność.

Burns pokręcił głową, a siwiejące włosy opadły mu na wysokie czoło.

- To bardzo smutne. Wiem, jak to jest mieć Purpurowe Serce, sam mam dwa.

- Ja jedno - dodał Donnelly. - Ale, niestety, dwie toczące się wojny bardzo pogorszyły sytuację zarówno w wojsku, jak i w organizacjach weteranów. Po prostu nie starcza funduszy na wszystkie potrzeby.

- W takim razie Waszyngton powinien przemyśleć swoje priorytety - stwierdziła Beth. - Nie ma dla mnie nic ważniejszego niż opieka nad ludźmi, którzy przelewali krew za ojczyznę.

Burns poklepał się po chorej nodze.

- Ja po wyjściu z wojska poprosiłem o pomoc psychiatryczną, chociaż nie było to wtedy dobrze widziane. Oby teraz było inaczej.

- Ty wyszedłeś na ludzi, więc jest nadzieja.

- Niektórzy polemizowaliby z tym stwierdzeniem.

- Że jest nadzieja?

Burns się uśmiechnął.

- Że wyszedłem na ludzi.

Donnelly wskazał na nastolatków czekających na nagrody.

- Zagrzej ich do boju, pani komendant. Za dziesięć lat będą stanowić pierwszą linię obrony naszego kraju.

- I zapobiegać atakom zamiast na nie odpowiadać?

- Lepiej zniszczyć wroga, nim będzie mógł działać, niż wyciągać z gruzów ciała jego ofiar. Beth, oboje ratujemy ludzkie życie. Działamy w różny sposób, ale mamy ten sam cel. Nigdy o tym nie zapominaj.

Mężczyźni odeszli, a chwilę później zawibrował telefon Beth. Sprawdziła, kto dzwoni i zmarszczyła brwi. Mało brakowało, a by nie odebrała.

- Mace jestem zajęta. Czy to nie może poczekać? Co? - Słuchała uważnie przez minutę, potem stwierdziła: - Zajmę się tym. - Rozłączyła się, spojrzała na prowadzącego imprezę agenta FBI i podniosła do góry jeden palec. Mężczyzna skinął głową.

Pani komendant pobiegła w kąt sali i wybrała numer.

Lowell Cassell wydawał się zaskoczony.

- Dobrze, Beth. Jeśli chcesz... Łatwo to sprawdzić, ale jeśli okaże się, że to prawda, sprawy mocno się skomplikują.

- Owszem.

- Jak na to wpadłaś?

- Zgadnij.

- Twoja siostra nie odpuszcza.

Beth zakończyła rozmowę i pobiegła na scenę, by osobiście przywitać młodych ludzi, a później usiadła za pulpitem, żeby powiedzieć do nich kilka słów.

Donnelly i Burns, którzy uważnie obserwowali jej rozmowy z końca sali, odwrócili się i wyszli.

84

To była miła niespodzianka.

Żona Karla Reigera, Wendy, pocałowała go w policzek. Mężczyzna stał, przewracając mięso na grillu.

- Dzieciaki nie mają dziś szkoły, więc pomyślałem sobie: „A co tam!”. Jest ładny, słoneczny dzień, zbliża się lato.

- Cieszę się, że wpadłeś na ten pomysł. Ostatnio tak dużo pracujesz, kochanie.

Reiger spojrział na swoją żonę. Była po trzydziestce, o cztery lata młodsza od niego. Nie straciła nic z klasycznej urody, która cechowała ją, kiedy poznali się na studiach. Miała na sobie dżinsowe szorty i białą bluzkę bez rękawów, a na głowę założyła czapkę z logo drużyny Washington Nationals, spod której spływały długie do ramion, jasnobrązowe włosy.

- Tak, w pracy mam teraz straszny zapieprz.

- Patrz, Don i Sally już są.

Reiger zerknął na podjazd swojego dwupiętrowego, murowanego domu w Centreville w stanie Virginia. Sporo agentów federalnych mieszkało w tej okolicy, bo nieruchomości położone bliżej Waszyngtonu były o wiele za drogie dla tych ludzi, ryzykujących życie dla ojczyzny. Don Hope, jego żona i troje dzieci wysiadali właśnie z minivana marki Dodge, niosąc tace z jedzeniem, piłkę baseballową i kilka rękawic. Dwaj synowie

Hope'a zanieśli jedzenie na drewniany stół piknikowy ustawiony na podwórku i zaczęli grać w piłkę z dwoma synami Reigera. Dziesięcioletnia córka państwa Hope poszła do domu z Tammy Reiger, która właśnie skończyła jedenaście lat. Sally uściskała gospodarza na powitanie, a później razem z Wendy zajęła się przygotowywaniem posiłku.

Don Hope zamknął drzwi minivana, wyjął dwa piwa z turystycznej lodówki, którą ze sobą przywiózł, otworzył je i jedno podał stojącemu przy grillu Reigerowi.

Mężczyzna pociągnął z butelki długi łyk, wypijając od razu połowę jej zawartości.

- Piknik? - spytał Hope. - Byłem trochę zaskoczony, kiedy zadzwoniłeś.

- Dlaczego nie? Przyda nam się trochę normalności. Już dawno jej nie zaznaliśmy.

- Co racja, to racja. Rozkazy jeszcze nie przyszły?

- Dlatego smażę mięso zamiast ścigać nasz cel.

- Myślisz, że Burns chce nas wrobić, jeśli coś pójdzie nie tak?

- Podczas każdej operacji jestem przygotowany na to, że ludzie walczący po drugiej stronie mnie zabiją, a ludzie, którzy mi płacą - wpakują mnie w jakieś gówno.

- Niezły sposób na życie, Karl.

- Chciałem zostać zawodowym wojskowym. Zobaczyć kawałek świata, a potem odejść na godziwą emeryturę. Może nawet zrobić przy tym coś dobrego.

- Ja też. Ale.

- Byliśmy w tym za dobrzy, Don. Dlatego się do nas odezwali. Nie zbierają osadu z dna, tylko śmietankę.

- Chwilowo czuję się jak skwaśniałe mleko.

Reiger przełożył usmażone mięso na tacę i położył kolejny

surowy kawałek na grillu.

- Dlaczego? Bo wciąż nie udaje nam się z Perry?

- To zwykły pech.

- Nie byłbym taki pewien. Poczytałem sobie o niej po tym, jak Burns nas ochrzanił. Ta kobitka jest bez wątpienia dobra w swoim fachu. Szczerze mówiąc, dziwię się, że Burns nie zaproponował jej pracy.

Hope łyknął piwa i popatrzył na chłopców bawiących się piłką.

- Sterylna broń, gotowa do strzału. Co za bzdury! Jestem ojcem. Mam kredyt hipoteczny. Czternaście lat po ślubie wciąż szaleję za swoją żoną. Nie jestem jakąś cholerną maszyną!

- Dla nich jesteśmy tym i tylko tym. Wymiennymi elementami do dowolnego wykorzystania. Zawsze znajdą się nowi na nasze miejsce. Jesteśmy jak naboje w magazynku.

- Jak myślisz, ile jeszcze zostało?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, bo nigdy nie mógłbym potwierdzić swoich przypuszczeń.

- A dlaczego spotykamy się w Pentagonie? Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że nikt nie wie o naszych działaniach.

Reiger dźgnął mięso widelcem na długim trzonku.

- Dyrektor Krajowej Agencji Wywiadu nie jest jak pajak pośrodku sieci, a jak wąż pełzający po podwórku. Może być wszędzie i wszystkiemu się przyglądać. Pentagon też prowadzi poważne operacje wywiadowcze. Zwykle stawia na swoim, ściągając zewsząd pieniądze i informacje. Napatrzyliśmy się na to podczas służby wojskowej, Don.

- Co racja, to racja.

- Ale nawet Pentagon musi kłaniać się dyrektorowi. I dlatego Burns chodzi, gdzie chce i ma biura wszędzie - w Langley, Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, Narodowej Agencji Wywiadu

Satelitarnego.

- I w Pentagonie?

- Znam dwu - i trzygwiazdkowych generałów, którzy z całego serca nienawidzą dyrektora. Teraz to Sam Donnelly, nie dyrektor Centrali Wywiadu, codziennie składa prezydentowi raport z operacji wywiadowczych. Pewnie stoi na szczycie. Jeśli zwróci na ciebie uwagę i ci zaufa, nie możesz przegrać. Jesteś ustawiony.

- Tak, ale Burns to kawał drania. Połowa mnie życzy mu, żeby dostał udaru.

- A druga połowa? - spytał Reiger, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Na pewno też sobie to wyobrażałeś.

Reiger położył plasterek sera na prawie dosmażonym kawałku mięsa.

- O nim też sobie poczytałem, kiedy nas w to wciągnął. To weteran z Wietnamu. Niezły twardziel. Ma masę odznaczeń. Był piekielnie odważny, zawsze robił, co do niego należało, ryzykował życiem dla ojczyzny. Przeszedł do wywiadu tuż po upadku Sajgonu ze względu na obrażenia uniemożliwiające czynną służbę.

- Noga?

- Tak. Jest po sześćdziesiątce. Mógłby się już wycofać, ale zdaje się, że nie ma w życiu nic poza tym.

- Żona? Dzieci?

- Żona go opuściła, zdaje się, że dwójka dzieci też.

Hope przyjrzał się partnerowi z podziwem.

- Skąd to wszystko wiesz?

Reiger wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie masz uprawnień do otrzymywania takich informacji.

Hope dopił piwo.

- Co ty nie powiesz.

- To niezły twardziel - powtórzył Reiger - ale kocha swój kraj i zrobi wszystko, by go chronić. Od nas wymaga tego samego. A „wszystko” może znaczyć bardzo dużo.

- Karl, potrzebujemy tylko papierka. Karty „Wychodzisz wolny z więzienia”.

Piłka poleciała w ich stronę i upadła niedaleko grilla. Reiger chwycił ją i rzucił swojemu starszemu synowi.

- Dzięki, tato.

Reiger wskazał czarnego sedana, który właśnie zatrzymał się na podjeździe obok minivana. Wysiadł z niego mężczyzna w gładkim, niczym się niewyróżniającym garniturze. Podobnie ubierali się Reiger i Hope, gdy byli na służbie - w ten sposób mogli łatwo wtopić się w tłum. Mężczyzna trzymał w ręku zwyczajną białą kopertę.

- No i znów się zaczyna, Don. Wracamy do zabijania rodaków.

- Karl, mnie też się to nie podoba, ale proszę, nie mów tak.

- Ale tak się czuję. Od chwili, gdy wpakowałem serię w głowę Jamiego Meldona.

Reiger rzucił na grilla kolejny kawałek mięsa i patrzył, jak skwierczy.

85

Po porannej rozmowie z siostrą Mace pojechała po Roya i odwiozła go do pracy. Kiedy dotarli na miejsce, opowiedziała mu o telefonie do Beth.

- Powiedziałaś jej tylko o testach DNA, pomijając fakt, że Meldon jadł kolację z Diane? - spytał, zsiadając z motocykla.

- Zgadza się.

- Dlaczego?

- To może być klucz do tej sprawy. Jeśli mam ją wykorzystać w walce o powrót do służby, muszę rozwiązać ją sama. I nie chcę, żeby Beth narobiła sobie kłopotów, oddając mi przysługi.

- To akurat rozumiem. Bardzo ci na niej zależy.

- W zasadzie mam tylko ją.

- Hej, a ja w ogóle się nie liczę?

Mace się uśmiechnęła.

- Jesteś uroczy, Roy. I owszem, liczysz się. - Szybko spoważniała.

- Jakie może być powiązanie pomiędzy Meldonem a Tolliver?

- Musiało powstać, zanim zaczęła pracę w Shilling & Murdoch. Nigdy nie wspominała o tym człowieku, a ja nigdy nie widziałem go w kancelarii.

- Czy mogli pracować nad czymś razem?

- Nie zajmujemy się sprawami karnymi, a nad czym innym

mogliby pracować?

- Masz rację, musieli się znać z czasów, kiedy jeszcze u was nie pracowała. Gdzie mieszkała wcześniej?

Roy przez chwilę się zastanawiał.

- Mówiła coś o New Jersey.

- Czytałam, że Meldon miał kancelarię na Manhattanie. Jeśli mieszkała w Newark lub okolicach, byli w zasadzie sąsiadami. Może to wtedy współpracowali. Czy Diane pracowała tam w prywatnej kancelarii?

- Tak mi się wydaje.

- To dziwne.

- Co?

- Policjanci z Waszyngtonu zostali odsunięci od sprawy zabójstwa Meldona.

- Wspominałaś mi o tym, ale nie wyjaśniłaś, dlaczego.

- Beth sama nie wiedziała, ale się o to wkurzyła. Poprztykały się o to z Moną Danforth, kiedy byłyśmy w Café Milano. Ale chodzi mi o to, że ludzie, którzy prowadzą śledztwo w sprawie śmierci Meldona, powinni byli zbadać jego przeszłość. Mogli coś odkryć albo dowiedzieć się, że znał Tolliver. Uwierz mi, jeśli zabójstwa tych dwojga nie są ze sobą powiązane, to największy zbieg okoliczności na świecie. A ja nie wierzę w zbiegi okoliczności.

- Czyli jeśli znajdziemy zabójcę Diane, przy okazji przyskrzynimy tego, kto zabił Meldona?

- Taki mam plan.

- A jak zamierzasz się dowiedzieć, kto prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa prokuratora?

- Jeśli spytam Beth, zacznie drażnić, dlaczego chcę wiedzieć, ale mam kilka innych źródeł. A póki co, musimy korzystać z poszlak, które mamy.

- Ale ten kelner mógł zadzwonić na policję i powtórzyć to, co powiedział nam.

- Mógł, ale wątpię, czy to zrobił.

- Dlaczego?

- Pewnie o tym zapomniał. To charakterystyczna cecha pokolenia z ADHD, które wierzy, że zamieszczanie postów na Twitterze stanowi osobisty kontakt z innymi ludźmi.

- Ej, ten kelner był mniej więcej w moim wieku.

- Wybacz. Czy możesz sprawdzić, gdzie wcześniej pracowała Diane?

- Tak. Ale muszę zapisać, o co chodzi. Inaczej pewnie zapomnę o tej rozmowie, w końcu należę do pokolenia z ADHD.

- Roy, przynajmniej udało ci się mnie rozśmieszyć.

- Ty się śmiejesz, a ja właśnie sobie przypominałem, gdzie widziałem skrót DLT.

- DLT?

- Diane podpisała tak ostatni e-mail do mnie.

- Widziałam ten podpis. Myślałam, że to jej inicjały.

- Mnie też się tak wydawało, ale nigdy nie podpisywała się w ten sposób.

- No dobra. W takim razie co oznacza skrót?

- Mogę się założyć, że DLT to Daniels, Langford & Taylor.

- Kto to taki?

- Firma pośrednicząca w transakcjach escrow. Moja kancelaria korzysta z jej usług podczas finalizacji wszystkich transakcji. Mają biuro na K Street, w samym środku alei Lobbystów.

- A dlaczego są ważni?

- Dokonują przelewów na podstawie naszych umów. Przez ich biuro przechodzą, przynajmniej w formie elektronicznej, miliardy dolarów. Miliardy.

- OK. Miliardy czegokolwiek zdecydowanie wystarczą, żeby przykuć moją uwagę. Jak myślisz, uda ci się czegoś dowiedzieć?

- Na początek mogę sprawdzić archiwa kancelarii i przejrzeć dokumenty dotyczące finalizacji umów, nad którymi pracowałem z Diane. Sprawdzę umowy escrow, potwierdzenia elektronicznego przekazania środków i inne takie.

Zanim Roy wszedł do środka, Mace powiedziała:

- Zadzwoń do mnie, jeśli dowiesz się czegokolwiek w sprawie Diane. Ja będę działać dalej na tej podstawie. Ale przede wszystkim skup się na obronie Kapitana. Mona czai się z wyszczerzonymi kłami, więc będziesz musiał naprawdę się przyłożyć.

Odjechała z piskiem opon, a Roy powlókł się do biurowca, uderzając aktówką o nogę.

Ned siedzący za kontuarem skinął mu głową.

- Wszystko w porządku, panie Kingman?

- Jak najlepszym.

86

Mace wróciła do domu Altmana sprawdzić, jak mają się Alisha i Tyler. Znalazła ich w gabinecie Altmana, gdzie dziewczyna zapoznawała się ze szczegółami programu prowadzonego przez profesora. Ty wciąż miał ze sobą piłkę – stał w kącie, kozłując.

- Gdzie Darren? – spytała Mace.

- Wyszedł – odpowiedziała Alisha. – Nie powiedział dokąd idzie, ani kiedy wróci. Martwię się o niego.

- Ej, Brzytwa da sobie radę. – Mace wiedziała, że to kłamstwo. Aby dać sobie radę w starciu z ludźmi takimi jak Psychol, potrzebny był batalion wojska. Mace poszła z powrotem do domku dla gości, weszła do swojej sypialni i wyjęła z szafy woreczek z łuskami karabinowymi, które dostała od gwardii honorowej po pogrzebie ojca. Usiadła na łóżku, przytuliła łuski do piersi i wpatrzyła się w sufit. Zajrzenie do trumny było straszną głupotą. Teraz kiedy myślała o ojcu, zawsze stawał jej przed oczami ten przerażający obraz, który musiała spychać na bok.

Zagrzechotała kawałkami metalu ukrytymi w woreczku.

No dobrze, tato, co twoim zdaniem powinnam zrobić? Zostawić tę sprawę Beth czy dalej działać na własną rękę? Chcę wrócić do służby, tato. Muszę wrócić.

Znów zagrzechotała łuskami, jakby starała się poprawić odbiór. Odpowiedź nie nadeszła. Nigdy nie miała nadejść. Mace nie była

już małą dziewczynką, która mogła pobiec do tatusia po pomoc. Musiała sama rozwiązywać swoje problemy. Nie było dobrych ani złych odpowiedzi, tylko wybory. Jej wybory.

Odłożyła woreczek z cenną zawartością, podeszła do okna i przyjrzała się posiadłości, z przyzwyczajenia wyszukując potencjalnie niebezpieczne miejsca - wejścia, cienie pod drzewami, odosobnione zakątki. Wydawało jej się, że przez chwilę mignął jej Rick Cassidy, ale stało się to tak szybko, że nie była pewna.

Nagle poczuła się bardzo zmęczona, więc zeszła do kuchni zaparzyć sobie kawy. Zaniósła ją do sypialni razem z własnoręcznie zrobionym tostem z masłem orzechowym, galaretką i plasterkami bananów. Herbert z pewnością nie byłby dumny z takiego kulinarnego popisu, ale grzanka była przepyszna. Kiedy Mace skończyła pałaszować, położyła się na łóżku, żeby chwilę się zdrzemnąć. Od dawna się nie wysypiała i w końcu zaczęła to odczuwać. Tylko kilka minut.

Obudziła ją wibracja telefonu. Usiadła chwiejnie i przez moment zdezorientowana rozglądała się wokół. Po chwili wyciągnęła z kieszeni telefon. Zanim odebrała, zobaczyła na wyświetlaczu, która godzina.

Psiakrew, spałam kilka godzin.

- Halo! - Wyjrzała przez okno. Zaczynało mżyć.

- Tu Roy.

- Nie poznałam numeru. Skąd dzwonicz?

- Ze swojego klubu sportowego. Może popadam w paranoję, ale skoro mogą podglądać obraz z kamerek internetowych.

- Rozumiem. Co tam?

- Masz coś do pisania?

Mace chwyciła notatnik i długopis leżące na stoliku.

- Dawaj.
- Po pierwsze muszę cię uprzedzić, że wszyscy w kancelarii nienawidzą mnie z całego serca.
- Okażesz im wielkoduszność, kiedy udowodnimy, że miałeś rację.
- Nie okażę. Wyślę ich do diabła. Tak czy inaczej, posprawdzałem, popytałem i mam nazwisko i numer telefonu byłego męża Diane. Mieszka na Hawajach, więc jeśli chcesz, możesz zadzwonić do niego jeszcze dzisiaj. Teraz jest tam ranek.
- Dobrze. Co dalej?
- Wygląda na to, że rozstanie nie przebiegło przyjaźnie. Mam nadzieję, że były poda ci więcej informacji na ten temat, może będzie znał nazwisko prawnika, który reprezentował Diane.
- Jakieś powiązania z Meldonem?
- Póki co nic nie znalazłem, ale mamy punkt zaczepienia.
- A co z DLT?
- Zamierzam zakraść się do archiwum wieczorem i trochę powęszyć.
- Słuchaj, Roy, to nie jest dobry pomysł, żebyś zostawał tam sam po godzinach.
- Nie jestem pewien, czy ktoś z kancelarii nie jest w to zamieszany, więc nie mogę tak po prostu pomaszerować do archiwów i zacząć przetrząsać pudła. Jeśli uda mi się znaleźć jakieś materiały, zabiorę je do domu.
- A może przyjechałbyś do Abe'a? Mamy tu świetną ochronę.
- Myślisz, że nie miałby nic przeciwko temu?
- Myślę, że dom jest tak olbrzymi, iż mógłbyś przybyć tu na czele brygady pancерnej, a on nawet by nie zauważył.
- Zgoda, może tak będzie bezpieczniej.
- I w ten sposób będziemy mogli razem przejrzeć znalezione

dokumenty. Tak będzie szybciej. Jedziesz zobaczyć się z Kapitanem?

- Kiedy tylko skończę pracę. Właśnie powiadomili mnie, że wstępna rozprawa odbędzie się jutro rano w sądzie okręgowym. Muszę spytać go o pewne szczegóły, jeśli jakimś cudem jeszcze je pamięta.

- Rozprawa wstępna to formalność, prawda?

- Nic, w czym macza palce Mona Danforth, nie jest formalnością. To przestępstwo pierwszego stopnia, więc muszą zebrać wielką ławę przysięgłych, żeby wydać akt oskarżenia.

- Mogą też uznać, że nie ma wystarczających podstaw dla jego wydania.

- Czyżbyś zaczęła studiować prawo?

- Byłam gliną - wyjaśniła Mace. - Spędziłam w sądzie więcej czasu niż większość prawników.

- W obecnej sytuacji Monie na pewno uda się uzyskać akt oskarżenia. Mogą w ogóle odpuścić sobie wstępne przesłuchanie. Mają wystarczającą ilość materiału dowodowego, by uzasadnić oskarżenie. Kapitan zostanie oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia i wyznaczą mu termin procesu. Nie masz żadnych wieści od siostry w sprawie próbki nasienia?

- Poczekaj chwilkę.

Mace szybko sprawdziła, czy nie przespała przypadkiem telefonu od Beth i nie ma od niej wiadomości w skrzynce głosowej.

- Nie, póki co się nie odezwała.

- Daj mi znać, jak tylko się czegoś dowiesz. Chcę wiedzieć, na czym stoję, idąc jutro do sądu.

- Jeśli tam pójdziesz, kancelaria dowie się, po czyjej stronie.

- Wiem. I mnie wyleją. Dlatego chcę pójść do archiwum dzisiaj.
To pewnie moja ostatnia szansa.

- Powodzenia.

- Nawzajem.

Mace rozłączyła się i wybrała numer Joe Cushmana, byłego
męża Diane Tolliver, który mieszkał teraz na rajskich Hawajach.

Temu to dobrze.

Było już po pikniku, zniknęło też słońce, które zastąpiła drobna mżawka. Reiger i Hope, znów ubrani w nijakie garnitury, jechali nowym lincolnem.

- Jak tam rozkazy, które wydali na nasz rozkaz? - zażartował Hope.

- Leżą ukryte bezpiecznie w mojej skrytce depozytowej. Pojechałem do banku zaraz po waszym wyjściu.

- Popadasz w paranoję? Bardzo słusznie. - Hope opuścił szybę i zaczerpnął wilgotnego powietrza. - Kto je podpisał?

- Wszyscy, którzy nas interesują, w tym Burns i Donnelly.

- Chyba w końcu potraktował nas poważnie. - Hope skinął głową partnerowi. - Piknik fajnie się udał, Karl. To był dobry pomysł.

- Tak. Wolałbym dalej robić hamburgery i hot dogi, niż tam jechać.

Hope spojrział na adres, który dostali razem z podpisanymi rozkazami.

- Magazyn w Arlington?

- To fasada. Zawsze tak jest. Na budynku będzie tabliczka „Na sprzedaż” albo „Do wynajęcia”, poza zasięgiem naszego wzroku będzie zaparkowanych kilka samochodów, facet, którego twarz natychmiast zapomnisz, otworzy nam drzwi, pokażemy

legitymacje i zacznie się spotkanie.

- Co zamierzamy dziś osiągnąć?

- Chcę znaleźć ludzi, którzy będą pociągać za spust na nasze polecenie. W ten sposób będę trochę mniej nienawidził siebie.

- Ale to oznacza obciążające zeznania w sądzie, jeśli powinie nam się noga. Rany, sam nie mogę uwierzyć, że to mówię.

- Musimy brać to pod uwagę, Don, ale nie martwię się o tych ludzi. Podejrzewam, że Burns sprowadził ich z drugiej półkuli. Musimy tylko wybrać oprawców i ułożyć plan.

- Perry musi zginąć. A co z tym prawnikiem?

- Gdyby nie zajechał nam drogi tamtej nocy, mielibyśmy już spokój z tą babą. Ale nie żywię do niego urazy. Rozkaz wspomina o Perry i innych osobach, jakie uznamy za konieczne. Jeśli uznamy, że jego śmierć nie jest konieczna, może opłakać stratę przyjaciółki i wrócić do zawodu. Dość już ludzi zginęło. Posłałem do piachu niejedno ścierwo, ale nie chcę strzelać do rodaków. - Reiger spojrział przed siebie. - Jest. Tak jak mówiłem.

Wjechali na parking i zobaczyli tabliczkę z napisem „Na sprzedaż”, wyraźnie widoczną na ścianie kompleksu trzech budynków, stojącego na jednoakrowej działce w dzielnicy Arlington, która pamiętała znacznie lepsze czasy.

- Wygląda, jakby postawili go w latach pięćdziesiątych - stwierdził Hope. - Aż dziw, że tego nie wyburzyli i nie postawili tu apartamentowca. Działki w Arlington są bardzo poszukiwane.

- Tak, ale jeśli faktycznym właścicielem jest agencja wywiadu, która ma gdzieś zysk ze sprzedaży, można zrozumieć, dlaczego się do niej nie kwapi.

Reiger przejechał wąskim korytarzem pomiędzy dwoma murowanymi budynkami i zatrzymał się pośrodku niewielkiego wewnętrznego podwórka.

- Tak jak mówiłem, parkuje tu kilka samochodów. Teraz jeszcze otworzy nam facet z twarzy niepodobny zupełnie do nikogo i będę miał trzy punkty na trzy.

Reiger nie zdobył trzeciego punktu.

Drzwi otworzyła drobna kobieta o krótkich, brązowych włosach okalających owalną twarz, ubrana w ciemne spodnie i brązową wiatrówkę. Na nosie miała okulary w czarnych oprawkach. Pokazała im odznakę i legitymację, oni zrobili to samo.

- Chodźcie za mną - powiedziała.

Poszli gęsiego za kobietą ciemnym korytarzem.

- Nie zdążyłem przeczytać nazwiska na legitymacji - zagaił Reiger.

- Mary Bard.

- Agentko Bard, jestem Karl Reiger, a mój partner nazywa się Don Hope.

- Mówcie mi Mary. Wiem, kim jesteście. Zostałam przydzielona do pomocy w tym zadaniu - powiedziała, oglądając się przez ramię.

- Pomoc na pewno nam się przyda - stwierdził Reiger. - Rozumiem, że znasz sytuację?

- Tak, i rozumiem, dlaczego jesteście wkurzeni. Zdaje się, że szefowie każą wam latać jak kot z pęcherzem i oczekują niemożliwego.

- Dokładnie. Musimy zlikwidować cele na naszych warunkach, a nie się za nimi uganiać.

- Burns powiedział, że mamy omówić kwestie logistyczne, pobrać potrzebne zasoby i zastawić pułapkę - stwierdziła kobieta.

- To wygląda na sensowną strategię.

- Idźcie ostrożnie. Włączę światła, kiedy dojdziemy do wewnętrznego pokoju. W okolicy przejeżdżają czasem policyjne

patrole.

- Rozumiem. A skąd naprawdę jesteś?

- Widziałeś legitymację.

- Jasne. Ale sam mam kilka i każda mówi co innego.

- Dobra. Pracuję w Departamencie Sprawiedliwości. Może być?
Reiger wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wszyscy tak mówią.

Bard też się uśmiechnęła.

- Wiem.

Don Hope popatrzył pod nogi i uniósł wyżej jedną stopę.

- Podłoga jest pokryta plastikiem!

Reiger wyciągnął rękę i dotknął jednej ze ścian.

- Ściany też!

Mary Bard uderzyła z gracją baletnicy i szybkością tygrysa. Kopniak trafił Reigera w mostek, odrzucając go na ścianę z taką mocą, że jego serce zgubiło rytm. Było ciemno, więc żaden z mężczyzn nie zobaczył dwóch sześciocalowych ostrzy, którymi obracała szybkimi, zsynchronizowanymi ruchami. Najpierw jeden z noży poderżnął gardło Reigerowi. Mężczyzna nie miał nawet czasu krzyknąć. Padł na podłogę, ściskając przeciętą żyłę szyjną.

Don Hope zdołał wyciągnąć broń, ale zanim położył palec na spuście, Mary Bard wbiła mu stopę w kolano, wyginając je w drugą stronę. Kości popękały, a ścięgna zerwały się jak gumki recepturki. Mężczyzna wrzeszczał z bólu - do chwili, kiedy został cięty na odlew drugim nożem. Ząbkowane ostrze rozerwało mu gardło, a z ran chlusnęła krew tętnicza, zalewając wąski korytarz.

Hope osunął się na ziemię obok martwego partnera, złapał kilka ostatnich drżących, bulgoczących oddechów i znieruchomiał. Jak na komendę zapaliły się światła i podeszło do nich kilku ludzi. Bard się odsunęła, a oni zwinęli folię z ciałami w środku, wynieśli

Reigera i Hope'a do ciężarówki zapakowanej na tyłach budynku i odjechali.

Bard miała na ubraniu krew obu mężczyzn. Zdjęła zabrudzone rzeczy i stała w majtkach i staniku, dopóki jeden z kolegów nie podał jej kombinezonu. Miała smukłą sylwetkę i mocno umięśnione przedramiona, ramiona i uda. Taka budowa ciała i brak zbędnych kilogramów sprawiały, że blizny na klatce piersiowej jeszcze bardziej rzucały się w oczy. Kobieta zapięła kombinezon, odwróciła się i poszła do łazienki, gdzie zmyła pozostałości po podwójnym zabójstwie z rąk, twarzy i włosów. Zdjęła okulary i schowała je do kieszeni. Był w nich zainstalowany miniaturowy noktowizor, dzięki któremu widziała w ciemności swoje ofiary znacznie wyraźniej niż one ją. Po kilku minutach wyszła innymi tylnymi drzwiami, odpaliła silnik w swoim smarcie i wyjechała z parkingu. Skierowała się na zachód, a po wjeździe na autostradę międzystanową 66 wykonała telefon.

- Zrobione - powiedziała i się rozłączyła.

Jarvis Burns odłożył słuchawkę i - co rzadko mu się zdarzało - pozwolił sobie na uśmiech.

- To właśnie jest łańcuch dowodzenia, agencie Reiger.

Zanim wrócił do pracy, spojrzął na zegarek. Dwie minuty później w skrytce depozytowej, w której Reiger umieścił bezcenne rozkazy, zwalniające jego i Hope'a z odpowiedzialności po wykonaniu zadania, rozpoczęła się zaprogramowana reakcja chemiczna pomiędzy substancjami zawartymi w dokumentach. Po dziesięciu sekundach została z nich tylko para.

Trudno było w to uwierzyć, ale Joe Cushman, były mąż Diane Tolliver, dopiero teraz dowiedział się, że została ona zamordowana. Najwyraźniej wiadomości docierały na zachód z pewnym opóźnieniem. A zresztą, pomyślała Mace, śmierć zwykłego obywatela może pojawić się w ogólnokrajowych wiadomościach najwyżej w migawce, i to tylko ze względu na nietypowe okoliczności. Joe Cushman ani trochę się nie zmartwił i nie zamierzał przyjeżdżać na pogrzeb. Mace uznała jednak, że to zrozumiałe – rozwiódł się z Diane ponad dziesięć lat temu, a później ponownie się ożenił. Roy uprzedził ją, że nie rozstali się w przyjaźni, a Cushman podniesionym głosem wyjaśnił przyczynę rozpadu małżeństwa już na samym początku rozmowy.

- Zdradziła mnie!

- Z kim?

- Nie wiem. Nie udało mi się tego dowiedzieć, a po pewnym czasie przestałem się tym przejmować.

Co kilka sekund milkł, a Mace słyszała, jak zaciąga się papierosem. Miał charakterystyczną dla palaczy chrypkę, a jego gardło i płuca zapewne były już usiane guzkami powstałymi od nadmiaru nikotyny.

- W takim razie skąd pan wiedział, że ma romans? - spytała Mace.

- To było widać jak na dłoni. Kupowała fikuśną bieliznę, ale nigdy nie zakładała jej dla mnie. Zaczęła ćwiczyć, schudła, zmieniła kosmetyki, zaczęła wyjeżdżać „służbowo” w weekendy i tak dalej. Nie mieliśmy dzieci, więc po prostu podzieliliśmy majątek i każde poszło w swoją stronę. Jej kancelaria grała twardo. Stało na tym, że musiałem zapłacić nawet za jej prawnika. Może pani w to uwierzyć?

- Dlaczego?

- Ona zarabiała sporo, ale ja dużo więcej. Byłem deweloperem w New Jersey w okresie największego boomu.

- Tym lepiej dla pana.

- Doprawdy? Teraz mam mniej pieniędzy, ale tutejsze plaże i pasaty podobają mi się znacznie bardziej niż lód i błoto w New Jersey.

- Nie pamięta pan może nazwy kancelarii, która ją reprezentowała?

- Żartuje pani? Jak mógłbym zapomnieć po tych wszystkich czekach, które na nią wypisałem? Hamilton, Petrocelli & Sprissler z Newark.

Trzy panie. A w zasadzie trzy wiedźmy. Nawet mój adwokat się ich bał. Były tak dobre, że później sam zatrudniałem je do prowadzenia różnych spraw.

- Dziękuję bardzo. To cenne informacje.

- Mam nadzieję, że pomogą pani w dotarciu do celu, jakkolwiek on jest. Naturalnie nie utrzymywaliśmy z Diane przyjaznych stosunków, ale nikt nie zasługuje na taką śmierć. Chyba wyślę kwiaty na pogrzeb.

- Będzie to bardzo miły gest.

Mace się rozłączyła i odczytała notatki, a później zadzwoniła do informacji i poprosiła o numer do kancelarii Hamilton, Petrocelli

& Sprissler z Newark.

Dodzwoniła się do recepcji, a po chwili została przełączona do Julie Hamilton.

- Słucham?

Mace zwięźle wyjaśniła, w jakiej sprawie dzwoni.

- Diane Tolliver?

- Pani pewnie знаła ją jako Diane Cushman. Po rozwodzie wróciła do panińskiego nazwiska. Rozmawiałam z jej byłym mężem, Joe Cushmanem, i skierował mnie do pani.

- Słyszałam coś o tym zabójstwie. To ta sprawa z lodówką, prawda?

- Zgadza się.

- Ale nie przyszło mi do głowy, że Tolliver i Cushman to ta sama osoba. Wiedziałam, że jej panińskie nazwisko brzmi Tolliver, ale jakoś tego z nią nie skojarzyłam. Minęło ponad dziesięć lat. Taka śmierć. Mój Boże!

- Właśnie w tej sprawie dzwonię.

- A dla kogo pani pracuje? - prawniczka zaczęła mówić ostrożnym tonem, który Mace bardzo dobrze знаła.

- Jestem z Waszyngtonu. Biorę udział w śledztwie w imieniu mężczyzny oskarżonego o zabójstwo.

- Mówiłam już, minęło ponad dziesięć lat. Nie wiem, czy jakiegokolwiek posiadane przeze mnie informacje mogłyby panią zainteresować.

- Czy zna pani niejakiego Jamiego Meldona?

- Dlaczego pani pyta?

- On także został zamordowany, tuż po tym, jak spotkał się z Diane. Ostrożność zmieniła się w lodowaty chłód.

- Obawiam się, że nie mogę pani pomóc.

- Chciałabym tylko zadać kilka pytań o.

Mace usłyszała trzask odkładanej słuchawki. Natychmiast oddzwoniła, ale sekretarka stwierdziła, że nie może jej przełączyć.

- Proszę, to zajmie najwyżej dwie minuty i...

Recepcjonistka się rozłączyła.

Mace powoli odłożyła telefon.

Po rozmowie z Mace Roy postanowił nie zwlekać dłużej z poszukiwaniami w archiwach. Zszedł schodami na piąte piętro, ale archiwum było zamknięte, a on nie miał klucza. Powlókł się z powrotem na szóste piętro i poszedł do pokoju pocztowego. Został tam Dave'a, który sortował listy i paczki z ostatniej tego dnia partii przesyłek.

- Nie wiesz, gdzie jest Gene? - spytał o kierownika archiwum.

- Wyszedł wcześniej. Miał umówioną wizytę u lekarza. Potrzebuje pan coś stamtąd?

- To może poczekać. Zajmij się przesyłkami.

- Czy to prawda, że będzie pan adwokatem tego koleś, którego aresztowali?

- Dlaczego pytasz? Też chcesz mnie za to ochrzanić?

- Nie. Myślę, że zrobił pan to, co powinien zrobić każdy prawnik. Nie można przecież odmówić komuś pomocy tylko dlatego, że jest nielubiany, prawda?

- Dave, to pierwsza inteligentna rzecz, jaką tu dziś usłyszałem.

Dave wyszedł, pchając wózek, a Roy udał, że idzie za nim, później zawrócił i zamknął drzwi do pokoju pocztowego. Pobiegł w głąb pomieszczenia, otworzył drzwi windy towarowej, wśliznął się do kabiny, wcisnął zielony przycisk i schował rękę. Drzwi się zamknęły, maszyna lekko drgnęła i Roy ruszył w drogę.

Podczas krótkiej jazdy w dół wspominał poprzednią podróż tą windą, podczas której owinął się wokół Mace. Faktycznie miał wtedy w kieszeni latarkę, ale nie mógł zaprzeczyć, że był też lekko pobudzony - przez jej bliskość i adrenalinę, która wydzielala się w sytuacji zagrożenia życia.

Może powinni wypróbować taką technikę w tamtym banku spermy.

Winda się zatrzymała i drzwi się otworzyły. Roy wysiadł i rozejrzał się wokół. W pokoju było ciemno, ale musiał zachować ostrożność. Powoli okrążył duże pomieszczenie zastawione rzędami półek, na których piętrzyły się pudła, wyjął małą latarkę i powiódł wokół promieniem światła. Wiedział mniej więcej, gdzie leżą które akta i skierował się w miejsce, w którym znajdowała się większość dokumentów związanych z klientami obsługiwanymi przez niego i Diane. Zaczął otwierać kolejne pudła. Pod pokrywą każdego z nich przymocowane było niewielkie plastikowe pudełko z pendrive'em z nagraniem całej zawartością pudła w wersji elektronicznej.

Kancelaria początkowo zamierzała zeskanować wszystkie dokumenty i umieścić je w systemie komputerowym, ale sprawa się skomplikowała, gdyż nie wszyscy zatrudnieni w kancelarii mieli dostęp do wszystkich dokumentów, a niektórzy klienci żądali, aby materiały z ich spraw mogły oglądać jedynie pracujące nad nimi osoby. Problem częściowo rozwiązano zabezpieczając dostęp do niektórych dokumentów, ale prawnicy notorycznie zapominali hasel albo zdradzali je kolegom, którzy nie byli upoważnieni do oglądania dokumentów. W końcu kancelaria opracowała rozwiązanie - dokumenty w wersji papierowej i na pendrive'ach były przechowywane w archiwum, prawnicy musieli mieć upoważnienie do przeglądania lub wynoszenia zawartości

pudeł, a pendrive'y były zabezpieczone hasłem.

Roy miał upoważnienie do przeglądania pudeł, o które mu chodziło, ale był pewien, że Ackerman urwałby mu głowę, gdyby wiedział, że cokolwiek w nich sprawdza. Szybko otworzył kilkanaście pudeł, wyjął pendrive'a z każdego z nich i włożył do kieszeni. Powiedział sobie, że to jedynie drobne wykroczenie w porównaniu z innymi przestępstwami, jakich dopuścili się ostatnio z Mace. Postanowił nie wracać na górę windą, żeby nie wpaść na nikogo w pokoju pocztowym.

Uchylił drzwi archiwum i wyjrzał przez nie. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Wyśliznął się na korytarz, szybko przeszedł przez biuro, wyszedł na schody i wrócił nimi na szóste piętro. Już miał podłączyć do komputera pierwszego pendrive'a, kiedy zauważył karteczkę przyklejoną do obiektywu kamery.

A co, jeśli włamali się też do mojego komputera? Kiedy skorzystam z pendrive'a, będą wiedzieli, jakie pliki przeglądałem.

Włożył przenośną pamięć do kieszeni, chwycił aktówkę i kurtkę i skierował się ku drzwiom. Kiedy je otworzył, stanął twarzą w twarz z Chesterem Ackermanem i dwoma ochroniarzami.

Ackerman wyciągnął rękę.

- Proszę, żebyś natychmiast oddał mi kartę wstępu.

- Co się dzieje, Chester? - spytał Roy, przyglądając się umiejętnym strażnikom. - Kim są ci faceci? Czyżbyś wreszcie posłuchał mojej rady i zatrudnił kogoś na miejsce Neda?

- Mają zapewnić, że wszystko przebiegnie gładko.

- Gładko? Mówiłem, że cię poinformuję, czy reprezentuję Dockery'ego.

- A ja właśnie rozmawiałem z pisarzem sądowym i dowiedziałem się, że zostałeś zgłoszony jako jego obrońca i będziesz reprezentował zabójcę podczas wstępnej rozprawy

wyznaczonej na jutro rano.

- Dlaczego zadzwoniłeś do sądu?

- Bo ci nie ufam. I wygląda na to, że miałem rację. Proszę o kartę.

Roy oddał mu ją.

- Czy mogę chociaż zabrać swoje rzeczy?

- Prześlemy ci je. I myślę, że powinniśmy cię przeszukać.

Roy zrobił krok w stronę Ackermana.

- Tylko spróbuj mnie tknąć, a odbiorę ci domy, samochody, plan emerytalny i kancelarię. - Spojrzał na strażników. - Też chcecie się na to załapać?

Mężczyźni nerwowo spojrzeli po sobie i wycofali się małymi kroczkami.

- Dobrze, po prostu się stąd wynoś, zanim oskarżę cię o wtargnięcie - warknął Ackerman.

- Też życzę ci miłego dnia.

Roy wyszedł z kancelarii, odprowadzany wzrokiem wszystkich zatrudnionych w niej prawników. Miał wrażenie, że kiedy zamkną się za nim drzwi, zaczną wiwatować. W holu minął Neda, który siorbał gigantyczną colę.

- Panie Kingman, widział pan tych dwóch ochroniarzy?

- Tak.

- Wszystko w porządku?

Roy poklepał się po kieszeni, w której miał pendrive'y.

- Jak najlepszym.

90

Roy wstąpił do swojego apartamentu po kilka rzeczy i zadzwonił do Mace, kiedy był w drodze do domu Altmana. Wyjaśnił jej, co się stało, a ona opowiedziała mu o rozmowie z Joe Cushmanem.

- Herbert przygotowuje siedmiodaniowy obiad - dodała - ale szczerze mówiąc, mam wielką ochotę na tłustego hamburgera i frytki.

- Kupię coś po drodze. Pewnie i tak będziemy musieli jeść przy pracy.

Dotarł na miejsce godzinę później. Zjedli obiad w domku dla gości, żeby Herbert przypadkiem nie zobaczył, jak pałaszują grillowane mięso i słone frytki. Kiedy Mace przełknęła ostatni kęs, popiła go długim łykiem coli Dr. Pepper i odchyliła się na krześle.

- Gdzie Alisha i Tyler? - spytał Roy.

- W głównym domu, gdzie są karmieni między innymi kuskusem, polędwicą wieprzową w sosie własnym i zieloną fasolką w japońskim cieście tempura. Na deser pyszne crème brûlée przyrządzone w klasyczny sposób.

- Herbert ci to powiedział?

- Nie. Codziennie drukuje menu i przynosi jeden egzemplarz do domku dla gości. Nie był uszczęśliwiony faktem, że nie spróbujemy jego najnowszego arcydzieła.

- Nie jestem pewien, czy trzylatek zachwyci się kuskusem i klasycznym crème brûlée.

- Dla Tylera jest superspaghetti z ręcznie robionymi klopsikami, a na deser - babeczki czekoladowe. Herbert chyba lubi gotować dla dzieci.

Mace pożyczyła laptop od Altmana i podczas jedzenia Roy przeglądał kolejne strony zapisane na pendrive'ach.

- Znalazłeś coś? - spytała Mace, siadając obok niego.

- Nic nie rzuciło mi się w oczy.

- Chcesz kawy?

- Tak, najlepiej od razu całe wiadro.

Mace zaparzyła kawy i przyniosła dzbanek na tacy razem z dwiema filiżankami, cukiernicą i garnuszkiem ze śmietanką. Ustawiła go na stoliku i napełniła filiżanki.

- Z cukrem i śmietanką?

- Tak, proszę.

Podawała Royowi gotową kawę. Wypił łyk.

- Dobra - stwierdził i spojrzał na nią z uśmiechem.

- O co chodzi? - spytała nieufnie Mace, podnosząc swoją filiżankę.

- Nie wiem, jakoś nigdy nie widziałem w tobie gospodyni.

- Bo nią nie jestem, więc lepiej nie spodziewaj się, że założę fartuszek i sznur pereł.

- Mimo wszystko to fajne.

Mace miała ochotę znów się odgryźć, ale się powstrzymała.

- Może i tak.

- Naprawdę myślisz, że będziesz musiała jechać do Newark?

- Ta prawniczka totalnie spanikowała, kiedy wspomniałam, że Jamie Meldon został zamordowany po spotkaniu z Diane. Jestem pewna, że go znała.

- Ale nie ma pewności, czy zgodzą się z tobą porozmawiać.
- Jeśli tam nie pojedę, na pewno z nimi nie pogadam. A jak już będę na miejscu, przynajmniej będę miała szansę.
- Mam jechać z tobą?
- Nie, i tak masz już pełne ręce roboty.
- A co z pracą dla Altmana?
- Bez problemu zgodził się dać mi wolne. Ma wyrzuty sumienia po tej sprawie z Psycholem. Poza tym spędza sporo czasu z Alishą. Dzięki temu może zacząć realizować swój projekt.
- A co z jej bratem?
- Przyszedł i poszedł.

Podczas rozmowy Roy przez cały czas patrzył na monitor. W końcu powiedział:

- Poczekaj! - I naciskając klawisz funkcyjny podzielił ekran na dwie części. Na każdej z nich wyświetlił się jeden dokument.

Mace przysunęła się bliżej.

- Co to?
- Po lewej wyświetliłem zestaw poleceń przelewu wydanych przeze mnie i Diane w związku z umową zawieraną na Bliskim Wschodzie. Ściśle biorąc, z Bliskiego Wschodu pochodził kupujący. Sprzedający ma siedzibę w Ohio.

- Co sprzedawaliście?

- Fabryki związane z przemysłem motoryzacyjnym, produkujące wycieraczki, chłodnice i tak dalej. Należały one do dużej grupy zakładów z pięciu stanów, które kupiliśmy w ramach transakcji wiązanej. Umowa była podpisywana po tym, jak zakłady Forda w Detroit zanotowały gigantyczne straty. Całkowita cena sprzedaży wynosiła prawie miliard dolarów.

- Znowu ten miliard. A na czym polega problem?

- Polecenia, które wydaliśmy, wskazują gdzie, kiedy i ile

należało zapłacić. Uwzględniały różne plany awaryjne, wpisy w księgach wieczystych, przesyłanie dokumentów komisjom stanowym i tak dalej. Zawierały także kod ABA, numer konta i inne informacje niezbędne do wykonania przelewu.

- Roy, zaraz usnę.

- Będę się streszczał. Po lewej masz nasze polecenie przelewu, po prawej - potwierdzenie otrzymane z DLT.

Mace przyjrzała się obu stronom.

- Nie jestem geniuszem matematycznym, ale wydaje mi się, że sumy się zgadzają.

- Kwota przelewu owszem, ale popatrz na to. - Wskazał na długi ciąg cyfr widniejący w dolnej części strony.

- Czy to nie kod ABA, o którym mówiłeś?

- Tak, ale jest inny niż w poleceniu przelewu i nie wiem, czemu znalazł się w tym miejscu. Sprzedający otrzymał pieniądze z tej transakcji, gdyby do niego nie dotarły - na pewno bym o tym wiedział.

- W takim razie o co chodzi z tym kodem? Czy to pomyłka?

- Możliwe.

- A co to oznacza dla nas?

- Nie wiem. Mogę tylko zgadywać. Dobrze byłoby obejrzeć dokumentację DLT z tej sprawy.

- Mamy do nich iść i o nią poprosić? - spytała Mace sarkastycznie.

- Może uda mi się znaleźć inny sposób.

- Zamieniam się w słuch.

- Mogą nie wiedzieć, że wylali mnie z kancelarii. Jeszcze wczoraj rozmawiałem z kimś z DLT o warunkach umowy, nad którą pracowaliśmy z Diane. Jeśli do nich zadzwonię i umówię się na spotkanie w ich biurze, może uda mi się rzucić okiem na ich

dokumentację.

- Ale jeśli są zamieszani w sprawę, przez którą zginęła twoja współpracowniczka, narazisz się na niebezpieczeństwo.

- Ostatnio strzelano do mnie, ścigano mnie, grożono mi, miałem starcie jeden na jednego z facetem o ksywce Psychol i trafiłem do więzienia. Wszystko to spotkało mnie, odkąd cię poznałem.

Mace wydawała się zaniepokojona.

- Co się stało? - spytał Roy.

- Kiedy działy się wszystkie te rzeczy, byłem przy tobie. Do DLT pójdziesz sam.

- Jestem prawnikiem, mam gadane. Potrafię się wyłgać z prawie każdej sytuacji.

- Roy, problem w tym, że ci ludzie nie silą się na rozmowy. Zabijają od razu.

91

- Dziękuję, że zgodziłaś się na spotkanie o tak późnej porze, Beth - powiedział Jarvis Burns, siedzący naprzeciwko pani komendant w jej gabinecie. Rozejrzał się po pokoju. - Obyś spędziła tu wiele owocnych lat.

- Staram się, Jarvis. Naprawdę się staram. Co się dzieje? Przez telefon wyrażałeś się.

- Niejasno? - spytał Burns. - Nie lubię rozmawiać przez telefon.

- Narodowa Agencja Bezpieczeństwa nie ma uprawnień do podsłuchiwania rozmów prowadzonych przez obywateli amerykańskich, a już zwłaszcza przez amerykańskich agentów wywiadu.

- Mimo wszystko lepiej dmuchać na zimne. - Rozsiadł się na krześle, podniósł chorą nogę i założył ją na zdrową. - Nie zajmę ci zbyt wiele czasu, a pomyślałem, że powinienem cię o tym poinformować.

- Zamilkł na chwilę, po czym dodał szeptem: - Agenci Reiger i Hope nie żyją.

Beth pochyliła się do przodu, przeszywając go spojrzeniem.

- Co się stało, do cholery?

- Wygląda na to, że wpadli w zasadzkę. Byli bici - zdaje się, że wręcz torturowani - a później podejrzięto im gardła.

- Gdzie to się stało?

- Nie jesteśmy pewni. Ze wstępnych oględzin wynika, że nie zostali zabici tam, gdzie ich znaleziono. Na miejscu nie ma śladów krwi.

- Postukał w biurko palcem wskazującym. - Znaleziono ich na śmietniku w południowej Alexandrii.

- Na śmietniku? Tak samo było w przypadku Jamiego Meldona.

- Zgadza się, ale tym razem posłużono się innym narzędziem zbrodni. Tam użyto pistoletu, tu - noża.

- Wspomniałeś o torturach?

- Złamane kości, strzaskany mostek. Owszem, stosowano tortury.

- To mogli być kolesie Naylora, tego, który siedzi w areszcie, oskarżony o terroryzm wewnętrzny.

- Wiem, jakich okropności dopuszczał się Roman Naylor.

- Mówiłam Reigerowi i Hope'owi, że nie powinni byli nas odsuwać od tej sprawy. Gdybyśmy pracowali razem, może udałoby się nam przyskrzynić tych drani?

- To nie była moja decyzja, Beth. Ja w ogóle nie zajmuję się tą sprawą. Przyjechałem do ciebie, bo przedtem skontaktowaliśmy cię z Reigerem i Hope'em, chociaż nie byliście w stałym kontakcie. Dyrektor Donnelly nalegał, żebym powiedział ci o tym osobiście. Chyba uważa, że jest ci to winien. Nie znałem tych ludzi, ale byli agentami rządowymi i zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby dorwać sukinsynów odpowiedzialnych za ich śmierć.

- Czy mogę jakoś pomóc?

- Nad sprawą pracuje FBI, ale sprawdzę, czy są jakieś możliwości współpracy.

- Chętnie pomogę, jak tylko będę mogła, Jarvis.

- Wiem i uwierz mi, nie zapomnę o tym.

Wstał z miejsca.

- Beth, mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Słucham.

- Czy to prawda, że twoja siostra została aresztowana?

Pani komendant spojrzała na niego beznamiętnie.

- Skąd o tym wiesz?

- Beth, daj spokój. Gdybyśmy nie byli w stanie ogarnąć, co dzieje się na naszym podwórku, jakie mielibyśmy szanse z Iranem czy Koreą Północną?

- To było nieporozumienie. Nie postawiono jej żadnych zarzutów. Mówiła, że ludzie w jakimś samochodzie do niej strzelali.

- Strzelali? A gdzie była?

- W dzielnicy Trinidad.

- W Trinidad? Kiedy?

- W środku nocy.

- Rozumiem - powoli powiedział Burns, kręcąc głową z niedowierzaniem. - W tej okolicy ludzie strzelają do siebie dosyć często, zwłaszcza o tej porze.

- Nie powinna była tam jechać.

- A po co właściwie to zrobiła?

- Wybrała się na miejsce, z którego została porwana. Chciała je zobaczyć.

- A to niby dlaczego?

Beth westchnęła.

- Wbiła sobie do głowy, że jeśli znajdzie tego, kto ją zrobił, oczyści się z zarzutów i będzie mogła wrócić do służby. To jej jedyne pragnienie, Jarvis. Znów być w policji.

- Życzę jej powodzenia, ale to, cóż.

- Mała szansa? Mace ma tego świadomość.

- A sprawa Tolliver?

- O co konkretnie pytasz?

- Wczoraj w nocy w jej kancelarii był fałszywy alarm przeciwpożarowy.

Beth wyglądała na zbitą z tropu.

- Nie sądziłam, że interesujesz się takimi rzeczami.

- Zwykle się nie interesuję, ale łączymy ze sobą pewne fakty.

Na przykład wzrost liczby pacjentów przyjętych z objawami wskazującymi na zarażenie wirusem wąglika z niepokojącymi wskazaniami czujników w metrze dotyczącymi jakości powietrza. Dlatego zabójstwo popełnione w kancelarii w Georgetown, po którym następuje fałszywy alarm w tym samym budynku, prowadzący do zmarnowania znacznej ilości zasobów awaryjnych, nieco mnie niepokoi. Tak samo było z lekcjami pilotażu na Florydzie, podczas których początkujący piloci nie byli zainteresowani nauką startu i lądowania. Teraz wydaje się to oczywiste, a przed jedenastym września nikt nie zwrócił na to uwagi. Nie mogę pozwolić sobie na pominięcie żadnej kwestii, nieważne jak błahej. Fałszywy alarm w kancelarii mógł być działaniem dywersyjnym.

- W jakim celu?

- Być może dowiemy się tego dopiero wtedy, gdy będzie za późno. Beth, moim zadaniem jest martwienie się o całość. Dlatego mam pełno wrzodów i szybko łysieję. Nie wiesz, kto mógł wszcząć alarm?

Beth miała kamienną twarz.

- Nic jeszcze nie wiemy. Pracujemy nad tym.

- Daj mi znać, jeśli coś ustalisz.

- Dam.

- Aha, Beth, i powiedz siostrze, żeby odpuściła. Straciłaś ją już

na dwa lata. Nie chcesz chyba stracić jej na zawsze?

Wychodząc z budynku, Burns czuł się zadowolony z siebie. Dał Mace Perry wybór. Jeśli się wycofa, przeżyje. Mogła podjąć taką decyzję. Jeśli postanowi brnąć dalej, kolejne decyzje będą należały do niego.

Mace kupiła bilet na pociąg do Newark na następny dzień rano, posługując się kartą kredytową Altmana i odwiozła Roya na rozmowę z Kapitanem. W areszcie czekała ich wielka niespodzianka. Mona Danforth i dwaj detektywi z wydziału zabójstw rozmawiali z aresztantem w niewielkim pokoju przesłuchań. Mona miała w rękach notatnik, w którym pospiesznie pisała.

Roy omal nie otworzył drzwi kopniakiem, kiedy zobaczył ich przez zamontowane w drzwiach okienko ze zbrojonego szkła.

- Co tu się dzieje, do cholery? - krzyknął, wchodząc.

Mona i policjanci spojrzeli na niego, a Kapitan wpakował sobie do ust całe ciastko.

- Cześć, Roy - powiedział pomiędzy kolejnymi młásnięciami.

- Właśnie przegrała pani sprawę - powiedział Roy do Mony, która siedziała spokojnie, z uśmiejchem na twarzy.

- A pan to kto? - spytała gładko.

- Jego adwokat, paniusiu.

- Nazywam się Mona Danforth, nie „paniusia” i jestem prokuratorem okręgowym dla Dystryktu Kolumbii, więc proszę traktować mnie z szacunkiem. - Uśmiejch zniknął z twarzy Mony.

Mace weszła do pomieszczenia i stanęła obok Roya.

- Tymczasowym prokuratorem okręgowym, Mona - stwierdziła.

- Nie bądź taka pewna swego.

- Co u diabła tutaj robisz? - krzyknęła Mona.

- Jest ze mną, a to oznacza, że wolno jej tu być, a pani nie. I, jak już mówiłem, właśnie przegrała pani sprawę.

- Doprawdy? A to niby dlaczego, panie...?

- Kingman. Mój klient usłyszał zarzuty i zgłosił adwokata. Przysługują mu prawa na mocy Szóstej Poprawki. Wolno się pani z nim kontaktować jedynie w mojej obecności.

- Chyba wypadł pan trochę z obiegu, panie Kingman.

- Słucham?

- Takie przepisy faktycznie istniały, ale już nie obowiązują. Wymóg obecności adwokata został zniesiony przez Sąd Najwyższy. Jeśli oskarżony zażąda spotkania z policją, może się ono odbyć bez obecności obrońcy i nie ma to żadnych konsekwencji dla sprawy, chyba że uda się udowodnić wymuszanie zeznań. Jeśli pan chce, mogę przesłać panu kopię opinii Sądu Najwyższego, żeby mógł pan odświeżyć sobie podstawowe wiadomości o prawie karnym.

- Chce mi pani wmówić, że sam poprosił o rozmowę z panią?

- Proszę go o to zapytać. - Mona zwróciła się do Kapitana i delikatnie pogłaskała go po dłoni. - No, Lou, możesz z nimi porozmawiać.

- Lou? To mój klient, nie pani! - krzyknął Roy.

Mace zauważyła, że biedny Kapitan nieustannie wpatruje się w ponętą panią prokurator. Mona miała na sobie krótką spódniczkę i wydekoltowaną bluzkę, odsłaniającą sporą część piersi.

- Nie bądź niegrzeczny dla słonka, Roy - stwierdził Kapitan i uścisnął dłoń Mony. Kobieta szybko wyszarpnęła rękę.

- To nie jest żadne słonko - wyjaśnił Roy. - To kobieta, która

chce cię wsadzić za kratki na resztę życia.

- Przyniosła mi ciastka.

- Poprosił o nie - szybko wyjaśniła Mona. - A potem powiedział moim ludziom, że chce z nami porozmawiać.

- Tak było, Kapitanie? - spytała Mace.

- Tak, chyba tak. Bardzo dobre te ciastka. Te są świeże, Roy. Dużo lepsze od tamtych. - Mona i policjanci wstali.

- My na razie skończyliśmy. Pozwolę wam spędzić trochę czasu sam na sam - stwierdziła pani prokurator.

- Ten czas należy nam się z mocy prawa, więc proszę nie udawać, że wyświadcza nam pani przysługę. - Roy spojrział na gęsto zapisany notatnik. - I, tak czy inaczej, złożę wnioszek o nieuwzględnianie jako materiału dowodowego tego, co teraz pani powiedział. Zażądam też dochodzenia w tej sprawie, bo, niezależnie od decyzji Sądu Najwyższego, coś mi tu śmierdzi.

- Ciekawi mnie jedna rzecz - stwierdziła beznamiętnie Mona.

- Cóż takiego?

- Zamierzam wezwać pana na świadka w tej sprawie. To pan znalazł ciało, więc sąd na pewno będzie chciał pana wysłuchać. Jak zamierza pan reprezentować pana Dockery'ego, skoro zachodzi tak ewidentny konflikt interesów?

Roy zrobił minę, jakby właśnie dostał potężny cios w brzuch. Mona uśmiechnęła się szerzej.

- Twoja pokerowa twarz mówi mi, że nie pomyślałeś o tym. Coś ci proponuję, Roy. Ja wycofam sprzeciw w tej kwestii etycznej, i jeśli sędzia się zgodzi, możesz pozostać obrońcą pana Dockery'ego.

- Dlaczego zgadza się pani to zrobić? - ostrożnie spytał Roy.

- Chcesz wiedzieć, czego żądam w zamian? Powiem tak. Nie znoszę wniosków adwokata o wycofanie dowodów i o wszczęcie

dochodzenia. Myślę, że potrzebujemy czystej karty. – Spojrzała na niego wyczekująco, a jednocześnie triumfująco i pogardliwie.

– Czyli ja mam zapomnieć o numerze, który przed chwilą pani wycięła, a pani w zamian łaskawie pozwoli mi reprezentować mojego klienta?

– Nie wycięłam żadnego numeru. Jestem w swoim prawie.

– Mogę zażądać wycofania dowodu.

– Nie po tym, jak zgłoszę sprzeciw.

– Proszę mi wyjaśnić jedną rzecz. Skoro twierdzi pani, że nie zrobiła nic złego, czemu proponuje mi pani układ pozwalający mi reprezentować klienta?

– Bo chcę, żebyś w dalszym ciągu był adwokatem Lou.

– Dlaczego?

Mona pochyliła się do przodu i odezwała się tak cicho, że jej słowa usłyszeli tylko Roy i Mace:

– Bo jeśli zostaniesz odsunięty od sprawy, mogą wyznaczyć adwokata z prawdziwego zdarzenia, a to tylko utrudni mi pracę. Mnóstwo wykwalifikowanych obrońców publicznych tylko czeka na taką okazję, a każdy z nich zna się na rzeczy. Po co mam grać przeciw drużynie uniwersyteckiej, skoro mogę rozegrać mecz z gimnazjum? – Podniosła aktówkę i włożyła do niej notatnik. – Do zobaczenia jutro w sądzie. – Odwróciła się do Kapitana. – Lou, byłabym zapomniała.

– Rzuciła mu kolejne ciastko, jakby dawała psu kość. Po chwili pani prokurator i policjanci wyszli, a Kapitan zaczął pałaszować kolejną porcję swego przysmaku.

93

Roy i Mace zaszyli się w kącie pokoju. Kapitan siedział, tępo patrząc w ścianę i ocierając krem z ust.

- Może ona ma rację. Może jestem na poziomie gimnazjum - stwierdził Roy. Mace uderzyła go w ramię.

- Ustalmy jedną rzecz. Mona nigdy nie ma racji.

- Mace, Kapitan zasługuje na najlepszego adwokata, a ja zapomniałem nawet o konflikcie interesów, chociaż to poważny problem. Gdybym jutro poszedł tak do sądu, Mona i sędzia urwaliby mi głowę.

- Kapitan chce, żebyś go reprezentował.

- Daj spokój, on nie wie, czego chce. Poza ciastkami z kremem.

- Dasz radę, Roy. Nie skupiałeś się na konflikcie interesów, bo wiedziałeś, że jesteś niewinny i chciałeś pomóc Kapitanowi.

- Mace, nie można bronić oskarżonego o morderstwo pierwszego stopnia, jeśli nie jest się na bieżąco. Tu nie ma miejsca na błędy, zwłaszcza jeśli przeciwnikiem jest Mona. Wiem, że jej nienawidzisz i podzielam twoje uczucia, ale muszę przyznać, że jest bystra.

- I totalnie nieetyczna. Przekupiła Kapitana słodyczami i głębokim dekoltem.

- To tylko czyni ją jeszcze bardziej niebezpieczną.

- Roy, podjąłeś decyzję, że zostaniesz jego adwokatem.

Wyleciałeś przez to z kancelarii. Chcesz tam wrócić na kolanach i błagać, żeby przyjęli cię z powrotem na ciepłą posadkę? I pozostawić bezdomnego weterana w rękach jakiegoś marnego adwokacyny, który będzie miał gdzieś, czy jego klient trafi na resztę życia do pudła? Tego chcesz?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział wzburzony Roy.

- W takim razie w czym problem? Mona rzuciła ci wyzwanie. Jeśli skopie ci tyłek - no trudno. Ale nie rozumiem, jak człowiek tak ambitny, który jako hasło do komputera wpisuje wynik ostatniego meczu w swej uniwersyteckiej karierze, może tak po prostu nadstawiać drugi policzek. Tym razem to nie gra, a Kapitan cię potrzebuje. Właśnie ciebie, Roy.

Prawnik spojrzał na Mace, na Kapitana i znowu na Mace.

- Dobrze, ale będę potrzebował pomocy w wyszukiwaniu informacji.

- Załatwione.

- Ale ty jutro jedziesz do Newark, żeby sprawdzić trop w sprawie Meldona.

- Ten trop może nas doprowadzić do zabójcy Diane.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Sama już nie wiem, w co mam wierzyć, ale nie mogę tego odpuścić.

- W porządku.

- Jesteś zdecydowany się tym zająć?

- Tak.

- W takim razie chyba mogę ci powiedzieć.

- O czym?

- Po drodze tutaj rozmawiałam z Lowellem Cassellem.

- I?

- W nasieniu znalezionym na ciele Diane nie wykryto buforu

z żółtkiem. Nie zostało ono pobrane w Potomac Cryobank.

Roy spojrział na Kapitana, który właśnie dłubał w zębach.

- Dobra, niech przemówi przeczucie. Myślisz, że to zrobił?

Mace również spojrzała na starego żołnierza. - Rozmawiałam o tym z Beth. Zgodziła się ze mną, że wokół Diane i twojej kancelarii dzieją się dziwne rzeczy, ale powiedziała też, że to zabójstwo może być z nimi w ogóle niezwiązane. Mogło dojść do niego przypadkiem.

- Myślisz, że to zrobił?

- Nie, Roy, myślę, że nie.

- Więc jaki to wszystko ma sens, do cholery?

- Jakiś na pewno. Musimy go tylko znaleźć.

Przez kolejną godzinę usiłowali skłonić Kapitana do udzielenia odpowiedzi na pytania. Rozmowa często stawała się jednostronna – weteran dekoncentrował się, zapadał w drzemkę, robił liczne i nieistotne dygresje albo prosił o kolejne ciastka. Nie był w stanie dokładnie opisać mężczyzny, który zaczepił go na ulicy i spytał, czy nie chciałby łatwo zarobić dwustu dolców. Według jego kolejnych relacji jego rozmówca był wysoki, niski, otyły, szczupły i bujnie owłosiony. Kapitan nie rozpoznał logo placówki, pamiętał za to, że nie wszedł do budynku frontowymi drzwiami i że w czasie, kiedy nieznajomy wszystko przygotowywał, on grzebał w wielkich zielonych kubłach na śmieci. Mace zapamiętała, żeby sprawdzić, czy na tyłach Potomac Cryobank znajdują się takie pojemniki. Pamiętał także małe, ciemne pomieszczenie, gdzie wręczono mu kubek i „pisemko z panienkami”. Trochę to trwało, ale w końcu udało mu się dostarczyć próbkę i zainkasować pieniądze.

- Pamiętasz coś jeszcze z tego miejsca, Lou? – spytał Roy.

- Zapach.

- Jak pachniało?

- Bo ja wiem? – Kapitan pogłaskał się po obwisłej skórze na szyi.

- Całkiem nie jak ja. Naprawdę czysto.

Roy spojrział na Mace.

- Pachniało tam środkami antyseptycznymi. Jak w szpitalu.

- To jest klinika.

- Tak, ale sąd może nie uznać takiego dowodu.

- A czego się spodziewałeś? - cicho spytała Mace.

Kiedy skończyli rozmowę z Kapitanem, wrócili do domku gościnnego i Roy zaczął przygotowywać strategię na następny dzień.

- Zrobimy to szybko i zwięźle - stwierdził. - Ja stwierdzę, że mój klient nie przyznaje się do winy, Mona będzie wnioskować o dalsze zatrzymanie go w areszcie i wydanie aktu oskarżenia i pewnie szybko je uzyska. Potem zacznie się praca na poważnie. O której jedziesz do Newark?

- Pociąg odjeżdża o siódmej i jest na miejscu około dziewiętej trzydzieści. Kancelaria jest oddalona od dworca o jakieś dwadzieścia minut jazdy taksówką. Postaram się porozmawiać ze współpracownikami i, mam nadzieję, czegoś się od nich dowiedzieć, a potem zdążyć na pociąg powrotny i wrócić jutro po południu.

- Zadzwoń, żeby dać ci znać, jak wypadła rozprawa.

- Czy zamierzasz poprosić o zwolnienie Kapitana z aresztu ze względu na zasługi?

- Nie. Tam przynajmniej ma dach nad głową i trzy posiłki dziennie.

- I tam będzie bezpieczniejszy, jeśli ktoś próbuje go zrobić.

- To prawda. Może my też powinniśmy dać się aresztować?

Oboje spojrzeli w górę. Po schodach stoczyła się piłka i zatrzymała się u stóp Roya. Wziął ją do rąk. Po chwili przybiegł za nią Tyler, rozglądając się gorączkowo. Kiedy zobaczył, że mężczyzna trzyma piłkę, podbiegł do niego, wyciągając rączki.

- Tyler, co ty tu robisz o tej porze?

Alisha pojawiła się u szczytu schodów, kiedy Roy wręczał piłkę jej synowi. Powiedziała:

- Przepraszam za to. Mały za nic w świecie nie chce dać się uśpić. Kozłował i piłka mu uciekła.

Mace postukała Roya w nogę.

- Ten chłopak robi zwody i wsady jak zawodowiec, co nie, Ty?

Malec spojrzał na nią, szeroko otwierając buzię i szybko mrugając.

Mace poklepała Roya po ramieniu.

- A ten pan grał w drużynie uniwersyteckiej. Dostałby się do NBA, gdyby trochę wyżej skakał.

- I trochę lepiej robił parę innych rzeczy - dodał Roy.

- Wiesz co, przez cały dzień babrałeś się w różnych prawniczych sprawach. Może poszedłbyś teraz z małym na salę gimnastyczną i pozwolił mu pokazać, co potrafi? Oderwałbyś się na chwilę od tego wszystkiego - stwierdziła Mace, po czym dodała, zwracając się do chłopca: - Ty, chcesz pokazać panu Royowi swoje zagrania?

Roy zaczął mówić:

- Naprawdę powinienem już.

Ale kiedy Ty, wciąż z otwartą buzią, mocno złapał go za rękę, mężczyzna szybko wstał.

- Zgoda, Ty, ale trochę się zastałem, więc daj mi fory, dobrze?

- Czy mogę popatrzeć? - spytała Alisha.

- Miałam to zaproponować - stwierdziła Mace.

Roy spojrzał na nią.

- Chcesz się przyłączyć? Moglibyśmy urządzić pokaz gry w wisielca.

- Pograj sam, ja pójdę się położyć. Jutro muszę wcześniej wstać, żeby zdążyć na pociąg.

Kiedy cała trójka wyszła, Mace odczekała parę minut, aż dojdą do hali, zadzwoniła do informacji, sprawdziła numer i pod niego zadzwoniła.

- Doktorku, tu Mace Perry. Wiem, że jest późno, ale czy moglibyśmy się spotkać?

Lowell Cassell był już w swoim szeregowcu w południowo-wschodniej części miasta, ale zgodził się spotkać z Mace w kawiarni niedaleko dworca Union Station. Kobieta podziękowała mu, rozłączyła się, chwyciła skórzaną kurtkę i pobięła do ducati.

95

- To spotkanie to szaleństwo, Mace - stwierdził Lowell Cassell.

- Dlaczego? Jestem zwykłą obywatelką.

- Zwykłą obywatelką, która, o ile mnie pamięć nie myli, pomaga w obronie domniemanego mordercy przebywającego obecnie w więzieniu w Waszyngtonie - odpowiedział lekarz sądowy, a widząc jej zdziwioną minę, dodał: - Widzisz, plotki docierają nawet do kostnicy.

- Nie nazwałabym tego, co robię, pomocą. I naprawdę chciałam napić się dobrej kawy. Często tu przychodziłam, kiedy jeszcze pracowałam w policji. Kawiarnia była otwarta dwadzieścia cztery godziny na dobę i wpadaliśmy tu po patrolu, jeśli na ulicach nic się nie działo.

Cassell pochylił się w jej stronę, mówiąc szeptem, chociaż byli jedynymi gośćmi w lokalu.

- Naprawdę sporo zaryzykowałam, dając ci dostęp do swoich akt. Jeśli to wyjdzie na jaw, to będzie koniec mojej kariery.

- Nie wyjdzie, Lowell. Prędzej umrę.

Lekarz sądowy, wyraźnie uspokojony, rozsiadł się wygodniej na krześle.

- Wiedziałem, że to powiesz.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Pokazałem ci akta? - Cassell dosłodził kawę. - Bo cię lubię.

- To słabe uzasadnienie dla ryzykowania kariery.
- Walisz prosto z mostu, zupełnie jak siostra.
- A wydawało mi się, że jestem od niej bardziej dyplomatyczna.
- Słyszałem, że sprawą osobiście zajmuje się Mona Danforth?
- Zgadza się. Jestem pewna, że działa z czysto altruistycznych pobudek.

Cassell napił się kawy i skubnął kawałek ciastka, które miał na talerzu.

- Doktorku, wiem, że nasienie było czyste i nie zawierało żadnego żółtka.

- Zgadza się. Domyślałam się, że Beth kazała mi to sprawdzić na twoją prośbę.

- Powiedział, że ktoś zapłacił mu dwieście dolarów za oddanie próbki nasienia do kubeczka.

- Kto, ten bezdomny weteran?

- Tak - odpowiedziała Mace.

- Czy mógł konfabulować? Nasienie znalezione na zwłokach kobiety to bardzo przekonujący dowód.

- Zgadzam się z tym, ale nie wierzę, żeby mógł to zmyślić. Ten gość przez większość czasu myśli tylko o ciastkach z kremem.

- Inne dowody też są dość mocne.

- Znów się z tobą zgadzam. Jesteśmy ugotowani.

- Czyli jednak nad tym pracujesz? - spytał Cassell.

- Wiesz, skoro nie mogę być gliną...

- Wiem. Chcesz rozwiązać wielką sprawę.

- Tylko to mnie trzyma przy życiu.

- Mace, to, co cię spotkało, było niesprawiedliwe.

- Trzydzieści procent.

- Co takiego?

- Mniej więcej tylu funkcjonariuszy policji wierzy w moją winę.

- Czyli siedemdziesiąt procent jest przekonane, że ktoś cię wrobił. Każdy polityk chciałby mieć takie wskaźniki poparcia.

- Mnie nie zadowoli nic poniżej stu procent.

- Nie możesz przez całe życie nakłaniać ludzi, żeby zrozumieli coś, czego nie chcą zrozumieć.

- Nie robię tego dla nich, tylko dla siebie.

- Chyba wiem, o co ci chodzi.

Mace postukała palcem w dłoń Cassella.

- Dlaczego zgodziłeś się ze mną spotkać?

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewien.

- Coś cię dręczy, prawda?

- To nasienie.

- Nie było w nim żółtka.

- Ale mogło zostać podrzucone.

- Zamieniam się w słuch.

- Zdarzało się to już przedtem, chociaż nie za często. To jeden z najrzadziej wykorzystywanych sposobów manipulacji dowodami, ale jak najbardziej możliwy. Problem w tym, że jeśli ktoś to robi jak należy, w zasadzie nie ma sposobu, by uniknąć skazania.

- Myślisz, że ktoś podrzucił nasienie?

- Tak. A wszystko przez szyjkę macicy.

- Słucham?

- Nasienie znaleziono wysoko w szyjce macicy. Naprawdę wysoko. Czytałem akta Dockery'ego. Ma prawie sześćdziesiąt lat i od dawna mieszka na ulicy. Widziałem go też w więzieniu. Nie badałem go, ale jak na moje lekarskie oko ma wiele poważnych problemów zdrowotnych. Prawie na pewno cierpi na miażdżycę i nadciśnienie, prawdopodobnie również na cukrzycę, a plamy, które ma na twarzy, to rak podstawnokomórkowy. Jest poważnie zagrożony udarem, tętniakiem i różnymi nowotworami.

I jestem się gotów założyć o tysiąc dolarów, że ma powiększoną prostatę, być może zajęta przez nowotwór.

- Co to oznacza?

- Że trzeba cudu, aby w ogóle miał erekcję, a na pewno nie byłby w stanie zgwałcić kobiety i ejakulować tak głęboko do jej szyjki macicy.

- Mówił, że do kubka mu się udało.

- Kubek to nie to samo, co kobieca pochwa. Czy mówił, ile czasu zajęło mu oddanie nasienia?

- Powiedział, że trochę to trwało. I że dali mu „pisemko z panienkami”.

- Założę się, że nawet z tym pisemkiem zajęło mu to sporo czasu.

- To może być ważne, bo Tolliver została zamordowana najpóźniej w dwie godziny po przyjsciu do biura, a możliwe, że znacznie wcześniej – po pół godziny czy godzinie.

- Osiemnastolatek nie miałby z tym problemu. Ale jeśli facet w takim stanie jak Dockery jest w stanie w ogóle osiągnąć wzwód i zrobić swoje w czasie krótszym niż cztery godziny, to chciałbym brać te same leki, co on. Wiesz, dlaczego firmy farmaceutyczne zarabiają miliardy dolarów na specyfikach takich jak viagra czy cialis?

- Bo starsi panowie potrzebują pomocy?

- Dokładnie. Zwłaszcza panowie w wieku Dockery’ego. Ale pamiętaj, że mówię ci to prywatnie. Nie powtórzę tego w sądzie. Musisz postarać się o innego eksperta. Zgodnie z prawem obrońca ma dostęp do wyników moich badań i może dowolnie je wykorzystywać, lecz musi sam wyciągać wnioski, a to, co ci powiedziałem przed chwilą, to czyste spekulacje, a nie wiążąca opinia w tej sprawie.

- Zrozumiano. W takim razie poproszę o spekulacje w jeszcze jednej kwestii. Czy myślisz, że mogli podać coś Dockery'emu, żeby było mu łatwiej napełnić kubek?

- Nie wykluczałbym tego.

- Mam nadzieję, że sobie to przypomni. Nie ma najlepszej pamięci do szczegółów, a w dodatku zawsze mogli naszpikować prochami ciastko z kremem. Aha, a jak długo mogło przetrwać nasienie w ciele Diane? Jeśli Dockery mówi prawdę, musieli pobrać je od niego, przechować, przewieźć na miejsce zbrodni i wstrzyknąć je denatce. Ktoś mi mówił, że nasienie po pewnym czasie się rozkłada. Dlatego dodają do niego żółtko.

- To prawda. Zmniejsza się ruchliwość plemników, pogarszają się też inne parametry. Próbka, którą badałem, była w ciele przez mniej niż siedemdziesiąt dwie godziny.

Mace odchyliła się na krześle.

- A może mniej niż dwadzieścia cztery? Czy mogło być tak, że Dockery oddał próbkę w niedzielę, a Tolliver zginęła w poniedziałek?

- Nie. To musiało zdarzyć się wcześniej, co najmniej o trzy dni.

- Jesteś pewien?

- Ręczę swoją reputacją.

- To mi w zupełności wystarczy - stwierdziła Mace, wstając. - Dzięki, doktorku.

- Za co? Nie jestem pewien, czy udało mi się pomóc.

- Owszem, bardzo wiele wyjaśniłeś. Problem w tym, że jeśli moje przypuszczenia się potwierdzą, będę musiała znaleźć odpowiedź na mnóstwo nowych pytań.

- Oby ci się to udało.

- Oby.

Kilka minut później Mace pędziła drogą. Nie jechała do

rezydencji Altmana, a do Georgetown. Myślała o tym, że jeśli jej przypuszczenia się potwierdzą, za całą sprawą stoi potężna i przerażająca siła. Na tyle potężna, że może przerazić ją na śmierć.

Jarvis Burns wyszedł z biura późno i ruchem ręki przywołał taksówkę. Kiedy podróżował z Samem Donnellym, towarzyszyła im kawalkada pojazdów. Do samotnych podróży wystarczał mu transport publiczny. Nie miał nic przeciwko temu. W gruncie rzeczy takie rozwiązanie dawało okazję do spotkań.

Rozparł się wygodnie na tylnym siedzeniu. Taksówkarz przyjrzał mu się w lusterku. Kierowca miał na sobie luźną, białą bawełnianą koszulę, a w swej ojczyźnie nosił na głowie czarno-białą kefię, symbolizującą przynależność do narodu palestyńskiego. Burns wiedział, iż człowiek ten właśnie przyleciał z Bliskiego Wschodu i że spędza on wiele czasu na wysokości dziesięciu tysięcy stóp, przelatując nad oceanami i nad jałową krainą, w której ludzie bardzo często zabijali się nawzajem w wojnach religijnych, walce o surowce naturalne albo z czystej, bezinteresownej nienawiści.

- Mahmud, przyjacielu, jak się masz? - zagaił Burns. Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie, a potem ruszył spod budynku. Przez większą część życia był z kimś stale w konflikcie, w tragicznych okolicznościach stracił oboje rodziców i dwójkę rodzeństwa. Jego rodziców zdradzili ludzie, których uważali oni za przyjaciół, więc on nie ufał nikomu. Zaznał rozpaczliwej nędzy i nie spodobało mu się to. Posmakował też bezsilności i to uczucie spodobało mu się

jeszcze mniej. Miał wiele blizn po postrzałach, nosił też w ciele odłamek szrapnela. Zaciekle walczył o sprawę, ale w końcu uświadomił sobie, że inni rozgrywają grę, która nie pociąga za sobą bezpośredniego zagrożenia życia, i dopóki życie trwa, warto z niego korzystać.

Odpowiedział z nienagannym angielskim akcentem.

- Jestem tu. A to już coś.

- W tej sprawie się z tobą zgadzam.

- Bądź blisko z przyjaciółmi, ale jeszcze bliżej z wrogami, Jarvis - powiedział. - Myślę, że twój kraj wreszcie zaczął doceniać mądrość zawartą w tym przysłowiu. Izolacja rozzuchwała waszych przeciwników. Pozwala im przedstawić wasz kraj swoim obywatelom tak, jak chcą, a nigdy nie przedstawiają go przyjaźnie.

- Zgadzam się, w pełni się zgadzam - pospiesznie wtrącił Burns.

- Ale nie o tym mieliśmy mówić.

- Chciałem wyjaśnić, że zaistniała sytuacja została w pełni opanowana.

Mahmud wbił wzrok w widoczną w lusterku postać.

- Cieszę się, że to słyszę. To było bardzo niefortunne. Jak do tego doszło?

- Zdaje się, że udało nam się odtworzyć sekwencję zdarzeń. Ten łańcuch powinien być zostać zerwany w wielu miejscach, niestety - tak się nie stało. Przypadkowe zerknięcie na ekran laptopa podczas lotu powrotnego z Dubaju zapoczątkowało drogę Diane Tolliver, która doprowadziła do jej likwidacji. Od tamtej chwili kobieta stała się ciekawska, zaczęła porównywać dokumenty, rozpytywać i zbierać informacje. Na szczęście popełniła błąd i komuś zaufała. W ten sposób my dowiedzieliśmy się o sprawie.

- A więc mało brakowało.

- Wina leży całkowicie po naszej stronie. Chciałbym jednak podkreślić, iż ta sytuacja się nie powtórzy i że nie wpłynie na żadne z naszych działań. Ręczę za to słowem.

- Twoje słowo wiele dla mnie znaczy. Ty także wiele poświęciłeś dla ojczyzny.

- Był to dla mnie zaszczyt i przywilej.

- Ja przestałem już myśleć o takich rzeczach.

- Zasmuca mnie to.

- A mnie cieszy.

- Kwestie finansowe to jedna rzecz. Ale poza tym robimy to, co należy. Wszyscy tego chcemy, a mój kraj w szczególności.

- Przyjacielu, gdyby chcieli tego wasi przywódcy, nie musielibyście z dyrektorem działać sami.

- Mogę cię zapewnić, że nie jesteśmy sami. Przywódcy czasem nie chcą oficjalnie przyjąć odpowiedzialności za działania niezbędne dla osiągnięcia istotnego celu, ale nie mają nam za złe wykorzystania skutecznych, choć niepopularnych metod.

- Racja. Im mniej wiedzą, tym lepiej.

- Tak bym tego nie ujął.

- Mówisz o zadawaniu gwałtownej śmierci, o eliminowaniu rodaków, jeśli zagrażają oni osiągnięciu tych celów. Wy, Amerykanie, nigdy tego nie pochwalaliście. Szczerze mówiąc, zawsze uważałem to za waszą słabość.

- Jesteśmy cywilizowanym narodem, Mahmudzie.

- Cóż Jarvis, może pewnego dnia gwałtowna śmierć stanie się równie obca mojemu narodowi jak twojemu. To będzie piękny dzień.

- Mam nadzieję, że go dożyję.

- Muszę przyznać, że masz na to znacznie większe szanse niż ja.

- Mam nadzieję, że się mylisz.

- A nawet, gdybym miał rację, co z tego? Na moje miejsce przyjdą inni. Jak na ludzi wierzących w życie wieczne w Raju, wy, Amerykanie, przykładacie zbyt dużą wagę do życia. Nikt z nas nie jest niezastąpiony. Nawet po Bin Ladenie zjawia się kolejni. Tak jest urządzony ten świat i dzięki temu możesz zarabiać na chleb, prawda?

- Mahmudzie, chętnie przeszedłbym na emeryturę, gdyby miało nie być kolejnych Bin Ladenów.

- Nigdy nie przejdziesz na emeryturę, przyjacielu. Czy poinformujesz mnie, jeśli będziesz potrzebował naszej pomocy w posprzątaniu po tej sprawie?

- Myślę, że znalazłem do tego odpowiednich ludzi.

- Tak wielu wypowiadało te słowa i tak wielu z nich się myliło. - Coś w głosie Palestyńczyka sprawiło, że Burns oderwał wzrok od lusterka, w którym obserwował oczy mężczyzny, i wyjrzał przez okno.

- Wiem, że twój naród musi przetrwać, i dąży do tego, nie przebijając w środkach.

- Oni nie mają niczego, a w ten sposób mogą coś zdobyć. Pieniądze nie mogą przestać płynąć. Już do tego przywykli. Jeśli ty nie zapłacisz, zrobi to ktoś inny. Wasi przywódcy wykazali się w tym względzie wielką krótkowzrocznością. Dlatego musieliśmy wybrać tę drogę. Pieniądze nade wszystko.

- Nie przestaną płynąć. Gwarantuję to.

- To dobrze, bo moi rodacy nie kochają twojego kraju. Można ich jednak kupić. Zdaje się, że da się kupić każdego. - Po dłuższej przerwie dodał buńczucznie: - Nawet mnie.

- Bądź jeszcze bliżej z wrogami.

- I nie pozwól nikomu przekonać się, że powinno być inaczej.

Kilka minut później Burns wysiadł z taksówki, wgramolił się na

tylne siedzenie czekającego na niego lincolna i odwrócił do czekającej na niego kobiety. Mary Bard przebrała się z kombinezonu w zestaw ubrań bardzo podobny do tego, który miała na sobie, wykańczając Reigera i Hope'a.

- Doceniam profesjonalizm, jakim wykazała się pani podczas wykonywania trudnego zadania - stwierdził Burns.

Bard wzruszyła ramionami.

- Zadanie to zadanie. Może najwyżej mieć różny stopień złożoności.

- Moralnej czy logistycznej?

- Rozterki moralne zostawiam innym. Kwestie logistyczne wystarczą mi w zupełności.

- Jeśli pani sobie życzy, mogę wypisać kolejne rozkazy - powiedział Burns, sprawdzając kobietę.

- Otrzymałam już rozkazy. Pański przełożony polecił mi pomagać panu, i wyłącznie panu, w każdy określony przez pana sposób.

- Muszę zapamiętać, żeby poprosić o więcej takich współpracowników.

- Musiałby pan porozmawiać na ten temat z moimi przełożonymi w Moskwie - stwierdziła kobieta.

- Zrobię to.

- A czym ja mam się zająć?

- Masz wypatrywać dwojga ludzi. - Pokazał kobiecie zdjęcia Roya Kingmana i Mace Perry. Przyglądała im się przez całą minutę.

- Możesz je zatrzymać - stwierdził.

- Nie potrzebuję ich. Mam je już w głowie.

- W porządku. Ustawiamy punkty obronne, ale muszę też mieć coś na przynętę, tak na wszelki wypadek.

- Jestem bardzo dobra w wyszukiwaniu przynęty.
- Wiem o tym.

Mace zaparkowała motocykl na tyłach budynku i zsiadła z niego. Rozejrzała się po dziesięciomiejscowym parkingu. Kiedy podeszła bliżej, zauważyła na dwóch przylegających do siebie miejscach nazwiska lekarzy wymalowane na asfalcie żółtą farbą. Szychy zawsze mają własne miejsca parkingowe, pomyślała. Do tylnych drzwi, wykonanych z litego drewna, prowadziło kilka schodków, a oba okna wychodzące na tył budynku były zasłonięte i zakratowane.

Stały tu także zielone kubły na śmieci, o których wspominał Kapitan. Nie miało to jednak większego znaczenia, bo w okolicy było ich mnóstwo, wszystkie identyczne. Mace nagle usłyszała najpierw stukanie ciężkich butów o chodnik, a później głos pytający:

- Czy mogę w czymś pomóc?

Odwróciła się i zobaczyła ochroniarza, idącego w jej stronę z ręką luźno spoczywającą na rękojeści pistoletu. Mężczyzna wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat i zapewne dorabiał sobie do policyjnej emerytury. Mace zauważyła, że zachowuje luz i opanowanie, jakby wiele lat spędził na patrolach i rozmowach z ludźmi.

- Po prostu oglądam ten budynek.

Mężczyzna spojrział na tyły siedziby Potomac Cryobank.

- Oglądasz? A może próbujesz okraść?
- Aktualnie nie handluję nasieniem.
- Mnóstwo ludzi to robi. To chodliwy towar.
- Nie wątpię. Pilnuje pan tego miejsca?
- Nie jestem tu dla przyjemności.
- Pracował pan dawniej w policji?
- Jesteś gliną?
- Byłam.
- Jestem teraz na emeryturze i na pełen etat pracuję w ochronie. W którym rewirze patrolowałaś?
- Głównie w O6 i O7.
- To miałaś pełne ręce roboty.
- Teraz pracuję jako prywatny detektyw.
- Co to ma wspólnego z tym miejscem?
- Zatrudnił mnie prawnik, który chce sprawdzić alibi związane z bankiem spermy. Nie wiem, czy to się na cokolwiek przyda.
- Jakie alibi?
- Pewien facet twierdzi, że był tutaj i grzebał w śmieciach, kiedy gdzie indziej działo się coś innego.
- A to „co innego” to przestępstwo, za które został aresztowany ten facet?
- Szybko ogarnąłeś sytuację.
- Nie. Po prostu zawsze wygląda ona tak samo.
- Byłam już w tej placówce. Wydawało mi się, że mają tu alarm.
- Bo mają.
- Więc dlaczego dodatkowo zatrudnili ciebie? Czyżby nasienie było aż tak chodliwym towarem?
- Sam zadałem to pytanie. Nie jestem studenciakiem, który chce dorobić, ani niedoszłym gliną, którego nie obchodzi, co się wokół niego dzieje. Jeśli biorę w czymś udział, chcę wiedzieć, co

i jak. Powiedzieli mi, że system alarmowy nawala i potrzebują żywego stróża.

- System nawala?

- Tak. Może to przez skoki napięcia, może kiepskie przewody albo błąd w oprogramowaniu, ale pewnego dnia, kiedy otworzyli klinikę, okazało się, iż alarm nie działa, a pielęgniarka, która wychodziła jako ostatnia, pamiętała, że go włączyła.

- Gadałeś z nią? - Mężczyzna skinął głową, a Mace opisała kobietę, która rozmawiała z nią i Royem.

- Tak, to ta sama.

- Działa bardzo efektywnie. Jeśli powiedziała, że włączyła alarm, to tak było.

- Wezwali firmę, która zakładała alarm, ale nie udało się ustalić, co zaszło. Nie było śladów włamania, wyłączenia systemu ani majstrowania przy czujnikach. Wyglądało, jakby sam się wyłączył zupełnie bez powodu. Zdaje się, że nic nie zginęło i nic nie wskazuje, żeby ktoś dostał się do środka, ale i tak się zaniepokoiли i właśnie wymieniają cały system. Mam tu pilnować, dopóki nie skończą.

- Czy pamiętasz, kiedy alarm przestał działać?

- Dlaczego pytasz? Czy to ma coś wspólnego z tym alibi?

- Nigdy nic nie wiadomo. I jestem ciekawska z natury.

- Jak większość gliniarzy. - Przejechał dłonią po podbródku. - Zostałem tu wezwany w czwartek, więc pewnie do awarii doszło w zeszłą środę.

- Tak myślałam.

- Dlaczego? - Mężczyzna był wyraźnie zaskoczony.

Mace zapuściła silnik motocykla.

- To bardzo długa historia. Może pewnego dnia przeczytasz o niej w gazecie.

Mace dowiedziała się od siostry, że niezwłocznie po aresztowaniu Kapitana windy biurowe zostały przeprogramowane w taki sposób, że nie zatrzymywały się już na czwartym piętrze. Ekipa remontowa nie ucieszyła się, że trzeba będzie dźwigać wszystko po schodach, ale była zmuszona się z tym pogodzić. Bezpieczeństwo publiczne było ważniejsze od nadwerężonych pleców.

Kiedy Mace była już prawie na miejscu, zwolniła. Miała wrażenie, że po tym jak Roy znalazł w lodówce ciało Diane Tolliver, nikt nie zostaje w biurowcu długo po godzinach ani nie przychodzi dużo wcześniej przed pracą. Na wszelki wypadek przyjrzała się jednak fasadzie budynku, wypatrując oznak czyjejś obecności. Sprawdziła też, czy w pobliżu nie parkuje żaden radiowóz.

Kiedy upewniła się, że teren nie jest obserwowany, zaparkowała motocykl przecznicę dalej, a resztę drogi do budynku przeszła piechotą. Weszła do garażu. Nie było tam ani jednego samochodu, a w głębi znajdowały się windy.

Kilka sekund później znalazła się w holu, przykucnęła za stanowiskiem ochroniarza i dotarła do wyjścia na schody. Przystanęła na chwilę i przyjrzała się drzwiom do schowka na szczotki. Trzymając jedną rękę w kieszeni, drugą sięgnęła po

klamkę i otworzyła drzwi szarpnięciem. Był za nimi tylko mop.

Poszła w górę schodami, aż dotarła na czwarte piętro. Przeszła przez pokój na czworakach, żeby nikt nie mógł jej zobaczyć z okna, i znalazła się w kącie mieszczącym toaletę i lodówkę. Łańcuch leżał tam, gdzie go rzuciła, kiedy uciekali z Royem przed pościgiem.

Podniosła łańcuch i podeszła do lodówki. Było to duże stare urządzenie marki Amana, z małym, osobno otwieranym zamrażalnikiem na dole. W świetle latarki zauważyła kilka plamek rdzy na białej emaliowanej powierzchni. Zacisnęła łańcuch wokół lodówki i mocno przytrzymała. Jak się okazało, rozstaw rdzawych plam pokrywał się z miejscami, w których łańcuch dotykał emalii. Mace otworzyła lodówkę. Były w niej plastikowe pojemniki z jedzeniem, kilka puszek napojów gazowanych i podniszczone szare pudełko na lunch.

Roy powtórzył jej to, co Kapitan mówił o łańcuchu i stwierdził, że zapewne założyli go budowlańcy, by chronić swoje jedzenie. Mace na początku też tak sądziła, teraz jednak zmieniła zdanie. Łańcuch został założony w zupełnie innym celu. Nie chcieli, żeby Kapitan natknął się na zwłoki, kiedy będzie szukał czegoś do jedzenia podczas weekendu, więc zamknęli ciało Diane Tolliver w lodówce.

Tolliver nie zginęła zatem w poniedziałek rano. Została zamordowana w piątek wieczorem, zapewne zaraz po tym, jak po powrocie z kolacji z Meldonem napisała do Roya. Mace doszła do takich wniosków nie tylko ze względu na lodówkę. Teraz wyniki sekcji zwłok zaczęły mieć sens. Spojrzała na stojącą obok lodówki kuchenkę mikrofalową i przypomniała sobie, że Roy mówił jej.

Zbiegła z powrotem do holu, a stamtąd weszła na ciasne zaplecze stanowiska ochrony. Zobaczyła mikrofalówkę stojącą na

jednej z półek. Próbowwała ją włączyć, ale się jej nie udało. Urządzenie było zepsute. Pobiegła z powrotem na czwarte piętro, wyciągnęła telefon i zadzwoniła do Roya.

- Hej! - przywitał ją. - Tyler jest niesamowity. Przez cały czas gramy w kosza, a on wciąż ma dość sił, żeby biegać w kółko. - Zamilkł na chwilę. - Czekał no, myślałem, że idziesz się położyć. Skąd dzwonisz?

- Diane nie została zamordowana w poniedziałek rano, tylko w piątek wieczorem.

Odpowiedziała jej cisza.

- Roy, słyszałeś, co powiedziałam?

- Mace, gdzie jesteś?

- Na czwartym piętrze twojego biurowca.

- Co takiego? Zwariowałaś?

- Słyszałeś, co powiedziałam?

- Tak, i czuję się, jakbym właśnie dostał obuchem w głowę.

Dlaczego uważasz, że zginęła w piątek wieczorem?

- Pamiętasz, jaka była zawartość żołądka?

- Raport z sekcji zwłok mówił o steku, ziemniakach, warzywach i tak dalej.

- Dokładnie.

- Ale znalazłaś przecież resztki jedzenia w śmieciach w jej domu.

- Dokładnie te same produkty jadła w piątek wieczorem podczas kolacji z Meldonem. A z raportu Lowella Cassella wynika, że treść żołądkowa silnie pachniała czosnkiem. Coś mi nie pasowało. Przeszukałam kuchnię i nigdzie nie znalazłam ani śladu czosnku, nawet w śmieciach. Ale przypomniało mi się, że w menu w Simpsons figurowało purée ziemniaczane z czosnkiem. Myślę, że zabójca wiedział, co Tolliver zamówiła w restauracji i podrzucił

odpowiednie produkty do jej kuchni, żeby wyglądało, iż ostatni raz jadła w niedzielę w domu, a nie w piątek w Simpsons. Albo nie miał czosnku, albo o nim nie wiedział. Poza tym w raporcie z sekcji stwierdzono, że wyściółka żołądka była zupełnie zielona od szpinaku. Nie zdążyłaby się tak zabarwić w ciągu jednej nocy, ale w ciągu dwóch dni – owszem.

- A co z ciałem?

- Diane została zabita w biurze w piątek wieczorem, a ciało wepchnięto do lodówki na czwartym piętrze, zapewne w czasie, kiedy Kapitan spał w innym pomieszczeniu. Powiedział przecież, że zaraz po przyjściu się położył i nie wiedział, czy lodówka była już wtedy owinięta łańcuchem. Jestem pewna, że jeszcze nie była, gdyż Diane wróciła do biura dopiero po dziesiątej, a Kapitan był już wtedy na czwartym piętrze. Wrzucili ją do lodówki i owinęli urządzenie łańcuchem. Ekipa remontowa nie pracuje w weekendy. Kapitan, tak jak mówił, poszedł sobie w niedzielę, bo w sobotę zdążył zjeść wszystko, co znalazł na czwartym piętrze, a nie udało mu się otworzyć lodówki. Ciało przeniesiono do lodówki w kancelarii w poniedziałek wczesnym rankiem, a potem znalazłeś je ty.

- Dlaczego nie wsadzili jej od razu do naszej lodówki?

- Nie mieli pewności, czy któryś z prawników nie przyjdzie popracować w weekend i nie otworzy lodówki – a waszej nie mogli owinąć łańcuchem. Ale myślę, że zrobili to przede wszystkim, żeby zrobić Kapitana.

- Pewnie odkryli, że zakrada się do budynku.

- W tej sprawie też mam teorię. I odkryłam, że w zeszłą środę system alarmowy w banku spermy przestał działać.

- Myślisz, że to wtedy pobrali próbkę od Kapitana?

- Klinika jest nieczynna w środy i niedziele, a nasienie ma

ograniczoną trwałość. Cassell powiedział mi, że nasienie znalezione na Tolliver miało więcej niż dzień, ale mniej niż trzy dni. Zapewne pobrali próbkę od Kapitana w środę i umieścili ją w lodówce, żeby wydłużyć czas przechowywania. Później, po zamordowaniu Tolliver, wstrzyknęli jej nasienie do pochwy w piątek wieczorem. Cassell stwierdził, że facet z takimi problemami zdrowotnymi, jakie on podejrzewa u Kapitana, nie byłby w stanie osiągnąć wzwodu w ciągu godziny w poniedziałek rano. I nie miałyby na tyle mocnego wytrysku, żeby umieścić nasienie tak głęboko w szyjce macicy. Mogę się założyć, że wykorzystali do tego strzykawkę.

- To niewiarygodne, Mace.

- Ale ma sens. Niska temperatura w lodówce powstrzymała rozkład ciała. Bardzo trudno stwierdzić, czy spędziło tam dwie godziny czy dwa dni, zwłaszcza że trochę poleżało na podłodze, kiedy policjanci zabezpieczali teren. Potem zwłoki zabrano do kostnicy i umieszczono w chłodni. W takich warunkach wyniki ekspertyzy lekarza sądowego nie mogły wypaść normalnie.

- Ale przecież w weekend wysyłała z domu e-maile i dzwoniła!

- E-maile niczego nie dowodzą. Mógł je wysłać każdy. A wszystkie połączenia telefoniczne w tamten weekend zostały wykonane do osób, które nie znały Diane i nie rozpoznałyby jej głosu. Sąsiad, który rzekomo ją widział, zauważył tylko odjeżdżający samochód, nie był w stanie stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że to była ona. Poza tym wygląda na to, iż Diane nie miała przyjaciół - korzystała przecież z usług pana do towarzystwa. Ktoś prawdopodobnie spędził w jej domu cały weekend, podszywając się pod nią, przyjechał samochodem do biura w poniedziałek wczesnym rankiem, tak żeby nikt tego nie widział, wjechał windą na górę i otworzył drzwi do kancelarii,

zostawiając za sobą elektroniczne ślady. A potem wymknął się z budynku.

- Ale Ned był pewien, że słyszał wchodzącą Diane w poniedziałek rano.

- Ano tak, Ned. Mówił, że odgrzewał śniadanie na zapleczu?

- Tak. Dlatego ją słyszał, ale nie widział.

- Mówiłeś, że portier odgrzewał zupę w mikrofalówce na czwartym piętrze. Dlaczego nie skorzystał z kuchenki na zapleczu za stanowiskiem ochrony, tej, której używał Ned?

- Nie wiem.

- To ci powiem. Mikrofalówka na zapleczu nie działa i mogę się założyć, że jeśli spytamy o to portiera, stwierdzi, iż jest tak od dawna.

- Twierdzisz, że tępy, gruby Ned zaplanował to wszystko i zabił Diane?

- Faktycznie jest gruby, ale wcale nie wiem, czy tępy. I nie wydaje mi się, żeby działał na własną rękę. Myślę, że ktoś kazał mu przymknąć oko na wtargnięcie Kapitana do budynku.

- Mace, musimy jechać do twojej siostry i jej o tym powiedzieć. Spotkajmy się u niej.

- Co mielibyśmy jej powiedzieć? Że mamy takie a nie inne przypuszczenia? Póki co, nie da się tego określić inaczej. Nie mamy na to niezbitych dowodów.

- To co robimy?

- Ty przygotowujesz się do jutrzejszej rozprawy, ja jadę do Newark. Trzymamy buzie na kłódkę, ale mamy na oku starego Neda - on może nas doprowadzić po nitce do kłębka.

- Nie chcę, żeby ten gość zmiażdżył ci szyję.

- Tłuszcz chlupocze mu tak, że usłyszałabym go z odległości kilometra.

- Dobrze, ale czy mogłabyś przyjechać? Przynajmniej będę miał pewność, że jesteś bezpieczna.

- Ach, Roy, ależ ci na mnie zależy - stwierdziła sarkastycznie.

- Jeśli coś ci się stanie, twoja siostra obwini o to mnie. A wolałbym umrzeć, niż jej podpaść.

Mace się rozłączyła i szybko podeszła do drzwi wyjściowych. Zamknęła je za sobą i już miała zacząć schodzić po schodach, kiedy coś ciężkiego uderzyło ją w głowę.

Kiedy nieprzytomna padła na ziemię, stanął nad nią Ned. Strażnik, choć potężnie zbudowany, nie wydawał się już otyły. Był ubrany na czarno, a dłonie miał osłonięte rękawiczkami. Zwinnie podniósł kobietę i przerzucił ją sobie przez ramię, wszedł z powrotem na teren budowy i wybrał numer na telefonie komórkowym.

Jego rozmówca podniósł słuchawkę.

- Mam ją. Na czwartym piętrze - powiedział Ned.

Jarvis Burns odchylił się w fotelu i odłożył akta, które przeglądał.

- Przyjęto do wiadomości - odpowiedział.

- Rozkazy?

- Bez zmian. Działać dalej.

- Zrozumiano.

Ned rozłączył się i zaniósł Mace do lodówki. Przeszukał ją i znalazł telefon, który rzucił na ziemię. Wyjął z urządzenia jedzenie i półki, wepchnął do środka kobietę, zamknął drzwi i owinął lodówkę łańcuchem. Wpiął kłódkę w ogniwa i zacisnął. Spróbował otworzyć drzwi szarpnięciem, ale uchyliły się jedynie o centymetr. Po chwili zbiegał już schodami do holu.

Burns, siedzący w swoim domu na Wzgórzu Kapitolu, znów wziął do ręki akta.

- Dałem ci jeszcze jedną szansę, Mace. Szkoda, że z niej nie skorzystałaś.

Czytając kolejne strony ani razu nie pomyślał o Mace Perry.

Kiedy Mace odzyskała przytomność, poczuła mdłości. Starła się je zwalczyć, a jednocześnie zachodziła w głowę, dlaczego ciężko jej się oddycha. Sięgnęła ręką do głowy i wymacała na niej dużego guza, pokrytego zakrzepłą krwią. Ktoś musiał naprawdę mocno ją walnąć. Zaczęła drżeć z zimna.

Gdzie ja jestem, do cholery?

Spróbowała wstać i uświadomiła sobie, że jest zamknięta w ciasnej przestrzeni. Bardzo zimnej, ciasnej przestrzeni.

- Jasna cholera!

Zaczęła macać rękami w ciemnościach. Wyczuwała pod nimi gładkie, lodowato zimne powierzchnie. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej latarkę. Oświetlenie wnętrza potwierdziło jej przypuszczenia. Mace jęknęła i mocno naparła na drzwi ramieniem. Ledwie drgnęły. Wiedziała dlaczego. Blokował je łańcuch. Tak jak przedtem, kiedy w środku była Diane - tyle że prawniczka już nie żyła.

Ja też długo nie pożyję, jeśli się stąd nie wyniosę.

Rozpięła pasek kupiony u Bindera, wyposażony w szczególną sprzączkę, a kilka sekund później wyciągnęła czterocalowy nóż z pochwy ukrytej w podłużnej klamrze. Odchyliła się i wsunęła ostrze w szczelinę w miejscu, gdzie drzwi łączyły się z pozostałą częścią urządzenia. Wbudowana w drzwi plastikowa półka

zagradzała jej drogę, w końcu jednak udało jej się ją ominąć i dosięgnąć elastycznego paska, który szczelnie zamykał lodówkę. Mace wetknęła ostrze w szparę pomiędzy dwoma paskami i nim poruszyła. Kiedy podważyła drzwi, poczuła powiew świeżego powietrza. Kiedy nacisnęła bardzo mocno, pasek lekko się przesunął, wydając syczący odgłos. Przez powstałą szczelinę widać było cieniutki skrawek półmroku, panującego wokół śmiertelnej pułapki, w której się znalazła.

Ale szpara nie rozwiązała problemu. Wpuszczała stanowczo zbyt mało powietrza, a Mace już trzęsa się z wysiłku, jaki wkładała w jej utrzymanie. Po chwili opuściły ją siły i lodówka znów zamknęła się szczelnie. Zresztą, nawet jeśli udałoby jej się uniknąć uduszenia, nie uchroni się przed zamarznięciem. Czy Roy przyjedzie jej szukać, kiedy się nie pojawi? Wiedział, dokąd pojechała. Ale to potrwa, może nawet kilka godzin, a jej starczy powietrza najwyżej na kilka minut. Oddychała z wysiłkiem, starając się wykorzystać każdą bezcenną cząsteczkę tlenu. Zamgliło jej się przed oczami – był to znak, że cząsteczki, które jeszcze miała w otoczeniu, przestały wystarczać do normalnego funkcjonowania.

Izolacja!

Wzięła latarkę w zęby i zaczęła ciąć izolację nożem. Dawała się łatwo przebić ostrzem i odchodziła długimi płątami. Po chwili Mace poczuła, że do środka zaczyna napływać świeże powietrze, a kiedy napała głową na drzwi, była w stanie wyjrzeć na zewnątrz. Wsunęła nóż w nowo powstałą szparę i poruszyła nim w górę i w dół. Podczas opuszczania ostrze uderzyło o łańcuch. Nie było mowy, żeby udało jej się szybko przepiłować go nożem, ale przynajmniej znów mogła oddychać. Teraz największym problemem było zimno – wciąż groziło jej zamarznięcie.

Zauważyła wbudowane wewnątrz lodówki pokrętko do regulacji temperatury. Było ustawione na cztery w skali, w której, jak szybko odkryła Mace, siedem oznaczało najmocniejsze chłodzenie. Mace przestawiła pokrętko na jeden, najslabsze chłodzenie. Nie znała się na sprzęcie chłodniczym i nie wiedziała, jaką temperaturę to oznacza - ale miała nadzieję, że okaże się ona znośna.

Zaczęła kiwać się w przód i w tył. Lodówka była wysoka, a Mace domyślała się, że znajdująca się poniżej zamrażarka jest prawie pusta i nie zapewni stabilności. Bujała się w tył i w przód tak mocno, jak pozwalała na to niewielka przestrzeń, uderzając przy tym w ścianki lodówki - z jednej strony nogami, z drugiej plecami. Bardzo szybko poczuła się obolała, jakby potrącił ją samochód, ale nie przestała się kiwać. Poczuła, że urządzenie lekko się przechyliło, najpierw w jedną, później w drugą stronę. Mace kiwała się dalej i lodówka zaczęła skakać jak źle ustawiona pralka podczas wirowania - to dało jej siłę do dalszych prób.

Po kolejnym uderzeniu wojskowych butów w plastik lodówka w końcu przewróciła się na bok. Mace przygotowała się na wstrząs. Wydawało się to łatwe - w końcu była zaklinowana wewnątrz - ale kiedy urządzenie upadło na metalową podłogę, kobieta uderzyła głową o jedną z wewnętrznych ścianek dokładnie tym samym miejscem, w którym już miała guza - i na chwilę zemdląca.

Udało jej się jednak dopiąć swego - bzyczenie sprężarki ucichło, co wskazywało, że wyrwała sznur z gniazdko. Miała już dostęp do świeżego powietrza, niedługo miała się rozgrzać, ale wciąż była uwięziona. Miała nadzieję, że łańcuch zsunie się podczas upadku, tak się jednak nie stało - aby się o tym przekonać, wystarczyło raz popchnąć drzwi. Poniżej znajdował się

zamrażalnik, którego drzwiczki na pewno nie zostały zablokowane. Mace zaczęła tupać nogą w podłogę. Była twarda, ale lekko się ugięła.

Kobieta okręciła się tak, że siedziała prawie do góry nogami i spróbowała ciąć nożem plastik, jednak ostrze ześlizgiwało się po gładkiej powierzchni. Zdjęła z drzwi półkę i skierowała nóż ostrzem w kierunku podłogi, później postawiła stopę na rękojeści i nacisnęła z całej siły, unosząc pupę z podłogi i przyciskając plecy do górnej ściany lodówki, żeby wyrzeć jak najmocniejszy nacisk. Nóż dwa razy się ześlizgiwał, ale za trzecim wbił się w plastik. Mace nie mogła mocno się zamachnąć, ale po kilku minutach wbijania noża zauważyła, że zagłębił się na pięć centymetrów w plastikową podłogę. Uniosła się, postawiła nogę na rękojeści i mocno nacisnęła, zapierając się plecami o górną ściankę lodówki. Nóż powoli przebijał się przez podłogę aż do chwili, gdy zagłębiło się w niej całe ostrze.

Mace odsunęła nogę, obróciła się z wysiłkiem i zaczęła piłować podłogę. Ostrze powoli przecinało twardy plastik. Po chwili wyjęła nóż i w ten sam sposób zrobiła nacięcia w czterech innych miejscach. Kiedy skończyła, wsunęła nóż do klamry paska, wstała i zaczęła mocno tupać w miejscu położonym pomiędzy otworami, naciskając plecami na górną ścianę tak mocno, że niewiele brakowało, a pękłby jej kręgosłup.

Po pewnym czasie, sama nie wiedziała jak długim, poczuła w końcu, że podłoga się ugina. Kilka sekund później plastik pękł w jednym miejscu, później w drugim, a po chwili cały płat przechylił się ku górze. Podważyła go, napierając na jeden z końców całym ciężarem ciała, a wtedy cała podłoga odłamała się i runęła w dół. Mace wypadła przez powstały otwór, gwałtownie wciągając powietrze, kiedy postrzępiona krawędź

twardego plastiku wbiła jej się w udo. Ciepła krew zaczęła spływać po zimnym wnętrzu lodówki.

Ostrożnie przesuwiała się ku dołowi, starając się trzymać z daleka od ostrych krawędzi. Kiedy zjechała nogami na wysokość drzwi zamrażalnika, otworzyła je kopnięciem. Ześlizgiwała się dalej, przesuwając klatkę piersiową i głowę z lodówki do zamrażarki. W końcu jej nogi znalazły się na betonowej podłodze, a po chwili cała wydostała się na zewnątrz.

Przez chwilę siedziała na ziemi targana mdłościami, czując, jak pulsują jej głowa i płuca. W końcu stanęła na drżących nogach i rozejrzała się wokół. Chwyciła swój bezcenny nóż i przyjęła pozycję obronną. Wątpiła, czy napastnik, który wepchnął ją do tego pudła, czekał na jej koniec – narobiła tyle hałasu, że gdyby był w pobliżu, przybiegłby ją wykończyć – ale po tym, jak ledwo uszła z życiem, nie zamierzała pozostawiać niczego przypadkowi. Zobaczyła krew ściekającą na podłogę, znalazła kawałek szmaty i prowizorycznie przewiązała nim zranioną nogę. Później znalazła na podłodze swój telefon i zadzwoniła do Roya. Był już w drodze do centrum, bo zaniepokoiło go, że nie dotarła do Altmana.

- Będę za dziesięć minut - stwierdził po wysłuchaniu jej chaotycznej opowieści. - Natychmiast wezwij policję.

Tym razem Mace wykonała jego polecenie bez sprzeciwu. Po trzech minutach dwaj funkcjonariusze z patrolu wyważyli drzwi na czwarte piętro i zaczęli wołać ją po imieniu. Po kilku sekundach dołączyło do nich kolejnych trzech policjantów, a dwie minuty później po schodach wbiegła Beth Perry, która szybko podeszła do siostry i ją objęła.

Mace poczuła łzy spływające po policzkach i mocno przytuliła się do siostry. Poczła się znów jak wtedy, gdy miała dwanaście lat. Myliła się. Wciąż czasem potrzebowała uścisku. Nieczęsto, ale

czasem tak. Jak każdy.

Beth krzyknęła do funkcjonariuszy:

- Czy to piętro jest zabezpieczone?

- Tak, pani komendant.

- Postawcie kogoś przy drzwiach i przeszukajcie resztę budynku. Ja z nią posiedzę. I wezwijcie karetkę!

Policjanci wyszli.

Mace poczuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Beth najwyraźniej też to zauważyła, bo zaprowadziła ją - a w zasadzie prawie zaniosała - do odwróconej do góry dnem plastikowej skrzynki i posadziła na niej. Przyklękła przed siostrą, patrząc to na nią, to na szczątki lodówki. Złapała Mace za rękę i łzy popłynęły jej po twarzy.

- Jasna cholera, Mace - powiedziała łamiącym się głosem.

- Wiem, wiem. Przepraszam.

- Widziałaś, kto ci to zrobił?

Mace pokręciła głową.

- Wszystko stało się za szybko.

- Musimy jechać do szpitala.

- Nic mi nie jest, Beth.

- Trzeba cię przebadać. Masz guza wielkości piłki golfowej i zakrwawioną prawą nogę.

- Dobrze już dobrze, pojedę.

- A po drodze opowiesz mi ze szczegółami, co jest grane.

Chwilę później do środka wpadł Roy. Funkcjonariusz stojący przy drzwiach mocno chwycił go za ramię.

- Mace! - krzyknął mężczyzna. Próbował do niej podbiec, ale policjant go zatrzymał.

- W porządku - stwierdziła Beth. - Znam go.

Mężczyzna puścił Roya, który pognał przez pokój i objął Mace

ramieniem.

- Nic ci nie jest? Powiedz, że nic ci nie jest.

Beth wstała i cofnęła się o krok.

- Nic mi nie jest, Roy - powiedziała Mace.

- Ale, tak czy inaczej, zabieramy ją do szpitala - stwierdziła Beth.

- Możesz pojechać z nami, Kingman. Wiem, że też siedzisz w tym po uszy i chcę, żebyście wszystko mi wyjaśnili.

Chwyła go za ramię i obróciła tak, by jego wzrok padł na zniszczoną lodówkę.

- Mało brakowało, Kingman. O wiele za mało, do cholery.

100

Godzinę później stwierdzono, że Mace nie ma pękniętej czaszki.

- Musi pani mieć bardzo twardą głowę - stwierdził lekarz w izbie przyjęć.

- Owszem - powiedzieli jednocześnie Beth i Roy.

Kiedy nad ranem wyszli ze szpitala, Mace miała zszytą nogę i zabandażowaną głowę, została też wyposażona w receptę na leki przeciwbólowe. Po drodze wraz z Royem opowiedzieli Beth o ostatnich wydarzeniach, a później pani komendant nalegała, żeby pozwolili jej się odwieźć do Altmana i tam kontynuowali rozmowę. Ducati Mace zostało załadowane na policyjną półciężarówkę i również zawiezione do posiadłości profesora.

W domku dla gości Roy i Mace przez kolejną godzinę opowiadali pani komendant o swoich odkryciach.

- Wydam nakaz obserwacji Neda Armstronga - stwierdziła Beth, po czym na chwilę wyszła, by wykonać telefon. Po powrocie wyjaśniła: - Możliwe, że to on cię zaatakował.

- Jeśli tak, to z przyjemnością mu się odwdzięczę - stwierdziła Mace, leżąc na kanapie z okładem z lodu na głowie.

- Pewnie już dawno się zmył - stwierdził Roy.

- Dlaczego tak uważasz? - spytała Beth.

- Jeśli to on wepchnął Mace do lodówki, zapewne jeszcze przez jakiś czas pokręcił się po okolicy. Obserwując budynek, widział

policję i Mace, która wyszła z biurowca o własnych siłach.

Beth pokręciła głową.

- Nie możemy ryzykować. Ned na pewno nie działał sam, więc dostaniecie całodobową ochronę.

- Pracuję nad sprawą - stwierdził Roy.

Mace usiadła na kanapie.

- A ja muszę złapać pewnego tłustego dupka i zrobić masę innych rzeczy.

- Możesz pozostawić to policji. Powinnaś była zdać się na nas od samego początku.

- Hej, przecież sama rozgryzłam mnóstwo rzeczy - zauważyła Mace.

- I myślisz, że przejmę pałeczkę na ostatniej prostej i zgarnę wszystkie pochwały za rozwiązanie sprawy?

- Beth, do cholery, rozmawialiśmy już o tym. Zamierzam dalej nad tym pracować.

- A może tak zrozumiesz wreszcie, że też musisz trzymać się zasad?

- Robiłabym to, gdyby nie fakt, że zawsze działają przeciwko mnie!

- To marna wymówka.

- Nie mogę odpuścić, Beth - krzyknęła Mace, zeskakując z kanapy.

Lodowy okład zsunął się na podłogę i przez chwilę wyglądało, jakby mogło dojść do wymiany ciosów. Roy stanął pomiędzy siostrami i położył rękę na ramieniu każdej z nich.

Kobiety jednocześnie wrzasnęły:

- Ty się do tego nie mieszaj!

- Nie! - krzyknął prawnik i odepchnął kobiety w tył. Mace wylądowała na kanapie, a Beth na krześle. Obie siostry patrzyły

na niego z osłupieniem.

- Kingman, właśnie dokonałeś napaści na funkcjonariusza policji - wrzasnęła Beth.

- No tak, teraz będziesz mu to wypominać - odgryzła się Mace.

- Czy mogłybyście się zamknąć i posłuchać przez jedną cholerną minutę? - warknął Roy.

Kobiety popatrzyły po sobie, a później zwróciły wzrok na niego.

- W porządku - stwierdził Roy. - Sprawa wygląda tak. Ci ludzie zadziałali w sposób wymagający olbrzymich zasobów, również ludzkich.

- Do czego zmierzasz? - spytała Beth.

- Że powinniśmy współpracować - z prostotą odpowiedział Roy.

- Mace miała rację mówiąc, że wiele rzeczy rozgryzła sama. Ja mam dojścia w DLT, zobaczymy, czy czegoś się tam dowiem. Pani z kolei, pani komendant, dysponuje nieporównywalnie większymi zasobami. Usiłuję powiedzieć, że znacznie lepiej byłoby, gdybyśmy działali razem. Myślę, że wszyscy chcemy tego samego, choć być może z różnych powodów.

Beth odwróciła wzrok od Roya i wbiła go w podłogę.

- Może moglibyśmy współpracować.

- W takim razie musimy powiedzieć pani jeszcze jedną rzecz - przyznał prawnik i nerwowo spojrział na Mace, która wyjaśniła:

- Tolliver jadła w piątek kolację z Jamiem Meldonem.

- Jak się tego dowiedzieliście, do diabła?

- Rozpoznał go kelner w restauracji - wyjaśnił Roy.

Beth wyglądała na zbitą z tropu.

- Mam informatora, który twierdzi, że zabójstwo Meldona było aktem terroryzmu wewnętrznego.

Roy pokręcił głową.

- Uważamy, że zginął, bo ktoś widział, jak jadł kolację z Diane.

Ona coś wiedziała, a ci ludzie bali się, że powiedziała o tym Meldonowi. W końcu był prokuratorem federalnym.

Mace dodała:

- I nie zasypiali gruszek w popiele. Diane zginęła tuż po kolacji w piątek wieczorem. Meldon nie dożył końca weekendu. Watkins prawdopodobnie też już nie żyje. Dlatego muszę doprowadzić się do porządku i za kilka godzin pojechać do Newark.

- Co jest w Newark?

Mace opowiedziała o kancelarii, która reprezentowała Tolliver podczas rozwodu.

- A ja rano mam wstępną rozprawę - dodał Roy - ale później pójdę do DLT i zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć.

- A co ja mam robić? - spytała Beth.

- Mam nadzieję, że znajdziesz Neda - stwierdziła Mace.

- Cały hol powinien być pełen jego odcisków palców. Posprawdzam je w bazach danych - stwierdziła pani komendant, wstając. - Jeśli pozwolę ci działać - powiedziała, patrząc surowo na siostrę - masz się regularnie zgłaszać i nie pakować się w pojedynek w żadne niebezpieczne sytuacje bez wsparcia. Żadnych powtórek z czwartego piętra, jasne?

- Jak słońce. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek odważyła się kupić lodówkę.

- Mamy zielone światło? - niepewnie spytał Roy.

Beth wbiła w niego wzrok.

- Tak, ale gramy według moich zasad, nie waszych.

Jarvis Burns siedział w swoim zabałaganionym segmencie w południowo-wschodniej części Waszyngtonu, niedaleko Kapitolu, i rozcierał skronie. Trzy dawki advilu, które zażył, nic nie dały, ale czekająca w szufladzie butelka whisky mogła pomóc. Burns spojrział na siedzącego naprzeciwko mężczyznę. Ned Armstrong, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Daniel Tyson, pracował dla niego od dziesięciu lat i nigdy wcześniej go nie zawiódł. Tym razem nie został wysłany na ostatnią rozmowę z Mary Bard tylko dlatego, że co do joty wypełnił polecenia szefa.

Wepchnij ją do lodówki żywą.

- Lepsza byłaby kulka w łeb - odpowiedział wtedy Tyson.

Niewątpliwie miał rację, ale Burns chciał, żeby kobieta cierpiała.

Pragnął, by po odzyskaniu przytomności zdała sobie sprawę, że jest w beznadziejnej sytuacji, choć powietrze i ciepło ma na wyciągnięcie ręki. Popęłnił błąd - zdarzało mu się to rzadko, ale tym razem nie było co do tego żadnych wątpliwości.

- Mówisz, że poszła obejrzeć mikrofalówkę i zauważyła, że nie działa? - spytał Burns.

- Nie odezwała się ani słowem, ale pewnie to sprawdziła, więc mogła zrozumieć, że skłamałem w tej sprawie. A jeśli odkryła też, że Tolliver zginęła w piątek, przyłapała mnie na kłamstwie drugi

raz.

- Nie słyszałeś, z kim rozmawiała ani co mówiła, kiedy chodziła po czwartym piętrze?

- Czekałem za drzwiami. Słyszałem tylko, że mówi.

- Możemy sprawdzić billingi z telefonu komórkowego. Rozmówcą zapewne była jej siostra lub Roy Kingman. W przypadku pierwszego z nich, mamy powody do obaw. W przypadku drugiego, powinniśmy opanować sytuację.

- Ale Beth Perry była przy tym, jak zabierali ją do szpitala. Mogła dowiedzieć się o odkryciach siostry.

- Być może wie o przekręcie związanym z datą śmierci Tolliver i o tym, że jesteś w jakiś sposób zamieszany w sprawę. Jeśli znikniesz, mogą pomyśleć, że działałeś sam, a później próbowałeś wszystko zatuszować.

- To możliwe - przyznał Tyson, przesuwając się na krześle. - Ale byli w restauracji, w której Tolliver jadła w piątek. Co jeśli złożyli wszystkie elementy w całość?

- Jestem w pełni świadomy skutków, jakie może to za sobą pociągnąć. Nie ma rozwiązań idealnych. Teraz musimy się skupić na minimalizacji strat. Wiedzieliśmy, że to może się stać, dlatego umieściliśmy na miejscu ciebie. W ten sposób mieliśmy tam swoje oczy i uszy, uzyskaliśmy też pełny dostęp do budynku, a później odkryliśmy, że zakrada się do niego stary żołnierz.

- Jest idealnym kozłem ofiarnym.

- Zdaje się, że nie do końca. Chyba domyślili się, iż nasienie zostało podrzucone i że Dockery nie jest na tyle sprytny, żeby samemu coś takiego wymyślić. Zawsze istniało takie ryzyko.

- Niestety, oznacza to, że straciłem przykrywkę.

- Polecisz do Rijadu najbliższym samolotem agencji i spędzisz tam dwa lata, dopóki sprawa nie przycichnie. Później otrzymasz

nowy przydział. Byłoby dobrze, gdybyś w tym czasie schudł trzydzieści-czterdzieści kilo i przeszedł operację plastyczną twarzy przeprowadzoną przez zatwierdzony personel medyczny. Ja zajmę się papierkową robotą. Może uda się im wmówić, że byłeś jednym z najgroźniejszych seryjnych morderców wszech czasów.

- Przykro mi, że misja zakończyła się niepowodzeniem.

- To była moja decyzja i mój błąd. Działałeś zgodnie z rozkazami, tak, jak powinienes. Nie mogę cię za nic winić.

- Czy mam sporządzić raport końcowy?

- Nie. Miłego pobytu w Arabii Saudyjskiej - stwierdził Burns, wskazując głową drzwi. Kilka sekund później znów został sam.

Większość czasu spędzał samotnie, przygotowując się na najgorsze. Miał za zadanie zapewnić Ameryce bezpieczeństwo wszelkimi dostępnymi środkami i zaprzętało to całą jego uwagę. W wojsku wykorzystywał dla ojczyzny ciężką fizyczną, wyszkolenie i spryt. Kiedy zmuszony był zamienić mundur na garnitur, służył swemu krajowi za pomocą tego, co mu pozostało.

Rozmawiał przez telefon w sumie przez dwadzieścia minut, z trzema różnymi osobami. Kiedy odłożył słuchawkę po raz trzeci, zaczął znów myśleć o Mace Perry.

Nie lubił przegrywać - miał tak od dzieciństwa, które spędził, goniąc za marzeniami po kukurydzianych polach Kansas. Perry była dobra, ale była zwykłą gliną.

Wykonał jeszcze jeden telefon.

- Wprowadzamy plan awaryjny - powiedział do słuchawki.

Było bardzo późno, ale Chester Ackerman nie spał. Siedział w salonie swego luksusowego apartamentu w Watergate. Główny wspólnik kancelarii Shilling & Murdoch przebrał się z garnituru, lakierków i szelek w spodnie khaki, pomarańczowy kaszmirowy

sweter i mokasyny. Kiedy usłyszał w słuchawce głos Burnsa, natychmiast porzucił myśl o rejsie swoim dwunastometrowym jachtem, który planował na następny dzień.

Ackerman odstawił szklanę whisky z wodą, wyprostował się i zebrał na odwagę, by powiedzieć:

- Stanowczo uważam, że powinniśmy pozostać w cieniu. Poinformowałem o tym, że Diane zadaje za dużo pytań. Zwolniłem Kingmana. Utrzymałem przepływ środków. Myślę, że dość już działałem.

Odpowiedź Burnsa była jak kula armatnia wymierzona w brzuch rozmówcy.

- Zbiłeś też cholerną fortunę siedząc na tyłku, bo załatwiałem ci kontrahentów! Teraz masz szansę podziękować swoim dobroczyńcom, więc zamknij się i słuchaj. Przygotowałeś już dokumenty, o które cię prosiłem?

- Tak - odpowiedział prawnik drżącym głosem, w którym nie został żaden ślad po żalostnej buńczuczności sprzed chwili.

- Masz działać dokładnie według instrukcji, bo jeśli nie.

Burns mówił bez przerwy przez prawie dziesięć minut. Kiedy skończył, odłożył słuchawkę i rozparł się w fotelu.

Ten skurczybyk zarobił przez ostatni rok więcej niż ja przez całe życie. Wykręcił się od służby wojskowej, a teraz płaci żółtodziobom w pierwszym roku pracy więcej, niż ja w życiu zarobię. A teraz chce się usunąć w cień. Zrobić sobie przerwę po tym, jak dorobił się milionów. Bo dość już działał!

Jakaś część Burnsa miała nadzieję, iż Ackerman nie wykona rozkazów i że będzie mógł wydać nakaz zlikwidowania go. Mary Bard zapewne mogłaby go zabić spojrzeniem.

Nie kuś mnie, pasożycie. Nie kuś.

Wczesnym rankiem następnego dnia ducati z rykiem silnika przemknęło przez bramę posiadłości Altmana. Prowadziła je policjantka, która miała za zadanie zabrać ewentualny „ogon” na dwugodzinną wycieczkę po terenach wiejskich w stanie Wirginia. Kilka minut później za bramę wyjechał bentley prowadzony przez Herberta. Mężczyzna wybierał się na targ, ale najpierw miał coś dostarczyć do centrum miasta.

Na tylnym siedzeniu samochodu leżała Mace Perry.

Trzydzieści pięć minut później kobieta znalazła się na dworcu Union Station, odebrała bilet z automatu samoobsługowego i wsiadła do pociągu na kilka minut przed odjazdem. Zajęła miejsce przy oknie i przez dwie godziny oglądała migające za nim pejzaże Northeastu, rozmyślając o zbliżającym się spotkaniu w kancelarii Hamilton, Petrocelli & Sprissler. Na dworcu w Newark wsiadła w taksówkę i piętnaście minut później weszła do kancelarii mieszczącej się w budynku w centrum miasta.

Biuro wyłożone było marmurem i polerowanym drewnem, a na ścianach wisiały gustowne obrazy. Kancelaria wyglądała na szacowną firmę z tradycjami, ale Roy, który sprawdził ją wcześniej w internetowym katalogu, twierdził, że istnieje dopiero od piętnastu lat. Specjalizowała się w rozwodach i innych sprawach cywilnych i prowadzona była przez trzy wspólniczki:

Julie Hamilton, Mandy Petrocelli i Kelly Sprissler. Wszystkie pochodziły z New Jersey, skończyły prawo na tym samym wydziale w tym samym roku i postanowiły wrócić do korzeni i działać razem. Z tego, co udało się dowiedzieć Royowi, kancelaria znakomicie prosperowała niemal od pierwszego dnia działalności, a wspólniczki cieszyły się wielkim poważaniem w środowisku prawniczym Newark. Firma zatrudniała obecnie czternastu prawników i prowadziła sprawy rozwodowe wielu znanych i zamożnych klientów, głównie z pobliskiego Manhattanu.

Recepcjonistka, nieskazitelnie ubrana kobieta tuż po trzydziestce, skrzywiła się, kiedy Mace się jej przedstawiła i wyjaśniła cel swojej wizyty.

- One nie chcą z panią rozmawiać - powiedziała prosto z mostu.

- Wiem. Dlatego przyjechałam. To dla mnie bardzo ważne. Czy może im pani chociaż przekazać, że tu jestem?

Recepcjonistka wybrała numer, przez chwilę rozmawiała z kimś przez telefon i odłożyła słuchawkę.

- Skontaktowałam się z panią Hamilton.

- Co powiedziała? - spytała Mace z nadzieją.

- Życzyła pani bezpiecznego powrotu do domu.

- Czy mogę chociaż do niej zadzwonić?

- W tej chwili to niemożliwe.

- Mogę poczekać, aż wyjdzie ze spotkania.

- Pani Hamilton spodziewała się, że pani to zaproponuje. Prosiła, żeby pani przekazać, iż budynek ma znakomitą ochronę i że zapewne wolałaby pani spożytkować swój czas inaczej, niż spędzając go w więzieniu po oskarżeniu o wtargnięcie.

- No, no, jeszcze nie widziałam tej pani na oczy, a już ją lubię. W porządku. W takim razie będę zmuszona przekazać całą

sprawę FBI. Znam kilku agentów w tutejszym biurze terenowym. To dobrzy ludzie, a przy tym bardzo skrupulatni. Biorąc pod uwagę, że to śledztwo w sprawie zabójstwa istotne dla bezpieczeństwa narodowego, kancelaria musi się przygotować na dłuższe rozstanie z komputerami.

- O czym pani mówi? - spytała zbita z tropu recepcjonistka.

- To standardowa procedura działania federalnych. Podczas tego rodzaju śledstw konfiskują cały sprzęt.

- Wspomniała pani o bezpieczeństwie narodowym?

- Jamie Meldon był prokuratorem federalnym. Jego zabójstwa mogli dokonać terroryści.

- O mój Boże! Nic o tym nie wiedziałyśmy.

- Będziecie panie musiały przekonać o tym FBI. - Mace wyciągnęła telefon, wcisnęła przycisk szybkiego wybierania i powiedziała do słuchawki: - Mówi Mace Perry. Proszę z agentem Morellim.

- Chwileczkę.

Mace spojrzała na kobietę, która właśnie stanęła w drzwiach. Miała około czterdziestu lat, była mniej więcej wzrostu Mace, lecz nieco mocniejszej budowy. Miała na sobie garsonkę, czarne rajstopy i szpilki. Brązowe, krótko przycięte włosy ściśle przylegały jej do głowy. Mace, która naprawdę zadzwoniła do informacji, przerwała połączenie.

- Pani Julie Hamilton? Poznaję pani głos, rozmawiałyśmy przez telefon.

- Mogę poświęcić pani pięć minut.

- Świetnie.

Prawniczka poszła korytarzem, Mace podążyła za nią. Po drodze kobieta zajrzała do dwóch gabinetów, kiwając przy tym głową. Kiedy weszła z Mace do niewielkiej sali konferencyjnej,

dołączyły do nich dwie inne panie.

Hamilton wskazała ruchem głowy:

- Moje współpracownice, Mandy Petrocelli i Kelly Sprissler.

Petrocelli była wysoka, grubokoścista i ufarbowana na blond, a Sprissler - niska, żylasta i ruda - uczesana była w ciasny warkocz. Wszystkie trzy wyglądały stanowczo i profesjonalnie i Mace pomyślała, że zapewne są świetne w swoim fachu. Stwierdziła, że jeśli jakimś cudem wyjdzie kiedyś za mąż i sprawy nie ułożą się tak, jak powinny, poprosi jedną ze współpracownic o reprezentowanie jej podczas rozprawy rozwodowej.

- Nazywam się Mace Perry, pracuję w Waszyngtonie jako prywatny detektyw.

- Proszę przejść do sedna - przerwała jej Sprissler szorstkim tonem.

- Oto i ono: Diane Tolliver została brutalnie zamordowana w swojej kancelarii w zeszły piątek, a jej ciało wepchnięto do lodówki. Kilka dni później znaleziono w śmietniku zwłoki Jamiego Meldona. W dniu swojej śmierci Diane jadła kolację z Meldonem. Sądzymy, iż dowiedziała się o jakichś nielegalnych operacjach i że chciała pozyskać jego pomoc. Nie wiemy tylko, dlaczego zwróciła się akurat do niego. Nie udało nam się ustalić żadnych powiązań między nimi.

Prawniczki popatrzyły po sobie, a Hamilton spytała:

- W holu mówiła pani, że sprawa ma znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego.

Mace skinęła głową.

- Podejrzewany jest atak terrorystyczny.

- Skoro tak, dlaczego przyjechała do nas pani, nie FBI? - spytała Petrocelli donośnym głosem.

- Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Ja chcę tylko ustalić,

skąd znali się Meldon i Tolliver.

- Kto panią do nas skierował? - Sprissler wpadła jej w słowo.

- Joe Cushman, były mąż Diane. Wyrażał się o paniach w samych superlatywach.

- Bo po rozwodzie puściłyśmy go w skarpetkach - stwierdziła Petrocelli.

- Obecnie stale współpracujemy z jego firmą - dodała Sprissler.

- Po tym można poznać dobrego prawnika - pokonani przeciwnicy zostają jego klientami.

- A wracając do celu pani wizyty... - powiedziała Hamilton.

- Właśnie. Skąd znali się Meldon i Tolliver?

- Myślę, że możemy to pani powiedzieć, te informacje nie są poufne. Zanim pani Tolliver zatrudniła nas do prowadzenia swojej sprawy rozwodowej, Jamie był jej adwokatem.

- Czy działo się to w czasie, kiedy prowadził kancelarię w Nowym Jorku?

- Tak.

- Słyszałam, że pracował dla mafii.

Hamilton odpowiedziała oschle:

- Jamie reprezentował wiele osób fizycznych i prawnych w rozmaitych sprawach cywilnych i karnych. Nie określiłabym go jako adwokata mafii.

- Zajmował się też sprawami rozwodowymi w New Jersey?

- Diane mieszkała w New Jersey, ale pracowała w kancelarii na Manhattanie - wyjaśniła Sprissler.

- To się często zdarza - dodała Petrocelli.

- A czy Meldonowi często zdarzało się prowadzić sprawy rozwodowe?

Hamilton odkaszlnęła.

- Nie.

- Czy dlatego przekazał sprawę paniom?
 - Pracowałyśmy wcześniej z Jamiem. Wiedział, że specjalizujemy się w prawie rodzinnym.
 - W takim razie dlaczego nie poprosił pań o pomoc na samym początku?
 - Zależało mu na czasie - wyjaśniła Hamilton.
 - Na czasie? Sprawy rozwodowe potrafią ciągnąć się latami. Skąd ten pośpiech?
 - Jamie musiał uzyskać sądowy zakaz zbliżania się dla Joego Cushmana, który podobno groził Diane. Z oczywistych powodów trzeba było działać szybko, ale teraz, po latach współpracy z Joem, znam go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nigdy nie przeszedłby od słów do czynów.
 - To wciąż nie wyjaśnia zaangażowania Meldona w tę kwestię. Skąd znał Tolliver?
 - Czy ma to jakiegokolwiek znaczenie dla sprawy? - warknęła Sprissler, która wyglądała, jakby miała zaraz przeskoczyć nad stołem i wbić zęby w nogę Mace.
 - Moim zdaniem ma. I FBI na pewno by się ze mną zgodziło.
 - Byli przyjaciółmi - wyjaśniła Hamilton po dłuższej, pełnej napięcia ciszy.
- Mace uniosła brwi.
- Bardzo dobrymi przyjaciółmi - uściśliła prawniczka.
 - Rozumiem. Czy Joe Cushman wiedział, że mają romans?
 - Nie mogę ani potwierdzić pani teorii, ani jej zaprzeczyć, ale mówiąc czysto hipotetycznie, zakładam, że nie.
 - Ale koniec końców nie zostali parą - zdziwiła się Mace.
 - U żony Jamiego wykryto raka piersi - wyjaśniła Petrocelli. - Powiedzmy, że zrobił to, co należało.
 - Zdziwiłyśmy się, kiedy przeniósł się do Waszyngtonu i zaczął

pracować jako prokurator - dodała Hamilton - ale byliśmy w stanie to zrozumieć. Chciał zacząć od nowa.

- Wiadomość o jego śmierci nami wstrząsnęła - dodała Sprissler.

- Wstrząsnęła mnóstwem osób - odpowiedziała Mace.

Zadała jeszcze kilka pytań, otrzymała niewnoszące niczego do sprawy odpowiedzi i pojechała z powrotem na dworzec. Cieszyła się, że w końcu udało się ustalić powiązanie między Tolliver a Meldonem, ale w żaden sposób nie posunęło to śledztwa do przodu. Czekając na pociąg, pomyślała, że znaleźli się z powrotem w punkcie wyjścia, a mają coraz mniej czasu.

103

Roy po raz pierwszy od dwóch lat wszedł do C-10, budynku sądu okręgowego, w którym odbywały się wstępne rozprawy i w którym Kapitan miał być sądzony za morderstwo. Było tam pełno ludzi, gdyż rozprawy wstępne, które miały tu miejsce, dotyczyły wszelkiego rodzaju przestępstw, od drobnych wykroczeń do zbrodni. Oskarżeni, których nie zatrzymano przed rozprawą, siedzieli ze swoimi adwokatami, czekając, aż zostaną wywołane ich nazwiska. Ci, którzy zostali tu przywiezieni z aresztu, czekali na pojawienie się przed obliczem sądu w innej sali.

Roy usiadł na jednej z zatłoczonych ławek i rozejrzał się wokół. Oskarżeni ucinali sobie pogawędki, czekając na swoją kolej. C-10 stanowiło świetny punkt kontaktowy dla przestępców z różnych środowisk. Pracując jako obrońca z urzędu wiele razy musiał odciągać swych klientów od innych oskarżonych, gdyż zaczęli wspólnie planować kolejne przestępstwa, tuż pod nosem sędziego.

Roy spodziewał się, że jego rozprawa odbędzie się jako pierwsza, z jednego prostego powodu. Powód wszedł do budynku minutę przed dziesiątą - godziną rozpoczęcia rozpraw. Mona Danforth miała na sobie granatową garsonkę Chanel z białą chusteczką w butonierce i szpilki na ośmiocentymetrowych

obcasach. Usta ściągnęła w linię prostą, a jej jasne włosy z daleka pachniały lakierem.

Minutę później wszedł sędzia, wszyscy obecni wstali, a woźny sądowy wywołał sprawę. Zza drzwi wyszedł Kapitan, prowadzony przez dwóch funkcjonariuszy policji. Usiadł obok Roya na miejscu dla obrońcy, Mona stanęła przy stole dla oskarżenia. Sędzia przeglądający dokumenty uśmiechnął się do niej, zsuwając okulary na sam czubek nosa. Ani oskarżyciel, ani obrońca nie przedstawili dotąd materiału dowodowego. Sprawa opierała się na zeznaniach, a te działały zdecydowanie na korzyść Mony.

- Pani Danforth, dawno nie widziałem pani w C-10 - stwierdził sędzia.

- Cieszę się, że znów tu jestem, Wysoki Sądzie.

Sędzia przejrzał notatki i zerknął na Roya.

- Czy oskarżony przyznaje się do winy?

- Nie, Wysoki Sądzie - odpowiedział prawnik. Stojący obok niego Kapitan tępo rozglądał się po sali.

- Przyjęto do wiadomości. Pani Danforth?

- W imieniu obywateli wnoszę o zatrzymanie na podstawie artykułu 1325-A. Oskarżony nie ma pracy, domu ani zamieszkałej w okolicy rodziny. Uważamy, że istnieje w jego przypadku znaczące ryzyko ucieczki, co, w połączeniu z poważnym charakterem przedstawionych zarzutów, wymaga zastosowania bezterminowego aresztu.

- Czy obrona zgłasza sprzeciw? - spytał sędzia, wpatrując się w Roya.

- Nie, Wysoki Sądzie.

- Słyszałem o konflikcie pomiędzy obroną a oskarżeniem.

- Został zażegnany, Wysoki Sądzie - szybko odpowiedziała Mona. Sędzia spojrzał na nią, a później na Roya.

- Potwierdza pan to?

Prawnik zerknął na Monę i stwierdził:

- Potwierdzam.

- Panie Kingman, z zeznań wynika, iż pański klient jest bezdomny i że prawdopodobnie nie stać go na zatrudnienie adwokata, ale pan nie jest obrońcą z urzędu.

- Prowadzę tę sprawę pro bono.

- To bardzo szlachetnie z pana strony.

- Pracowałem kiedyś jako obrońca z urzędu.

- Kiedyś?

- Później zatrudniłem się w prywatnej kancelarii.

- Jak długo zajmował się pan prowadzeniem spraw karnych?

- Dwa lata.

Sędzia odłożył okulary.

- To sprawa o gwałt i morderstwo pierwszego stopnia. Najpoważniejsze z przestępstw.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Wysoki Sądzie. Zajmowałem się już sprawami o morderstwo.

- Ile razy?

- Co najmniej dziesięć.

- Ile z nich zakończyło się w sądzie?

Roy przejechał językiem po wargach.

- Trzy.

- Ile z nich pan wygrał?

- Niestety, żadnej.

- Rozumiem. - Sędzia zwrócił się do Kapitana. - Panie Dockery, czy na pewno chce pan, aby to pan Kingman występował jako pański obrońca? Jeśli nie, wielu doświadczonych adwokatów podejmie się prowadzenia pańskiej sprawy za darmo.

Roy wstrzymał oddech, modląc się, żeby Kapitan nie poprosił

o ciastka z kremem, ale weteran stwierdził tylko:

- Tak jest. Roy jest moim adwokatem.

- Pani Danforth?

Kobieta uśmiechnęła się i stwierdziła chłodno:

- W imieniu obywateli stwierdzam, że pan Kingman jest w stanie należycie bronić interesów pana Dockery'ego i nie zgłaszam sprzeciwu wobec jego udziału w sprawie.

Sędzia nie wyglądał na przekonanego, ale w końcu stwierdził:

- Zgoda. Sąd uznaje, że obywatele należycie udowodnili swoje racje i nakazuje zatrzymanie oskarżonego w areszcie do odwołania. - Sędzia zastukał młotkiem i wywołano kolejną sprawę.

Roy odwrócił się do Kapitana.

- Jak się trzymasz?

- Myślisz, że mogę tam zostać? Mam łóżko i trzy posiłki dziennie.

- W najbliższej przyszłości masz to jak w banku, Kapitanie. Ale wyciągniemy cię z tego. Nie trafisz do więzienia.

- Skoro tak twierdzisz, Roy. Ja tylko chcę zdążyć tam wrócić na lunch.

Policjanci wyprowadzili więźnia z sali, Roy również skierował się do wyjścia.

- Jestem pod wrażeniem, Kingman. Byłam pewna, że podczas rozprawy zsikasz się w spodnie.

Odwrócił się i zobaczył Monę.

- Mam nadzieję, że twoje argumenty podczas rozprawy będą równie żałosne jak twoje odzywki poza nią.

- Przekonasz się o tym szybciej, niż myślisz.

- Co to miało oznaczać?

Mona otworzyła drzwi sali, gestem kazała Royowi wyjść i sama

poszła za nim. W połowie drogi korytarzem mężczyzna wzdrygnął się, widząc biegnącą w ich stronę chmarę dziennikarzy. Reporterzy zaczęli podtykać mu pod nos mikrofony, dyktafony i notatniki i zasypali go pytaniami.

- Co do diabła... - spojrzał na Monę. Nie wydawała się ani trochę zaskoczona całym zamieszaniem.

- Ucz się, jak wygląda gra w pierwszej lidze - stwierdziła.

Roy usiłował przedostać się przez tłum, a Mona zaczęła wygłaszać przygotowaną wcześniej wypowiedź. Choć starał się precyzyjnie przetrwać przez mur dziennikarzy, nie wiedział, czy nie zostanie zaraz odepchnięty tam, skąd przyszedł - aż do chwili, gdy nie wiedzieć skąd pojawiła się długa ręka i pociągnęła go przez boczne drzwi, zatrzaszkując je przed nosem biegnących za nim reporterów.

Beth puściła ramię Roya i cofnęła się o krok.

- Dziękuję, pani komendant.

- Podejrzywałam, że Mona będzie się popisywać jak zwykle. Jak było?

- Bez niespodzianek.

- Możesz wyjść z budynku tamtym korytarzem - stwierdziła Beth, wskazując ręką na lewo.

- Wiem, że to dla pani niezręczna sytuacja, pani komendant.

- Dlaczego?

- Z technicznego punktu widzenia jest pani po stronie Mony. Jeśli uda nam się dowieść, że Kapitan jest niewinny, pani prokurator przegra i niewykluczone, że wyjdzie przy tym na idiotkę.

Beth lekko uderzyła go w ramię.

- Mów tak dalej, Kingman, a kto wie, może zacznę cię tolerować.

Roy miał wrażenie, że na chwilę się uśmiechnęła, zanim odeszła korytarzem. Po chwili wyszedł z budynku i właśnie zbliżał się do swojego samochodu, kiedy podszedł do niego chudy młody człowiek w tweedowej marynarce.

- Roy Kingman?

- Tak?

Chłopak wetknął Royowi do rąk zwitek papierów.

- Wniosek uznaje się za doręczony - powiedział, po czym szybko odszedł. Roy przejrzał dokumenty.

Kancelaria Shilling & Murdoch złożyła przeciw niemu pozew.

Sam Donnelly nie wyglądał na szczególnie zadowolonego, kiedy w niewielkiej kolumnie samochodów wyjeżdżał z Białego Domu.

W armii dosłużył się stopnia generała dywizji, później został kongresmanem, a na pierwszego szpiega Ameryki awansował dzięki koneksjom politycznym, zasługom wojskowym i uczestnictwu w pracach Komisji do spraw Wywiadu w Izbie Reprezentantów. Przez całe życie służył ojczyźnie i cieszył się opinią rozsądnego i praktycznego administratora.

Naprzeciwko niego siedział Jarvis Burns. Limuzyna, którą jechali, była wyposażona w dźwiękoszczelną przegrodę oddzielającą miejsca dla kierowcy i ochroniarza od tylnych siedzeń. Burns walczył ramię w ramię z Donnellym na bagnach Wietnamu, po zakończeniu służby wojskowej każdy z nich poszedł swoją drogą, a kiedy spotkali się ponownie, zaufanie, jakim Donnelly darzył Burnsa sprawiło, że ten ostatni miał w zasadzie wolną rękę w prowadzeniu jednej z najważniejszych ściśle tajnych amerykańskich operacji antyterrorystycznych.

- Ciężkie spotkanie? - spytał Burns.
- To mało powiedziane.
- Żałuję, że nie mogłem tam być.
- Dyrektorowi Centrali Wywiadu od czasu do czasu odbija i wyprasza wszystkich poza, jak to określa, największymi

graczami. Zgodziłem się, bo nie stać mnie na to, żeby zrobić sobie z niego wroga. Dyrektor Krajowej Agencji Wywiadu jest tylko pierwszym między równymi.

- Mamy chaotyczną strukturę. W większości krajów służby wywiadowcze działają na znacznie prostszych zasadach.

- Po tej stronie Atlantyku, biorąc pod uwagę liczbę agencji wywiadowczych walczących o zakres kompetencji i dotacje z budżetu, nie da się nic uprościć.

- Ale ich wyniki mówią same za siebie.

- Absolutnie tak. Od jedenastego września na terytorium Stanów Zjednoczonych nie doszło do ataku terrorystycznego i bynajmniej nie jest to szczęśliwy traf. Robimy swoje i najważniejsze, że prezydent o tym wie.

- Wiedzą też obywatele.

- Gdyby poznali niektórych naszych współpracowników, nie byliby zachwyceni.

Burns skinął głową.

- Niestety, garść riali czy dinarów już im nie wystarcza. Utrzymanie bezpieczeństwa kraju to poważna sprawa. My, w przeciwieństwie do nich, dysponujemy środkami i możliwościami ich przesyłania. Oni z kolei mają to, czego nam brak. To transakcja biznesowa.

- Mówiąc krótko, paktujemy z diabłem.

- Ale mniej złym niż ten, z którym walczymy.

- Jak udaje ci się utrzymać ich w ryzach, Jarv? Wciąż zmieniają front. Dziś opłacamy tych, którzy jeszcze w zeszłym roku ostrzeliwali nas i podkładali nam bomby.

- Robimy, co możemy, korzystając z dostępnych narzędzi. Jaki mamy wybór?

Donnelly wpatrzył się w okno, za którym migają zabytki stolicy.

- Żadnego, przynajmniej na razie.

- Robimy to, co konieczne. Pan jest szefem z politycznego nadania, ja człowiekiem od brudnej roboty.

Donnelly nie był zachwycony tymi słowami.

- Przed sądem może stanąć każdy, nie wyłączając nas, Jarv. Pamiętaj o tym.

- Pamiętam. Przepraszam, jeśli niefortunnie się wyraziłem.

- I nikt nie jest niezastąpiony, nawet ty.

- Nigdy w to nie wątpiłem - odpowiedział Burns tonem pełnym szacunku.

- Robiliśmy to, co konieczne, by przetrwać w Wietnamie. Bynajmniej nie jestem z tego dumny i być może dziś postąpiłbym inaczej, ale jeśli bezpieczeństwo mojej ojczyzny będzie zagrożone, nie cofnę się przed niczym.

- Przetrywamy i tym razem, dyrektorze.

- Doprawdy? Pamiętaj, Jarv, w mojej agencji najszybciej zostaną poświęceni najniżsi rangą. Miej to na uwadze przez cały czas. - Donnelly przez dłuższą chwilę wpatrywał się w rozmówcę, a potem odwrócił wzrok. - Pieniądzy mamy coraz mniej, a jeśli przestaniemy płacić tym sukinsynom, natychmiast zaczną wybuchać bomby walizkowe, których wcale nie potrzebujemy. Cel uświęca środki. Jako kongresman natychmiast wszcząłbym dochodzenie, gdybym usłyszał takie słowa od szefa wywiadu. Teraz, kiedy sam nim jestem, utożsamiam się z nimi.

- Nie odetną nam funduszy. Gra toczy się o zbyt wysoką stawkę.

- Co z rodzinami Reigera i Hope'a?

- Powiedziano im, że agenci zginęli w służbie ojczyzny, i objęto pomocą finansową.

- Byłem bardzo rozczarowany, że musiało do tego dojść.

- Ja również.

- Czasem trzeba zacisnąć zęby i robić swoje. Tak było w Wietnamie. Pracowaliśmy z każdym, byle wykonać cholerne zadanie.

- Młodsze pokolenie chyba tego nie rozumie.

- Ale Mary Bard jest bardzo cennym nabytkiem.

- Nasi przyjaciele Rosjanie wykazali się wielką hojnością.

- Nawet Moskwa boi się terrorystów. Mają teraz pieniądze i rozwiniętą gospodarkę, którą warto chronić. Wiedzą, że mogą stać się celem. Wyrwałem Bard FBI, kiedy tylko dowiedziałem się, że jest w mieście. Pracowałem z nią już wcześniej. Muszę przyznać, że Steve Lanier, zastępca dyrektora, nie był zachwycony.

- Nie wątpię. Ale już się cieszę na dalszą współpracę.

- Nie nadużywaj jej. W tej chwili mamy aż nadto trupów.

- Oczywiście.

„Ale jeden czy dwa więcej nie zrobią różnicy” – pomyślał Burns.

105

- Dziękuję, że się zgodziłaś ze mną spotkać, Cassie.

Roy szedł K Street z Cassie Benoit, pracownicą DLT, pośrednika, z którego usług korzystała kancelaria Shilling & Murdoch podczas transakcji powierniczych.

- Nie ma sprawy. I tak zamierzałam wyjść na lunch. O co chodzi?

- Odwieczny problem. Znalazłem błąd w dokumentach, a przynajmniej tak mi się wydaje. Pamiętasz transakcję zakupu Dixie Group, którą sfinalizowaliśmy dwa miesiące temu?

- Chodzi o sieć centrów handlowych w Alabamie i Teksasie. Nabywcą była spółka ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

- Masz dobrą pamięć. O tym właśnie mówiłem.

- Na czym polega problem? Wiem, że dostali pieniądze.

- Siedemset siedemdziesiąt pięć milionów plus przejęte zobowiązania.

- Wiem, że to było coś koło tego. Po jakimś czasie nie pamiętam już dokładnych kwot. Za dużo tego mam.

- Doskonale cię rozumiem.

- Rzecz jasna, zajmowaliśmy się tylko pieniędzmi, nie przejęciem zobowiązań - stwierdziła Cassie, wgrzyzając się w kanapkę z tuńczykiem.

- Pieniądze dotarły, ale nie zostały spełnione dwa warunki

wstępne.

- Jakie?

- Jest problem z zapisem notarialnym jednego zobowiązania, no i kwestia głównego wynajmującego w centrum w Dallas-Fort Worth, która miała zostać rozstrzygnięta przed przekazaniem środków. W dokumentach miała być o tym wzmianka, ale jej nie ma.

- Schrzaniliśmy coś?

- Nie wiem. Nie jestem pewien, kto popełnił błąd. Chciałem wpaść do was do biura i zerknąć na dokumentację.

- Roy, dzisiaj jestem zawałona robotą. Dlatego jem kanapkę w takim biegu.

- A po godzinach?

Cassie spojrzała na niego bez przekonania.

- Wybieram się na koncert w Constitution Hall.

- Nic jeszcze nie powiedziałem klientowi. Miałem nadzieję, że zdążę wszystko wyprostować. Wiesz, jacy są ci z Emiratów. Jeśli okaże się, że zawaliliśmy sprawę, trzeba będzie wsiąść w odrzutowiec i pojechać przeprosić szejków.

Krew odpłynęła z twarzy Cassie.

- Ale ja nienawidzę latać.

- W takim razie lepiej byłoby rozwiązać ten problem na miejscu.

Cassie westchnęła i wrzuciła resztę kanapki do kubła na śmieci.

- Dzisiaj o siódmej? Nikogo już nie będzie, ale mogę cię wpuścić.

- Dla mnie bomba, Cassie. Jestem ci naprawdę wdzięczny.

Pożegnawszy się z kobietą Roy spojrzał na zegarek i zadzwonił do Mace. Opowiedziała mu o spotkaniu z prawniczkami w Newark, wyjaśniła też, że chciała pojechać wcześniejszym pociągiem, ale nie było w nim wolnych miejsc, a kolejny, na który

udało jej się kupić bilet, jest opóźniony, gdyż lokomotywa z poprzedniego składu zerwała trakcję elektryczną, doprowadzając do poważnej awarii zasilania na całym Northeast.

- Trochę to potrwa - stwierdziła ponuro. - Mam nadzieję, że uda mi się wrócić przed wieczorem. Cholera, chyba szybciej doszłabym piechotą.

- Daj znać, kiedy już będziesz. A przy okazji, pozwól mnie mój były pracodawca.

- Co? Dlaczego?

- Przeczytałem pozew. To stek bzdur.

- Poszukam ci dobrego adwokata.

Minutę przed siódmą Roy zjawił się w biurze DLT. Firma kończyła pracę już o osiemnastej trzydzieści, ale za to zaczynała ją o szóstej rano ze względu na prowadzone operacje międzynarodowe. Po długich dniach ślęczenia nad słupkami cyfr, ścigania się z czasem i wysyłania pieniędzy w formie elektronicznej we wszystkie strony świata większość pracowników rzucała się do wyjścia zaraz po fajrancie.

Zapukał i Cassie wpuściła go do środka. Włosy, zwykle spięte w kok, rozpuściła na ramiona, a zamiast szpilek miała na nogach skarpetki i tenisówki.

- Wyszperałam naszą dokumentację - powiedziała. - Możesz na nią zerknąć.

- Świetnie. Dzięki.

- Przejrzałam wszystkie papiery, ale nie udało mi się znaleźć problemów, o których mówiłeś. Może dlatego, że nie jestem prawnikiem.

- Nie szkodzi. Ja powinienem to rozgryźć.

Powoli przeglądał dokumenty, szukając punktu zaczepienia, a Cassie, z której gabinetu korzystał, spoglądała mu przez ramię.

Zauważył paczkę papierosów wystającą z leżącej na biurku torebki, spojrzął na kobietę i uśmiechnął się.

- Może mi to chwilę zająć. Może chciałabyś w tym czasie zapalić?

- Roy postukał w pudełko.

- Od lunchu czuję, że potrzebuję papierosa, ale w budynku obowiązuje zakaz palenia, a nie miałam czasu z niego wyjść.

- Teraz możesz.

Cassie powoli zgięła i rozprostowała palce, patrząc na swoje Winstony.

- Dobra, poddaję się. Niedługo wrócę, chociaż możliwe, że będę musiała od razu wypalić dwa.

- Czy dobrze mi się wydawało, że po drugiej stronie ulicy macie kawiarnię Au Bon Pain?

- Tak. Uwielbiam ich kawę. Ta, którą parzą u nas w biurze, jest do bani.

- W takim razie kiedy skończysz palić, kup nam dobrej kawy - powiedział, wręczając jej pieniądze. - Nie spiesz się. Zdaje się, że trochę to potrwa. W interesach z klientami z Bliskiego Wschodu nie można pozwolić sobie na błędy - dodał złowrogo.

Natychmiast po wyjściu Cassie Roy dobrał się do jej komputera. Na szczęście nie musiał łamać hasła, gdyż baza danych była otwarta. Nie znał systemu klasyfikacji danych stosowanego w firmie, ale przyjął, że wystarczy wyszukać nazwy klientów - i, jak się okazało, miał rację. Szybko przejrzał dane dotyczące kilku transakcji, nad którymi pracował z Diane w ciągu ostatniego półtora roku i zrozumiał, dlaczego Cassie nie pamiętała wysokości przelewanych kwot. Polecenia wykonania przelewu, przygotowywane przez Diane i Roya dla potrzeb każdej transakcji - czyli instrukcje dla DLT, ile pieniędzy należy przesłać i po

spełnieniu jakich warunków - nie zgadzały się z dokumentacją pośrednika pod jednym istotnym względem.

Kwoty przelewu były różne.

Roy wynotował z dokumentów kancelarii pewne fakty dotyczące każdej z sześciu transakcji, które chciał porównać z zapisami w DLT. Sieć centrów handlowych Dixie Group została sprzedana za siedemset siedemdziesiąt pięć milionów dolarów plus przejęcie zobowiązań. Taką kwotę wpisał Roy w poleceniu przelewu wysłanym z Shilling & Murdoch do DLT. Pośrednik zeskanował dokument i wprowadził go do systemu komputerowego, ale wersja, którą miał przed oczami Roy, choć wydrukowana na papierze firmowym kancelarii, podawała cenę zakupu w kwocie siedmiuset dziewięćdziesięciu pięciu milionów dolarów - różnica wynosiła dwadzieścia milionów. Cassie nie mogła o tym wiedzieć, gdyż jej zadanie ograniczało się do wykonania przelewu, a jeśli wysokość kwoty podanej w poleceniu i otrzymanej przez klienta się zgadzała, nikt nie zgłaszał problemów. Najwyraźniej w tym przypadku sprzedający otrzymał właściwą kwotę.

Roy wygodniej oparł się na krześle. Dlaczego klient z Emiratów przelał większą sumę? Żaden kupujący nie płacił ceny wyższej niż określona w umowie. Czy klient rzeczywiście przesłał dodatkowe pieniądze? Po kilku kliknięciach Roy wyświetlił potwierdzenia wykonania przelewu dla tej transakcji. Przelewy zagraniczne były traktowane nieco inaczej niż krajowe, w szczególności po jedenastym wrześniu. Roy wiedział, że istnieje lista krajów niebezpiecznych, a władze amerykańskie uważnie obserwują przepływ środków z tych państw do Stanów Zjednoczonych w obawie, że pieniądze mogą zostać wykorzystane do finansowania działalności terrorystycznej.

Wszystkie przelewy krajowe i zagraniczne przechodziły,

w różny sposób i pod mniejszym lub większym nadzorem, przez amerykański bank centralny, System Rezerwy Federalnej, ale nie wykluczało to możliwości nadużyć. Roy spojrział na datę wystawienia polecenia przelewu wyświetlonego na ekranie i na swoje notatki z dokumentów. Polecenie, które znajdowało się w dokumentacji DLT, wystawiono dwa dni później. Prawnik wiedział, że takie dokumenty często się aktualizuje, aby dopasować je do zmieniających się warunków umowy - ale w tym przypadku warunki nie uległy zmianie, a data, którą miał w swoich notatkach Roy, była datą wystawienia ostatecznej wersji dokumentu. Ktoś później wprowadził zmiany, dodając dwadzieścia milionów dolarów.

Roy przypomniał sobie dodatkowe kolumny cyfr, które widział w dokumentach przeglądanych z Mace podczas obiadu w domku gościnnym Altmana. Wpisał nazwę tamtego klienta i sprawdził polecenie wykonania przelewu. Wiedział, że cena zakupu fabryk wynosiła dziewięćset dziewięćdziesiąt milionów dolarów, ale w dokumentacji DLT kwota była wyższa o dwadzieścia pięć milionów, a data wystawienia dokumentu - późniejsza niż w wersji Roya. Z kolei potwierdzenie wykonania przelewu wskazywało, że do banku sprzedającego w Nowym Jorku wpłynęło dziewięćset dziewięćdziesiąt milionów. Gdzie trafiła dodatkowa kwota? Do innego banku? I kto ją przesłał? Roy szczerze wątpił, by klient dopłacił dwadzieścia pięć milionów dolarów z dobrego serca.

Kiedy dotarło do niego, w czym rzecz, aż poderwał się z miejsca.

To klasyczne podczepienie.

Podczas nazywanej tak operacji wykonywało się przelew powiązany z legalnie zawartą transakcją, wychodzący z jednego

z krajów Bliskiego Wschodu niefigurującego na liście państw niebezpiecznych. Poza ceną zakupu przelewano dodatkowe środki, pochodzące z innego źródła. Nielegalnie przekazywane kwoty łączyły się z legalnymi, a po dotarciu do USA pieniądze za zakup trafiały do sprzedającego, a „podczepione” środki – na inne konto. Jednak jeśli polecenie zapłaty zawierało właściwą kwotę i numery kont, nikt o tym nie wiedział. A jeśli później dochodziło do kontroli, sprawa była tak zagmatwana, że nikt nie był w stanie się w niej zorientować. Biorąc pod uwagę ilość pieniędzy przepływających po całym świecie w formie elektronicznej, sprawdzanie takich transakcji przypominało szukanie igły w stogu siana.

Roy zauważył, że podczepianie przesłanych środków pozwala ominąć przepisy ustawy antyterrorystycznej, zabezpieczającej przed podejrzanymi przelewami. Dodatkowe kwoty mogły pochodzić z dowolnego kraju, w tym również wrogo nastawionego do USA.

To mogą być brudne pieniądze prane przez handlarzy narkotyków albo fundusze na działalność terrorystyczną. Albo szpiegowską.

Roy najpierw stwierdził, że muszą mieć jakąś wtyczkę w DLT, a później uderzyło go, że pośrednik tylko wykonuje polecenia – znacznie bardziej prawdopodobne było, że pracuje dla nich ktoś z Shilling & Murdoch. Popatrzył na zmienioną wersję polecenia wykonania przelewu. Widniał na niej elektroniczny podpis Diane, ale mógł go łatwo dodać każdy, szczególnie ktoś z szefostwa.

Chester Ackerman. Najpotężniejszy czarodziej w firmie.

Wątpił, by Ackerman kierował całą operacją, ale podejrzewał, że partner z kancelarii wie, kto za nią stoi. Włożył pendrive do portu USB, skopiował tyle stron, ile zdołał i włożył przenośny

dysk do aktówki. Zdążył wyjść do holu, kiedy usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi.

- Skończyłem, Cassie! - zawołał. - Znalazłem błąd!

Drzwi się zamknęły, a Roy stanął jak wryty.

Do środka nie weszła Cassie, a drobna szatynka z bardzo dużym pistoletem w ręce.

106

Mace omal nie wyskoczyła w biegu z pociągu dojeżdżającego do dworca Union Station. Krótka wycieczka zmieniła się w całodzienną wyprawę. Kiedy wróciła do Waszyngtonu, było już ciemno. Zamierzała zadzwonić do Roya, gdy tylko wysiądzie z pociągu – miała nadzieję, że udało mu się coś odkryć podczas wizyty w DLT.

Poszła na postój taksówek tak zatopiona w myślach, że umknął jej fakt, iż jeden z mężczyzn, gdy go minęła, wyciągnął komórkę i odbył z kimś pospieszną rozmowę. Nie dostrzegła, że się za nią skrada. Zauważyła go dopiero wtedy, kiedy przystawił jej do pleców pistolet.

- Ani słowa, bo zginiesz.

Mace próbowała obejrzeć się za siebie, ale napastnik tylko mocniej wbił lufę w jej krzyż.

- Patrz przed siebie.

- Aż się tu roi od gliniarzy – odpowiedziała. - Może zacznę krzyczeć?

- Widzisz te maluchy, o tam?

Mace spojrzała w lewo, w miejsce, gdzie stała grupka dzieci pod opieką dwóch starszych pań.

- Widzę.

- A tego kolesia za nimi?

Mace zobaczyła potężnego mężczyznę o groźnej minie.

- Widzę.

- Ma w kieszeni granat. Jak będziesz podskakiwać, wyciągnie zawleczkę, wrzuci granat do tego kosza na śmieci i odejdzie, a dzieciaczki wylecą w powietrze.

- Dlaczego to robicie, do cholery?

- Zamknij się i idź przed siebie.

Mężczyzna poprowadził ją ruchomymi schodami na parking. Poszli na sam jego koniec, gdzie nie było nikogo i stał tylko jeden samochód, czarne escalade, z którego na ich widok wysiadło czterech mężczyzn.

Mace wzdrygnęła się, kiedy go zobaczyła.

Tym razem Psychol się nie uśmiechał, nie miał błysku w oku. Zniknęła gdzieś cała jego beztroska i stał się bardzo rzeczowy.

- Już nie żyjesz, suko - stwierdził ponuro.

- Myślałam, że zawarliśmy umowę - powiedziała Mace. - Nie ma krwi, nie ma sprawy.

Psychol odpowiedział ciosem na odlew, po którym wylądowała na ziemi. Siedziała tak, ocierając krew z policzka, aż jeden z gangsterów postawił ją z powrotem do pionu - tylko po to, by Psychol mógł ponownie ją powalić, tym razem ciosem zadany od dołu w brzuch.

Mace była twarda, ale wiedziała, że jeszcze jedno takie uderzenie może zmienić ją w śliniace się warzywo. Odwróciła się na bok i wymiotowała, a po chwili ktoś znów poderwał ją z ziemi. Stała, chwiejąc się na nogach. Krwawiąc z nosa i popękanych warg, powiedziała:

- Mam jedną prośbę.

- Wiesz, że za chwilę cię zabiję?

- Dlatego chcę prosić cię o to już teraz.

- O co?

- Jesteś wielki i silny. Właśnie dwa razy powaliłeś mnie na ziemię i za chwilę mnie zabijesz.

- No i?

- Pozwól mi zadać jeden cios. Prosto w brzuch. Możesz napiąć mięśnie.

- Ile ważysz? Pięćdziesiąt kilo?

- Mniej więcej. A ty pewnie z dziewięćdziesiąt.

- Więc co ci to da?

- Umrę zadowolona.

- Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś jakąś cholerną mistrzynią kung fu?

- Czy gdybym była, pozwoliłabym, żebyś skopał mi tyłek? - spytała Mace, splunęła krwią i podważyła językiem obłuzowany ząb. - Ale widzę, że cykasz się dziewczyny.

Psychol wziął zamach, żeby zadać kolejny cios, ale opuścił rękę, kiedy jego ofiara się zatrzęsała. Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

- Gównu się znasz na kung fu. Wiem, bo ja jestem w tym dobry. Mam podwójny czarny pas.

- To widać - stwierdziła Mace słabym głosem, wycierając krew z podbródka rękawem kurtki. - Czy to znaczy, że się zgadzasz?

Psychol popatrzył na swoich ludzi, przyglądających mu się z rozbawionymi minami. Mace też się rozejrzała. Nie mogła liczyć na niczyją pomoc. Stali w ciemnym, opuszczonym zakątku parkingu. Mogła wypluć płuca krzycząc o pomoc i nic by to nie dało. Nagle wpadł jej do głowy pomysł, który mógł ją uratować - jeśli dożyje okazji, by go spróbować.

- Dobra. Ale jak tylko mnie walniesz, wsadzamy cię do SUVa, wieziemy w moje ulubione miejsce, wykańczamy kulką w łeb, a ciało porzucamy w Rock Creek Park.

- Napnij mięśnie brzucha, Psychol. Zamierzam naprawdę się przyłożyć.

Mężczyzna rozpiął kurtkę i odsłonił płaski brzuch. Mace wiedziała, że ma mięśnie twarde jak stal. Była zdziwiona, że nikt nie zauważył, co robi, ale widocznie pomogły jej ciemności. Uderzyła dokładnie w przeponę mężczyzny. Miała rację – mięśnie Psychola były jak skała, ale nie miało to żadnego znaczenia. Dziewięćset tysięcy woltów uwolnionych przez kastet z kopem uderzało niezależnie od siły mięśni. Psychol upadł na beton dygocząc, jakby trzymał drut pod napięciem. Bezgłośnie poruszał ustami i mrugał wybałuszonymi oczami.

Zszokowani gangsterzy stali nieruchomo, przyglądając mu się.

Mace rzuciła się do ucieczki.

Mężczyzna, który dopadł ją na dworcu, wykrzyknął:

- Ej!

Mace wiedziała, że nie ma szans. Biegając, nasłuchiwała strzałów, które już za chwilę miały ją dosięgnąć. Nagle usłyszała po swojej lewej stronie pisk opon. Odwróciła się i zobaczyła jadącego tuż na nią nissana. Rzuciła się w bok, a kierowca wyminął ją, błyskawicznie zawrócił i ustawił się między nią i bandą Psychola.

- Wskakuj!

Mace aż podskoczyła.

- Wskakuj!

- Darren?

Brat Alishy wyciągnął pistolet i wymierzył w nadbiegających ludzi Psychola. Dwa razy wycelował w głowę i dwóch prowadzących pościgu padło na beton w kałużach krwi.

Mace szarpnięciem otworzyła drzwi po stronie pasażera i wskoczyła do środka. Znowu rozległ się pisk opon i nissan

pomknął przed siebie. Mace skuliła się, kiedy kule zabrzęczały o karoserię, a jedna z nich wybiła tylną szybę. Po dwóch zakrętach wyjechali z parkingu, a pięć minut później i trzy kilometry dalej Mace w końcu wyprostowała się na siedzeniu.

- Skąd się tu wzięłaś, do cholery? - wykrzyknęła. - Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Nie wiedziałem. Śledziłem Psychola, obczaiłem, co jest grane i pomyślałem, że przyda ci się pomoc.

Mace zapięła pas.

- Teraz rozumiem, dlaczego wołają na ciebie Brzytwa.

- W schowku są chusteczki. Zrób coś, żeby nie pokrwawić mi siedzenia - stwierdził szorstko.

- Dzięki. - Wzięła kilka chusteczek i wytarła nimi twarz. - Dlaczego śledziłeś tego kolesia?

- A jak myślisz?

- Taka sytuacja może mieć kilka zakończeń i żadne z nich nie jest szczęśliwe.

- Co mam zrobić? Dać sobie z nim spokój? Pamiętam, mówiłaś, że się nim zajmiesz. No to się zajęłaś. Gdyby nie ja, już byś nie żyła.

- Ej, pomógł mi też mój kastet z kopem.

Darren uśmiechnął się, zapewne wbrew swojej woli.

- Fajnie było zobaczyć, jak Psychol pada na ziemię i trzęsie się jak narkoman po odstawieniu amfy.

Mace zaczęła wstukiwać coś na klawiaturze telefonu.

- No dobra. Mamy porwanie, napaść.

Darren spojrzał na nią.

- O czym ty mówisz?

- O przestępstwach, które popełnili dziś Psychol i jego ludzie.

- Dobra, dobra. Znajdzie dziesięciu świadków, którzy

potwierdzą, że był w tym czasie zupełnie gdzie indziej.

- Czyli jej nie zauważyłeś?

- Czego?

- Kamery wideonadzoru zamontowanej w kącie parkingu. - Wybrała numer. - Beth, tu Mace. Tak, wszystko gra. Właśnie wróciłam do miasta i mam dla ciebie prezent. Niejakiego Psychola, elegancko przewiązanego wstążeczką.

Roy był pod wrażeniem tego, jak szybko i sprawnie wyniesiono go z budynku. Nie miał pojęcia, jak długo jechał później ciężarówką. Był związany, zakneblowany i miał zasłonięte oczy, w dodatku włożyli mu do uszu jakieś bzyczące urządzenie, więc nie mógł nawet nasłuchiwać dźwięków, które powiedziałyby mu, dokąd zmierzają. Po zakończeniu jazdy usadzono go przy stole w pokoju, który – jak się domyślał – stanowił część większego budynku. Zesztywniał, kiedy drzwi się otworzyły i do środka weszła kobieta.

Mary Bard usiadła naprzeciwko niego, opierając splecione ręce na stole. Royowi zdjęto więzy, knebel i przepaskę. Najwyraźniej zakładali, że i tak nie będzie mógł zeznawać przeciwko nim.

- Kim pani jest? Czego pani chce?

- Ogląda pan za dużo telewizji – stwierdziła zbita z tropu kobieta.

- A jakich pytań się pani spodziewała?

- Czy chce pan przeżyć? – odpowiedziała pytaniem.

- Tak. Ale z pewnych względów wydaje mi się to mało prawdopodobne.

- To bardzo mało prawdopodobne – przyznała. – Ale nie niemożliwe. A w pańskiej sytuacji należy dążyć do niemożliwego.

- Na przykład w taki sposób? – Przeskoczył nad stołem

i spróbował ją chwycić. Ważył co najmniej czterdzieści kilo więcej od agentki i był od niej o trzydzieści centymetrów wyższy. Kiedy odzyskał przytomność, leżał na brzuchu na zimnej posadzce, a prawe ramię bolało go, jakby było wyrwane ze stawu. Powoli usiadł, podtrzymując uszkodzoną kończynę.

Mary Bard wciąż siedziała przy stole, przyglądając mu się nieprzeniknionym wzrokiem.

- Skończył się pan bawić w Johna Wayne'a?

Johna Wayne'a? Albo rzadko ogląda telewizję, albo nie pochodzi ze Stanów i miała okazję oglądać tylko powtórki starych filmów.

- Jak pani to zrobiła? - spytał Roy, krzywiąc się z bólu.

- Mogłabym to panu wyjaśnić, ale nie widzę sensu, bo i tak by pan nie zrozumiał.

Roy podniósł się z podłogi i opadł na krzesło, wciąż trzymając się za ramię.

- Chyba jest wyrwane ze stawu - stwierdził. Było mu potwornie niedobrze.

- Owszem. Czy mam je nastawić?

- A może podałyby mi pani morfinę?

- Nie. Musi pan być w stanie skupić się na tym, co ma nastąpić.

Okrążyła stół i stanęła obok mężczyzny.

- Proszę się obrócić w moją stronę.

- Jeśli to jakaś sztuczka, to przysięgam, że chociaż jesteś cholerną ninja... Kobieta poruszyła się tak szybko, że nie zdążył zareagować. Usłyszał trzask, przez chwilę poczuł nieznośny ból - i ramię wróciło na swoje miejsce.

Mary Bard usiadła z powrotem przy stole, a Roy ostrożnie poruszał ręką, wypróbując ją.

- Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie - stwierdziła kobieta,

wpatrując się w niego.

- Nie jesteś Amerykanką, prawda?

Wzruszyła ramionami.

- A jakie to ma znaczenie?

- Dobra, już się koncentruję. Co mam zrobić?

- Napisz SMS-a do Mace Perry. Z nią też chcemy się spotkać.

Roy rozparł się na krześle.

- Nie. Macie już mnie, jej nie dostaniecie.

- Panie Kingman, na pańskim miejscu bym się nad tym zastanowiła.

- Zgoda, zastanowię się. Chcecie, żebym napisał do Mace i poprosił o spotkanie w jakimś odludnym miejscu, w którym będziecie mogli niepostrzeżenie porwać ją i zabić. A potem zabijecie również mnie.

Zastanawiam się, zastanawiam. - Zrobił krótką pauzę, a później dodał: - Idź do diabła, paniusiu.

- Rzecz jasna, możemy sami wysłać wiadomość z twojego telefonu.

- W takim razie po co kazałaś mnie to zrobić?

- Sprawdzalam cię.

- I co, zaliczyłem sprawdzian?

- Jeszcze nie wiem.

- Na czym w takim razie stoimy? Jeśli każecie mi do niej zadzwonić, uprzedzę ją, że to pułapka, a nigdy wcześniej nie napisałem do niej SMS-a, więc jeśli dostanie ode mnie taką wiadomość, od razu się zaniepokoi. Ona ma lekką manię prześladowczą. A potem do mnie zadzwoni i kiedy nie odpowiem.

- Doszliśmy do tych samych wniosków.

- Rozgryzłem to. Ten przekręt z pieniędzmi. Podczepianą transakcją. Przekazujecie pieniądze terrorystom? Nie wyglądasz

na Arabkę, ale widocznie jesteś kociakiem Bin Ladena.

- Nie jestem niczym kociakiem - odpowiedziała, lekko podnosząc głos.

- Może i nie, ale pomyśl o tym. Ani Mace, ani nikt inny nie wie o moim odkryciu. Nie zdążyłem nikogo o nim poinformować.

- Do czego zmierzasz?

- Nie potrzebujesz Mace. Masz mnie. Zabij mnie i będzie po wszystkim.

- Nie sądzę, żeby to zakończyło sprawę.

- Dlaczego?

- Z moich informacji na temat Mace Perry wynika, że jeśli będziesz w niebezpieczeństwie, nie cofnie się przed niczym, żeby ci pomóc.

- Z twoich informacji? Dla jakiego rządu pracujesz?

Mary Bard po raz pierwszy okazała choćby cień uczuć. Lekko ścisnęła wargi, a przez jej oczy przemknął błysk rozdrażnienia. Kiedy nie odpowiedziała, Roy dodał:

- Domyślam się, że niemożliwe właśnie stało się absolutnie niemożliwe. Nie wyjdę stąd żywy, więc jaką mam motywację, by wykonywać twoje polecenia?

Coś zabzyczało. Roy przez chwilę się rozglądał i uświadomił sobie, że dźwięk wydaje wibrujący telefon kobiety. Wstała, poszła w kąt pokoju i odebrała. Prawie się nie odzywała, słuchała tylko swego rozmówcy. Royowi przyszło do głowy, że pokój zapewne jest na podsłuchu i pod obserwacją kamer. Kto dzwonił?

Bard włożyła telefon z powrotem do kieszeni i usiadła.

- Nie masz żadnej motywacji. Ale kiedy Perry się dowie, że cię mamy, będzie próbowała ci pomóc. Jesteś przynętą.

- Jej siostra jest komendantem policji Dystryktu Kolumbii. Jeśli się tu zjawi, to z całą armią.

- Nie. Uprzedzimy ją, że w takim przypadku będziemy zmuszeni cię zabić.
- Ale przecież wie, że jeśli przyjdzie sama, zginiemy oboje.
- A jednak przyjdzie.
- Czemu jesteś tego taka cholernie pewna?
- Na jej miejscu zrobiłabym to samo.

108

Mace siedziała w salonie domku gościnnego, przyciskając do opuchniętego policzka worek z lodem. Wiele razy próbowała dodzwonić się do Roya, ale nie odbierał. Rozmowa, którą przed chwilą odbyła, wyjaśniła dlaczego. Mieli go. Chcieli dorwać również ją. Jeśli się nie zjawi, Roy zginie. Miała dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji.

Siedziała bez ruchu, a zimna woda spływała jej po twarzy. Znalazła się w jednej z niewielu sytuacji w życiu, w których nie wiedziała, co robić. Wreszcie jej ręka, jak kierowana niewidzialną siłą, chwyciła telefon i wybrała numer. Beth przyjechała po dwudziestu siedmiu minutach, wyskoczyła z radiowozu, na dachu którego wciąż migał kogut, i pobiegła do domku gościnnego. Mace szybko przedstawiła jej sytuację.

- Dokąd kazali ci przyjść? - spytała.

- Jeśli nie pójde tam sama, zabiją go.

Beth była bardzo zaniepokojona:

- A jeśli pójdziesz, zabiją was oboje. Mace, możliwe, że Kingman już nie żyje.

- Żyje.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem.

Siostry popatrzyły po sobie. W końcu odezwała się Beth.

- Wiesz, Kingman miał trochę racji, kiedy mówił, że powinniśmy działać razem, a nie przeciwko sobie.

- Byliśmy kiedyś niezłą drużyną.

- A podczas tego śledztwa ograniczyliśmy się do doraźnego reagowania. Goniłyśmy po ulicach jakieś widma.

- Albo pozwalałyśmy im do siebie strzelać.

- Co właściwie wiemy o całej sprawie?

- Beth, nie mamy czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

- Jeśli tego nie zrobimy, Kingman zginie. Mamy prawie dwadzieścia trzy godziny. To mnóstwo czasu, jeśli dobrze go wykorzystamy.

Mace wzięła głęboki wdech, żeby się uspokoić.

- Dobra. Mogę zacząć. Diane Tolliver zjadła kolację z Jamiem Meldonem i została zamordowana. Niedługo później zginął także mężczyzna.

Beth dodała:

- Śledztwo w sprawie Meldona przejęli ludzie, których nie znam, a od sprawy odsunięto nawet FBI. Moi informatorzy twierdzą, że Meldon mógł paść ofiarą terroryzmu wewnętrznego.

- Jednak to by oznaczało, że Tolliver zginęła ze względu na powiązanie z Meldonem, nie odwrotnie.

Beth była zbita z tropu.

- Ale z tego, co wiemy o dwóch lodówkach, wynika, że Tolliver zabito w piątek w nocy, wcześniej niż Meldona, a wina miała spaść na Dockery'ego.

Mace podjęła ten wątek.

- W Newark dowiedziałam się, że wiele lat temu Meldon i Tolliver mieli romans. Jeśli Tolliver coś odkryła i potrzebowała pomocy, mogła zwrócić się z tym do niego, zwłaszcza że pracował jako prokurator.

- Z tego z kolei wynika, że Meldon został zabity ze względu na powiązania z Tolliver, nie odwrotnie.

- Zaatakowali Roya i mnie w kancelarii. I jestem przekonana, że na komputerze Tolliver było zainstalowane oprogramowanie szpiegujące. To potwierdza teorię, że kluczowe znaczenie dla sprawy ma ona, nie Meldon.

- A w mieszkaniu Andre Watkina natknęliście się na kogoś, kto się pod niego podszywał - dodała Beth, patrząc przenikliwie na Mace.

- Czy myślisz, że ten człowiek mógł należeć do zwolenników Romana Naylora?

- Nie, był zbyt elegancki i wyrafinowany. Poza tym z Watkinsem powiązana jest tylko Tolliver, nie Naylor. No i próbowali zmylić nas co do czasu jej śmierci. Nie wyobrażam sobie, żeby goryle Naylora mieli podrzucić resztki warzyw i mięsa do śmietnika Diane, wstrzyknąć nasienie w jej ciało i zainstalować programy szpiegujące na jej komputerze.

- A co z przepływem środków za pośrednictwem DLT?

- To też ma związek z Tolliver. Roy mówił, że przez tę firmę przechodziły miliardy dolarów od klientów Shilling & Murdoch. No i jeden ze wspólników, Chester Ackerman, był czymś mocno wystraszony.

- Kingman wspominał, że kancelaria ma klientów w Dubaju.

- Z tego, co wiem - owszem, wielu.

- Czyli przynajmniej część z tych miliardów pochodziła z Bliskiego Wschodu.

- Pewnie tak. - Mace nagle zeszywniała. - Czy myślisz o tym samym, co ja?

Beth wyciągnęła telefon.

- Do kogo dzwonisz? Do twojego kumpla, szefa wywiadu?

- Mówisz o Samie Donnellym? Jeszcze nie.

Powiedziała do słuchawki.

- Proszę ze Stevem Lanierem. Mówi komendant Perry.

- Steve Lanier? Czy to.

- Tak, zastępca dyrektora FBI. Cześć Steve, tu Beth. Muszę koniecznie z tobą porozmawiać. Tak, to bardzo ważne.

Dwie godziny później siedziały w Biurze Terenowym FBI w Waszyngtonie. Właśnie skończyły opowiadać Lanierowi o swoich odkryciach.

Wiceszef FBI odchylił się na krześle.

- Beth, widywałem już poważne sprawy, ale to po prostu nie mieści mi się w głowie.

Do gabinetu wszedł mężczyzna i podał Lanierowi teczkę z dokumentami. Mężczyzna otworzył ją i przejrzał zawartość.

- Ani słowa o śledztwie w sprawie Meldona. Wątpię, czy w ogóle je przeprowadzono. To powinno było nas zaniepokoić. Ale udało nam się po ciężkich bojach zdobyć wyniki sekcji zwłok Hope'a i Reigera.

- Jarvis Burns powiadomił mnie, że nie żyją.

- Domyślam się. Ktoś poderznął im gardła z chirurgiczną precyzją. To musiał być prawdziwy profesjonalista.

- Co to oznacza? - spytała Beth. Lanier zamknął teczkę.

- Że mamy poważny problem.

- To wiedziałyśmy już wcześniej - stwierdziła Mace.

- Nie o to mi chodziło - odpowiedział Lanier i przez pięć minut wyjaśniał siostrze, co miał na myśli.

- W takim razie jest chyba jasne, co musimy zrobić - stwierdziła Beth.

Mace skinęła głową.

- Jestem z tobą.

Lanier spoglądał to na jedną, to na drugą z sióstr.

- Przegapiłem coś?

- To sprawa między nami siostrami - wyjaśniła Beth, pochyliła się do niego i zaczęła szybko mówić. Kiedy przerwała, wątek podjęła Mace.

- Będziemy potrzebować pomocy Sama Donnelly'ego - zauważył Lanier.

- Jak najbardziej - przytaknęła Beth.

Pół godziny później zaczęli wprowadzać w życie ułożony przed chwilą plan.

Następnego wieczora Mace z maksymalną prędkością mknęła na ducati przez zachodnie Maryland. Gęste szpalery drzew rosnących przy drodze przelatowały jej przed oczami jak klatki filmu w starym projektorze. Na rozjeździe skręciła w lewo, przejechała jeszcze kilometr i odbiła w prawo. Po przejechaniu kolejnych pięciuset metrów zobaczyła przed sobą starą farmę. Zwolniła, a później zatrzymała motocykl, wbijając buty w piach na drodze. Lekko łzawiły jej oczy - nie ze wzruszenia, a przez szczególne soczewki kontaktowe, które założyła.

Po prawej miała bliski zawalenia dom, przechylony jak statek wśród wzburzonych fal, a po lewej - wznoszący się wysoko ku niebu silos. Dalej przy piaszczystej drodze zobaczyła miejsce, do którego kazano jej przyjechać - stodołę. Nie zaskoczyło jej, że w budynku nie pałą się światła. Otworzyła przepustnicę i podjechała do przodu. Po lewej rozbłysły światła samochodu. Mace uniosła rękę, by osłonić oczy. Na drodze pojawiło się trzech mężczyzn. Kiedy podeszli do niej, zachwiała się i wsparła na jednym z nich, przyklejając mu po wewnętrznej stronie rękawa miniaturowe urządzenie, które trzymała w ręce.

- Stój spokojnie - warknął jeden z nieznajomych.

Mace stanęła sztywno, a drugi z mężczyzn szybko ją obszukał, a później przejechał skanerem po całym jej ciele. Nie spieszył się

przy tym, a głowę przeświecił kilka razy.

- Nie mam implantów naprowadzających - powiedziała przyjaźnie.

- Zamknij się - odszczeknął pierwszy z mężczyzn.

Zaprowadzili ją do czekającego range rovera i wepchnęli do środka. Po drodze rozmawiali w języku, którego nigdy wcześniej nie słyszała. Wyglądali na twardzieli, a ich szczupłe twarze i smukłe, atletyczne sylwetki wskazywały, że obcy jest im komfortowy styl bycia, do jakiego przywykli mieszkańcy Zachodu. Po przejechaniu bocznymi drogami około dziesięciu kilometrów (według obliczeń Mace) samochód zwolnił, a z mroku nagle wyłoniła się duża budowla. Kiedy range rover podjechał bliżej, rozbłysło światło, dobiegające zza otwartej właśnie podwójnej bramy. Samochód wjechał przez nią i się zatrzymał. Brama została zamknięta, a nieznajomi wysiedli z range rovera i pociągnęli Mace za sobą.

Kobieta rozejrzała się wokół siebie. Budynek, w którym się znalazła, wyglądał na starą fabrykę - na dużej otwartej przestrzeni stały pordzewiałe stoły i resztki pasa transmisyjnego, a na podłodze poniewierały się stosy starych narzędzi. Drugie piętro hali składało się z biegnącego wzdłuż wszystkich ścian pomostu, a ze spadzistego stropu zwieszał się podnośnik łańcuchowy, umieszczony około dwa metry nad podłogą. Przez halę biegł rząd metalowych filarów, który dzielił ją na dwie części. Jedyne oświetlenie stanowiła linia świetlówek fluorescencyjnych. Włącznik znajdował się na ścianie, obok podwójnych drzwi.

- Roy!

Mężczyzna, który siedział na podłodze przywiązany do jednego z filarów, krzyknął z wściekłością:

- Dlaczego przyjechałaś, do cholery?
- Mówiłam ci, że tak właśnie zrobi - dobiegł głos.

Mace odwróciła się i zobaczyła Mary Bard, nadchodzącą z drugiego końca budynku. Kobieta miała na sobie obcisłe czarne spodnie, krótką dzinsową kurtkę i buty na grubych podszewkach.

- Jestem - stwierdziła Mace - więc bierzmy się do rzeczy.
- Cierpliwości - odpowiedziała Bard.

Mace zerknęła na Roya.

- Co mam zrobić, żebyś puściła go wolno?
- Nigdzie się nie wybieram! - krzyknął Roy, usiłując wstać.
- Co mam zrobić? - ponownie spytała Mace.

- Niestety, nie możesz zrobić nic.

- Po prostu nas zabijesz? Mamy przyjaciół, którzy nie odpuszczą tej sprawy.

- Ale będziemy mieć z głowy was dwoje.

Bard wyjęła z pochwy przyczepionej do paska noże, którymi zabiła Reigera i Hope'a. Mężczyzna bezradnie spojrział na Mace i zbliżającą się do niej kobietę.

- Mace, ona jest jakąś cholerną mistrzynią walki wręcz. Mnie powaliła w sekundę.

- Roy, bez urazy, ale nie jesteś taki znowu twardy.

Bard zatrzymała się i zmierzyła wzrokiem Mace, nieruchomo trzymając noże.

- A ty jesteś?

- W końcu wciąż żyję, prawda? Reiger i Hope próbowali mnie wykończyć, ale im się nie udało.

- Byli niekompetentni.

- Dlatego kazano ci ich zabić?

Bard zmrużyła oczy, słysząc tę uwagę.

- Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

- Ściągnęli cię z Rosji. Z Federalnej Służby Bezpieczeństwa.
- Jestem pod wrażeniem. Myślałam, że udało mi się pozbyć akcentu.

- Nie zgadywałam. Po prostu wiem, że jesteście najlepszymi zabójcami, może z wyjątkiem Izraelczyków.

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby cię nie zawieść.

- Mam nóż w klamrze przy pasku. Pozwól mi go użyć do obrony. To i tak będzie walka dwa ostrza przeciw jednemu, ale trochę uczciwsza. Na pewno nie mogę się z tobą równać, ale znam kilka fajnych ciosów. Ich znajomość może ci się przydać przy następnej okazji.

Bard spojrzała na uzbrojonych po zęby mężczyzn stojących wokół Mace.

- Zgoda.

- Ale... - zaczął jeden nich.

Kobieta warknęła coś do niego w jego ojczystym języku. Mężczyzna zamilkł. Pozostali członkowie obstawy wycelowali pistolety w Mace, która rozpięła klamrę i wyciągnęła z niej nóż. Spojrzała na nieco stępione ostrze.

- To maleństwo wybawiło mnie z poważnej opresji.

- Myślę, że tym razem mu się nie uda.

Bard zaczęła zataczać krąg, wymachując przed sobą ostrzami.

Mace stanęła na szeroko rozstawionych nogach, obserwując przeciwniczkę.

- Żadnych łez? Żadnego błagania o litość? - spytała Bard.

- Każdy musi kiedyś umrzeć.

- Dziś przyszedł twój dzień.

- Albo twój - stwierdziła Mace.

110

- Jarvis, co się stało, do cholery?

Beth stała w swoim gabinecie przed zainstalowanym przez techników Burnsa dużym telewizorem, zdalnie nadającym obraz. Poprzedniego wieczora, po wyjściu z Biura Terenowego FBI, Beth natychmiast zadzwoniła do Sama Donnelly'ego i powiedziała mu, co spotkało Roya Kingmana. Donnelly oddelegował Jarvisa Burnsa do nadzorowania operacji ratunkowej. Wszystko szło dobrze aż do chwili, gdy zgubili trop Mace. Facet w garniturze i słuchawkach z wmontowanym mikrofonem walił jak oszalały w przenośną klawiaturę, jednocześnie wykrzykując rozkazy.

Burns wciąż wpatrywał się w ekran, na którym wyświetlany był na żywo obraz z kamery zamontowanej na płozach helikoptera. Teren był ciemny i rozległy.

- Beth, to był najlepszy plan, jaki zdołaliśmy ułożyć w takiej sytuacji. Śledziły ją dwie zamaskowane jednostki, a na jej motocyklu znajdował się nadajnik. Przewidywaliśmy, że każą jej się przesiąść do innego pojazdu, ale nasi ludzie nie powinni byli jej zgubić.

Zwrócił się do jednego z techników.

- Połącz mnie z dowódcą sił lądowych. Natychmiast!

Kilka sekund później technik wręczył słuchawki Burnsowi, który założył je na chwilę, potem oddał je mężczyźnie i zwrócił się do

Beth:

- Wpadli w zasadzkę. Zostali ostrzelani. Są ofiary. Wypadli z gry. Beth, tamci muszą mieć u nas wtyczkę. Jak inaczej by się dowiedzieli?

Pani komendant uderzyła o blat biurka.

- Nie mamy pojęcia, dokąd ją zabrali.

- Mamy jeden trop - stwierdził spokojnie Burns. - Otrzymaliśmy wyraźny sygnał wskazujący na opuszczoną farmę, a mamy w pobliżu dwa zamaskowane helikoptery. - Poklepał techników po ramieniu. - Phillips, przekaż dowódcy wsparcia powietrznego, żeby przeczesał okolicę w promieniu dziesięciu kilometrów. Wszyscy będziemy obserwować obraz i zobaczymy, czy coś się pojawi.

- To zajmie zbyt wiele czasu! - krzyknęła zrozpaczona Beth.

- Nie, jeśli wykorzystamy śmigłowce. Nie mogli wywieźć jej zbyt daleko ze względów logistycznych. Przy odrobinie szczęścia trafimy na jej ślad.

- A jeśli nam się nie poszczęści?

- Beth, robię, co mogę. Pamiętaj, że zadzwoniłaś do dyrektora Donnelly'ego w ostatniej chwili. Jestem dobry, ale nie jestem czarodziejem.

Już spokojniejszym głosem Beth dodała:

- Wiem. Przepraszam. Chodzi o to, że.

- To twoja siostra - Burns położył dłoń na ramieniu kobiety. - Wiem, Beth. Przysięgam, że zrobimy, co w naszej mocy, żeby bezpiecznie sprowadzić ją do domu.

- Dziękuję, Jarvis.

- Zachowam się fair i pozwolę ci zacząć - stwierdziła Bard, która z każdym ruchem coraz bardziej zbliżała się do Mace.

- Zachowam się fair i spróbuję cię zabić wszelkimi dostępnymi

środkami.

- Nie chcesz uderzyć pierwsza?

- Chcę. Ale każ im się odsunąć. - Mace wskazała na otaczających ją strzelców. - Nie chciałabym dostać kuli w plecy, jeśli z tobą wygram.

Bard po chwili wahania gestem nakazała obstawie się odsunąć. Mace cofała się z nożem w wyciągniętej ręce, aż dotarła do ściany.

- Czekam na twój ruch - stwierdziła Bard.

- A ja wciąż się nad nim zastanawiam.

- To absurdalne. Jeśli.

Mace rzuciła się naprzód i sięgnęła do przełącznika. W hali zapanowały ciemności. Mace lekko poruszyła nadgarstkiem i rzuciła nożem w pierś stojącego najbliżej strzelca. Mężczyzna padł na podłogę z ostrzem wbitym w lewą komorę serca.

Mace bez trudu widziała w ciemności, gdyż miała w oczach najnowszej generacji soczewki kontaktowe, błyskawicznie dopasowujące się do natężenia światła. Dostała je w prezencie od FBI specjalnie na tę okazję. Wiedziała, że na parterze hali znajduje się czterech mężczyzn, a na kładce powyżej - kolejnych trzech. Mieli pistolety maszynowe Heckler i Koch UMP i MP5, a ona musiała koniecznie się uzbroić, zanim bandyci znów będą w stanie walczyć. Poczłgała się po podłodze do martwego mężczyzny i zabrała jego broń i dwa zapasowe magazynki.

Otworzyła ogień. Jeden ze stojących blisko strzelców drgnął, kiedy trafiła go dwiema seriami, najpierw w szyję, później w tors. Zdołał jeszcze wystrzelić, a później padł na ziemię i znieruchomiał. Mace natychmiast przeturlała się o półtora metra w lewo, gdyż miejsce, z którego poprzednio strzelała, zasypał grad kul - strzelcy celowali, kierując się rozbłyskami

z lufy. Kolejnymi strzałami trafiła następnego mężczyznę w oba kolana. Z krzykiem padł na ziemię, ale nie przestał strzelać. Po następnej serii, skierowanej w głowę, jego pistolet zamilkł.

Snajperzy stojący na kładce otworzyli ogień. Serie pocisków kalibru 40 mm odbijały się od betonowych ścian, a Mace skryła się za szczątkami stanowiska do wymiany osprzętu, wystrzelała resztę magazynka i założyła nowy, podczas gdy strzelcy odpowiedzieli ogniem. Pociski odłupały kawałek drewna ze stołu, za którym się schroniła – drzazgi wbiły jej się w ramię i skaleczyły policzek. Po twarzy popłynęła jej ciepła krew. Kolejna seria rozorała jej lewe udo, przebijając się przez spodnie i barwiąc skórę na czarno.

Strzelała kolejnymi seriami w kładkę, ale mimo soczewek nie widziała wyraźnie, gdyż halę spowił dym z wystrzałów. Pozostali przy życiu snajperzy także się ukryli. Znajdowali się wyżej i dysponowali większą siłą rażenia. Mace nie miała pola manewru. Jej sytuacja była przygnębiająco jasna: jeśli nie przybędzie pomoc, ich śmierć będzie tylko kwestią czasu.

- Mace!

Spojrzała za siebie i zobaczyła, jak Roy się kuli z grymasem bólu na twarzy. Mimo dużej odległości i szkieł kontaktowych barwiących wszystko na upiorny odcień zieleni Mace zauważyła, że koszula mężczyzny nasiąkała krwią. Stojąca nad nim Mary Bard właśnie szykowała się do zadania ostatecznego ciosu.

- Roy!

Nagle rozległa się eksplozja, a podwójne przesuwane drzwi przejechały trzy metry po podłodze. Z dymu wyłoniły się sylwetki, które Mace miała zapamiętać do końca życia: dwudziestu uzbrojonych szturmowców z jednostki antyterrorystycznej FBI. Sam ich widok mógł wystraszyć na śmierć każdego, choćby

najbardziej zaprawionego w bojach przeciwnika. Mace wiedziała, co będzie dalej, więc natychmiast padła na ziemię, wyciągnęła z butów zatyczki i wetknęła je sobie do uszu. Sekundę później eksplodowały granaty błyskowo-hukowe.

Kiedy szturmowcy zaczęli precyzyjnie ostrzeliwać pozycje wroga, które udało im się namierzyć dzięki noktowizorom, Mace podbiegła do Roya. Mary Bard, ogłuszona po wybuchu granatu, leżała na boku, krwawiąc z ucha. Próbowwała się podnieść i wykończyć Roya, ale Mace skoczyła w jej stronę, uderzając ją w skroń kolbą karabinu. Kobieta padła na podłogę. Minutę później dano sygnał, że teren został oczyszczony. Ktoś przesunął przełącznik i halę zalało światło.

- Mamy ранnego! - krzyknęła Mace. Nie czekając, aż zakończy się szturm rozerwała koszulę Roya i zrobiła z niej opatrunek, by zatamować krwawienie. Kiedy personel medyczny, towarzyszący jednostce antyterrorystycznej podczas każdej akcji, ruszył, by zająć się poszkodowanym, Mace szepnęła do Roya:

- Wyjdiesz z tego.

- Nie wydaje mi się.

- Nie możesz umrzeć, Roy.

- Dlaczego?

- Coś mi mówi, że będę potrzebować rewelacyjnego adwokata, a jesteś jedynym, jakiego znam.

Mężczyzna uśmiechnął się blado, a później zajęli się nim lekarze. Kilka minut później wystartował helikopter, który zabrał ранnego do najbliższego szpitala.

111

Czterdzieści minut później technik ze słuchawkami na uszach podskoczył na siedzeniu. Widoczna na ekranie eksplozja zachwiała kamerą. Beth przerwała prowadzoną rozmowę telefoniczną i dołączyła do mężczyzn, którzy osłupiali wpatrywali się w widniejącą na ekranie kulę ognia.

- Mój Boże - powiedział wstrząśnięty Burns. - Zdetonowali bombę! - Zwrócił się do technika. - Każ śmigłowcowi natychmiast lądować.

Mężczyzna przekazał rozkazy, a obecni w gabinecie zaczęli obserwować lądowanie. Chwilę później obraz z kamery zniknął. Po pełnej napięcia minucie technik znów podskoczył na krześle, słysząc głos w słuchawkach. Zbladł, tępo pokiwał głową, po czym zwrócił się do obecnych:

- Budynek został zniszczony. Zdaje się, że nikt nie przeżył.
- Czy to na pewno to miejsce? - spytała Beth.
- Właśnie wyciągnęli z gruzów ciało - powiedział technik, nerwowo patrząc na panią komendant. - Ciało kobiety. Zostało zidentyfikowane ponad wszelką wątpliwość.
- Boże, Beth, tak mi przykro - powiedział Burns.
- Mnie też, Jarvis. I to bardzo.

Coś w tonie głosu Beth sprawiło, że mężczyzna gwałtownie się na nią obejrzał.

- Beth, wszystko w porządku?

- W porządku! - krzyknęła Beth w stronę drzwi.

Do gabinetu weszli Sam Donnelly z kilkoma agentami i szeroko uśmiechnięty Steve Lanier, zastępca dyrektora FBI.

Burns popatrzył na swojego przełożonego, na Beth i z powrotem na szefa.

- Co tu się dzieje, do cholery?

- Przykro mi, Jarv. To już koniec - stwierdził Donnelly ze smutkiem.

- Koniec czego?

- Twojej tajnej operacji. Z pomocą FBI zastawiliśmy na ciebie pułapkę. Od dawna podejrzewałem, że ktoś działa za moimi plecami. Przykro mi, że to byłeś ty.

- Ale... - zaczął Burns.

- Poświęcenie, Jarvis. Rozmawialiśmy już o tym. Bezpieczeństwo narodowe ponad wszystko.

Burns i Donnelly przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Rzecz jasna, jeśli okaże się, że popełniliśmy błąd, możesz liczyć na moje pełne wsparcie - dodał Donnelly.

- Rozumiem i dziękuję. Jestem pewien, że uda się wszystko wyjaśnić.

Donnelly zwrócił się do Laniera.

- Steve, myślę, że z resztą damy sobie radę sami. Sprawa wykracza poza kompetencje FBI. Ale bardzo dziękuję ci za pomoc. Każę moim ludziom.

Beth podeszła do Burnsa.

- Naprawdę byś to zrobił, Jarv?

- Co?

- Poświęciłbyś się dla Sama?

- Co takiego? - ostro spytał Donnelly.

Beth odwróciła się do niego.

- Poświęcenie? Pełne wsparcie? Damy sobie radę sami? Nie zobaczymy więcej Jarvisa. Przeniesiesz go do Jordanii albo do Iraku, gdzie będzie dalej robił swoje.

- Wykonując twoje rozkazy - dodał Lanier.

- Nie mam pojęcia, o czym mówicie - stwierdził Donnelly z wściekłością.

- Na twoim miejscu zachowałbym takie uwagi na proces - stwierdził Lanier, po czym gestem przywołał swoich ludzi, którzy skuli Donnelly'ego, Burnsa i technika.

- Jak śmiecie! - krzyknął rozsierdzony Donnelly.

Lanier usiadł na skórzanym krześle za biurkiem Beth.

- Pani komendant, czy zechce pani czynić honory? Mnie ta sprawa przyprawia o mdłości.

Beth oparła się o krawędź biurka.

- Jarvis, czy pamiętasz, jak mi powiedziałeś, że wiesz o śmierci Diane Tolliver, fałszywym alarmie przeciwpożarowym i całej reszcie?

- Pamiętam. I co z tego? - spytał Burns nieufnie.

- Kiedy się zdziwiłam, że to wszystko wiesz, stwierdziłeś, iż gdybyś nie był w stanie ogarnąć tego, co się dzieje w twoim mieście, tym bardziej nie poradziłbyś sobie z resztą świata.

- Nie widzę związku z.

- Uwierzyłam ci na słowo, Jarvis. Założyłam, że gdyby w Waszyngtonie działo się coś istotnego, ty i Sam wiedzielibyście o tym, a skoro nie robiliście nic, by to powstrzymać, pomyślałam, że być może to wy za tym stoicie. Pewnego wieczora pojechałam też do Pentagonu za Hope'em i Reigerem. Wiedziałam o tym, że ci dwaj nie służą już w wojsku, ale także o tym, iż w budynku znajduje się jedno z waszych biur. A kiedy poznaliśmy powiązania

pomiędzy Diane Tolliver a Jamiem Meldonem i dowiedzieliśmy się, że prawniczka zginęła w piątek, nie w poniedziałek, zrozumiałam, iż w sprawie musi chodzić o coś więcej niż gwałt i zabójstwo popełnione przez starego weterana. Nie mieliśmy jednak żadnych dowodów, więc poszłam do Steve'a i ułożyliśmy plan, który pozwolił nam je zdobyć.

- Plan?

Beth wskazała na ekran.

- Ten plan.

Donnelly stwierdził:

- Boże drogi, Beth, nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale czy mam rozumieć, że poświęciłaś siostrę, żeby potwierdzić jakąś absurdalną teorię?

Odpowiedział mu Lanier:

- Mace jest cała i zdrowa. Wysłaliśmy na miejsce jednostkę antyterrorystyczną. Udało nam się ich wyśledzić, bo Mace jeszcze przed przeszukaniem podrzuciła jednemu z bandytów nadajnik. Śmigłowiec zabrał ją i Kingmana do najbliższego szpitala.

Burns nerwowo zerknął na ekran.

- Najwyraźniej otrzymaliśmy błędne dane. Bardzo się cieszę, że nic jej nie jest.

Beth odpowiedziała zimno:

- Nie sądzę, Jarv. I ty, i Sam bardzo się staraliście ją uśmiercić. Cała dzisiejsza operacja była wymyślną mistyfikacją. Obraz z kamery był fałszywy, nie mieliście na miejscu ani śmigłowców, ani zamaskowanych oddziałów. Był tylko dym i lustra.

- Absolutnie nie masz racji - stwierdził Burns.

- Ani słowa więcej, Jarvis - ostrzegł go Donnelly. - Wyprostujemy to.

- A jakże - wykrzyknęła Beth.

- Nic na nas nie macie! - odciął się Donnelly. - Żadnych dowodów. A kiedy pomówię z prezydentem, polecą głowy.

- Nie martw się o dowody - stwierdziła kobieta. - Są bardzo przekonujące.

Lanier dodał:

- Jednostka antyterrorystyczna schwytała kilku speców od brudnej roboty, których sobie spowadziliście.

- I ich słowo będzie warte więcej niż nasze? - spytał Donnelly.

- Czy zdajecie sobie sprawę, jak śmiesznie będzie to wyglądać w sądzie? Dobrze radzę, oszczędźcie sobie wstydu, natychmiast nas uwolnijcie i zapomnijmy o całej sprawie.

- Naprawdę dotknął mnie fakt, że mnie znieważyliście - stwierdziła Beth.

- A to niby w jaki sposób?

- Zakładając, że jestem tak głupia, iż tego nie rozgryzę.

- Wciąż nic na nas nie masz.

Lanier spojrział na Beth i skinął głową jednemu ze swoich ludzi.

- Wprowadź ją.

Do pokoju weszła kobieta z obandażowaną głową, otoczona uzbrojonymi strażnikami.

- Mary Bard - przedstawił ją Lanier. - Zwerbowana przez nasz kraj, pracowała dla FBI, póki nam jej nie podkradliście, Sam. Kiedy dowiedziałem się, że Reiger i Hope zostali zabici zadanymi z chirurgiczną precyzją cięciami, przypomniała mi się pewna mała operacja prowadzona w zeszłym roku we współpracy z CIA.

Bard stwierdziła z goryczą:

- Dyrektor powiedział mi, że ludzie, którymi miałam się dziś zająć, to zdrajcy, że mają na rękach niewinną krew, a polecenie ich eliminacji zostało zatwierdzone przez władze.

- Zamknij się, do kurwy nędzy! - wrzasnął Donnelly.

- To ona ich zabiła! Ona! Nie my! - krzyknął Burns.

Beth spojrzała na Laniera.

- Czy możesz zabrać mi ich sprzed oczu, zanim zastrzelę całą trójkę?

Później tej samej nocy Beth Perry dotarła do szpitala i zobaczyła siostrę stojącą na końcu korytarza. Kiedy Mace uniosła głowę i dostrzegła Beth, ruszyła w jej stronę. Siostry spotkały się w połowie drogi i mocno uściskały.

- Byłaś dzisiaj świetna, Mace.

- Wspólnie ułożyliśmy ten plan, siostrzyczko.

- Tak, ale to ty stanęłaś na linii ognia, żeby go wykonać. Mogłaś zginąć.

- To ty jesteś szefem. Ja nie jestem niezastąpiona.

Siostry rozluźniły uścisk i Beth spojrzała na bandaż na twarzy Mace i na wybrzuszenie na jej udzie.

- Wszystko w porządku?

- Potrafię zrobić sobie większą krzywdę, spadając z łóżka.

- Kłamczucha. A jak się czuje Kingman?

- Skończyli go operować i powiedzieli, że mogę do niego zajrzeć na kilka minut. Chcesz iść ze mną?

Roy wciąż był pod wpływem silnych leków znieczulających, ale otworzył oczy, słysząc głos Mace. Kobieta chwyciła go za rękę.

- Wszystko w porządku? - spytał słabym głosem.

- W jak najlepszym - potwierdziła Mace i dodała: - Jest tu też Beth. Roy powoli odwrócił głowę, by spojrzeć na panią komendant, a ona wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego twarzy.

- Hej, Roy, muszę ci coś powiedzieć.

- Co takiego? - wymamrotał.

Beth spojrzała na Mace, a potem odpowiedziała:

- Jeśli chcesz nadal spotykać się z Mace, ja jestem za. -
Nachyliła się i pocałowała go w policzek.

Po drodze do poczekalni Mace zauważyła:

- Wiesz, że w końcu zwróciłaś się do niego po imieniu?

- Tak. Bo sobie na to zasłużył.

112

- Jak już mówiłem, z przyjemnością informuję państwa, że wszelkie zarzuty przeciwko memu klientowi, Louisowi Dockery'emu, zostały wycofane. Pan Dockery został zwolniony z więzienia, a Urząd ds. Weteranów zobowiązał się dopilnować, by tak zasłużony żołnierz nie musiał więcej mieszkać na ulicy.

Tym razem Roy, który właśnie skończył przemawiać, bez problemu wytrzymał obłędnie przez reporterów, stojąc na schodach sądu rejonowego. Miał zabandażowane ramię i bok. O kilka kroków od niego stała, z wyrazem skrajnego obrzydzenia na twarzy, Mona Danforth. Znalazła się tam jedynie dlatego, że burmistrz i dyrektor Departamentu Sprawiedliwości zażądali jej obecności.

- Panie Kingman, co się panu stało? - spytał jeden z reporterów.

Roy odpowiedział z uśmiechem:

- Podczas rozprawy nadziałem się na obcas jednego z legendarnych butów pani Danforth.

Wybuch śmiechu trwał tak długo, że Mona w końcu się wycofała, a jej twarz miała odcień niemal równie czerwony jak jej szminka. Wchodząc do budynku sądu wpadła na kogoś.

- Hej, Mona - przywitała się Mace. - Czyż to nie wspaniały dzień, kiedy sprawiedliwość w końcu triumfuje?

- Niech cię diabli!

- Jeszcze czego! Jeśli porwą nas obie, w piekle zrobi się za ciasno.

- W dalszym ciągu zamierzam wnieść przeciwko tobie oskarżenie o napaść dokonaną w damskiej toalecie. Ukruszyłaś mi ząb.

- Bardzo mi przykro, Mona. Ale patrz, ktoś chce ci coś wręczyć.

Odwróciły się i zobaczyły Beth, idącą w ich stronę z kopertą w ręku.

- Co to jest, do cholery?

- Złożone pod przysięgą pisemne oświadczenia moich dwóch detektywów, których zmusiłaś do współpracy. Są gotowi zeznać, że nawiązałaś kontakt z Lou Dockerym pod nieobecność jego adwokata, łamiąc wiele norm etycznych i prawo. Ponieważ zachodzi konflikt interesów z biurem prokuratora okręgowego, rolę oskarżyciela będzie pełnić Departament Sprawiedliwości.

Teraz twarz Mony stała się równie biała, jak trzymana przez nią koperta.

- Oskarżyciela? Wobec mnie?

- Tak - wyjaśniła Mace. - No wiesz, w postępowaniu sądowym, po którym znajdziesz się za kratkami. Jeśli chcesz, mogę dawać ci korepetycje z etykiety więziennej.

Po zakończeniu konferencji prasowej Mace, Beth i Roy wsiedli do rządowej limuzyny i pojechali na spotkanie, którego zdecydowanie woleli uniknąć. Po drodze omawiali najświeższe wydarzenia.

- Naprawdę zajmą się Kapitanem? - spytała Mace.

Roy przytaknął.

- Facet z Urzędu ds. Weteranów powiedział, że czuje się osobiście odpowiedzialny za zapewnienie mu odpowiedniej

opieki. Będę sprawdzał, jak wywiązuje się z zadania. A póki co, kazałem im zamówić hurtową ilość ciastek z kremem.

- Ależ Mona się wkurzyła - stwierdziła Mace. - Czy myślicie, że tym razem naprawdę uda się ją przyskrzynić?

Beth odpowiedziała:

- Wiem, że kiedy pokazałam oświadczenia prawnikowi z Departamentu Sprawiedliwości, wykrzyknął: „Dzięki ci, Boże!”.

- A Psychol? - spytał Roy.

- Trafił tam, gdzie jego miejsce. Kiedy członkowie jego gangu obejrzeliby nagrania z kamery zainstalowanej na dworcowym parkingu, wypięli się na niego. Wygląda na to, że na długo trafi za kratki.

- A co z Alishą, Tylerem i Darrenem?

Mace wyjaśniła:

- Alisha przygotowuje się do matury, Tylerem zajął się specjalista z kliniki Johna Hopkinsa, a pan Brzytwa też postanowił dalej się kształcić. Podobno skończył liceum, ale nie pofatygował się odebrać świadectwa. Na razie zdecydował się na dwuletnie studia techniczne, ale kto wie, jak wysoko zajdzie w ciągu dziesięciu lat.

- Zamierzasz dalej pracować u Altmana? - spytał Roy.

- Przecież zawarłam z nim umowę. Nie zamierzam się z niej wycofać. A co z tobą? Możesz wrócić do kancelarii.

- Jeszcze nie podjąłem decyzji - ale przynajmniej dowiedziałem się, że wycofali pozew.

- Jak rana?

- W najbliższym czasie nie będę mógł grać w kosza.

- Wiem. Ale wyzywam cię na pojedynek w jednorękiego wisielca.

- Przyjmuję wyzwanie!

Uśmiechy zniknęły im z twarzy, gdy samochód zwolnił i zatrzymał się przed strzeżoną bramą. Kierowca pokazał dokumenty i wpuszczono ich do środka.

- Jak myślicie, co nas tam czeka? - spytał Roy, wskazując dwupiętrowy budynek, do którego zmierzali, stojący na dużej działce przypominającej kampus uniwersytecki.

Odpowiedziała mu Beth.

- Zawsze staram się być gotowa na najgorsze. I myślę, że dziś najgorsze może nastąpić.

113

Glock Beth został skonfiskowany przy drzwiach. Mace poznała, że nie ucieszyło to siostry po sposobie, w jaki wciąż sięgała palcami do pustej kabury. Uzbrojona eskorta poprowadziła ich długim korytarzem, w którym wszystkie drzwi były zamknięte i wyposażone w zamek szyfrowy.

„Nie lubią tu otwartych boksów” – pomyślała Mace.

W końcu znaleźli się w przestronnym gabinecie. Wyglądał on typowo – na ścianach wisiały zdjęcia, a na półkach stały nagrody i pamiątki, jakie zwykle znaczą przebieg kariery wysoko postawionych urzędników państwowych. W pomieszczeniu znajdowały się tylko cztery osoby: dyrektor Centrali Wywiadu, umundurowany mężczyzna z Agencji Wywiadu Obronnego, przedstawiciel Narodowej Agencji Bezpieczeństwa i człowiek, którego Mace oglądała niedawno w telewizji i o którym wiedziała, że piastuje wysokie stanowisko w Białym Domu.

– Myślałam, że będzie też Steve Lanier z FBI – stwierdziła Beth.

– Nie będzie go – odpowiedział bez ogródek dyrektor Centrali Wywiadu. – Ale chciałbym podziękować każdemu z państwa za przybycie – dodał nieco bardziej uprzejmym tonem.

– Nie mieliśmy wielkiego wyboru. I wszyscy jesteśmy tu z tego samego powodu – stwierdziła pani komendant. – Chcemy informacji.

- Ja z kolei jestem tu po to, by ich państwu udzielić - w dozwolonym zakresie.

Beth usiadła z westchnieniem, wyraźnie niezadowolona z tego wtrącenia.

- W normalnych okolicznościach pani siostra i pan Kingman nie poznaliby nawet adresu tego budynku, nie mówiąc już o znalezieniu się wewnątrz. Nawet pani, jako komendant policji, nie miałyby tu wstępu.

- Okoliczności nie są normalne - stwierdziła Mace.

- Zaiste, nie są - stwierdził dyrektor Centrali Wywiadu, a człowiek Narodowej Agencji Bezpieczeństwa przytaknął mu skinieniem głowy.

- W takim razie, co może pan nam zdradzić? - spytała Beth. - Co stało się z Donnellym i Burnsem?

- Rzecz jasna, zostali usunięci ze stanowisk.

- Usunięci ze stanowisk? - spytała Mace, omal nie zrywając się z krzesła. - Dostali wcześniejszą emeryturę i złoty zegarek na pamiątkę?

- W wywiadzie nie odbywa się to w taki sposób, panno Perry.

- Czy zostaną oskarżeni? - spytał Roy.

- To nie jest możliwe - odpowiedział przedstawiciel Białego Domu.

- Jasne, że nie! - krzyknęła Beth. - Przecież tylko zaplanowali zabójstwo co najmniej pięciorga obywateli amerykańskich i dokładali wszelkich starań, by usunąć kolejnych dwoje.

- I obciążyli za to winą weterana wojennego - dodał wzburzony Roy.

Dyrektor Centrali Wywiadu uniósł ręce w górę w żartobliwym geście poddania.

- W pełni zgadzam się ze stwierdzeniem, że ich czyny były

potworne.

- Zbliża się jakieś „ale” - zauważyła Beth.

- Ale postawienie ich w stan oskarżenia oznaczałoby konieczność ujawnienia prawdy.

- Ci dranie działali na własną rękę. Ich przełożeni mogą oficjalnie wziąć na siebie odpowiedzialność za ich poczynania, ale to oni ponoszą winę - stwierdziła Beth. - Do cholery, FBI ścigało Hanssena, a CIA - Amesa⁵. Sprawa nie jest precedensowa.

- Nie zna pani wszystkich faktów.

- W takim razie proszę mnie oświecić.

Do rozmowy wtrącił się przedstawiciel Białego Domu.

- Ręczę słowem, że ich działania nie były zatwierdzane przez nikogo stojącego wyżej w łańcuchu dowodzenia.

- A inne rzeczy, którymi się zajmowali? - spytała Mace.

- Nielegalne rzeczy? - dodał Roy.

Dyrektor CIA spojrział na nich.

- Byli państwo w firmie DLT?

- Tak. I odkryłem, że podczepiano tam przelewy pod legalne transakcje biznesowe.

- Nie ma pan na to niezbitych dowodów?

- Nie.

- Do czego pan zmierza? - spytała Beth.

- Prowadzimy wojnę, pani komendant. Nie jest to zwyczajna wojna i większość Amerykanów zdała już sobie z tego sprawę. Na ogień odpowiadamy ogniem, a na podłość - podłością.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, iż światem rządzą informacje i że wygrywa ten, kto ma najdokładniejsze dane. A źródła tych informacji to często osoby, z którymi w normalnych okolicznościach nie chcielibyśmy mieć nic do czynienia.

- Czyli, przynajmniej w oczach amerykańskiego społeczeństwa, nasi wrogowie.

- Nasi dotychczasowi sojusznicy nie są w stanie pomóc nam w tej walce. Zwalczamy diabła, paktując z innym diabłem. A że informatorzy nie pomagają nam z dobrego serca.

- Pieniądze z tych podczepianych przelewów szły na opłacenie szpiegów? - spytał Roy.

- Nie mogę udzielić odpowiedzi na to pytanie.

Odezwała się Beth.

- Ale jeżeli tak było, jeśli odkryła to Diane Tolliver i powiedziała o wszystkim Meldonowi, dlaczego musieli zginąć? Czy nie wystarczyłoby odwołać się do ich patriotyzmu? Jamie z pewnością nie zrobiłby nic, co mogłoby zagrozić interesom ojczyzny.

Dyrektor wyjaśnił:

- Rzecz w tym, że Donnelly i Burns uciekali się do bardzo kontrowersyjnych rozwiązań, by zdobyć fundusze na opłacenie informatorów, a wydawane przez nich sumy, na początku niewielkie, przez lata rozrosły się do gigantycznych rozmiarów.

- A teraz Kongres obciął im budżet? - domyśliła się Beth.

- Wiedzą państwo, jaka jest obecnie sytuacja gospodarcza.

- W takim razie skąd brali pieniądze?

- Nie chcieli tego ujawnić, ale przeprowadziliśmy niewielkie śledztwo i udało nam się to ustalić w dość jasny sposób.

- Czego się dowiedzieliście? - spytała Beth.

- Niestety, żadne z państwa nie ma uprawnień do otrzymania takich informacji.

- Bzdura! - warknęła pani komendant. - Po tym wszystkim odmawia nam pan wyjaśnień?

- Mogę zdradzić, że znaczna część pieniędzy przesyłanych przelewami, o których wspomniał pan Kingman, była bardzo

brudna. Donnelly i Burns pobierali wysokie opłaty za ich pranie, a z uzyskanych sum opłacali informatorów.

- Od kogo pochodziły brudne pieniądze? Od handlarzy narkotykami, bronią i żywym towarem? - spytała Beth.

- Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam.

- W zasadzie nic nam pan nie powiedział. Po co właściwie zostaliśmy tu wezwani?

- Gdyby informacje o tej sprawie wyszły na jaw, bardzo zaszkodziłyby naszemu krajowi. Mogę wręcz stwierdzić, że pozbawiłyby nas szans na wygraną w wojnie z terroryzmem.

Przedstawiciel Białego Domu dodał:

- Takie wieści rozzuchwalałyby naszych wrogów i osłabiły naszą pozycję na całym świecie. Z ich ujawnienia nie wynikłoby nic dobrego.

- Poza tym, że można by ukarać dwóch sukinsynów za ich zbrodnie? - odcięła się Mace.

- To nie jest takie proste - mruknął dyrektor.

- Dla ludzi na wysokich stanowiskach nic nie jest proste. Ale maluczcy, którzy wplątali się w tę sprawę, ginęli jak muchy.

Beth potrząsnęła głową z irytacją.

- Co mam powiedzieć rodzinie Jamiego Meldona i przyjacielom Diane Tolliver?

- Nie mam gotowej odpowiedzi na to pytanie. Jeśli chodzi o Meldona, mogę obiecać, że jego rodzina będzie miała z czego żyć. Zaopiekuje się nimi Wuj Sam.

- Taa, to na pewno wynagrodzi im stratę męża i ojca - stwierdziła Mace z goryczą.

- Jeśli sądzi pani, że mnie się to podoba, jest pani w błędzie. Ale inaczej być nie może.

- A Mary Bard? - spytała Beth. - Swoją drogą, ciekawe

nazwisko jak na Rosjankę.

- Jej ojciec był Amerykaninem, niestety zdradził swój kraj. Pani Bard wróciła do ojczyzny. W końcu tylko wypełniała rozkazy, a jest znakomitą agentką. Bardzo możliwe, że jeszcze skorzystamy z jej usług.

Mace wybuchła:

- Nie wierzę! Ta kobieta usiłowała zabić mnie i Roya. Zamordowała dwóch amerykańskich agentów. A poza tym, o ile dobrze pamiętam, Rosjanie nie zaliczają się do naszych najlepszych przyjaciół.

Mężczyzna przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

- Panno Perry, muszę szczerze powiedzieć, że najwyraźniej nie rozumie pani, jak działa branża wywiadowcza. „Wrogowie” i „sojusznicy” to pojęcia względne.

- Nie rozumiem tej branży, bo nie ma ona sensu!

Głos zabrała Beth.

- To Mace rozwiązała sprawę. Powinna zostać przywrócona do służby.

Dyrektor Centrali Wywiadu pokręcił głową.

- To niemożliwe. Wymagałoby to ujawnienia prawdy.

- Czyli nic nie będzie z tego miała? - spytała Beth.

Mundurowy z Agencji Wywiadu Obronnego odchrząknął i stwierdził:

- To poświęcenie dla większego dobra.

Mace wbiła w niego wzrok.

- Dziękuję. Nie omieszkać opowiedzieć o tym swojemu kuratorowi.

Przedstawiciel Białego Domu wstał, sygnalizując, że spotkanie dobiegło końca.

- Jesteśmy państwu bardzo wdzięczni za udzieloną pomoc.

Dziękuję wam także prezydent, który ubolewa, że ze względów bezpieczeństwa narodowego nie może ujawnić całej sprawy.

- Akurat! - skwitowała Mace, po czym odwróciła się i wyszła z biura. Beth i Roy podążyli za nią.

114

Beth odwiozła ich do Altmana. Zanim wróciła do pracy, powiedziała Mace:

- Wiem, że zaczęłaś pracę, i nie trzeba geniusza, żeby stwierdzić, iż pewnie będziesz spędzać sporo czasu z Royem. Ale nie zapomnij o starszej siostrze.

- Jak mogłabym to zrobić? Jest przy mnie zawsze, kiedy jej potrzebuję.

- Mogę powiedzieć to samo o tobie.

- Nie bardzo, Beth. Chciałabym, żeby tak było, ale nie dałam rady.

- Cóż, taki jest los pierworodnych - stwierdziła pani komendant, siląc się na uśmiech.

- Czy też zauważyłaś, że dyrektor Centrali Wywiadu wydawał się zachwycony całą sprawą?

- Tak, i wcale mnie to nie dziwi. Zgadnij, kto znów kieruje operacjami wywiadowczymi i składa z nich raporty prezydentowi, kiedy zabrakło Donnelly'ego.

Przytuliły się na chwilę, a później Beth Perry stała się znowu Panią Komendant, wsiadła do radiowozu i ruszyła do walki z przestępczością.

Roy stwierdził:

- Nie mam żadnych planów na dziś. Co byś powiedziała na

lunch z byłym koszykarzem z drużyny uniwersyteckiej, obecnie kaleką? Ja stawiam.

- Brzmi świetnie. Mogę kroić ci jedzenie i wycierać usta.

- Musisz nabrać w tym wprawy, przyda ci się w przyszłości.

- W jakiej przyszłości? - ostro spytała Mace, mierząc mężczyzną przenikliwym wzrokiem.

Roy cofnął się o krok i oblał rumieńcem.

- W przyszłości, w której zasznurowuję sobie dziób, żeby tyle nim nie kłapać.

- Roy, jesteś uroczy.

- Naprawdę chciałabyś gdzieś się ze mną wybrać?

- Z przyjemnością.

Późno w nocy Mace wsiadła na ducati i odpaliła silnik. Dwie minuty później pędziła już autostradą do Waszyngtonu. Wjechała do O6 i odszukała miejsce, w którym jej życie zmieniło się na zawsze. Teraz stojąc tam czuła ucisk w dołku i rumieńce na policzkach, ale powiedziała sobie, że nadejdzie dzień, kiedy taka wizyta nie wywoła w niej smutku, a głęboką satysfakcję. Tego dnia - a była pewna, że jest on coraz bliżej - Mace Perry wróci na dobre.

Odwróciła się, widząc mrugnięcie samochodowych świateł i zobaczyła sylwetkę wysiadającą z radiowozu.

Beth, wciąż ubrana w mundur, podeszła do siostry i stanęła obok niej.

- Tak sobie pomyślałam, że tu dziś przyjedziesz.

- Czasem przeraża mnie, jak dobrze mnie znasz.

- Jesteśmy siostrami. I. - Beth zamilkła.

- Chciałaś dodać „i policjantkami”, prawda?

- Nie poddamy się, Mace.

- Wiem.

Po chwili ciszy Mace spytała:

- Dlaczego wydaje mi się, że Donnelly i Burns siedzą w jakimś biurze i dalej robią swoje?

- Bo pewnie tak jest.

- To się nazywa sprawiedliwość.

Beth spojrzała na stary budynek.

- Nie wygląda już tak źle.

- O czym ty mówisz? To ruina!

- Trzeba będzie trochę nad nią popracować, odmalować i tak dalej.

- Co?

- Powstaje tu centrum rekreacyjne dla mieszkańców dzielnicy.

- Od kiedy?

- Od kiedy wczoraj namówiłam burmistrza, żeby zatwierdził projekt.

- Dlaczego? - spytała Mace.

- Dlaczego nie? To stary budynek, który stoi pusty. Możemy go tak zostawić, aż się zawali, albo sprawić, by znów stał się użyteczny. W ten sposób świat pójdzie naprzód. Ta sama zasada odnosi się także do ludzi.

Mace przez dłuższą chwilę patrzyła na budowlę.

- Zawsze byliście z tatą dużo lepsi w takich przenośniach.

- Zawsze myślałam, że to ty jesteś bardziej podobna do taty.

- Naprawdę? - spytała zaskoczona Mace. Beth skinęła głową.

Mace spojrzała na radiowóz Beth, w którym cierpliwie czekał kierowca.

- Skończyłaś już służbę, siostrzyczko?

Beth się przeciągnęła.

- Tak. Miałam zamiar wrócić teraz do domu i poczytać w wannie.

- Odwieźć cię? - spytała Mace, zerkając na ducati.
- Motocyklem?
- Coś ci nie pasuje?
- Nie, ale odpowiedzialność w przypadku, gdyby komendant policji...
- Cicho bądź. Możesz założyć kask Roya.

Po drodze, podczas której Beth mocno trzymała się siostry, Mace stanęła na tylnym kole i pojechała na nim aleją Waszyngtona, siejąc postrach wśród kierowców.

Beth zaczęła krzyczeć coś do ucha siostry, ale dała sobie spokój. A po chwili pryncypialna pani komendant zrobiła coś niebywałego: szeroko rozłożyła ręce, pochyliła się w stronę siostry i zaczęła wznosić okrzyki radości.

Siostry wracały do bezpiecznej części stolicy, gdzie ludzie nie strzelali do siebie dla wartych pięć dolarów działek cracku ani dla zdobycia namiastki szacunku. Wiedziały jednak, że ich serca, i kariery zawodowe, na zawsze pozostaną nieprzewidywalne i że zawsze będą rwać się do walki, a nie przed nią uciekać. Takie już były.

Przednie koło opadło na asfalt, Mace otworzyła przepustnicę i siostry Perry pomknęły drogą przed siebie.

PODZIĘKOWANIA

Dla Michelle, dzięki której piszę o silnych, niezależnych kobietach.

Dla Mitcha Hoffmana, za dobre rady, konstruktywną krytykę i przemyślane pochwały.

Dla Davida Younga, Jamiego Raaba, Emi Battaglii, Jennifer Romanello, Toma Maciaga, Marthy Otis, Anthony'ego Goffa, Kim Hoffman i wszystkich z Grand Central Publishing, za pomoc na każdym kroku.

Dla Aarona i Arlene Priest, Lucy Childs, Lisy Erbach Vance, Nicole Kenealy, Frances Jalet-Miller i Johna Richmonda, za okazane wsparcie.

Dla Marii Rejt i Katie James z Pan Macmillan, za świetną pracę.

Dla Grace McQuade i Lynn Goldberg, które nie pozwalały o mnie zapomnieć.

Dla komendant policji Dystryktu Kolumbii, Cathy Lanier, za umożliwienie mi przyjrzenia się, jak naprawdę wygląda policyjna robota.

Dla porucznika Morgana Kane'a, za skoordynowanie wszystkiego, cierpliwość i profesjonalizm.

Dla funkcjonariusza Roba Calligaro, za szkolenie i przejażdżkę łodzią.

Dla funkcjonariusza Raymonda Hawkinsa, za przejażdżkę

i cenne uwagi.

Dla prokuratorów Jeffreya Taylora i Glenn Kirschner, za informacje o postępowaniu sądowym i o sposobie rozpatrywania spraw karnych w Dystrykcie Kolumbii.

Dla Toma i Boba, za burzę mózgów w kwestiach finansowych.

Dla doktor Monicy Smiddy, dzięki której lekarz sądowy brzmi przekonująco.

Dla doktor Alii Gulerii, za pomoc – jak zawsze.

Dla Boba Schule, za rady i doświadczenie polityczne.

Dla doktor Tanmoy Mukherjee, za informacje medyczne.

Dla osób, które wylicytowały na aukcji charytatywnej imiona bohaterów. Don, mam nadzieję, że Hope był taki, jak chciałeś. Julie, Mandy i Kelly z kancelarii Hamilton, Petrocelli & Sprissler – liczę, że jesteście zadowolone.

Dla Lynette i Deborah, za to, że tak dobrze robicie swoją robotę.

Przypisy

[1](#) Timothy James McVeigh (1968-2001) - główny sprawca dokonanego 19 kwietnia 1995 roku zamachu na biura władz federalnych w Oklahoma City, w którym śmierć poniosło 168 osób. Był to największy zamach terrorystyczny w USA do 11 września 2001 roku [przyp. tłum.].

[2](#) Jeffrey Dahmer (1960-1994), zwany także Wiertniczym z Milwaukee, to jeden z najsłynniejszych seryjnych morderców amerykańskich. W latach 1978-1991 zamordował, po czym zgwałcił, a w niektórych przypadkach również zjadł, siedemnastu chłopców i mężczyzn [przyp. tłum.].

[3](#) „Mace” to po angielsku „maczuga” [przyp. tłum.].

[4](#) Patty Hearst (ur. 1954) - dziedziczka fortuny amerykańskiego magnata prasowego, która po porwaniu przez lewicową grupę rewolucyjną Symbionese Liberation Army brała udział w organizowanych przez nią zamachach - do dziś nie jest pewne, czy robiła to z własnej woli, czy wskutek prania mózgu [przyp. tłum.].

[5](#) Robert Hanssen i Aldrich Ames - agenci (odpowiednio FBI i CIA) zwerbowani do współpracy przez KGB. Przekazali Rosjanom wiele cennych informacji wywiadowczych [przyp. tłum.].